

Świat Nocy 3

L.J.SMITH

**Łowczyni
Czarny Świt
Światło Nocy**

Spis treści:

Łowczyńi.....	7
Czarny świt.....	179
Światło nocy.....	359

<http://chronikuj.pl/miejacek>

Łowczyni

<http://chomikuj.pl/miejaczek>

Rozdział 1

To proste - powiedziała Jez w noc ostatnich łowów w swoim życiu. - **Wy uciekacie. My gonimy. Jak was złapiemy, giniecie. Damy wam trzy minuty przewagi.**

Stojący przed nią przywódca gangu skinheadów nawet nie drgnął. Miał ziemistą twarz i oczy rekina. Stał w napięciu i starał się robić wrażenie twardego, ale Jez zauważyła, że nogi mu leciutko drżą.

Uśmiechnęła się do niego.

- **Wybierz sobie broń** - powiedziała.

Szturchnęła stopą stos na ziemi. Leżało tam mnóstwo różnych rzeczy : pistolety, kije bejsbolowe, nawet kilka włóczni.

- **A wiesz, co? Weź sobie więcej niż jedną. Weź, ile chcesz. Mam dziś gest.**

Za jej plecami rozległ się zduszony chichot, ale Jez machnęła ręką, żeby go uciszyć. Zapadła cisza. Dwie bandy stały naprzeciwko siebie - sześciu łysych oprychów po jednej stronie i gang Jez po drugiej. Tyle że ludzie Jez nie byli typowymi członkami gangu.

Szef skinheadów zerknął na stos broni. Nagle rzucił się do niego i chwycił pistolet.

Zawsze wybierają pistolety. Tego konkretnego modelu nie można było kupić legalnie w Kalifornii w ostatnich latach - wielki kaliber, broń półautomatyczna. Skinhead wymierzył prosto w Jez.

Odchyliła głowę i się zaśmiała.

Wszyscy na nią patrzyli, i bardzo dobrze. Wyglądała rewelacyjnie i doskonale o tym wiedziała.

Z rękoma na biodrach, rudymi włosami opadającymi na ramiona i spływającymi po plecach, z idealnymi rysami - zgadza się, wyglądała świetnie. Wysoka, dumna i niebezpieczna... i bardzo piękna. Oto Jez Redfern, łowczyni.

Spojrzała przywódcy gangu prosto w twarz oczami, które nie były ani srebrne, ani niebieskie, ale gdzieś pomiędzy. Nigdy w życiu nie widział podobnych oczu, bo żaden człowiek takich nie miał.

Nie zorientował się. Raczej nie należał do bystrych facetów.

- **Goń sobie za tym** - powiedział i strzelił.

Jez poruszyła się w ostatniej chwili. Oczywiście metal przesywający klatkę piersiową nie zrobiłby jej wielkiej krzywdy, ale impet strzału mógłby ją przewrócić, a tego nie chciała. Dopiero co odebrała Morgeadowi dowodzenie gangiem i wołała nie okazać najmniejszej słabości.

Kula przeszła przez lewą rękę. Trysnęła krew i Jez poczuła ostry ból, kiedy pocisk naruszył kość, zanim przebił się na wylot. Zmrużyła oczy, ale nadal się uśmiechała.

A potem zerknęła na rękę i mina jej zrzędała. Syknęła. Nie pomyślała o rękawie. Teraz miała w nim dziurę. Dlaczego zawsze zapominała o takich rzeczach?

- **Masz pojęcie, ile kosztuje skóra? Wiesz, ile kosztuje kurtka North Beach?**

Podeszła do skinheada.

Chłopak tylko zamrugał. Oddychał nerwowo. Próbował zrozumieć, jakim cudem dziewczyna poruszała się tak szybko i dlaczego nie wyła z bólu. Znowu wycelował i strzelił. I jeszcze raz. Za każdym razem strzelał coraz bardziej na oślep.

Jez uskakiwała. Nie chciała następnych dziur w ubraniu. Ręka już się goiła, rana zamykała się, a skóra wygładzała. Szkoda, że kurtka tak się nie zrośnie. Złapała skinheada, unikając kolejnej kuli, i przytrzymała go za zielono-czarną kurtkę pilota. Uniosła go jedną ręką, aż stalowe noski jego martensów oderwały się od ziemi.

- **Lepiej zacznij uciekać, chłoptasiu** - syknęła. I cisnęła nim.

Przeleciał niezły kawałek i odbił się od drzewa. Z trudem wstał, z przerażenia wytrzeszczając oczy i ciężko dysząc. Spojrzał na nią, spojrzął na swój gang, a potem odwrócił się i zaczął biec przez sekwojowy las.

Pozostali skinheadzi chwilę gapili się na niego, a zaraz potem rzucili się na stos broni. Jez patrzyła na nich, marszcząc brwi. Dopiero co się przekonali, jak mało skuteczne są pociski przeciwko takim ludziom jak ona, ale mimo to łapali pistolety, ignorując doskonale noże bambusowe, cisowe strzały i przepiękny kostur z egzotycznego drewna.

Zrobiło się głośno, kiedy skinheadzi odskoczyli od stosu i zaczęli strzelać. Gang Jez z łatwością uskakiwał, ale w jej głowie odezwał się porytowany głos.

Możemy już zacząć ich gonić? Czy zamierzasz dalej się popisywać?

Zerknęła za siebie. Morgead Blackthorn miał siedemnaście lat, był od niej rok starszy i był jej największym wrogiem. Zarozumiały, porywczy, uparty i żądny władzy - i nie pomógł mu fakt, że to samo mówił o niej.

- **Powiedziałam im, że dostaną trzy minuty** - odpowiedziała na głos. - **Chcesz, żebym złamała słowo?** - warknęła i na chwilę zapomniała o uskakiwaniu przed kulami.

W następnej chwili Morgead przewrócił ją na plecy. Wylądował na niej. Coś świsnęło tuż nad nimi i uderzyło w drzewo, aż kora trysnęła.

Zielone jak szmaragdy oczy Morgeada błyszcząły złością.

- **Ale... oni... nie... uciekają** - wycedził, siłąc się na cierpliwość. - **O ile sama nie zauważyłaś.**

Znalazł się zbyt blisko. Oparł ręce po obu stronach jej głowy. Leżał na niej całym ciężarem. Jez zrzuciła go kopniakiem, wściekła na niego i zaszokowana własną reakcją.

- **To moje łowy. Wszystko sobie przemyślałam. Rozegramy to po mojemu!** - wrzasnęła.

Zresztą skinheadzi zaczęli się już rozbiegać. Nareszcie zrozumieli, że strzelanie nie ma sensu. Uciekali, przedzierając się przez paprocie.

- **No dobra, teraz!** - dała sygnał Jez. - **Ale szef jest mój.**

Rozległy się okrzyki i nawoływania myśliwskie. Val, największy i zawsze najbardziej niecierpliwy, pierwszy śmignął z dzikim wrzaskiem. Zaraz za nim rzuciły się Thistle i Raven - drobna blondynka i wysoka brunetka, które jak zwykle trzymały się razem. Pierce został w tyle, patrząc spokojnie i czekając, aż jego zwierzyna zacznie się łudzić, że ma szansę uciec. Jez nie sprawdziła co robi Morgead. Czemu miało ją to obchodzić?

Ruszyła w kierunku, w którym uciekł przywódca skinheadów. Nie pobiegła dokładnie jego śladem. Wybrała napowietrzną drogę, przeskakując z jednej sekwoi na drugą. Sekwoje olbrzymie były najlepsze - miały najgrubsze gałęzie, ale musiała przyznać, że na naroślach nadmorskich sekwoi też doskonale się lądowało. Jez skakała, łapała się gałęzi i znowu skakała, od czasu do czasu robiąc akrobatyczne fikołki dla zabawy.

Uwielbiała park narodowy Muir Woods, chociaż całe to drewno wokół było śmiertelnie niebezpieczne. *A może właśnie dlatego?* Lubiła ryzyko. A las był przepiękny - wszędzie cisza jak w katedrze, zieleń mchów i zapach żywicy.

W zeszłym tygodniu polowali na siedmiu członków gangu w parku Golden Gate. Było naprawdę przyjemnie, chociaż brakowało prywatności i nie mogli pozwolić ofiarom powalczyć. Strzały w parku przyciągnęłyby za dużo uwagi. Muir Woods to był jej pomysł - mogli porwać członków gangu i zawieźć ich tutaj, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał. Mogli dać im broń. Dzięki temu to byłoby prawdziwe polowanie, naprawdę niebezpieczne. Jez przykucnęła na gałęzi, żeby złapać oddech.

Świat nie jest wystarczająco niebezpieczny, pomyślała. Nie jak za dawnych czasów, kiedy w Bay Area nadal działali prawdziwi łowcy wampirów. Rodzice Jez zostali zabici przez łowców wampirów. Ale teraz już wszystkich łowców wybito i nie istniało nic, czego naprawdę można by się bać... Zamarła. Przed nią rozległ się niemal niesłyszalny trzask sosnowych igieł. Natychmiast ruszyła. Bez lęku zeskoczyła z gałęzi i na przygiętych nogach wylądowała na sprężystym materacu igieł. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze skinheadem.

- **Cześć** - powiedziała.

Rozdział 2

Skinhead wykrzywił twarz ze strachu, a oczy miał okrągłe jak spodki. Gapił się na

Jez, ciężko dysząc jak ranne zwierzę.

- **Wiem**- powiedziała Jez. - **Biegłeś szybko. Nie rozumiesz, jak mogłam cię dogonić.**

- **Ty.. nie jesteś... człowiekiem** - wydyszał.

Przy tej okazji wyrzucił z siebie mnóstwo innych słów, których ludzie lubią używać, gdy się denerwują.

- **Zgadłeś** - radośnie odpowiedziała Jez, ignorując wulgaryzmy. - **Nie jesteś taki tępy, na jakiego wyglądasz.**

- **Czym, u diabła, jesteś?!**

- **Śmiercią.** - Uśmiechnęła się do niego. - **Będziesz walczył? Mam nadzieję.**

Znowu zaczął majstrować przy pistolecie. Ręce tak bardzo mu się trzęsły, że ledwo zdołał wycelować.

- **Coś mi się wydaje, że wystrzelałeś już wszystkie naboje. A poza tym gałąź będzie lepsza. Złamać dla ciebie jedną?**

Nacisnął spust. Cyngiel tylko kliknął. Skinhead spojrzał na broń.

Jez uśmiechnęła się do niego, odsłaniając zęby.

Czuła, jak rosną - weszła w fazę żerowania. Kły wydłużały się i zaginały, aż stały się ostre, delikatne i półprzezroczyste jak u kota. Lubiała, kiedy wbijały się w dolną wargę, gdy rozchyłała usta.

Nie tylko to się zmieniło. Wiedziała, że jej oczy wyglądają teraz jak płynne srebro, a usta stają się czerwieniejsze i pełniejsze, gdy napływa do nich krew w oczekiwaniu na pożywienie. W całym ciele czuła przypływ energii.

Skinhead patrzył, jak staje się coraz piękniejsza i coraz mniej ludzka. I nagle jakby zapadł się w sobie. Oparty plecami o drzewo osunął się i usiadł na ziemi między bładobrazowymi boczniakami. Patrzył prosto przed siebie.

Jez spojrzała na podwójne błyskawice wytatuowane na jego szyi. Akurat... tam, pomyślała.

Skóra była względnie czysta, a zapach krwi kuszący. Płynęła tamtędy, nabuzowana adrenali-

ną, w błękitnych naczynkach tuż pod powierzchnią. Już na samą myśl o wgrzyzieniu się Jez poczuła zawrót głowy.

Strach był dobry. Dodawał pikanterii smakowi. Jak słod-ko-kwaśne drażetki SweeTarts. Zapowiadała się prawdziwa uczta...

I wtedy usłyszała cichy, słaby dźwięk. Skinhead płakał.

Nie ryczał na głos. Nie mazał się i nie błagał. Po prostu płakał jak dzieciak; łzy spływały mu po policzkach, a on sam cały się trząsał.

- **Miałam lepsze mniemanie na twój temat** - zachnęła się Jez.

Z pogardą odrzuciła włosy. Ale coś się w niej zacisnęło.

Nic nie powiedział. Po prostu patrzył na nią - a raczej poprzez nią - i płakał. Jez wiedziała, co chłopak widzi. Własną śmierć.

- **Och, daj spokój** - odezwała się. - **No dobra, nie chcesz umierać. A kto by chciał?**

Ale sam mordowałeś ludzi. Twój gang zabił w zeszłym tygodniu tego gościa, Juana.

Innym serwujesz, sam się nie częstujesz.

Nadal milczał. Już nie celował w nią z pistoletu. Przyciskał go obiema rękami do piersi, jakby to był miś albo inna pluszowa przytulanka. A może chciał się zabić i w ten sposób przed nią uciec. Wylot lufy miał pod brodą.

Coś jeszcze mocniej zacisnęło się w Jez. Nie mogła złapać oddechu. Co się z nią działo? To był tylko człowiek, i to najgorszego sortu. Naprawdę zasłużył na śmierć; nie chodziło tylko o jej głód.

Ale dźwięk jego płaczu... Coś w niej poruszył. Miała wręcz wrażenie déjà vu, jakby to już kiedyś jej się przydarzyło... Ale przecież nie mogło. Dobrze wiedziała, że nie.

W końcu chłopak się odezwał.

- **Zrób to szybko** - szepnął.

I umysł Jez pograżył się w kompletnym chaosie.

Jego słowa sprawiły, że już nie znajdowała się w lesie. Wpadała w nicość. Wirowała i nie mogła się niczego złapać. Nagle pojawiały się jakieś obrazy. Nie miały sensu. Zapadała się w ciemność, a przed jej oczami przewijały się sceny.

- **Zrób to szybko** - szepnął ktoś.

Jez zobaczyła kobietę o ciemnorudych włosach i delikatnych szczupłych ramionach. O twarzy średniowiecznej księżniczki.

- **Nie będę walczyć** - powiedziała. - **Zabij mnie. Ale pozwól żyć mojej córce.**

Matka...

To były jej wspomnienia.

Chciała zobaczyć coś więcej - nie wiedziała niczego o kobiecie, która ją urodziła. Ale zamiast tego ujrzała następny obraz. Mała rozdygotana dziewczynka kuli się w kącie. Ma włosy płomienistorude i oczy ani srebrne, ani niebieskie. I tak bardzo się boi...

Kolejna scena. Wysoki mężczyzna biegnie do dziewczynki. Odwraca się i staje przed nią.

- **Zostawcie ją! To nie jej wina! Nie musi umierać!**

Jm Tatuś...

Jej rodzice, którzy zginęli, kiedy miała cztery lata. Straceni przez łowców wampirów.

Kolejna migawka i teraz zobaczyła walkę. Krew. Ciemne postaci walczą z jej matką i ojcem.

Krzyki, które nie chcą zamienić się w słowa.

I wtedy jedna z ciemnych postaci łapie małą dziewczynkę kulącą się w kącie i podnosi ją wysoko... Jez widzi, że ta postać ma kły. To nie jest łowca wampirów. To wampir.

A mała dziewczynka z otwartymi ustami płacze. Ona nie ma kłów.

I nagle Jez zrozumiała krzyki.

- **Zabić ją! Zabić ludzkie dziecko! Zabić dziwadło!**

To o niej.

Jez doszła do siebie. Znajdowała się w Muir Woods, klęczała w paprociach i mchach, a przed nią siedział skinhead. Wszystko było takie samo, ale teraz całkiem inne. W głowie jej się kręciło i była przerażona.

Co to wszystko znaczy?

To były jakieś dziwaczne halucynacje. Wiedziała, jak zginęli jej rodzice. Łowcy wampirów zamordowali jej matkę. Ojciec został śmiertelnie ranny, ale zanim umarł, zdołał zanieść czteroletnią Jez do domu brata. Stryj Bracken wychował ją i opowiadał jej tę historię wiele razy.

Ale te krzyki...

To nic nie znaczyło. Nie mogło! Nazywała się Jez Redfern. Była bardziej wampirem niż ktokolwiek inny, nawet Morgead. Spośród wszystkich lamii - wampirów, które mogły mieć dzieci - jej ród był najważniejszy. Stryj Bracken był wampirem, tak samo jak jej ojciec i ojciec ojca i tak dalej, aż do Huntera Redferna.

Ale matka... Co właściwie Jez wiedziała o rodzinie matki? Nic. Stryj Bracken zawsze mówił, że pochodzili ze Wschodniego Wybrzeża.

Zadrzała. Nie chciała zadać sobie następnego pytania, ale słowa i tak pojawiły się w jej umyśle, zdecydowane i nieuniknione.

A jeśli jej matka była człowiekiem? To by znaczyło, że Jez jest... Nie. To niemożliwe. Nie chodziło tylko o to, że prawo świata nocy zabrania wampirom zakochiwać się w ludziach. Po prostu nie istniało coś takiego jak ludzko-wampirzy mieszaniec. To było niemożliwe. Nic takiego nie zdarzyło się od dwudziestu tysięcy lat. Ktoś taki byłby dziwadłem... Drżenie się nasiliło.

Wstała powoli i ledwo zauważyła, że skinhead pisnął ze strachu. Nie potrafiła się na nim skupić. Patrzyła w dal.

Gdyby to była prawda... To nie mogła być prawda, ale gdyby jednak była, musiałyby wszystko porzucić. *Stryja Brackena. Gang.*

I Morgeada. Zostawić Morgeada? Z jakiegoś powodu ścisnęło ją w gardle.

I dokąd niby miałyby się udać? Czy istniało miejsce dla takich dziwadeł: pół ludzi, pół wampirów?

Na pewno nie w świecie nocy. To jedno było pewne. Istoty nocy zabiłyby takie stworzenie. Skinhead znowu wydał z siebie jakiś dźwięk. Zaskomlał. Jez zamrugła i spojrzała na niego. Nagle odechciało jej się zabijania. Więcej: powoli ogarniało ją przerażenie. Zaczęła liczyć, zastanawiając się, ilu ludzi przez nią zginęło. Coś sprawiło, że kolana się pod nią ugięły. Coś przygniotło jej pierś i miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

- **Wynoś się stąd** - szepnęła do chłopaka.

Zamknął oczy. Kiedy się odezwał, to był raczej jęk niż słowa.

- **Będziesz mnie gonić.**

- **Nie.**

Ale rozumiała jego strach. Była łowczynią. Ścigała takich jak on.

Zadrzała gwałtownie i zamknęła oczy. Jakby nagle zobaczyła się w lustrze i nie mogła znieść tego widoku. To nie była dumna, groźna i piękna Jez. To była Jez Morderczyni.

Muszę powstrzymać pozostałych.

Wysłała myśl do wszystkich z gangu. To był krzyk.

Mówi Jez! Wszyscy do mnie, natychmiast! Nieważne, co robicie, rzućcie to i chodźcie, szybko!

Wiedziała, że posłuchają - w końcu to był jej gang. Ale nikt poza Morgeadem nie miał dość siły, żeby jej odpowiedzieć.

Co się stało? Zapytał.

Jez stała w bezruchu. Nie mogła mu powiedzieć prawdy. Morgead nienawidził ludzi. Gdyby się dowiedział, co podejrzewa... Zmiażdżyłby ją spojrzeniem...

Nie wspominając już o tym, że bez wątpienia by ją zabił.

Później wyjaśnię. Odpowiedziała w myślach, odrętwiała. *Właśnie się dowiedziałam... że nie możemy tu bezpiecznie żerować.*

A potem przerwała połączenie. Bała się, że Morgead wyczuje, co się w niej dzieje.

Stała ze skrzyżowanymi rękami i patrzyła w las. Potem zerknęła na skinheada, który nadal kulił się w paprociach.

Musiała zrobić jeszcze jedną rzecz. Wyciągnęła rękę i dotknęła go palcem. Raz. W czoło. Delikatnie, precyzyjnie.

- **Niczego nie będziesz pamiętać. A teraz idź.**

Poczuła, jak wypływająca z niej moc spowija mózg chłopaka i przeobraża jego myśli. Jez była w tym naprawdę świetna.

Spojrzenie skinheada stało się puste. Nawet nie zareagowała, gdy zaczął się czołgać.

Myślała tylko o tym, żeby wrócić do stryja Brackena. On odpowie na jej pytania. Wszystko wyjaśni. Rozwieje jej wątpliwości i podejrzenia.

Sprawi, że znowu wszystko będzie dobrze.

Rozdział 3

Jez wpadła do domu i natychmiast skrzyżowała do małej biblioteki przy głównym korytarzu. Stryj siedział za biurkiem otoczony przez regały z książkami. Spojrzał na nią zaskoczony.

- **Stryjku Brackenie, kim była moja matka? Jak zginęli moi rodzice?** - wyrzuciła z siebie jednym tchem. Chciała dodać: Powiedz prawdę, ale zamiast tego prosiła gorączkowo. - **Powiedz, że to nieprawda. Przecież to niemożliwe... Tak się boję.**

Stryj patrzył na nią przez chwilę. Na jego twarzy malowały się rozpacz i wstrząs. Pochylił głowę i zamknął oczy.

- **Ale jak to możliwe?** - szepnęła Jez. - **Skąd się wzięłam?** Minęło kilka godzin. Na zewnątrz wstawał świt. Siedziała a podłodze obok regału z książkami i gapiała się w pustą przestrzeń.

-**Pytasz, jak to możliwe, że istnieje mieszaniec wampira człowiekiem? Nie wiem. Twoi rodzice też tego nie wiedzieli. Nie spodziewali się, że będą mieli dziecko.** - Stryj Bracken przeczesał dłońmi włosy, spuścił głowę.

- **Nawet nie zdawali sobie sprawy, że możesz żyć jak wampir. Twój ojciec przyniósł cię do mnie, bo umierał, a ja byłem jedyną osobą, której mógł zaufać. Wiedział, że nie wydam cię Starszym ze świata nocy.**

- **Może powinienś być** - szepnęła Jez.

Stryj Bracken mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

- **Żyłaś więc bez krwi. Wyglądałaś jak ludzkie dziecko. Nie wiem, dlaczego postanowiłem sprawdzić, czy nauczysz się żerować. Przyniosłem królika, nadgryzłem go i dałem ci powąchać krew.** - Zaśmiał się krótko na to wspomnienie. - **Twoje małe ząbki od razu się wyostrzyły i wiedziałaś, co robić. I wtedy zrozumiałem, że do nas należysz.**

- **A jednak nie.** - Jez usłyszała własne słowa z daleka, jakby wypowiedział je ktoś inny. -

Nie jestem nawet stworzeniem nocy. Jestem robactwem.

Stryj Bracken odsunął ręce od włosów i spojrzał na nią. Jego oczy, zwykle srebrno niebieskie jak u Jez, teraz płonęły czystym, srebrnym płomieniem.

- **Twoja matka była dobrą kobietą - rzucił ostro. - Twój ojciec poświęcił wszystko, żeby z nią być. Nie była robactwem.**

Jez odwróciła wzrok. Była odrętwiała. Nie czuła nic poza bezgraniczną pustką.

Już nigdy więcej nie chciała czuć. Wszystko, co ją spotkało w życiu, wszystko, co pamiętała, było kłamstwem.

Nie była łowcą, drapieżcą, który wypełniał swoją rolę, ścigając zwierzynę. Była morderczynią. Była potworem.

- **Nie mogę tu dłużej zostać** - powiedziała. Stryj Bracken się skrzywił.

- **Dokąd pójdziesz?**

- **Nie wiem.**

Westchnął i w końcu się odezwał.

- **Mam pewien pomysł.**

Rozdział 4

Zasada numer jeden, kiedy mieszkasz z ludźmi: zmyj krew zanim wejdziesz do domu.

Jez stała przy kranie koło budynku i splukiwała dłonie lodowatą wodą. Wyczyściła ostrożnie długi wąski sztylet z kawałka bambusa ostrego jak szkło. A następnie wsunęła go do prawego buta, wysokiego do kolana. Potem zmoczyła plamy na koszulce i džinsach i potarła je paznokciem. Na koniec wyciągnęła kieszonkowe lusterko i przyjrzała się krytycznie swojej twarzy.

Dziewczyna w odbiciu nie przypominała dzikiej, roześmianej łowczyni, która kiedyś skakała z drzewa na drzewo w Muir Woods. Cóż, te same rysy, wysokie kości policzkowe, pięknie zarysowany podbródek. Nadal miała burzę rudych włosów, które wiązała, próbując nad nimi zapanować. Za to na twarzy pojawił się smutek, mądrość, o jakie wcześniej się nie podejrzewała. Zmieniły się również oczy.

Nie były już tak srebrzyste jak kiedyś i tak niebezpiecznie piękne. Ale musiała się z tym pogodzić. Odkryła, że nie potrzebuje krwi, dopóki nie korzysta z mocy wampira. Ludzkie jedzenie pozwalało jej przeżyć. I sprawiało, że przypomina bardziej człowieka.

I jeszcze coś, teraz w jej oczach można było dostrzec bezbronność. Niezależnie od tego, jak bardzo starała się to ukryć, nadal miała spojrzenie łani, która godzi się na nadchodzącą Śmierć. Czasem zastanawiała się, czy to znak.

Cóż. Nie miała krwi na twarzy. Schowała lusterko do kieszeni. Wyglądała przyzwoicie. Za to potwornie spóźniła się na kolację. Zakręciła wodę i podeszła do tylnych drzwi niskiego, rozległego domu na ranczu. Wszyscy podnieśli głowy, gdy weszła.

Rodzina siedziała w kuchni przy dębowym stole z białymi wykończeniami i jadła. Z góry padało jasne jarzeniowe światło. Telewizor wesoło huczał w salonie. Wujek Jim, brat jej matki, zajadał taco i przeglądał pocztę. Jego rude włosy były ciemniejsze niż u Jez, a pociągła twarz przypominała oblicze jej matki. Zwykle odpływał gdzieś myślami, martwił się. Teraz machnął na Jez kopertą i spojrzał na nią z wyrzutem, ale nic nie powiedział, bo miał pełne usta.

Ciotka Nanami rozmawiała przez telefon, popijając dietetyczną colę. Była drobną kobietą o ciemnych lśniących włosach i oczach, które zmieniały się w szparki, kiedy się uśmiechała. Otworzyła usta i zmarszczyła brwi na widok Jez, ale też milczała.

Ricky miał dziesięć lat, włosy w kolorze marchewki i bardzo wymowne brwi. Uśmiechnął się do kuzynki, pokazując przeżute taco i zawołał:

- **Cześć!**

Jez odpowiedziała uśmiechem. Niezależnie od wszystkiego, zawsze mogła na niego liczyć. Claire, rówieśnica Jez, siedziała grzecznie i zjadała kolację. Wyglądała jak mniejsza kopia ciotki. Miała kwaśną minę.

- **Gdzie byłeś?** - zapytała. - **Czekaliśmy na ciebie prawie godzinę, a ty nawet nie zadzwoniłeś.**

- **Przepraszam** - sapnęła Jez.

To była tak typowa scena z życia rodzinnego, że Jez aż zamarła z wrażenia.

Minął rok, odkąd odeszła ze świata nocy i odnalazła krewnych matki. Minęło jedenaście i pół miesiąca, odkąd wuj Jim przyjął ją do siebie. Nie wiedział nic na jej temat poza tym, że była jego osieroconą siostrzenicą oraz że rodzina ze strony ojca nie radziła sobie z nią i w końcu się poddała. Przez wszystkie te miesiące mieszkała z Goddardami, ale nadal tu nie pasowała. Wyglądała jak człowiek, potrafiła zachowywać się jak człowiek, ale nie umiała być człowiekiem.

Kiedy wuj Jim przełknął i wreszcie się odezwał, ubiegła go:

- **Nie jestem głodna. Chyba pójdę odrobić lekcje.**

- **Chwileczkę** - zawołał za nią, ale to Claire rzuciła serwetką i ruszyła korytarzem za Jez na drugi koniec domu.

- **Twoje przepraszam nic nie znaczy! Robisz to każdego dnia. Wiecznie znikasz. Często wracasz dopiero po północy i nawet nie potrafisz się wytłumaczyć,**

- **Tak, wiem** - odpowiedziała Jez, nie oglądając się za siebie. - **Bardziej się postaram.**

- **Mówisz tak za każdym razem. I za każdym razem historia się powtarza. Nie rozumiesz, że rodzice martwią się o ciebie? Nie obchodzi cię to?**

- **Obchodzi, Claire.**

- **A zachowujesz się tak, jakbyś miała to gdzieś. Jakby reguły w tym domu ciebie nie dotyczyły. Mówisz, że ci przykro, a potem znowu to robisz.**

Jez powstrzymywała się ze wszystkich sił, żeby się nie odwrócić i nie warknąć na kuzynkę. Lubiła tę rodzinę, tylko Claire ciągle się jej czepiała.

Niestety, miała rację. Jez znowu nawali i w żaden sposób nie będzie umiała się z tego wytłumaczyć. Kłopot w tym, że łowcy wampirów działają w dziwnych godzinach.

Kiedy tropisz morderczy duet - wampira i zmiennokształtnego - jak to robiła Jez tego wieczoru, ściągając ich po slumsach Oakland i próbując przyprzeć do muru w jakiejś melinie, to nie myślisz o kolacji. Nie przerwiesz wbijania kołka w połowie, żeby zadzwonić do domu.

Może nie powinnam była zostawać łowczynią wampirów, pomyślała Jez. Ale teraz było już za późno na zmiany. Poza tym ktoś musi chronić tych głupich... Tych niewinnych ludzi przed światem nocy.

Cóż.

Doszła do drzwi swojego pokoju. Zamiast wrzasnąć na kuzynkę, po prostu odwróciła się i powiedziała:

- **A może zajmiesz się swoją stroną internetową?**

Otworzyła drzwi i zerknęła do środka. Zamarła.

Jej pokój, który zostawiła w doskonałym, wojskowym porządku, wyglądał jak pobojuwisko. Okno było otwarte na oścież. Papiery i ubrania walały się po podłodze. A u stóp jej łóżka stał ogromny ghul.

Groźnie otworzył usta, patrząc na Jez.

- **Bardzo śmieszne** - odpowiedziała Claire, stojąc tuż za nią. - **Może powinnam pomóc ci w lekcjach. Słyszałam, że nie radzisz sobie z chemią..**

Jez błyskawicznie weszła do pokoju i zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem Claire. Wcisnęła guzik w klamce, blokując zamek.

- **Ej!** - Claire krzyknęła, teraz naprawdę wściekła. - **To było chamskie!**

- **Przepraszam!**

Jez spojrzała na ghul. *Co on tu robi?!* Jeśli śledził ją w drodze do domu, to miała poważne kłopoty. To oznaczało tylko jedno, świat nocy wie, gdzie ona mieszka.

- **Wiesz, Claire, chyba naprawdę potrzebuję chwili dla siebie... Nie mogę rozmawiać i jednocześnie się uczyć.**

Zrobiła krok w stronę stwora, obserwując jego reakcje.

Ghule były półwampirami. Tyle zostawało z człowieka, którego wykrwawiono na śmierć i który nie dostał dostatecznie dużo wampirzej krwi, toteż nie mógł się zmienić w prawdziwego wampira. Był nieumarłym, alegnił. Miał bardzo niewiele rozumu i tylko jedną myśl: pić krew, pożerając przy tym ciało ofiary. Taki nieumarły najbardziej lubił serce.

Ten ghul nie żył dopiero od dwóch tygodni. Był mężczyzną i sądząc po wyglądzie kulturystą, chociaż teraz nie tyle mięśnie rzucały się w oczy, co ciało wzdęte od gazów. Ulegało powolnemu rozkładowi. Oczy wychodziły mu z orbit, język nie mieścił się w ustach, policzki miał nadęte, a z nosa ciekła krew.

I oczywiście nie pachniał za ładnie.

Kiedy Jez podeszła bliżej, nagle zdała sobie sprawę, że ghul nie jest sam. Na dywanie leżał chłopak, najwyraźniej nieprzytomny. Miał jasne włosy i pogniecione ubranie, ale Jez nie widziała jego twarzy. Ghul pochylił się nad biedakiem i wyciągnął ku niemu nabrzmiałe palce.

- **Nawet o tym nie myśl** - mruknęła do niego Jez. Uśmiechnęła się złowrogo. Wyciągnęła z prawego buta sztylet.

- **Co powiedziałaś?!** - krzyknęła zza drzwi Claire.

- **Nic. Właśnie się biorę do pracy domowej.**

Jez wskoczyła na łóżko. Ghul był bardzo duży - musiała stanąć jak najwyżej.

Odwrócił się do niej, a jego martwe oczy skupiły się na sztylcie. Syknął cicho mimo opuchniętego języka. Na szczęście tylko takie odgłosy mógł wydawać.

Claire szarpała klamkę.

- **Zamknęłaś się?! Co ty tam robisz?**

- **Po prostu się uczę. Idź sobie.**

Jez kopnęła przeciwnika w szyję. Musiała go ogłuszyć i szybko przebić kołkiem. Ghule nie były sprytne, ale jak króliczki Energizera nigdy nie traciły siły. Ten jeden mógłby pożreć całą rodzinę Goddardów, a o świecie znowu byłby głodny.

Mężczyzna uderzył o przeciwległą ścianę. Jez zeskoczyła na podłogę, odgradzając stwora od chłopaka.

- **Co to za hałas?!** - wrzasnęła Claire.

- **Upuściłam książkę.**

Ghul się zamachnął. Jez uskoczyła. Na rękach miał ogromne rdzawe pęcherze.

Rzucił się na nią, próbując zepchnąć ją na komodę. Jez skoczyła do tyłu, ale nie miała swobody ruchu. Ghul trafił ją łokciem w żołądek - ostry cios.

Jez nie pozwoliła sobie na słabość. Odwróciła się i pocięła maskarę, a następnie pchnęła ją nogą. Potwór walnął twarzą w parapet.

- **Co tam się dzieje?!**

- **Po prostu czegoś szukam.**

Skoczyła, zanim przeciwnik doszedł do siebie. Usiadła okrakiem na jego nogach. Złapała go za włosy, ale to był kiepski pomysł. Cała garść kłaków została jej w ręku. Unieruchomiła ghula i z całej siły zamachnęła się bambusowym nożem, wbijając go w stęchłe ciało.

Rozległ się chrzęst i rozszedł się potworny smród. Nóż tkwił tuż pod łopatką. Piętnastocentymetrowe ostrze weszło prosto w serce.

Stwór szarpnął się konwulsyjnie i znieruchomiał.

Z korytarza rozległ się świdrujący krzyk Claire:

- **Mamo! Ona z kimś tam jest!**

Zaraz potem odezwała się ciocia Nan:

- **Nic ci nie jest?**

Jez wstała, wyciągając bambusowy sztylet. Otarła ostrze o koszulę ghula.

- **Po prostu nie mogłam znaleźć linijki...**

Ghul leżał w idealnym miejscu. Objęła go w pasie, ignorując łuszczącą się skórę, dźwignęła ciało na siedzisko na parapecie. Niewiele zwykłych dziewcząt podniosłoby niemal stukilowego trupa i nawet Jez trochę się zadyszała. Przeturlała go do otwartego okna i wypchnęła na zewnątrz. Ghul gruchnął ciężko na rabatę z niecierpkami, łamiąc kwiaty.

Świetnie. W nocy pozbędzie się ciała.

Odzyskała oddech, otrzepała ręce i zamknęła okno. Zaciągnęła zasłony i odwróciła się. Jasnowłosy chłopak leżał nieruchomo. Dotknęła delikatnie jego pleców i zauważyła, że oddycha.

Drzwi zatrzęsły się, a w głosie Claire pobrzmiwała histeria:

- **Mamo, czujesz ten smród?!**

- **Jez!** - zawołała ciocia Nan.

- **Już otwieram!**

Rozejrzała się po pokoju. Potrzebowała czegoś... jest.

Złapała pościel u wezłowia łóżka, szarpnęła za kołdrę i rzuciła ją na chłopaka. Na wierzchu rozrzuciła kilka poduszek, a potem złapała linijkę z biurka. Otworzyła drzwi, opierając się jakby nigdy nic o framugę i uśmiechnęła się promiennie.

- **Przepraszam za to zamieszanie - powiedziała. - W czym mogę pomóc?**

Claire i ciocia Nan spojrzały na nią.

Kuzynka wyglądała jak rozczochrany wściekły kotek. Piękne ciemne włosy, które okalały jej twarz, były zmierzwiłone; ciężko dyszała, a jej oczy w kształcie migdałów płonęły ze złości.

Ciocia robiła wrażenie zaniepokojonej i przestraszonej.

- **Nic ci nie jest?** - zapytała, pochylając się lekko i próbując spojrzeć do pokoju. - **Słyszeliśmy straszne hałasy.**

Dobrze, że na dole huczał telewizor, bo usłyszałyby więcej, pomyślała Jez.

- **Nic mi nie jest. Czuję się świetnie. Wiecie, jak to jest, jak człowiek nie może czegoś znaleźć.** - Jez machnęła linijką. Odsunęła się i otworzyła szerzej drzwi.

Ciocia Nan wytrzeszczyła oczy, widząc bałagan.

- **Szukałaś linijki? To wygląda jak pokój... Claire!**

Kuzynka prawie się zadławiła z oburzenia.

- **Nieprawda. Mój pokój nigdy tak nie wyglądał. I co to za smród?!**

Przecisnęła się obok ciotki i podeszła do Jez, która starała się odgrodzić kuzynkę od łóżka. Claire zamarła w pół kroku, krzywiąc się. Zakryła ręką nos i usta.

- To ty! - warknęła. - Ty tak śmierdzisz.

- Przepraszam.

To była prawda. Przez szarpaninę z ghulem i brudny nóż w bucie rzeczywiście nie pachniała najpiękniej.

- Chyba musiałam w coś wdepnąć po drodze do domu.

- Niczego nie czułam, gdy weszłaś do domu - rzuciła podejrzliwie Claire.

- A to kolejna rzecz - wtrąciła się ciocia Nan. Rozglądała się po pokoju, ale poza niezwykłym bałaganem nie było tam niczego podejrzanego. Zastony wisiały spokojnie, stos pościeli na podłodze leżał nieruchomo. Ciotka spojrzała Jez prosto w oczy.

- Znowu nie dałaś znać, że spóźnisz się na kolację. Muszę wiedzieć, jeśli chcesz wrócić późno. Tego wymaga zwykła grzeczność.

- Wiem. Następnym razem będę pamiętać. Naprawdę - obiecała Jez.

Musiała pozbyć się tych ludzi i sprawdzić, co z chłopcem. Mógł być poważnie ranny. Ciocia Nan pokiwała głową.

- Lepiej, żebyś pamiętała. I zacznij od prysznic. Wrzuć ubrania do pralni, włożę je do pralki.

Chciała pocałować Jez w policzek, ale zatrzymała się, marszcząc nos i tylko skinęła głową.

- To wszystko? - Claire spojrzała na matkę z niedowierzaniem. - Ona coś kombinuje, nie widzisz? Wraca późno, śmierdzi jak martwy skunks, szambo i nie wiem co jeszcze, a potem zamyka się, rzuca po pokoju i kłamie, a ty tylko mówisz: „nie rób tego więcej”? Jej wszystko uchodzi na sucho...

- Claire, skończ już. Przeprasiła. Na pewno więcej tego nie zrobi.

- Gdybym ja zrobiła coś takiego, żywcem obdarłabyś mnie ze skóry, ale gdy chodzi o nią, to wszystko jest w porządku. Do-bra, powiem ci coś innego. Urwała się dziś ze szkoły. Wyszła przed szóstą lekcją.

- To prawda? - zapytał nowy głos.

Wujek Jim stał w drzwiach, skubiąc brodę smukłymi palcami. Był smutny.

To była prawda. Jez wyszła wcześniej, żeby zastawić pułapkę na wampira i zmiennokształtnego. Spojrzała na wuja i z żalem skinęła głową.

- Nie możesz tak robić. Staram się być rozsądny, ale to dopiero drugi tydzień szkoły. Nie wolno ci uciekać z lekcji. Nie Chcę, żeby było jak w zeszłym roku. - Zastanowił się. - Od dzisiaj zostawiasz motocykl w domu. Będziesz jeździła do szkoły I wracała do domu razem z Claire, jej audi.

Jez pokiwała głową.

- Dobrze, wujku - odpowiedziała.

A teraz już idźcie, dodała w myślach. Niepokój ścisnął jej żołądek.

- Dziękuję. - Wuj uśmiechnął się do niej.

- Widzisz? - wtrąciła się Claire. - O tym właśnie mówię! Ty też nigdy na nią nie krzyczysz! To dlatego, że boicie się, iż zwieje, tak jak uciekła od krewnych ojca.

Wszyscy obchodzą się z nią jak z jajkiem, bo w przeciwnym wypadku...

- Dobrze, dość tego. Nie będę więcej tego słuchać. - Ciocia Nan machnęła na Claire, odwróciła się i popędziła wujka Jima, bo zagrażał jej drogę. - Posprzątam ze stołu. Jak chcecie się kłócić, to róbcie to po cichu.

- Nie, lepiej jak zajmą się lekcjami - odparł wuj, przesuwając się powoli. - **Marsz do lekcji, w porządku?**

Spojrzał smutno na Jez.

- **A jutro wróć do domu na czas.**

Jez pokiwała głową. Wujostwo wyszli, ale Claire nadal tkwiła w miejscu. Jez nie była pewna, ale miała wrażenie, że kuzynku ma łzy w oczach.

Serce jej się ścisnęło. Oczywiście Claire miała absolutną rację - jej rodzice stosowali wobec Jez ulgową taryfę. I oczywiście to nie było w porządku wobec córki.

Powinam coś powiedzieć. Biedactwo. Naprawdę potwornie się czuje...

Ale zanim zdążyła otworzyć usta, Claire odwróciła się do niej. Oczy, w których chwilę temu błyszczały łzy, teraz były lodowate.

- **Tylko czekaj - pogroziła. - Oni cię nie rozgryźli, ale ja tak. Coś kombinujesz, do-wiem się co. I nie myśl sobie, że nie dam rady!**

Odwróciła się i wyszła.

Jez stała oniemiała, a potem zamrugła i zamknęła drzwi. Zatrzasnęła je na zamek i po raz pierwszy, odkąd zobaczyła ghulę, pozwoliła sobie na głębszy wdech.

Niewiele brakowało. A Claire mówiła poważnie, co oznaczało kłopoty. Ale Jez nie miała te-raz czasu na myślenie o tym.

Włączyła radio na szafce nocnej i nastawiła stację rockową. Głośną. Potem odrzuciła pościel i przykleknęła.

Chłopak leżał twarzą do podłogi z jedną ręką na głowie. Jez nie widziała krwi. Złapała go za ramię i ostrożnie obróciła.

Wstrzymała oddech.

- Hugh.

Rozdział 5

Przydługie włosy chłopaka opadały na czoło. Miał ładną, poważną twarz, a dołeczek w brodzie nadawał jej szelmowskiego wyrazu. Hugh był dobrze zbudowany, ale niezbyt wysoki; Jez wiedziała, że nie jest wyższy od niej. Na czole miał wielkiego guza.

Jez zerwała się i wzięła plastikowy niebieski kubek z wodą, z nocnej szafki. Podniosła czysty T-shirt z podłogi i zwilżyła go i potem delikatnie odgarnęła włosy z czoła chłopaka.

Były jedwabiste w dotyku. Bardziej miękkie niż się spodziewała. Jez zachowała beznamiętny wyraz twarzy i zaczęła obmywać mu policzki mokrą koszulką.

Nie poruszył się. Serce Jez, które i tak już mocno waliło, jeszcze przyspieszyło. Wzięła głęboki wdech i dalej wycierała mu twarz.

Wreszcie - chociaż pewnie nie miało to nic wspólnego z wodą - jego rzęsy zdrząły. Odkaszał, zamrugał i spojrzał na Jez.

Odetchnęła z ulgą.

- **Nie próbuj na razie siadać.**

- **Zawsze tak mówią** - przytaknął jej i usiadł. Przyłożył dłoń do głowy i jęknął. Jez go przytrzymała.

- **Nic mi nie jest** - uspokoił ją. - **Tylko niech pokój przestanie się kręcić.**

Rozejrzał się wokół, mrugając, i nagle jakby przejrzał na oczy. Złapał ją za rękę.

- Coś za mną szło...

- Ghul. Nie żyje.

Odetchnął. I uśmiechnął się cierpko.

- uratowałaś mi życie.

- I nawet nie pobieram za to opłaty - odpowiedziała zakłopotana Jez.

- Nie, mówię serio. - Uśmiech zgasł i chłopak spojrzał jej w twarz. - Dziękuję.

Jez czuła, że zaraz się zaczerwieni. Oczy miał szare i tak niesamowicie... niezgłębione. Skóra ją mrowiła. Odwróciła wzrok i odpowiedziała spokojnie:

- Powinniśmy pojechać do szpitala. Możesz mieć wstrząs mózgu.

- Nie. Nic mi nie jest. Tylko sprawdzę, czy wstanę.

Kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, dodał:

- Jez, nie wiesz, dlaczego tu jestem. To nie może czekać.

Miał rację. Tak bardzo chciała, żeby odzyskał przytomność, że nawet nie zastanowiła się, co Hugh tu robi. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem pokiwała głową. Pomogła mu wstać i puściła jego rękę, kiedy zobaczyła, że stoi i się nie przewraca.

- Widzisz, nic mi nie jest.

Postawił kilka kroków, potem zrobił nawet kółeczko wokół pokoju, rozluźniając mięśnie. Jez uważnie go obserwowała, gotowa w każdej chwili złapać kolegę. Ale on chodził pewnie, tylko odrobinę utykał. A Jez wiedziała, że to nie z powodu dzisiejszego spotkania z ghulem. Kułał od małego, odkąd wilkołaki zaatakowały jego rodzinę.

Jez nie pojmowała, jak zdołał to przeboleć i przyłączyć się do Kręgu Świtu.

Stracił rodziców niemal tak wcześnie jak ona. Stracił też dwie siostry i brata. Cała jego rodzina obozowała nad jeziorem Tahoe, kiedy w środku nocy zaatakowało ich stado wilkołaków.

Renegaci, którzy polowali nielegalnie, bo prawo świata nocy nie pozwalało im zabijać tak często, jakby tego chcieli.

Zupełnie jak stary gang Jez.

Wilkołaki przedarły się przez namioty. I raz, dwa, pozabijały ludzi. Od tak, bez trudu. Zostały przy życiu tylko siedmioletniego Hugh, bo był za mały i nie miał dość mięsa na kościach. Wilkołaki usiłowały właśnie zjeść serca i wątroby ofiar, kiedy nagle ten słaby dzieciak ruszył na nie z pochodnią. Zrobił ją z bielizny namoczonej w benzynie i zawiniętej na patyku. Wymachiwał też srebrnym krzyżykiem na łańcuszku, który drapiezniki zdarli z szyi jego siostry w czasie szamotaniny.

Wilkołaki nie lubią dwóch rzeczy: srebra i ognia. Chłopczyk jp zautakował, więc postanowiły go zabić. Powoli.

Prawie im się udało. Niemalże odgryzły mu jedną nogę, zanim zjawił się strażnik, który dostrzegł ogień.

Mężczyzna miał broń, a pożar zaczynał się wymykać spod kontroli, więc wilkołaki uciekły.

Hugh prawie wykrwawił się na śmierć w drodze do szpitala.

Ale to był twardy dzieciak. I bardzo mądry. Nawet nie próbował nikomu wyjaśniać, co robił ze srebrnym łańcuszkiem. Wiedział, że i tak nikt by mu nie uwierzył. Nie mógł przecież powiedzieć, że już kiedyś widział, jak zabito wilkołaka, i że to było w poprzednim życiu.

Hugh Davis był Starą Duszą.

Przebudzoną Starą Duszą, co zdarzało się jeszcze rzadziej. To trochę przerażało Jez. Był człowiekiem, a ona pochodziła ze świata nocy, ale nawet nie udawała, że pojmuje magię, która sprowadzała pewne osoby z powrotem na ziemię. Pozwalając Im pamiętać poprzednie życia, czyniąc ich mądrzejszymi z każdym kolejnym wcieleniem.

I jak widać po Hugh coraz łagodniejszymi. Mimo ataku na jego rodzinę, po wyjściu ze szpitala odszukał istoty nocy. Wiedział, że nie wszystkie są złe. Wiedział, że niektóre mu pomogą powstrzymać wilkołaki.

Na szczęście pierwsi, jakich znalazł, należeli do Kręgu Świtu.

Kręgi zazwyczaj zrzeszały czarownice, ale do tego należeli ludzie, wampiry, zmiennokształtni i wilkołaki. To było podziemne stowarzyszenie. Członkowie tej organizacji łamali jedną z najbardziej podstawowych praw obowiązujących w świecie nocy: stworzenia nocy nie mogą zakochać się w ludziach. Krąg Świtu chciał, żeby wszystkich zjednoczyć, skończyć z zabijaniem i zaprowadzić pokój między rasami.

Jez życzyła im powodzenia.

Nagle zdała sobie sprawę, że Hugh na nią patrzy. Zamrugła, wściekła, że zapomniała o koncentracji. Łowca - wampirów czy innych stworzeń - przez cały czas musi zachowywać czujność, bo inaczej zginie.

- **Odpułytaś myślami gdzieś bardzo daleko** - cicho powiedział Hugh.

Jego szare oczy sądowały ją uważnie. *Tak patrzy Stara Dusza*, pomyślała Jez.

- **Przepraszam. Ehm, chcesz lód na tego guza?**

- **Nie, tak mi się podoba. Zastanawiam się, czy nie zafundować sobie drugiego.** -

Usiadł na łóżku i znowu spoważniał. - **A tak serio, muszę ci coś wyjaśnić i to chwilę potrwa.**

Jez nie usiadła.

- **Hugh, myślę, że lód dobrze ci zrobi. A ja muszę wziąć prysznic, bo inaczej moja ciotka nabierze podejrzeń i zacznie się zastanawiać, co tu tak długo robię. Poza tym ten smród doprowadza mnie do szaleństwa.**

Chociaż nie mogła korzystać z wampirzych mocy, nie budząc w sobie żądzy krwi, zmysły nadal miała wyczulone.

- **Eau de Ghul? Już zaczynała mi się podobać.**

Hugh skinął do niej i szybko spoważniał.

Rób co trzeba, żeby zachować pozory. Nie powinienem być taki niecierpliwy.

Jez wzięła szybki prysznic i przebrała się w czyste rzeczy. Kiedy wróciła ze szklanką lodu z kuchni i ze ścierką, zobaczyła, że drzwi do pokoju Claire są uchylone, a ona sama obserwuje ją uważnie.

Jez uniosła szklankę w kpiącym geście toastu i weszła do swojego pokoju.

- **Masz.** - Zrobiła okład i podała go Hugh. Wziął go posłusznie. - **No dobrze, dlaczego to takie pilne? Dlaczego nagle stałeś się taki popularny wśród ghuli?**

Zamiast odpowiedzieć, Hugh zapatrzył się w przestrzeń, zbierał siły, żeby zacząć mówić.

Wreszcie odłożył okład i spojrział Jez prosto w oczy.

- **Wiesz, że mi na tobie zależy. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało. I do tego z mojego powodu...** - Pokręcił głową.

Jez próbowała uspokoić serce, które zaczęło bić jak szalone. Odezwała się beznamiętnym tonem:

- **Dzięki.**

Ból przemknął przez jego twarz i natychmiast zniknął.

- **Uważasz, że żartuję.**

Jez nadal mówiła chłodno, krótko i zwięźle. Nie umiała rozmawiać o uczuciach.

- **Hugh, posłuchaj. Byłeś moim pierwszym ludzkim przyjacielem. Kiedy tu zamieszkałam, nikt z Kręgu Świtu nie chciał mieć ze mną do czynienia. Nie winię ich, nie**

po tym, co mój gang zrobił ludziom. Ale było ciężko, bo nawet się do mnie nie odzywali, nie mówiąc już o zaufaniu. Nic potrafili uwierzyć, że chcę im pomóc. A potem ty się pojawiłeś. I odezwałeś się do mnie...

- Zaufałem ci - powiedział Hugh. - Nadal ci ufam. - Znowu zapatrzył się w dal. - Pomyślałem, że jesteś najsmutniejszą osobą, jaką kiedykolwiek widziałem, najpiękniejszą i... najdzielniejszą. Wiedziałem, że nie zdradzisz Kręgu Świtu.

I dlatego cię kocham, pomyślała Jez, zanim zdążyła się powstrzymać.

Bo oczywiście to była beznadziejna sprawa. Nie można się spotykać ze Starą Duszą. Nikt nie może - no chyba że oboje są pokrewnymi duszami. Tacy ludzie byli za... starzy. Zbyt wiele wiedzieli, zbyt wiele przeżyli, żeby przywiązać się do jednej osoby. Nie wspominając już o istocie skażonej wampirzą krwią.

Więc Jez powiedziała tylko:

- Wiem. To dlatego współpracuję z Kręgiem Świtu. Bo przekonałeś ich, że nie jestem szpiegiem ze świata nocy. Mam u ciebie dług, Hugh. I wierzę, że zależy ci na mnie.

Bo zależy ci na wszystkich, dodała w myślach. Hugh pokiwał głową, ale nie wyglądał na szczęśliwego.

- Chodzi o coś niebezpiecznego. Nawet nie chcę cię prosić, żebyś się tym zajęła. Sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął gruby zwitek złożonych artykułów z różnych gazet. Podał go jej.

Jez wzięła kartki, zmarszczyła brwi i przejrzała pierwszych kilka stron. Nagłówki rzuciły się w oczy.

Czterolatek ginie zaatakowany przez kojoty. Rekordowe upały na Środkowym Zachodzie; setki osób hospitalizowano. Matka przyznaje się: zabiłam moje dzieci. Tajemniczy wirus we wschodnich Stanach - naukowcy nie wiedzą, co robić.

Było tego więcej, ale nie sprawdziła wszystkiego. Zerknęła na Hugh, ściągając brwi.

- Dzięki, że mi to pokazałeś. Mam walczyć z kojotami czy z wirusem?

Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały bezdennie i przerażająco smutne.

- Nikt nie może walczyć z tym, co się dzieje, a przynajmniej nie w zwykły sposób. To wszystko to dopiero początek.

- Czego?

Kochała Hugh, ale czasem miała ochotę go udusić. Stare Dusze uwielbiały być tajemnicze.

- Zwróciłaś ostatnio uwagę na pogodę? Albo są powodzie, albo susze. Rekordowe mrozy zimą, rekordowe upały latem. Rekordowa liczba huraganów i tornad. Rekordowe opady śniegu i gradu. Z każdym rokiem robi się coraz dziwniej.

- No... tak. - Jez wzruszyła ramionami. - Cały czas mówią o tym w telewizji. Ale to nie oznacza żadnych...

- Spokój ziemi też zakłócono. W zeszłym roku wybuchły cztery uspięne wulkany i było kilkanaście większych trzęsień ziemi.

Jez zmrużyła oczy.

- No dobrze...

- Jest jeszcze jedna dziwna rzecz, chociaż to nie takie oczywiste. Trzeba trochę pogrzebać, żeby dotrzeć do statystyk. Na całym świecie zwiększyła się częstotliwość ataków ze strony zwierząt. - Poklepał stos artykułów. - Kilka lat temu nie usły-

szałabyś, że kojoty zabiły dziecko. Tak jak nigdy nie słyszało się o pumach atakujących dorosłych. Ale teraz to się dzieje i to wszędzie.

Jez dostała gęziej skórki. Hugh mówił prawdę. Oczywiście kiedy była wampirem, nie zwracała specjalnej uwagi na te wszystkie doniesienia, ale rzeczywiście miało się wrażenie, że zwierzęta atakowały coraz częściej.

- W zeszłym roku stado słońi zdeptało swoich opiekunów - powiedziała powoli.

-Ataki psów wzrosły o czterysta procent - dodał Hugh. -Według kalifornijskiej policji. W Nowym Meksyku mają epidemię wściekłych nietoperzy. Na Florydzie od stycznia aż siedmiu turystów zginęło rozszarpanych przez aligatory, a wierz mi, niełatwo dotrzeć do takich informacji. Nikt nie chce się tym chwalić.

- Ja myślę.

- I jeszcze owady. Coraz częściej słyszy się o zabójczych pszczołach, mrówkach ognistych albo azjatyckich komarach nazywanych tygrysimi. Nie, wcale nie żartuję, one naprawdę istnieją i przenoszą gorączkę krwotoczną, naprawdę okropną chorobę.

- Hugh...

- A skoro mowa o chorobach. Musiałaś to zauważyć. Ebola. Choroba wściekłych krów. Te paciorkowce pożerające ciało. Wirusy Hanta. Gorączka Lassa. Gorączka krwotoczna krymsko-kongijska, podczas której dochodzi do ciężkich krwotoków z nosa i przekrwienia spojówek...

Jez już otworzyła usta, żeby mu przerwać, ale on dalej mówił, buzia mu się nie zamykała, a oczy błyszczały jak w gorączce.

- I są odporne na antybiotyki, tak samo jak owady na pestycydy. I wszystkie mutują. Zmieniają się. Stają się coraz mocniejsze bardziej śmiercionośne i...

- Hugh - udało jej się wtrącić, kiedy zaczerpnął tchu.

- I jeszcze ta dziura ozonowa. - Spojrzał na nią. - Co?

- Co to wszystko znaczy?

- To znaczy, że sprawy się zmieniają. Wymykają się spod kontroli. Wszystko zmierza w kierunku... - urwał i znowu wbił w nią wzrok. - Jez, to nie te zdarzenia stanowią problem, tylko coś, co stoi za nimi.

- A co za nimi stoi?

- Stare siły powstają - odpowiedział po prostu. Dreszcz przebiegł Jez po plecach. Stare siły. Starodawna magia, która panowała nad wszechświatem w dawnych czasach. Nikt nie widział ani nie znał starych sił. To były prastare siły natury. Spały jak olbrzymie smoki od tysięcy lat, odkąd ludzie przejęli panowanie nad światem. Jeśli obudzą się teraz... Jeśli magia powróci, wszystko się zmieni.

- Ona sprawia, że... - ciągnął Hugh - istoty nocy stają się silniejsze. Wiele z nich to zauważyło. I mówią, że znowu ożywa reguła pokrewnych dusz. Że każdemu przeznaczona jest prawdziwa miłość, która łączy dwie osoby na wieczność.

Jez wzruszyła ramionami, nie patrząc Hugh w oczy.

- Aha, słyszałam. Ale nie wierzę w to.

- Widziałem to - powiedział Hugh i na chwilę serce Jez zamarło. A potem znowu zaczęło bić, gdy kontynuował. - Znaczy widziałem to u innych. Spotkałem ludzi w naszym

wieku, którzy odnaleźli pokrewne dusze. To jest coś prawdziwego; to widać w ich oczach. Stare siły naprawdę powstają. Na dobre i na złe. Właśnie to stoi za tymi wszystkimi zmianami.

Jez milczała.

- A co się stanie, jeśli powstaną?

- Stanie się... - Hugh urwał i spojrzał na nią. - To oznacza, że nadchodzi czas ciemności.

- Czas...

- Prawdziwej ciemności. Najgorszej. Mówimy o końcu świata.

Jez włoski stanęły na karku. Gdyby powiedział to ktoś inny, pewnie by go wyśmiała. Ale to był Hugh i na pewno nie żartował.

- Ale w takim razie to koniec - powiedziała. - Nic nie możemy zrobić. Jak można powstrzymać koniec świata?

- Cóż. - Przechesał włosy dłonią, odgarniając je z czoła. - Dlatego tu jestem. Bo mam nadzieję, że ty zdołasz.

Rozdział 6

*J*a?

Hugh pokiwał głową.

- Mam zapobiec końcu świata? Jak?!

- Przede wszystkim powinienem ci powiedzieć, że nie tylko ja wierzę w sens końca tysiąclecia. Nie tylko Krąg Świtu, ale Rada Świata Nocy też.

- Czarownice i wampiry razem?

Hugh znowu pokiwał głową.

- Tego lata odbyła się wielka narada w tej sprawie. Wykopali jakieś stare przepowiednie na temat tego, co ma się wydarzyć.

- To znaczy?

Hugh się zająknął.

- Na przykład coś takiego. W oryginale to się chyba rymowało, ale mam tylko przekład. - Wziął wdech i powoli zacytował:

Błękitny ogień przegoni mrok.

Szkarłatna krew będzie ostateczną ceną.

Cudownie, pomyślała Jez. Czyja krew? Ale Hugh mówił dalej.

Czworo stanie pomiędzy światłem i mrokiem.

Czworo z błękitnego ognia, co mocą pulsuje.

Narodzonych w roku wizji ślepej Dziewicy.

Czworo bez jednego, a ciemność zatriumfuje.

Jez zamrugła powoli.

- Co to jest błękitny ogień?

- Nikt nie wie,

- Czwooro stanie pomiędzy światłem i mrokiem.. To znaczy powstrzymają koniec świata?

- Tak myśli Rada. Uważają, że oni już się narodzili, cztery Pierwotne Moce, które okażą się kluczowe w tym, co nadejdzie. Nie wiadomo jeszcze, czy to będzie bitwa, katastrofa, czy coś innego. Ta czwórka może powstrzymać koniec świata, ale pod warunkiem że będzie walczyć razem.

- Czwooro bez jednego, a ciemność zatriumfuje - powtórzyła Jez.

- Właśnie. I tu zaczyna się twoja rola.

- Przykro mi, ale raczej nie jestem jedną z nich. Hugh się uśmiechnął.

- Nie to miałem na myśli. Powiem więcej: ktoś już zgłosił odnalezienie Pierwotnej Mocy. Krąg Świtu przechwycił wiadomość wysłaną do Rady. Przekaze ją, jeśli dostanie coś w zamian. Rada musi przystać na jego warunki.

Jez poczuła, że robi jej się gorąco. Zapytała tylko:

- Kto to?

Hugh spojrział znacząco i z żalem.

- To ktoś z twojego starego gangu. Morgead Blackthorn.

Jez zamknęła oczy.

Tak, to było zagranie w stylu Morgeada - spróbować szantażować Radę Świata Nocy. Tylko on był na tyle szalony i odważny, żeby zrobić coś takiego. A do tego był uparty. Doprowadzi do katastrofy, jeżeli nie postawi na swoim. Ale ze wszystkich istot na świecie, dlaczego to musiał być właśnie on? Jak odnalazł Pierwotną Moc? Hugh szepnął:

- Teraz rozumiesz, dlaczego cię potrzebujemy. Ktoś musi do niego dotrzeć i dowiedzieć się, kim jest Pierwotna Moc. **A** tylko ty masz szansę tego dokonać.

Jez odgarnęła włosy z twarzy i odetchnęła powoli, próbując zebrać myśli.

- Nie muszę ci mówić, jakie to niebezpieczne - powiedział Hugh, znowu patrząc w dal

- Nie chcę cię o to prosić. Właściwie to od razu możesz się mnie pozbyć.

Jez nie potrafiłaby tego zrobić.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Rada nie chce się tym zająć. Potrzebuje Pierwotnej Mocy i dysponuje ogromnymi zasobami.

Hugh spojrział na nią zaskoczony. Jego szare oczy zrobiły wielkie i przybrały wyraz, jakiego Jez jeszcze nigdy nie widziała. Potem chłopak się uśmiechnął. Był to niewiarygodnie smutny uśmiech.

- Tego właśnie nie możemy zrobić. Masz rację, Rada chce odnaleźć Pierwotne Moce. Ale nie po to, żeby powstrzymać koniec świata. Jez... Oni chcą je zabić.

I wtedy Jez zrozumiała. Hugh odczuwał żal z powodu utraconej niewinności - jej niewinności. Nie mogła uwierzyć, jaka była głupia.

- Dobry Boże - mruknęła.

Hugh pokiwał głową.

- Chcą, żeby koniec nastąpił. Przynajmniej wampiry. Jeśli skończy się świat ludzi, będą mieć swoją szansę, nie? Przez tysiące lat istoty nocy musiały się kryć w mroku, podczas gdy człowiek zajął cały świat. Ale Rada chce to zmienić.

Rozum Jez pracował tak wolno, że nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek pragnął apokalipsy. Ale oczywiście to miało sens.

- Ryzykują, że sami zginą - szepnęła.

- Uznali, że cokolwiek nadejdzie, zagrozi ludziom, którzy niczego się nie spodziewają. Niektóre z istot nocy myślą, że to one nadejdą. Hunter Redfern mówi, że wampiry wyplenienia albo zniewolą ludzi i świat nocy odzyska władzę.

Jez znowu przebiegł dreszcz po plecach. Hunter Redfern. Jej przodek, który miał ponad pięćset lat, ale wyglądał na trzydziestolatka. Był zły i praktycznie rządził Radą.

- Pięknie - mruknęła. - Więc moja rodzina zamierza zniszczyć świat.

Hugh uśmiechnął się do niej blado.

- Hunter mówi, że stare siły powstają, żeby uczynić wampiry silniejszymi i żeby to one przejęły władzę. Najstraszniejsze jest to, że ma rację. Jak już mówiłem, istoty nocy stają się silniejsze, rozwijają nowe zdolności. Nikt nie wie dlaczego. Ale najwyraźniej większość wampirów w Radzie wierzy Hunterowi.

- Więc nie mamy za dużo czasu. Musimy dotrzeć do Pierwotnej Mocy, zanim Morgead dogada się ze światem nocy.

- Racja. Krąg Świtu przygotowuje bezpieczne miejsce dla całej czwórki. Rada wie, co robimy. To pewnie dlatego śledził mnie ghul. Obserwują nas. Przykro mi tylko, że doprowadziłem go tutaj - dodał z roztargnieniem i zmartwiony rozejrzał się po pokoju.

- To nieważne. Już niczego im nie powie.

- Nie. Dzięki tobie. Następnym razem spotkamy się gdzie indziej. Nie mogę narażać twojej rodziny.

Spojrzał na Jez.

- Jeżeli świat nocy zabije choćby jedną Pierwotną Moc... Cóż, jeśli wierzyć prorocztwu, będzie po wszystkim.

Jez już rozumiała. Nadal miała wiele pytań, ale wiedziała jedno.

- Zrobię to. Muszę.

- Jesteś pewna? - bardzo cicho zapytał Hugh.

- Ktoś musi. Masz rację, że tylko ja dam sobie radę z Morgnehedem.

Tak naprawdę to pomyślała, że nikt sobie z nim nie poradzi. Ona z pewnością miała większe szanse niż ktokolwiek z Kręgu Świtu. Oczywiście nie wyjdzie z tego żywa. Nawet jeśli uda jej się wykraść Pierwotną Moc, to Morgead będzie ją ścigał i zabije ją za to.

Ale to było nieistotne.

- On mnie nienawidzi, z wzajemnością, ale przynajmniej go znam - powiedziała na głos.

Zapadła cisza i zdała sobie sprawę, że Hugh dziwnie jej się przygląda.

- Myślisz, że cię nienawidzi?

- Oczywiście. Zawsze tylko się kłóciliśmy.

Hugh uśmiechnął się blado.

- Rozumiem.

Co to miało znaczyć?

- To znaczy... Nie sądzę, żeby cię nienawidził, Jez. Może żywi do ciebie silne uczucia, ale z tego co słyszałem, nie jest to nienawiść.

Jez pokręciła głową.

- Nie rozumiesz. Zawsze miał coś do mnie. A gdyby się dowiedział, że jestem w połowie człowiekiem... To byłby koniec. Nienawidzi ludzi bardziej niż wszystko inne. Ale myślę, że mogłabym go oszukać na tyle, żeby wykraść Pierwotną Moc. Hugh pokiwał głową, ale nie był uradowany. Oczywiście miał zmęczone, podkrążone.

- Jeśli tego dokonasz, uratujesz wiele istnień.

On też wie, pomyślała Jez. Wie, że zginę.

Była w tym pewna pociecha. - przejmował się nią, a jeszcze większa w tym, że nie rozumiał, dlaczego się zgodziła. Oczywiście chciała ocalić wiele istnień. Ale było coś jeszcze.

Rada zadarła z Hugh. Wysłali za nim śmierdzącego ghula. Jutro pewnie naślą coś innego - będą chcieli go zabić.

A za to była gotowa wytrzeć nimi podłogę. Hugh nie był wojownikiem. Nie mógł się bronić. Nie powinien być celem.

- To sprawa rodzinna - powiedziała mu. I to też była prawda. - Hunter jest moim prapraprapradziadkiem. To ja powinnam go powstrzymać. Jeśli coś mi się stanie... Cóż, jeden Redfern mniej to na pewno błogosławieństwo dla świata.

I to też była prawda. Wywodziła się z niebezpiecznej rodziny. Niezależnie od tego, co zrobiła, kogo ocaliła i jak bardzo się starała, wampirza krew zawsze będzie płynąć w jej żyłach. Już tylko żyjąc, stanowiła potencjalne niebezpieczeństwo dla ludzkości.

Ale Hugh był wstrząśnięty.

- Nigdy więcej tak nie mów.

Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem złapał ją za ramiona.

- Jez, jesteś jedną z najlepszych osób, jakie znam. To, co zrobiłaś wcześniej, jest...

- Częścią mnie. - Starła się nie zwracać uwagi na jego ciepły dotyk, chociaż dreszcz przebiegł przez jej ciało. - I nic tego nie zmieni. Wiem, czym jestem.

Hugh potrząsnął nią delikatnie.

- Jez...

- A teraz muszę się pozbyć tego ghula. Lepiej wracaj do domu.

Przez chwilę myślała, że potrząśnie nią jeszcze raz, ale ją puścił.

- Oficjalnie przyjmujesz to zadanie? - zapytał, jakby dawał jej ostatnią szansę na odmowę.

- Tak

Skinął głową. Nie zapytał, jak zamierza wrócić do gangu, który porzuciła, ani jak wyciągnie informacje od Morgeada, który jej nienawidził. Wiedziała dlaczego. Po prostu wierzył, że da sobie radę.

- Jak będziesz coś wiedziała, zadzwoń pod ten numer. - sięgnął do kieszeni i podał jej kawałek papieru podobnego do wizytówki. - Dam ci znać, gdzie się spotkamy. Gdzieś z dala od tego domu. Nie powinniśmy nawet rozmawiać przez telefon.

Jez spojrzała na wizytówkę.

- Dziękuję.

- Bądź ostrożna. Proszę.

- Jasne. Mogę zostawić sobie te artykuły?

- Pewnie. - Uśmiechnął się smutno jak to Stara Dusza. - Tak właściwie ich nie potrzebujesz. Wystarczy, że się rozejrzysz, obejrzysz wiadomości. Zobaczysz, co dzieje się na świecie.

- **Powstrzymamy to** - powiedziała. - **Spróbujemy** - dodała po krótkim namyśle.

Jez miała kłopot następnego ranka. Tym kłopotem była Claire.

Miały jechać razem do szkoły, żeby Jez nie uciekła z lekcji. Ale ona musiała się urwać, żeby znaleźć Morgeada. Nie chciała nawet myśleć o awanturze, która czekała ją po powrocie do domu, ale musiała odnaleźć jak najszybciej Morgeada. Nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu.

Na pierwszych większych światłach - niewiele ich było w Clayton - uderzyła się dłonią w czoło.

- **Zapomniałam książki do chemii!** - Odpięła pasy i wyskoczyła z audi, akurat gdy włączyło się zielone. - **Ty jedź!** - krzyknęła kuzynki, zatrzasnąwszy drzwi i zaglądając przez otwarte okno. - **Dogonię cię.**

Sądząc po minie Claire, wszystko się w niej gotowało.

- **Oszalałaś? Wsiadaj, odwiozę cię do domu.**

- **Spóźnisz się. Jedź sama.** - Jez machnęła zachęcająco ręką.

Jeden z trzech samochodów stojących za audi zatrafił.

Claire otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Jej oczy strzelały błyskawicami,

- **Robisz to specjalnie! Wiem, że coś kombinujesz i dowiem się..**

Jez odsunęła się i pomachała kuzynce na pożegnanie.

Zgodnie z przewidywaniami Claire odjechała. Nie zniosła presji rówieśników, którzy na nią trąbili.

Jez odwróciła się i pobiegła do domu równym i spokojnym truchtem.

Kiedy dotarła na miejsce, nawet nie była zdyszana. Otworzyła garaż i wzięła długie cienkie zawiniątko, które schowała w kącie. **A** potem podeszła do motoru.

To była miłość jej życia - nie licząc Hugh, rzecz jasna. Harley. Sportster Hugger 883. Tylko siedemdziesiąt centymetrów wysokości i dwa metry dwadzieścia długości - smukła, lekka, niebezpieczna maszyna. Jez uwielbiała prostotę klasyki, czyste linie i zgrabną sylwetkę. Myślała o motorze jak o swoim stalowochromowym rumaku czystej krwi.

Przewiesiła zawiniątko na ukos przez plecy, tak żeby mimo dziwnego kształtu dobrze się układało. Włożyła ciemny kask, zasłaniający całkowicie twarz, i usiadła na motorze. Chwilę później z rykiem wyjechała z Clayton w stronę San Francisco.

Jazda sprawiała jej radość, chociaż to mogła być jej ostatnia przejażdżka. **A** może właśnie dlatego? To był piękny dzień, z wrześnieym błękitem na niebie i niemal białym słońcem.

Powietrze rozstępujące się przed Jez było ciepłe.

Jak ludzie mogą jeździć w klatkach, zastanawiała się, obracając manetką, żeby przyspieszyć i wyprzedzić kombi. Po co komu samochód? Siedzisz kompletnie odizolowany od otoczenia. Nie czujesz zapachów ani niczego nie słyszysz, nie czujesz! wiatru ani mocy, ani delikatnych zmian temperatury. Nie można natychmiast wyskoczyć z niego do walki. **A** już z pewnością nie można z niego nikogo przebić kolkiem, wychylając się przez okno przy dużej prędkości. **A** z motoru wręcz przeciwnie. Walczyła kiedyś w ten sposób z Morgeadem.

I może znowu będę, pomyślała i uśmiechnęła się ponuro. Niebo pozostawało błękitne, kiedy jechała na zachód, mimo że zbliżała się do oceanu. Powietrze było tak czyste, że Oakland widziała całą zatokę i panoramę San Francisco. Wysokie budynki wydawały się zaskakująco bliskie. Opuszczała własny świat i wkraczała do świata Morgeada.

Nieczęsto to robiła. San Francisco znajdowało się ponad godzinę od Clayton - przy małym ruchu. Równie dobrze mogło znajdować się w innym stanie. Było małym, prowincjonalnym miasteczkiem - głównie krowy, parę przyzwoitych domów i jedna farma z dyniami. Z tego co się orientowała, świat nocy nawet nie wiedział, że Clayton istnieje. To nie było miejsce, którym mogłyby zainteresować się istoty nocy. I tylko dlatego tak długo się tam ukrywała. Ale teraz jechała prosto w paszczę śmierci. Kiedy przekroczyła Bay Bridge i dotarła do miasta,

zdała sobie sprawę z własnej słabości. Rok temu złamała prawo, znikając. Jeśli teraz wpadnie na kogoś z gangu, na pewno będzie chciał ją zabić.

Idiotką. Nikt cię nie rozpozna. To po to nosisz kask. Dlatego upinasz włosy. I nie pomalowałaś motoru.

Mimo to była potwornie spięta i czujna, kiedy jechała ulicami, kierując się do jednej z bardziej podejrzanych dzielnic.

To tutaj. Serce jej zabiło na widok znajomego budynku. Beżowy, kanciasty i brzydki. Dwa piętra i nieregularna linia dachu. Jez zerknęła w górę, nie zdejmując kasku.

A potem stanęła, jakby nigdy nic, pod chropowatą betonową ścianą, obok zardzewiałego domofonu. Wkrótce zjawily się dwie dziewczyny ubrane jak artystki. Jakiś lokator wpuścił je do środka. Oderwała się od ściany i spokojnie ruszyła za nimi.

Nie mogła pozwolić, żeby Morgead był przygotowany na jej wizytę.

Zabiłby ją, nie tracąc czasu na pytania, gdyby tylko dała mu okazję. Musiała dopaść go pierwsza, a potem zmusić do słuchania.

Budynek w środku był jeszcze brzydszy niż na zewnątrz - klatka schodowa rozbrzmiewała echem, a do tego wysokie korytarze jak w fabryce. Ale Jez zauważyła, że serce bije jej szybciej i tęsknota ściska ją w piersi. To miejsce może i było ohydne, ale oznaczało też wolność. Każdy z ogromnych pokoiów za metalowymi drzwiami krył lokatora, który nie przejmował się dywanami i oknami, ale za to potrzebował sporej pustej przestrzeni dla siebie.

Mieszkali tu głównie przymierający głodem artyści, którzy potrzebowali dużych pracowni. Niektóre z drzwi pomalowane jasnymi kolorami miały szorstką fakturę. W większości były olbrzymie zamki.

- **Wcale za tym nie tęsknię**, powiedziała do siebie Jez.

Ale każdy kąt budził w niej wspomnienia. Morgead mieszkał tu od lat, odkąd jego matka uciekła z jakimś wampirem z Europy. Jez też tu pomieszkiwała, ponieważ tu się znajdowała siedziba gangu.

To były dobre czasy...

Nie. Pokręciła głową, żeby oderwać się od tej myśli. Cicho przemykając korytarzami, coraz bardziej zagłębiając się w budynek. W końcu dotarła do miejsca, gdzie nie rozlegał się żaden dźwięk poza brzęczeniem świetlówek w suficie. Korytarz był węższy. Wyczuwało się, że to miejsce jest odizolowane, leży z dala od reszty świata.

Na górę prowadziły wąskie schody.

Jez zatrzymała się, nasłuchiwała chwilę, nie spuszczać wzroku ze stopni, a potem zdjęła długie zawiniątko z pleców. Rozwinęła je ostrożnie, odsłaniając kostur - prawdziwe dzieło sztuki. Miał około półtora metra długości i dwa i pół centymetra średnicy. Drewno o głębokim odcieniu czerwieni było lśniące z nieregularnymi czarnymi znakami, które przypominały tygrysie pręgi lub hieroglify.

Drewno wężowe. Jeden z najtwardszych gatunków drewna na świecie; zwarte, wytrzymałe i sprężyste, idealne do walki. Wieki temu kij był jedyną w swoim rodzaju bronią.

Jeszcze jedna rzecz była w nim niezwykła. Kostury do walki zwykle były tępe po obu końcach, dlatego łatwo było je przytrzymać i poprawić chwyt. Ten natomiast z jednej strony też był tępy, ale z drugiej zwał się do wąskiego ostrza. Jak włócznia. Końcówka była twarda jak żelazo i niezwykle ostra.

Mogła z łatwością przejść przez ubranie i wbić się prosto w serce wampira.

Jez przez chwilę trzymała kostur w obu rękach, przyglądała mu się. A potem wyprostowała się i wbiegła po schodach, gotowa do walki.

- **Morgead, nadchodzę.**

Rozdział 7

Wyszła na dach. Urządzono tu kiedyś coś w rodzaju ogrodu. A w każdym razie stało tu mnóstwo zaniedbanych roślin w wielkich drewnianych donicach. Walało się też trochę brudnych ogrodowych mebli i innych rupieci. Najważniejsza jednak była mała szopa, która górowała nad wszystkim.

Dom Morgeada. „Penthouse”. Surowy i brzydki jak reszta budynku, ale ze wspaniałym widokiem, a do tego całkiem na uboczu. W pobliżu nie było żadnych wyższych budowli, z których można by obserwować to miejsce.

Jez zakradła się do drzwi. Jej stopy poruszały się bezszelestnie po spękanych asfalcie. Weszła w stan tak podwyższonej czujności, że niemal bolesnej. Kiedyś podkradanie się do członka gangu to była część gry. Można było go wyśmiać, jeśli się go zaskoczyło. Upokorzony delikwent tylko się wściekał.

Dzisiaj to nie była gra.

Jez już podchodziła do wypaczonych drewnianych drzwi i zamarła. Drzwi to kłopotliwa sprawa. Morgead byłby idiotą, gdyby nie zaopatrzył ich w jakiś alarm ostrzegający przed intruzami.

Cicho jak kot podeszła do wąskiej metalowej drabinki, która prowadziła na daszek domku. Teraz Jez znajdowała się w najwyższym punkcie budynku. Wyżej sięgał już tylko metalowy maszt bez flagi.

Bezgłośnie przeszła po dachu. Spojrzała cztery kondygnacje w dół. Dokładnie pod nią znajdowało się okno.

Otwarte okno.

Uśmiechnęła się pod nosem.

Zahaczyła się palcami stóp o dziesięciocentymetrowy rant dachu i opadła w dół. W locie chwyciła otwarte okno i zawisała jak nietoperz do góry nogami. Zajrzała do środka.

Oto on. Leżał na materacu i spał. Wyciągnął się na plecach, ubrany w dzinsy, wysokie buty i skórzaną kurtkę. Dobrze wyglądał.

Zupełnie jak za starych czasów, pomyślała Jez.

Gang całą noc jeździł na motorach, polował, walczył albo imprezował, a nad ranem wszyscy wracali do domu, żeby przebrać się w szkolne ciuchy. Wszyscy oprócz Morgeada, który tylko uśmiechał się krzywo, patrząc na nich, i szedł spać. Nie miał rodziców ani krewnych, którzy pilnowaliby, żeby nie wagarował.

Dziwne, że nie ma też kasku na głowie, pomyślała, podciągając się z powrotem na dach. Wzięła kostur, wsunęła go przez okno i znowu się opuściła, tym razem już na rękach. Weszła do środka, nie robiąc najmniejszego hałasu.

Staną nad Morgeadem. Nie zmienił się. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała, tylko trochę młodziej i delikatniej, bo spał. Twarz miał bladą, przez co ciemne włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Rzęsy rzuciły półkolisty cień na jego policzki.

Jest zły i niebezpieczny, przypomniała sobie. Irytowało ją, że musiała się pilnować. Z jakiegoś powodu w jej umyśle pojawiały się sceny z dzieciństwa, kiedy mieszkała w San Francisco ze stryjem Brackinem.

Pięcioletnia Jez z krótkimi rudymi włosami, które wyglądały, jakby nigdy nie widziały grzebienia, idąca z małym ponurym Morgeadem ręką w rękę. Ośmioletnia Jez o kościstych kolanach krzywiąca się, kiedy Morgead wyciągał pincetą drewniane drzazgi z jej kolan. Siedmioletni Morgead z rozpromienioną, zdumioną twarzą, kiedy Jez namówiła go do spróbowania ludzkiego wynalazku nazywanego lodami...

Dość, rozkazała własnemu umysłowi. Daruj sobie, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Wtedy byli przyjaciółmi, ale nie teraz. Zmienił się. Ja się zmieniłam. Zabiłby mnie, gdyby to pasowało do jego planów. Zrobię to, co trzeba.

Cofnęła się i szturchnęła go lekko kijem.

- **Morgead.**

Natychmiast otworzył oczy i usiadł. Jak każdy wampir w jednej chwili był przytomny. Skupił na niej wzrok bez najmniejszego śladu snu. Jez poprawiła chwyt na kiju i stanęła w gotowości, na wypadek gdyby Morgead od razu rzucił się do ataku.

Ale zamiast tego jego twarzy przybrała dziwny wyraz. Najpierw pojawiło się pełne zaskoczenia rozpoznanie, a potem coś, go Jez nie rozumiała. Przez chwilę po prostu gapił się na nią szeroko otwartymi oczami i z zapartym tchem, jakby pochwycony między bólem a szczęściem. A potem powiedział cicho:

- **Jez.**

- **Cześć, Morgead.**

- **Wróciłaś.**

Jez znowu poprawiła chwyt na kosturze.

- **Najwyraźniej.**

Jednym płynnym ruchem wstał.

- **Gdzieś ty, u diabła, była?**

Teraz wyglądał na wściekłego, zauważyła Jez. Z tym łatwiej sobie radziła, bo właśnie takim go zapamiętała.

- **Nie mogę ci powiedzieć** - odpowiedziała, co było absolutnie zgodne z prawdą i jednocześnie musiało doprowadzić go do szewskiej pasji.

Pokręcił głową, żeby odrzucić ciemne włosy wpadające mu do oczu - Jez pamiętała, że rano zawsze chodził rozczochrany - i spiorunował ją wzrokiem. Stał spokojnie. Nie w pozycji do ataku, ale w gotowości, która oznaczała, że w każdej chwili może rzucić się w jej stronę. Jez uważnie obserwowała mięśnie jego nóg.

- **Nie możesz mi powiedzieć? Znikasz pewnego dnia bez żadnego ostrzeżenia, choćby listu... Zostawiasz gang i mnie. Nikt nie wie, gdzie cię szukać, nawet twój stryj... A teraz znowu się pojawiaasz i nie możesz mi powiedzieć, gdzie byłeś?!**

Jest rozjuszony, zdała sobie sprawę Jez. Zdziwiła się; spodziewała się, że zachowa spokój i ostro ją zaatakuje.

- **Co ty sobie wyobrażałaś? Dlaczego wszystkich zostawiłaś? Nie przyszło ci do głowy, że ludzie będą się martwić?! Że pomyślą, że nie żyjesz?!**

Nie przyszło mi do głowy, że ktokolwiek się przejmie, pomyślała Jez kompletnie zaskoczona. A już na pewno nie ty. Ale nie mogła tego powiedzieć.

- **Słuchaj, nie chciałam nikogo urazić. Nie mogę powiedzieć, dlaczego odeszłam. Ale teraz wróciłam...**

- **Nie możesz tak po prostu wrócić!**

Jez traciła cierpliwość. Nic nie układało się tak, jak się spodziewała. Słowa, których się spodziewała, w ogóle nie padły.

- **Wiem, że nie mogę po prostu wrócić...**

- **Bo to tak nie działa!**

Morgead krążył, odrzucał raz za razem włosy z oczu.

- Krew zabierasz, krew dajesz. Nie zginęłaś, a to znaczy, że nas porzuciłaś. Nie wolno tego robić! Nie możesz wrócić jak gdyby nigdy nic i zostać moim przybocznym...

- Nie spodziewam się! - wrzasnęła Jez. Musiała zamknąć mu usta. - Nie zamierzam zostać twoim przybocznym, drugą po Bogu w gangu! - powiedziała, kiedy w końcu się zatrzymała.

- Chcę walczyć o przywództwo.

Morgead rozdziawił usta.

Jez wypuściła powietrze z płuc. Nie tak zamierzała to rozegrać. Jednak widząc szok na jego twarzy, poczuła, że odzyskuje panowanie nad sytuacją. Oparła się o ścianę, uśmiechnęła do niego i rzuciła gładko:

- Byłam przywódczynią, kiedy odeszłam, pamiętasz?

- Ty chyba sobie... żartujesz. - Morgead zagapił się na nią - **Oczekujesz, że zjawisz się i znowu nią zostaniesz?**

- **Jeśli cię pokonam, to owszem. Już raz mi się udało.**

Patrzył na nią, najwyraźniej nie mogąc wykrztusić słowa.

A potem odchylił głowę i się zaśmiał. To był straszny dźwięk. Kiedy spojrział na nią znowu, oczy mu groźnie błyszczały.

- **Tak, udało ci się. Od tamtego czasu lepiej walczę.**

- **Ja też.**

I po tych dwóch słowach wszystko się zmieniło. Morgead zmienił pozycję - tylko odrobinę, ale teraz już był gotowy do walki. Jez poczuła przypływ adrenaliny. Wyzwanie rzucono i przyjęto. Nic więcej nie można było powiedzieć. Patrzyli teraz na siebie gotowi do pojedynku.

Z tym umiała sobie poradzić. O wiele lepsza była w walce niż w słownych gierkach. Znała Morgeada; zakwestionowano jego dumę i umiejętności, więc teraz zrobi wszystko, żeby wygrać. Dobrze go znała.

Nie odrywając od niej oczu, sięgnął po kij do walki ze stojaka za sobą.

Japoński dąb, zauważyła Jez. Ciężki, dobrze wysuszony, sprężysty. Świetny wybór.

A utwardzona w ogniu końcówka była bardzo ostra.

Ale Morgead nie użyje jej na początku. Najpierw spróbuje rozbroić Jez. Najprościej osiągnąć to, łamiąc nadgarstek jej prawej ręki. Potem zaatakuje. Nie będzie się z nią bawił.

Minimalna zmiana pozycji Morgeada zaniepokoiła ją i teraz już oboje się poruszali.

Zamachnął się kijem, kreśląc idealny łuk i wycelował w jej prawy nadgarstek. Jez z łatwością zablokowała ten cios i poczuła wstrząs, kiedy drewno uderzyło o drewno. Natychmiast Jez zmieniła chwyt i spróbowała zablokować jego kij, ale on od razu cofnął kostur i stanął naprzeciwko niej.

Uśmiechał się.

Miał rację. Lepiej walczył. Dreszcz wstrząsnął ciałem Jez i po raz pierwszy zaczęła się martwić, czy zdoła pokonać Morgeada.

Nie mogę go zabić, pomyślała. Ale nie była pewna jego zamiarów.

- **Jesteś taki przewidywalny** - powiedziała. - **Mogłabym walczyć z tobą przez sen.**

Udała, że atakuje go w rękę i spróbowała go podciąć. Odbił cios i zablokował jej kij.

- **Tak? A ty uderzasz jak czterolatka. Nie załatwiłabyś mnie, nawet gdybym tylko stał i czekał.**

Krażyli wokół siebie, czujni.

Kostur rozgrzał się w rękach Jez. To zabawne, przemknęła jej przez głowę myśl, że najwyklesza, najpodlejsza ludzka broń była tak niebezpieczna dla wampirów.

Ale to też najbardziej uniwersalna broń na świecie. Walcząc kijem-w przeciwieństwie do noża, pistoletu czy miecza można było w pełni panować nad zadawanym bólem i rozmiarem obrażeń. Można było rozbroić przeciwnika i kontrolować jego ruchy, a jeśli wymagały tego okoliczności, oszczędzić delikwenta.

Oczywiście kij mógł zabić wampira, czego nie potrafiły nóż ani pistolet. Tylko drewno mogło na zawsze zatrzymać jego serce. Dlatego wampiry i ich łowcy walczyli kijami.

Jez wyszczerzyła zęby do Morgeada, wiedząc, że nie jest to tylko uśmiech.

Jej stopy przesuwwały się z cichym szelestem po zniszczonym dębowym parkiecie. Ćwiczyła tu z Morgeadem niezliczoną ilość razy; mierzyli się ze sobą, trenowali, chcieli być najlepsi i udało im się. Oboje opanowali po mistrzowsku walkę tą śmiercionośną bronią.

Ale jeszcze żaden pojedynek nie liczył się tak jak ten.

- **Za chwilę zaatakujesz mnie w głowę** – poinformowała chłodno Morgeada. - **Bo zawsze tak robisz.**

- **Myślisz, że wiesz wszystko. Ale już mnie nie znasz, zmieniłem się...** - odpowiedział równie chłodno. I zaatakował w głowę. - **Żartowałem!** - dokończył, kiedy zablokowała jego cios i kije zderzyły się z głośnym trzaskiem.

- **Błąd.** - Jez ostro obróciła kostur i zrobiła dźwignię.

Pchnęła kij Morgeada w dół i docisnęła go do ud.

- **Pułapka** -powiedziała, szczerząc zęby od ucha do ucha.

I na chwilę zamarła. Od dawna nie stała tak blisko Morgeada. Jego oczy... Były takie zielone, jak szmaragdy, i płonęło w nich dziwne światło.

Przez jedną chwilę żadne z nich się nie poruszało. Stali z opuszczonymi kijami, patrząc sobie w oczy. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie. Oddechy się mieszały.

I wtedy Morgead wyslizgnął się z jej blokady.

- **Nawet tego nie próbuj** - rzucił nieprzyjemnym tonem.

- **Czego?**

Zamachnęła się, zmieniając chwyt i mierząc w jego oczy.

- **Wiesz czego!** - Odbił jej cios z niepotrzebną siłą. - **Tych numerów w stylu „Jestem taka dzika i piękna. Może rzucisz kij i pozwolisz się uderzyć, żeby było zabawniej”.**

- **Morgead... o czym ty... mówisz?**

Atakowała między słowami, uderzając w gardło, a potem w skroń. Parował ciosy i robił uniki. Tego właśnie od niego chciała. Uników, ucieczki. Zapędzała go do kąta.

- **Tylko dzięki temu wygrałaś poprzednim razem. Próbujesz grać na uczuciach, na tym, co ludzie do ciebie czują. To już nie zadziała!**

Wyprowadził wściekły kontratak, ale to już nie miało znaczenia. Jez zablokowała go gradem ciosów. Naciskała na niego i nie miał wyjścia - musiał się cofać, aż w końcu oparł się plecami o ścianę.

Dorwała go.

Nie wiedziała, o co mu chodziło, gdy mówił o uczuciach ludzi, ale nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Przyparty do muru Morgead był niebezpieczny jak ranny tygrys. Oczy jaśniały mu czystą wściekłością, a na twarzy malowało się coś, czego nie było tam jeszcze w zeszłym roku.

On naprawdę mnie nienawidzi, pomyślała Jez. Hugh się mylił. Jest zraniony i naprawdę szczerze mnie nie cierpi.

Powinna wykorzystać te uczucia przeciwko niemu, sprowokować go, żeby się wściekł i odstonił. Coś głęboko w niej sprzeciwiało się temu rozwiązaniu, ale nie posłuchała tego głosu.

- Ej, wszelkie chwytty dozwolone, nie? - zapytała cicho. - I co masz na myśli, mówiąc, że to nie działa? Przecież cię dorwałam, nie?

Wyprowadziła kilka szybkich ciosów, raczej żeby go zająć niż w jakimkolwiek innym celu.

- Jesteś w pułapce i w końcu popełnisz błąd.

Zielone oczy, które płonęły wściekłością, nagle stały się zimne. Przybrały kolor lodowca.

- Chyba że zrobię coś niespodziewanego - odpowiedział.

- Ty? To niemożliwe - odparła słodko.

Jednak w głębi serca wiedziała, że prowokowanie go było błędem. Trafiła w czuły punkt, a on był silniejszy niż rok temu. Nie tracił panowania nad sobą, jak to kiedyś bywało. Walczył jeszcze bardziej zdeterminowany.

Te zielone oczy ją niepokoiły.

Ostro zaatakować, pomyślała. Włożyć w atak całą siłę. Uderzyć w nerw. Niech straci czucie w ręce...

Ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, poczuła moc.

Jez się zatoczyła.

Fala dziwnej energii uderzyła w nią i zniknęła. Jez cofnęła się i z trudem odzyskała równowagę. Powietrze skrzyło się elektrycznością i pachniało ozonem.

Zastanawiała się gorączkowo.

Jak on to zrobił?

- To nie takie trudne - powiedział spokojnie Morgead, głosem równie zimnym, jak jego oczy.

Oczywiście już nie stał w kącie. Przez chwilę myślała, że Morgead czyta w jej myślach, ale wtedy zdała sobie sprawę, że musiała mieć to pytanie dosłownie wypisane na twarzy.

- Odkryłem to, kiedy odeszłaś - ciągnął. - Wystarczy tylko poćwiczyć.

Istoty nocy stają się silniejsze, rozwijają nowe moce, pomyślała. Cóż, w tej kwestii Hugh się nie mylił.

A Jez wpakowała się w prawdziwe kłopoty.

Bach! To Morgead uderzył z ukosa. Zauważył, że straciła równowagę. Odpowiedziała odruchowo, ale nie myślała jasno i była obolała. Wstrząsnął nią, rozproszył jej uwagę.

- Jak sama powiedziałaś, wszelkie chwytty dozwolone - odezwał się Morgead, posyłając jej zimny uśmiezek. - Ty masz swoje sposoby, ja swoje.

I znowu uderzyła w nią moc. Tym razem Jez była lepiej przygotowana, ale mimo to zachwiała się, przestała myśleć o broni...

To wystarczyło, żeby przebił się przez jej obronę.

Rzucił się naprzód i zahaczył jej kij od dołu. Odwrócił się, prawie wybijając jej kostur z rąk.

Jez znowu straciła równowagę i o mało co się nie przewróciła. Kiedy próbowała dojść do siebie, uderzył ją w łokieć. Mocno.

Bach!

To był inny odgłos niż suche uderzenie drewna o drewno. Ten dźwięk był cichszy, bardziej stłumiony - drewno uderzające w ciało i kość.

Jez usłyszała, jak odruchowo sapnęła z bólu.

Prąd przepłynął jej przez rękę i na chwilę straciła pewność chwytu w prawej dłoni. Zmusiła się, żeby zacisnąć palce na kiju, ale były odrtwiałe.

Nie mogła dobrze blokować ciosów.

A Morgead atakował z lodowatym, śmiertcionośnym ogniem w oczach. Bezlitosny. Poruszał się spokojnie i lekko; teraz doskonale wiedział, co robi.

Uderzył dwa razy i znowu przebił się przez jej obronę. Zdzielił ją dębowym kijem w zębra. Zalała ją kolejna fala przyprawiającego o mdłości bólu. Szare plamki zatańczyły przed oczami.

Złamane? - zastanawiała się Jez. Miała nadzieję, że nie. Wampiry mogą łamać sobie zębra dla zabawy, wiedząc, że i tak wkrótce się zrosną. Ale Jez nie wyleczy się tak łatwo. Morgead może ją zabić, nawet tego nie chcąc.

Nie mogła pozwolić, żeby dalej w nią uderzał. Ale też nie mogła się wycofać. Jeśli zagoni ją w róg, będzie po niej.

Trafił ją w kolano. Iskry bólu popłynęły w górę i w dół nogi, drażniąc każdy nerw. Nie miała wyboru, musiała się cofnąć.

Bezlitośnie spychał ją pod ścianę.

Uśmiechnął się do niej. To nie był zimny uśmiech, ale promienny, który Jez bardzo dobrze знаła. Ten uśmiech sprawiał, że wyglądał niezmiernie przystojnie; oznaczał, że Morgead w pełni panuje nad sytuacją.

- *W każdej chwili możesz się poddać* - powiedział. - *Bo oboje to wiemy.*

Rozdział 8

Nie mogę przegrać. Jez myślała tylko o tym. *Nie mogła pozwolić, żeby ją zranił albo nastraszył. Za wiele od tego zależało.*

A ponieważ chwilowo Morgead miał nad nią przewagę, dzięki mocy i sile, musiała wymyślić coś sprytnego.

Potrzebowała tylko chwili, żeby opracować plan. I zaraz zaczęła go realizować, wkładając w fortel całą uwagę.

Przestała się cofać i zrobiła krok w bok, rozmyślnie stając w pozycji, w której mogła tylko niezgrabnie blokować ciosy. Potem odłoniła się, niezręcznie kierując kij w stronę Morgeada. Trochę za bardzo opuściła broń.

Widzisz, to mój łokieć, pomyślała, chociaż nie mógł jej słyszeć, ale kusila go w myślach.

Łokieć za bardzo mnie boli. Nie jestem skoncentrowana, kij już nie jest przedłużeniem mojego ciała. Nie osłaniam się od prawej.

Była równie dobra, jak każda ptasia matka, która udaje, że ma złamane skrzydło, żeby odciągnąć drapieżnika od gniazda. I już widziała triumfalny błysk w oku Morgeada.

Tak właśnie, nie trać więcej czasu na ranienie mnie... Po prostu mnie zabij.

I to właśnie robił. Już nie próbował zapędzić jej w kąt. Na jego przystojnej twarzy malowało się zdecydowanie. Zmrużył oczy w skupieniu, ustawiał się do pojedynczego, decydującego ciosu; to będzie atak, który zakończy walkę.

Ale kiedy uniósł kij, Jez cofnęła kostur, jakby nie chciała blokować, jakby bała się wstrząsu przy uderzeniu drewna w drewno. Miała tę jedną chwilę. Gdyby teraz zrozumiał, gdyby zorientował się, dlaczego tak ustawiła broń, nigdy nie wykonałby tego ruchu. Wycofałby się i spróbował ją rozbroić.

Jestem zbyt obolała, żeby się bronić; mam za słabą rękę, żeby ją podnieść, myślała, opuszczając ramiona i zataczając się nieco, jakby była zmęczona. Bez trudu udawała. Ból w różnych częściach ciała był wystarczająco silny. Gdyby pozwoliła sobie na słabość, na pewno by przegrała.

Morgead się nabrał.

Uderzył ją tak, jak chciała - z góry na dół. W tej samej chwili Jez przesunęła prawą stopę do tyłu, stając poza zasięgiem. Kij śmignął jej koło nosa, ale nie trafił. I zanim Morgead wzięła następny zamach, Jez rzuciła się, a on nawet nie miał szansy się zasłonić. Włożyła w atak całą siłę, wchodząc między ręce Morgeada i uderzając kijem prosto w jego tors.

Wypuścił powietrze z płuc i zgiął się wpół.

Jez się nie zawahała. Musiała natychmiast go załatwić, bo w ciągu sekundy dojdzie do siebie. Kiedy tak tkwił, zgięty wpół, wzięła następny zamach i okrężnym ruchem kija uderzyła go od tyłu w kolana. Znowu włożyła całą siłę w ten cios, a zaraz potem uderzyła go w plecy.

Morgead upadł z hukiem. Nim zdążył się poruszyć, Jez kopnęła go w nadgarstek, wybijając kij, który ze stukotem upadł na podłogę - dębina o dębina.

I wtedy przyłożyła zaostriżony koniec kija do jego gardła.

- **Poddaj się albo zginiesz** - wydyszała i się uśmiechnęła.

I Morgead spiorunował ją wzrokiem. Zadyszał się jeszcze bardziej niż ona, ale w jego zielonych oczach nie było niczego, co zdradzałoby zamiar poddania się. Był naprawdę wściekły.

- **Oszukałaś mnie!**

- **Wszelkie chwytę dozwolone.**

Patrzył na nią złowrogo spod potarganych włosów, które opadały mu na czoło. Leżał jak długi. Nogi miał wyciągnięte, ręce rozrzucone na boki, a koniec kostura tkwił w bładym zagłębieniu jego gardła. Był całkowicie zdany na jej łaskę. A przynajmniej tak się wydawało. Jez wiedziała swoje.

Wiedziała, że on nigdy się nie podda i że kiedy wściekłość mąci mu myśli, jest równie bystry, jak ona. Bywał też podstępny. Teraz jego bezradność była równie szczerą, jak wcześniej odgrywanie przez nią rannego ptaszka.

Była gotowa, gdy znowu cisnął mocą. Zobaczyła, że jego źrenice rozszerzają się jak u kota, który szykuje się do skoku.

Zebrała się w sobie, przesuwając odrobinę kija i opierając go o obojczyk, kiedy pochyliła się do przodu.

Energia uderzyła w nią. Teraz niemalże widziała ją szóstym zmysłem - jej wampirze dziedzictwo. To było jak podmuch po wybuchu nuklearnym, który rozszerzającym się kręgiem niszczy wszystko na swoje drodze. Moc wydawała się bladezielona, w odcieniu oczu Morgeada. I uderzała naprawdę solidnie.

Jez zacisnęła zęby i trzymała się kostura, pilnując, żeby pozostał w miejscu. Pozwoliła, żeby moc przez nią przepłynęła. Gorąca fala odrzuciła jej włosy. Jez wydawało się, że to trwa wiecznie.

Ale w końcu uderzenie minęło. Jez była obolała na całym ciele, a w ustach czuła metaliczny posmak. Na szczęście Morgead nadal był w pułapce.

Syknął na nią. Niesamowite, zupełnie jak gad.

- **Masz coś jeszcze?** - zapytała Jez, szczerząc do niego zęby i mrużąc oczy. Każdy siniak na jej ciele zabolął na nowo po uderzeniu mocą, ale nie zamierzała się z tym zdradzić. - **Nie? Tak też myślałam.**

Morgead odsłonił zęby, odchylając górną wargę.

- **Niech cię szlag, Jezebel.**

Nikomnie nie wolno było używać jej pełnego imienia.

- **Ciebie najpierw, Morgy** - odparła i oparła się mocniej na kiju.

Jego zielone oczy błyszczały czystą złością i nienawiścią.

- **Więc mnie zabij** - rzucił złowrogo.

- **Morgead...**

- Tylko w ten sposób wygrasz. W przeciwnym wypadku tylko będę tu leżał i czekał, aż znowu zbiorę energię, A kiedy będę miał dość mocy, znowu w ciebie uderzę.

- Nie wiesz, kiedy skończyć, co?

- Walka nigdy się nie kończy.

Jez zdławiła wściekłość i zniecierpliwienie.

- Wolałam tego nie robić, ale skoro mnie zmuszasz... -warknęła.

Nie zabiła go, tylko go zraniła.

Złapała go za nadgarstek i blokując staw, oparła na nim kij. Za pomocą takiej dźwigni mogła sprawić Morgeadowi sporo bólu... A nawet złamać kość.

- Poddaj się, Morgead.

- Goń się.

- Złamię ci nadgarstek.

- Dobrze. Mam nadzieję, że będziesz dobrze się bawić.

Nadał piorunował ją wzrokiem.

Jak mały dzieciak, który grozi, że będzie się bawił na autostradzie, pomyślała Jez. I nagle nie wiadomo dlaczego, prawie się roześmiała. Z trudem się powstrzymała.

Naprawdę nie chciała mu łamać nadgarstka. Ale wiedziała, że musi. Musiała zrobić to szybko, zanim Morgead odzyska energię i znowu uderzy ją mocą. Jez nie wytrzyma kolejnego takiego ciosu.

- Morgead, poddaj się!

Użyła wystarczająco dużo siły, żeby go zabolalo. Rzucił jej złe spojrzenie spod ciemnych rzęs.

- Jesteś taki uparty!

Jez nacisnęła jeszcze mocniej.

Wiedziała, że cierpi. Nawet ją bolała ręka od ściskania kija.

Serce biło mocno i wszystkie mięśnie drżały z wysiłku. Dla obojga byłoby o wiele łatwiej, gdyby po prostu złamała mu nadgarstek. Jest wampirem, wyliże się z tego w kilka dni. To na pewno nie potrwa dłużej.

Muszę to zrobić, powiedziała sobie. Napięła wszystkie mięśnie...

Morgead płytko oddychał. Na chwilę jego oczy straciły przejrzystość klejnotu, wzrok się zamglił i Morgead się skrzywił.

Jez puściła nadgarstek i padła obok, ciężko dysząc.

Jesteś taką głupia, powiedziała sobie. Odrzuciła włosy i zamknęła oczy, starając się zapanować nad wściekłością. Morgead usiadł obok niej.

- Co robisz?

- Nie wiem! - warknęła Jez, nie otwierając oczu.

Po prostu jestem słaba i głupia, odpowiedziała w duchu. Nie wiedziała, dlaczego nie potrafiła doprowadzić tego do końca. Ciągle zabijała wampiry - i to mniej odpychające od Morgeada.

- Nie poddałem się - powiedział. Głos miał bezbarwny i niebezpieczny. - **Więc to nie koniec.**

- Dobra, no to uderz we mnie mocą.

- Zrobię to.

- To rób.

- Co, aż tak ci się spodobało?

Jez straciła panowanie nad sobą. Złapała kij z podłogi i po raz pierwszy, odkąd usiadła, odwróciła się, żeby spojrzeć na Morgeada.

- **Uwielbiam to! Po prostu mam bzika na punkcie bólu! Więc zrób to, a potem ja przywalę ci w ten tępy łeb tak mocno, że obudzisz się w przyszłym tygodniu!** Powiedziała więcej, ale wyraz jego oczu ją powstrzymał. Przyglądał jej się badawczo, ale nie ze złością, jak sobie wyobrażała. Zmrużył zielone oczy i obserwował ją uważnie.

- **Wariatka z ciebie i tyle** - powiedział, nadal jej się przyglądając. Już innym tonem dodał:

- **Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?**

Jez wzruszyła ramionami.

- **Chyba dlatego, że musiałabym złamać ci każdą kość. W życiu byś się nie poddał. Nie kiedy masz tę swoją nową moc.**

- **Mógłbym cię tego nauczyć. Pozostali nie są wystarczająco co silni, ale ty tak.**

To sprawiło, że Jez się zaśmiała.

- **Jasne, pewnie.**

Zamknęła na chwilę oczy, zastanawiając się, co Morgead by powiedział, gdy mu opowiedziała, dlaczego nigdy się tego nie nauczy.

Zmiażdżyłby mnie jak robaką, pomyślała i znowu się zaśmiała.

- **Dziwnie się śmiejesz, Jez.**

- **Mam pokręcone poczucie humoru.**

Spojrzała na niego, strząsając wilgoć z rzęs. Skąd to się wzięło? Coś musiało wpaść jej do oka.

- **Więc... chcesz znowu walczyć?** Patrzył się na nią, jak ścisła kostur. Jez starała się trzymać broń nieruchomo, ale czuła drżenie mięśni. Wzięła głęboki wdech i zacisnęła zęby, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

Mogę znowu walczyć. Mogę, bo muszę, i tym razem nie pozwolę, żeby jakiegoś kretyńskiego współczucie przeszło mi w spuszczeniu mi lania. Muszę wygrać. Wszystko od tego zależy.

Morgead spojrzął jej w twarz.

- **Nie** - rzucił nagle. - **Nie musimy znowu walczyć. Poddaje się.**

Jez zamrugwała, zszokowana. To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Twarz Morgeada była zimna i nie dało się z niej nic wyczytać.

Jez się wściekła.

- **Dlaczego?** - naskoczyła na niego. - **Bo jestem zmęczona? Bo myślisz, że nie dam ci rady?** - Zamachnęła się kijem, gotowa rozwalić tę jego pustą czaszkę.

- **Bo jesteś wariatką!** - wrzasnął Morgead. - **I dlatego że...** - urwał wściekły. A potem dokończył krótko - **Pierwszy raz wygrałaś uczciwie.**

Jez zagapiła się na niego. Powoli opuściła kij.

Morgead nadal patrzył nieprzyjaźnie, ale właśnie powiedział najbardziej niewiarygodną rzecz pod słońcem.

- **Po prostu nie chcesz, żebym znowu spuściła ci lanie** - odparła.

Zmroził ją wzrokiem.

Jez odetchnęła. Serce zaczęło się uspokajać i poczuła ulgę.

Udało mi się. Naprawdę mi się udało. Nie umrę dzisiaj.

- **Więc to koniec** - powiedziała. - **Jestem z powrotem.**

- **Jesteś przywódczynią** - odparł kwaśno Morgead. - **Naciesz się, bo na każdym kroku będę tuż za tobą. Poczekam na swoją szansę.**

- **Nie spodziewałabym się niczego innego.** - Zamrugwała. - **Co robisz?**

- **A jak myślisz?**

Z zaciętą twarzą i wzrokiem wbitym w ścianę Morgead odciągnął koszulę od szyi i odchylił głowę.

- **Nie mam pojęcia...**

I wtedy zrozumiała. Zrobiło jej się zimno aż po czubki palców.

Co ja sobie pomyślałam? Powinnam była pamiętać, ale zapomniałam i nie zaplanowałam tego...

- **Krew zabierasz, krew dajesz** - odparł krótko Morgead.

Dlaczego o tym zapomniałam? Jez zaczęła panikować.

Nie miała pojęcia, jak się z tego wymigać.

W przypadku ludzkich gangów powiedzenie: „Krew zabierasz, krew dajesz”, oznaczało, że dostaje się ciągi, wchodząc do organizacji i pozostaje się w niej, dopóki się żyje. Ale w przypadku gangów wampirycznych...

Nie mogę go ugryźć.

Najbardziej przerażające było to, że coś w niej pragnęło tego. Mrowiła ją cała skóra i nagle

Jez miała wrażenie, że raptem wczoraj piła krew. Doskonale pamiętała, jakie to uczucie zatopić zęby w gładką skórę, przebić ją z łatwością, poczuć ciepły strumień.

A krew Morgeada będzie ciemna, słodka i pełna mocy. Wampirza krew nie była niezbędna do życia jak ludzka, ale za to pełna ukrytych obietnic ze świata nocy. A Morgead był jednym z najsilniejszych wampirów, jakie знаła. W jego krwi będzie nowa moc, którą opanował po mistrzowsku, i mnóstwo surowej życiowej energii młodości.

Ale ja nie jestem wampirem! Już nie.

Jez zadrzała zaszokowana. Przez cały rok, odkąd przestała pić krew; nigdy nie poczuła takiej pokusy. Nie miała pojęcia, dlaczego teraz tak ją naszło, nie potrafiła nad sobą zapanować.

Przycisnęła język do ostrzących się kłów, próbując powstrzymać proces, trochę zmniejszyć napięcie. Szczęki okrutnie ją bolały.

Nie mogę. To nie do pomyslenia. Jeśli zrobię to raz, nie będę potrafiła przestać. Stanę się... Tym, czym byłam wcześniej. Będę stracona. Nie mogę, ale muszę. Muszę wrócić do gangu.

Morgead gapił się na nią.

- **Co z tobą?**

- **Ja...** - Jez kręciło się w głowie ze strachu, tęsknoty i poczucia zagrożenia. Nie znała żadnej drogi wyjścia... I nagle ją dostrzegła.

- **Masz** - powiedziała, rozpinając kołnierzyk bluzki. - **Ty mnie ugryź.**

- **Co?!**

- **To wypełni wymogi. Trzeba przelać krew. I robi to przywódca.**

- **Ty jesteś przywódczynią.**

- **Nie, dopóki nie jestem w gangu. A nie wrócę do gangu, dopóki krew nie zostanie przelana.**

Patrzył na nią, a jego wzrok był twardy i wymagający, bez śladu rozbawienia.

- **Jez... to śmieszne. Dlaczego?**

Był za sprytny. Jez nie chciała, żeby dłużej się nad tym zastanawiał.

- **Bo uważam, że tak powinno być. Poza tym przejadłam się poprzedniej nocy. Nie chcę już krwi.**

Spojrzała mu prosto w oczy, nie pozwalając zadrzeć nawet najmniejszemu mięśniowi. Starła się wmówić mu spojrzeniem, że taka jest prawda.

Morgead zamrugął i odwrócił wzrok.

Jez pozwoliła sobie na chwilę rozluźnienia. Miała przewagę nad Morgeadem. Nie istniała najmniejsza szansa, że zrozumie jej prawdziwe motywy. Miała tylko nadzieję, że nie wyczuje ludzkiego posmaku w jej krwi.

- Skoro nie chcesz mi powiedzieć, poddaję się. - Wzruszył ramionami. - No dobrze. Jeśli tak to chcesz załatwić...

- Właśnie tak.

- Jak wolisz.

Odwrócił się do niej i złapał ją za ramiona.

Kolejny szok wstrząsnął Jez. Morgead nigdy się nie wahał, kiedy już podjął decyzję, ale to było trochę niepokojące. Jego uścisk był zbyt pewny. Jez nie panowała nad sytuacją.

Jak mam się osłonić - zastanawiała się gorączkowo, dławiąc nową falę strachu. On ma w sobie potężną moc, a dzielenie się krwią pogłębi kontakt. Jak mam to zablokować?

To *wszystko* działo się zbyt szybko. Nie miała czasu na planowanie i myślenie. Udało jej się tylko nie spanikować, kiedy Morgead się przysuwał.

Ma ogromne doświadczenie w panowaniu nad każdą ofiarą. W uspokajaniu przestraszonych dziewczyn... Ludzkich dziewczyn.

Trzymał ją lekko i fachowo. Odchylił jej brodę do góry. Jez zamknęła oczy i próbowała oczyścić umysł z myśli.

Teraz czuła ciepło jego twarzy przy skórze. Czuła gorąca oddech na szyi. Wiedziała, że jego kły się wydłużają, końcówki stają się ostre jak igła. Starła się panować nad oddechem.

Poczuła ciepło, gdy dotknął wargami jej gardło, a potem ból, od którego zamrowiły ją zęby. Jego kły twarde jak obsydian przebiły skórę.

A potem popłynęła krew. Jej życie. Wylewało się z niej. Jej instynktowny strach nie miał nic wspólnego z obawą, że Morgead wejdzie do jej umysłu.

Żaden wampir nie lubił poddawać się w ten sposób drugiemu. Pozwolić komuś pić swoją krew oznaczało, że jest się słabszy, oznaczało, że z własnej woli stajesz się ofiarą. Wszystko w niej protestowało, nie pozwalało jej po prostu rozluźnić się i dać Morgeadowi zrobić swoje.

I może to było rozwiązanie, pomyślała nagle. Mur zgiełku, którym odgrodzi swoje myśli. Mogła udawać zbyt podenerwowaną, żeby pozwolić mu nawiązać kontakt...

Ale jego usta były zaskakująco miękkie i ból zniknął. Trzymał ją bardziej jak kochanek niż drapieżca. Czuła jego umysł wewnątrz siebie, silny i rozkazujący.

Morgead nie próbował jej skrzywdzić. Starał się, żeby to nie było dla niej straszne.

Alé ja chcę, żeby to było straszne. Nie chcę odbierać tego w ten sposób...

To nie miało znaczenia. Czuła się, jakby porwał ją bystry nurt, by nagle stoczyła się w miejsce, w którym nigdy wcześniej nie była. Iskierki zatańczyły pod jej powiekami. Prąd przebiegł przez ciało. A kiedy jego usta poruszały się delikatnie na jej gardle, świat zaczął zniknąć...

Rozdział 9

Nie. To nie może się dziać.

Jez nigdy nie czuła czegoś takiego, ale instynkt jej mówił, że to niebezpieczne. Coś wciągało ją do umysłu Morgeada. Czuła, jak otacza ją i zamyka w sobie. Delikatny dotyk, któremu nie sposób było się oprzeć. Dotyk, który próbował wyciągnąć jej sekrety.

A najbardziej przerażała ją to, że to nie była sprawka Morgeada.

To było coś poza nimi; coś, co próbowało wymieszać ich jak dwie sadzawki. Jez czuła, że Morgead jest równie zaskoczony i zdumiony, jak ona. Jedyna różnica polegała na tym, że on nie opierał się tej sile. W przeciwieństwie do Jez nie był ani przerażony, ani nieszczęśliwy z tego powodu. Wydawało się, że jest rozradowany i zaciekawiony jak ktoś, kto pierwszy raz skacze ze spadochronem.

To dlatego, że jest wariatem, pomyślała oszołomiona Jez. Uwielbia niebezpieczeństwo i igra ze śmiercią...

Świetnie się bawię. Odezwał się głos w jej umyśle.

Głos Morgeada. Cichy jak szept, lekki jak muśnięcie puchem, ale wstrząsnął Jez do głębi.

Minęło tyle czasu, odkąd słyszała ten głos.

A on słyszał ją. Dzielenie się krwią sprawiało, że nawet ludzie stawali się telepatami. Jez nie była w stanie porozumiewać się w ten sposób, odkąd...

Udało jej się uciąć tę myśl. Ogarniała ją coraz większa panika. Podczas gdy część jej umysłu trajkotała desperacko: „On tu jest, on tu jest, jest w środku, co teraz będzie?“, inna budowała mur.

Morgead jakby nagle westchnął.

Jez, nie rób tego. Nie chowaj się przede mną...

Nie wolno ci tu być. Warknęła w odpowiedzi, tym razem kierując myśl prosto w niego.

Odejdź!

Nie mogę. Przez chwilę w jego głosie rozbrzmiewał strach i zmieszanie. Nie zdawała sobie sprawy, że Morgead może doznawać takich uczuć. **Ja tego nie robię. To po prostu... się dzieje.**

Ale nie powinno się dziać, pomyślała Jez i nie wiedziała, czy mówi do niego, czy do siebie. Zaczynała się trząść. Nie potrafiła oprzeć się sile, która próbowała wyciągnąć jej duszę na powierzchnię i wymieszać ją z duszą Morgeada. Naprawdę nie potrafiła. To było silniejsze od wszystkiego, czego doświadczyła! Ale wiedziała, że jeśli się podda, zginie.

Nie bój się. Nie bój. Powiedział Morgead głosem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Była w nim rozpacзлиwa delikatność. Jego umysł starał się ją utulić, chronić, jakby spowiły ją czarne skrzydła i muskały delikatnie. Jez poczuła, że się rozplywa. Nie.

Nie...

Tak. Szepnął głos Morgeada.

Musiała to powstrzymać, natychmiast. Musiała zerwać połączenie. Chociaż nadal czuła swoje ciało, nie miała nad nim żadnej władzy. Wyczuwała ręce Morgeada podtrzymujące jego usta na jej gardle; wiedziała, że nadal pije. Ale nie potrafiła nawet ruszyć palcem, żeby go odepchnąć. Mięśnie, które trenowała, które miały wykonywać jej polecenia, teraz ją zawodziły. Musiała spróbować innego sposobu.

To nie powinno się dziać. Powiedziała z całą odwagą, jaką zdołała zgromadzić.

Wiem, ale to dlatego, że z tym walczysz. Powinniśmy być i gdzieś indziej.

Jez zirytowała się.

Gdzie?

Nie wiem. Odpowiedział i wyczuła odrobinę smutku w jego myślach.

W jakimś miejscu... Gdzieś głębiej. Gdzie bylibyśmy naprawdę razem. Ale ty nie otwierasz umysłu...

Morgead, o czym ty mówisz? Co tu się dzieje? Szczerze się zdziwił.

Nie wiesz? To reguła pokrewnych

Nie. To niemożliwe. Nie może być. Już nie odzywała się do Morgeada. Desperacko próbowała przekonać samą siebie. Nie jesteśmy pokrewnymi duszami. Nienawidzimy się... On nienawidzi mnie... Cały czas tylko walczymy ze sobą...

Jest niemożliwy i niebezpieczny, i zapalczywy, i uparty... I szalony... Jest wściekły i wrogi... Wkuszający i irytujący, i uwielbia mnie dręczyć...

Nawet nie wierzę w pokrewne dusze. A gdybym nawet wierzyła, to nie mogło się wydarzyć w ten sposób. Po prostu bach, jak grom z jasnego nieba, jakby człowiek wpadł pod pociąg, bo się zagapił, bez żadnego ostrzeżenia czy choćby przyciągania do tej drugiej osoby...

Ale już jej myśli były złym znakiem. Cokolwiek zdołało doprowadzić ją do takiego stanu, musiało być wręcz niewyobrażalnie potężne. Nadal czuła, jak to coś ją ciągnie, jak próbuje przedrzeć się przez mur, za którym się schowała. To coś chciało, żeby Morgead zobaczył, kim naprawdę jest Jez.

I próbowało jej pokazać Morgeada. Sceny z jego życia. Obrazy, które w nią uderzyły, a Jez aż dech zapařło, tak intensywne było to doznanie.

Mały chłopiec z szopą potarganych ciemnych włosów i oczami jak szmaragdy patrzy, jak jego matka wychodzi z jakimś mężczyzną - znowu. Bawi się samotnie w ciemności. A potem spotyka małą rudą dziewczynkę o niebieskosrebrnych oczach i promiennym uśmiechu. I już nie jest sam. Wspinają się na płoty w chłodne noce, ganiają małe zwierzątka, przewracają się i chichoczą...

Nieco starszy chłopiec z dłuższymi zaniedbanymi włosami okalającymi twarz. Patrzy, jak matka wychodzi po raz ostatni i już nigdy więcej nie wraca. Poluje na jedzenie, sypia w pustym domu, w którym panuje coraz większy i większy bałagan. Uczy się, jak się troszczyć o siebie. Trenuje. Staje się coraz twardszy, na ciele i na duszy. Gdy patrzy w lustro, widzi ponurą twarz...

Jeszcze starszy. Obserwuje ludzi, którzy są słabi i głupi, i tak krótko żyją, ale którzy mają to wszystko, czego jemu zabrakło. Rodzinę, bezpieczeństwo, posiłek każdego wieczoru. Obserwuje istoty nocy, starszyznę, która nie czuje się odpowiedzialna za Opiekę nad porzuconym wampirym dzieckiem...

Nie miałam pojęcia. Pomyślała Jez. Nadal czuła zawrót głowy, jakby brakowało jej powietrza. Obrazy były oszałamiająco Wyraźne i rozdzierały jej serce.

Chłopiec, który chce założyć gang, żeby mieć rodzinę, idzie najpierw do dziewczynki o rudych włosach. Oboje szczerzą zęby jak wariaci pędzą ulicami, szukając innych. Zbierają okoliczne dzieciaki, zaniedbane tak jak oni. Bez lęku chodzą po najgorszych dzielnicach miasta, bo teraz mają siebie nawzajem. Obrazy napływały coraz szybciej i Jez ledwo nadążała. Pędzi przez złomowisko z Jez... Chowa się pod śmierdzącymi rybami przed Jez... Jego pierwsza prawdziwa ofiara, jeleń na wzgórzach San Rafael... i Jez, która pije razem z nim gorącą krew, rozgrzewającą, upajającą i w jednej chwili budzącą do życia. Strach i szczęście, złość i kłótnie, cierpienie, smutek i wyczerpanie - a w tle zawsze Jez.

Zawsze pojawiała się w jego wspomnieniach - z rudymi włosami, okolonymi długimi rzęsami oczami, które rzucały wyzwania i były pełne emocji. Była wszystkim co jasne, gorliwe, odważne i uczciwe. Otaczał ją płomień.

Nie wiedziałam... Skąd mogłam wiedzieć? Jak mogłam zdawać sobie sprawę, że tyle dla niego znaczyłam? I kto by pomyślał, że to odkrycie tyle będzie znaczyło dla niej? Była oszołomiona, przytłoczona, ale coś w niej śpiewało.

Była szczęśliwa z tego powodu. Czuła, jak coś w niej wrze – nawet nie zdawała sobie sprawy, że ma to w sobie. Dziki i uderzający do głowy zachwyć.

Morgead. Szepnęła w umyśle.

Wyczuwała go, ale po raz pierwszy nie odpowiedział. Poczwała jego nagły strach, jego pragnienie ucieczki i schowania. Nie chciał pokazać jej tego wszystkiego. To zostało na nim wymuszone przez tę samą moc, która ciągnęła Jez,

Przepraszam. Nie chciałam patrzeć. Pomyślała. **Pójdę sobie...**

Nie. Nagle już się nie chował. **Nie, nie chcę, żebyś odeszła. Zostań.**

Jez bezradnie szybowwała ku niemu. Prawda była taka, że nie wiedziała, czy potrafiłaby odejść. Czuła, że jego umysł dotyka jej umysłu. Czuła smak samej esencji jego duszy. To sprawiło, że zadrżała.

Nigdy w życiu nie spotkało ją coś podobnego. To było takie dziwne... Ale też cudowne. Przyjemność, o której nawet nie śniła. Być tak blisko, zbliżać się coraz bardziej, jakby ogień i jasny mrok mieszały się... Czuć, jak jej umysł otwiera się przed nim...

I wtedy gdzieś w jej głębi odezwał się strach - jak zwierzę, które krzyczy ostrzegawczo. *Oszalałaś? To Morgead! Jeśli pozwolisz mu zobaczyć swoją duszę... Jeśli podejrzy twoje najmroczniejsze sekrety... Nie pożyjesz dość długo, żeby tego pożałować. Rozedrze ci gardło w jednej chwili, kiedy się do-
wie...*

Jez wzdrygnęła się na dźwięk tego głosu. Nie chciała już opierać się temu, co przyciągało ją do Morgeada. Ale przeszywał ją strach, zatruwając ciepło i bliskość, zamrażając granice jej umysłu. I wiedziała, że ten głos to resztki zdrowego rozsądku.

Chcesz umrzeć? - zapytał głos jej rozsądku.

Jez szeptał Morgead. **Co się dzieje? Dlaczego nie chcesz na to pozwolić?**

Nie tylko ty umrzesz, mówił głos. Ale i inni. Claire, ciocia Nan i wujek Jim, i Ricky. Hugh...

Coś rozżarzonego do białości zamigotało w niej. Hugh. Którego kochała. Który nie mógł walczyć. Ani razu o nim nie pomyślała, odkąd weszła do umysłu Morgeada - i to ją przeraziło.

Jak mogła o nim zapomnieć? Przez ostatni rok Hugh repre*zentował wszystko, co dla niej dobre. Obudził w niej uczucia których nigdy wcześniej nie знаła. I był tą jedyną osobą, której nigdy by nie zdradziła.

Jez. Powiedział Morgead.

Zrobiła jedyną rzecz, jak przyszła jej do głowy. Rzuciła w niego obrazem, który poruszył jego wspomnienia. Obrazem, jak odchodzi, jak zostawia gang, zostawia jego.

To nie było rzecz jasna prawdziwe wspomnienie. To był tylko symbol.

Przynęta.

Poczuła, jak obraz uderzył w umysł Morgeada z hukiem, jak poruszył wspomnieniami, które posypały się jak iskry.

Pierwsze spotkanie gangu bez niej. Pytania. Zakłopotanie. Wszyscy jej szukają, próbują wychwycić na ulicach ślad niepowtarzalnego wzorca jej mocy. Początkowo śmieją się, kiedy ją nawołują, bawią się. A potem, kiedy nadal jej nie ma, śmiech zamienia się w rozdrażnienie.

By w końcu przybrać postać niepokoju.

Dom jej stryja Brackena. Gang tłoczy się na progu z Morgeadem na przedzie. Stryj, który wyglądała na zagubionego i smutnego.

- **Nie wiem, gdzie jest. Po prostu... zniknęła.**

Niepokój zamienia się w strach, który aż skręca wnętrzości. Strach, złość, smutek i uczucie bycia zdradzonym.

Jeśli nie zginęła, to znaczy, że go porzuciła. Jak wszyscy inni w jego życiu. Jak jego matka. Rozpacz i wściekłość narastają, obie w równym stopniu, bo Morgead nie wie, która wersja wydarzeń jest prawdziwa. Ale zawsze pozostaje mu świadomość, że niezależnie od prawdy świat jest zimny, bo jej zabrakło.

A potem zjawia się w jego pokoju. Żywa. Wręcz bezczelnie zdrowa. I całkiem zwyczajnie - co jest niewybaczalne - mówi mu, że nie wyjawia mu, dlaczego odeszła.

Jez czuła, jak w Morgeadzie narasta wściekłość, ciemna fala, chłód, który nie zna litości, który chce tylko ranić i zabijać.

To go wypełniło. Już sam kontakt z tym sprawił, że serce Jez zaczęło walić, a jej oddech stał się płytki. Czysta przemoc była przerażająca.

Zostawiłaś mnie! - warknął na nią. Pięć sylab zawierających całą gorycz świata.

Musiłam. I nigdy nie powiem ci dlaczego. Jez zapiekły oczy Pewnie czuł, jak bardzo ranią ją własne słowa. Ale tylko to mogło zadziałać. Przyciąganie między nimi słabło. Niszczył je jego gniew.

Jesteś zdrajczynią. Powiedział, jakby oskarżał każdego, kto kiedykolwiek z egoistycznych pobudek zdradził przyjaciela, ukochaną osobą albo sprawę. Każdego zdrajcę z ludzkiego świata i świata nocy. Tak o niej myślał Morgead,

Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz. Westchnęła.

Nigdy cię nie obchodziło, odgryzł się. **Teraz to wiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem.**

Siła, która próbowała ich przyciągnąć do siebie, teraz osłabła i stała się jedynie srebrzystą nicią, łączącą te dwa umysły. *I dobrze, to było konieczne,* powiedziała sobie Jez. Wysiłła się i poczuła, jak odsuwa się od Morgeada, coraz dalej i dalej.

Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, zaszczała. Teraz było już łatwiej, kiedy nie czuła połączenia. **To ci wyjdzie na zdrowie.**

Nie martw się. Odparł krótko. **Potrafię zadbać o siebie. I wierz mi, nigdy nie zapomnę.**

Nić była tak cienka i napięta, że Jez ledwo ją widziała. Poczowała dziwne szarpnięcie wewnątrz siebie, błaganie, ale wiedziała, co ma zrobić.

Robię, co chcę, mam własne powody. Powiedziała. **I nikt nie będzie tego kwestionował. Jestem przywódczynią, zapomniałeś?**

Trzask!

To było namacalne doznanie, wrażenie oderwania, jakby Morgeada poniosła w dal fala czarnej wściekłości. Oddalał się od niej tak szybko, że Jez aż się w głowie zakręciło... I wtedy otworzyła oczy i znalazła się we własnym ciele. Zamrugowała, próbując skupić wzrok na pokoju. Patrzyła na sufit. Wszystko było za jasne, za duże i za bardzo rozmazane. Morgead obejmował ją. Nadal odchyliła głowę, odsłaniając szyję. Drżała.

Nagle ręce, które ją obejmowały, zniknęły i Jez poleciała na podłogę. Wylądowała na plecach. Zamrugowała, próbując wziąć się w garść i jak najszybciej wstać. Gardło ją piekło i poczuła coś mokrego na szyi. Kręciło jej się w głowie.

- **Co z tobą? Wstawaj i wynoś się!** - warknął Morgead. Jez skupiła na nim wzrok. Wydał się taki wysoki z jej punktu widzenia. Jego zielone oczy były zimne jak odłamki szmaragdu.

I wtedy zdała sobie sprawę, co się stało.

- **Ty palancie, wypitesz za dużo krwi.** - Starła się wypowiedzieć te słowa z typowym dla siebie jadem, żeby ukryć osłabienie.

- **To miał być tylko rytuał, a ty prawie straciłeś nad sobą panowanie. Powinam była wiedzieć.**

Coś zabłysło w oczach Morgeada, ale tylko zacisnął mocniej usta.

- **Bywa** - odparł krótko. - **Trzeba było nie dawać mi okazji.**

- **Drugi raz nie popełnię tego błędu!**

Z trudem usiadła, starając się nie pokazać, ile wysiłku ją to kosztowało. Kłopot w tym, że nie była wampirem. Nie od razu dojdzie do siebie po utracie krwi. Ale Morgead o tym nie wiedział zresztą i tak by się tym nie przejął.

Jakaś jej cząstka skrzywiła się na to, próbowała się spierać. Jez zepchnęła ją w głąb. Potrzebowała całej siły i każdego muru, który mogła zbudować, jeśli miała poradzić sobie z tym, co właśnie się wydarzyło.

To był błąd. Straszliwy błąd. Miała szczęście, że wyszła z tego żywa. Teraz po prostu musiała o tym zapomnieć.

- Pewnie powinnam ci powiedzieć, dlaczego tu jestem -powiedziała i wstała. Udało jej się nawet nie zatoczyć. - Zapomniałam wspomnieć o tym wcześniej.

- Dlaczego wróciłaś? Nawet nie chcę wiedzieć.

Chciał tylko, żeby wyszła. Widziała to w jego postawie, w sposobie, w jaki krążył po pokoju.

- Będziesz chciał, jak już usłyszysz.

Brakowało jej siły, żeby na niego wrzasnąć, chociaż miała ochotę. Nie stać ją było na ten luksus, żeby dać się ponieść emocjom.

- Dlaczego zawsze myślisz, że wiesz, czego chcę? - warknął, odwracając się do niej plecami.

- Dobra, Niech ci będzie. Pewnie i tak nie doceniłbyś tej szansy.

Morgead gwałtownie się odwrócił. Spiorunował ją wzrokiem. Wiele paskudnych słów cisnęło mu się na usta. Wreszcie niemal niesłyszalnie zapytał:

- Jakiej szansy?

- Nie wróciłam tylko po to, żeby odzyskać gang. Chcę go do czegoś wykorzystać.

Chcę, żebyśmy byli silniejsi.

Kiedyś sam pomyślałby, że Morgead wyszczerzyłby zęby w uśmiechu i oczy zapłonełyby mu szelmowsko. Przynajmniej w tym jednym zawsze się zgadzali - chcieli być coraz silniejsi.

Teraz Morgead po prostu stał. I gapił się na nią. Wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać, z zimnej furii przez podejrzliwość do pierwszych oznak olśnienia. Zmrużył zielone oczy, a potem je wytrzeszczył. Zatkąło go.

I nagie odrzucił głowę i się zaśmiał. Śmiał się i śmiał.

Jez milczała, obserwując go. Dyskretnie sprawdzała, czy może swobodnie stać i czy zaraz nie zemdleje. W końcu jednak mogła już znieść jego śmiechu.

- Powiesz, co cię tak śmieszy?

- Po prostu... No jasne. Powinienem wiedzieć. Może w głębi duszy wiedziałem.

Nadal się śmiał, ale to był złowrogi śmiech; zapatrzył się w dal, a w jego oczach zabłysła nienawiść. Może nie do końca nienawiść, ale z pewnością gorycz.

Jez przeszedł dreszcz po plecach.

- Tylko jedna rzecz mogła cię sprowadzić z powrotem. Powinienem być od razu na to wpaść, gdy tylko się zjawiłaś. Nikim się nie przejmowałaś, to nie ma nic wspólnego z gangiem.

Spojrzał jej prosto w twarz, wykrzywiając usta. Nigdy w życiu nie wyglądał bardziej przystojnie i nie był bardziej odległy.

- Wiem, o co chodzi, Jez Redfern. Dobrze wiem, dlaczego zjawiłaś się tu dzisiaj.

Rozdział 10

*J*ez zamarła z twarzą całkowicie bez wyrazu. W głowie obmyślała różne strategie.

Miała dwa wyjścia: ucieczka przez okno oznaczała upadek z trzech pięter, czego pewnie w swoim •lunie nie przeżyje. I oczywiście nie mogła uciszyć Morgeada. Kolejna walka z nim byłaby tragedią...

Tłumiąc uczucia, spojrzała na Morgeada i powiedziała spokojnie.

- Więc dlaczego się zjawiłam?

Triumf zabłysł w jego oczach.

- Jez Redfern. To jest klucz, prawda? Twoja rodzina.

Muszę go zabić, myślała gorączkowo.

- Twoja rodzina cię przysłała. Hunter Redfern. Wie, że znalazłem Pierwotną Moc i spodziewa się, że wyciągniesz ze mnie informacje.

Zalała ją fala ulgi. Rozluźniła się, ale nie okazała tego.

- Ty idioto! Oczywiście, że nie. Nie pracuję dla Rady. Morgead uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie powiedziałem, że dla Rady. Ale dla Huntera Redferna. Próbuje ich uprzędzić, prawda? Sam chce dorwać Pierwotną Moc, żeby odnowić dawną chwałę rodu.

Pracujesz dla niego.

Jez przełknęła ślinę z irytacją. Starła się opanować i myśleć racjonalnie.

Strategia, mówiła do siebie. Właśnie ci podsunął rozwiązanie, a ty próbujesz je zniszczyć.

- W porządku, a jeśli to prawda? - zapytała w końcu szorstko. - A jeśli rzeczywiście przysłał mnie Hunter?

- Powiedz mu, żeby odpuścić. Powiedziałem Radzie, jakie są moje warunki. Nie ustąpię o krok.

- A jakie są twoje warunki? Parsknął.

- Jakbyś nie wiedziała.

A kiedy dalej patrzyła na niego, wzruszył ramionami i przestał krążyć po pokoju.

- Miejsce w Radzie - powiedział chłodno, krzyżując ręce. Jez wybuchła śmiechem.

- Kompletnie ci odbiło.

- Wiem, że mi go nie dadzą. - Uśmiechnął się i nie był to miły uśmiech. - Spodziewam się, że oferują mi coś w stylu kontroli nad San Francisco, I jakąś pozycję po przełomie tysiącleci.

Po przełomie tysiącleci. To znaczy po apokalipsie, kiedy ludzka rasa zostanie wybita. To takie plany ma Hunter Redfern.

- Chcesz być księciem w nowym porządku świata - powiedziała powoli Jez, zaskoczona, jak gorzko to zabrzmiało. Zdziwiła się, że tak bardzo ją to dotknęło. Przecież tego właśnie się spodziewała po Morgeadzie.

- Chcę tego, co mi się należy. Przez całe życie stałem z boku i patrzyłem, jak inni dostają wszystko. W nowym tysiącleciu sprawy potoczą się inaczej.

Sporunował ją spojrzeniem.

Jez zrobiło się niedobrze. Ale wiedziała, co ma powiedzieć.

- Myślisz, że Rada będzie istniała w nowym tysiącleciu? - Pokręciła głową. - Lepiej wyjdiesz, trzymając z Hunterem. Stawiałabym raczej na niego.

Morgead zamrugnął.

- Planuje pozbyć się Rady?

Jez wbiła w niego wzrok.

- A co ty byś zrobił na jego miejscu?

Wyraz twarzy Morgeada się nie zmienił. Ale wyczuła, że jest zainteresowany.

Odwrócił się gwałtownie i wyrzwał przez okno. Jez niemalże widziała jego myśli. Wreszcie spojrzął na nią.

- W porządku - powiedział zimno. - Dołączę do drużyny Huntera, ale na moich warunkach. W nowym tysiącleciu...

- W nowym tysiącleciu dostaniesz to, na co zasłużysz. - Jez była zła, Morgead wydobywał z niej wszystkie najgorsze cechy, nad którymi próbowała zapanować.

- Będziesz miał pozycję - poprawiła się, wymyślając na poczekaniu historyjkę, którą chciał usłyszeć. Improwizowała, ale nie miała wyjścia. - Hunter stawia na lojalnych ludzi. Jeśli udowodnisz, że jesteś przydatny, weźmie cię. Ale najpierw musisz się wykazać. W porządku? Umowa stoi?

- O ile mogę ci zaufać.

- Musimy sobie zaufać, nie mamy wyjścia. Oboje chcemy tego samego. Jeśli zrobimy to, czego żąda Hunter, wygramy.

- Więc współpracujemy. Na razie.

- Współpracujemy, a potem zobaczymy - odpowiedziała spokojnie Jez.

Patrzyli na siebie. Zupełnie jakby przed chwilą nie dzielili się krwią. Wrócili do starych ról. Znowu byli starymi kumplami, którzy lubili ze sobą walczyć; może tylko trochę bardziej wrogimi wobec siebie.

Teraz pójdzie jak z płatką, pomyślała Jez. Pod warunkiem że Hunter nie pojawi się i nie zniszczy mojej historyjki.

I wtedy uśmiechnęła się w duchu. Do tego nie dojdzie. Hunter Redfern nie odwiedził Zachodniego Wybrzeża od pięćdziesięciu lat.

- Interesy - powiedziała na głos. - Gdzie jest Pierwotna Moc?

- Pokażę ci.

Podszedł do materaca i usiadł. Jez nie ruszyła się z miejsca.

- Co mi pokażesz?

- Pokażę ci Pierwotną Moc.

Na podłodze stał telewizor z magnetowidem. Morgead włożył kasetę. Jez usadowiła się na drugim końcu materaca, ciesząc się, że może wreszcie usiąść.

- Masz Pierwotną Moc na kasecie? Rzucił jej przez ramię lodowate spojrzenie.

- Aha, nagrałem na Śmiechu warte. Zamknij się i patrz.

Zmrużyła oczy.

Oglądała film o zderzeniu z asteroidą. Widziała go - był beznadziejny. Nagle akcję przerwało logo lokalnych wiadomości. Na ekranie pojawiła się jasnowłosa reporterka.

- „Sensacyjna wiadomość z San Francisco. Mamy przekaz na żywo z Marina District, gdzie na osiedlu komunalnym szaleje pożar. Łączymy się teraz z Lindą Chin, która jest na miejscu”.

Na ekranie pojawiła się brunetka.

- „Znajduję się właśnie na Taylor Street, gdzie strażacy próbują powstrzymać rozprzestrzeniający się pożar...”

Jez oderwała wzrok od telewizora i spojrzała na Morgeada.

- Co to ma wspólnego z Pierwotną Mocą? Widziałam to na żywo. To się wydarzyło dwa tygodnie temu. Oglądałam ten głupi film...

Urwała, zszokowana własnymi słowami. Już miała powiedzieć: „Oglądałam ten głupi film z Claire i cicią Nan”. Tak po prostu zdradziłyby imiona ludzi, z którymi mieszka. Ze złością musnęła zębami.

Już i tak odkryła się przed Morgeadem. Teraz wiedział, że dwa tygodnie temu była w tej okolicy, bo film przerwano lokalnymi wiadomościami z San Francisco. *Co jej odbiło?*

Chłopak posłał jej szydercze spojrzenie. Zauważył jak wpadła. Powiedział jednak tylko:

- **Oglądaj. Zaraz zrozumiesz.**

Płomienie na ekranie były jasnopomarańczowe, oślepiające nu ciemnym tle. Były tak jasne, że gdyby Jez nie znała dobrze tej dzielnicy, niewiele byłaby w stanie o niej powiedzieć. Przed budynkiem strażacy w żółtych kurtkach trzymali węże. Nagle buchnął dym, gdy z jednego z węży trysnął strumień wody prosto w płomienie.

- **Myślą, że w środku jest mała dziewczynka...**

Tak. Jez pamiętała. Tam był dzieciak...

- **Patrz tutaj.** - Morgead wskazał na ekran. Płomienie przybliżyły się, gdy kamera najechała na okno. Wysoko, na drugim piętrze. Płomienie wydobywały się z przejścia poniżej, przez co nie można było zbliżyć się do tego miejsca.

Reporterka nadal mówiła, ale Jez przestała słuchać. Przysunęła się, nie odrywając oczu od okna.

Jak wszystkie pozostałe i to również było do połowy przecięte kratą w kształcie rombów. Ale znajdowało się tam coś jeszcze: na parapecie stało kilka plastikowych kubków z zaniebany- mi roślinami. Skrzynki na kwiaty.

I nagle dostrzegła.

Twarz dziecka.

- **Tam** - powiedział Morgead. Reporterka mówiła:

- **Strażacy przyznali, że na drugim piętrze ktoś został. Próbują się dostać... do małej dziewczynki.**

Mocne reflektory - szperacze skierowano na płomienie. Tylko dlatego można było dostrzec w ogóle jakąś postać. Ale nawet wtedy Jez nie była w stanie rozpoznać jej rysów. Dziewczynka była małą rozmazaną plamką.

Strażacy próbowali przysunąć do budynku drabinę. Ludzie biegali, pojawiając się i znikając w kłębach dymu. Cała scena była upiorna, jak nie z tego świata.

Jez to pamiętała. Pamiętała przerażenie w głosie reporterki z trudem skrywane i pamiętała, jak Claire gwałtownie wypuściła powietrze.

- **To dziecko** - powiedziała Claire, wbijając paznokcie w rękę Jez: na chwilę zapomniała, jak nie cierpi kuzynki. - **O Boże, to dziecko.**

A ja pocieszałam ją, myślała Jez. Ogień był ogromny. Nie było szansy...

- **Cały budynek płonie...** - mówiła reporterka.

Kamera znowu zrobiła zbliżenie i Jez zdała sobie sprawę, że naprawdę zamierzają pokazać w telewizji płonąca żywcem dziewczynkę.

Plastikowe doniczki się topiły. Strażacy manipulowali przy drabinie. I nagle - eksplozja. Płomienie wystrzeliły z okna poniżej i uniosły się z szaleńczą energią. Były tak jasne, że wydawało się, że wysysają światło z otoczenia.

Pochłonęły okno z dziewczynką.

Głos reporterki się załamał.

Jez pamiętała, jak Claire wstrzymała oddech.

- **Nie...** - szepnęła i paznokcie wbiła tak mocno, że popłynęła krew.

Jez pamiętała, że chciała zamknąć oczy i wtedy na ekranie pojawiła się ogromna ściana dymu. Czarnego, potem szarego, jasnoszarego i wreszcie niemalże białego. Wszystko zniknęło w tych kłębach. Kiedy wreszcie dym opadł, pojawiła się zdumiona reporterka. Zapomniała nawet, żeby odwrócić się do kamery,

- „To zdumiewające... To całkowity zwrot w sytuacji... Strażacy... albo woda nagle poskutkowała, albo coś innego sprawiło, że pożar zgasł... Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego...”

Z okien ulatywał tylko biały dym. Obraz wydawał się wyprany z kolorów, bo zabrakło jaskrawych, pomarańczowych płomieni na czarnym tle. Ogień zniknął.

- „Naprawdę nie wiem, co się stało... Myślę, że *wszyscy się cieszą...*”

Kamera zrobiła zbliżenie na jedno z okien. Nadal trudno było dostrzec rysy, ale Jez widziała skórę w kolorze kawy i coś, co można było uznać za spokojny wyraz twarzy. Ręka wysunęła się. ostrożnie złapała jedną ze stopionych doniczek i wstawiła ją do środka.

Obraz zamarł. Morgead nacisnął pauzę.

- Nikt się nie zorientował, co powstrzymało ogień. Rozchodził się na wszystkie strony i nagle ktoś go zdusił.

Jez wiedziała już, do czego zmierzał.

- I myślisz, że to ona go zgasiła. Nie wiem, to dość ryzykowny wniosek. A już założenie, że to była Pierwotna Moc...

- Więc nie zauważyłaś - rzucił zadowolony z siebie Morgead.

- Czego?

Cofnął taśmę.

- Sam prawie to przegapiłem, kiedy oglądałem na żywo. Miałem szczęście, że akurat nagrywałem film. Kiedy obejrzałem taśmę jeszcze raz, zobaczyłem to wyraźnie.

Puścił nagranie w zwolnionym tempie. Klatka po klatce. Jez oglądała wybuch pomarańczowych płomieni, rozrastających się coraz bardziej. Widziała, jak pełzną, żeby połknąć okno. I wtedy pojawił się rozbłysk.

Przy normalnej prędkości tylko coś zamigotało. Można było sądzić, że to problemy z kamerą. Jednak kiedy oglądało się taśmę w zwolnionym tempie, nie miało się już wątpliwości.

To był błękit.

To wyglądało jak błyskawica albo płomień, biało niebieski z intensywnie niebieską aureolą. I poruszało się. Najpierw było małym okrągłym punktem w oknie. A na następnej klatce rozciągało się we wszystkich kierunkach. Po chwili pokryło cały ekran, potykając ogień.

A na następnej klatce zniknęło razem z płomieniami. Za to pojawił się biały dym.

Jez nie mogła oderwać wzroku.

- Na boginię - szepnęła. - **Błękitny ogień.**

Morgead cofnął taśmę, żeby puścić tę scenę raz jeszcze.

- **Błękitny ogień ostatecznie przegoni mrok. Szkarłatna krew będzie ostateczną ceną. Jeśli ta dziewczynka nie jest Pierwotną Mocą... to czym? Sama mi powiedz.**

- Nie wiem.

Jez zagryzła usta, znowu oglądała, jak dziwny rozbłysk rozkwita na ekranie telewizora. Więc błękitny ogień w wierszu oznaczał jakiś nowy rodzaj energii.

- Zaczynasz mnie przekonywać... Ale...

- **Słuchaj, wszyscy wiedzą, że jedna z Pierwotnych Mocy jest w San Francisco.**

Jedna ze starych wiedźm z kręgu czarownic, babka Harman, miała sen na ten temat. Zobaczyła niebieski płomień przed Coit Tower czy czymś takim. Wszyscy wiedzą, że Pierwotne Moce powinny się teraz ujawniać. Podejrzewam, że dziew-

czynka zrobiła to po raz pierwszy, kiedy zdała sobie sprawę, że umrze. Była zdesperowana.

Jez potrafiła sobie wyobrazić, jak czuła się wtedy ta mała. Wiedziała już za pierwszym razem, kiedy oglądała relację na żywo. To musiało być straszne. Czuć, że nikt cię nie uratuje, że zaraz doświadczysz najstraszliwszego bólu, jaki można sobie wyobrazić. Że twoje ciało się zwęgli, a włosy spłoną. I miną dwie albo trzy niekończące się minuty, zanim umrzesz i potwornie się skończy.

Świadomość tego wszystkiego może wyzwolić w człowieku tu nową moc, szaleńczy wybuch siły, jak nieświadomy krzyk, który wydobywa się z głębi trzewi. Niepokoili ją jedna rzecz.

- Jeśli ten dzieciak to Pierwotna Moc, to dlaczego jej krąg nie zauważył, co się stało? Dlaczego nie powiedziała im: „Ej, słuchajcie, mogę teraz gasić pożary”.

Morgead się zirytował.

- Co masz na myśli mówiąc „jej krąg”?

- Jest wiedźmą, nie? Nie chcesz chyba powiedzieć mi, że wampiry albo zmiennokształtni rozwinęli teraz i takie moce.

- A kto mówi o wiedźmach, wampirach czy zmiennokształtnych? To ludzkie dziecko.

Jez zamrugła.

Próbowała ukryć zdumienie. Przez chwilę myślała, że Morgead ją nabiera, ale on tylko przytaknął.

- Pierwotne Moce... mogą być ludźmi?

Morgead nagle się uśmiechnął. To był wredny uśmieszek.

- Naprawdę nie wiedziałaś. Nie słyszałaś całej przepowiedni, co? Sparodiował pozę mówcy.

- To brzmi mniej więcej tak:

Jedno z krainy królów dawno zapomnianych.

Jedno z paleniska, gdzie się iskra tli.

Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.

Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.

Świat dnia, pomyślała Jez. Nie świat nocy, ale świat ludzki. Przynajmniej jedna z Pierwotnych Mocy musi być człowiekiem.

Niewiarygodne, ale czemu nie? Pierwotne Moce miały być dziwne.

Potem pomyślała o czymś jeszcze i żołądek jej się zacisnął.

- Nic dziwnego, że tak się palisz, żeby ją wydać - powiedziała cicho. - Nie tylko ze względu na nagrodę...

- Ale dlatego, że ta mała szumowina zasługuje na śmierć, czy co tam Hunter dla niej zaplanował - odparł rzeczowo Morgead. - Tak, robactwo nie ma prawa posługiwać się mocami świata nocy. Racja?

- Oczywiście - zgodziła się beznamiętnie Jez.

Będę musiała bez przerwy pilnować tego dziecka, pomyślała. On nie ma dla niej krztyny współczucia. Nie wiadomo, co może jej zrobić, zanim ją odda.

- Jez. - Głos Morgeada brzmiał cicho, niemalże serdecznie, ale to natychmiast obudziło czujność w Jez. - **Dlaczego Hunter nie powiedział ci całej przepowiedni? Rada odkryła ją w zeszłym tygodniu.**

Zerknęła na niego i przeszedł ją dreszcz. Podejrzliwość zabłysła w jego oczach. Kiedy Morgead wrzeszczał i się wściekała był tylko niebezpieczny, ale kiedy robił się cichy, był śmiertelnie niebezpieczny.

- **Nie mam pojęcia** - odpowiedziała spokojnie. - **Może dlatego, że byłam już tutaj, w Kalifornii, kiedy wszystkiego się dowiedzieli. Ale może zadzwoń do niego i sam zapytaj? Na pewno ucieszyłby się, gdybyś się do niego odezwał.**

Zapadła cisza. A potem Morgead spojrział na nią z niesmakiem i się odwrócił.

Dobry błąd bywa bezcenny, pomyślała Jez.

Teraz mogła bezpiecznie brnąć dalej.

- **Więc co znaczy dwoje oczu z przepowiedni?**

Zniecierpliwził się.

- **Skąd mam wiedzieć. Sama to rozgryź. To ty zawsze byłaś mądrzejsza**

Mimo sarkazmu, Jez przeszedł dreszcz po plecach. Ale inny niż zwykle - dreszcz zaskoczenia. Naprawdę tak myślał. Morgead był bardzo bystry. W końcu to on dostrzegł ten rozbłysk w telewizji i zrozumiał, co to było. Nikt z dorosłych w Bay Area się nie zorientował. Mimo to uważał, że ona jest mądrzejsza.

- **Wygląda na to, że sam świetnie sobie radzisz.**

Patrzyła na niego spokojnie. Nie okazała słabości. Wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Zielone oczy nieco złagodniały, wykrzywione sarkastycznie usta rozluźniły.

- **E tam, działam po omacku** - mruknął, spuszczać oczy. Zaraz potem zerknął na nią znowu i przez chwilę po prostu patrzyli na siebie w milczeniu. Żadne z nich się nie odwróciło. Serce Jez dziwnie zabiło. Chwila się przeciągała.

Idiotką! To śmieszne. Chwilę temu bałaś się go, nie mówiąc już o tym, jak mdliło cię na samą myśl o jego stosunku do ludzi. Nic możesz o tym zapomnieć.

Ale to na nic. Nawet świadomość, że grozi jej niebezpieczeństwo, nie pomogła. Jez nie umiała zmniejszyć napięcia, jakie między nimi powstało. Nie potrafiła odwrócić wzroku.

- **Jez, słuchaj...**

Pochylił się ku niej i położył rękę na jej przedramieniu. Najwyraźniej sam nie wiedział, co robi. Miał trochę nieprzytomny wzrok, ale patrzył jej prosto w oczy.

Jego dłoń była ciepła. Jez poczuła mrowienie na skórze rozchodzące się od miejsca, w którym ją dotknął.

- **Jez, jeśli idzie o to wcześniej... Ja nie...**

Nagle serce Jez zaczęło bić zdecydowanie za szybko.

Muszę coś powiedzieć, pomyślała, walcząc, żeby zachować obojętną twarz. Ale w gardle jej zaschło, a głowie miała pustkę. Czuła tylko dotyk Morgeada. Widziała tylko jego oczy. Kocie, szmaragdowe, z migoczącymi zielonymi światełkami...

- **Jez** - powiedział po raz trzeci.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że srebrna nić między nimi się nie urwała. Rozciągnęła się tak, że stała się niewidzialna, ale nadal tam była, nadal przyciągała ich, nadal osłabiała jej ciało i sprawiała, że widzi jak przez mgłę. Nić ciągnęła Jez ku Morgeadowi, a jego ku niej..

I wtedy rozległ się hałas - ktoś kopał w drzwi.

Rozdział 11

Cześć, Morgead! - ktoś krzyknął, próbując otworzyć drzwi które blokowały się, bo były stare, wypaczone i nie pasowały do framugi. Jez gwałtownie się odwróciła. Połączenie między nią i Morgeadem zerwało się, ale nadal czuła słabe echo srebrzystej nici jakby to była struna gitary, która wibruje, gdy się ją trąci.

- **Cześć...**

- **Ej, jeszcze śpisz?**

Kilka osób zaśmiało się ochryple; wszyscy pchali się do pokoju. Ale krzyki natychmiast się urwały, kiedy zobaczyli Jez. Wszystkich zatkało i zapadła cisza.

Jez wstała. Nie mogła już pozwolić sobie na zmęczenie; teraz wszystkie mięśnie miała napięte, każdy zmysł wyteżony. Wiedziała, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła. Tamci byli wyrzutkami, tak jak Morgead. Włóczęgami z ulic San Francisco. Sierotami. W świetle nocy nikt się o nich nie troszczył. Zapomniani.

Jej gang.

Wyszli ze szkoły i gotowi byli rozrabiać. Jez zawsze uważała - od dnia, kiedy wybrali te dzieciaki że istoty ze świata nocy popełniają błąd, traktując ich jak dzieci. Może byli młodzi i nie mieli rodzin. Może brakowało im mocy. Ale każde z nich miało dość siły, żeby stać się groźnym przeciwnikiem.

A teraz patrzyli na nią jak stado wygłodniałych wilków, jakby wszyscy naraz zdecydowali rzucić się na nią, miałyby kłopot. Ktoś by zginął.

Spoglądała na nich, spokojna. Cichy głos przerwał ciszę.

- **To naprawdę ty, Jez.**

I wtedy odezwał się inny głos, obok niej.

- **Wróciła** - rzucił beztrosko Morgead. - **Znowu dołączyła do gangu.**

Jez rzuciła mu szybkie spojrzenie z ukosa. Nie spodziewała się pomocy z jego strony. Odpowiedział na jej spojrzenie, ale twarz miał nieodgadniona.

- **Wróciła?** - zapytał ktoś, nic nie rozumiejąc.

To wzbudziło w Jez współczucie.

- **Zgadza się** - odpowiedziała z powagą na twarzy. - **Musiałam na jakiś czas odejść i nie powiem wam dokąd, ale teraz wróciłam. Właśnie wywalczyłam sobie prawo powrotu, pokonałam Morgeada w walce o przywództwo.**

Uznała, że równie dobrze może załatwić to za jednym zamachem. Nie miała pojęcia, jak zareagują na wieść, że jest ich szefową.

Znowu zapadła cisza, a potem ryknęli. Ten dźwięk przypominał okrzyk wojenny. W tej samej chwili rzucili się na nią -skoczyły w jej stronę cztery osoby. Na ułamek sekundy zamarła, gotowa, żeby odeprzeć atak.

I wtedy poczuła ich dłonie,

- **Jez! Brakowało nam ciebie!**

Ktoś klepnął ją w plecy, prawie przewracając.

- **Niegrzeczna dziewczynka! Znowu go pobijaś? Znowu?!**

Wszyscy próbowali naraz objąć ją i poklepać, i szturchać.

Jez starała się nie okazać, jak bardzo to ją przytłoczyło. Nie spodziewała się po nich czegoś takiego.

- **Dobrze was widzieć** - powiedziała. Głos jej się trochę łamał. Mówiła szczerze. Raven Mandril westchnęła:

- **Nastraszyłaś nas, kiedy zniknęłaś.**

Raven była wysoką, smukłą dziewczyną o cerze bladej jak marmur. Jej ciemne włosy, krótko ostrzyżone od tyłu, z przodu opadały falą na jedno oko, całkowicie je zasłaniając. Łypała spod grzywki na Jez.

Oczy Jez się zaszklily. Zawsze lubiła Raven, najbardziej dojrzałą z całej grupy.

- **Przykro mi.**

- **A ja się nie bałam.**

To powiedziała Thistle, obejmując Jez w talii. Thistle Galena była delikatną dziewczyną. Przestała się zmieniać, kiedy skończyła dziesięć lat. Miała tyle samo lat co pozostali, ale była drobnitka i niemal eteryczna. Miała jasne i delikatne jak puch włosy, ametystowe oczy i drobne lśniące zęby. Jej specjalnością było udawanie zagubionego dziecka - atakowała ludzi, którzy próbowali jej pomóc.

- **Ty nigdy się nie boisz** - odpowiedziała Jez, ściskając ją.

- **Wiedziała, że nic ci nie jest. Ja też tak myślałem** - wtrącił się Pierce Holt.

Pierce był smukłym blondynem o arystokratycznej twarzy i dłoniach artysty. Miał głęboko osadzone oczy i wiało od niego chłodem. Teraz jednak patrzył na Jez z aprobatą.

- **Cieszę się, że ktoś tak pomyślał** - powiedziała Jez, zerkając na Morgeada, który tylko patrzył pobłaźliwie.

- **No wiesz, niektórym to dopiero odbiło. Myśleli, że nie żyjesz** - wtrącił Valerian Stillman, podążając za spojrzeniem Jez.

Val był wielki i mężny; miał ciemnordzawe włosy, oczy z szarymi plamkami i sylwetkę futbolisty. Zwykle albo się śmiał, albo ryczał z niecierpliwości.

- **Morgead kazał nam przeszukać wszystkie ulice od Daly po most Golden Gate...**

- **Bo miałem nadzieję, że przy okazji część z was odpadnie** - odparł spokojnie Morgead. - **Niestety, nie udało się. A teraz spokój, Val. Nie mamy czasu na pogaduszki. Jest coś ważnego do załatwienia.**

Thistle rozpromieniła się, odsuwając się od Jez.

- **Polowanie?**

- **On ma na myśli Pierwotną Moc** - powiedziała Raven, nie puszczając oka z Jez. - **Już ci powiedział, prawda?**

- **Nie musiałem** - odpowiedział Morgead. - **Już wiedziała. Wróciła z powodu Huntera Redferna, który chce zawrzeć z nami umowę. Pierwotna Moc za miejsce u jego boku w nowym tysiącleciu.**

Jez wiedziała, że zareagowali zgodnie z jego oczekiwaniami. Thistle pisnęła z radości. Raven zaśmiała się chrapliwie. Pierce uśmiechnął się chłodno, jak to on. A Val ryknął.

- **Wie, że coś mamy. Nie chce z nami zadzierać!**

- **Zgadza się, Val. Na pewno trzęsie się ze strachu** - westchnął Morgead; zerknął na Jez i przewrócił oczami.

Jez nie mogła nie wyszczerzyć zębów w uśmiechu. Było jak dawniej: ona i Morgead podśmiewający się ukradkiem z Vala, i ogarnęło ją dziwne ciepło - nie przerażający żar, jaki poczuła, gdy była sam na sam z Morgeadem, ale coś prostsze. Znajdowała się wśród ludzi, którzy lubili ją i znali. To było jej miejsce.

Nigdy tak się nie czuła w ludzkiej szkole. Widziała rzeczy, które doprowadziłyby jej kolegów z klasy do szaleństwa. Nikt tam nie miał pojęcia, jak naprawdę wygląda świat ani jaka naprawdę jest Jez, skoro już o tym mowa.

Ale teraz otaczali ją przyjaciele, którzy ją rozumieli. I było to tak przyjemne, że aż niepokojące.

Nie spodziewała się, że poczuje się tu, jak u siebie, jak w domu.

Ale nie jestem w domu, przypomniawszy sobie. To nie są moi ludzie. I tak naprawdę wcale mnie nie znają...

I nie muszą, powróciło ciche westchnienie. Nie musiała wspominać, że jesteście człowiekiem. Nie ma powodu, żeby się dowiedzieli.

Jez odepchnęła tę myśl i zdusiła ją w sobie. Musiała się skupić na tym, co mówili pozostali. Thistle rozmawiała z Morgeadem, odsłaniając drobne ząbki w uśmiechu.

- **Więc ustaliłeś warunki. Mamy wziąć się do roboty? Znaleźć dziewczynkę?**

- **Dzisiaj? Chyba tak.** - Morgead spojrzał na Jez. - Znajdźmy jej nazwisko i resztę. To Iona Skelton, mieszka kawałek od miejsca pożaru. Thistle zaprzyjaźniła się z nią na początku tego tygodnia,

Jez była zaskoczona, ale nie okazała tego. Nie spodziewała się, że sprawy potoczą się tak szybko. Ale może to i lepiej? Jeśli zdoła przechwycić dziecko i zabierze je do Hugh, cała maskarada skończy się jeszcze dzisiaj. Może nawet sama to przeżyje.

- **Nie ekscytuj się tak** - ostrzegła małą Thistle, wyczesując żdźbła trawy z jej jedwabistych włosów. - **Hunter chce mieć Pierwotną Moc całą i żywą. Ma wobec niej plany.**

- **Poza tym wcześniej musimy ją sprawdzić** - dodał Morgead.

Jez ledwo zapanowała nad nerwowym przełknięciem śliny. Zamiast tego dalej przeczesywała palcami włosy Thistle.

- **Co masz na myśli?**

- **Myślałem, że to oczywiste. Nie możemy ryzykować i podesać Hunterowi niewypał. Musimy mieć pewność, że ona naprawdę jest Pierwotną Mocą.**

Jez uniosła brew.

- **Myślałam, że mamy** - powiedziała, ale wiedziała, że Morgead ma rację.

Sama upierałaby się, żeby Hugh wymyślił sposób na sprawdzenie jej, zanim zrobiliby cokolwiek więcej.

Kłopot w tym, że próba Morgeada prawdopodobnie będzie... nieprzyjemna.

- **Jestem pewien, ale mimo to chcę ją sprawdzić!** - warknął Morgead. - **Coś ci nie pasuje?**

- **Tylko jeśli to niebezpieczne. Dla nas. W końcu ona ma jakąś niewyobrażalną moc, nie?**

- **I chodzi do podstawówki. Wątpię, żeby poradziła sobie z szóstką wampirów.**

Pozostali tylko patrzyli to na Morgeada, to na Jez.

- **Zupełnie jakby nigdy nie odeszła** - stwierdziła sucho Raven. Val ryknął śmiechem, a Thistle zachichotała.

- **Zawsze rozmawiają ze sobą jak... stare małżeństwo** - zauważył Pierce z odrobiną pogardy w głosie. Jez spiorunowała ich wzrokiem, wiedząc, że Morgead robi to samo.

- **Nie wyszłabym za niego, nawet gdyby wszyscy faceci na świecie wymarli** - poinformowała Pierce'a.

- **Gdybym miał wybierać między nią a ludzką dziewczyną, wybrałbym człowieka** - rzucił złośliwie Morgead.

Wszyscy się *roześmiali*. Nawet Jez.

Słońce migotało na wodzie w porcie Manna District. Na lewo od Jez ciągnął się szeroki pas trawy. Ludzie puszczali tam ogromne kolorowe latawce z mnóstwem tęczyowych ogonów.

Sporo sposób jeździło na rolkach, biegało albo spacerowało z psami. Wszyscy nosili letnie ubrania, wszyscy byli szczęśliwi.

Po drugiej stronie ulicy było inaczej.

Tu wszystko się zmieniało. Ściana tynkowanego na różowawy brąz betonu wyznaczała granicę. Stała tu szkoła średnia i rzędy bloków - identyczne klocki, płaskie i brzydkie. Nikt tędy nie chodził.

Jez pozwoliła, żeby Morgead jechał pierwszy na motocyklu i prowadził ich grupę, kiedy zbliżali się do budynków. Zawsze uważała, że to miejsce jest przygnębiające.

Wjechał do wąskiego zaułka obok sklepu ze zdewastowanym szyldem „Morskie delicje”. Val jechał za nim, potem Jez, za nią Raven z Thistle na tylnym siodełku i wreszcie Pierce.

Wszyscy wyłączyli silniki.

- **Tutaj mieszka. Po drugiej stronie ulicy** – powiedział Morgead. - **Zatrzymały się z matką u ciotki.**

Nikt nie bawi się na podwórku. To zbyt niebezpieczne. Ale Thistle nakłoni ją, żeby wyszła na schody.

- **Dobra** - powiedziała spokojnie Thistle, odsłoniła ostre zęby w uśmiechu.

- **Dorwiemy ją i znikniemy, zanim jej matka cokolwiek zauważy** - tłumaczył Morgead.

- **Zabierzemy ją do mnie i poddamy próbie w odosobnionym miejscu.**

Jez odetchnęła raz, żeby uspokoić żołądek.

- **Ja ją złapię** - powiedziała.

Może uda się jej przygotować dzieciaka na to, co go czeka.

- **Thistle, spróbuj wywabić ją na chodnik. Pozostali trzymają się za mną. Jak zobaczy bandę na motocyklach, może się przestraszyć. Ale bądźcie gotowi, kiedy skręcę i ją złapię. Halm powinien zagłuszyć krzyki. Raven, ty zgarniasz Thistle i jedziemy prosto do Morgeada.**

Wszyscy kiwali głowami zadowoleni z planu. Wszyscy oprócz niego.

- **Myślę, że powinniśmy ją najpierw ogłuszyć. Dzięki temu nie będzie wrzeszczeć. Nie wspominając już o błękitnym ogniu, kiedy się zorientuje, że została porwana...**

- **Już powiedziałam, jak to zrobimy - ucięta sprawę Jez. –Nie chcę jej ogłuszać i nie sądzę, żeby była w stanie nas skrzywdzić. A teraz szykujcie się. Ruszaj, Thistle.**

Kiedy Thistle przebiegała przez ulicę, Morgead głęboko westchnął.

- **Nigdy nie potrafiłaś słuchać dobrych rad, Jez.**

- **A ty rozkazów.**

Kątem oka zauważyła, że Morgead aż wrze ze wściekłości, ale wołała skupić się na blokowisku.

To było nijakie miejsce - bez graffiti, bez trawnika. Kilka przywiedłych drzewek. I jeszcze podwórko z niebieską metalową zjeżdżalnią i paroma motorami - huśtawkami na sprężynach,.. Wszystkie wyglądały na nowe i nietknięte.

- **Wyobraź sobie dorastanie w takim miejscu** - powiedziała. Pierce zaśmiał się dziwnie.

- **Mówisz to tak, jakbyś jej współczuła.**

Jez zerknęła za siebie. Nie zobaczyła współczucia w jego głęboko osadzonych oczach ani w oczach Raven i Vaia. Zabawne, nie pamiętała, żeby byli aż tak bezlitośni. Ale z drugiej strony najwyraźniej nie zwracała na takie rzeczy uwagi. Sama nie przejęłaby się ludzkim dzieckiem.

- **Bo to dzieciak** - rzucił szorstko Morgead. - **Każdemu byłoby ciężko dorastać w takich warunkach.**

Jez zerknęła na niego, zaskoczona. Dostrzegła w jego szmaragdowych oczach coś, czego zabrakło u pozostałych: litość. A potem wzruszył ramionami i uczucie zniknęło z jego oczu. Po części, żeby zmienić temat, po części z ciekawości zapytała:

- Znasz ten fragment prorocstwa, w którym jest mowa o ślepej Dziewicy?
- Ten? - I zacytował:

*Czworo stanie pomiędzy światłem i mrokiem.
Czworo z błękitnego ognia, co mocą pulsuje.
Narodzonych w roku wizji ślepej Dziewicy.
Czworo bez jednego, a ciemność zatriumfuje.*

- Jak myślisz, co znaczy ten wers: „Narodzonych w roku widzenia ślepej Dziewicy”?

Wyglądał na zniecierpliwionego.

- Dziewica to pewnie Aradia, nie?

- Kto? - przerwał Val, drżąc z ciekawości. Morgead rzucił Jez znaczące spojrzenie.

- Wieszczka - wyjaśnił. - No wiesz, ta niewidoma dziewczyna. Z trójcy, która rządzi wszystkimi wiedźmami. Składa się z Wieszczki, Matki i Staruchy. To jedna z najważniejszych osób w świecie nocy...

- A, tak, pamiętam. - Val się wycofał.

- Zgadza się. Ślepą Dziewicą musi być Aradia. Ale co znaczy rok jej widzenia? Ile lat ma ten dzieciak, którego porywamy?

- Z osiem.

- Aradia miała jakąś specjalną wizję osiem lat temu?

Morgead patrzył na drugą stronę ulicy, ściągając brwi.

- A skąd mam wiedzieć? Ma wizje, odkąd straciła wzrok, Znaczy się bite siedemnaście lat. Nie wiem, o którą chodzi w wierszu.

- Chcesz powiedzieć, że nawet nie próbowałaś się zorientować? - zapytała Jez. Rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- Skoro jesteś taka bystra, sama to sprawdź.

Jez nic nie odpowiedziała, ale postanowiła, że tak właśnie zrobi. Z jakiegoś powodu ten wiersz ją dręczył. Aradia skończyła osiemnaście lat, a wzrok straciła, kiedy miała roczek. Niektóre z jej przepowiedni musiały być ważne. Inaczej nie wspomniano by o nich w prorocztwie.

Jez się martwiła.

I wtedy dostrzegła ruch po drugiej stronie ulicy. Przez brązowe metalowe drzwi wyszły dwie drobne postaci.

Jedna o jasnych jak puch włosach, druga z drobnymi czarnymi warkoczycami. Szły, trzymając się za ręce.

Jez ścisnęło w żołądku.

Zachowaj spokój, zachowaj spokój, powtarzała sobie. Nawet nie myśl o złapaniu dziecka i ucieczce do East Bay. Pojechaliby za tobą, wysłędziliby cię. Zachowaj spokój. Dziecko uwolnisz później.

Po tym, jak Morgead zrobi jej mały test.

Nie poruszyła się. Oddychała powoli i równo, podczas gdy Thistle prowadziła dziewczynkę schodami. Kiedy doszły do chodnika, Jez włączyła silnik.

Nie powiedziała: „Teraz!” Nie musiała. Po prostu dodała gazłu, wiedząc, że reszta ruszy za nią jak stadko dobrze wytresowanych kaczuśzek. Słyszała, jak silniki ich motorów ozywają. Wyczuła, że ustawiają się za i ruszyła prosto do celu.

Dzieciak obdarzony mocą nie był głupi. Kiedy dziewczynka zobaczyła zbliżający się motor Jez, próbowała uciekać. Jej błąd polegał na tym, że chciała uratować Thistle. Pociągnęła blondynkę za sobą, ale ta nagle okazała się bardzo silna; złapała się siatki i zatrzymała je obie w miejscu.

Jez podjechała i chwyciła dziecko w pasie. Posadziła je na siodełku twarzą do siebie. Drobne ciało uderzyło w nią. Dziewczynka odruchowo przytrzymała się Jez, żeby nie stracić równowagi.

A potem Jez śmignęła obok zaparkowanego samochodu, dodała gazu i uciekła.

Wiedziała, że Raven złapała Thistle, a reszta za nią podąża. Od strony blokowiska nie dobiegł żaden krzyk.

Z rykiem jechali Taylor Street. Minęli szkołę średnią. Uciekli bez najmniejszego problemu.

- **Trzymaj się mnie, bo spadniesz i zrobisz sobie krzywdę!** - krzyknęła do dziecka.

Skręciła tak nagle, że prawie przejechała kolanami po ziemi. Chciała zwiększyć odległość i swobodnie porozmawiać z dziewczynką.

- **Zabierz mnie do domu!** - poprosił spokojnie dzieciak. Mała ani razu nie pisnęła ze strachu. Jez spojrzała na nią. Zobaczyła głębokie, aksamitnie brązowe oczy. Poważne oczy. Malowały się w nich wyrzut i smutek. Jez oniemiała.

Spodziewała się płaczu, przerażenia i złości. Czowała jednak, że dziecko jest opanowane i wcale się nie boi.

Może powinnam zacząć się martwić? A jeżeli zaraz wyzwoli błękitny ogień i nas zabije? Dlaczego jest taką spokojną?

Ale te brązowe oczy - to nie były oczy mordercy. To były... Jez nie umiała znaleźć odpowiednich słów. A jednak coś ścisnęło ją w sercu.

- **Posłuchaj Iona, tak? Tak się nazywasz?** Dzieciak pokiwał głową.

- **Słuchaj, Iono, wiem, że ta cała sytuacja może wydawać ci się dziwna i niezrozumiała. Nie mogę teraz wszystkiego wyjaśnić, ale obiecuję, że nic ci się nie stanie. Nikt cię nie skrzywdzi, dobrze?**

- **Chcę do domu.**

Och, mała, ja też, pomyślała nagle Jez. Szybko zamrugwała.

- **Zabiorę cię do domu... A przynajmniej w jakieś bezpieczne miejsce** - dodała.

W tym dziecku było coś, co sprawiało, że nie chciała go kłamać.

- **Ale najpierw pojedziemy do domu mojego kumpla. Posłuchaj, nie pozwolę cię skrzywdzić. W porządku? Wierzysz mi?**

- **Moja mama się przestraszy.**

Jez wzięła głęboki wdech i wjechała na autostradę.

- **Obiecuję, że nic ci się nie stanie** - powtórzyła, tylko tyle mogła powiedzieć.

Czowała się jak centaur, stworzenie będące po części człowiekiem, po części stalowym koniem, które wiezie dziecko z prędkością stu kilometrów na godzinę. Nie było sensu rozmawiać na autostradzie. Zresztą Iona nie odezwała się, dopóki nie podjechały do budynku Morgeada.

Wtedy szepnęła:

- **Nie chcę tam wchodzić.**

- **Nie bój się** - powiedziała Jez, hamując. - **Idziemy na dach. Tam jest mały ogród.**

W poważnych brązowych oczach zapłonęły maleńkie iskierki zainteresowania. Cztery motory zatrzymał się obok Jez.

- **Juhuuu! Mamy ją!** - ryknął Val, zdejmując kask.
- **Lepiej zabierzmy ją na górę, zanim ktoś nas zobaczy** - powiedziała Raven, a ciemna grzywka opadła jej na oko.
- Thistle zeszła z motoru i w uśmiechu odsłoniła ostre ząbki. Jez, poczuła, że drobne ciało Iony sztywnieje.
- Popatrzyła w milczeniu na zdrajczynię. Po minucie Thistle zaczerwieniła się i odwróciła.
- **Teraz poddamy ją próbie, tak? Czas ją sprawdzić.**
- Jez nigdy nie słyszała, żeby głos Thistle był tak piskliwy, żeby tak się niepokoiła. Zerknęła na dziewczynkę przed sobą, ale odezwał się Morgead.
- **Tak, czas ją przetestować.** - Wyglądał na zmęczonego, przecież powinien tryumfować. Miał Pierwotną Moc i już wkrótce jego los się odmieni. - **Do roboty.**

Rozdział 12

- J**ez oparła rękę na ramieniu dziecka, kiedy szli schodami pod brudnymi świetlówkami. Wyobrażała sobie, co Iona czuje pędzona na górę.
- Wyszli na zalany popołudniowym światłem dach. Jez ścisnęła lekko Ionę.
- **Widzisz, jest ogród.**
- Skinęła głową na palmę w donicy i trzy drewniane beczki z mizernymi roślinami. Iona zerknęła na nie, a potem spojrzała poważnie na Jez.
- **Potrzebują wody** - odpowiedziała cicho.
 - **Cóż, dawno nie padało** - odezwał się Morgead. - **Chcesz to naprawić?**
- Iona patrzyła na niego z powagą.
- **Chodzi mi o to, że masz moc, nie? Więc pokaż ją, nie krępuj się. To sporo ułatwi. Sprowadź deszcz.**
- Iona spojrzała mu prosto w oczy.
- **Nie wiem, o czym mówisz.**
 - **Nie chcemy, żeby stała ci się jakaś krzywda. Chcemy tylko zobaczyć to samo co w noc pożaru. Po prostu pokaż nam. Cokolwiek.**
- Jez obserwowała go. Było coś osobliwego w tej scenie: Morgead o mięśniach ze stali, w wysokich butach i skórzanej kurtce, przykląkł na jednym kolanie przed bezbronnym dzieckiem w różowych spodenkach. A dzieciak tylko smutno na niego spojrzał.
- **Chyba oszalałeś** - powiedziała cicho Iona. Warkoczyki poruszyły się, gdy pokręciła głową. Różowa wstążka załopotiała,
 - **Pamiętasz pożar?** - odezwała się zza jej pleców Jez.
 - **Pewnie.** - Dziecko odwróciło się powoli. - **Bałam się.**
 - **Ale nic ci się nie stało. Ogień zbliżył się do ciebie, a potem coś zrobiłaś. I wtedy ogień zgasł.**
 - **Bałam się i wtedy ogień zgasł. Ale niczego nie zrobiłam.**
 - **W porządku.** - Morgead wstał. - **Skoro nie możesz powiedzieć, to nam pokażesz.**
- Zanim Jez zdążyła cokolwiek powiedzieć, wziął dziewczynkę na ręce. Podszedł do sterty śmieci, która piętrzyła się na dachu. Były tam książki telefoniczne, kawałki drewna, stare ubrania i inne rupiecie. Istna zaporą oddzielająca jeden kąt od reszty dachu.

Postawił Ione za murem ze śmieci. Potem się odsunął. Dziewczynka milczała, nie próbowała uciekać.

Jez stała spięta.

To Pierwotna Moc, powtarzała sobie. Przeżyła już gorsze rzeczy. Nic się jej nie stanie.

Obiecała jej to.

Żałowała, że nie ma już zdolności telepatycznych. Przypomniałaby Ionie, że nie ma się czego bać. Zwłaszcza że Val i Raven właśnie rozlali benzynę. Iona obserwowała ich rozszerzonymi oczami, nadal się nie ruszała.

I wtedy Pierce zapalił zapalną.

Pojawiły się żółte i niebieskie płomienie. Nie były pomarańczowe jak tamtej nocy.

Ale były równie gorące. Pełzły szybko i Jez czuła żar nawet trzy metry od ognia.

A dziewczynka stała znacznie bliżej płomieni.

Nadal milczała, nie próbowała przeskoczyć nad płomieniami póki były niskie. Za chwilę będzie za późno.

No dobra, pomyślała Jez, chociaż wiedziała, że dziecko jej nie słyszy. Teraz, zrób to! No już, Iona. Zgaś ogień.

Iona tylko patrzyła.

Stała w całkowitym bezruchu z drobnymi rączkami zaciśniętymi w pięści. Mała i samotna postać w czerwonej aureoli południowego światła. Gorące powietrze falowało przed nią. Patrzyła prosto w ogień, ale bez agresji. Nie zamierzała z nim walczyć.

Niech to szlag, jest źle, pomyślała Jez. Sama zacisnęła ręce w pięści tak mocno, że paznokcie wbijały jej się w dłonie.

- **Wiesz, martwię się** - szepnął Pierce, stojący tuż za nią. - **Naprawdę się martwię.**

Jez zerknęła na niego. Chłopak niewiele mówił i zawsze wydawał się opanowany - nie licząc Morgeada, który potrafił być zimny jak stal. Ale teraz Jez zaczęła się zastanawiać. Możliwe, że Pierce, który nigdy nie okazywał uczuć, tak naprawdę był wrażliwy?

- **Martwię się tym ogniem. Wiem, że nikt z dołu nas nie zobaczy, ale jest sporo dymu. A jeśli któryś lokator się tym zainteresuje?**

Jez o mało go nie uderzyła.

To nie jest mój dom, pomyślała i poczuła, że wszystko się skończyło. Nie należę do nich.

A Pierce nie zasługiwał na jej uwagę. Odwróciła się od niego. Kątem oka zauważyła, że Morgead kazał mu się zamknąć, mówiąc, że inni lokatorzy to nie ich zmartwienie. Skupiała się na dziecku.

No już, mała, poganiała ją w myślach. A potem powiedziała to na głos:

- **No już, Iona! Zgaś ogień. Potrafisz! Zrób to, co wcześniej!** - Próbowała pochwycić wzrok dziewczynki, ale tamta patrzyła w płomienie. Drżała.

- **No właśnie, śmiało!** - rzucił szorstko Morgead. - **Miejmy to już za sobą.**

Raven pochylila się, a jej włosy rozwiewał wiatr.

- **Pamiętasz, co zrobiłaś tamtej nocy?!** - krzyknęła z powagą. - **Pomyśl!**

Iona spojrziała na nią i wreszcie się odezwała:

- **Nic nie zrobiłam!**

Jej głos, wcześniej taki opanowany, teraz nabrzmiał łzami.

Ogień rozpalil się na dobre; płonące skrawki śmieci unosiły się w powietrzu. Jeden wylądował na stopie Iony i dziewczynka się cofnęła.

Musi się przestraszyć, powiedziała sobie Jez. O to chodzi w tej próbie. Jeśli się nie będzie bała, nigdy nie odkryje mocy. A mówimy tu o ratowaniu świata. Nie torturujemy tego dziecka dla zabawy...

Ale to było złe.

Ta *myśl* nagle ją uderzyła. Jez widziała straszne rzeczy jako wampir i łowca wampirów, ale nie może dłużej na to patrzeć. Musi to przerwać.

Spojrzała na Morgeada. Stał spięty z rękami skrzyżowanymi na piersi, skupiony na Ionie, jakby siłą woli próbował zmusić ją do działania. Tuż obok byli Raven i Val. Twarz dziewczyny pod pasmem ciemnych włosów pozostawała bez wyrazu. Val marszczył brwi, a wielkie dłonie wsparł na biodrach. Thistle stała krok za nimi.

- **Czas to przerwać** - powiedziała Jez. do Morgead gwałtownie się obrócił.

- **Nie. Zaszliśmy za daleko. Bez sensu zaczynać wszystko od początku. Myślisz, że to byłoby dla niej lepsze?**

- **Powiedziałam, czas kończyć. Jak zgasimy ogień? Pomyślałeś o tym?**

Kiedy rozmawiali, Thistle podeszła do ognia, patrząc.

- **Zrób coś, szybko!** - krzyknęła - **bo się spalisz!**

Dziecinny, szyderczy ton jej głosu przyciągnął uwagę Jez, ale Morgead dalej tłumaczył:

- **Ona zaraz to zgasi, musi się tylko przestraszyć...**

- **Morgead, ona już jest śmiertelnie przerażona! Popatrz na nią!**

Morgead się odwrócił, Iona zacisnęła pięści i teraz trzymała je na wysokości piersi. Usta miała lekko otwarte i oddychała zdecydowanie zbyt szybko. Chociaż nie krzyczała ani nie płakała jak zwykle dziecko, Jez widziała, że cała drży. Wyglądała jak małe zwierzątko w pułapce.

- **Jeśli nie zrobi tego teraz, nigdy tego nie zrobi** - oznajmiła spokojnie Jez. - **To od początku był kretyński pomysł i koniec z tym!**

Zauważyła zmianę w jego zielonych oczach; płonący ogień zastąpił mrok - poczucie klęski. Zdała sobie sprawę, że zamierza jej ustąpić.

Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Thistle ruszyła naprzód.

- **Umrzesz!** - pisnęła. - **Zaraz się spalisz!**

I zaczęła kopać płonące śmieci w stronę Iony.

Sprawy potoczyły się bardzo szybko.

Śmieci poleciały w stronę Iony. Dziewczynka otworzyła z przerażenia usta, kiedy płonące skrawki minęły ją o centymetry. Raven wrzasnęła na Thistle, ale tamta dalej kopała.

Kolejna chmura iskier uderzyła w Ionę. Jez widziała, jak dziewczynka zakrywa rękami twarz, a potem wymachuje nimi, gdy kawałek płonącej szmaty upadł jej na rękaw. Na materiale pojawił się płomyk. Iona rozglądała się rozpaczliwie, szukając drogi ucieczki.

Morgead chwycił Thistle za kołnierzyk. Ale ta nie ustąpiła. Wokół unosiły się iskry. Nagle Jez poczuła pieczenie na policzku.

I wtedy oczy Iony zrobiły się ogromne i czarne, znieruchomiały. Jez zrozumiała, że dziewczynka podjęła decyzję, znalazła drogę wyjścia.

Ale nie tę właściwą.

Zamierzała skoczyć.

Jez zobaczyła, że dzieciak odwraca się do skraju dachu i w jednej chwili zrozumiała, że nie zdąży dobiec do malej, żeby ją powstrzymać.

Mogła zrobić tylko jedną rzecz. Miała nadzieję, że będzie wystarczająco szybka.

Niewiele brakowało, a spóźniłaby się. Na szczęście wzdłuż dachu wznosił się murek wysoki na pół metra i Iona potrzebowała tylko chwili, żeby się na niego wspiąć. Dzięki temu Jez zdążyła przeskoczyć ogień.

Dziewczynka jednak stała już na krawędzi. Rzuciła się z rozłożonymi rękami i nogami w dół - trzy piętra. Jez skoczyła razem z nią.

Jez!

Telepatyczny krzyk podążył za nią. Nie miała nawet pojęcia, kto krzyknął. Całą uwagę skupiła na Ionie.

Może w głębi duszy nadal wierzyła, że dziecko ma magiczną moc i sprawi, że wiatr ją uniesie. Ale nic takiego się nie stało i Jez przechwyciła Ionę w locie. Czegoś takiego nie dokonałby żaden człowiek. Ale wampirze mięśnie Jez reagowały instynktownie. Dzięki nim wylądowały na nogach jak kot.

Rzecz jasna nie miała wampirzej odporności. Wiedziała, że kiedy uderzy o ziemię, połamie obie nogi. A może nawet zginąć.

Dziecko jednak powinno się uratować, myślała beznamiętnie kiedy ziemia pędziła jej na spotkanie. Dodatkowa sprężystość ciała Jez powinna zadziałać jak poduszka. Tylko o jednej rzeczy Jez nie pomyślała.

O drzewach.

Wzdłuż omszałego chodnika w regularnych odstępach roiły judaszowce. Pod koniec lata prawie pozbawione liści, ale z pewnością nie brakowało im gałęzi.

Jez spadła na jedną z nich.

Poczuła ból, drapanie i klucie, a nie miażdżące uderzenie o chodnik. Zrobiła salto, kiedy zaczepiła się dzinsami albo skórzaną kurtką. Na szczęście gałęzie zamortyzowały upadek.

Kiedy w końcu uderzyła o beton, zaparło jej dech.

Czarne plamki zatańczyły przed oczami. Po chwili odzyskała zdolność widzenia i zdała sobie sprawę, że leży na plecach z Ioną w objęciach. Lśniące liście judaszowców wirowały wokół niej.

Na boginię, pomyślała. *Udało nam się. Nie wierzę.*

Dostrzegła ciemną smugę i coś uderzyło w chodnik obok niej.

Morgead. Wylądował jak kot na ugiętych nogach, jak wielki kot. Lot z wysokości trzech kondygnacji to sporo nawet dla wampira. Jez widziała, że wstrząs był ogromny, gdy chłopak uderzył o beton, a potem poleciał do przodu.

To musiało zboleć, pomyślała z pewnym współczuciem, Zaraz jednak zerwał się i pochylił się nad nią.

- **Nic Ci nie jest?**- krzyczał. Jego ciemne włosy były potargane i sterczały na wszystkie strony, w zielony oczach płonął dziki ogień.

- **Jez!**

Och. To ty krzyczałeś, kiedy skoczyłam, pomyślała Jez. *Powinnam była wiedzieć.*

Zamrugnęła, patrząc na niego.

- **Oczywiście, że nic mi nie jest** - mruknęła niewyraźnie. Szturchnęła dziecko leżące na niej. - **Iona! Żyjesz?**

Dziewczynka poruszyła się. Obiema rękami kurczowo trzymała się kurtki Jez. W końcu usiadła. Miała wypaloną dziurę w rękawie, ale nie widać było żadnego ognia.

Jej aksamitne brązowe oczy były ogromne... i zamglone. Wyglądała na smutną i zagubioną.

- **To było naprawdę straszne** - powiedziała.

- **Wiem.** - Jez przełknęła ślinę.

Nie potrafiła mówić o uczuciach, ale teraz słowa płynęły jej z ust jak oszalałe.

- **Tak mi przykro. Strasznie przepraszam, naprawdę przepraszam. Nie powinniśmy byli tego robić. To była bardzo zła rzecz i naprawdę mi przykro, teraz zabierzemy cię do domu. Nikt cię nie skrzywdzi. Zabierzemy cię z powrotem do mamy.** Dziewczynka była zmęczona i nieszczęśliwa. Jez czuła się jak potwór, nawet bardziej niż tamtej nocy w czasie polowania w Muir Woods, kiedy zdała sobie sprawę, że poluje na swoich!

Iona siedziała spokojnie, ale broda jej drżała. Jez spojrzała na Morgeada.

- **Możesz usunąć jej wspomnienia? Nie musi tego pamiętać.**

Nadal szybko oddychał, twarz miał bladą, a źrenice rozszerzone.

- Mogę to wymazać.

- Ona nie jest Pierwotną Mocą - powiedziała spokojnie Jez, jakby komentowała pogodę. Morgead się wzdrygnął. Potem odgarnął włosy i na chwilę przymknął oczy.

- To niesamowita dziewczynka. Może kiedyś zostanie prezydentem albo lekarką, albo znanym botanistą.. Kimś nadzwyczajnym, bo ma w sobie to światło, coś, co sprawia, że jest tak odważna. Ale nie ma nic wspólnego z Pierwotną Mocą.

- W porządku! Już wiem! - wrzasnął Morgead, a Jez zdała sobie sprawę, że buzia jej się nie zamyka. Umilkła. Morgead wziął głęboki wdech i opuścił rękę.

- Myliłem się. Popełniłem poważny błąd. W porządku?

- W porządku. - Jez się uspokoiła. - Więc możesz wymazać jej pamięć?

- Tak! Już to robię! - Morgead położył ręce na chudych ramionach Iony. - Postępuj, mała... Przepraszam. Nigdy nie myślałem, że... No wiesz, skoczysz. Iona nic nie powiedziała. Jeśli chciał przebaczenia, nie dostał go. Mówił dalej.

- To był naprawdę paskudny dzień, prawda? Więc może zapomnijmy o nim i zanim się obejrzysz, wrócisz do domu.

Jez czuła, jak Morgead sięga umysłem, dotyka świadomości dziecka. Iona zerknęła niepewnie na Jez.

- Nie bój się - szepnęła Jez. - Nie będzie bolało.

Patrzyła dziewczynce w oczy, próbując ją pocieszyć, podczas gdy Morgead robił swoje.

- W ogóle nie musisz tego pamiętać - mówił kojącym głosem. Delikatnie. - A co powiesz na drzemkę? Możesz zasnąć na chwilę... A jak się obudzisz, będziesz w domu.

Powieki Iony opadły. W ostatniej sekundzie posłała Jez leciutki, zaspany uśmiech. To była le-dwo widoczna zmiana wyrazu twarzy, ale dzięki niemu Jez trochę ulżyło. A potem rzęsy dziewczynki opadły ciężko na policzki i dziewczynka zaczęła oddychać głęboko i miarowo. Jez usiadła i delikatnie odłożyła śpiące dziecko na chodnik. Wygładziła kilka warkoczyków i patrzyła, jak drobna pierś unosi się i opada. A potem spojrzała na Morgeada.

- Dzięki.

Wzruszył ramionami, wypuszczając gwałtownie powietrze,

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Rzucił jej dziwne spojrzenie.

Jez pomyślała o tym w tej samej chwili. To ona martwiła się dzieckiem, dlaczego więc poprosiła jego, żeby wyczyścił jej pamięć?

Ponieważ ja nie mogę tego zrobić, pomyślała oschle. Na głos powiedziała:

- Naprawdę jestem zmęczona po tym wszystkim, co się dziś stało. Niewiele mocy mi zostało.

- Aha... - Zmrużył lekko zielone oczy, przyglądając jej się badawczo.

- Poza tym się poobiętałam. Jez przeciągnęła się, ostrożnie napinając mięśnie i sprawdzając, czy jakaś część jej ciała zaprotestuje.

Badawcze spojrzenie natychmiast zgasło. Morgead pochylił się. Zaczął ją badać. Był wyraźnie zatroskany.

- Możesz się poruszać? Czujesz odrętwienie?

- Wszystko w porządku.

- Jez... przepraszam - wypalił niezręcznie. - Nie chciałem... Nie tak to planowałem. Dzieciak mógł zginać, ty też. Nie tak miało być.

Jez się zdziwiła. Nie mów mi, że się tym przejmujesz. Ale Morgead nie kłamał. I wyglądał na zmartwionego - jeszcze go takim nie widziała. Źrenice nadal miał rozszerzone, jakby się przestraszył.

- **Nic mi nie jest** - uspokoiła go Jez. Tylko to jej przyszło na myśl. Nagle zakręciło jej się w głowie. Czowała się trochę zamroczone i wszystko jej się mieszało, jakby nadal spadała z dachu.

- **Wręcz przeciwnie** - odpowiedział odruchowo, jakby znowu chciał się pokłócić, ale jednocześnie dotknął jej policzka.

Tego, który sparzyła iskra. Bolało, ale Morgead dotykał tak delikatnie... Wydawało jej się, że z jego palców płynie chłód, sączy się do oparzenia i koi ból. Jez zatkała.

- **Morgead, co robisz?**

- **Daję ci część mocy. Masz jej niewiele, a sporo potrzebujesz.**

Dawał jej moc? Nigdy nie słyszała o czymś takim. Ale rzeczywiście robił to. Czowała, że skóra szybciej się goi, siła wlewa się w jej ciało, i to było dziwne wrażenie. Zadrżała w duchu.

- **Morgead...**

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Nagle widziała już tylko jego oczy, a reszta świata się zamazała. Słyszała tylko jego cichy oddech, czuła tylko jego delikatny dotyk.

- **Jez...**

Pochylali się ku sobie, lecieli ku sobie. To ta srebrna nić między nimi. Przyciągała ich. Nie mieli czego się chwycić, prócz siebie nawzajem. I wtedy Morgead objął ją i Jez poczuła jego usta na swoich.

Rozdział 13

Pocałunek był ciepły i słodki, a nie przerażający. Jez się rozluźniła w ramionach

Morgeada, zanim zorientowała się, co robi. Jego serce biło tak szybko tuż przy jej sercu. Kręciło się jej w głowie, ale była bezpieczna; cudowne uczucie.

Jednak bliskość jego umysłu to inna sprawa. Było jak za pierwszym razem: straszne przyciąganie, któremu nie sposób się oprzeć. Chciało wyssać jej duszę i zmieszać z duszą chłopaka, żeby stali się jedną osobą. Morgead poznałby wtedy każdy jej sekret i Jez nie mogłaby się już schować.

A najgorsze z tego wszystkiego było to, iż wiedziała, że to nie jest jego wina. To jakaś siła zewnętrzna na nich działała, ciągnęła ich, a oni byli bezradni.

Nie chcieli tego.

Nie chcemy, wmawiała sobie desperacko Jez. Nienawidzimy tego. Żadne z nas nie chce dzielić się duszą. W takim razie dlaczego Morgead nadal ją trzymał, nadal całuje? I dlaczego ona mu na to pozwala?

W tej samej chwili poczuła, że jego umysł sięga za mur, który zbudowała. Muska jej myśli delikatnie jak skrzydła ćmy. Rozpoznała Morgeada. Czowała jego duszę - ciemną, lśniąca i pełną gorących uczuć wobec niej. Otwierał się przed nią, nie próbował z tym walczyć ani tego powstrzymać. Oddawał się jej z własnej woli...

Ten dar praktycznie ściął ją z nóg. Nie mogła się temu oprzeć. Jej umysł poddawał mu się, myśli nawzajem płatały. Fala przyjemności, która nagle się pojawiła, była przerażająca. Tylko tym razem się bała.

I wtedy poczuła, że on reaguje, czuła jego szczęście, czuła, jak jego myśli ją otulają, obejmują jej umysł równie delikatnie jak ręce ciało. I białe światło eksplodowało...

Jez! Morgead! Co z wami?

Te słowa były obce, zimne, niechciane. Włamały się do ich małego świata i nie dawały im spokoju. Jez próbowała ją odepchnąć.

Ej, słuchajcie, tylko próbuję pomóc. Jeśli żyjecie, to dajcie znać, dobra?

Morgead wydał się z siebie coś, co brzmiało jak jęk.

To Val. Muszę go zabić.

Pomogę ci. Powiedziała mu Jez. I wtedy coś do niej dotarło.

Czekaj. Gdzie my jesteśmy?

To było dobre pytanie. Dziwne, ale niezbędne. Potrzebowali chwili, żeby rozplatać swoje myśli i powrócić do realnego świata.

Wyglądało na to, że siedzą objęci pod resztkami judaszowca. Jez z głową na ramieniu Morgeada, a Morgead z twarzą przyciśniętą do jej włosów.

Przynajmniej już się nie całujemy, pomyślała niezbyt przytomnie. Czowała, że robi się czerwona.

Reszta gangu stała wokół nich, patrząc z niepokojem.

- **Czego chcecie?** - zapytał oschle Morgead.

- **Czego chcemy?!**

Raven pochyliła się nad nimi, a jej ciemne włosy opadły na twarz. Ale Jez widziała za ich zasłoną granatowe oczy dziewczyny.

- **Skoczyliście z dachu, kiedy ogień wymknął się spod kontroli. Musieliśmy go ugasić, a później zeszliśmy sprawdzić, czy jeszcze żyjecie. I znaleźliśmy was w tej niedwuznacznej sytuacji.**

- **Nic nam nie jest** - warknął Morgead i zamilkł.

Żadne z nich nie miało ochoty o tym mówić, a już na pewno nie przy innych. Sprawa mogła poczekać, aż zostaną sami. Nie musieli nawet tego uzgadniać. Po prostu wiedzieli.

- **A co z nią?** - Thistle wskazała na Ione, która spała na chodniku.

Jez przysunęła się do dziewczynki. Przyjrzała się drobnemu ciału, ale dzieciak oddychał równo i był spokojny.

- **Jej też nic nie jest** - odpowiedziała, sadwiąc się z powrotem. Spojrzała na Thistle. -

Nie żeby zawdzięczała to tobie

Dziewczyna się zarumieniła. Wyglądała na złą i zawstydzoną.

- **To tylko człowiek** - broniła się.

- **To dziecko!** - wrzasnął Morgead, zrywając się na równe nogi. Stanął nad Thistle, która nagle wydała się bardzo mała.

- **A ty nim nie jesteś** - ciągnął bez współczucia. - **Jesteś tylko szesnastoletnią nędzną kopią Shirley Temple.**

- **Spokojnie** - rzuciła ostro Jez i zmroziła wzrokiem oboje.

- **Zostaw to mnie** - dodała. - **A ty... jeśli jeszcze raz skrzywdzisz dziecko, obetnę ci łeb.** - Thistle otworzyła tylko usta, ale nic nie powiedziała.

Jez pokiwała głową.

- **No dobra, wszystko jasne. Teraz musimy odwieźć ją do domu.**

Val zgłupiał,

- **Do domu?**

- **Tak.** - Jez podniosła dziecko. - **O ile nie zauważyłeś, nie jest Pierwotną Mocą,**

- **Ale...** - Val wodził niepewnie wzrokiem. - **Chcesz powiedzieć, że się pomyliliśmy?**

- **Kiedyś musiał być ten pierwszy raz, nie?** - Morgead spiorunował go wzrokiem.

- **Ale, w takim razie... kto jest Pierwotną Mocą?** - zapytał cicho Raven.

- **Kto to wie?** - odezwał się po raz pierwszy Pierce z rozbawieniem na twarzy.

Jez zerknęła na niego. Jego jasne włosy lśniły w czerwonym świetle zachodzącego słońca. W jego ciemnych oczach dostrzegła kpinę.

Nie lubię cię, pomyślała.

Ale oczywiście miał rację.

- **Jeśli ten dzieciak nie jest Mocą...** Cóż, w takim razie to może być ktokolwiek - powiedziała powoli. - **Ktoś, kto bardzo chciał uratować to dziecko. Strażak, sąsiad...**

- **Zakładając, że niebieski rozbłysk to rzeczywiście dowód na obecność Pierwotnej Mocy** - dodał Pierce.

- **Na pewno.** - Jez zerknęła na Morgeada. - **To wyglądało jak błękitny ogień.**

- **Babka Harman śniła, że Pierwotna Moc jest w San Francisco** - dodał Morgead. - **To wszystko pasuje** - Spojrzał, zadowolony, na Jez. - **Ale wiesz, to nie mógł być ktokolwiek.**

- **Dlaczego nie?**

- **Z powodu tego wersu z proroctwa, o którym wspomniałaś: „Narodzonych w roku wizji ślepej Dziewicy”. To oznacza, że to musiał być ktoś, kto jeszcze nie skończył osiemnastu lat. Przedtem Aradia nie miała wizji, bo jeszcze się nie urodziła.**

Na boginię, dzisiaj naprawdę wolno kójarzę, pomyślała Jez. Powinnam była na to wpasć. Niechętnie skinęła głową, a on w odpowiedzi wyszczerzył zęby.

- **To nadal niewiele** - rozsądnie zauważyła Raven. - **Ale może pogadamy o tym w środka? W końcu ktoś zobaczy nieprzytomnego dzieciaka.**

- **Słusznie** - zgodziła się Jez. - **Zabieram ją do domu.**

- **Pomogę ci** - dołączył Morgead.

Jez zerknęła na niego, na jego twarzy malował się upór.

- **No dobra, ale tylko my.** - Odwróciła się do Raven. - **Macie wolny wieczór. Spróbujcie się zorientować, kto jest Pierwotną Mocą. Spotkamy się jutro i ustalimy fakty.**

- **Po co czekać?** - zdziwił się Val. - **Dopiero zmierzcha. Możemy spotkać się później...**

- **Jestem bardzo zmęczona** - przerwała mu Jez. - **Mam dość na dzisiaj.**

Co ja powiem ciotce Nan? - pomyślała. Nie wspominając o wagarach.

Pierce przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy.

- **Chcesz donieść Hunterowi, że zawiedliśmy** - sondował ją tonem, który Jez się nie spodobał.

- **Pewnie, powiem mu, że schrzaniłicie sprawę** - rzuciła oschle. - **Ale nadal mamy parę możliwości. Chyba że wolicie przyznać się, że jesteście idiotami i nie warto wam dawać drugiej szansy.** - Cały czas patrzyła na Pierce'a. W końcu chłopak odwrócił wzrok.

Kątem oka zauważyła, że Morgead się skrzywił, ale nic nie powiedział. Podeszedł do motorów.

Nie mogli rozmawiać w czasie jazdy. Zresztą Jez i tak miała o czym myśleć.

Musiała się zastanowić nad tym, co się między nimi wydarzyło.

To było niesamowite. Elektryzujące. Ale też oświecające. Wiedziała, co się im przydarzyło. To była reguła pokrewnych dusz.

Więc jesteśmy pokrewnymi duszami. Morgead i ja. Po tych wszystkich walkach i kłótniach. To takie dziwne, ale na swój sposób ma sens...

Ale nawet jeśli oboje przetrwamy następny tydzień, to nigdy więcej się nie zobaczymy.

Ta myśl nagle w nią uderzyła, pozbawiając ją nadziei. To była okrutna prawda.

Niestety, wszechświat wybrał dla niej niewłaściwą osobę na pokrewną duszę. Wkrótce zaniewidzi Jez i będzie chciał ją zabić.

Fatalny błąd, wszechświecie, pomyślała, zduszając śmiech. Zdała sobie sprawę, że znalazła się na skraju hysterii.

To był potwornie długi dzień, wszystko ją bolało. Nie wypełniła misji. A Morgead był w niej beznadziejnie zakochany. Nic dziwnego, że czuła się oglupiała. Miała szczęście, że nie zleciała przy tym z motoru.

Naprawdę nie było żadnej nadziei. Nawet w czasie tego ostatniego spotkania, kiedy chłopak odsonił przed nią duszę. Jez zdołała ukryć swoje sekrety. Nie wiedział. Nie miał pojęcia, że dziewczyna, w której się zakochał, to robactwo. Po to współpracowała z Kręgiem Świtu i okłamała go, żeby skraść mu sprzed nosa Pierwotną Moc i przekreślić nadzieje wampirów na świat bez ludzi.

Morgead był ambitny, zawsze to wiedziała. Zależało mu tylko na tym, żeby piąć się coraz wyżej i zdobyć władzę. Obiecała mu dobrą pozycję, kiedy nadejdą zmiany, a jednocześnie robiła wszystko, żeby temu zapobiec

Nigdy nie wybaczy jej tego kłamstwa. Nigdy nie zdoła zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

Musisz o nim zapomnieć, to powiedziała chłodna i praktyczna część jej umysłu. I nic w Jez nawet nie próbowało się z tym spierać.

Zrobiło się ciemno, zanim dojechali do Marina District. Kiedy zbliżyli się do blokowiska, Jez zobaczyła przed sobą światła.

Wozy policyjne. Cóż, to żadna niespodzianka. Matka Iony musiała zawiadomić policję. Jez miała tylko nadzieję, że kobieto nie zamartwiała się za bardzo...

Idiotko, parsknął zgryźliwie jej umysł. *Miała się nie martwić, kiedy zapadł zmierzch, a jej ośmioletnia córka zniknęła?*

Skręciła w zaułek, a Morgead pojechał za nią.

- **Musimy ją podrzucić** - powiedziała, przekrzykując silnik. - **Zostawimy ją przy radiowozie. Pewnie będą nas ścigać. Jesteś gotowy?**

Kiwnął głową.

- **Powinniśmy się rozdzielić. Wtedy będzie im trudniej nas złapać.**

- **Racja. Jedź do domu, jak ich zgubisz. Ja też to zrobię.**

Nie widziała jego twarzy w ciemnym zaułku, ale wiedziała, że patrzy na nią.

- **Tak? Wrócisz do domu?**

- **To znaczy pojadę tam, gdzie się zatrzymałam.**

Spodziewała się, że zapyta, będzie chciał wiedzieć, gdzie to jest i czym Jez się zajmuje. Ale nie spytał. Zamiast tego powiedział:

- **Musisz?**

Zamrugła zaskoczona. A potem zmarszczyła brwi.

- **Tak, muszę. Chcę. Jestem zmęczona, Morgead i poza tym nie jestem gotowa na noc z chłopakiem.**

- **Nie to miałem na myśli...**

Jez machnęła ręką.

- **Wiem. Przepraszam. Ale mimo wszystko jestem wykończona i...**

I mam inne obowiązki, których nie zrozumiesz. I jeśli zostanę tu dłużej, dowiesz się, czym jestem.

- **I nadal jesteś wściekła** - rzucił smętnie.

- **Nie jestem wściekła...**

- **Zdenerwowana...**

O czym on mówił?

- **Po prostu jestem zmęczona** - odpowiedziała stanowczo - **A teraz podrzucmy dziecka i zobaczymy się jutro.**

- **Ja...** - Gwałtownie wypuścił oddech. - **W porządku.**

Jez nie marnowała więcej czasu. Rozpięła kurtkę, pod którą trzymała Ione. A potem popędziła ulicą.

Jedna przecznica, druga. Teraz znajdowała się dokładnie na wysokości ciemnego, opuszczonego podwórka i niemal przy wozach policyjnych. Stało tam kilku policjantów, którzy rozmawiali, i paru gapiów, pewnie sąsiadów.

Jez namierzyła jedną osobę.

Skręciła do kobiety, która stała na brzegu chodnika. Podjechała szybko i zahamowała gwałtownie.

- **Cześć** - powiedziała. - **Trzymaj.**

Kobieta odwróciła się i rozdziawiła usta. Jez nie wahała się tylko wsadziła jej w ramiona Ione. Kobieta automatycznie złapała dziecko.

- **Oddaj ją mamie, dobrze?**

I z rykiem odjechała. Słyszała za sobą Morgeada i krzyki z okolic blokowiska. A potem policyjną syrenę.

Zerknęła za siebie. Morgead właśnie skręcał w boczną ulicę, machnął do niej raz, a potem dodał gazu.

Jez słyszała teraz więcej syren. Przekręciła manetkę i ruszyła w kierunku Bay Bridge.

Przynajmniej przy okazji pościgu trochę się zabawi.

Kiedy wreszcie zgubiła wozy policyjne, skręciła w stronę Clayton. Zadręczałaby się tym, co powiedzą ciotka i wujek. Gdyby tak bardzo nie martwiła się o Ione.

Nic jej nie będzie, powiedziała sobie. Nie będzie niczego pamiętać, a jej mama zaopiekuje się nią.

Ale Jez nie mogła pozbyć się poczucia winy... Delikatnie rzecz ujmując. Pojawiła się jakaś więź między nią a dzieckiem. Czuliła się za nią odpowiedzialna, ale nie tylko dlatego, że ją porwała i przeraziła.

Nikt nie powinien dorastać w takim miejscu. Może i biegałam po ulicach, kiedy byłam mała, że przynajmniej miałam stryju Brackena i miły dom, do którego mogłam wrócić, jeśli chciała. A Iona nawet nie miała bezpiecznego podwórka.

Powinam zrobić coś dla niej, ale co mogę zmienić?

Nie wiem, może mogłabym ją kiedyś odwiedzić. Może kupiłabym jej jakąś roślinę...

Nie było prostych odpowiedzi, a właśnie podjeżdżała do schludnego żółtego domu.

Dom.

Czas stawić czoło konsekwencjom, pomyślała. Wujowi Jimowi, cioci Nan i okropnej Claire. Miała nadzieję, że jakoś to przeżyje i będzie mogła potem zadzwonić do Hugh.

Wjechała do garażu, zsiadła z motoru i weszła do domu.

- ... I dość. Żeby to zrobić dzień po tym, jak złożyłaś obietnicę? Więc co mamy sobie myśleć? Jak mamy ci znowu zaufać.

Jez siedziała w salonie na niebieskiej kanapie w kwiaty. To pomieszczenie w domu Goddardów było używane tylko przy okazji ważniejszych wydarzeń.

To było jedno z nich. Sąd wojenny.

A Jez nie mogła nic powiedzieć tym ludziom. Nie mogła wytłumaczyć się w sensowny sposób.

- Po pierwsze, zostawiłaś Claire, chociaż obiecałaś nam, że pojedziesz z nią do szkoły. - Ciotka Nan wyliczała na palcach - Po drugie, uciekłaś z lekcji, chociaż obiecywałaś, że już nie będziesz wagarować. Po trzecie, pojechałaś gdzieś, nie dając nam znać. Po czwarte, nie zadzwoniłaś. Po piąte, wróciłaś do domu o dziesiątej wieczorem...

Wuj Jim odchrząknął.

- Nan, myślę, że już to omówiliśmy.

Kilka razy, pomyślała Jez. Cóż, przynajmniej Claire świetnie się bawi. Kuzynka stała w drzwiach do salonu i po prośbie słuchała. Kiedy pochwyciła wzrok Jez, uśmiechnęła się promiennie, a jej drobna twarzyczka dosłownie jaśniała z zadowolenia.

Ciotka pokręciła głową.

- Chciałam się upewnić, że rozumie, Jim. Myślałam, że dotarło to do niej wczoraj wieczorem, ale najwyraźniej... Uniosła rękę.

- Cóż, rzecz w tym... - Wuj Jim znowu odchrząknął i spojrzał na Jez. Źle się czuł w roli egzekutora, ale był wściekły. - Chodzi o to, że nie możemy na ciebie krzyczeć za każdym razem, kiedy coś zmalujesz. Postanowiliśmy zamknąć twój motor. Nie możesz więcej na nim jeździć, dopóki nie pokażesz, że jesteś odpowiedzialna.

Jez siedziała oszołomiona.

Tylko nie to. Nie mogli jej odebrać motoru, i jak się dostanie do...

Musiała pojechać jutro do Morgeada, musiała spotkać się z Hugh. Musiała odszukać Pierwotną Moc. A żadnej z tych rzeczy nie zrobi bez środka transportu.

Niestety wuj Jim mówił poważnie. W końcu postanowił wykręcić jej śrubę.

Wypuściła oddech. Chciała wrzasnąć, wypaść z pokoju, zrobić awanturę, stracić nad sobą panowanie i pójść na całego, ale to by nic nie dało. Poza tym zdołała panować nad sobą przez prawie rok, odkąd mieszka z tymi ludźmi, prowadzić podwójne życie uczennicy i łowcy wampirów. Głupio by było teraz to wszystko przekreślić.

Czuła jednak, że jest o krok od utraty panowania nad sobą. Wystarczył jeden dzień z Morgeadem, żeby doprowadzić ją do takiego stanu. Zniszczył wszystko, co z taką precyzją budowała. Wszystko zniweczył.

Morgead... Nie mogła teraz o nim myśleć.

- W porządku, wujku - powiedziała wreszcie. - Rozumiem, robisz, co musisz.

- Jeśli się poprawisz, to dostaniesz motor z powrotem. Musisz nauczyć się traktować życie trochę bardziej serio.

To sprawiło, że parsknęła śmiechem. Roześmiała się, zanim się zorientowała, co robi, a wujostwo spojrzeli na nią z naganą.

- Przepraszam - westchnęła. - Postaram się bardziej.

Będę musiała jutro skorzystać z transportu publicznego, pomyślała, kiedy kazanie się skończyło i wreszcie mogła wrócić do pokoju. Chociaż to o wiele bardziej niebezpieczne. Tak łatwo mnie wtedy dorwać...

- Zadarłaś z niewłaściwymi ludźmi, wiesz? - powiedziała Claire, kiedy Jez doszła do swoich drzwi. - Nie powinnaś mnie zostawiać..

- Pewnie, Claire, teraz już wiem swoje. Jestem przerażona.
- Nadal nie traktujesz sprawy poważnie, co?
- Claire... - Jez podeszła do kuzynki. A potem zamarli w pół kroku. - Nie mam na to czasu
- mruknęła. - Muszę zadzwonić. Idź czepiać się kogoś innego.
Zamknęła drzwi dokładnie przed nosem Claire.
Co jak się później okazało, było błędem.
Padała z nóg ze zmęczenia. Była zrozpaczona wydarzeniami ostatnich godzin.
Więc kiedy podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Huga ledwo usłyszała ciche kliknięcie na linii, ale nie zareagowała.

Rozdział 14

Miałaś jakieś kłopoty z dojazdem? - zapytał Hugh.

Był ranek następnego dnia, zupełnie innego niż poprzedni. Niebo było zachmurzone, a powietrze ciężkie. Wszyscy, którzy mijali Jez na stacji szybkiej kolei Concord BART, wyglądali na przygnębionych.

- **Niewielkie** - odpowiedziała i usiadła obok chłopaka. Siedzieli na końcu peronu, poza zadaszonym obszarem z ławkami, obok małego betonowego domku ochrony. To było ustronne i bezpieczne miejsce na spotkanie - na stacji o tej porze nie było żywej duszy

- **Zapięli motor grubym łańcuchem. Claire zawiozła mnie do szkoły, obserwowała mnie jak wilkołak pilnujący obiadu. Ciotka Nan zadzwoniła do szkoły, żeby się upewnić, że nie uciekłam z lekcji.**

Hugh się zmartwił. Delikatny, ciepły podmuch poruszył jego jasnymi włosami.

- **Więc co zrobiłaś?**

Jez wyszczerzyła zęby.

- **Urwałam się.** - Wzruszyła ramionami i dodała: - **Poprosiłam chłopaka z zajęć w warsztacie samochodowym, żeby mnie tu podwiózł. Nie było tak trudno.**

Uśmiechnął się do niej smutno i zapatrzył się w dal.

- **Ale przecież się dowiedzą. Naprawdę bardzo mi przykro, że wywracam ci życie do góry nogami.**

Znowu wzruszyła ramionami.

- **No tak, ale życie wszystkich ludzi jest zagrożone.**

- **Wiem.** - Zadrżał lekko. Podciągnął nogi i objął je rękami. Spojrzał na Jez, opierając brodę na kolanach. - **Więc czego się dowiedziałas?**

- **Ta dziewczynka, którą Morgead wziął za Pierwotną Moc, wcale nią nie jest.**

Wyglądała tak słodko w tej pozycji, pomyślała wbrew sobie.

Morgead nigdy w życiu by tak nie usiadł. Hugh się skrzywił.

- **Świetnie. Jesteś pewna?**

- **Tak. To był mały dzieciak, osiem lat. Naprawdę niezwykła dziewczynka, ale nie aż tak niezwykła. Była...** - Jez próbowała wymyślić, jak ją opisać. I nagle zobaczyła oczy Hugh. Były niezwykłe, niezmierzone, smutne i łagodne zarazem. Nagle Jez zrozumiała. Aż ją zatkało. - **Na boginię, wiem! Ona była jak ty. Ten dzieciak to Stara Dusza.**

Hugh uniósł brwi.

- Tak myślisz?

- Na pewno. Tak samo patrzyła, jakby widziała już wszystko, całą historię, i wiedziała, że człowiek jest tylko jej maleńką częścią. Wiesz, „spojrzenie z szerszej perspektywy”. Jakby była, ponad głupimi ludzkimi sprawami.

- Ale to nie Pierwotna Moc - powiedział cicho Hugh.

Wyglądał, jakby po części mu ulżyło, a po części był rozczarowany.

- Więc kontakt z Morgeadem jest bezużyteczny.

- Właściwie to nie. Ma dowód na istnienie Pierwotnej I Mocy na taśmie wideo. -

Jez opowiedziała o nagraniu, pożarze i błękitnym rozbłysku. - Więc pewnie ktoś w pobliżu dziecka jest Pierwotną Mocą. Znam ten teren i Morgead też. Możemy ustalić, kto to.

Hugh zagryzł wargi. A potem spojrzał jej prosto w twarz.

- Jak to przyjął, twój powrót i tak dalej?

Jez wbiła wzrok w tory szybkiej kolei. Przypominały zwykłe szyny kolejowe z tą różnicą, że obok widniała tabliczka z napisem: „Uwaga! Trzecia szyna pod napięciem”. Nagle coś zadudniło i ze świstem wjechał pociąg jak futurystyczny biały smoki zatrzymał się i kilka osób z niego wysiadło. Jez poczekała, aż pociąg odjedzie, nim odpowiedziała.

- Morgead... w pierwszej chwili nie był zadowolony. Ale potem jakoś się przyzwyczaił. Nie sądzę, żeby robił mi jeszcze jakieś problemy. No chyba że się dowie...

No wiesz.

Nie bardzo wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Nie chciała rozmawiać z Hugh o Morgeadzie. A już z pewnością nie chciała mu wyjaśniać, co się wydarzyło. Zwłaszcza kiedy sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Nadal uważasz, że cię znienawidził gdy się dowie, że jej jesteś pół człowiekiem?

- cicho zapytał Hugh.

Jez zaśmiała się krótko.

- Uwierz mi. Jak w banku.

Zapadła cisza. W głowie Jez pojawiło się pytanie. *Gdybym miała wybierać między Hugh i Morgeadem, kogo by wolała?*

Oczywiście to była idiotyczna myśl. I tak nie mogła mieć żadnego z nich. Hugh był Starą Duszą i znajdował się poza zasięgiem. Nie wspominając już o tym, że traktował ją jak przyjaciółkę. A Morgead może i jest jej pokrewną duszą, ale zabiłby ją gdyby odkrył prawdę.

Ale mimo wszystko, gdyby miała wybór.. Hugh czy Morgead.

Dzień wcześniej bez wahania wskazałaby na Hugh. Czy to dziwne, że teraz odpowiedziałaby całkiem odwrotnie?

Bo chociaż to było niemożliwe i wiedziała, że to śmiertelnie niebezpieczne, to właśnie w Morgeadzie była zakochana. Zrozumiała to w tej chwili. Jaka szkoda, że nie mieli żadnej szansy.

Jez złapała się na tym, że znowu się zaśmiała, a potem zdała sobie sprawę, że Hugh nadal jej się przygląda. Zaczerwieniła się.

- Odplynęłaś myślami.

- Po prostu nie mogę się skupić. Chyba się nie wyspałam. Poza tym te wczorajsze atrakcje.

Nadal była obolała po walce na kije i upadku z Ioną. Ale to jej problem, nie Hugh. Wzięła wdech i zmieniła temat.

- Wiesz, jest coś, o co chciałam cię zapytać. Morgead powiedział, że Rada wygrzebała inną przepowiednię na temat tego skąd pochodzą Pierwotne Moce. Słyszałeś o tym?

Pokręcił głową, więc zacytowała:

*Jedno z krainy królów dawno zapomnianych.
Jedno z paleniska, gdzie się iskra tli.
Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.
Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.*

- Ciekawe. - Szare oczy Hugh zabłyśły. - „Jedno z paleniska...”. To muszą być wiedźmy Harman. Początkowo nazywano kobietami Ogniska.

- Aha. Ale ta linijka ze światem dnia... chodzi o człowieka, co nie?

- Tak to brzmi.

- Tak właśnie pomyślał Morgead. To dlatego uznał, że ta i mała dziewczynka może być Pierwotną Mocą, chociaż jest człowiekiem. Ale nie mogą zrozumieć tego „gdzie dwoje oczu patrzy”.

- Hm... - Hugh zapatrzył się w dal, jakby spodobało mu się to wyzwanie. - Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi na myśl, to wiersz. To szło jakoś tak: „Noc ma tysiące oczu, dzień tylko jedno oko”. Wiesz, oko to słońce, a tysiące oczu to gwiazdy.

- Hm. A księżyc? Hugh wyszczerzył zęby.

- Nie wiem. Może autor nie był dobry z astronomii.

- Cóż, to niewiele pomaga. Myślałam, że to może być jakaś wskazówka. Ale prawda jest taka, że nawet nie wiemy, czy szukamy ludzkiej Pierwotnej Mocy.

Hugh znowu oparł brodę o kolana.

- Racja. Ale dam znać Kręgowi Świtu o przepowiedni. Może nam jednak pomóc. - Przez chwilę milczał, a potem dodał - Wiesz, oni też wykopali coś ciekawego. Najwyraźniej Indianie Hopi całkiem precyzyjnie przewidzieli koniec świata.

- Indianie Hopi?

- A właściwie powinienem powiedzieć końce świata. Wiedzieli, że to się stało przed ich czasem i że stanie się znowu. Ich legendy mówią, że pierwszy świat został zniszczony przez ogień. Drugi przez lód. Trzeci skończył w wodzie, w potopie. A czwarty świat... Nasz świat. Ma się skończyć we krwi i ciemności. I to niedługo.

- Pierwszy świat...? - mruknęła Jez.

- Nie pamiętasz historii świata nocy? - Uśmiechnął się z przekąsem, ale oczy nadal miał poważne. - Pierwsza cywilizacja należała do zmiennokształtnych. Wtedy ludzie bali się wyjść ze swoich jaskiń. Zmiennokształtni rządzą, a ludzie brali ich za bogów. Duchy zwierząt, totemy. To był świat zmiennokształtnych. Trwał jakieś dziesięć tysięcy lat, aż grupa wulkanów nagle się uaktywniła i...

- Ogień.

- Aha. Klimat się zmienił, ludzie przenieśli się, a zmiennokształtni stracili panowanie. Potem nastąpił świat wiedźm. Wiedzmy radziły sobie lepiej niż ktokolwiek inny przez dziesięć tysięcy lat, ale potem nadeszła epoka lodowcowa...

- I wojny nocy - przypomniała sobie Jez. - Kiedy wampiry walczyły z wiedźmami.

- Właśnie. I potem panowanie przejęły wampiry, nastał ich świat, co potrwało jakieś następne dziesięć tysięcy lat, aż do potopu. Po nim nastąpiła nasza cywilizacja. I trwa już całkiem długo. Istoty nocy trzymają się na uboczu, kryją się. Ale... -urwał i się wyprostował. - Świat ludzi zaczął się około ośmiu tysięcy lat przed naszą erą.

- och.

- Właśnie. Koniec tego tysiąclecia oznacza kres panowaniu człowieka. - Uśmiechnął się do niej z leciutką kpina. - My, ludzie, mamy przegrać. Coś się wydarzy, co przyniesie krew ciemność, a potem nastanie całkiem nowy świat.

- O ile tego nie powstrzymamy - powiedziała Jez. - A powstrzymamy, ponieważ musimy.

Uśmiech Hugh zmienił się, złagodniał.

- Myślę, że mamy szczęście, że tacy ludzie jak ty próbują. -A później spoważniał.

Hugh spojrzał niepewnie. - Jez... wiesz, Stare Dusze wcale nie są ponad „głupimi ludzkimi sprawami”. Jesteśmy ludźmi jak reszta. I my... to znaczy ja...

Serce Jez przyspieszyło. Sposób, w jaki na nią patrzył. Nigdy nie widziała go takim.

Rozległo się kolejne dudnienie i pociąg wjechał na stację.

Hugh zamrugał, zerknął na zegar elektroniczny nad peronem, u potem na swój. Zaklął.

- Powinienem być już gdzie indziej, jestem spóźniony.

Serce Jez ponownie skoczyło, jakby z ulgą.

- Ja też - przyznała. - Muszę się spotkać z Morgeadem, zanim wszyscy wyjdą ze szkoły. Wsiądę do następnego pociągu do San Francisco.

Hugh nadal się wahał.

- Jez.,.

- Idź. - Wstała. - Zadzwoń, jeśli coś znajdziesz. Życz mi szczęścia.

- Uważaj na siebie - powiedział. Szybko odszedł.

Jez patrzyła za nim jeszcze przez chwilę. Zastanawiała się, co chciał jej powiedzieć.

Odwróciła się, żeby przejść na środek peronu. Właśnie obchodziła chodzącą betonowy domek, kiedy usłyszała hałas po drugiej stronie.

Jakby ktoś się skradał. Ochroniarze tak nie chodzą.

Jez nie wahała się. Bezszelestnie zmieniła kierunek, zachodząc szpiega od tyłu. Kiedy tylko zobaczyła plecy intruza, skoczyła.

Złapała go za nadgarstek. Już wiedziała, że to nie będzie walka na śmierć i życie.

- Jez, auć, to ja! - wyjąkała Claire.

- Wiem, że to ty.

- Puść moją rękę!

- Miałaś ciekawy poranek? Usłyszałaś jakiś dobry dowcip

- Jez!

Claire szarpała się, próbując uderzyć kuzynkę. Jez pozwoliła jej usiąść, ale nadal ją trzymała. Dziewczyna była czerwona i wściekła. Ciemne włosy opadały na policzki.

- No dobra, podstuchiwałam. Pojechałam za tobą. Nie wiedziałam, że całkiem ci odchrzanilo!

- Cóż, szkoda, że wcześniej na to nie wpadłaś. Teraz muszę cię zabić, żebyś się nie wygadała.

Claire zrobiła wielkie oczy i aż się zadławiła. Jez nagle zdała sobie sprawę, że mimo błyszczących oczu i wrzasków, kuzynka była śmiertelnie przerażona.

Puściła jej rękę i Claire zgarbiła się, rozcierając nadgarstek,

- Ty... ty naprawdę zwariowałaś, prawda? - Claire spojrzała na nią z ukosa, odgarniając włosy. - To całe gadanie o końcu świata... To jakaś dziwaczna gra, w którą grasz z przyjaciółmi, nie? Coś w stylu tych gier fabularnych...

- A jak myślisz? - Jez wstała i podała jej rękę, obawiając się, że ktoś mógłby je zauważyć. Pociągnęła Claire za domek. Prawdę mówiąc, sytuacja nie była zabawna. Kuzynka wpakowała się w prawdziwe kłopoty.

Wszystko, nad czym pracowała cały rok, zostało zniszczone. Claire wiedziała za dużo, a do tego nienawidziła Jez wystarczająco mocno, żeby wykorzystać to przeciwko niej.

- Myślę... Nie wiem, co myśleć. - Claire przełknęła ślinę. - Kim był ten chłopak?

- Jeden z moich dziwnych przyjaciół. Zgadza się?

- Wcale nie robił wrażenia dziwnego. Kiedy mówił, wydawało się... Sama nie wiem. Brzmiało to... - Claire urwała. Wreszcie oprzytomniała i skończyła ledwo słyszalnym głosem. - Prawdziwie.

- Super.

Teraz naprawdę muszę ją zabić. Co innego mogę zrobić?

- To nie jest gra, prawda?

Claire spojrzała na nią. Cały gniew zniknął z jej ciemnych oczu. Pokręciła głową.

- Ale to przecież niemożliwe. Wampiry, zmiennokształtni i Wiedźmy... To po prostu... - znowu urwała.

Oczy Jez może i były mniej srebrne niż rok temu, ale nadal wyglądały dziwnie. Wydawało się, że Claire zapada się w sobie, jakby straciła coś niezbędnego do życia.

Być może niewinność, pomyślała ponuro Jez.

- O Boże, to prawda - szeptała jak w transie. - To rzeczywiście prawda. To dlatego znikasz, tak? Znikasz... bo coś knujesz,

- Aha.

Claire się zgarbiła.

- O Boże... Boże. To takie dziwne. To... Nie spodziewałam się niczego takiego.

Znam to uczucie, pomyślała Jez. Kiedy cały świat wywraca się do góry nogami, a ty masz dwie sekundy, żeby się do tego dostosować. Też to przeszłam, jakiś rok temu.

Ale to na pewno nie pomogłoby Claire. Mogła tylko powiedzieć:

- Przykro mi.

Claire najwyraźniej jej nie słyszała. Mówiła dalej niemal niesłyszalnie:

- To dlatego... Stąd te wszystkie dziwne rzeczy o twoim ojcu. Nikt nic nie wie o jego o rodzinie i w ogóle. Od początku wiedziałam, że coś z tobą nie tak, nie potrafiłam tylko powiedzieć co.

No super, pomyślała Jez. Teraz się zacznij.

Próbowała zachować neutralną twarz, kiedy kuzynka spojrzała jej w oczy.

- Ten chłopak powiedział, że jesteś tylko w połowie człowiekiem. To znaczy, że w drugiej połowie jesteś...

- Pół człowiekiem, pół wampirem - cicho odpowiedziała Jez.

Ciekawe było to, że tak łatwo przeszło jej to przez usta. Do tej pory wypowiedziała te słowa na głos tylko przed jedną osobą: Hugh.

Teraz zerknęła, sprawdzając, czy Claire aby nie zamierza zemdleć.

Ale dziewczyna nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Tylko zamknęła oczy.

- Wiesz, co jest kompletnym wariactwem? Wierze w to. - zerknęła z ukosa. - Ale... nie miałam pojęcia, że coś takiego jest możliwe.

- Nikt nie wiedział, dopóki się nie urodziłam. Jestem jedyna taka. - Jez przyjrzała się kuzynce. Kiedy odezwała się znowu, jej głos zabrzmiał bardziej wyzywająco, niż chciała. -

Więc skoro już wiesz, co z tym zrobisz?

- Co masz na myśli? - Claire rozejrzała się wokół. A potem zniżyła głos i w oczach pojawiło się zaciekawienie. - Słuchaj, więc ty... No wiesz, pijesz krew i takie tam?

- Już nie - odpowiedziała krótko Jez. Kto by pomyślał, że pilna, porządnicka Claire tak się interesuje wampirami.

- Ale to znaczy, że kiedyś to robiłaś?

- Zanim z wami zamieszkałam. Wtedy myślałam, że jestem prawdziwym wampirem. Potem okazało się, że dopóki nie korzystam ze swoich mocy, mogę żyć bez tego.

- Masz moce? Naprawdę? Jakie?

- Nic przyjemnego. Słuchaj, dość tych pytań. Powiedziałam, że już nie jestem wampirem.

- I nie jesteś zła - dodała sucho Claire.

Jez spojrzała na nią zdumiona.

- Dlaczego to powiedziałaś?

- Słyszałam, o czym rozmawialiście, o ratowaniu świata i reszcie. Nie rozumiałam wszystkiego, ale wygląda mi na to, że stoisz po właściwej stronie. No i... - Claire zawała się i wzruszyła ramionami. - No i znam cię, nie? Jesteś arogancka, uparta i nigdy niczego nie wyjaśniasz, ale nie jesteś zła. Nie w głębi duszy. Ja to wiem.

Jez się zaśmiała. Szczerze. Nie mogła się powstrzymać. Ze wszystkich ludzi właśnie Claire.

Jez źle oceniła tę dziewczynę, która była w jej wieku, ale z którą nic jej nie łączyło.

Nieoczekiwanie kuzynka odsłoniła prawdziwe ja.

- Dzięki - powiedziała. - Staram się... - Spoważniała. - Słuchaj, jeśli naprawdę wierzysz, że to co usłyszałaś, to prawda...

- To o końcu świata? Nie wierzę w to. To znaczy prawie w to uwierzyłam, ale...

- Po prostu odpuść sobie. Tak się składa, że to prawda. Próbuję temu zapobiec.

- To ma coś wspólnego z Pierwotną Mocą, tak? - Claire już się nie garbiła. Wydawała się wręcz podekscytowana. - Ale co..

- Nie musisz wiedzieć. Chodzi o to, że jeśli chcesz, możesz mi pomóc.

- Mogę? Serio?

- Wróć do szkoły i zapomnij, że to kiedykolwiek się wydarzyło. Pomożesz mi, jeśli już więcej o tym nie wspomnisz. A przy okazji zadbasz o bezpieczeństwo swojej rodziny.

Claire odwróciła wzrok, zaciskając zęby.

- To, co robisz, jest naprawdę niebezpieczne.

To nie było pytanie.

- Bardzo niebezpieczne. - Jez się odsunęła. - Jestem spóźniona. Więc umowa stoi? Pomożesz mi czy nie? Mogę ci zaufać?

- Bo inaczej mnie zabijesz, tak? - Claire spojrzała kpiąco.

Jez przewróciła oczami.

- Nie kuś. Pytam poważnie, pomożesz mi?

- Nie.

Jez zamarła, patrząc z góry na kuzynkę.

- Co?!

- Jez, nie wściekaj się, ale nie sędzę, żebym dała radę. Nie ma mowy. - Claire odpowiedziała spokojnym spojrzeniem. - Nie mogę odejść, nie po tym wszystkim co usłyszałam. Skoro to prawda, jak mogę zapomnieć?

- Możesz, bo musisz. Wszyscy robimy, co musimy.

Jez rozejrzała się po stacji. Za chwilę powinien nadjechać następny pociąg. Zwyczajnie nie miała czasu na pogaduszki z Claire. Żeby to wyjaśnić, potrzebowałyby kilku dni.

Musiała poprosić o coś, czego Claire i tak nie zrobi.

- Nie umiem cię przekonać. Ale proszę cię... - Wypuściła powietrze i mówiła dalej:

- Proszę, żebyś mi zaufała. Idź i spróbuj zapomnieć. Uwierz, staram się ze wszystkich sił zrobić właściwą rzecz.

Claire patrzyła na nią przez chwilę. A potem nagle w jej ciemnych oczach pojawił się błysk zrozumienia. Odwróciła się. Przelknęła ślinę. A potem powoli pokiwała głową.

- Dobrze - szepnęła. - To znaczy na razie. Myślę, że porozmawiamy o tym później.

Jez odetchnęła.

- W porządku.

Claire stała jeszcze sekundę, a potem wyprostowała się i odwróciła. Ale nagle zerknęła za siebie potwornie spięta, bliska wybuchu.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Jez zerknęła na szyny. Pociągu jeszcze nie było.

- Dobrze.

- Chciałam... Chciałam cię przeprosić. Że próbowałam napuścić na ciebie mamę. Po prostu byłam zazdrosna, bo tobie zawsze się upiekało, i... - Pokręciła głową; wzruszyła ramionami.

- No i dlatego, że jesteś taka śliczna, pewna siebie. Fatalnie się z tym czułam i chciałam cię zranić. Więc, no dobra. Przepraszam.

Ruszyła niepewnym krokiem.

- Claire.

Zatrzymała się i odwróciła.

Jez odezwała się z wahaniem, walcząc ze wzruszeniem.

- Nie ma sprawy. I dziękuję.

- Aha. - Claire wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Do zobaczenia później.

Odeszła.

Do zobaczenia, pomyślała Jez. Nagle ogarnęło ją zmęczenie i straszna nostalgia. Zbyt wiele uczuć się w niej kłębiło. Smutek, ulga, niepokój... Skrzyżowała ramiona i rozejrzała się po dworcu, próbując się rozluźnić. Wzięła kilka głębokich, spokojnych wdechów. I wtedy zobaczyła dwa wilkołaki idące prosto po Claire.

Rozdział 15

Jez natychmiast je rozpoznała. To były wilkołaki, zbiry. Ktoś najał gości od mokrej roboty. Nie miała swojego kostura, ale go nie potrzebowała. Groźny uśmiech wypłynął na jej usta. Ogarnęły ją podniecenie i furia. Nagle nie była już zmęczona ani obolała. Była idealnie zestrojona z własnym ciałem i nie mogła się doczekać, żeby użyć go jak broni. Rzuciła się, przewracając w przelocie Claire i lądując przed chłopakiem i dziewczyną. Natychmiast stanęli w gotowości, przyjmując pozycje do walki.

Jez usłyszała, jak kuzynka jęczy za jej plecami.

- **Witamy w Bay Area.** - Jez powitała wilkołaki i natychmiast kopnęła przeciwniczkę w twarz.

Dziewczyna poleciała do tyłu. Jeszcze nie wypadła z gry ale przynajmniej nie zaatakują w dwójkę, jak to zaplanowali. Chłopak warknął i rzucił się na Jez.

Na boginię, to była bułka z masłem. Kiedy wziął zamach, by uderzyć ją w twarz, Jez odchyliła się, a jego lewa pięść przeleciała tuż obok. Złapała go i przytrzymała na lewym biodrze. To był śmiertelny uścisk. Prawą ręką uderzyła go w podbródek z taką siłą, że powinien stracić przytomność.

Zatoczył się, warcząc. Szczeciniaste futro zaczęło zarastać jego twarz.

- **Miłych snów, Azorku** - powiedziała Jez. Kopnęła go poniżej kolana i wilkołak poleciał z hukiem na peron. Uderzył głową o beton i nagle jego ciało zwiotczało, gdzieś za Jez rozległ się krzyk. To Claire. Zignorowała ją trzy osoby, które rzuciły się do schodów w panice. Skupiła się na partnerce wilkołaka, która właśnie się podnosiła.

- **Wyświadczyć sobie tę uprzejmość i nawet nie próbuj** - powiedziała Jez, szczerząc zęby. - **Nie dorastasz mi do pięt.**

Dziewczyna miała kasztanowe włosy i drapieżny wyraz twarzy. Odsłoniła kły i rzuciła się na Jez.

Sięgnęła do twarzy Jez.

Niczego się nie nauczyła, pomyślała Jez. *Przecież widziała, co się stało z jej partnerem.*

Jej umysł snuł jeszcze tę myśl, a ciało już wykonywało właściwe ruchy. Złapała dziewczynę za rękę, szarpnęła i wilczyca straciła równowagę. Jedno pociągnięcie i dziewczyna leżała na peronie. Jez natychmiast założyła dźwignię i wygięła jej rękę.

- **Nie ruszaj się, bo ją złamię** - uprzedziła grzecznie. Dziewczyna wiała się z bólu, plując, szarpiąc się i przysparzając sobie więcej bólu.

Jez z roztargnieniem zauważyła, że Claire przestała krzyczeć. Zerknęła, żeby upewnić się, że kuzynce nic nie jest, i zobaczyła, że dziewczyna stoi z rozdziawionymi ustami. Skinęła do niej uspokajająco głową i spojrzała z powrotem na przeciwniczkę. Teraz, kiedy walka się skończyła, wreszcie mogła się zastanowić, co tu właściwie jest grane. *Mnóstwo osób mogło czyhać na jej życie, ale dlaczego ktoś wziął na cel Claire?*

To nie był przypadkowy atak. Dwa wilkołaki zaatakowały człowieka w miejscu publicznym, przy świadkach, nie przejmowały się, że ktoś to zobaczy.

Trochę mocniej wykręciła dziewczynie rękę. Wilczyca warknęła dziko, piorunując Jez czerwonymi oczami pełnymi zwierzęcej furii i nienawiści.

- No dobra, wiesz, czego chcę - powiedziała Jez. - **Czekam na wyjaśnienia i nie mam dużo czasu. Co tu robicie? Kto was przystał? I dlaczego chcecie dorwać właśnie ją?** - Skinęła głową na Claire.

Dziewczyna milczała, wściekła, a Jez wygięła jej rękę jeszcze mocniej.

- **Stuchaj, jak będę musiała, to znajdę trochę czasu dla ciebie. Mogę to robić cały dzień. Najpierw złamię jeden łokieć, potem drugi. Później połamię ci żebra. A potem rzepki...**

- **Plugawy mieszaniec** - warknęła tamta. Serce Jez zabiło mocniej.

Próbowała nad tym zapanować. Robiło się ciekawie. Najwyraźniej ktoś znał jej sekret. A ponieważ chcieli dorwać Claire, wiedzieli o jej rodzinie.

Jez zwiększyła nacisk na staw łokciowy dziewczyny. Wilczyca wrzasnęła, bardziej ze złości niż z bólu.

- **Kto cię wynajął?** - zapytała chłodno Jez. - **Kto cię nastął na moją kuzynkę?**

Spojrzała w czerwone oczy, próbując dotrzeć do duszy dziewczyny i wyrwać z niej odpowiedź.

- **Nikt nie zadziera z moją rodziną** - szepnęła. - **Ktokolwiek cię przystał, pożałuje.**

Nie pamiętała, żeby była tak wściekła. Tak się skupiła na przeciwniczce, że dopiero krzyk Claire wyrwał ją z tego stanu. Ktoś podchodził.

- **Uważaj!**

Jez oprzytomniała. Nie puszczając wilczycy, odwróciła się. Zobaczyła wampira. Musiał zjechać ruchomymi schodami Nagle Claire rzuciła się na wampira.

- **Nie!** - wrzasnęła Jez.

Ze śmiertelnością precyzją uderzyła dziewczynę w szczękę i ta straciła przytomność. Jez skoczyła do wampira.

Niestety, Claire była przy nim. Odwrócił się, złapał ją za włosy przydusił przedramieniem, zastaniając się nią jak tarczą.

- **Jeszcze jeden krok, a złamię jej kark** - ostrzegł.

Jez zatrzymała się gwałtownie.

- **Puść ją** - warknęła.

- **Nie, naprawdę sądzę, że najpierw powinniśmy porozmawiać.** - Uśmiechnął się złośliwie. - **I to ty udzielisz mi kilku odpowiedzi.**

Jez kopnęła go w kolano. Nie martwiła się, że go zabije. Obchodziła ją tylko kuzynka.

Udało się. Puścił Claire, zataczając się w bok. Jez złapała ją i odepchnęła na bok, krzycząc

- **Uciekaj! Do schodów!**

Ale Claire stała.

- **Chcę ci pomóc!**

- **Idiotko!** - Jez nie miała czasu na tłumaczenie. Wampir doszedł do siebie i przyjmował pozycję do walki.

Był wielki, pewnie ważył ponad sto kilo, a do tego silny i szybki. I o wiele bystrzejszy od wilkołaków. Nie zamierzał tak po prostu zaatakować. A Jez nie miała broni.

- **Stań za mną, dobrze?** - szepnęła do Claire.

Wampir wyszczerzył zęby, słysząc jej słowa. Wiedział, że Jez ma utrudnione zadanie. Musiała chronić dziewczynę.

I kiedy właśnie miał skoczyć, Jez usłyszała pospieszne kroki. Ktoś biegł, ale dźwięk nie był rytmiczny, jakby ten ktoś kulał...

Zerknęła w stronę schodów. Hugh podążał w ich stronę. Musiał złapać oddechu i krwawił z rozcięć na twarzy. Ale kiedy tylko zobaczył ją i wampira, zamachał rękami i wrzasnął

- Hej! Ty nieumarła paskudo! Twój kumpel nie dał mi rady! Chcesz ze mną spróbować?

Hugh?! Jez nie dowierzała własnym oczom. Hugh walczył?

- **No chodź, tu jestem. Łatwa ofiara.**

Wampir zerknął w jego stronę, próbując ocenić sytuacji. Nie spuszczał jednak wzroku z Jez.

- **Masz ochotę na kilka rundek?** - Hugh przyjął postać boksera i zamarkował kilka ciosów.

- **No? Chcesz powalczyć o tytuł?**

Przez cały czas, gdy mówił, tanecznym krokiem zbliżał się do wampira. Krążył. Chciał zająć go od tyłu.

Pięknie, pomyślała Jez. Potrzebowała, żeby wampir choć raz zerknął za siebie, a wtedy kopnie go w twarz.

W końcu zerknął za siebie. Jez skorzystała z szansy i uderzyła go z wysokości, aż mu głowa odskoczyła do tyłu. Jednak zamiast polecieć do tyłu, wampir jakimś cudem zatoczył się i ruszył prosto na Jez. Z łatwością by uskoczyła, gdyby nie Clair.

Kuzynka posłusznie stała za jej plecami, tuż przy torach na żółtych kwadratach znaczących krawędź peronu. Kiedy Jez próbowała zejść wampirowi z drogi, usłyszała, że Claire gwałtownie łapie powietrze. I zaraz poczuła, jak kuzynka łapie ją za rękaw.

W jednej chwili zrozumiała, co się dzieje. Claire niebezpiecznie balansowała na krawędzi peronu. Gorzej, ciągnęła za sobą Jez.

Rozległo się dudnienie w oddali.

Jez wiedziała, że mogłaby się uratować, gdyby wyrwała się Claire. Mogłaby odbić się od kuzynki, zamiast spaść razem z nią. Dzięki temu tylko jedna z nich by zginęła.

Ale zamiast tego odwróciła się i próbowała odepchnąć od siebie Claire w bezpieczną stronę, na peron. Nie udało się. Obie straciły równowagę, Jez ogarnęło dziwne uczucie, które się pojawia w trakcie upadku, kompletna dezorientacja.

To był fatalny upadek, bo poleciała razem z Claire. Jedyne co mogła, to trzymać kuzynkę z daleka od trzeciej szyny po drugiej stronie torów. Uderzenie sprawiło, że obie straciły dech.

Jez zobaczyła gwiazdy.

Usłyszała, jak Hugh krzyczy.

Dudnienie zamieniło się w ryk i świst, które niosły się po torach na dole słyszała stukot, którego nie było słychać na górze. Ten hałas wypełniał jej głowę i wstrząsał całym jej ciałem.

W jednej chwili zrozumiała, że zaraz umrze.

Obie zginą. Starte na miazgę przez pociąg. Przez białego smoka, który zaraz po nich przejedzie.

Nie miały żadnej szansy. Claire wczepiła się desperacko, wbijając paznokcie, w rękę Jez, aż do krwi; nie mogła złapać powietrza, żeby krzyknąć. Nawet gdyby Jez była prawdziwym wampirem, nie dałaby rady wystarczająco szybko unieść Claire na peron na wysokość prawie półtora metra. Nie ich nie uratuje, nie było już żadnej nadziei. Żadnego ratunku. To koniec.

Tę wszystko przemknęło przez jej myśli w jednej chwili, kiedy podniosła głowę i zobaczyła nadjeżdżający pociąg. Smukły biały nos znajdował się raptem dziesięć metrów od nich. Pociąg hamował, ale nie dość szybko. Więc to już koniec, chwila śmierci, ostatnią rzeczą, którą zobaczy, będzie biały, biały, biały...

Błękit.

To się wydarzyło nagle i wypełniło jej całe pole widzenia.

W jednej sekundzie widziała wyraźnie, a w następnej chwili świat stał się błękitny. Nie zwyczajnie niebieski. Ogniście, zaślepiający błękitny jak *światło* błyskawicy. Jakby się znalazła się pośród; efektów specjalnych w filmie science fiction.

Wokół niej błękit buzował, trząsał i skwierczał. Kokon błękitu, który ją otulił i później śmignął obok niej, i zniknął gdzieś z przodu.

Nie żyję, pomyślała Jez. *Więc tak to jest. Zupełnie inaczej niż ludzie opowiadają.*

A potem zdała sobie sprawę, że słyszy słaby pisk pod sobą. To była Claire. Nadal się trzymały.

Obie umarłyśmy. Albo wylądowałyśmy w jakiejś pętli czasoprzestrzennej. Reszta świata zniknęła. Zostało tylko... To.

W nagłym odruchu chciała dotknąć błękitu, ale nie mogła się ruszyć, bo Claire trzymała ją za rękę. Zresztą to mogło być niebezpieczne. W miejscach, gdzie błękit ją opływał, czuła mrowienie, jakby jej krew wrzała. I powietrze pachniało jak po burzy.

A potem błękit zniknął.

Naraz. Nie stopniowo. Ale mimo to Jez potrzebowała czasu, żeby przejrzeć na oczy, bo oślepiły ją ciemnożółte iskry. Płonęły i tańczyły przed nią jak jakiś nowy rodzaj błyskawicy i dopiero po chwili Jez zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Na torach. Dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej. Tyle że ogromny, gładki pociąg znajdował się pół metra od nich.

Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć na jego nos. Był gigantyczny, gdy się patrzyło na niego pod takim kątem; biała bestia lub góra lodowa, która zatopila „Titanica”. Stał nieruchomo, jakby zawsze tam był, jakby nigdy w życiu nie drgnął nawet o centymetr.

Ludzie krzyczeli.

Słysząc było wrzaski i jęki, i inne odgłosy wszelkiego rodzaju. Wydawały się dobiegać z daleka, ale kiedy Jez się rozejrzała zobaczyła, że wszyscy na nią patrzą. Ludzie stali na krawędzi peronu, wymachując histerycznie rękami. Kiedy Jez spojrzała na nich, dwie osoby zeskoczyły na tory.

Jez zerknęła na kuzynkę.

Claire brała głębokie, histeryczne oddechy; cała się trzęsała konwulsyjnie. Patrzyła oczami okrągłymi jak spodki na pociąg który stał przed nimi.

Megafon ryczał. Jedna z osób, która zeskoczyła na tory i mężczyzna w stroju ochroniarza - mówił coś do Jez. Nie była w stanie zrozumieć nawet jednego słowa.

- **Claire, musimy iść. Kuzynka szlochala.**

- **Claire, musimy iść. Chodź,**

Jez ogarnęło dziwne wrażenie lekkości, a kiedy spróbowała się poruszyć, miała uczucie, że szybuje. Ale najważniejsze, że mogła się ruszać. Wstała i pociągnęła za sobą Claire.

Zdała sobie sprawę, że ktoś woła ją po imieniu. To była ta druga osoba, która zeskoczyła na tory. Hugh. Wyciągnął do niej rękę. Szare oczy miał szeroko otwarte, ale nie było w nich histeryi. Był jedyną spokojną osobą poza Jez.

- **Chodź. Tędy.**

Podsadził Claire na peron. Jez wygramoliła się sama i podała mu rękę. Kiedy wszyscy stali już na górze, Jez się rozejrzała. Wiedziała, że czego szuka. A tak. Tam. Wilkołaki, które ogłuszyła. Wydawało się, że to wydarzyło się sto lat temu, ale nadal tam leżały.

- **Ten facet zwał - powiedział Hugh.**

- **Musimy się stąd wynosić.**

Jez słyszała swój głos - brzmiał cicho i jakby dobiegał z daleka, jednak powoli zaczynała odzyskiwać kontakt z własnym ciałem.. Hugh poprowadził Claire do ruchomych schodów. Jez szła po drugiej stronie i oboje pomagali dziewczynie utrzymać się na nogach.

Ochroniarz krzyczał za nimi, ale nadal go nie rozumiała. Teraz jej to nie obchodziło. Kiedy zjechali na niższy poziom, zaczęli iść szybciej, ciągnąc za sobą Claire. Przepchnęli ją przez bramkę dla niepełnosprawnych przy kasie, a sami nad nią przeskoczyli.

Jez zauważyła, że spod pociągu leciał dym. Białe kłęby unosiły się w parnym powietrzu.

- **Nie możemy wyjść na ulicę** - powiedział Hugh. - **Mają tam samochody.**

- **Do garażu** - powiedziała Jez.

Oboje ruszyli do wielopiętrowego budynku, ciemnego i chłodnego. Teraz już prawie biegli z Claire. Zatrzymali się dopiero w środku, na pustej przestrzeni rozbrzmiewającej echem.

Jez oparła się o ceglany filar. Hugh pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Claire zwyczajnie opadła na ziemię jak marionetka z obciętymi sznurkami.

Jez oddychała przez kilka minut, czekając, aż myśli jej się uspokoją, a potem powoli obsunęła się obok kuzynki.

Wszyscy wyglądali, jakby przeżyli wypadek. Hugh z rozdartą koszulą i zaschlą krwią na twarzy. Claire z potarganymi włosami i drobnymi rankami na twarzy i rękach. Jez porządnie się poobcierała na torach i miała zakrwawione przedramiona, ślady po paznokciach kuzynki.

Ale żyli. Wbrew wszelkim nadziejom żyli.

Claire zauważyła, że Jez jej się przygląda. Siedzieli przez kilka chwil, gapiąc się na siebie. A potem Jez dotknęła policzki kuzynki.

- **To byłeś ty** - szepnęła. - **Przez cały czas to byłeś ty.**

Spojrzała na Hugh i zaczęła się śmiać. Odpowiedział spojrzeniem. Twarz miał bladą w półmroku. Pokręcił głową i też zaczął się śmiać, chociaż był roztrzęsiony.

- **Na boginię** - powiedział. - **Myślałem, że już po was. Myślałem, że cię straciłem.**

- **Nie, dopóki ona jest w pobliżu** - odpowiedziała Jez i zaśmiała się głośniej.

To był histeryczny chichot, ale wcale ją to nie obchodziło. Za to śmiech Hugh brzmiał jak płacz.

- **Widziałem ten pociąg, nie było szansy, żeby zdążył wyhamować. A potem to światło. Wystrzeliło i lokomotywa w nie uderzyła. Jakby to było coś namacalnego.**

Jak ogromna poduszka, I pociąg zaczął zwalniać...

Jez przestała się śmiać.

- **Zastanawiam się, co z ludźmi z pociągu.**

- **Nie wiem.** - Hugh też spoważniał. - **Pewnie nieźle nimi rzuciło. Pociąg zatrzymał się tak gwałtownie... Ale się nie rozbił. Pewnie nic im nie będzie.**

To wyglądało jak błyskawica...

- **Tak. Nie wiedziałam, że to będzie tak wyglądać...**

- **Będzie tak potężne. Pomyśl tylko, jest niewyszkolona...**

Stara Dusza i łowczyni wampirów trajkotali jak dwójka dzieciaków.

To Claire im przerwała. Patrzyła to na jedno, to na drugie, coraz bardziej poruszona. W końcu złapała Jez za rękę.

- **O czym wy mówicie?**

Jez odwróciła się do niej. Zerknęła na Hugh i potem odpowiedziała łagodnie.

- **Mówimy o tobie, Claire. Ty jesteś Pierwotną Mocą,**

Rozdział 16

Nie jestem - powiedziała Claire.

- Oczywiście, że jesteś - powtórzyła łagodnie Jez, jakby przekonywała małe dziecko.

- Nie.

- Nawet nie wiesz, co to jest. - Jez spojrzała na Hugh. - Wiesz co? Właśnie zdałam sobie z czegoś sprawę. Pierwotne Moce miały urodzić się w roku wizji ślepej Dziewicy, prawda?

- Aha...

- Próbowałam to rozgryźć przez cały wczorajszy dzień. I teraz to do mnie dotarło, o tak. - Strzeliła palcami. - Myślałam o widzeniu w rozumieniu prorocत्व, wiesz? Ale sądzę, że chodzi o widzenie w sensie wzroku. Aradia widziała normalnie tylko przez rok i to o ten rok chodzi. Siedemnaście lat temu. Hugh spojrzał na Claire.

- A ona ma...

- Siedemnaście lat.

- I co z tego? - krzyknęła Claire. - Ty też! I mnóstwo innych ludzi!

- Ale nie każdy potrafi zatrzymać pociąg błękitnym ogniem - powiedział Hugh z rozbawieniem.

- Niczego nie zatrzymałam - upierała się Claire.

- Wiem, co to jest Pierwotna Moc, ale niczego nie zrobiłam, po prostu leżałam i wiedziałam, że zaraz umrzemy...

- A wtedy pojawiło się błękitne światło i pociąg się zatrzymał - wtrąciła się Jez. - Rozumiesz?

Claire pokręciła głową. Hugh zmarszczył brwi i nagle spojrzał z powątpiewaniem.

- Ale Jez, co z pożarem w San Francisco? Claire tam nie było, prawda?

- Nie. Ale oglądała to na żywo w telewizji. I była bardzo, bardzo zdenerwowana. Nadal mam blizny.

Hugh wziął płytki wdech. Zapatrzył się w dal.

- Więc myślisz, że to działa na odległość?

- Nie wiem, ale nie rozumiem, dlaczego nie. - Znowu rozmawiali ponad Claire, a Jez zapatrzyła się w głąb garażu. - Myślę, że może odległość nie ma znaczenia. Może to się dzieje kiedy coś widzi i naprawdę się tym przejmie, i jeśli jest odpowiednio zdesperowana i nie ma sposobu, żeby poradzić sobie inaczej, to wtedy wysyła swoją moc.

- Więc to się stało dzięki podświadomości - podsumował Hugh.

- I kto wie, może robiła to już wcześniej. - Jez wydawała się podekscytowana. - Jeśli to dotyczy czegoś daleko, to Claire nie widzi rozbłysku, niczego nie czuje... - Odwróciła się do kuzynki. - Nie czułaś niczego, kiedy zatrzymałaś pociąg?

- Nie zatrzymałam pociągu - odpowiedziała Claire powoli z trudem zachowując cierpliwość. - I to nie ja ugasłam pożar w San Francisco, jeśli o tym mówicie.

- Claire, dlaczego się tego wypierasz?

- Bo to nie jest prawda. Wiem, że niczego nie zrobiłam.

- **Właściwie to wcale jej się nie dziwię** - powiedział Hugh. - To nie jest najwspanialsza profesja.

Jez zamruła, kiedy prawda do niej dotarła. Zrobiło jej się zimno.

O bogini... Claire.

Życie Claire jako normalnej dziewczyny właśnie się zakończyło. Będzie musiała wszystko zostawić, opuścić rodzinę, przyjaciół, ukryć się. Od tej chwili będzie jedną z czterech najważniejszych osób na świecie. Jedyną z czterech Pierwotnych Mocy, którą rozpoznano.

Nieustannie zagrożona. W ciągłym niebezpieczeństwie. Będą jej szukali wszyscy ze świata nocy z setek różnych powodów.

A Claire nie miała żadnego doświadczenia. Była taka niewinna. *Jak ma się dostosować do takiego życia?*

Jez zamknęła oczy. Kolana się pod nią ugięły i musiała usiąść.

- **Och, tak mi przykro.**

Claire przełknęła ślinę, patrząc na kuzynkę. W jej ciemnych oczach pojawił się lęk.

Hugh przyklęknął. Jego twarz była nieruchoma i smutna.

- **Mnie też jest przykro** - powiedział do Claire. - **Rozumiem, że tego nie chcesz. Ale zastanówmy się, gdzie cię ukryć.**

Claire miała niewyraźną minę.

- **Dlaczego to mi się przydażyło? Jak to się mogło stać? Muszę do domu** - powiedziała.

Wypowiedziała te słowa bardzo powoli, patrząc z lękiem na Jez.

Jez pokręciła głową.

- **Claire, nie możesz. Ja...** - przerwała, zbierając się w sobie, zanim odezwała się znowu, spokojnie i stanowczo. - **Dom, już nie jest bezpiecznym miejscem. Różni ludzie będą cię szukać. Żli ludzie.** - Zerknęła na Hugh.

- **Wilkołak chciał mnie rozjechać samochodem, a potem skoczyć. Myślę, że ktoś mnie śledził, kiedy wychodziłem ze stacji. Ogluszyłem go, ale nie zabiłem.**

- **I jeszcze ten wampir z peronu** - powiedziała Jez. - **Uciekł. Widział rozbłysk?**

- **Widział wszystko. Obaj tam staliśmy. Potem uciekł. Na pewno złoży raport temu, dla kogo pracuje.**

- **I wystawią na ulicę wszystkich, których mają, żeby nas odnaleźć.** - Jez rozejrzała się po garażu. - **Potrzebujemy jakiegoś środka transportu.**

Hugh wyszczerzył zęby.

- **Dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz o taksówce?**

- **Jeśli masz swój scyzoryk, to uruchomię silnik. Ale nikogo nie może być w pobliżu. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy, to policja.**

Oboje się podnieśli, a Jez z roztargnieniem wyciągnęła rękę, żeby pomóc wstać Claire.

- **Poczekaj. Nie jestem na to gotowa** - szepnęła dziewczyna.

Jez zmusiła się do okrutnej odpowiedzi:

- **Nigdy nie będziesz gotowa. Nikt nie jest. Ale nie masz pojęcia, co oni ci zrobią, jeśli cię odnajdą. Nie masz pojęcia.**

Zobaczyła w garażu mustanga.

- **To jest dobry wóz. Chodźmy.**

W murze obok samochodu była luźna cegła. Jez owineła w kurtkę i wybiła szybę.

Potrzebowała tylko chwili, żeby otworzyć drzwi i kolejnych kilku sekund, żeby zapalić silnik. Wszyscy usiedli w środku. Jez gładko ruszyła.

- **Jedź Ygnacio Boulevard do autostrady - podsunął Hugh - Na południe. W Fremont jest dobra kryjówka.**

Jez zobaczyła volvo, gdy wyjechała zza rogu. Samochód miał zapalone światła i jechał prosto na nich. Szarpnęła kierownicą, próbując go wyminąć, ale mustang to nie motocykl. Nie miała dość miejsca. Nie mogła się przemknąć i uciec.

Volvo nawet nie zwolniło. Tym razem nie było błękitnego światła. Był tylko potworny zgrzyt metalu o metal i Jez wpadła w ciemność.

Wszystko ją bolało. Powoli oprzytomniała. Przez dłuższą chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. W jakimś miejscu, które się przemieszczało.

Wszystko się trzęsło i podskakiwało. To nie było nic przyjemnego, bo miała wrażenie, że ma siniaki na całym ciele.

No dobrze, jak do tego doszło? I Przypomniała sobie.

Usiadła tak szybko, że w głowie jej się zakręciło. Rozejrzała się i odkryła, że znajduje się w furgonetce.

Nie było tu okien. Jedyną tylną szybę zalepiono taśmą. Odrobina światła sączyła się tylko przez szpary na górze i na dnie. Kierowca siedział za metalową ścianą.

Nie było siedzeń, nic, czym mogłaby się posłużyć, tylko trzy postaci leżące bez ruchu na podłodze. Claire. Hugh. I... Morgead.

Jez podpełzała do każdego i sprawdziła ich stan.

Claire chyba nic się nie stało. W mustangu siedziała na tylnym siedzeniu w zapiętych pasach. Twarz miała bardzo bladą. Oddychała równo i nie było widać, żeby krwawiła.

Hugh wyglądał o wiele gorzej. Prawą rękę miał dziwnie wykrzywioną pod siebie. Jez dotknęła jej delikatnie i oceniła, że jest złamana.

Nie mam czym jej unieruchomić. I chyba poza złamaniem dołącza mu coś jeszcze - oddycha chrapliwie, pomyślała.

Na końcu obejrzała Morgeada.

On wyglądał rewelacyjnie. Nie był podrapany, posiniaczony ani pokaleczony jak reszta. Jez zauważyła tylko wielkiego guza na czole.

Akurat kiedy odgarniała mu włosy, Morgead się poruszył. Otworzył oczy i Jez spojrzała prosto w ciemne szmaragdy.

- **Jez!** - Usiadł zbyt szybko. Pchnęła go z powrotem na podłogę. Znowu chciał się zerwać. -

Jez, co się stało? Gdzie jesteśmy?

- **Miałam nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz.**

Rozejrzał się po furgonetce, prędko orientując się w sytuacji. Jak każdy wampir szybko przytomniał.

- **Dostałem w głowę. Drewnem. Ktoś mnie dorwał, kiedy szedłem z mieszkania. -**

Spojrzał ostro na Jez. - **Nic ci nie jest?**

- **Nic. Miałam wypadek. Mogło być gorzej, niewiele brakowało, a zderzyłabym się z pociągiem.**

Teraz oboje się rozglądali, próbując się zorientować w sytuacji i znaleźć drogę ucieczki. Nie musieli tego uzgadniać - to był odruch.

- **Wiesz, kto cię uderzył?** - zapytała Jez, przesuwając palcami po tylnych drzwiach. Żadnych klamek, żadnej możliwości ucieczki.

- Nie. Pierce zadzwonił, żeby powiedzieć, że znalazł coś natemat Pierwotnych Mocy. Miałem się z nim spotkać, kiedy nagle zaatakowano mnie od tyłu. - Badał metalową przegrodę oddzielającą ich od kabiny kierowcy, ale teraz zerknął na Jez. - Co masz na myśli, mówiąc, że prawie zderzyłaś się z pociągiem?

- Nic tu nie ma. Ktoś wyczyścił tę furgonetkę.

- Tu też nic. Co z tym pociągiem?

Jez obróciła się do Morgeada.

- Naprawdę nie wiesz?

Patrzył na nią przez chwilę. Albo był fantastycznym aktorem, ale był niewinny i wściekły jednocześnie.

- Myślisz, że zrobiłbym cokolwiek, żeby cię skrzywdzić?!

Jez wzruszyła ramionami.

- To już się zdarzało.

Spiorunował ją wzrokiem i wyglądał, jakby miał się za chwilę wściec. A potem pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Więc oboje mamy kłopoty.

Oparł się o metalową przegrodę.

- Tu ci wierzę.

Przez chwilę milczał, a potem rzucił dziwnym tonem:

- To Rada, prawda? Dowiedzieli się o naszej umowie Hunterem i wkroczyli.

Jez otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. I znowu otworzyła.

- Możliwe.

Potrzebowała Morgeada. Claire i Hugh nie potrafili walczyć. A ktokolwiek ich dorwał, był groźnym przeciwnikiem. Wątpiła, że to Rada. Nie najęliby zbirów. Załatwiliby to przez Starszyznę w San Francisco. I nie mieli powodu, żeby porywać Morgeada. Umowa z Hunterem tak naprawdę nie istniała. Ktokolwiek to był, miał dobrych szpiegów, wystarczająco dobrych, żeby odkryć, że Morgead wiedział coś na temat Pierwotnej Mocy. Miał też dużo pieniędzy, bo zatrudnił mnóstwo najemników. I pojęcie o strategii, ponieważ porwanie Jez, Claire, Hugh i Morgeada pięknie zgrano w czasie i sprawnie poprowadzono.

To mógł być jakiś zbuntowany wampir albo wódz wilkołaków, który chciał przejąć władzę. Albo jakiś rywalizujący z nimi gang wampirów z Kalifornii. To mógł być też jakiś odłam Kręgu Świtu. Jedyne, co było pewne, to że będzie musiała walczyć z nimi, kiedy furgonetka dotrze na miejsce i będzie potrzebować pomocy.

Dlatego musiała okłamać Morgeada ten ostatni raz i mieć nadzieję, że będzie walczył razem z nią.

Musiała zabrać Claire w bezpieczne miejsce.

Tylko to się liczyło. Świat przeżyje bez niej - Jez, Morgeada, a nawet bez Hugh, chociaż wtedy stanie się bardziej mrocznym miejscem. Ale nie przetrwa bez Claire.

- Niezależnie od tego, czy to Rada, czy nie, będziemy z nimi walczyć - powiedziała na głos. - Jak tam twoja sztuczka z ciosem energetycznym? Ta, którą zademonstrowałaś w czasie naszej ostatniej walki?

- Nie najlepiej - zachnął się. - Zużyłem całą moc, walcząc z tymi, którzy mnie złapali. Sporo potrwa, zanim się znowu naładuję.

Serce jej się zacisnęło.

- Fatalnie - odpowiedziała beznamiętnie. - Bo tych dwoje nie będzie w stanie za wiele zrobić.

- Oni? A tak przy okazji, to kim oni są? - zapytał, starając się zabrzmieć nonszalancko. Jez się zawahała. Jeśli powie, że nie są ważni, to możliwe, że Morgead jej nie pomoże. Ale nie mogła powiedzieć mu prawdy,

- To Claire, a to Hugh. To... znajomi. Pomogli mi już kiedyś.

- Ludzie?

- Nawet ludzie bywają użyteczni,

- Myślałem, że może jedno z nich to Pierwotna Moc,

- Pomyślałeś, że znalazłam Pierwotną Moc i nic ci nie powiedziałam?

- Przeszło mi to przez myśl.

- Jesteś cyniczny.

- Wolę określenie spostrzegawczy. Na przykład mogę co powiedzieć na temat twojego przyjaciela Hugh. Widziałem go w mieście, tylko raz, ale zapamiętałem jego twarz. Jest z cholernego Kręgu Świtu.

Jez poczuła napięcie w piersi, ale zachowała spokój na twarzy.

- Może go do czegoś potrzebuję.

- A może - odparł Morgead - mnie wykorzystujesz.

Jez zatkało. Spojrzała na niego. Jego twarz ginęła w mroku, ale dostrzegła wyraziste, choć subtelne rysy, cień brwi i napięcie w szczękach. Wiedziała, że jego oczy, które właśnie zmrużył, przybrały kolor lodowca.

- Wiesz, nadal jest między nami pewne połączenie. Czuję jakby istniała między nami więź. To przyciąga. Nie możesz temu zaprzeczyć, Jez. To jest, czy ci się podoba, czy nie. I... -zastanawiał się chwilę, jakby szukał właściwych słów. - To mi mówi pewne rzeczy: Rzeczy na twój temat.

O, do diabła, pomyślała Jez. To koniec. Będę musiała sama chronić Hugh i Claire. Przed nim i tymi, którzy nas dorwali.

Bała się, ale była też wściekła. Dobra, znajoma złość, która mówiła jej, żeby zdzielić Morgeada przez łeb. Był taki pewny siebie i zadowolony.

- Więc co ci teraz mówi? - zapytała sarkastycznie, zanim ugryzłasię w język.

- Ze coś przede mną ukrywasz. I że to ma coś wspólnego z nim. - Skinął głową na Hugh.

Wiedział. Ten palant wiedział i tylko z nią pogrywał. Jez czuła, że traci nad sobą panowanie.

- To ma coś wspólnego z Pierwotną Mocą - ciągnął Morgead z uśmiechem igrającym na ustach. -I z tym, gdzie byłeś przez ostatni rok i dlaczego nagle chcesz chronić ludzi. I dlaczego wciąż powtarzasz: „Na boginię”, kiedy coś cię zaskoczy. Żaden wampir tak nie mówi. To tekst wiem.

Na boginię, zabiję go, pomyślała Jez, zaciskając zęby.

- Coś jeszcze? - zapytała spokojnie.

- I dlaczego bałaś się, że odczytam twoje myśli. - Uśmiechnął się krzywo. - Jestem spostrzegawczy.

Jez straciła panowanie.

- Jasne, Morgead, jesteś genialny. I jesteś wystarczająco bystry, żeby zorientować się, co to wszystko znaczy? Czy tylko nabrałeś podejrzenia?

- **To znaczy...** - Nagle stracił pewność siebie, jakby nie do końca wiedział, co za tym wszystkim stoi. Zmarszczył brwi - **To znaczy, że jesteś...** - Spojrzał na nią. - **Z Kręgu Świtu.** To padło jak stwierdzenie, ale niezbyt pewne. Niemalże jak pytanie. Patrzył na nią pełny niedowierzania.

- **Bardzo dobrze** - rzuciła złośliwie Jez. - **Dwa punkty, na jeden. Za dużo czasu potrzebowałeś.**

Morgead gapił się na nią. I nagle się zerwał. Jez też skoczył i przykucnęła gotowa chronić Hugh i Claire.

Ale Morgead nie zaatakował. Próbował tylko złapać ją za ramiona i potrząsnąć.

- **Ty idiotko!** - wrzasnął. Jez osłupiała.

- **Co?**

- **Jesteś w Kręgu Świtu?!**

- **Myślałam, że się domyśliłeś.**

Coś z nim nie tak? Zamiast czuć się zdradzonym i wściec, wyglądał na przestraszonego i rozgniewanego. Jak matka, której dzieciak wybiegł przed autobus.

- **No tak, chyba, ale nadal nie mogę uwierzyć. Jez, dlaczego? Nie rozumiesz, jakie to głupie? Nie rozumiesz, co się z nami stanie?**

- **Słuchaj, Morgead...**

- **Oni przegrają. Nie tylko Rada będzie przeciwko nim. Wszyscy w świecie nocy będą na nich polować. Zostaną starci w proch, oni i każdy, kto stanie po ich stronie.**

Jego twarz znajdowała się sześć centymetrów od niej. Jez spiorunowała go wzrokiem, nie zamierzając ustąpić.

- **Ja nie tylko stoję po ich stronie - syknęła. - Jestem jedną z nich. Należę do cholernego Kręgu Świtu.**

- **Więc już nie żyjesz. Nie mogę w to uwierzyć. Jak mam cię chronić przed całym światem nocy?**

Spojrzała na niego.

- **Co?!**

Odsunął się wściekły, ale nie na nią. Rozejrzał się po furgonetce, nie patrząc na Jez.

- **Słyszałaś. Nie obchodzi mnie, kim są twoi przyjaciele. Nic obchodzi mnie nawet, czy wróciłaś po to, żeby mnie wykorzystać. Cieszę się, że to zrobiłaś. Jesteśmy pokrewnymi duszami i nic tego nie zmieni. - Pokręcił wściekle głową. - Nawet jeśli temu zaprzeczasz.**

- **Morgead...**

Nagle ból w piersi Jez był zbyt wielki, żeby go powstrzymać. Wyrwał się gardłem, zapiekł w oczach, próbując zmusić ją do płaczu.

Morgeada też źle oceniła. Była taka pewna, że ją znienawidzi. Nigdy nie wybaczy. Ale oczywiście nie znał całej prawdy. Pewnie myślał, że przynależność do Kręgu Świtu to coś, z czego wyrośnie. W końcu przejrzy na oczy i znowu będzie starą Jez Redfern. Nie zdawał sobie sprawy, że tamta Jez była tylko złudzeniem.

- **Przepraszam** - powiedziała nagle bezradna. - **Za to wszystko, przepraszam. To naprawdę było nie w porządku z mojej strony, że wróciłam.**

Zirytował się.

- Powiedziałem już: cieszę się, że wróciłaś. Możemy to wszystko poukładać, jeśli tylko przestaniesz się upierać. Możemy się z tego wyplatać...
- Nawet jeśli nam się uda, nic się nie zmieni. - Spojrzała na niego. Nie bała się już tego, co Morgead może zrobić. Bała się, że zobaczy w jego oczach wstręt. Ale musiała mu powiedzieć.
- Nie mogę być twoją pokrewną duszą.
Nie słuchał jej.
- Oczywiście, że możesz. Powiedziałem ci już, nie obchodzi mnie, kim są twoi przyjaciele. Jakoś to przeżyjemy. Nie rozumiem tylko, dlaczego chcesz się sprzymierzać z głupimi ludźmi, skoro wiesz, że przegrają.
Jez spojrzała na niego. Morgead, wampir nad wampirami, który chciał zobaczyć, jak świat nocy podbija ludzkość. Był tym, czym ona była jeszcze rok temu. Uważał ją za sojuszniczkę, potomka jednego z pierwszych rodów lamii.
Myślał, że kocha Jez.
Popatrzyła na niego spokojnie, a potem odezwała się bardzo cicho.
- Bo sama jestem człowiekiem.

Rozdział 17

Morgead szarpnął się, a potem całkowicie znieruchomiał, jakby skamieniał. Jedyna żywa rzecz, jaka w nim pozostała, to oczy. Patrzył na Jez zszokowany, z niedowierzaniem *Cóż, powiedziała sobie Jez, zaskoczyłam go, to jedno jest pewne. Wreszcie udało mi się zrobić coś, że zapomniała języka w gębie.*

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że miała nadzieję, że tego też się już domyślił. Że machnie na to ręką, tak samo jak na fakt, że należy do Kręgu Świtu.

Teraz te marzenia leży w gruzach. Przynależność do Kręgu Świtu to coś, co można zmienić, to tylko kwestia niewłaściwej postawy.

Robactwem jest się na zawsze.

- **Ale to... To nie...** - Morgead nie mógł z siebie wydusić słowa. Oczy miał wielkie z przerażenia. Nie chciał się pogodzić z prawdą. - **To niemożliwe. Jesteś wampirem.**
- **Tylko w połowie** - odpowiedziała Jez. Czuli się, jakby coś zabijała - i tak właśnie było. Unicestwiła właśnie to, co pojawiło się między nimi.
Równie dobrze mogę to załatwić raz na zawsze, pomyślała z goryczą. Nie pojmowała, skąd te łzy, które cisnęły się do oczu.
- **Ale jestem też człowiekiem** - rzuciła zwięźle, niemalże brutalnie. - **Moja matka była człowiekiem. Claire to moja kuzynka. Mieszkałam z wujem Jimem, bratem mojej matki i jego rodziną. Wszyscy są ludźmi.**
Morgead zamknął oczy. *Chwila zadziwiającej słabości,* chłodno pomyślała Jez.
- **Wampiry i ludzie nie mogą mieć dzieci** - szepnął z niedowierzaniem.
- **Oczywiście, że mogą. Mój ojciec złamał prawo Świata Nocy. Zakochał się w człowieku, ożenił się i pojawiłam się ja. A potem, kiedy miałam ze trzy lata, zjawily się wampiry i próbowały nas zabić.** - Raz jeszcze zobaczyła to w swoim umyśle. Kobieta o ru-

dych włosach, która wyglądała jak średniowieczna księżniczka, błagając o życie dziecka. Wysokiego mężczyznę, który próbował ją obronić. - **Oni wiedzieli, że w połowie jestem człowiekiem. Cały czas krzyczeli: „Zabić dziwadło”. Więc już wiesz, kim jestem.** - Odwróciła się i spojrzała na niego płonącymi oczami. - **Dziwadłem.**

Kręcił głową, przetykając ślinę, jakby zrobiło mu się niedobrze.

Jez nienawidziła go za to i współczuła mu. Ledwo zauważyła gorące łzy płynące po policzkach.

- **Jestem robactwem. Jestem jedną z nich. Zwierzyną. Zdałam sobie z tego sprawę rok temu, kiedy opuściłam gang. Do tamtej chwili nie miałam pojęcia, ale tamtej nocy, kiedy polowaliśmy, wszystko sobie przypomniałam. Wiedziałam, że muszę odejść i spróbować zrekompensować krzywdy, które wyrządziłam ludziom. Zastłonił oczy dłonią.**

- **Nie tylko przyłączyłam się do Kręgu Świtu. Zostałam łowczynią wampirów. Tropię nieumarłych, którzy zabijają, krzywdzą ludzi i załatwiam je kołkiem. Wiesz dlaczego? Bo zasługują na śmierć.**

Znowu patrzył na nią, ale jakby z trudem.

- **Jez...**

- **To dziwne. Nie wiem, jak doszło do połączenia między nami.** - Uśmiechnęła się gorzko, dając do zrozumienia, że teraz to już koniec. - **Ale strasznie się czułam, okłamując cię. Cieszy się, że w końcu powiedziałam prawdę. Właściwie to chciałam ci powiedzieć rok temu, kiedy to się stało. Ale wiedziałam, że mnie zabijesz i dlatego się wahałam.**

Teraz już się śmiała. To wyglądało jak histeria. Nie miało to znaczenia. Nic już się nie liczyło, kiedy Morgead patrzył na nią z pełnym obrzydzenia niedowierzaniem na twarzy.

- **Więc... - Nadal się uśmiechała, ale w każdej chwili gotowa się bronić. - Spróbujesz mnie zabić? Czy przełożymy to na później?**

Popatrzył na nią. Jakby stracił cały animusz. Milczał i nagle Jez już nie wiedziała, co powiedzieć. Cisza pogłębiła się jak ziejąca przepaść między nimi.

Byli tak daleko od siebie.

Od początku wiedziałas, że do tego dojdzie, zakpiła sami z siebie. Jak śmiesz się smucić? Właściwie przyjął to lepiej, niż się spodziewałaś. Jeszcze nie rozerwał ci gardła.

W końcu Morgead odezwał się głosem wypranym z wszystkich emocji:

- **To dlatego nie chciałaś wypić mojej krwi.**

- **Od roku nie piłam krwi - szepnęła Jez. - Nie potrzebuj jej, dopóki nie korzystam z mocy.**

Spojrzał ponad nią na metalową przegrodę.

- **Może lepiej napij się nieco ze swoich ludzkich przyjaciół - odparł zmęczonym tonem - Bo ktokolwiek nas złapał... - urwał, nagle zaniepokojony.**

Jez wiedziała, o co chodzi, furgonetka zwalniała, a opony zgrzytały na żwirze. Wjeżdżali na podjazd. Długi i stromy.

Gdzieś poza miastem, pomyślała Jez. Nie miała już czasu na przekomarzanie z Morgeadem.

Choć czuła się odrętwiała i pusta, musiała się skupić na czymś innym.

- **Słuchaj - powiedziała nerwowo, kiedy furgonetka zahamowała. - Wiem, że mnie nienawidzisz, ale ktoś nienawidzi nas bardziej. Nie proszę o pomoc, chcę tylko wydo-**

stać moją kuzynkę... I proszę, żebyś mi w tym nie przeszkadzał. Potem możemy walczyć I załatwić tę sprawę między nami. Muszę tylko uratować Claire.

Spojrzał na nią ciemnymi i pustymi oczami. Nie zgodził się, ani nie sprzeciwił. Nie poruszył się, kiedy stanęła tak, żeby wyskoczyć, gdy tylko tylne drzwi się otworzą.

Ale mogła oszczędzić sobie wysiłku. Drzwi się otworzyły, wpuszczając światło słoneczne, które ją oślepiło. A tuż za nimi stało pięciu niebezpiecznych najemników, blokując drogę ucieczki. Trzech trzymało włócznie wycelowane dokładnie w Jez. Pozostali mieli pistolety.

- **Jeśli ktoś spróbuje walczyć** - odezwał się głos dobiegający z furgonetki - **przestrzelimy nieprzytomnym rzepki.**

Jez oklapła. Nie stawiała oporu, kiedy zmuszono ją do wyjścia z wozu. Co dziwne, Morgead też nie. Wokół furgonetki stało jeszcze więcej zbirów. Swobodnie mogli otoczyć ją i Morgeada lasem włócznie, gdy prowadzili ich do domu.

To był ładny budynek z końca XIX wieku, pomalowany na jaskrawą czerwień. Wokół rosły drzewa, a w zasięgu wzroku nie było żadnych innych zabudowań.

To pustkowie, pomyślała Jez. Może Park Narodowy Point Reyes. W każdym razie jakieś ustronne miejsce, gdzie nikt nic usłyszy naszych krzyków.

Zapędzono ich do salonu, gdzie Hugh i Claire bezceremonialnie rzucono na ziemię.

A potem wszystkich związano.

Jez cały czas czekała na okazję do ataku. Ale ta nie nadeszła. Przez cały czas byli z Morgeadem związani, a dwóch oprychów celowało z pistoletów w Claire i Hugh. Nie było sposobu żeby ich rozbroić.

Gorzej, że unieszkodliwił ją fachowiec. Wieży zrobiono z łyka, równie skutecznego w przypadku wampirów, co ludzi. Kiedy gość, który ją wiązał, skończył, nie miała żadnego pożytku z rąk i nóg.

Hugh oprzytomniał. Syknął z bólu, sprawdzając ranną rękę. Claire obudziła się, kiedy brutalny wilkołak spoliczkował ją.

Jez bardzo uważnie przyjrzała się bestii. Chciała zapamiętać jego twarz.

A potem spojrzała na Claire, która rozglądała się zaskoczona

- **Gdzie... Gdzie jesteśmy? Co się dzieje, Jez?**

Hugh też się rozglądał, ale o wiele mniej zaskoczony. Jego szare oczy były po prostu smutne i pełne bólu.

- **Wszystko w porządku, Claire** - powiedziała Jez. - **Po prostu nic nie mów, dobrze?**

Mamy małe kłopoty, ale nic im nie mów. - Spojrzała znacząco na kuzynkę, starając się, żeby zrozumiała.

- **Małe kłopoty? Nie sądzę** - odezwał się ktoś w progu domu.

To ten sam głos, który wydał rozkaz strzelania w kolana. Jasny i zimny jak arktyczny wiatr. To był głos dziewczyny.

Bardzo ładnej, zauważyła Jez. Miała czarne włosy, które opadały na plecy niczym jedwab i oczy jaśniejące jak topazy. Porcelanową cerę. Okrutny uśmiech. I mnóstwo mocy, która otaczała ją mroczną aurą. Lamia.

Wyglądała, jakby była o rok starsza od Jez, ale to nie musiało niczego oznaczać. Mogła być w dowolnym wieku i te oczy, pomyślała Jez. Wydawały się znajome. Jakby już je kiedyś widziała...

- **Pewnie powinnam się przedstawić** - powiedziała dziewczyna, patrząc na nią z zimną kpina. - **Jestem Lily Redfern.**

Jez ścisnęło w żołądku. Córka Huntera Redferna. Cóż, to sporo wyjaśniało.

Oczywiście pracowała dla ojca. Była groźnym przeciwnikiem i miała ponad czterysta lat.

Krażyły plotki, że w zeszłym roku zajmowała się handlem ludzkimi niewolnikami i zarobiła na tym mnóstwo pieniędzy.

Powinłam się uśmieć, pomyślała Jez.

Ja tu mówię Morgeadowi, że Hunter chce uprzedzić Radę, a on naprawdę miał taki zamiar. Tylko rzecz jasna nie z moją pomocą. Przysłał swoje żyjące żyjące dziecko, żeby się nami zajęło i zmusiło Morgeada do wydania Pierwotnej Mocy.

Stąd tylu zbirów. Huntera stać na kupienie tyłu, ilu potrzebuje. Stąd gładko przeprowadzona operacja. Lily to urodzony strateg, nie wspominając o tym, że jest absolutnie bezlitośni i zimna jak lód.

Miała rację. To nie były małe kłopoty. Wpadli w nie po uszy.

Ktoś dzisiaj tutaj umrze, pomyślała z dziwną pewnością Jez

Lily dalej mówiła:

- **A teraz pozwólcie, że przedstawię moich współpracowników, którzy zrobili tak wiele, żeby nasz plan się powiódł.** - zawołała kogoś z korytarza, żeby się pokazał. - To Azarius. Myśle, że już się poznaliście.

Wampir, z którym Jez walczyła na peronie. Był wysoki ciemnoskóry i promieniował autorytetem.

- **A to** - powiedziała Lily, uśmiechając się - **ktoś, kogo już znacie.** - Znowu machnęła dłonią i w progu pojawiła się druga postać.

Pierce Holt.

Uśmiechnął się blado, a na jego arystokratycznej twarzy malowało się poczucie triumfu. Machnął do nich smukłą dłonią, patrząc oczami równie zimnymi, co oczy Lily. Morgead ryknął i chciał się na niego rzucić. Uzyskał tyle, że przewrócił się na podłogę; szarpnął się w kokonie z łyka. Lily i Azarius wybuchli śmiechem. Pierce tylko popatrzył pogardliwie.

- **Naprawdę się nie domyśliłeś?** - zapytał. - **Jesteś głupi. Wyszedłeś dziś rano spotkać się ze mną, taki durny, taki naiwny... Myślałem, że jesteś bystrzejszy. Rozczarowałem się.**

- **Nie, ty już nie żyjesz** - wściekał się Morgead na podłodze. Świdrował wzrokiem Pierce'a; ciemne włosy opadły mu na czoło, a zielone oczy płonęły ze wściekłości. - **Nie żyjesz, gdy tylko to się skończy! Zdradziłeś gang. Jesteś zerem Jesteś...**

- **Zamknijcie mu gębę** - rzuciła Lily i jeden ze zbirów kopnął Morgeada w głowę.

Naprawdę musiał stracić całą moc, pomyślała Jez, krzywiąc się. Bo w przeciwnym wypadku od razu uderzyłby w Pierce'a

- **A ja jestem bystry** - powiedział Pierce. - **I przetrwam. Wiedziałem, że coś tu śmierdzi, kiedy ona** - skinął głową w stronę Jez, ale nie spojrzał na nią - **powiedziała, że zawarła umowę z Hunterem Redfermem. To nie wyglądało sensownie. I jeszcze tak się martwiła o to robactwo, o tego dzieciaka. Więc podzwoniłem i dowiedziałem się prawdy.**

- **Zdajesz sobie sprawę, że twoja przyjaciółka pracuje dla Kręgu Świtu** - przerwała mu Lily. Patrzyła na chłopaka i ignorowała Jez.

- **Oktłamała cię i wykorzystała. Próbowała zdobyć dla siebie Pierwotną Moc.** Morgead warknął coś niezrozumiale.

- **I to nie wszystko** - powiedział Pierce. W końcu spojrzał na Jez, ale za to z jadowitą złośliwością. - **Jest zmutowaną obrzydliwością, w połowie robactwem. Powinni byli utopić ją zaraz po urodzeniu.**

- **To ciebie należało się pozbyć zaraz po urodzeniu** - warknął przez zęby Morgead. Lily obserwowała to z rozbawieniem, ale teraz machnęła

- No dobrze, dość zabawy i gierki. Przejdźmy do interesów.

Dwa zbiry usadziły znowu Morgeada, a Lily stanęła pośrodku pokoju. Przyjrzała się wszystkim po kolei, Jez na końcu.

- Mam do ciebie pytanie - powiedziała chłodnym, cichym głosem - **Które z tych dwojga to Pierwotna Moc?**

Jez spojrzała na nią. Ona nie wie. Wie niemal wszystko, oprócz tej jednej rzeczy, i nie zdoła się dowiedzieć...

Jez rzuciła Hugh i Claire przeciągłe spojrzenie, dając znak. Mieli się nie odzywać, a potem odwróciła twarz do Lily.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Lily ją uderzyła. To był porządny cios, ale w porównaniu z tym, jak obrywała w czasie walki, niezbyt silny. Jez zaśmiała się z zaskoczenia i pogardy.

Złociste jak u sokoła oczy Lily zamieniły się w lód.

- Myślisz, że to zabawne? - pytała dalej. - **Mój ojciec posłał mnie po Pierwotną Moc i ją zdobędę. Nawet jeśli to oznacza, że rozerwę cię i twojego wampirzego chłopaka na strzępy Mutancie.**

- No dobrze, przypuśćmy, że nie wiem. Pomyślałaś o tym w ogóle? Nie umiem powiedzieć, niezależnie od tego, co ty i twoje parszywe... - Jez zerknęła na Pierce'a i Azariusza. - **sługusy zrobicie.**

Porcelanowa cera Lily zarumieniła się z gniewu. To wydobyło blade blizny z boku twarzy, których Jez wcześniej nie zauważyła. Najprawdopodobniej ślady po oparzeniach.

- **Słuchaj, dziwolągu...** - A potem odwróciła się do zbirów - **Dajcie jej lekcję.**

Przez chwilę sytuacja była ekscytująca. Jez słyszała, jak Claire i Hugh wrzeszczą, a Morgead warczy, podczas gdy gobliny ją biły. Ledwo czuła te ciosy. Znajdowała się w miejscu, w którym takie rzeczy się nie liczyły.

Kiedy wreszcie się zmęczyli i przestali, Lily podeszła do niej znowu.

- **Odzyskałaś pamięć?** - zapytała słodko. Jez spojrzała na nią spod opuchniętych powiek.

- **Nie mogę ci powiedzieć czegoś, czego nie wiem.**

Lily otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, wtrącił się nowy głos.

- **Ona nie musi ci niczego mówić** - odezwał się Hugh. - **Ja ci powiem. To ja.**

Lily powoli odwróciła się i spojrzała na niego.

Siedział prosto ze spokojną twarzą. Jego szare oczy były czyste i szczerze. Nie bał się.

Och, Hugh, pomyślała Jez. Serce biło jej powoli i mocno, a oczy zapiekły.

Lily zerknęła na Azariusza, który wzruszył ramionami.

- **Możliwe. Mówiłem ci, to może być każde z tej dwójki. Oboje byli na stacji, kiedy pojawił się błysk i pociąg się zatrzymała**

- **Hm** - mruknęła Lily jak kot mruczący przy kolacji. Podeszła do Hugh. Nie odwrócił wzroku, nie wzdrygnął się.

Ale obok niego Claire szarpała się konwulsyjnie. Obserwowała wszystko z pełną rozpaczą, oniemiała twarzą. Jez była pewna, że dziewczyna nie rozumie tego, co się dzieje.

Ale teraz przestała przyglądać się nieprzytomnie. Jej ciemne oczy zaiskrzyły i miało się wrażenie, że kuzynka, która prowokowała Jez setki razy, w końcu wróciła.

- **Nie mam pojęcia, o czym mówisz** - powiedziała do Hugh. - **Doskonale wiesz, że to ja.** - Odwróciła się do Lily. - **Ja jestem Pierwotną Mocą.**

Lily zacisnęła usta. Oparła ręce na biodrach, patrząc to na Hugh, to na Claire.

I wtedy Jez usłyszała najdziwniejszy dźwięk w swoim życiu. TO był śmiech - szaleńczy, zachwały śmiech. Nabrzmiały od łez, ale mimo to radosny, śmiały i wolny.

- **Skoro już naprawdę musisz wiedzieć** - powiedział Morgead - **to ja.**

Lily odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem. Jez zwyczajnie zgłupiała i tylko patrzyła.

Nigdy w życiu nie wydawał jej się bardziej przystojny. Ani bardziej kpiący. Jego uśmiech był promienny i olśniewający, ciemne włosy opadały mu na oczy, które jaśniały jak szmaragdy.

Był związany, ale siedział z głową odchyloną jak książkę.

Coś pękło w Jez.

Nie rozumiała, dlaczego on to robi. Musiał wiedzieć, że nie uratuje jej w ten sposób. Jedyni ludzie, których można było tu ocalić, to Hugh i Claire. Dlaczego się nimi przejmował?

Poza tym to był próżny wysiłek. Nie zdawał sobie sprawy, że nie mógł być Pierwotną Mocą, bo nie był na stacji, kiedy pociąg się zatrzymał.

Mimo to był to wspianały gest. Prawdopodobnie najwspanialszy, jaki Jez kiedykolwiek widziała.

Spojrzała na niego przez łzy. Żałowała, że straciła umiejętności telepatyczne i nie może zapytać, dlaczego u licha to robi.

I wtedy jego zielone oczy spojrzał na nią i usłyszała w głowie jego głos.

Istnieje szansa, że wypuszczą jedno z nich. Być może jako i ostrzeżenie dla Kręgu Świtu, żeby więcej nie zadzierali z Hunterem. Zwłaszcza jeśli przekonam Lily, że będę z nią współpracował.

Jez nie mogła odpowiedzieć, ale pokręciła lekko głową i popatrzyła na niego z rozpaczą. Wiedziała, że on to zrozumie.

Wiesz, co z tobą zrobią? Zwłaszcza gdy się dowiedzą, że to oszustwo?

Zauważyła, że w odpowiedzi uśmiechnął się leciutko. Wiedział.

A co to za różnica? Odezwał się w jej umyśle. Ty i ja... To stracone na zawsze. A bez ciebie nic nie jest ważne

Jez nie mogła na to zareagować. Wzrok jej się zamglił, a serce zabiło, jakby chciało jej się wyrwać z piersi.

Och, Morgead...

Lily dyszała ciężko, prawie tracąc nad sobą panowanie.

- **Jeśli będę musiała was wszystkich zabić...**

- **Poczekaj** - powiedział Pierce chłodnym głosem, uderzająco kontrastującym z napięciem w głosie Lily. - **Można się łatwo zorientować.** - Wskazał na Jez. - **Przebij ją kołkiem.**

Lily spiorunowała go wzrokiem.

- **Co?!**

- **Ona nigdy w życiu nic ci nie powie. Jest zbędna. Musisz coś zrozumieć, jeśli idzie o Pierwotną Moc.** - **Podszedł od Lily - Myślę, że Morgead miał rację w jednej kwestii. Podejrzewał że na razie Pierwotna Moc nie działa świadomie. Dopiero w obliczu największego niebezpieczeństwa, kiedy nie ma fizycznie możliwości ucieczki, moc się ujawnia.**

Lily rzuciła spojrzenie z ukosa na Hugh i Claire, którzy siedzieli spięci z szeroko otwartymi oczami.

- **Chcesz powiedzieć, że sami mogą nie wiedzieć?**

- **Możliwe. Może to na razie działa całkowicie na zasadzie odruchu. Wszyscy wydają się przywiązani do mieszańca. Jeśli jej życiu będzie zagrażać niebezpieczeństwo, zobaczymy, które spróbuje ją uratować.**

Idealne usta Lily wygięły się w uśmiechu.

- Wiedziałam, że nie bez powodu cię polubiłam.

Machnęła na zbirów.

- Do roboty.

Przez chwilę panował chaos. Nie dlatego, że Jez stawiała się. Bo nie stawiała. Ale Claire wrzeszczała, Hugh i Morgead krzyczeli, a Lily się śmiała. Kiedy najgorszy hałas ucichł, Jez zorientował się, że leży na plecach. Azarius stał nad nią z młotkiem i kołkiem.

- Czy to nie ciekawe - mówiła Lily - że kołek przebija serca ludzi, jak i wampirów?

- I mieszańców też - wtrącił Pierce. Stali po obu stronach Azariususa, patrzyli w dół na Jez i się śmiali.

- Lily, słuchaj. Słuchaj! - wołał Morgead rozpaczliwie. - Nie musisz tego robić. Już ci powiedziałem, że to ja. Poczekaj chwilę i porozmawiaj ze mną...

- Nie zwracaj sobie głowy, miłośniku ludzi - warknęła Lily, nawet na niego nie patrząc.

- Jeśli jesteś Pierwotną Mocą, uratuj ją.

- Niech nikt z was niczego nie robi! - wrzasnęła Jez. - Niczego nie róbcie, rozumiecie?

Krzyczała głównie do Claire... Nagle Jez straciła pewność siebie.

Serce biło jej jak szalone, a myśli krążyły jeszcze szybciej. Urywki wspomnień przebijały się przez jej świadomość jak kawałki melodii, zbyt mgliste, żeby je pochwycić. Jakby wszystkie proroctwa, jakie słyszała na temat Pierwotnej Mocy powracały echem i odbijały się rykoszetem od jej mózgu z szaleńczą prędkością. I było w nich coś, co ją męczyło. Coś, co kazało jej się zastanawiać...

A jeśli Claire nie była Pierwotną Mocą? Jez zakładała, że jest, ale czy to możliwe, że się myliła?

Hugh też był na peronie, też widział nadjeżdżający pociąg. Miał powody, żeby się przestraszyć. Zależało mu na niej. Jez już w to nie wątpiła. No i miał siedemnaście lat.

Możliwe, że to Hugh był Pierwotną Mocą?

Nie był w Marina District, ale mieszkał w Bay Area. Mógł oglądać relację z pożaru tak samo jak Claire.

Ale coś ją męczyło. Proroctwa... „Dwoje oczu patrzy”, „Czworo z błękitnego ognia, z mocą we krwi”.

Lily mówiła. Jez słyszała ją jakby z oddali.

- Zrób to. Najpierw tuż obok serca. Azarius przystawił kołek. Uniósł młotek.

Morgead wrzasnął:

- Jez!

- Niech nikt nic nie robi...! - krzyknęła Jez. A potem młotek opadł i wszechświat eksplodował bólem.

Rozdział 18

Jez słyszała swój krzyk, ale słabo. W uszach miała ryk, jak gdyby pociąg znowu nadjeżdżał, Ból pochłonął całe jej ciało, agonalne spazmy przebiegły przez wszystkie jej kończyny. Wypływał ze środka piersi, gdzie coś rozżarzonego do białości w nią weszło, miażdżąc płuca, przesuwając wewnętrzne organy, tuż obok serca. Przebito ją kołkiem. To, co tak często robiła innym, teraz zrobiono jej.

Nic zdawała sobie sprawy, że to tak boli. Cieszyła się, że żadna z jej ofiar nie żyła dość długo, żeby cierpieć.

Drewniany kołek zatruwał jej serce, wiedziała to. Nawet kied go wyjmą, umrze.

Żaden wampir nie przeżyje kontaktu z drewnem.

A jednak będzie żyła jeszcze chwilę... W niewyobrażalnej agonii, aż trucizna zeżre ją żywcem.

Ktoś krzyczał w jej umyśle.

Jez, Jez, Jez, Jez...

Morgead, pomyślała. Miała nadzieję, że niczego nie czuł przez łączącą ich srebrzystą nić.

Hugh i Claire łkali. Jez wołałaby, żeby nie płakali. Powinni zachować spokój, myśleć, jak się uratować. Bo ona już nie mogła im pomóc.

Ponad płaczem słyszała piskliwy, rozgniewany głos Lily.

- **Co z wami?** - mówiła. - **Nie widzicie, co się z nią dzieje? Nie chcecie jej uratować?**

Przez czerwoną mgiełkę, która wypełniła pole widzenia Jez, przebiło się do jej świadomości mgliste zadowolenie. Ktokolwiek z nich był Pierwotną Mocą, zdławił to.

Dobrze. Tylko to się liczyło. Chociaż już właściwie nie pamiętała, dlaczego...

Nagle czyjaś twarz pochyliła się nad nią. To była Lily, Patrzyła na Jez.

- **Nie rozumiesz?!** - wrzeszczała Lily. - **Możesz to zatrzymać w jednej chwili. Każę cię zabić i ból zniknie. Wystarczy tylko, że powiesz mi, kto to jest.**

Jez uśmiechnęła się słabo. Nie była w stanie odpowiedzieć. Nawet nie próbowała.

Uwierzyłabyś, gdybym powiedziała, że sama nie wiem? pomyślała *Nie, nie sądzę...*

Ból osłabł. Zupełnie, jakby Jez oddalała się od niego coraz bardziej i bardziej.

- **Nie bądź głupia!** - krzyczała Lily.

Jej twarz była wykrzywiona i szybowała wśród szkarłatnej mgły. Wyglądała jak potwór. A potem odwróciła się i zaczęła krzyżeć na kogoś innego.

- **W porządku. Dajcie tu tego wampira.** - Spojrzała znowu na Jez. - **Będziemy musieli zadźgać twoich przyjaciół jedno po drugim, aż Pierwotna Moc zdecyduje się ujawnić.**

Nie. Nie...

Nagle wszystko wokół Jez stało się o wiele wyraźniejsze. Znowu widziała pokój i czuła własne ciało. Nadal słyszała ryk w uszach, ale dochodził też do niej płacz Claire.

Nie. Lily nie mogła mówić tego poważnie. To nie mogło się dziać...

Ale działo się. Rzucili Morgeada na podłogę obok niej, a dalej Claire i Hugh. Zbiry stanęły z wycelowanymi włóczniami.

Nie. Nie. To nie może się dziać.

Jez chciała krzyknąć, żeby Pierwotna Moc coś zrobiła, ale teraz i tak już wszystko stracone.

Ale nie miała dość siły, żeby to zrobić. Czuła się zagubiona, oderwana... Wszechświat się rozpadał. Jej myśli się płątały, wspomnienia mieszały z przeblyskami z teraźniejszości i z dziwnymi, nowymi pomysłami,

Skoro to było mimowolne, to dlaczego Pierwotna Moc nie ujawniła się częściej? Chyba że wymagane było coś jeszcze

Nie mogę pozwolić, żeby to się stało.

Wilgoć krwi rozlewającej się wokół jej serca...

Paznokcie Claire wbijające się jej w ręce.

Kiedy nie można uciec...

Moc we krwi.

Claire na podłodze. Jej krzyk... Coś narastało w Jez, coś gorętszego niż kolek. Morgead obok niej szeptał.

- „Jez, Kocham cię”.

Pierce nad nim z kolkiem w ręce. Morgead spojrział na niego bez lęku...

Gorętszego niż serce gwiazdy.

Hugh w oddali mówiący cicho:

- „Bogini życia, przyjmij nas, i wprowadź do innego świata”.

Gorętszego niż słońce i zimniejszego niż księżyc, jak ogień, który płonie, zamarza i skwierczy jak błyskawica zarazem.

Coś Wypełniło ją energią, która wykroczyła poza wściekłość, poza miłość i poza kontrolę, i którą rozpoznała w głębi duszy, chociaż nigdy świadomie jej nie odczuła. Chciała się uwolnić.

Czysty i straszliwy płomień, który nie powinien ujrzyć światła dziennego...

- Teraz! - krzyknęła Lily.

I Jez go uwolniła.

Błękitny ogień popłynął we wszystkich kierunkach. Rozprzestrzenił się, połykając wszystko, wypływając z niej niekończącym się potokiem. Jak płomień słoneczny, który nigdy się nie zatrzymuje.

Tylko tyle widziała. Błękitne płomienie, przesywane błyskawicami, które trzaskały niemal bezgłośnie. Jak ogień, który otulił ją na torach.

Tylko że teraz wiedziała, skąd wypływa, nawet jeśli nie była w stanie nim kierować. Umiała go z siebie wypuścić, potem płomień robił to, co chciał.

Nie w ten sposób powinna go użyć. To jedno było jasne dla Jez. Pozwalała mu się wymknąć, kiedy bała się o czyjeś życie i nie było innego ratunku. To można było wybaczyć, bo działo się w podświadomości.

Ale nie teraz. Pewnie złamała jakieś prawo wszechświata. Czy coś w tym stylu. Błękitny ogień miał się pojawić w ostatecznej bitwie, kiedy nadejdzie ciemność i czworo zostanie wezwani żeby stanąć do walki.

Powinam go powstrzymać, pomyślała Jez.

Ale nie bardzo wiedziała jak. Domyślała się, że musi wezwać płomień z powrotem, jakoś wciągnąć go znowu do ciała.

Może gdyby go jakoś pociągnęła...

Udało się. Coś zrobiła. Zebrała ogień mocą umysłu. To było trudniejsze niż jego wypuszczenie, ale się udało. Czowała, jak powraca do niej, wlewa się z powrotem, jakby go zasysała...

I nagle zniknął. Jez znowu widziała świat. Zobaczyła, czego płomień dokonał.

Dom zniknął.

A w każdym razie większość domu. Wokół nich zostało z pół metra ściany z obsypującą się zwęgloną izolacją. Błękitna energia jak elektryczność przeskakiwała po krawędziach skwiercząc.

Domu nie było. W powietrzu unosił się obłok pyłu, przesłaniając słońce.

Sprawiłam, że budynek.. wyparował, pomyślała Jez.

Nie było Liły Ani Azariusza. Ani Pierce'a. Żadnego z pozostałych zbirów.

O bogini, pomyślała Jez. Nie chciałam tego. Chciałam tylko, żeby nie zrobili krzywdy Morgeadowi, Claire i Hugh...

A co z nimi, pomyślała, nagle wpadając w panikę. Mimo bólu obróciła głowę.

Byli tam. Żywi. Nawet się ruszali. Więzy, którymi ich związano, leżały na dywanie, skwiercząc tą samą błękitną energią.

To takje dziwne, mieć dywan, ale bez domu, powiedziała do siebie niezbyt przytomnie.

Znowu odpływała. Przynajmniej już nie cierpiała. Ból zniknął całkowicie, a na jego miejscu pojawiła się senność i wrażenie ciepła. I uczucie, że szybuje. Powieki zrobiły się ciężkie.

- Jez? Jez!

To był ochryply szept. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz Morgeada.

Płakał. O rety, było źle. Nie widziała, żeby płakał, odkąd... Od jak dawna? Odkąd byli małymi dziećmi...

Jez, słyszysz mnie?

Teraz mówił do jej umysłu.

Zamrugła znowu i próbowała wymyślić coś pocieszającego, co mogłaby powiedzieć.

- Ciepło mi - szepnęła.

- Nie, nieprawda! - Prawie warknął. A potem obejrzał się za siebie i Jez zobaczyła, że Hugh i Claire podpełzają. Wszyscy lśnili w złotym świetle.

- Jesteście tacy ładni - powiedziała im. - Jak anioły.

- Nie czas na twoje dziwaczne poczucie humoru! - krzyknął Morgead.

- Przestań! Nie krzycz na nią!

To była Claire. Też płakała. Płakała ślicznymi łzami, które nikły, spadając. Złapała ją za rękę i to było miłe, chociaż Jez Właściwie nie czuła dotyku. Ale widziała.

- Nic jej nie będzie - warknął Morgead. - Straciła sporo kiwi, ale nic jej nie będzie.

Ktoś odgarnął włosy z jej twarzy. To poczuła; to było przyjemne. Zmarszczyła brwi powoli, patrząc na Morgeada, ponieważ musiała mu powiedzieć coś ważnego, a mówienie sprawiało jej trudność.

- Powiedz Hugh... - szepnęła.

- Sama, do diabła, powiedz Hugh! Jest tutaj! A ty nigdzie się nie wybierasz.

Jez zamrugła z trudem, przenosząc wzrok. Tak, Hugh tam był, to on odgarniał jej włosy.

- Proroctwo. Domyśliłam się, co oznacza dwoje patrzących oczu. To słońce i księżyc, rozumiesz? Dwoje oczu... to ktoś, kto należy do obu światów.

- Świata dnia i świata nocy - powiedział cicho Hugh.

- Rozgryzłaś to, Jez.

- To było bardzo mądre, i krew - szepnęła Jez. - Moc jest we krwi. To dlatego nie mogłam robić tego za każdym razem, kiedy chciałam. Krew musi wypłynąć, zanim będę mogła wypuścić moc. Za pierwszym razem Claire mnie podrapała. A tym razem... - Głos jej załamał, ale to już nie było istotne. Wiedziała, że tym razem wszyscy widzieli krew.

- To też było bardzo mądre - odpowiedział zachrypłym głosem Hugh. - Zorientowałaś się. I ocaliłaś nas. Zrobiłaś wszystko jak trzeba.

- Ale teraz zostaną tylko trzy Pierwotne Moce...

- Nie - wściekł się Morgead. - Posłuchaj mnie. Nie ma powodu, żebyś umierała...

Jez nie była już w stanie się uśmiechnąć ani wydusić z siebie zdania. Wyszepiała tylko:

- Drewno... trucizna.

- Nie, nieprawda. Nie dla ludzi. A ty jesteś w połowie człowiekiem. I twojego ciała nie może zatruć drewno.

Jez wiedziała swoje. Już nic nie widziała. Tylko Morgeada, a i on stawał się niewyraźny. Ale to nie tak, że świat robił się coraz mroczniejszy. Przeciwnie, był coraz jaśniejszy. Wszystko było złote i lśniące.

Czworo bez jednego, a ciemność zatriumfuje, pomyślała Jez. Tak mi przykro z tego powodu. Mam nadzieję, że mimo wszystko jakoś im się uda. To byłoby takie smutne, gdy ludzie wszystko tracą. Jest tyle dobra na świecie, tyle miłości...

Już nie widziała nawet Morgeada. Tylko złoto. Ale słyszała. Słyszała, jak Claire szeptała do niej głosem łamiącym się przez łzy i czuła wilgoć kapiącą na twarz.

- Kocham cię, Jez. Jesteś najlepszą kuzynką, jaką można mieć.

I Hugh. On też płakał.

- Jez, jestem taki dumny, że jestem twoim przyjacielem!

A potem przez mgłę, złoto, ciepło i spokój przebił się, który wcale nie był delikatny. Ryczał z czystej wściekłości.

Tylko nie waż się umierać, Jezebel! Nie waż się! Bo pójdę za tobą do tego drugiego świata i tam cię zabiję.

Nagle w ładnej, złotej mgle dostrzegła coś jeszcze. Jedyna rzecz we wszechświecie, która nie była złota.

To była srebrna nić.

Masz wracać i to natychmiast!

Morgead krzyknął w jej umyśle.

Natychmiast! Słyszysz?

Spokój zniknął. Już nic nie wydawało się ani tak ciepłe, ani tak cudowne. Zorientowała, że Morgead wpadł w furję i nie przestanie wrzeszczeć, dopóki nie dostanie tego, co chce.

A tuż przed nią był sznur. Był mocny i czuła, że drugi koniec znajduje się gdzieś w sercu Morgeada i że on próbuje ją wyciągnąć z powrotem do siebie.

W porządku. Może jeśli się tego złapię...

Jakimś cudem chwyciła się tego sznura i podciągała się po nim. Złote światło przyblakło i znowu znalazła się wewnątrz swojego obolałego ciała. Morgead obejmował ją, całował i płakał jednocześnie.

Zza niego dobiegł głos Claire.

- Znowu oddycha! Oddycha!

- Kocham cię, ty głupia ludzka dziewczyno - westchnął Morgead, tuląc twarz do policzka Jez. - Nie mogę żyć bez ciebie, Nie rozumiesz?

- Powiedziałam, żebyś nigdy nie nazywał mnie Jezebel - szepnęła Jez.

I zemdląca.

- Czas na kąpiel - powiedziała pielęgniarka. - A potem możemy przyjąć gości.

Jez zmrużyła oczy, patrząc na kobietę. Była miła, ale miała hopla na punkcie obmywania gąbką i zawsze dodawała dziwnie pachnące rzeczy do wody. Co właściwie nie powinno dziwić, bo w końcu była wiedźmą.

- Darujmy sobie kąpiel - powiedziała Jez. - I wpuśćmy gości.

- Zaraz, zaraz - odparła wiedźma, grożąc palcem i podchodząc z gąbką.

Jez westchnęła. Jako Pierwotna Moc w sanktuarium Kręgu Świtu miała praktycznie wszystko, czego chciała, ale za to wszyscy traktowali ją jak małe dziecko. Zwłaszcza pielęgniarki, które ją rozpieszczały, ale mówiły do niej, jakby miała trzy latka.

Mimo wszystko z radością pozwoliła, żeby Krąg zajął się j pewnymi sprawami. Na przykład dbaniem o jej względne bezpieczeństwo. Chociaż już niemal całkowicie doszła do siebie, dzięki mocnej budowie i mnóstwie zaklęć leczniczych od wiedźm, to jeszcze nie była gotowa zadbać o siebie. Stryj Bracken i cała rodzina Goddardów potrzebowała ciągłej opieki, ponieważ Hunter Redfern i Rada Świata Nocy bez wątpienia wezmą ich teraz na celownik.

Krag sprowadził kilku fachowców ze wschodu, żeby się tym zajęli. Łowczynię wampirów, która nazywała się Rashał jakoś tam. I jej pokrewną duszę, członka Kręgu Świtu zamienionego w wampira imieniem Quinn.

Przynajmniej byli kompetentni. Zabrali stryja Jez i resztki gangu z San Francisco. Morgead próbował ich namówić, by przyłączyli się do Kręgu Świtu. Wspominał, że przynajmniej Raven wykazała nieco zainteresowania. Val i Thistle obstawali przy swoim, ale to nie było szczególnie zaskakujące. Ważne, że żyli.

Pierce z kolei zwyczajnie zniknął. Nikt nie znalazł śladu po nim, Lily czy jej ludziach, odkąd Jez zaatakowała ich mocą. Najwyraźniej naprawdę wyparowali, ale nie miała z tego powodu specjalnych wyrzutów sumienia.

- **Załatwione!** - zawołała pogodnie pielęgniarzka, poprawiając górę pizamy Jez. I całe szczęście, bo w tej samej chwili ciemnowłosa głowa pojawiła się w drzwiach.

- **Co tu się dzieje? Stroisz się do opery, czy co?**

Jez uniosła brew, patrząc na Morgeada.

- **Kto wie. A co, może mi zabronisz?**

Parsknął i wszedł, kiedy pielęgniarzka wyszła z pokoju.

- **Nie ośmieliłbym się. Jesteś księżniczką, nie? Wszystko ci wolno.**

- **Jasne** - zgodziła się Jez z wielką satysfakcją. - **Więc jak się mają Claire i Hugh?**

- **Claire świetnie się odnalazła wśród tutejszych wiedźm. Wydaje mi się, że próbuje je namówić do założenia strony internetowej. A Hugh jest tym samym głupkiem co zawsze. Pojechał ratować wiewiórki przed odpadami toksycznymi albo coś w tym stylu.**

- **A co z dzieciakiem?**

- **Mała? Używa na całego. Krag Świtu oszalał na jej punkcie. Mówią coś o najstarszej Starej Duszy, którą odnaleziono. Sam nie wiem. W każdym razie próbują namówić jej mamę, żeby pozwoliła dzieciakowi tu zamieszkać. Przesyła podziękowaniu za uratowanie jej życia i narysowała ci rysunek.**

Jez pokiwała głową z zadowoleniem. Byłoby miło, gdyby zamieszkała w sanktuarium. Jez mogłaby wtedy często ją widywać. Oczywiście nie zamierzała zamieszkać tu na stałe – ona i Morgead potrzebowali wolności. Nie można ich zamknąć w klatce; potrzebowali swobody. Jeszcze nie miała okazji powiedzieć o tym członkom Kręgu. Skoro zaopiekowano się ludźmi, których kochała, mogła skupić się na innych sprawach.

- **To czekolada?**

- **To jedyny powód, dla którego mnie przyjmujesz, nie?** - powiedział Morgead, dając jej pudełko. Usiadł obok Jez z tragiczną miną.

- **E tam** - zachnęła się z pełnymi ustami. Przełknęła. - **Wszyscy je przynoszą.** - Wyszczerezyła zęby. - **Lubię cię z innego powodu.**

Odpowiedział równie szerokim uśmiechem.

- **Nie mam pojęcia, jaki to może być powód.**

- **Hm... Masz rację... może nie ma innego powodu.**

- **Uważaj, Jezebel** - warknął, pochylając się nad nią groźnie.

- **Nie nazywaj mnie tak, kretynie.**

- **Sama jesteś kretynką.**

- **A ty...**

Ale Jez nie skończyła, bo zamknął jej usta pocałunkiem. A potem jego ręce objęły ją - delikatnie - i srebrna nić zawibrowała. Wszystko zrobiło się ciepłe i już tylko oni dwoje zostali na całym świecie.

*Jedno z krainy królów dawno zapomnianych.
Jedno z paleniska, gdzie się iskry tli.
Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.
Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.*

Czarny Świt

<http://chronikuj.pl/miejaczek>

<http://chronikuj.pl/miejaczek>

Michaelowi i Matthew Pennym

Rozdział 1

Magie Neely wyrwał ze snu krzyk matki. Wszystko wyglądało tak jak każdej nocy.

Na nogach leżał wielki dog, Jake. Trzy koty walczyły o miejsce przy jej głowie. Policzek Maggie spoczywał na otwartym podręczniku do geografii a na kocu płątały się rozrzucone kartki z pracą domową. Okruchy chipsów i pusta torba. Dziewczyna miała na sobie dzinsy i kwiecistą górę od piżamy, czerwoną aksamitną podkolanówkę i niebieską bawełnianą skarpetkę z marszczoną górą, które zdołała odnaleźć poprzedniego wieczoru.

Właśnie te skarpetki miały w przyszłości zdecydować o jej życiu lub śmierci, ale na razie Maggie nie miała o tym pojęcia.

Była trochę zdziwiona i zdezorientowana nagłym wyrwaniem ze snu. Jeszcze nigdy nie słyszała takiego krzyku i wcale nie była pewna, czy pochodził od jej matki.

Musiało stać się coś... naprawdę złego, uświadomiła sobie nagle

Zegar na stoliku nocnym wskazywał jedenaście po drugiej.

Zanim zdała sobie sprawę, już się przedzierała przez stertę brudnych ubrań i sprzęt sportowy zalegający na podłodze. Pokonując liczne przeszkody, dotarła w końcu do wyjścia, chociaż po drodze uderzyła gołenią o kosz na śmieci, który stał na środku pokoju. Korytarz tonął w ciemnościach, ale w salonie jaśniało górne światło. To stamtąd dobiegał krzyk.

Jake poczłapał za nią. Gdy dotarli do foyer, wydał z siebie coś, co przypominało skowyt, a może szczeknięcie.

Maggie wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedziała. Teraz już nic nie będzie takie samo.

Przez otwarte frontowe drzwi wpadało chłodne powietrze listopadowej nocy, jakich wiele w Waszyngtonie. Ojciec Maggie w krótkim szlafroku tulił matkę, która wyrwała mu się rozpaczliwie, jak gdyby chciała uciec. I krzyczała, krzyczała do utraty tchu. Na progu stały cztery osoby: dwóch szeryfów, strażnik z Parku Narodowego i Sylvia Weald.

Sylvia. Dziewczyna brata Maggie, Milesa.

I nagle zrozumiała, to było jak cios obuchem.

Mój brat nie żyje, pomyślała Maggie.

Rozdział 2

Jake znów zaskowyczał, ale Maggie wydawało się, że głos dobiega gdzieś z oddali.

Nikt nie spojrział w ich stronę.

Nie do wiary, dlaczego jestem taką spokojną, pomyślała Maggie. Coś ze mną nie tak. Nawet nie wpadłam w histerię.

Rozumiała, co się stało, ale ciało nadal nie reagowało. Nie czuła pustki w żołądku. To, czego się obawiała, dotarło do niej ze zdwojoną mocą dopiero po chwili. Przyprawiło ją o bolącą nadwrażliwość skóry i koszmarnie uczucie otwierającej się przed nią otchłani. Paraliż, który najpierw poczuła na policzkach, stopniowo objął usta i szczękę.

Nie, proszę, nie, pomyślała głupio. *Niech to nie będzie prawda. Może miał wypadek i jest ranny, ale żyje. I wszystko jest w porządku.*

Ale wtedy matka nie krzyczałaby tak rozpaczliwie. Tylko byłaby drodze do szpitala i nic by jej nie zatrzymało. Ta hipoteza nie działała, więc umysł Maggie powrócił do pierwszej myśli *Proszę, niech to nie będzie prawda.*

Dziwne, ale Maggie miała wrażenie, że mogłaby cofnąć czas. Gdyby tylko się odwróciła, wślizgnęła z powrotem do sypialni, zanim ktokolwiek ją zauważy... Położyła się do łóżka, schowała głowę kołdrą i zamknęła oczy...

Ale nie mogła tak zostawić matki.

Nagle krzyk ucichł. Usłyszała zdławiony głos ojca i z trudem go rozpoznała.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że się wspinaliście? - zapytał zduszonym szeptem. - Skoro to się stało w Halloween, to znaczy, że minęło sześć dni. Nawet nie wiedzieliśmy, że nasz syn zaginął...

- Przepraszam. - Sylvia także szeptała. - Nie planowaliśmy długiej wycieczki. Tylko współlokatorzy Milesa wiedzieli, że idziemy w góry, nikt poza tym. To był taki spontaniczny pomysł. W Halloween nie mieliśmy zajęć, rozpogodziło się i Miles zaproponował wyprawę na Kominową Skagę! I tak zrobiliśmy...

Kiedyś też mi to proponował, pomyślała Maggie w dziwnym oszołomieniu. Zanim poznał Sylvie. Szeryf patrzył na ojca Maggie.

- Nie zdziwiło państwa, że syn od zeszłego piątku nie daje znaku życia?

- Nie. Odkąd poszedł do college'u, zrobił się niezależny. Dziś po południu zadzwonił jeden z jego kolegów i pytał o Milesa, nic nie wspomniał, że syna nie ma od tygodnia. Pomyślałem tylko, że urwał się z zajęć... - ojciec Maggie nagle zamilkł.

Szeryf pokiwał głową.

- Koledzy sądzili, że zrobił sobie mały urlop od szkoły - powiedział. - Dziś wieczorem zaniepokoił się już na tyle, że nas powiadomili. A jeden ze strażników znalazł Sylvie.

Sylvia płakała. Była wysoka, ale wyglądała krucho i delikatnie. Miała jasne lśniące włosy, które wyglądały, jakby były utkane ze srebra i oczy koloru dzikich fiołków. Maggie, niska, pyzata, ruda i brązowooka, zawsze jej zazdrościła.

Ale nie teraz. W tej chwili nikt nie mógłby popatrzeć na nią bez współczucia.

- To się stało pierwszego wieczoru. Wyruszyliśmy w góry ale pogoda się pogorszyła, więc zawróciliśmy. Szliśmy szybko.. - Sylvia urwała i przycisnęła pięść do ust.

- To nieroztropne wspinać się o tej porze roku - zauważyła łagodnie szeryf, ale Sylvia gwałtownie zaprzeczyła.

Maggie przyznała jej rację. Wcale nie było tak źle. Wprawdzie jesienią często padało, ale czasem się przejaśniało i przez cały miesiąc była ładna pogoda. Każdy wspinacz to wiedział.

A poza tym Miles nie bał się złej pogody. Miał tylko osiemnaście lat, ale zaliczył mnóstwo trudnych tras w okolicy. Chodził w góry przez całą zimę, zdobywając doświadczenie w śniegu i burzy.

Sylvia mówiła dalej coraz bardziej roztrzęsionym głosem.

- Tydzień wcześniej miał grypę i jeszcze nie doszedł do siebie - ciągnęła, z trudem chwytając powietrze. - Ale wydawał się całkiem zdrowy i silny. To się stało, kiedy zaczęliśmy w pośpiechu schodzić. Śmiał się, żartował... Nie przyszło mi do głowy, że jest tak zmęczony, że popełni błąd... - Głos Sylvii przeszedł w urywany szloch. Strażnik objął ją ramieniem.

Maggie poczuła lód w żołądku. *Błąd? Miles?*

Myślała, że usłyszy o lawinie albo że sprzęt nawalił. Ewentualnie o błędzie Sylvii, przez który Miles stracił równowagę. Ale żeby jej brat się pomylił?

Wbiła wzrok w dziewczynę. Nagle coś przestało jej grać. Delikatnie zaczerwieniona twarz i zalane łzami fiołkowe oczy wyglądały tak przejmująco... że aż fałszywie. Jak gdyby Sylvia odgrywała tragiczną scenę z filmu. I znakomicie się przy tym bawiła.

- Nie wiem, jak to się stało - szepnęła. - Mieliśmy mocną asekurację. Powinniśmy mieć jeszcze drugie zaczepienie, ale za bardzo się spieszyliśmy... Chyba.. Och Boże, na pewno coś się popsuło w jego uprząży. Może źle się przypiął... Albo karabińczyki nie wytrzymały...

Nie. Nagle myśli Maggie się skryształizowały. Zupełnie jakby dopiero teraz zobaczyła prawdę, To niemożliwe. To nie tak.

Miles dobrze się wspinał. Był sprytny, silny i znakomity taktycznie. A do tego ostrożny. Maggie mogła tylko marzyć, żeby mu dorównać.

I nie mógł źle się przypiąć. Bez względu na okoliczności. Nigdy też nie schodził bez dodatkowej asekuracji.

To raczej ja jestem zdolna do takich rzeczy, pomyślała Maggie. Zawsze mnie strofował, że jestem nieostrożna.

Miles nie popełnia błędów.

A to oznacza, że Sylvia kłamie.

Ta myśl przyprawiła Maggie o wstrząs. Wszystko zawirowało. Pokój uciekał jej spod stóp. Ale po co? Po co Sylvia miałaby zmyślić tak straszną historię. Bez sensu.

Dziewczyna zakryła dłonią twarz.

- Szukałam go... ale... oberwał się kawał lodu... uskok...

Nie znalazła ciała. Twierdziła, że nie było ciała.

Maggie poczuła kolejną falę gorąca. Nabrała pewności, kiedy spojrzała na Sylvie.

Dziewczyna przez większość czasu wbijała wzrok w podłogę, patrząc na hiszpańskie kafelki.

Ale gdy skończyła opowiadać, zagapiła się na Maggie. Na jej stopy. Zerknęła na nie, po czym odwróciła głowę i po chwili znów popatrzyła.

Maggie, zaintrygowana, spojrzała w dół.

Moje skarpetki. Ona gapi się na moje skarpetki.

Jedna jest czerwona, druga niebieska - i Sylvia to zauważa. Jak aktorka, która tyle razy powtarzała daną kwestię, dała się złapać na takim drobiazgu.

Nagle poczuła, jak narasta w niej gniew. Maggie wbiła surowe spojrzenie w dziewczynę.

Rozgryzła ją, nie było wątpliwości.

Bezwstydnie kłamała.

Zrobiła coś złego. Coś strasznego. I dlatego ukryła ciało Milesa - a może mój brat jeszcze żyje.

O tak! Nadzieja dodała jej skrzydeł. To wszystko pomyłka Miles żyje! Trzeba tylko zmusić Sylvie, by powiedziała prawdę.

Ale nikt poza Maggie tego nie rozumiał. Wszyscy słuchali zmyślonej historii. I co najgorsze, wierzyli w nią.

- Musiałam czekać na poprawę pogody... Przez trzy dni siedziałam zamknięta w namiocie. A kiedy w końcu się wydostałam, byłam słaba... Resztkami sił wezwałam pomoc. Odszukano mnie, sprowadzono na dół... Ale wtedy dla Milesa było za późno. Wiem, że nie miał najmniejszej szansy na przeżycie tej burzy... - Sylvia straciła panowanie nad sobą.

Strażnik zaczął coś mówić na temat warunków pogodowych i akcji ratunkowej, ale nagle matka Maggie wydała z siebie kilka dziwnych stęknęć i osunęła się w ramiona ojca.

- Mamo! - Maggie rzuciła się w stronę matki. Ojciec podniósł głowę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z obecności córki.

- Och, to ty. Córeczko, dostaliśmy fatalną wiadomość...

Usiłuje mnie ochronić... Nic nie rozumie... Muszę mu powiedzieć...

- Tato - zaczęła Maggie. - Posłuchaj mnie przez chwilę.

W tym momencie matka wyciągnęła rękę.

- **Maggie** - jej głos brzmiał normalnie, ale w oczach kryło się szaleństwo. - **Tak mi przykro, skarbie. Stało się coś strasznego.**

I wtedy zemdłała. Ojciec Maggie ugiął się pod ciężarem jej bezwładnego ciała. Strażnik i jeden z szeryfów pospieszyli na ratunek. Głowa matki zaczęła się bezwładnie kołysać. Miała rozchylone usta. Maggie bała się, że zaraz zemdleje.

- **Gdzie możemy...** - zapytał szeryf.

- **Tu jest kanapa** - powiedział ojciec chrapliwym głosem. Maggie usunęła się z drogi i oszłomionym wzrokiem patrzyła, jak niosą jej matkę na kanapę.

W tym samym czasie Sylvia zaczęła coś mamrotać. Maggie dopiero po chwili zdołała się skoncentrować na jej słowach.

- **Tak mi przykro... Przepraszam... Żałuję, że nie mogę pomóc... Chyba muszę iść do domu.**

- **Zostań tu** - powiedziała pani szeryf, patrząc na matkę Maggie. - **Nie powinnaś teraz wychodzić. Wylądowałabyś w szpitalu, gdybyś tu nie przyszła.**

- **Nie potrzebuję lekarza. Jestem tylko zmęczona...**

Oficer się odwrócił.

- **Może posiedzisz chwilę w samochodzie?** - zaproponował łagodnie.

Sylvia pokiwała głową. Gdy ruszyła w stronę radiowozu, wydawała się niezwykle krucha i smutna.

Przepiękne wyjście, pomyślała Maggie. Niemal słyszało się w tle muzykę filmową.

Ale tylko Maggie miała okazję docenić kunszt Sylvi. Nikt nie widział, jak dziewczyna Milesa kieruje się w stronę samochodu i przystaje.

A potem odwraca się, by ruszyć dalej ulicą.

Teraz napisy końcowe, pomyślała Maggie.

I wtedy przyszło jej do głowy, że Sylvia uda się do swojego mieszkania.

Maggie przystanęła, rozdarta.

Chciała zostać, by pomóc matce. Ale czuła też wściekłość, która kazała jej iść za Sylvia.

A Maggie polegała na instynkcie.

Przez chwilę stała w miejscu. Serce biło jej tak mocno, jak gdyby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Pochyliła głowę i zacisnęła dłonie w pięści.

Dziewczyny z jej drużyny piłkarskiej natychmiast rozpoznałyby ten gest. Oznaczał, że Stalowa Maggie podjęła decyzję i zamierzała coś zrobić. Uwaga, nadchodzi!

Odwróciła się na pięcie i pomknęła do sypialni.

Zapaliła światło. Pokój wydawał jej się teraz zupełnie obcy. Czego właściwie potrzebowała? I dlaczego panował tu taki bałagan? Jak właściwie miała teraz coś znaleźć?

Kopnęła stertę ręczników, żeby wydobyć spod niej parę wysokich tenisówek, po czym naciągnęła je na stopy. Nie miała czasu zmieniać góry od piżamy. Zgarnęła z podłogi granatową kurtkę. Na moment znalazła się nos w nos z fotografią zatknietą za oprawę lustra.

Zdjęcie Milesa, na szczycie góry Rainier. Uśmiechał się i pokazywał uniesione kciuki. Nie miał kasku, więc widać było jego kasztanowe włosy, lśniące w słońcu czerwono złotym blaskiem. Wyglądał jak przystojny szelma.

Na białym śniegu widniał czarny napis nabazgrołony mazakiem: „Dla najbardziej wyszczerzonej, upartej, despotycznej, najfajniejszej siostry na świecie. Kocham cię, Miles”.

Maggie nie wiedziała, po co właściwie to robi, ale wyciągnęła zdjęcie z lustra i wsunęła je do kieszeni kurtki. A potem wybiegła na korytarz.

Teraz wszyscy stali zebrani wokół kanapy. Nawet Jake przepychał się między nogami.

Maggie nie widziała matki, ale zauważyła, że nikt nie wykonuje gwałtownych ruchów, co świadczyło o uspokojeniu sytuacji. Zachowywali się cicho i powściągliwie.

To zajmie tylko kilkanaście minut. Lepiej, żeby im niczego nie mówiła, dopóki się nie upewni. Chyba wróć, zanim w ogóle zorientują się, że zniknęłam.

Mamrocząc w myślach chaotyczne wymówki, Maggie wymknęła się przez frontowe drzwi i pobięła śladem Sylvii.

Rozdział 3

Oczywiście musiało padać. Nie była to okropna burza, ale miarowe uderzenie wielkich kropeł, których Maggie prawie nie zauważała. Mokra włosy przykleiły się jej do czaszki, szum deszczu zagłuszył dźwięk kroków.

Nisko wiszące chmury przesłoniły widok na górę Rainier, która przy ładnej pogodzie wznosiła się nad miastem niczym biały anioł zemsty.

Rany, naprawdę kogoś śledzę, pomyślała Maggie. Nie mogła w to uwierzyć, ale właśnie podążała ulicą, przy której stał dom. Chowiała się za samochodami i błyskawicznie uskakiwała za krzewy rododendronów. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku ze szczupłej dziewczyny przed sobą.

Tylko ten widok sprawiał, że nie rezygnowała. Normalnie czułaby się strasznie głupio w takiej sytuacji, ale nie tej nocy. Po tym, co się stało, nie mogła zrezygnować. Za każdym razem, gdy odrobinę się rozluźniała i zaczynała odczuwać niepewność, zdarzenia z ostatniej godziny wracały i nie pozwalały jej zapomnieć.

Głos Sylvii. „Może niedokładnie przypiął karabińczyk”. I bezwładne ciało matki.

Pójdę za tobą, gdziekolwiek zmierzasz, pomyślała Maggie A potem...

Nie wiedziała, co potem. Ufała instynktowi, pozwalała mu się prowadzić. Był niezwykle silny.

Mieszkanie Sylvii mieściło się w kampusie Uniwersytetu Waszyngtońskiego, dość daleko od domu Maggie. Zanim dotarły na miejsce, deszcz rozpadał się na dobre. Maggie z przyjemnością schroniła się w podziemnym garażu, skradając się za Sylvia.

Niebezpiecznie tu, zauważyła, kiedy weszła w ciemność. Ale nie czuła strachu. W tej chwili mogłaby roznieść napastnika, tak bardzo była nakręcona.

Gdy Sylvia stanęła przed windą, Maggie chyłkiem wbiegła na klatkę schodową. Trzecie piętro. Na górę dotarła jeszcze przed windą, i nawet się nie zadyszała.

Drzwi na korytarzu były uchylone, więc widziała, jak Sylva podchodzi do mieszkania i unosi rękę, żeby zapukać.

Zanim jednak to zrobiła, drzwi się otworzyły. Na progu stanął chłopak nieco starszy od Maggie. A za nim pojawiły się chichoczące dziewczyny, które właśnie wychodziły. Maggie dobiegły dźwięki muzyki i zapach kadzidełek.

Ktoś urządził imprezę.

Nie było w tym nic dziwnego. W końcu co można robić w sobotni wieczór w college'u. Pewnie zabawę zorganizowały trzy współlokatorki Sylvii. Ale gdy grupka rozbawionych dziewczyn minęła Sylvie, ta uśmiechnęła się i spokojnie weszła do środka,

Tak nie zachowuje się dziewczyna, która straciła właśnie chłopaka, pomyślała Maggie z wściekłością. Nie pasuje to także do roli, którą dopiero co odegrała w ich domu.

I wtedy zauważyła, że chłopak niezbyt dokładnie zamknął drzwi.

Dam radę? Może. Jeśli wejść do środka bez wahania, jak gdybym była zaproszona.

Oby mnie nie dostrzegła. Stanę za nią i zobaczę, czy będzie z kimś rozmawiać...

Roześmiane dziewczyny zniknęły w windzie, a Maggie podeszła do drzwi i wsunęła się do środka.

Pewna mina, myślała. Instynktownie zatrzymała się przy ścianie. Jej pojawienie się nie wywołało żadnego zamieszania. W mieszkaniu panował mrok. Grała dość głośna muzyka i wszyscy mówili jednocześnie.

Niestety, nie mogła wypatrzeć Sylvii. Oparła głowę o chłodną ścianę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Przy wieży jej nie ma. Pewnie się przebiera. Kiedy szła wąskim korytarzem, uświadomiła sobie, że dziwnie się czuje. Coś odpychającego było w tym mieszkaniu. To niebezpieczeństwo. To miejsce jest niebezpieczne. Goście byli albo niezwykle piękni, albo nienaturalnie brzydzy, ale wszyscy wyglądali, jak gdyby wyszli z programu MTV. Kojarzyli jej się z rekinami z akwarium w Seattle. To był chłód, którego nie dało się zobaczyć, ale który się czuło.

Coś tu nie pasuje. Może to handlarze narkotyków? Czcciele szatana? A może mafia? Wydają się tacy... źli.

Czuła się, jakby znalazła się w jaskini lwa.

Zamarła, słysząc dziewczęcy głos dobiegający z najbliższej sypialni. Pomyślała, że to Sylvia.

- To naprawdę najbardziej tajemnicze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałeś?

To jednak nie była ona. Maggie przez szparę w drzwiach zobaczyła bladą i piękną dziewczynę z długim czarnym warkoczem. Pochylała się lekko, dotykając ustami dłoni chłopaka.

- Egzotyczne i tajemnicze. To stare miejsce, naprawdę stare, nikt go już nie pamięta. Jest tam okropnie niebezpiecznie, ale nie dla nas...

Nieistotne, uznała Maggie i przestała słuchać. Czyjeś wakacyjne plany nie miały nic wspólnego z Sylvia i Milesem. Ruszyła dalej. Na końcu korytarza były zamknięte drzwi.

Sypialnia Sylvii. Na pewno jest w środku.

Maggie rozejrzała się ostrożnie i oparła policzek o pomalowane na biało drewniane drzwi, cały czas jednak czujnie zerkając, czy nikt nie nadchodzi. Wstrzymała oddech i starała się wyglądać normalnie, ale serce biło jej tak głośno, że słyszała tylko własny puls i muzykę. Za drzwiami ktoś mówił. Maggie straciła nadzieję, że cokolwiek usłyszy.

W porządku. W takim razie wejdę do środka. W końcu i tak mnie zauważą.

Po prostu to zrobię.

Była taka spięta, ale mimo zagrożenia się nie bała. Czuła raczej wściekłość, rozpaczliwą chęć walki. Miała ochotę rozbić coś w drobny mak.

Ujęła gałkę, po czym pchnęła drzwi.

Uderzyła ją dziwna woń, mocniejsza niż zapach w salonie. Piżmo z domieszką czegoś słodkawego. Drażniła jej nos. W sypialni było jeszcze ciemniej niż na korytarzu, ale Maggie weszła do środka bez wahania. Drzwi miały jakąś blokadę, ledwo je puściła, odskoczyły i zatrzasnęły się za nią cicho.

Sylvia stała przy biurku.

Była sama. Wciąż miała na sobie strój do wspinaczki. Lśniące włosy powoli wysychały, okalając czoło jak anielskie pióra.

Pochylała się nad mosiężną kadzielnicą i wsypywała jakiś proszek albo zioła. To stamtąd dochodził mdlący, słodkawy aromat.

Maggie planowała - o ile w ogóle mogła coś planować - zaatakować Sylvie. Chciała ją zaskoczyć, żeby dziewczyna z wrażenia powiedziała prawdę. Ale zanim otworzyła usta, Sylvia ją uprzedziła.

- Jaka szkoda, że nie zostałeś w domu z rodzicami. - Jej głos brzmiał spokojnie, nie było słychać w nim żalu.

Maggie nie wiedziała, co robić.

Co to miało znaczyć? Groziła jej? W porządku. Niech będzie. Odplaci jej tym samym.

Ale Sylvia ją zaskoczyła.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała, głośno przetykając ślinę. - Ale przynajmniej nie odgrywasz już biednej, szlochającej nieszczęśnicy. Naprawdę fatalnie ci to wychodziło.

- A mnie się wydaje, że całkiem dobrze - odparła Sylvia, udając coś do kadzielnicy. - Wszyscy mi uwierzyli.

Maggie znów się zdziwiła. Nic nie szło zgodnie z planem. Sylvia zachowywała się tak spokojnie, tak swobodnie. Jak gdyby panowała nad sytuacją. *Dość już tego*, pomyślała Maggie, Właśnie się przyznała. To wszystko było kiepską grą. Maggie poczuła napływającą wściekłość. Zrobiła trzy kroki do przodu.

- Wiesz, czemu tu jestem. Chcę się dowiedzieć, co naprawdę przytrafiło się mojemu bratu.

- Przecież mówiłam...

- To były same kłamstwa. Nie wiem, co się stało. Ale Miles na pewno nie popełnił żadnego błędu. Jeżeli zrobiłaś coś głupiego. .. Jeżeli leży ranny, a ty boisz się przyznać, to lepiej mi to powiedz. - Podsunęła jej rozwiązanie, Sylvia podniosła wzrok. Maggie się wzdrygnęła. W świetle świecy oczy dziewczyny nie wydawały się już fiołkowe, tylko purpurowe jak ametyst. Były wielkie, jasne i drgało w nich światło.

- Myślisz, że to właśnie się stało? - spytała cicho Sylvia.

- Przecież ci powiedziałam, że nie wiem, co się stało! Maggie nagle poczuła, że kręci jej się w głowie. Próbowwała z tym walczyć, ale oczy Sylwii ją rozpraszały. - Może się pokłóciliście albo masz innego chłopaka. A może w ogóle się nie wspinaliście. Wiem jedno, skłamałaś, a do tego nie ma ciała. Chcę poznać prawdę!

Sylvia odpowiedziała śmiałym spojrzeniem. Światło świecy tańczyło w jej oczach.

- Wiesz, co twój brat o tobie mówi? - spytała w zamyśleniu. - Że nigdy się nie podajesz. „Maggie prochu nie wynajdzie, ale kiedy raz się uprze, nie popuści, jak bulterier”. I pomożesz każdemu potrzebującemu. Czułe serduszko.

Sylvia wrzuciła do mikstury w kadzielnicy trochę ciemnej kory.

- Fatalnie się składa - ciągnęła. - Upór i skłonność da współczucia. Przepis na katastrofę.

Maggie miała tego dość.

- Co się stało Milesowi? Co mu zrobiłaś? Sylvia roześmiała się cichutko.

- Obawiam się, że się nie domyślisz, nawet jeżeli będziesz się zastanawiać do końca życia. - Pokręciła głową. - Właściwie to wielka szkoda. Lubiłam twójego brata. To mógł być niezły związek.

Maggie chciała wiedzieć tylko jedną rzecz.

- Czy Miles żyje?

- Nigdy się tego nie dowiesz. Nawet wtedy, gdy dotrzesz tam, gdzie zaraz się wybierzesz.

Maggie wbiła w Sylvie wzrok. Nie mogła tego wszystkiego pojąć.

- Nie wiem, co się z tobą dzieje. Może zwariowałaś. Ali jeśli zrobiłaś coś złego mojemu bratu, zabiję cię - wysyczała chłodno.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie powiedziała, ale te słowa przyszły jej zupełnie naturalnie, z siłą i przekonaniem. Byli tak rozgniewana, że widziała tylko twarz winowajczyny. Czuła supeł w żołądku i palący ogień w środku.

- **A teraz mów, co z moim bratem!** Dziewczyna westchnęła.

- Nie - odparła spokojnie.

Maggie nawet się nie zorientowała, kiedy wyciągnęła ręce szarpnęła Sylvie za poły zielonej kurtki.

W oczach dziewczyny zabłyśły iskry. Przez chwilę wydawała się zaskoczona i pełna szacunku, chociaż niechętnego. Potem jednak uśmiechnęła się lekko i westchnęła.

- **I co, teraz mnie zabijesz?** - spytała.

- **Posłuchaj no, ty...** - Maggie nachyliła się, ale urwała w pół słowa.

|- Dokończ.

Maggie zamrugnęła. Nagle zaczęły szczypać ją oczy. Dym z kadzielnicy buchnął jej prosto w twarz.

- **Ty...**

Dziwnie się czuję, pomyślała.

Bardzo dziwnie. Kręciło jej się w głowie. Przed oczami zamigotały jej szare plamy. Miała skurcze żołądka i mdłości.

- **Jakiś problem?** - głos Sylvii dochodził z oddali.

Kadzidło.

Dym w nosie... I teraz...

- **Co ty mi zrobisz?** - stęknęła Maggie. Odsunęła się od źródła dymu, ale było już za późno.

Kolana ugięły się pod nią.

Całe ciało wydawało się obce.

Poczuła, że nogami dotyka jakiegoś łóżka, A później nie była już w stanie stać. Spadała gdzieś, machając bezwładnie rękami. Nie mogła poruszyć ustami.

- **Wiesz, przez chwilę naprawdę myślałam, że będą z tobą kłopoty** - powiedziała Sylvia. - **Ale myliłam się. Jesteś tylko zwyczajną dziewczyną, słabą i bezsilną. Straszny z ciebie przeciętniak. Skąd przyszło ci do głowy, że mogłabyś się ze mną zmierzyć? Ze mną i z moim światem?**

Czy ja umieram? - zastanawiała się Maggie. Prawie nic nie czuję. Nic nie widzę. Nie mogę się poruszyć...

- **Jak śmiałaś tu przychodzić i mnie atakować? Jak śmiałaś myśleć, że masz jakiegokolwiek szansę?** - Nawet głos Sylvii stawał się coraz bardziej niewyraźny. - **Jesteś żałobna. A teraz przekonasz się, co czeka tych, którzy wtrącają się w sprawy prawdziwych mocy. Dowiesz się...**

Gos ucichł. Teraz słyszała już tylko szelesty.

Przepraszam cię, braciszku, westchnęła Maggie.

A potem przestała nawet myśleć.

Rozdział 4

Maggie śniła. Wiedziała, że śni - co już samo w sobie było dziwne, tym bardziej że nie był to normalny sen.

Coś z zewnątrz... próbowało się przebić. Głęboko skryte rejony umysłu. Maggie nie umiała znaleźć właściwych słów, żeby to opisać. Jej ciało było sparaliżowane strachem. Mogła się tylko rozglądać.

Mgła. Wszędzie wisiała mgła. Białe węże, niczym dżiny uwolnione z magicznych lamp, wiły się przed nią. Czowała, że w cieniu coś się kryje. Widziała to kątem oka, ale ilekroć usiłowała się przyjrzeć, zniknęło.

Maggie dostała gęsiej skórki. Przeraziła ją nie tylko mgła. Słyszała też jakieś dźwięki, od których jeżyły jej się włoski na karku. Z trudem je wychwytywała, jak gdyby zniekształcała je odległość albo jeszcze coś innego. Ktoś pytał: „Kim jesteś?” Powtarzał to pytanie raz po raz.

Nie, bez przesady, pomyślała Maggie. Pokręciła głową. To wszystko jest po prostu zbyt... niesamowite. Czy ja zawsze muszę mieć takie dziwaczne sny?

Ale chwilę później zdarzyło się coś, co przyprawiło ją o dreszcze. Coś zaczęło się wyłaniać z mgły.

Maggie odwróciła się, sztywniejąc. A potem wszystko się zmieniło.

Mgła opadła. Maggie zobaczyła ciemną postać, początkowo tylko zarys sylwetki. Przez sekundę myślała o Milesie, ale to wrażenie zniknęło niemal tak szybko, jak się pojawiło. To był jakiś nieznamy chłopak. Ciężko dyszał i krzyczał rozpaczliwym głosem.

- Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

Ach, czyli pytał „gdzie jesteś”, a nie: „kim jesteś”, pomyślała.

- Gdzie jesteś, Maggie? Gdzie jesteś?

Zdziwiła się, słysząc własne imię. Ale nie zdążyła nawet odetchnąć, bo on odwrócił się i spojrział jej prosto w oczy.

Stanął się jak wryty. Maggie mogła mu się przyjrzeć. Na jego twarzy zobaczyła zdziwienie, ulgę i radość.

- Maggie - szepnął.

Stała bez ruchu. Nie знаła go. Była pewna, że nigdy wcześniej go nie widziała. Ale on patrzył na nią, jak gdyby była najważniejszą osobą we wszechświecie. Szukał jej przez tyle dni, że stracił już nadzieję. A ona bała się poruszyć, gdy nagle wyłonił się z ciszy. Znalazł się przy niej i położył dłonie na jej ramionach.

Delikatnie, nie zaborczo. Jak gdyby miał pełne prawo to zrobić i się przekonać, że Maggie istnieje naprawdę.

- Udało mi się przedostać - powiedział. Maggie nigdy nie widziała nikogo tak niezwykle. Ciemne lekko kręcone włosy, nieco zmierzwiłone. Gładka skóra. Usta, które zazwyczaj zapewne wyglądały dumnie i zdecydowanie, teraz zdradzały tylko wrażliwość. I lśniące żółte oczy.

To te oczy, zadziwiające i przykuwające uwagę, sparaliżowały Maggie. Nie, nigdy wcześniej go nie spotkała.

Był wyższy od niej o głowę, szczupły i umięśniony. Maggie nie czuła lęku - na jego twarzy widziała czułość i niepokój, a w okolonych smolistymi rzęsami złotych oczach dostrzegła błaganie.

- Przepraszam cię, pewnie nic nie rozumiesz. Ale bardzo trudno było tu wejść.

Nie mamy wiele czasu.

Maggie w oszołomieniu niemal mechanicznie powtórzyła jego słowa.

- Trudno było tu wejść? - spytała.

- Nieważne. Maggie. Musisz uciekać, rozumiesz? Kiedy tylko się obudzisz, odejdz z tego miejsca.

- Gdzie ja jestem? - Jeszcze nigdy nie czuła się tak dezorientowana. Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie zasnęła. Coś się stało. Coś, co dotyczyło Milesa. Martwiła się o niego...

- **Mój brat** - powiedziała z nagłym naciskiem. - **Szukałam mojego brata. Muszę go znaleźć** - dodała, nie rozumiejąc dlaczego to mówi.

Złote oczy przygasły.

- **Nie możesz teraz o nim myśleć. Przykro mi.**

- **Wesz coś...**

- **Musisz się stąd wydostać. Musisz wyruszyć, kiedy tylko się obudzisz. Pokażę ci drogę.**

Wyciągnął rękę. Maggie nagle zobaczyła przed sobą odległy, ale wyraźny krajobraz, jak film wyświetlany na kłębach dymu.

- **Tam jest przejście, pod wielką wiszącą skałą. Widzisz ją?**

Maggie nie rozumiała, dlaczego musiała ją zobaczyć. Nie знаła tego miejsca. To mogło być gdzieś w okolicach góry Cascade albo w parku olimpijskim, ponad linią drzew.

- **Najpierw poszukaj trzech szczytów tej samej wysokości, które się stykają. Widzisz je? A potem skieruj wzrok w dół, aż zobaczysz wiszącą skałę w kształcie przetłumanej fali. Masz ją?**

W jego głosie brzmiało tyle napięcia i taka władczość, że Maggie nie próbowała się spierać.

- **Widzę, ale...**

- **Zapamiętaj ją. Znajdź ją. Idź tam i nie oglądaj się za siebie. Jeśli tylko się wydostaniesz, reszta nie ma znaczenia.** - Jego twarz pobrała, rysy stwardniały. - **Cały świat może przestać istnieć.**

I wtedy pochylił się i pocałował Maggie. To był miły pocałunek, w policzek. Poczula na sobie jego ciepły, urywany oddech, potem dotyk warg i ich drżenie, jak gdyby wstrząsały nim jakieś silne emocje. Namiętność albo smutek.

- **Kocham cię** - szepnął, burząc jej włosy oddechem. - **Zawsze cię kochałem. Zawsze o tym pamiętaj.**

Maggie zakręciło się w głowie. Nic nie rozumiała. Powinna była odepchnąć nieznanego, ale nie chciała tego robić. Chociaż bardzo się bała, to nie on budził w niej lęk. W jego ramionach czuła wszechogarniający spokój i bezpieczeństwo. Czuła, że do niego należy.

- **Kim jesteś?** - szepnęła.

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, wszystko znów się zmieniło.

Wróciła mgła. Nie stopniowo, ale błyskawicznie oblepiała wszystko wokół. Maggie przestała czuć ciepło drugiego ciała, jak gdyby się rozplynęło.

- **Zaczekaj...** - Słyszała, że w jej głosie brzmi panika, ale portowy kokon mgły stłumił wszelkie dźwięki.

I wtedy zniknął. Maggie trzymała w ramionach tylko pustkę. I widziała tylko biel.

Rozdział 5

*M*aggie budziła się powoli. Strasznie bolała ją głowa.

Czyba jestem chora, pomyślała. Miała ociężałe i obolałe ciało, w głowie pulsował ból i nie mogła oddychać inaczej niż przez usta. Język przykleił jej się do podniebienia.

Coś mi się śniło, pomyślała, ale nie mogła uchwycić nawet fragmentów tego snu... Mgła? I jakiś chłopak. Czemu to tak ważne? Poza tym coś ją rozpraszało. Pragnienie. Chciało jej się pić. Woda, potrzebuję wody...

Powoli uniosła głowę i otworzyła oczy. Nie leżała w swoim pokoju. Była w jakimś małym, ciemnym i cuchnącym pomieszczeniu, które gwałtownie się poruszało, potrząsając nią we wszystkie strony. Bolało. Z zewnątrz dochodziły rytmiczne, hałaśliwe dźwięki. Maggie pomyślała, że powinna je rozpoznać.

Pod policzkiem i pod palcami czuła szorstkie, niemalowane drewno. Sufit i ściany także zrobione były ze zniszczonych desek.

Jakie to pomieszczenie: małe, drewniane... To w ogóle nie jest pokój, pomyślała nagle. To pojazd. Jakiego rodzaju drewnianego wozu.

Kiedy tylko to sobie uświadomiła, rozpoznała rytmiczne dźwięki.

Końskie kopyta.

Nie, to niemożliwe, pomyślała. Zbyt dziwne. Jestem chora, pewnie mam halucynacje.

Ale wszystko wydawało się podejrzenie prawdziwe. Czuła, że leży w drewnianym wózku, który ciągną konie po nierównym podłożu. To tłumaczyło, dlaczego tak trzęsło.

Co się dzieje? Co ja tu robię? Gdzie właściwie jestem?

Nagle wróciły wspomnienia. *Sylvia. Kadzielnica... Miles.*

Miles nie żyje... Nie. To niemożliwe. Sylvia kłamała. Powiedziała, że nigdy nie dowiem się, co się stało. A potem odurzyła i mnie tym dymem.

Maggie z zadowoleniem stwierdziła, że potrafi odtworzyć chociaż tyle. Nawet jeśli wszystko poza tym było kompletnie niezrozumiałe, przynajmniej mogła uchwycić się jednego pewnego wspomnienia.

- **Obudziłaś się** - powiedział jakiś głos. - **W końcu. Ten dzieciak mówi, że spałaś półtora dnia.**

Maggie zaczęła się podnosić, aż w końcu zobaczyła twarz rozmówcy. Była to dziewczyna mniej więcej w jej wieku.

Miała zmierzwiłone rude włosy, pociągłą, wyrazistą twarz i płasko osadzone oczy. Obok stała młodsza dziewczynka, dziewięciu czy dziesięcioletnia. Była bardzo ładna, szczupła, z krótkimi blond włosami skrytymi pod czerwoną czapką bejsbolową. Miała przestraszony wyraz twarzy.

- **Kim jesteście?** - zapytała bełkotliwie Maggie. Opuchnięty z pragnienia język przeszkadzał jej w mówieniu. - **Gdzie ja jestem? Co się dzieje?**

- **Hm, wkrótce się dowiesz** - odparła ruda. Maggie się rozejrzała. W kącie wozu kuliła się czwarta dziewczynka, która nie otwierała oczu. Maggie poczuła, że musi oprzytomnieć.

- **Jak to, naprawdę spałam przez półtora dnia?**

Rudowłosa wzruszyła ramionami.

- **Ona tak mówiła. Ja nic nie wiem. Złapali mnie kilka godzin temu. Udało mi się prawie uciec, ale znowu mnie złapali.**

Maggie wbiła w nią wzrok. Na wydatnych kościach policzkach dziewczyny widniał świeży siniak. Miała też spuchnięta wargi.

- **Uciec?** - spytała powoli. Nikt nie odpowiedział. - **Posłuchaj. Nazywam się Maggie Nely. Nie wiem, gdzie jestem i co tu robię, ale pamiętam, że Sylvia pozbawiła mnie przytomności, Sylvia Weald. Znacie ją?**

Ruda patrzyła na Maggie zwięzonymi zielonymi oczami. Leżąca dziewczynka nawet nie drgnęła, a dziecko w czapce się skuliło

- **Powiedzcie coś!**

- Naprawdę nie wiesz, co tu jest grane? - spytała.

- Gdybym wiedziała, przestałabym o to pytać! Dziewczyna przez chwilę mierzyła Maggie wzrokiem.

- Zostałaś sprzedana w niewolę - powiedziała wreszcie ze złośliwą przyjemnością. - Jesteś teraz niewolnicą.

Maggie się roześmiała.

Śmiech wyrwał jej się niechcący, a nagły dźwięk przyprawił o cierpienie obolałą głowę.

Blondynka w kącie się wzdrygnęła. Na widok jej miny Maggie przestała się uśmiechać.

Poczuła zimne dreszcze na karku.

- Co wy gadacie. Nie ma już niewolników!

- TU są. - Ruda się skrzywiła. - Ale założę się, że ty nawet nie wiesz, gdzie jesteś.

- W stanie Waszyngton... - już wypowiadając te słowa, Maggie poczuła skurcz żołądka.

- Błąd. Może i zresztą prawda, ale to bez znaczenia. Teoretycznie może i jesteśmy w stanie Waszyngton. Praktycznie to piekło.

Maggie zaczynała tracić panowanie nad sobą.

- O czym ty mówisz?

- Wyjrzyj przez szparę.

W ścianach wozu było mnóstwo otworów, przez które wpadało blade światło. Maggie uklękła i przyłożyła oko do jednego z większych otworów między deskami. Zamrugła.

Z początku nie widziała wiele. Wóz podskakiwał na wybojach i nie mogła się zorientować, na co patrzy. Wokół nie dostrzegała żadnych kolorów. Wszystko wydawało się albo fosforyzująco białe, albo smoliście czarne.

Stopniowo zdała sobie sprawę, że biel to zachmurzone niebo, a czerń to góra. Wielka góra, tak bliska, że Maggie miała ją tuż przed twarzą. Wznosiła się ponuro na tle nieba. Dolne rejon porastały drzewa w kolorze kości słoniowej. A wokół unosiła się mgła. Szczyt ginął w chmurach, nie dało się ocenić, na jakiej wysokości.

Obok znajdowała się druga góra, nieomal identyczna. Maggie przesunęła się, by zobaczyć więcej. Wszędzie wokół widziała szczelny pierścień gór.

Ten widok trochę ją przerażał.

Maggie знаła i kochała góry, ale te wyglądały zupełnie inaczej. Były lodowate i zatopione we mgle. Wydawało się, że wszędzie mieszkają duchy, które co chwila materializują się i znowu znikają z niemal słyszalnym jękiem. To było jak inny świat.

Maggie usiadła wyprostowana i spojrzała w stronę rudej dziewczyny.

- Co to za miejsce? - spytała prawie szeptem.

Ku jej zdziwieniu tym razem dziewczyna nie zaśmiała się złośliwie. Odwróciła się, jak gdyby myślała o czymś odległym i strasznym, po czym odezwała się szeptem, jak gdyby mówiła do siebie:

- To najbardziej tajemne miejsce w świecie nocy.

Maggie poczuła się tak, jakby zaraz miała ją pochłonąć mgła.

- Co takiego?

- Świat nocy to ich świat. - Maggie popatrzyła na nią nie rozumiejącym wzrokiem. - Drapieżnych istot, które nie są ludźmi.

Maggie poczuła mocne ssanie w żołądku. Nie wiedziała, czy to dlatego, że obok siedziała wariatka, czy też dlatego, że zaczynała jej wierzyć. W każdym razie nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Ruda zerknęła na nią z ukosa i znów uśmiechnęła się złośliwie.

- Chodzi mi o wampiry - powiedziała powoli. - Poza tymi są również zmiennokształtni i wiedźmy...

O Boże, pomyślała Maggie. Sylvia. Sylvia jest wiedźmą.

Nie wiedziała, czemu jest tego taka pewna. Wciąż nie do końca w to wszystko wierzyła, ale skojarzenia, które nagle zaczęły przychodzić jej do głowy, pociągnęły za sobą kolejne. Kadielnica, dziwne fioletowe oczy. Fakt, że Miles tak bardzo się w dziewczynie zadurzył. Przesłał niemal kontaktować się z rodziną i się zmienił, jak gdyby ktoś rzucił na niego urok... Był taki bezradny...

Och, Miles, dlaczego o niczym nie wiedziałam

Może i nie jestem mądra, ale zawsze dobrze oceniałam ludzi. Czemu schrzaniłam sprawę akurat wtedy, gdy tak wiele od tego zależało?

- Zazwyczaj nie kryją się we własnym świetle - ciągnęła ruda, a jej słowa nieubłagalnie docierały do uszu Maggie, mimo płataniny myśli. - Mieszkają w naszych miastach i udają, że są ludźmi. Ta dolina to specjalne miejsce. Tu, na górze Cascinio mieszkają od setek lat. Ludzie oczywiście o niczym nie wiedzą. Kryjówkę otacza bariera z zaklęć i mgła oraz te góry. Można się tu dostać wąskim przejściem, przez które przejedzie tylko mały wóz. Widzą go tylko istoty nocy. A ten świat nazywają Królestwem Mroku.

Super, pomyślała Maggie. Nazwa znakomicie pasowało do tego, co widziała przez szparę w desce. Światło byłoby w tym miejscu nie do pomysłenia. Nieprzeniknione kłęby mgły spowijały to miejsce srebrzysto białym zaklęciem.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy niewolnikami? A jak tu trafiliście?

Ruda milczała, więc Maggie zwróciła się ku małej blondynce.

Dziewczynka poruszyła się i przełknęła ślinę.

- Nazywam się PJ. Penobscot - powiedziała w końcu zduszonym głosem. - To stało się w Halloween. Chodziłam po domach, zbierając słodycze... - Wbiła wzrok w dziergany sweter i kamizelkę. - Byłam przebrana za golfistkę. I chciałam zrobić tylko rundkę po ulicy, bo pogoda zaczynała się psuć. Ale zdążyłam zrobić kilka kroków, kiedy przede mną i moim kumplem, Amonem, zatrzymał się jakiś samochód... - urwała, po czym przełknęła ślinę.

Maggie wychyliła się i ucisnęła jej dłoń.

- Na pewno to było świetne przebranie.

PJ uśmiechnęła się smętnie.

- Dzięki. - Jej twarz stężała, a oczy wydawały się nieobecne.

- Aaron uciekł, ale mnie schwytał mężczyzna. Usiłowałam uderzyć go kijem, ale mi go odebrał. Popatrzył na mnie, po czym wrzucił do samochodu. Był bardzo silny.

- Pewnie to był zawodowy handlarz - stwierdziła ruda. - Obie dziewczyny, które widziałam, są profesjonalistkami. Dlatego wiem, że zależy im na ładnym towarze.

Maggie spojrzała na nią z niedowierzaniem, po czym znów zwróciła się do P.J.

- I co potem?

- Zakryli mi twarz. Wciąż walczyłam, krzyczałam i w ogóle potem zasnęłam i obudziłam się w jakimś magazynie. - PJ zaczerpnęła powietrza, spoglądając na szczupłe nadgarstki.

- Zostałam przykuta do łóżka. I zupełnie sama. Przez jakiś czas. Potem, może następnego dnia, przynieśli tamtą. - P. J. skinęła w kierunku dziewczyny śpiącej w kącie. Maggie spojrzała na nieruchomą sylwetkę, wstrząsaną tylko przez ruch wozu.

- Wszystko z nią w porządku?

- Jest chora. Śpi już cztery dni, ale może wcale się nie obudziła. Chyba jej się pogarsza. - Głos P.J. brzmiał cicho i spokojnie. - Karmili nas, ale nie zwracali na nas uwagi. Wczoraj przynieśli cię

- Do magazynu? - Maggie zamrugła. P.J. przytaknęła z powagą.

- Spałaś. Ale nie wiem, co się stało później. Znowu zastłonili mi oczy. Obudziłam się w ciężarówce.

- W ten sposób przewożą nas do wejścia i przerzucają nas do wozu. W tej dolinie mieszkają istoty, które nigdy nie widziały samochodu.

- I ja to wszystko przespałam? - spytała Maggie. Dziewczyna znów pokiwała głową.

- Pewnie nafaszerowali cię narkotykami - powiedziała ruda. - Chcą mieć nad nami kontrolę.

Maggie przygryzła wargę. Nagle coś przyszło jej do głowy. *Może Sylvia i Miles wcale się nie wspinali?*

- Czy widziałaś innych niewolników poza nami? Na przykład mojego brata? - Wyłowiła z kieszeni zdjęcie Milesa.

P.J. z powagą przyjrzała się fotografii, po czym pokręciła głową.

- Nigdy go nie widziałam. Jest podobny do ciebie.

- To mój brat. On także zniknął w Halloween, pomyślałam, że może... - Maggie pokręciła głową, po czym przekazała zdjęcie Rudej.

- Nie znam go - odparła krótko dziewczyna.

Maggie spojrzała na nią. Jak na kogoś, kto okazał się mało pomocny.

- Jak się tu znalazłaś? Ruda prychnęła.

- Mówiłam ci. Próbowалам wydostać się z doliny. - Żachnęła wargi. - I udało mi się przejść na drugą stronę, ale mnie dopadli i wrzucili do wozu. Szkoda, że nie zmusiłam ich, żeby mnie zabili.

- Rany - powiedziała Maggie. Zerknęła na P.J., chciała dać rudej znać, że nie powinny niepotrzebnie straszyć dziewczyny. Na pewno nie jest tak źle.

Ku jej zdziwieniu Ruda ani się nie uśmiechnęła, ani nie wściekła.

- Jest jeszcze gorzej - odparła, znów szeptem. - Nie pytaj, sama zobaczysz.

Maggie poczuła, że jeżą jej się włosy na karku.

- Co ty mówisz?

Dziewczyna obróciła się, a jej zielone oczy zapłonęły ciemnym blaskiem.

- Istoty nocy muszą jeść - powiedziała. - Mogą się żywić normalnym jedzeniem, pić wodę. Ale wampiry potrzebują krwi, a zmiennokształtni jedzą ludzkie mięso. Czy teraz wszystko jasne?

Maggie zamarła. Nie martwiła się już o to, że P.J. się wystraszy. Sama za bardzo się bała.

- Jesteśmy ich niewolnicami, ale także zapasem jedzenia. Starczamy na wiele posiłków.

Maggie pochyliła głowę i zacisnęła dłonie w pięści.

- **W takim razie musimy uciekać** - powiedziała przez zęby. Ruda zaśmiała się tak gorzko, że Maggie poczuła zimny dreszcz.

- **A ty chcesz uciec?** - spytała P.J.

- **Zostaw ją w spokoju!** - warknęła Ruda. - **Nie wiesz, co mówisz. My jesteśmy tylko ludźmi. Oni to nocne potwory. Nie możemy nic im zrobić, nic!**

- **Ale...**

- **Wiesz, co istoty nocy robią niewolnikom, którzy próbują uciekać?**

Ruda odwróciła się do Maggie plecami.

Może ją uraziłam, pomyślała głupio.

Dziewczyna uniosła koszulę.

Maggie nie widziała jej twarzy, ale czuła narastające zdenerwowanie.

- **Co robisz?**

Na plecach dziewczyny widniały lśniące różowe blizny. Ktoś grał na jej ciele w kółko i krzyżyk. Rany jeszcze nie do końca się zagoiły. Linie były poszarpane. Na trzech głęboko wyciętych krzyżykach ktoś wypalił linię.

Maggie nabrała powietrza. Po chwili zaczęła szybko oddychać i omal nie zemdląła.

Cały świat osuwał się jej spod stóp, kurczył do rozmiarów pudełka od zapalek. Nie miała miejsca, żeby się przewrócić. Gdy odchyliła się w tył, uderzyła o ścianę wozu. Świat zatrząsał się, a po chwili wszystko wróciło na miejsce.

- **O Boże** - powiedziała Maggie. - **To oni ci to zrobili? Jak mogli?**

- **To jeszcze nic. Kara za pierwszą ucieczkę. Ale nie dałam się i uciekłam ponownie i znów mnie złapali. Tym razem zrobią coś gorszego.** - Ruda opuściła bluzkę.

Maggie zaschło jej w ustach. Nie myśląc o tym, co robi, chwyciła dziewczynę za ramiona.

- **Jak masz na imię?**

- **A kogo to...**

- **Jak masz na imię!**

Ruda wzruszyła lekko ramionami.

- **Jeanne.**

- **Jeanne, to się musi skończyć** - powiedziała Maggie. - **Nie możemy im na to pozwolić. I musimy uciec. Skoro i tak cię ukarzą, to kolejna próba nie robi już żadnej różnicy, nie sądzisz?**

Maggie podobało się brzmienie jej głosu. Była spokojna, kompetentna, rozsądna. Nagła decyzja, którą podjęła, nie wymazała z pamięci tego, co przed chwilą widziała, ale dawała nadzieję na przetrwanie. Maggie zamierzała coś z tym wszystkim zrobić. Musiała to naprawić. Natychmiast.

Rozpłakała się.

Jeanne odwróciła się i obrzuciła Maggie długim, badawczym spojrzeniem. P.J. także płakała po cichu.

Maggie poczuła, że zabrakło jej łez. Ib i tak nie pomagało. Kiedy się w końcu uspokoiła, zauważyła, że Ruda wciąż ją obserwuje.

- **Zamierzasz zmierzyć się ze światem nocy?** - spytała.

- **Nie, tylko z tymi, którzy nas porwali** - odparła Maggie, ocierając policzki.

Jeanne patrzyła na nią przez chwilę, po czym gwałtownie się wyprostowała.

- **W porządku** - powiedziała tak nagle, że Maggie aż podskoczyła. - **Zróbmy to. Jeśli tylko wiemy jak.**

Maggie popatrzyła na tył wozu.

- A co z tymi drzwiami?
- Są zamknięte łańcuchami od zewnątrz. Nie da się ich wyważyć.
- W umyśle Maggie pojawił się pewien obraz. Ona i Miles w łodzi na jeziorze Chelan. Razem z dziadkiem. Umyślnie kołysali łodzią, a dziadek krzyczał i wściekał się na niesforne wnuki.
- A gdybyśmy rozkołysały wóz? Może się przewróci, drzwi się otworzą. Albo wyłamię jedną z tych desek i wydostaniemy się na zewnątrz?
- A jak spadniemy w przepaść? - zapytała się Jeanne. - Ta droga jest dość wąska. - W jej oczach błysnął jednak szacunek. - Chyba powinniśmy spróbować, gdy znajdziemy się na jakiejś polanie - dodała z namysłem. - Kojarzę jedno takie miejsce. Nie twierdzę, że się uda, pewnie nie. Ale...
- Musimy to zrobić - odparła Maggie, patrząc na Jeanne. I chwilę pojawiło się między nimi porozumienie i zgoda. Zaczątek więzi.
- Kiedy się stąd wydostaniemy, będziemy musieli biec - Szepnęła Jeanne. - Oni siedzą tam na górze. - Wskazała palcem sufit na przedzie wozu, nad głową Maggie. - To coś przypomina powóz. Profesjonalni handlarze niewolnikami są twardzi, raczej nie pozwolą nam uciec.
- Może wóz ich zmiążdży, kiedy się przewrócimy - zastanawiała się Maggie. Jeanne pokręciła gwałtownie głową.
- Istoty nocy są silne. Trzeba czegoś więcej, żeby je zabić. Będziemy musiały uciec do lasu najszybciej jak się da i ukryć między drzewami. Może tam nas nie namierzą.
- W porządku - powiedziała Maggie, po czym popatrzyła na PJ - Myślisz, że dasz radę? Jesteś wytrzymała?
- PJ. przełknęła ślinę, przygryzła górną wargę i przytaknęła. Przekreśliła czapkę na głowie.
- Tak - odparła.
- Maggie kiwnęła głową z aprobatą, a potem popatrzyła na czwartą dziewczynkę, która wciąż leżała zwinięta na podłodze. Pochyliła się nad nią, by dotknąć jej ramienia.
- Nawet o tym nie myśl - mruknęła Jeanne. - Nie możemy jej zabrać.
- Maggie podniosła na nią oszołomiony wzrok.
- O czym ty mówisz? Dlaczego?

Rozdział 6

Bo to bez sensu. Ona już właściwie nie żyje.

Wyraz twarzy Jeanne był równie surowy i nieprzenikniony jak na początku.

- Ale...

- Nie widzisz? Ona spowolni ucieczkę. Nie damy rady z nią biec. A poza tym PJ. twierdzi, że dziewczyna jest ślepa.

Ślepa... Ciało Maggie przeniknął kolejny dreszcz. To musi być dla niej straszne.

Chwyciła delikatnie za ramię leżącej, usiłując przyjrzeć się jej twarzy.

Ależ ona piękna. Miała gładką skórę koloru kawy z mlekiem, subtelne rysy, *wysokie* kości policzkowe, idealne wargi. Jej czarne włosy był związane w lśniący luźny koński ogon. Zamknięte oczy okalał długie rzęsy, które drżały, jak gdyby dziewczyna spała. Ale piękno nie kryło się tylko w rysach twarzy. Bił od nie spokój, delikatność i zupełnie wyjątkowa harmonia.

- **Hej, słyszysz mnie?** - spytała cicho. - **Jestem Maggie. Jak masz na imię?**

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami. Usiłowała coś wymamrotać. Maggie musiała nachylić się, żeby cokolwiek zrozumieć

- **Aradia?** - powtórzyła. To było dziwne imię, więc Maggi wątpiła, czy dobrze usłyszała.

Dziewczyna chyba przytaknęła, znowu coś mamrocząc.

Słyszysz mnie, pomyślała Maggie. *Odpowiada.*

- **Okej. Mogę nazywać cię Cady? Posłuchaj, znalazłyśmy się w strasznym miejscu, ale zamierzamy uciec. Czy dasz rad pobiec, jeśli ci pomożemy?**

Rzęsy znów zatrzepotały. Po chwili Cady otworzyła oczy. *Oczy gołębic,* stwierdziła Maggie, zaskoczona. Były nie zwykle duże, wyraziste, brązowe i przesycone wewnętrznym blaskiem. Może i nie widziały, ale Maggie miała dziwne wrażenie, że właśnie została przejrzana na wyłot.

- **Spróbuję** - mruknęła Cady oszołomionym i pełnym bólu i zarazem całkiem spokojnym głosem. - **Czasem przez chwile czuję się lepiej.** - Zaczęła się podnosić, a Maggie pomogła je usiąść.

Jest wysoka. Ale bardzo szczupła. A ja jestem silna. Mogę ją podtrzymać.

- **Co ty wyprawiasz?** - spytała Jeanne, a w jej tonie oprócz zniecierpliwienia zabrzmiały też strach i oburzenie. - **Nie rozumiesz, że tylko pogarszasz sprawę? Czemu nie pozwoliłaś jej spać?**

Maggie zerknęła na rudą.

- **Posłuchaj, nie wiem, co ty myślisz, ale nie możemy nikogo tu zostawić. Jak byś się czuła, gdyby to ciebie porzucono?**

Jeanne wyglądała teraz jak dzikie zwierzę.

- **Zrozumiałabym** - warknęła. - **Tak musi być. Tu obowiązują prawa dżungli. Przeżyją tylko najsilniejsi. A słabi...** - Po kręciła głowę. - **Lepiej dla nich, by umarli. Im szybciej się tego nauczysz, tym większe będziesz miała szanse na przetrwanie.**

Maggie poczuła przyptyw gniewu - a także strachu. Jeanne prawdopodobnie miała rację. Z powodu tej ślepej, która i tak pewnie umrze, wszystkie narażały życie...

Odwróciła się i spojrzała na piękną twarz Aradii. Dziewczyna mogła mieć jakieś osiemnaście czy dziewiętnaście lat, jak Miles. Chociaż słyszała, co powiedziała Jeanne, nie odwróciła głowy ani nie zaczęła protestować. Nie straciła nic ze swojej łagodności.

Nie mogę jej tak zostawić. A co, jeśli Miles żyje, tylko został ranny, i jemu też ktoś odmówi pomocy? Maggie zerknęła na P.J. i jej bejsbolówkę.

- **Słuchaj, to nie twój problem** - powiedziała w końcu do Jeanne. - **Pomóż tylko P.J., dobrze? Zajmij się nią. Ja biorę Cady na siebie.**

- **Złapią was** - powiedziała bez emocji Jeanne.

- **Nie martw się o nas.**

- **Nie martwię się. Nie pomogę ci, jeśli wpakujesz się w kłopoty.**

- **Nie potrzebuję jej** - odparła Maggie, patrząc w gniewne oczy Jeanne. - **Naprawdę, nie zamierzam zmniejszać twoich szans. Ale nie mogę jej zostawić.**

Jeanne przez chwilę wydawała się wściekła, po czym wzruszyła ramionami, a z jej twarzy znikły wszelkie emocje. Ulotna więź, która na chwilę się pojawiła między nią a Maggie, została przerwana.

Ruda odwróciła się, wyjrzała przez szparę i znów spojrzała na Maggie.

- **W porządku** - powiedziała obojętnym głosem. - **Cokolwiek zamierzasz, zaczynaj od razu, zaraz wjedziemy na polanę.**

- **Gotowe?** - spytała Maggie.

Stały - a właściwie klęczały - opierając się plecami o ściany wozu. Jeanne i P.J. po jednej stronie, Maggie po drugiej. Tylko Cady leżała w rogu.

- **Na mój znak przeskoczycie na tę stronę. A potem wszystkie rzucimy się na tamtą** - szepnęła Maggie.

Jeanne wyglądała przez szparę.

- **Jesteśmy na miejscu. Już.**

- **Teraz!** - krzyknęła Maggie.

Trochę się martwiła, że się nie uda, ale Jeanne skoczyła na nią jak wystrzelona z katapulty, a P.J. za nią. Wóz rozkołysał się zaskakująco mocno. Maggie usłyszała skrzypienie drewna.

- **Z powrotem!** - ryknęła i wszystkie rzuciły się na drugą stronę. Maggie wylądowała na twardej ścianie i wiedziała, że będzie miała siniaki, ale pojazd znów się zakołysał.

- **I jeszcze raz!** - wrzasnęła, jednocześnie uświadamiając sobie, że wszystkie już ruszyły, idealnie synchronizując ruchy. Ogarnął je jakiś instynkt stadny, skakały to na jedną to na drugą stronę.

Wóz zwolnił i zaczął się niebezpiecznie chwiać. To przypominało jedną z tych sztuczek, które pokazuje się na imprezach, kiedy każda z pięciu osób chwyta kogoś dwoma palcami i wspólnymi siłami go unosi. Połączona energia dawała imponujące rezultaty.

Ale nie wystarczała, żeby przewrócić wóz. Okazał się zadziwiająco dobrze wyważony. Maggie uświadomiła sobie, że za chwilę woźnica zeskoczy z kozła i im przeszkodzi.

- **Teraz, wszystkie razem! Naprzód! Dalej!** - Krzyczała tak jak gdyby zachęcała do boju swoją drużynę piłkarską. - **Musi nam się udać. Teraz.**

Gdy wóz lekko się przechylił, Maggie rzuciła się na drugą stronę, podskakując przy tym tak wysoko, jak tylko mogła, Uderzyła w ścianę dokładnie w momencie, gdy ta uniosła się do góry. Czuła, że pozostałe dziewczyny podążyły za nią. Jeanne wydała z siebie dziki okrzyk, padając na drewno.

Wtedy pękła jedna deska. Dźwięk był głośny i długi. Po nim nastąpiło dziwne skrzypnięcie, które zmieszało się z jeszcze głośniejszymi odgłosami paniki.

To pewnie konie się przestraszyły, pomyślała Maggie. Cały świat się zakołysał - i nagle Maggie stoczyła się w przepaść.

Nie przewidziała, że to stanie się tak gwałtownie - i że taki ją zdezorientuje. Nie była pewna, co się dzieje - tylko że nagle usunęła jej się podłoga spod stóp i pochłonęły ją chaos, trzaski, skrzypienie, łkanie i ciemność. Obracała się w nieskończoność, czuła uderzenia nóg i rąk pozostałych dziewczyn. Czyjeś kolano trzasnęło ją w nos, więc przez chwilę myślała tylko o bólu.

A potem nagle wszystko ucichło.

Chyba nas zabiłam, pomyślała Maggie.

Wtedy zdała sobie sprawę, że widzi dzienne światło – blade i szarawe. Wóz wywrócił się do góry nogami, a tylne drzwi stały otworem.

Siła uderzenia naprawdę je wybiła, pomyślała Maggie. Jak na filmach.

Na zewnątrz ktoś krzyczał. Mężczyzna. Maggie jeszcze nigdy nie słyszała takiego wrzasku. To ją otrzeźwiło.

- **Szybko! Musimy się stąd wynosić!**

Jeanne już czołgała się po deskach, które wcześniej były sufitem, w stronę wiszących luzem drzwi.

- **Dobrze się czujesz? No już, ruchy, ruchy!** - wrzasnęła Maggie do P.J. - **Idź za nią!** Cady leżała bezwładnie. Maggie wzięła ją pod ramiona i wyciągnęła na zewnątrz.

Kątem oka zauważyła, że P.J. biegnie za Jeanne, która machnęła do niej ręką. Potem usiłowała się zorientować, co się wokół nich dzieje. Zobaczyła linię drzew. Ich wierzchołki spowijała mgła.

Mgła, pomyślała. *Przypominam sobie...* Myśl ta jednak szybko umknęła. Maggie poczuła, że biegnie jak strzała do lasu, wlokąc za sobą Aradię. Płaski teren, który w śnie przemierzała, był górską łąką, jedną z tych, które widziała podczas wędrówek. Wiosną okrywał ją dywan błękitnych różowych łubinów. Teraz zostały tylko kępy starej trawy, które spowalniały jej ruchy i zastawiały na nią pułapki.

- **Tam są! Łap je!** - rozległ się szorstki krzyk za jej plecami. *Nie oglądaj się*, nakazała sobie. *Nie zwalniasz*. Obejrzała się. W końcu zobaczyła, co się stało z powozem. Spadł z wąskiej ścieżki i leżał teraz na pochyłym zboczu. Miały mnóstwo szczęścia, wystająca skała zatrzymała go przed udkiem w przepaść. Maggie zdziwiła się, gdy ujrzała zmiażdżoną budę. Konie, które zostały na górze, zaplątały się w lejce i uprzęże; jeden leżał i bezradnie próbował się podnieść. Maggie poczuła przypływ wyrzutów sumienia: miała nadzieję, że koń nie połamał nóg. Zobaczyła także dwóch mężczyzn biegnących w dół zbocza. To oni krzyczeli. A jeden z nich wskazał ręką na Maggie. *Biegnij*, pomyślała. *Przestań się gapić. Biegnij*. Dotarła do skraju lasu, ciągnąc za sobą Cady. Musiały znaleźć jakąś kryjówkę. W krzakach. Gdziekolwiek. Może na drzewie.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Cady, by uświadomić sobie, jak absurdalny to plan. Gładka cera dziewczyny błyszczała od potu, miała półprzymknięte oczy i z trudem oddychała.

Przynajmniej Jeanne i PJ, udało się uciec, pomyślała Maggie,

W tej samej chwili tuż za nią rozległ się huk i czyjeś przekleństwo. Maggie znów zerknęła za siebie i odkryła, że we mgle stoi mężczyzna.

Przerażający mężczyzna. Mgła unosząca się za jego plecami nadawała mu dziwny, nadnaturalny wygląd, ale lęk budziło w Maggie co innego. Był ogromny, miał szerokie bary, masywną klatkę piersiową, mocno umięśnione ramiona, a także zadziwiająco wąską talię. Od jego twarzy biło okrucieństwo.

- **Gavin! Tu są dwie!** - krzyknął.

Maggie nie czekała, by usłyszeć więcej. Ruszyła biegiem jak spłoszony jelen.

Koszmar ucieczki i pogoni trwał długo. Maggie zatrzymywała się od czasu do czasu, gdy nie mogła już udźwignąć Cady, wypatrując kryjówek. W którymś momencie utknęły razem i w wydrążonym pniu drzewa, usiłując wstrzymać oddech, gdy mężczyźni przechodzili tuż obok. Maggie usłyszała chrzęst trawy i skrzypienie butów. Zaczęła się modlić. Serce Cady biło tak mocno, że obie się trzęsły. Wargi dziewczyny także poruszały się bezgłośnie.

Może ona też się modli, pomyślała Maggie i przyłożyła oko do szpary w pniu.

Prześladowcy znajdowali się przerażająco blisko, ledwie metr czy dwa. Jednego z nich nigdy nie widziała. Robił coś dziwnego, coś, co przyprawiało ją o dreszcze. Odwrócił twarz w jej stronę, miał zamknięte oczy i długą żylastą szyję.

Zachowuje się tak, jakby za nami węszył, pomyślała Maggie z przerażeniem.

- **Wyczuwasz coś?** - zapytał mężczyzna, nie otwierając oczu.

- Nie, wcale. I w dodatku nie widzę ich między tymi drzewami. - Mężczyzna, który odpowiedział, był jeszcze chłopcem.

To pewnie Gavin, uznała Maggie. Był ciemnym blondynem o wąskim nosie i ostrym podbródku. W jego głosie brzmiała niecierpliwość.

- **Ja też ich nie wyczuwam** - powiedział bez emocji ten wyższy mężczyzna. - **To dziwne. Nie mogli uciec zbyt daleko. Pewnie nas blokują.**

- **Nie obchodzi mnie, co robią** - odparł Gavin, - **Lepiej, żebyśmy je złapali. To nie są zwykłe niewolnice, jeżeli zgubimy tę wieszczkę, nie żyjemy. To nie żyjesz, Bern.**

Wieszczkę? — zdziwiła się Maggie. Pewnie tak się tutaj mówi na niewolnice... Ale o którą z nas mu chodzi? Ja przecież nie jestem nikim szczególnym.

- **Jeszcze ją znajdziemy** - warknął Bern.

- **Oby** - odparł złośliwie Gavin. - **Inaczej powiem, że to twoja wina. Mieliśmy ich pilnować.**

- **Jeszcze nic się nie stało** - odparł Bern, po czym odwrócił się i zniknął. Po chwili Gavin też się rozpułnął we mgle.

Maggie wypuściła powietrze. Zdała sobie sprawę, że usta Cady przestały się poruszać.

- **Chodźmy** - szepnęła, ruszając w przeciwnym kierunku niż prześladowcy.

I znów biegły. Zatrzymywały się i nasłuchiwały. Las okazał się strasznym miejscem, oświetlonym nienaturalnym światłem. Nieprzyjemne wrażenie potęgowała jeszcze mgła, która zbierała się w zagłębieniach i oplatała przewrócone drzewa. Maggie miała wrażenie, że znalazła się w samym środku jakiejś okropnej baśni. Cieszyło ją tylko to, że wilgotna ziemia tłumiała ich kroki, utrudniając pościg.

Było tu tak cicho. Ani kruków, ani sójek. Żadnego jelenia. Tylko mgła i drzewa, i tak bez końca.

A jednak koniec nastąpił - nagle.

Maggie i Cady wybiegły na polanę. Maggie rozejrzała się w panice, w poszukiwaniu schronienia. Nic. Mgła się rozproszyła, więc przed sobą widziała małe skupisko skał.

Może powinniśmy się cofnąć...

Ale z lasu za nimi dobiegały jakieś krzyki.

Wyżej ponad skałami znajdowała się półka skalna, która wyglądała jak ścieżka. Mogła prowadzić w dół na drugą stronę góry.

Gdybyśmy tylko tam dotarły, byłybyśmy bezpieczne, pomyślała Maggie.

Skierowała się ku skałom, ciągnąc za sobą Cady. Granitowe głazy pochodzące pewnie z jakiegoś wielkiego zlodowacenia, zupełnie tu nie pasowały. Maggie z łatwością wspięła się na jeden z nich, po czym się pochyliła.

- **Daj mi rękę** - powiedziała szybko. - **Nad nami jest ścieżka, ale musimy się na nią wspiąć.**

Cady popatrzyła na nią.

Czy też raczej próbowała popatrzeć, pomyślała Maggie. Jednak gdy dziewczyna odwróciła ku niej twarz, Maggie znów miała wrażenie, że te niewidzące oczy czytają z niej jak z otwartej książki.

- **Zostaw mnie** - powiedziała Cady.

- **Nie wygłupiaj się** - odparła Maggie. - **Daj mi rękę.** Cady pokręciła głową.

- **Idź sama.**

Wydawała się zupełnie spokojna, rozsądna i wyczerpana. Nie straciła nic ze spokoju, który od niej bił, ale teraz wyczuwało się w niej rezygnację. Cady była wyczerpana.

- Tylko cię spowalnię - dodała. - **Beze mnie masz szansę.**

- **Nie zostawię cię!** - warknęła Maggie. - **Chodź!**

Aradia wahała się jeszcze przez sekundę, patrząc na Maggie. Po chwili jej świetliste brązowe oczy wypełniły się łzami. Pewnie uchwyciła rękę Maggie.

Maggie nie marnowała czasu. Wspinała się najszybciej, jak potrafiła, ciągnąc za sobą Cady. Słyszała jednak, że mężczyźni są coraz bliżej.

A gdy dotarły na szczyt, zobaczyła coś, co nią wstrząsnęło.

Przed nimi wyrastał nagi klif. Między skałami a półką na górze nie było żadnego połączenia.

A pod nimi ziała wielometrowa przepaść.

Wciągnęła Cady prosto w pułapkę. Nie miały już dokąd uciekać.

Rozdział 7

Maggie dotarłaby do ścieżki - gdyby była sama. Droga nie była trudna, najwyżej trzeci poziom. Ale Maggie nie była sama. Nie przeprowadzi Aradii taką trasą.

Za późno, by wracać do lasu. Zaraz nas złapią, uświadomiła sobie.

- **Schyl się** - szepnęła do Cady.

U podstawy głazu znajdowała się wnęka. Mogła się w niej zmieścić tylko jedna osoba, ale przynajmniej było to jakieś schronienie.

Kiedy wpychała Cady do kryjówki, usłyszała krzyki dobiegające ze skraju lasu.

Maggie rozplaszczyla się na skale, śliskiej od mchu i porostów. Czula się jak jaszczurka wystawiona na słońce. Mogła tylko nasłuchiwać zbliżających się odgłosów prześladowców.

Byli coraz bliżej i bliżej.

I jeszcze bliżej, aż w końcu Maggie usłyszała chrapliwe dyszenie po drugiej stronie głazów.

- **To jest ślepy zaułek** - powiedział Gavin.

- **Nie. One gdzieś tu siedzą** - odparł Bern. Wtedy rozległ się jeszcze straszniejszy dźwięk.

Pomruki kogoś, kto powoli wspina się na ścianę. *Złapali nas.*

Maggie rozpaczliwie rozejrzała się za bronią.

Ku jej zdumieniu znalazła coś, co wydawało się czekać specjalnie na nią. Wyschniętą gałąź,

która utkwiała pomiędzy skałami nad jej głową. Maggie sięgnęła po nią z bijącym sercem.

Okazała się nadspodziewanie ciężka - w tym klimacie pewnie nic nigdy nie wysychało.

Skały też są mokre. Mokre i śliskie. Poza tym to miejsce ma jedną zaletę - będą musieli atakować po kolei. Może zdołam ich zepchnąć.

- **Nie wychylaj się** - szepnęła do Cady. - **Mam pomysł.**

Dziewczyna była wyczerpana. Na jej pięknej twarzy widniało cierpienie, ręce i nogi mocno się trzęsły. Każdy oddech przyprawiał ją o dreszcz. Włosy otuliły jej szyję jak ciemna zasłona.

Maggie z bijącym sercem obserwowała szczyt głazów.

Kiedy to, na co czekała, w końcu nastąpiło, podskoczyła jak oparzona. Nie mogła uwierzyć, że tuż nad nią wyłania się ostrzyżony czubek głowy mężczyzny, potem jego czoło, a na koniec okrutna twarz. Bern. Wspinał się jak pajak, znajdując oparcie dla palców.

Po chwili pojawiły się jego ogromne ramiona, potem klatka piersiowa.

Patrzył prosto na Maggie. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Usta Berna wykrzywiły się w uśmiechu.

Maggie z wrażenia poczuła, że niemal oddzieliła się od własnego ciała, jak gdyby potrafiła latać. Ale nie zemdląła. Trwała w bezruchu, sparaliżowana strachem. Zaciśnęła dłoń na gałęzi. Bern wciąż się uśmiechał, ale w jego mrocznych oczach nie było żadnych emocji. Maggie miała wrażenie, że widzi przed sobą zupełnie inną istotę niż ona sama.

To nie jest człowiek... To jest... coś innego... Podpowiedziała jej intuicja.

Po chwili mężczyzna wspiął się na szczyt. Wyprostował się, wielki jak góra.

Maggie zebrała siły, mocno ściskając gałąź.

- **Zostaw nas w spokoju** - powiedziała. Za nią rozległ się cichy dźwięk. Obejrzała się z niepokojem i zobaczyła, że Cady usiłuje się podnieść.

- **Nie** - powiedziała ostro. Zresztą i tak nic by nie zrobiła.

Przez chwilę starała się wydobyć z wnęki, ale zaraz opadła wyczerpana na ziemię, z zamkniętymi oczami. Maggie się odwróciła. Bern już się na nią zamierzał. Instynktownie wyciągnęła gałąź. Nie celowała w głowę ani brzuch. Dźgnęła w niewielkie zagłębienie w skale tuż przed o stopami, by pozbawić go równowagi. Prawie się udało. Trafiła go w nogę i Bern zatrzymany w pół gestu zachwiał niebezpiecznie. Okazało się, że wcale nie jest tak ciężki niezgrabny, na jakiego wyglądał. W sekundę wyważył ciężar ciała i pewnie stanął na nogach.

Maggie usiłowała gałęzią zadać cios, ale Bern działał bardzo szybko. Wyrwał Maggie broń z ręki, pozostawiając jej drzazgi we wnętrzu dłoni. Potem cisnął konar w skałę, tuż nad jej głową.

Usiłowała się uchylić, ale na to było już za późno. Wielka ręka Berna wystrzeliła naprzód jak błyskawica. Jeszcze sekunda i już ją miał.

Trzymał ją mocno.

- **Stawiasz się?** - zapytał z niedowierzaniem. - **Stawiasz się? Lepiej popatrz na to.**

W jego oczach pojawiła się wściekłość. Bił od niego gniew. Wyglądał jak dzikie zwierzę. I wtedy... Wtedy dokonał przemiany.

Maggie jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała. Patrzyła na jego twarz i starała się opanować, ale wówczas jego rysy zaczęły się marszczyć. Szorstkie ciemne włosy na głowie przesuwały się, zarosły całą twarz. Żołądek Maggie skurczył sil z przerażenia. Bała się, że zwymiotuje, ale nie potrafiła odwrócić wzroku.

Oczy Berna zmniejszyły się, a brązowe źrenice powiększyły się. Nos i usta wysunęły się, a czoło cofnęło. Dwoje ludzkich uszu rozwinęło się jak potworne kwiaty na czubku głowy.

Wtedy Maggie zdołała oderwać spojrzenie od jego twarzy i odkryła, że ciało przybrało zgarbiony i pozbawiony konturów kształt. Szerokie ramiona gdzieś zniknęły, podobnie jak talia. Długie nogi i prężące się mięśnie skurczyły się do krótkich niezgrabnych łap.

Wciąż mocno trzymał Maggie. Czowała na swoim ciele wielkie ostre pazury. Nie był już człowiekiem, tylko jakimś ogromnym zwierzęciem przypominającym ludzką istotę. Stał się czarnym niedźwiedziem i ze zwierzęcą przyjemnością wbił w nią czarne paciorkowe oczy. Wydzielał z siebie piżmowy smród, który dostał się do gardła Maggie i omal jej nie udławił.

Właśnie zobaczyłam, jak zmiennokształtny się zmienia, pomyślała ze zdumieniem. Żałowała, że nie wierzyła Jeanne.

Żałowała też, że zawiodła Cady. I Milesa. Sylvia miała rację. Była tylko przeciętniakiem, jeśli coś ją wyróżniało, to głupota.

Gavin, stojący na głazie poniżej półki, śmiał się złośliwie, jak gdyby obserwował mecz piłkarski.

Niedźwiedź otworzył pysk, ukazując żółtawe zęby, ciemniejsze przy dziąsłach. Maggie zobaczyła strużkę cieknącej śliny. Poczuła, że łapy zaciskają się na jej ramionach, przyciągając ją coraz bliżej...

I wtedy uderzyła błyskawica.

A przynajmniej tak to wyglądało. Błysk oślepił Maggie, jak słońce, ale błękitny. Pojawił się tuż przed jej oczami, udzielając i łącząc, jak gdyby był czymś żywym.

Niedźwiedź porażony prądem zeszywniał. Odrzucił łeb do tyłu i otworzył paszczę jeszcze szerzej. Błyskawica trafiła go w kark.

Maggie, lekko otepiąła, usłyszała, że Gavin wydaje z siebie cichy jęk przerażenia. Z otwartymi ustami przyglądał się scenie rozgrywającej się przed nim.

To nie była błyskawica. Nie uderzyła z nieba. Cały czas raziło Berna, z każdą sekundą zmieniając kształt. Małe elektryczne iskierki przeskakiwały po jego zmierzwionym futrze. Zapłonęły Na klatce piersiowej i brzuchu, otoczyły pysk. Maggie wyobraziła sobie błękitne płomie- nie wewnątrz cielska niedźwiedzia.

Gavin wydał z siebie przenikliwy, nieludzki krzyk i zeskoczył ze skały.

Maggie nie patrzyła, dokąd się wybiera. Jej umysł pochłonęła jedna myśl.

Musiała uwolnić się z uścisku Berna.

Nie wiedziała, co się z nim dzieje, ale czuła, że niedźwiedź zaraz zginie. A martwe ciało mu- siało spaść w przepaść - i pociągnąć ją ze sobą.

Czuła swąd spalenizny, płonącego ciała i futra. Widziała białe wstążki dymu unoszące się nad jego sierścią. Niedźwiedź piekł się od wewnątrz.

Muszę coś zrobić. Szybko.

Maggie zaczęła się wiercić i kopać, usiłując wyślizgnąć się ze śmiertelnego uścisku, który coraz bardziej sztywniał. Pchała dźgała na oślep, by rozluźnić chwyt stwora, ale nic nie działało. Czuła się tak, jakby ktoś zarzucił na nią niedźwiedzią skórę, która w dodatku się paliła. Nie rozumiała, dlaczego błękitny piorun nie zabija także jej. Czuła tylko, że niedźwiedź ją miażdży. Jeszcze chwila i musiała umrzeć.

Wtedy zaczerpnęła głęboko powietrza i kopnęła zmienne kształtne w podbrzusze. Poczowała, że trafia gołenią w żywe ciało. I, ku jej zdziwieniu, ogromne łapy nareszcie uwolniły ją z ob- jęć.

Maggie upadła, instynktownie rozkładając ręce i nogi, by nie ześlizgnąć się ze skały.

Niedźwiedź drżał jeszcze przez kilka sekund, a jasna błękitna energia przeszywała go jak lan- ca. I nagle piorun zniknął, tak samo nagle, jak się pojawił. Niedźwiedź zakołysał się i padł juk marionetka odcięta od sznurka.

Sturlał się z klifu i spadł w przepaść. Maggie zobaczyła, jak uderza o jakąś skałę w oddali, odbija się i znów spada. Odwróciła wzrok.

Pod przymkniętymi powiekami tańczyły plamy światła. Oddychała szybko i kręciło jej się w głowie. Czuła słabość w rękach i nogach.

Co to, do cholery, było?

Piorun ocalił jej życie. Ale nigdy nie widziała nic równie przerażającego.

Jakaś magia. Czysta magia. Gdybym robiła film i potrzebowała efektów specjalnych, wymy- śliłabym coś takiego.

Powoli podniosła głowę.

Energia przybyła od strony półki skalnej. I tam właśnie zobaczyła chłopca.

Stał spokojnie, pochylając się nad lewą ręką - chyba obwiązywał lekko zakrwawiony nadgar-stek. Twarz miał częściowo odwróconą.

Jest niewiele starszy ode mnie, pomyślała Maggie ze zdziwieniem. *A może jednak?* W jego pewno- ści siebie i sprawności ruchów było coś niezwykłego. Wydawał się zupełnie dorosły.

Ubrany był tak, jakby właśnie wyszedł z balu przebierańców. Maggie dwa lata wcześniej wi- działa coś podobnego w Oregonie. Ludzie przebrali się w średniowieczne stroje. Jedli udźce jagnięce i walczyli w turniejach rycerskich. Chłopiec miał na sobie wysokie buty i jednobarwną ciemną czapkę.

Gdyby byli w Seattle, Maggie obrzuciłaby go ironicznym wzrokiem, ale nie miała najmniej- szej ochoty na żarty.

Królestwo Mroku. Niewolnice, wieszczki i zmiennokształtni i magia. Pewnie jest jakimś czarownikiem. Rany, w co ja się wpałowałam.

Serce jej biło jak oszalałe. Zaszło jej w ustach, a język przypominał papier ścierny. Czula jeszcze coś, co było potężniejsze niż strach. Wdzięczność.

- **Dziękuję** - powiedziała.

Nawet nie podniósł wzroku.

- **Za co?** - mówił szorstkim, stanowczym głosem.

- **Uratowałeś nas... To ty to zrobisz, prawda?**

Teraz podniósł wzrok i zmierzył ją chłodnym, pozbawionym uczucia spojrzeniem.

- **Co zrobiłem?** - spytał nieprzyjaźnie.

Ale Maggie wpatrywała się w niego, porażona nagłym wspomnieniem, które przez chwilę zamigotało na krawędzi jej świadomości, po czym znowu umknęło w ciemność.

Coś mi się śniło... chyba. I był w tym śnie ktoś podobny do ciebie, ale miał inny wyraz twarzy. Mówił...

Mówił o czymś bardzo ważnym.

Nie mogła sobie przypomnieć!

A chłopak wciąż wpatrywał nic w nią z niecierpliwością.

- **To ty zrobisz...** - Maggie kilka razy pstryknęła palcami, usiłując pokazać, o co jej chodzi.

- **To zepchnęło niedźwiedzia z klifu.**

- **Błękitny ogień. Oczywiście, że to ja. Czy tu ktoś jeszcze ma moc? Ale nie zrobiłem tego dla ciebie** - powiedział lodowatym głosem, który ją przenikał.

Maggie zamrugła.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Chciała go przepytać albo uderzyć, albo jak najszybciej uciec tą samą drogą, co Gavin. Wygrała ciekawość.

- **W takim razie dlaczego to zrobisz?** Chłopiec zerknął na skałę, na której stał.

- **Rzucił we mnie kijem. Drewnem. Więc go zabiłem. Wzruszył ramionami. - Prosta sprawa.**

On nie rzucił gałęzią w ciebie, pomyślała Maggie, ale chłopiec nie dał jej dojść do słowa.

- **To, co wyprawiał z tobą, kompletnie mnie nie obchodzi. Jesteś tylko niewolnicą.**

A on jakimś zmiennokształtnym. Żadne z was się nie liczy.

- **Cóż, nieważne. I tak uratowałeś nam życie** - zerknęła na Aradię, szukając potwierdzenia. I nagle urwała.

- **Cady?** - Maggie wytrzeszczyła oczy, po czym podczołgała się do dziewczyny.

Dziewczyna wciąż spoczywała we wnące, ale zupełnie bezwładnie. Ciemna głowa zwisała ciężko, oczy były zamknięte, a skóra na twarzy ściśnięta cierpieniem.

- **Cady! Słyszysz mnie?**

Przez jedną straszną chwilę myślała, że Cady nie żyje. Jednak zauważyła, że jej klatka piersiowa wciąż się unosi i opada. Usłyszała cichutki oddech.

Brzmiał nieco chrapliwie i Maggie to się nie podobało. Nawet z daleka wyczuwała ciepło bijące od Cady.

Ma wysoką gorączkę. Cała ta ucieczka i wspinaczka tylko pogorszyły jej stan. Potrzebuje pomocy. Szybkiej.

Maggie spojrzała na chłopaka. Skończył wiązać opaski i właśnie wyjmował korek ze skóranej sakwy.

Maggie przyjrzała się uważniej. To nie była sakwa, tylko bukłak. Chłopak przechylił go, żeby się napić.

Woda.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest spragniona. Zepchnęła tę myśl głęboko w podświadomość, gdy uciekała przed handlarzami niewolników. Jednak teraz musiała się napić, i to szybko.

Aradia też potrzebowała wody...

- Proszę, daj trochę. Rzuć bukłak. Złapię.

Zerknął na nią bez zdziwienia, ale z chłodną irytacją.

- Jak go odzyskam?

- Przyniosę ci. Mogę się tam wspiąć.

- Nie dasz rady - odparł sucho.

- To patrz.

Wspięła się bez trudu - droga okazała się łatwa. Znalazła mnóstwo zagłębień na stopy i palce. Gdy podciągnęła się na półkę skalną, wrzucił ramionami, nawet w jego oczach pojawił się niechętny szacunek.

- Szybka jesteś - odparł. - Masz. - Wyciągnął do niej bukłak.

Maggie wbiła w niego wzrok. Teraz wrażenie, że już spotkali kiedyś chłopaka, jeszcze się spotęgowało.

To ty pojawiłeś się w moim śnie, pomyślała. Rozpoznawała wszystko. Umięśnione ciało, ciemne włosy, lekko falujące i niesforne. Ponury, zdenerwowany wyraz twarzy. Wysokie kości policzkowe, pełne determinacji usta. A zwłaszcza oczy. Odważne, żółte, okolone czarnymi rzęsami, kryjące w sobie niezliczone pokłady blasku. Okna duszy.

Jedyną różnicą był wyraz jego twarzy. We śnie czuła, że chłopak jest zaniepokojony i czuły. Teraz wydawał się wyrzuty z radości, gorzki... i chłodny. Jak gdyby pokrywała go cienka warstwa lodu.

Ale to ty pomyślała Maggie. *Jesteś jedyny w swoim rodzaju*.

- Nazywam się Maggie Neely - powiedziała, wciąż pochłonięta wspomnieniami. - A ty? Zdziwił się. Otworzył szerzej oczy, po czym znów i zmrużył.

- Jak śmiesz pytać - wyrzucił z siebie. Te słowa zabrzmiały w jego ustach, jakby wypowiedział je wiele razy.

- Śniłeś mi się - powiedziała Maggie. - A właściwie to nie był sen. Raczej coś w rodzaju widzenia. - Teraz pamiętała wszystkie szczegóły. - Wciąż powtarzałeś mi, że muszę coś zrobić.

- Nie interesują mnie twoje sny - odparł stanowczo chłopak. - Chcesz wodę czy nie?

Maggie przypomniała sobie o pragnieniu i natychmiast wyciągnęła rękę po sakwę.

Chłopak jednak nie wypuścił bukłaka z rąk.

- Wystarczy tylko dla jednej z was - powiedział cierpko. - Wypij ją.

Maggie zamrugnęła. Bukłak rzeczywiście wydawał się niepokojąco pusty. Szarpnęła go lekko i usłyszała cichutkie pluśnięcie.

- Cady też musi się napić. Jest chora.

- Nie jest chora, tylko umiera. Nie ma sensu marnować na nią wody.

Nie wierzę, że znowu to słyszę, pomyślała Maggie. Jest zupełnie taki sam jak Jeanne.

Mocniej pociągnęła za bukłak.

- To nie twoja sprawa, chcę się z nią podzielić.

- To głupie. Wody wystarczy dla jednej.

- Posłuchaj...

- Ty się mnie wcale nie boisz, prawda? - zapytał nagle, wbijając w nią lśniące żółte oczy, jak gdyby czytał w jej myślach.

Maggie trochę się zdziwiła, ale rzeczywiście nie bała się nieznanego. Coś kazało jej ignorować strach.

- **W każdym razie to moja woda** - powiedział. **-I twierdzą, że wystarczy tylko dla jednej osoby. Już wcześniej wykazałaś się głupotą, usiłując ją ratować, chociaż mogłaś uciec. Teraz musisz o niej zapomnieć.**

Maggie miała dziwne uczucie, że jest sprawdzana. Ale brakowało jej czasu, żeby zastanowić się, kto właściwie ją testuje i dlaczego.

- **W porządku. Twoja woda** - odparła, starając się brzmieć równie nieprzyjemnie jak on. **- I wystarczy tylko dla jednej z nas.** - Pociągnęła mocniej za bukłak. Tym razem go wypuścił.

Maggie odwróciła się i spojrzała na głązy, gdzie leżała Cady. Ostrożnie oceniła odległość, zauważyła, że w jednym z głązów jest małe zagłębienie.

Łatwy strzał. Odbije się i wpadnie do szczeliny, pomyślała, wyciągnęła rękę, by upuścić torbę.

- **Czekaj!** - Jego surowy krzyk był jak wybuch. Jeszcze bardziej gwałtowny był żelazny uchwyt, który zacisnął na jej nadgarstku. **- Co ty wyprawiasz?** - zapytał gniewnie chłopak. Maggie spojrzała prosto w rozwścieczone żółte oczy.

Rozdział 8

Co ty wyprawiasz? - powtórzył z wściekłością. Jego uścisk sprawiał jej ból.

- **Zrzucam bukłak na dół** - odparła Maggie, ale pomyślała, on jest niezwykle silny. Silniejszy niż ktokolwiek, kogo знаła. Mógł bez najmniejszego trudu złamać jej nadgarstek.

- **Przecież widzę! Dlaczego?**

- **Bo to łatwiejsze niż zniesienie go tam w zębach** - skłamała Maggie.

Prawdziwy powód był oczywiście taki, że musiała pozbyć się pokusy. Pragnienie zaczynało doprowadzać ją do szaleństwa, więc bała się, że jeśli jeszcze chwilę potrzyzyma w rękach chłodny bukłak, to nie wytrzyma.

Chłopak wbijał w nią przenikliwy wzrok, jak gdyby usiłował przeniknąć do jej umysłu.

Maggie miała dziwne wrażenie, że mu się udało. Z pewnością znał już powód jej postępowania?

- **Jesteś głupia** - powiedział powoli. **- Powinnaś słuchać swojego ciała. Ono wie, czego potrzebuje. Nie możesz go zignorować. Nie możesz zaprzeczyć.**

- **Owszem, mogę** - odparła Maggie sucho. Traciła czucia w nadgarstku. Jeszcze chwila i nie chcący upuści bukłak.

- **Nie, nie możesz** - odparł, a jego słowa zabrzmiały jak gniewny syk. **- Już ja wiem, o czym mówię.**

I wtedy pokazał jej zęby. Maggie powinna była się tego spodziewać. Przecież Jeanne jej mówiła. Wampiry, wiemy i zmiennokształtni. Sylvia była wiedźmą, a Bern zmiennokształtnym. Chłopak był wampirem.

Co dziwne, nie stracił urody w wyniku przemiany. Jego twarz wydawała się bledsza i delikatniejsza, jak rzeźba wykuta w lodzie. Żółte oczy płonęły jaśniejszym blaskiem, obramowane

jeszcze czarniejszymi rzęsami. Źrenice rozszerzyły się, kryjąc ciemną otchłań, która mogłaby wchłonąć każdego człowieka.

Ale to usta zmieniły się najbardziej. Wydawały się teraz jeszcze bardziej zdeterminowane, pogardliwe i niechętne a wargi odsłoniły kły.

To robiło wrażenie. Były długie, przezroczystobiałe, o niezwykle delikatnych, ostrych końcach. Miały kształt jak u kota, ale nie przypominały w niczym pozółkłych zębisk Berna. Subtelne narzędzia śmierci.

Maggie zadziwiła się, że chociaż nigdy w życiu nie widziała niczego podobnego, uznała to za niezwykle i zupełnie naturalne. To był po prostu inny rodzaj istot, jak ludzie albo zwierzęta.

I? Bała się. Ale to był zupełnie inny strach: taki, który zachęcał ją do działania.

Przygotowywała się do walki. Odkąd przybyła do tej doliny, wiedziała jedno: strach już jej nie obezwładniał.

Jeśli mam się bronić, potrzebuję obu rąk. I lepiej, żeby nie zauważył, że drzę.

- **Może i nie da się ignorować takiego pragnienia - powiedziała. - Ale czuję się znakomicie. Tylko boli mnie nadgarstek. Możesz go puścić?**

Lśniące żółte oczy przez chwilę zajaśniały jeszcze silniej. Maggie pomyślała, że wampir zaraz ją zaatakuję, ale on zdjął rękę z jej nadgarstka.

Ramię Maggie zwisło bezwładnie. Bukłak wypadł jej z odrętwiałych palców i wylądował bezpiecznie u stóp. Potarła dłoń.

Nie podniosła wzroku nawet wtedy, gdy usłyszała jego wrogie pytanie.

- **Czy ty się mnie nie boisz?**

- **Boję się** - przyznała, nie tylko dlatego, że był wampirem i zabijał błękitnym światłem.

Przerażała ją jego bliskość. - **Ale co z tego?** - powiedziała Maggie, wciąż pocierając dłoń. -

Jeśli zamierzasz mnie skrzywdzić, będę walczyć. Do tej pory tylko mi pomagałeś.

- **Już ci mówiłem, że nie zrobiłem tego dla ciebie. Nie przeżyjesz, jeżeli będziesz się zachowywała jak wariatka.**

- **Wariatka?** - Podniosła zdumiony wzrok. Jego oczy płonęły blaskiem starego złota, a kły zniknęły. Usta wygięły się w pogardliwy grymas.

- **Ufasz ludziom** - stwierdził, jakby to było coś niewybaczalnego. - **Opiekujesz się nimi.**

Czy nie wiesz, że przeżyć mogą tylko najsilniejsi? Słabi to tylko ciężar, który pociągnie cię na dno.

Maggie знаła dobrą odpowiedź.

- **Cady nie jest słaba, tylko chora** - odparła z uporem. - **Kiedyś wyzdrowieje, jeśli dostanie szansę. I co by się stało z nami wszystkimi, gdybyśmy się nie troszczyli o siebie nawzajem.**

Wydawał się wyczerpany tą dyskusją. Przez kilka minut wpatrywali się w siebie.

Potem Maggie schyliła się po bukłak.

- **Dam jej wody, a potem odniosę ci sakwę.**

- **Zaczekaj.** - Jego głos był zimny i nieprzyjazny, ale tym razem jej nie schwytał.

- **Tak?**

- **Chodź ze mną.** - Wydał jej rozkaz i nawet nie spojrzał, czy posłuchała. Najwyraźniej oczekiwał, że ludzie będą spełniać jego życzenia bez szemrania. - **Weź ze sobą bukłak** - dodał.

Maggie przez chwilę się wahała, zerkając na Cady. Wnęka, w której dziewczyna leżała, była dobrze osłonięta przez glazy. Nic złego nie mogło się jej stać.

Maggie poszła za chłopakiem. Wąska ścieżka prowadząca wokół góry była wyboista, co kawałek leżały na niej odłamki pokruszonych skał o ostrych jak brzytwa krawędziach. Maggie musiała zgrabnie je omijać.

Chłopak, który szedł przed nią, nagle gwałtownie się obrócił w stronę jakiejś skały i zniknął. Maggie dopiero po chwili dostrzegła wejście do jaskini.

Wejście było wąskie, nie szersze niż szpara i nawet Maggie musiała się pochylić, by wczłochać się do środka. Głębiej tunel się rozszerzał, tworząc niewielką grootę, która pachniała wilgocią.

Nie docierało tu żadne światło. Maggie zamrugła, usiłując przyzwyczaić się do półmroku. Rozległ się trzask pocieranej zapałki i w powietrzu zapachniało siarką. W jaskini zapłonął mały płomyk. Maggie zobaczyła, że chłopak zapala pochodnię. Wampir popatrzył na nią złotymi oczami.

Maggie nie mogła opanować zdumienia, rozglądając się wokół. W blasku ognia pojawiły się na ścianach rozedrgane cienie. Na skałach zaiskrzył kwarc. Niewielka grota przemieniła się w czarodziejską krainę.

U stóp chłopaka coś się mieniło. Maggie usłyszała dźwięk, to kapala woda.

- **Tu jest źródło** - wyjaśnił chłopak. - **Woda wypływa ze skały. Zimna, ale dobra.**

Maggie ogarnęło czyste pożądanie. Ignorując nieznanego i podeszła kilka kroków, nogi same się pod nią ugięły. Włożyła do wody skuloną dłoń, po czym wydobyła odrobinę płynu z takim szacunkiem, jak gdyby był to płynny diament.

Jeszcze nigdy w życiu nie piła niczego tak wspaniałego. Żadna cola w upalny dzień nie mogła się równać z tą wodą, która przepłynęła przez jej spękane z pragnienia usta i wyschnięte i gardło, a później rozlała się po całym ciele, kojąca i ożywcza. Umysł Maggie zaczął nagle pracować z ogromną jasnością. Piła bez końca, w stanie pełnej rozkoszy.

A potem, gdy już się nasyciła, wyciągnęła bukłak, by go napełnić.

- **Po co to robisz ?** - W głosie chłopaka po raz pierwszy zabrzmiała rezygnacja.

- **Dla Cady. Muszę do niej wrócić** - odparła Maggie, przysiadając na piętach. Spojrzała na wampira. Światło migotało wokół niego, wydobywając brązowe refleksy z włosów, ale twarz pozostawała w półmroku. - **Dziękuję** - odparła cicho, lekko roztrzęsionym głosem. - **Chyba znów ocaliłeś mi życie.**

- **Naprawdę chciało ci się pić.**

- **Owszem.** - Wstała.

- **Ale chciałaś oddać jej swoją wodę.** - Najwyraźniej wciąż w to nie wierzył.

- **Owszem.**

- **Nawet gdyby to kosztowało cię życie?**

- **Nie umarłam** - zauważyła Maggie. - **I nie zmierzałam. Ale owszem, gdyby nie było innego wyboru...** - Zobaczyła, że chłopak patrzy na nią osłupiały. - **Jestem za nią odpowiedzialna** - dodała, usiłując mu wytłumaczyć. - **To tak, jakbyś wziął odpowiedzialność za swoich poddanych i zaciągnął wobec nich dług.**

W jego złotych oczach zabłysnęło zrozumienie. A może to była iskra gniewu albo zdziwienia. Zapadła cisza.

- **To nie jest wcale takie dziwne. Ludzie troszczą się o siebie nawzajem** - powiedziała Maggie, patrząc na jego skrytą w cieniu twarz. - **Tu u was nie obowiązuje taki zwyczaj?**

Roześmiał się.

- Raczej nie - odparł sucho. - **Arystokracja dba o siebie sama. A niewolnicy muszą walczyć o przetrwanie - urwał. - Ty powinnaś to wszystko wiedzieć. Ale oczywiście nie pochodzisz z tych stron. Jesteś z zewnątrz.**

- **Byłeś tam?** - zapytała Maggie.

- **Kontakty z ludźmi są zabronione. Nie doszło do żadnych przez pięćset lat. Ale kiedy mój... Kiedy umarł stary król, znów otworzyli przejazd i zaczęli sprowadzać stamtąd niewolników. Świeżą krew.** - Wyjaśnił krótko, rzeczowym tonem.

Ludzie gór, pomyślała Maggie. Od lat krążyły plotki, że w Kaskadach, wśród lodowców, kryją się jakieś istoty, która atakują turystów. Niektórzy śmiałkowicie co jakiś czas twierdzili, że widzieli yeti.

I może widzieli. Yeti albo jakiegoś zmiennokształtnego jak Bern.

- **Sądźysz, że to w porządku?** - powiedziała na głos. - **Porywanie ludzi ze świata zewnętrznego i sprowadzanie ich w charakterze niewolników?**

- **To nie ludzie, to pasożyty. Mało inteligentne zwierzęta** - powiedział beznamiętnie, patrząc jej w oczy.

- **Oszalałaś?** - Maggie zacisnęła dłonie w pięści i opuściła głowę. Czas na ripostę. Spojrzała na niego spod oka. - **Właśnie rozmawiasz z człowiekiem. Jestem inteligentna czy nie?**

- **Jesteś niewolnicą** - odparł cierpko. - **Prawo pozwala mi Cię zabić już za to, że ośmielasz się do mnie mówić.**

Jego głos był tak zimny i arogancki, że Maggie powoli przestawała w to wszystko wierzyć. Ale musiało kryć się w tym coś jeszcze. Przecież się jej przyśnił. To on był tym delikatnym, troskliwym chłopakiem, który patrzył na nią z miłością i trzymał ją czule w ramionach. Jego serce biło przy jej sercu, a oddech ogrzewał policzki. Tamten chłopiec istniał naprawdę, Maggie nie mogła w to wątpić, nawet jeśli nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Nieważne, jak bardzo lodowaty i arogancki wydawał się teraz, musiał wciąż nieć w sobie tamtą czułość. Maggie nie wyzbyła się strachu, ale starała się ignorować lęk,

- **W moim śnie troszczyłeś się o człowieka** - powiedziała z rozmysłem, postępując krok do przodu. - **Chciałeś mną się opiekować.**

- **Nie masz prawa nawet o mnie śnić** - odparł tym samym pełnym napięcia i chłodu głosem, co zawsze. Jednak, gdy Maggie się zbliżyła i spojrzała mu prosto w oczy, zrobił coś, co ją zdumiało. Cofnął się.

- **A dlaczego nie? Bo jestem niewolnicą?** - Podeszła jeszcze bliżej, a w jej spojrzeniu czytało się wyzwanie. - **Nie wierzę, że jesteś potworem. Myślę, że we śnie widziałam, jaki jesteś na prawdę.**

- **Oszalałaś** - odparł. Przeszedł się cofać, nie miał już dokąd, napiął całe ciało. - **Dlaczego miałbym się tobą opiekować?** - spytał pogardliwie. - **Co jest w tobie takiego niezwykłego?**

Dobre pytanie. Maggie była nim tak wstrząśnięta, że lzy stanęły jej w oczach.

- **Nie wiem** - odparła uczciwie. - **Nie jestem nikim szczególnym. Nie ma takiego powodu. Ale to nieistotne. Ocaliłeś mi życie, gdy Bern chciał mnie zabić i dałeś mi wody, gdy jej potrzebowałam. Może gdzieś w głębi serca troszczysz się o wszystkich... Albo...**

Nigdy nie dokończyła tego zdania.

Zrobiła to co zawsze, gdy wyczuwała czyjeś silne emocje. Postąpiła tak z P.J., Jeanne i Cady. Wyciągnęła do niego ręce. I chociaż kątem oka zauważyła, że chłopak unika jej dotyku, ujęła go za nadgarstki...

Wtedy straciła głos i słowa uleciały jej z głowy. Coś się stało. Coś, czego nie potrafiła wyjaśnić. To było jeszcze dziwniejsze niż tajemne królestwa, wampiry i magia.

Po raz pierwszy jej naga skóra otarła się o jego skórę. Poprzednio, gdy chwycił ją za nadgarstek, chronił ją rękaw kurtki.

Na początku poczuła niemal bolesny wstrząs, pulsujące uderzenie, którego moc sięgnęła najpierw ramienia, a potem całego jej ciała. Maggie gwałtownie zaczerpnęła powietrza, ale nie potrafiła puścić jego ręki. Zamarła jak ktoś rażony prądem.

Błękitny ogień, pomyślała w panice. *Robi mi to samo, co Bernowi.*

Ale po chwili zorientowała się, że nie. To nie była dzika energia, która zabiła Berna. Chłopak nic nie robił. To coś pochodziło z potężnego źródła, niezależnego zarówno od niego, jak i od niej.

Między nimi tworzyło się jakieś... połączenie... Maggie nie umiałaby tego popisać inaczej. Od jej umysłu do jego wiodła lśniąca ścieżka.

Poczuła się tak, jak gdyby nagle i niespodziewanie stanęła oko w oko z kimś bliskim. Bezbronnym i otwartym.

Maggie jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś tak niesamowitego. Znowu odetchnęła, zobaczyła gwiazdy i po chwili ugięły się pod nią kolana i runęła twarzą na ziemię.

Chwycił ją w pół drogi, ale sam także nie mógł ustać. Maggie widziała, co się dzieje w jego ciele. Padł na kolana, podtrzymując ją.

Co ty ze mną robisz? To była myśl, ale nie Maggie, tylko jego.

Nie wiem... To nie ja... Nic nie rozumiem! Maggie nie umiała czytać w myślach drugiej osoby, a tym bardziej odpowiadać w ten sposób. Ale to po prostu się działo. Doszło między nimi do jakiegoś połączenia. To było straszne i cudowne zarazem. Maggie dostała gęsiej skórki. Była zachwycona.

Poczuła się tak, jakby przeniesiono ją do nowego, cudownego miejsca, którego większość ludzi nigdy nie widziała. Powietrze wokół migotało.

Tak właśnie powinno być. Pomyślała. *Ludzie powinni się troszczyć. Być wobec siebie otwarci. Niczego nie ukrywać, nie stawiać żadnych murów.*

Szybko jej odpowiedział:

Nie!

Myśl ta była lodowata i Maggie przez chwilę czuła, że chłopak próbuje ją odepchnąć. Ale wiedziała, co się za nią kryło.

Gniew... i strach. On się bał. Bał się jej. Nie mógł się bronić.

Ja też się boję, pomyślała Maggie. Powiedziała prawdę, ale dla niej strach nie miał znaczenia. Siła, która ich połączyła, była potężna i niepokonana. Przenikało ich to samo światło. Byli sobie przeznaczeni.

To ci nie przeszkadza? No tak, nie masz się czego wstydzić.

Jego myśl przemknęła tak błyskawicznie, że Maggie nie była nawet pewna, czy ją uchwyciła. *Co przez to rozumiesz... Czekaj... Delosie.*

Tak miał na imię. Delos Redfern. Wiedziała to z taką sanną pewnością, jak to, że sama nazywała się Maggie Neely, Zdała też sobie sprawę - ale to był nieistotny szczegół - że chłopak jest księciem. Księciem wampirów i dziedzicem tronu sekretnego królestwa. Rodzina Redfernow władala nim od wieków.

Stary król był twoim ojcem. Nagle zrozumiała. *Umarł trzy lata temu, gdy miałeś czternaście lat Od tego czasu rządzisz tym królestwem.*

Jego myśli uciekały przed nią, usiłował przerwać połączenie.

To nie twoja sprawa. Warknął.

Zaczekaj, proszę. Powiedziała Maggie. Ale gdy go ściagała zdarzył się kolejny cud.

Rozdział 9

Znalazła się w jego umyśle. Otoczył ją dziwny i groźny świat. Przerazający, ale zarazem pełny surowego piękna. Wszystko miało ostre krawędzie, jakby znalazła się we wnętrzu ogromnego kryształu. Wszystko lśniło. Migoczące światło rzucało błyski kolorów, które odbijały się w ścianach sześcianie. Wszędzie dominowała olśniewająca przezroczyście. Jak w lodowcu.

Tu jest niebezpiecznie, pomyślała Maggie. Wierzchołki kryształu były ostre jak miecze. Cały ten świat wyglądał taki jakby nigdy nie zaznał ciepła.

Mieszkaś tu? Pomyślała Maggie, kierując pytanie do Delosa.

Odejdź. Odpowiedź Delosa była jak podmuch lodowatego wiatru. *Wyjdź stąd!*

Nie. Odparła Maggie. *Nie odstraszyś mnie. Umieć wspinać się po lodowcach.* Wtedy dopiero uświadomiła sobie, co przypomina jej to miejsce. Lodową przełęcz. Nagi, zamrożony szczyt góry, gdzie nie mogą przeżyć ani ludzie, ani rośliny.

Czy naprawdę nie przytrafiło ci się nigdy nic dobrego? Spytała. *Nie miałeś przyjaciela...*

Zwierzątka... Czegokolwiek?

Żadnych przyjaciół. Odparł krótko. *Żadnych zwierzątek, wynoś się stąd natychmiast, bo stracę cierpliwość.*

Maggie nie odpowiedziała, bo wszystko wokół nagle się zmieniło. Lśniące powierzchnie kryształów zaczęły odbijać inne obrazy przedstawiające poruszających się ludzi. Ilekroć Maggie spojrzała w jakimś kierunku, lądowała w samym środku tej sceny.

To były jego wspomnienia. Widziała fragmenty jego dzieciństwa.

Zobaczyła dziecko, które od urodzenia traktowano jak potężną, niebezpieczną broń. Chodziło o jakąś przepowiednię. Zobaczyła mężczyzn i kobiety zebranych wokół czterolatka. U wielkich złotych oczach rozszerzonych z przerażenia.

- **Bez wątpienia** - powiedział najstarszy mężczyzna. Maggie rozpoznała w nim nauczyciela Delosa, bo informacja ta znajdowała się w jego umyśle.

- **To dziecko jest jedną z Pierwotnych Mocy** - ciągnął mężczyzna, a w jego głosie brzmiał podziw i strach. Drżącymi dłońmi wyprostował poszarpany zwój papieru. Maggie natychmiast wiedziała że zwój był stary i przechowywano go w Królestwie Mroku od wielu wieków, nawet wówczas, gdy świat zewnętrzny przestał mieć do niego dostęp.

- **Cztery Pierwotne Moce** - powiedział starzec. - Gdy skończy się milenium, będą potrzebne, by ocalić świat. Albo, by go zniszczyć. Proroctwo mówi nam, skąd będą pochodziły.

Jedno z krainy królów dawno zapomnianych.

Jedno z paleniska, gdzie się iskra tli

Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.

Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.

Mały Delos rozejrzał się po otaczających go ponurych twarzach. Słyszał, co mówią, ale nic z tego nie rozumiał.

- Kraina królów, dawno zapomniana... to pewnie Królestwo Mroku - powiedziała jakaś kobieta.

- Poza tym już widzieliśmy, co on potrafi - dodał szorstko potężny mężczyzna. - **Jest Pierwotną Mocą. Błękitny ogień płynie w jego krwi. Za wcześnie nauczył się nim posługiwać, jeszcze nie umie go kontrolować. Widzicie?**

Szarpnął małego za lewą rączkę i podniósł ją wysoko. Była wykręcona, o zaciśniętych palcach, nieruchoma.

Chłopczyk usiłował wyrwać rękę, ale brakowało mu sił. Dorośli ignorowali go.

- **Król chce, żebyśmy stworzyli zaklęcie, które zatrzyma w nim moc** - powiedziała kobieta. - **W przeciwnym razie zrobi sobie krzywdę.**

- **Sobie albo nam** - powiedział potężny mężczyzna, śmiejąc się nieprzyjemnie.

Chłopczyk siedział sztywno, podczas gdy oni bawili się nim jak lalką. Jego złote oczy były suche, zaciskał usta, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Okropne. Pomyślała Maggie z oburzeniem, zwracając się do Delosa. *Straszne dzieciństwo.*

Czy nikt o ciebie nie dbał? Może ojciec?

Odejdź. Powtórzył, *Nie potrzebuję twojego współczucia.*

Twoja ręka... Ciągnęła Maggie, ignorując pustkę i chłód jego myśli. *Czy tak wygląda, kiedy używasz błękitnego ognia?*

Nie odpowiedział, przynajmniej nie w myśli, którą mogła odczytać. Na ścianach kryształu zamigotało kolejne wspomnienie. Maggie znów dała się wciągnąć w sam środek.

Zobaczyła pięcioletniego Delosa z ręką w czymś w rodzaju aparatu czy szyn. Widząc to, zrozumiała, że to nie są zwykłe szyny. Zrobione były z zaklęć i klątw, które trzymały w karchach błękitny ogień.

- **Gotowe** - powiedziała ta sama kobieta, która była w poprzedniej scenie. - **Teraz możemy go kontrolować.**

- **Jesteś pewna? Wiedźmy czasami pozwalają sobie na fuszerkę. Na pewno nie może używać mocy?** - Człowiek, który to wiedział, był wysoki, miał odpychającą, lodowatą i poważną twarz. I żółte oczy jak Delos.

To twój ojciec, powiedziała Maggie w zamyśleniu. *Miał na mnie... Tormentil? Ale...* Nie chciała nic więcej mówić, ale pomyślała, że mężczyzna nie wyglądał na kochającego rodzica. Nie odróżniał się od innych, obcych ludzi.

- **Dopóki nie usunę zaklęć, nie będzie mógł jej używać, wasza wysokość** - kobieta wypowiedziała ostatnie dwa słowa zupełnie naturalnie, ale Maggie poczuła ukłucie zaskoczenia. Co innego wiedzieć, że ktoś jest królem, a co innego usłyszeć, jak ludzie naprawdę mówią do tej osoby z takim szacunkiem.

- **Im dłużej zaklęcie będzie działać, tym bardziej moc osłabnie** - ciągnęła kobieta, - **Sam jej nie zdejmie. Tylko ja mogę to zrobić...**

- **Czy moc nie zniknie?**

- **Nie, ale przed każdym użyciem będzie musiał przelać trochę własnej krwi.**

- **Pokaż** - powiedział szorstko król. Kobieta wymamrotała kilka słów, po czym zdjęła aparat z ramienia chłopca. Potem wyjęła nóż zza paska i szybkim, sprawnym gestem - takim samym, jakim babcia Maggie kroїła rybę - przecięła jedną z żył na nadgarstku Delosa.

Pięcioletni chłopczyk nie wzdrygnął się ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Jego złociste oczy utkwione były w twarzy ojca. Krew kapiała na podłogę.

- **To chyba kiepski pomysł** - powiedział nauczyciel. - **Błękitny ogień nie może być użyty do takich celów. I niszczy jego rękę za każdym razem.**

- **A teraz, synu, pokaż mi, jaki jesteś silny** - król przerwał nauczycielowi w pół słowa, ignorując jego argumenty. - **Zaatakuj ogniem...** - Król podniósł wzrok na nauczyciela - **No, po«** **wiedzmy, że to będzie on.**

- **Wasza wysokość!** - wykrzyknął starszek, wycofując się pod ścianę.

Złote oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu.

- **Wykonać!** - powiedział stanowczo król. Chłopczyk bez słowa pokręcił głową. Ojciec zacisnął dłoń mocno na kruchym ramieniu syna. Maggie widziała, jak wbija palce w jego skórę.

- **Rób, co ci każe. I to już!**

Delos zwrócił szeroko otwarte oczy ku starszkowi, który kulił się, belkocząc coś ze strachu i wznosił drżące ręce do twarzy, jak gdyby chciał uchronić się przed ciosem.

Król zmienił ułożenie dłoni i podniósł ramię chłopca lekko do góry.

- **Teraz, mały. Teraz!**

Z ręki wystrzelił błękitny płomień. Strzelił strumieniem jak woda płynąca z węża pod dużym ciśnieniem. Uderzył starszki w pierś, ciskając nim o ścianę. Nauczyciel jęknął. Po chwili nie było już żadnego starszka. Został tylko cień sylwetki, ułożony z popiołów.

- **Ciekawe** - powiedział król, puszcżając ramię chłopca. Gniew ojca przeszedł tak samo szybko, jak rozgorzał. - **Myślałem, że moc będzie potężniejsza i zburzy całą ścianę.**

- **Daj mu trochę czasu, panie** - powiedziała kobieta zduszonym głosem. Co chwila przykładała ślinę.

- **Zresztą nieważne, i tak będzie użyteczny.** - Król popatrzył na pozostałych zebranych. - Pamiętajcie, nadchodzi czas mroku. Koniec milenium oznacza koniec świata. Ale cokolwiek stanie się na zewnątrz, to królestwo ocaleje.

Przez cały ten czas chłopczyk patrzył szeroko otwartymi oczami na miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się starszek. Na pobladłej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

Maggie z trudem walczyła o oddech.

Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak potwornego. Niemal nie potrafiła znaleźć właściwych słów, by sformułować myśl. Kazali ci zabić nauczyciela. Twój ojciec kazał ci to zrobić. Nie wiedziała, co powiedzieć. Obróciła się, zdezorientowana, usiłuje odnaleźć w tym dziwnym krajobrazie samego Delosa, odezwać się bezpośrednio do niego. Chciała na niego popatrzeć, przytulić, pocieszyć. Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro, spotkały cię takie rzeczy.

Nie wygłupiaj się. Odparł. *Chowano mnie po to, żebym był slinv. I to się liczy.*

Chowano cię bez miłości. Nikt cię nigdy nie kochał, powiedziała Maggie.

Miłość jest dla słabeuszy. Jego myśl była jak lód. To złudzenie. Może kosztować życie.

Maggie nie umiała odpowiedzieć. Chciała nim potrząsnąć.

O co *chodziło z tym końcem świata?*

Dokładnie o to, co zostało powiedziane. Odparł krótko Delos. *Proroctwa zaczynają się spełniać. Ludzki świat wkrótce dobiegnie końca, w ciemnościach i krwi. Potem istoty nocy znów przejmą władzę.*

I dlatego ci to zrobili? Maggie powiedziała to w myślach sama do siebie, ale czuła, że Delos wszystko słyszał.

Jestem tym, kim miałem się stać. I nie chcę być kimkolwiek innym.

Na pewno? Maggie się rozejrzała. Nie umiałaby opisać, co właściwie robi, ale wiedziała, czego szuka. Czegoś... co pokazałoby mu, że...

W kryształach rozblęsnęła kolejna scena. Delos miał osiem lat i stał przed stertą głazów i skal wielkości małych samochodów. Ojciec stał za nim.

- **Teraz!**

Ledwo król wymówił to słowo, chłopiec podniósł ręki strzelił błękitny ogień i jeden z kamieni eksplodował, rozpadając się w pył.

- **Jeszcze raz!** Kolejna skała wybuchła.

- **Więcej mocy! Wcale się nie starasz. Jesteś bezużyteczny!** Tym razem w powietrze wyleciała cała sterta gładów. Błękitny ogień pochłaniał drzewa rosnące za gładami. Na koniec wbił się w zbocze góry i przebił skałę na wylot.

Król uśmiechnął się, po czym poklepał syna po plecach.

- **Lepiej.**

Nie, straszniej. Powiedziała Maggie do Delosa. *To jest złe. Wszystko powinno wyglądać zupełnie inaczej.*

Przesłała mu obraz własnej rodziny, który nie był wyjątkowo sielski - państwo Neely, starzy i młodzi, często się kłócili, czasem dość nieprzyjemnie. Ale spędzili ze sobą mnóstwo dobrych chwil i te właśnie pokazała Delosowi. Pokazała mu swoje życie...

Jak śmiała się z ojca, który w panice dmuchał na paląca się piankę w czasie jakiegoś biwaku sprzed lat... Jak wahała terpentynę i patrzyła na magiczne kolory malowane przez matkę na płótnie. Jak przycupnęła na kierownicy roweru, którym kierował Miles. Kiedy krzyczała wniebogłosy, gdy zjeżdżali ze stromej góry. Jak budził ją ciepły i szorstki język na policzku, a potem jednym zaspanym okiem patrzyła na doga, Jake'a, dyszącego z radości. Jak zdmuchiwała świeczki w czasie przyjęcia urodzinowego. Jak zaczęła się na Milesa w korytarzu z naładowanym pistoletem na wodę...

Kto to? - spytał Delos. Powoli się poddawał; Maggie to czuła. Wiele rzeczy w jej wspomnieniach go dziwiło: żółte światło, słońce, nowoczesne domy, rowery, maszyny... Ale najbardziej introwali go ludzie. Aż do chwili, gdy pokazała mu szesnastoletniego Milesa, który wyglądał zupełnie jak teraz.

To Miles. Mój brat. Ma osiemnaście lat i właśnie zaczął college.... Maggie urwała, usiłując wyczuć, co myśli Delos. *To z jego powodu znalazłam się tutaj.*

Wdał się w romans z dziewczyną o imieniu Sylvia. Ona chyba jest czarownicą. A potem zniknęła. Chciałam zobaczyć się z Sylvia i następnie co pamiętam, to jak budzę się w wozie handlarzy niewolnikami. W jakimś miejscu, z którego istnieniu w ogóle nie wiedziałam. Rozumiem. Powiedział Delos.

Znasz go? Widziałeś go kiedyś? Maggie starała się pytać spokojnie. Sądziła, że widzi wszystko, co myśli Delos, że wszystko odbija się w ścianach kryształów i że niczego przed nią się nie ukryje. Ale teraz nie była już tego taka pewna.

Nie zajmuj się tym lepiej. Powiedział Delos.

Muszę, odwarknęła Maggie. To mój brat! Jeśli ma kłopoty, to muszę go znaleźć, muszę mu pomóc. To właśnie usiłowałam ci wytłumaczyć. Ludzie sobie pomagają.

Dlaczego. - Spytał Delos.

Bo tak. Bo tak powinni robić. Nawet ty to wiesz, gdzieś w głębi. Usiłowałeś mi pomóc we śnie... Czuła, że się od niej odsuwa.

Twoje sny to zwykłe fantazje.

Nie, nie ten. Powiedziała sucho Maggie. *Przyśnił mi się, zanim cię spotkałam.*

Teraz pamiętała więcej szczegółów. Przypominało jej się coraz więcej drobiazgów, wszystkie te rzeczy, które wcześniej widziała niewyraźnie. Mogła zrobić tylko jedno.

Pokazała je Delosowi.

Mgłą, postać wołającą ją po imieniu. Zdziwienie i radość na jego twarzy, gdy ją dostrzegł. To, jak chwycił ją w ramiona, jego delikatność, czułość w spojrzeniu.

Przypomnij sobie! Kazałeś mi szukać szczeliny, przejścia pod skałą, która wygląda jak łamiąca się fala. Kazałeś nu uciekać stąd. A potem...

Przypomniała sobie, co stało się potem i zamilkła.

Potem ją pocałował.

Znów to czuła, znów czuła jego oddech, miękkie ciepło na policzku, równie miękki dotyk warg. Tyle się kryło w tym pocałunku. Jego delikatność graniczyła z nieśmiałością, ale było w nim również namiętność, jakby wiedział, że to robi ostatni raz.

To było... takie smutne. Powiedziała Maggie, z trudem znajdując słowa. Nie czuła zażenowania. Emocje były tak silne, że trochę się ich bała. *Nie wiem, co to znaczyło, ale było takie smutne...*

Zbyt późno zorientowała się, co się dzieje z Delosem.

Był poruszony. Kryształowy świat wokół Maggie dygotał z niedowierzania, wściekłości i strachu.

To nie byłem ja. Ja się tak nie zachowuję. Powiedział głosem przeszywającym jak lodowy miecz.

Owszem, to byłeś ty. Odparła bez nacisku, cicho. *Nie rozumiem tego, ale to naprawdę byłeś ty. Nie rozumiem nic z tego, co się stało. Ale jest między nami więź. Spójrz, co dzieje się teraz. Myślisz, że to normalne? Czy ludzie na co dzień odwiedzają cudze umysły?*

Wynocha! Echo krzyku odbijało się od kryształu i atakowało Maggie z każdej strony. Czuła jego gniew: ogromny, dziki, jak szalejąca burza. I czuła, że kryje się pod nim przerażenie. Usłyszała, co myślał Delos. Bał się tego i usiłował uciec.

Pokrewne dusze. Maggie wyczuwała, co może oznaczać. Dwoje ludzi połączonych na zawsze, dusza z duszą, na całe życie i po śmierci. Dwie dusze przeznaczone sobie na zawsze.

To bzdury, powiedział z wściekłością Delos. *Nie wierzę w to. Nie potrafię kochać. I nie mam żadnych uczuć!* Wtedy urwał połączenie.

Czyli tak to wyglądało. Kryształ wokół Maggie zaczął pękać. Kawalki szkła spadały, dźwięcząc jak lodowe sople. Świat zmienił się w chaos.

Nagle straciła oddech, znalazła się znów poza jego umysłem.

Siedziała na ziemi w małej grocie oświetlonej tylko jednym tańczącym płomieniem. Na ścianach migotały cienie. Była we własnym ciele, Delos trzymał ją w ramionach.

Ale ledwo to sobie uświadomiła, odepchnął ją i wstał. Nawet w ciemnościach widziała, że jest błądy i ma skupiony wzrok.

Wstając, dostrzegła coś jeszcze. Chociaż wyrzucił ją ze swojego świata, ich umysły pozostały połączone.

Zobaczyła... siebie. Siebie widzianą jego oczami.

Zobaczyła kogoś, kto w niczym nie przypominał kruchej księżniczki. Nie była ani elegancka, ani doskonała. Delos widział w niej hardą dziewczynę o rumianej cerze. Widział jej szczerze spojrzenie, jej włosy koloru jesiennych liści, ciepłe, żywe i rzeczywiste. I ciemnobrazowe oczy. To te oczy przykuły jego uwagę. Kryła się w nich jasność i uczciwość, głębia i przestrzeń, przy których zwykła uroda wydawała się niczym.

Maggie wstrzymała oddech. *Ja naprawdę tak wyglądam? Zastanawiała się w oszołomieniu. Niemożliwe. Zauważyłabym w lustrze.*

Ale on tak ją widział. W jego oczach była jedyną barwną rzeczą w lodowatym świecie czerni i bieli. Czuła, że więź między nimi się zacieśnia, przyciąga go do niej, mimo że tak bardzo chciał się uwolnić.

- Nie. - Jego głos zabrzmiał jak szept. - Nie jestem z tobą związany. Nie Kocham cię.

- Delos...

- Ja już nie potrafię kochać. Nie mam uczuć.

Maggie bez słowa pokręciła głową. Nie musiała nic mówić. Powtarzając, jak bardzo nie kocha Maggie, Delos z każdym słowem przybliżał się do niej. Walczył ze sobą o każdy centymetr,

- Nic dla mnie nie znaczysz! - prychnął przez zaciśnięte zęby. - Nic!

Wtedy jego twarz znalazła się o milimetry od jej twarzy i zobaczyła płomień płonący w jego złotych oczach.

- Nic - szepnął, dotykając wargami jej warg.

Rozdział 10

Oderwał się w ostatniej chwili, zanim zdążył ją pocałować. Maggie poczuła już dotyki ciepłych ust, a po chwili chłodne powietrze.

- Nie - powiedział. - Nie. - Widziała mieszaninę strachu i gniewu w jego oczach. Jego ból był nie do wytrzymania. Delos zadrżał mocno, po czym całe to kłębowisko uczuć zniknęło, jakby ktoś zmiotł je dłonią. Pozostała tylko lodowata determinacja.

- To niczego nie zmieni - powiedziała Maggie. - Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz. Nie duś tego w sobie.

- Posłuchaj mnie - odparł cierpkim, stanowczym tonem. - Powiedziałaś, że we śnie kazałem ci odejść. Teraz mówię ci to samo. Odejdź i nigdy tu nie wracaj. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Och, w porządku. - Maggie trzęsa się z emocji.

Miała dość. Jej cierpliwość się wyczerpała. W jego twarzy było mnóstwo goryczy i mnóstwo bólu, ale najwyraźniej nie chciał, żeby mu pomogła.

- Mówię poważnie. Nawet nie wiesz, jaką wyświadczam ci przysługę. Pozwalam ci odejść. A jesteś nie tylko zbiegłą niewolnicą, ale również tą, która wie, gdzie jest przejazd przez góry. Za to grozi tu kara śmierci.

- No to mnie zabij - powiedziała Maggie. Nie było to zbyt mądre i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Był niebezpieczny. I miał dar błękitnego ognia. Mógł wystrzelić go w mgnieniu oka. Ale Maggie była zdolna do wszystkiego. Zaciśnęła dłonie w pięści.

- Każę ci odejść - powiedział. - I jeszcze coś. Chciałaś wiedzieć, co przytrafiło się twojemu bratu.

Maggie ucichła. Nagle coś w nim się zmieniło. Wyglądał jak ktoś, kto ma zamiar zadać cios. Napiął mięśnie, a w jego oczach zapłonęły dwa płomienie.

- No to proszę, powiem ci. Twój brat nie żyje. To ja go zabiłem.

To był cios. Poczuła, że robi jej się słabo, a nogi nie mogą jej już dłużej utrzymać.

Ale mu nie wierzyła. Nie mogła w to uwierzyć, ot tak. Otworzyła usta, wciągając powietrze, żeby coś powiedzieć... Zamarła.

Z zewnątrz dobiegał jakiś głos. Maggie nie rozumiała słów, głos należał do dziewczyny. Zbliżał się. Delos odwrócił głowę i wyjrzał z jaskini, po czym uczynił krok w stronę ściany i zgasił pochodnię. Grota błyskawicznie pograżyła się w ciemnościach.

Nie, pomyślała. Jak długo tu jest? O mój Boże, Cady!

Po prostu odeszłam i zostawiłam ją samą. Co się ze mną dzieje? Kompletnie o niej zapomniałam. Nawet nie pomyślałam...

- Dokąd się wybierasz? - szepnął chrapliwie Delos. Maggie zatrzymała się w pół kroku i obrzuciła go nieprzytomnym wzrokiem. Albo raczej: spojrzała mniej więcej w jego stronę, teraz nie widziała już nic poza mrokiem.

- Do Cady - odparła, roztargniona i spanikowana, ściskając w ręku bukłak. - Zostawiłam ją na dole. Mogło jej się coś stać przez ten cały czas.

- Nie możesz wyjść - powiedział. - Tam są pozostali. Wybrałem się z nimi na polowanie. Jeśli cię złapią, nie pomogę ci...

- Nic mnie to nie obchodzi - przerwała mu brutalnie Maggie. - Jeszcze chwilę temu nie chciałeś mnie więcej widzieć. Boże, zostawiłam ją tam. Jak mogłam?

- Nie minęło tak dużo czasu - syknął niecierpliwie. - Najwyżej godzina.

Maggie z pewnym trudem uświadomiła sobie, że Delos ma rację. Wydawało się, że odkad wspięła się na półkę, minęły setki lat, ale w rzeczywistości wszystko działało się szybko.

- I tak muszę iść - odparła nieco spokojniej. - Jest chora. Gavin mógł wrócić. - Na samą myśl poczuła falę strachu.

- Jeśli cię złapią, pożałujesz, że nie umarłeś - oświadczył bardzo wyraźnie i zanim Maggie zdolała odpowiedzieć. - Zostań tu. Nie wychodź, dopóki nie odejdą.

Poczuła ruch powietrza i delikatne dotknięcie tkaniny. Przeszedł tuż przed nią. Na moment odciął dopływ światła ze szczeliny. Zobaczyła jego ciemną sylwetkę na tle szarego nieba. A potem została sama.

Maggie przez chwilę nasłuchiwała w napięciu. Jej własny oddech był zbyt głośny. Podkraśla się cicho do wejścia i przykłęka.

Po chwili podskoczyła. Usłyszała kroki chrzęszczące na pokruszonych głazach na zewnątrz. Tuż przed wejściem. Po chwili w szparze ukazał się cień.

- Delos! Co ty tu robisz? - spytał głos.

Był to delikatny, sympatyczny głos dziewczyny nieco starszej od Maggie. Jeszcze nie kobiety. Dziewczyna zwracała się do niego w sposób, który świadczył o zadziwiającej zażyłości, był przy tym zatroskany i przyjacielski.

Ale to nie to przyprawiło Maggie o dreszcz. Rozpoznała ten głos. Znała go i nienawidziła. To była Sylvia. *Ona tu jest*, pomyślała Maggie. Sądząc po tym, jak rozmawia, musiała już tu kiedyś być - wystarczająco długo, by poznać Deiosa. *A może tu właśnie się urodziła, tylko zaczęła wychodzić na zewnątrz?*

Niezależnie od tego, Maggie poczuła, że Miles także musiał wylądować w Królestwie Mroku. *Ale... jak to się stało? Co się wydarzyło? Czy zrobił coś, za co go usunięto? A może Sylvia planowała to od początku?*

Czy Delos naprawdę mógłby...?

Nie wierzę w to, pomyślała wściekle Maggie, ale poczuła uścisk w żołądku.

Tymczasem Sylvia gawędziła swoim melodyjnym głosem.

- Nie zauważyliśmy nawet, kiedy się odłączyłeś... Ale potem zobaczyliśmy błękitny ogień. Pomyśleliśmy, że może masz kłopoty...

- Ja? - zaśmiał się Delos.

- No cóż, mieliśmy nadzieję, że dzieje się coś ciekawego - poprawiła się Sylvia. Jej śmiech przypominał dzwoneczki, którymi porusza wiatr.

- Nic mi nie jest. Tylko ćwiczyłem.

- Delos - powiedziała Sylvia z wyrzutem w głosie, jakby z nim flirtowała. - Wiesz, że nie powinieś tego robić. Pogarszasz stan swojej ręki. Nigdy nie wydobrzeje, jeśli wciąż będziesz używał mocy.

- Wiem - odparł stanowczo Delos, co ostro kontrastowało z zalotnym tonem Sylvii. - To mój problem.

- Chcę dla ciebie dobrze.

- Chodźmy już. Pewnie reszta ekipy na nas czeka.

Nie lubi jej, pomyślała Maggie. Wszystkie jej pozy i miny nie wywierają na nią wrażenia. Ciekawe, kim ona dla niego jest.

Tak naprawdę chciała wybiec z groty i zmierzyć się z Sylvia. Chwycić i mocno potrząsnąć, i wydobyć z niej wszystkie odpowiedzi.

Jednak raz już tego próbowała i w ten właśnie sposób wylądowała w niewoli. Zagryzła więc zęby i przysunęła się bliżej szpary. Było to niebezpieczne, ale musiała zobaczyć Sylvie.

Jej widok przyprawił Maggie o kolejny szok. Sylvia wkładała zazwyczaj obcisłe topy i modne dzinsy, ale teraz miała na sobie ciuchy prosto ze średniowiecza. Co więcej, wyglądała w nich zupełnie zwyczajnie, jak gdyby chodziła w nich od dziecka. Były też znakomicie dopasowane.

Włożyła tunikę koloru morskiej wody. Długie rękawy dotykały ziemi. Na to narzuciła kolejną tunikę, o odcień jaśniejszą, bez rękawów, spiętą zielono-srebrnym pasem. Rozpuszczone włosy opadały falą na plecy, a na ramieniu Sylwii siedział sokół.

Prawdziwy sokół. Z małym skórzanym kapturkiem na głowie i dzwoneczkami przytroczonymi do łap. Maggie wpatrywała się w ptaka z fascynacją, chociaż sama się za to karciła.

Sylvia wiecznie udaje kruchą istotkę, ale przecież trzeba mieć sporo siły, żeby utrzymać takiego dużego ptaka.

- Nie musimy się spieszyć. - Sylvia przysunęła się bliżej Delosa. - Skoro tu jestem, moglibyśmy wybrać się na spacer. To chyba całkiem przyjemna ścieżka, zbadajmy ją.

Cały, pomyślała Maggie. Jeśli pójdą tą ścieżką, znajdą ją. Sylvia ją znajdzie.

Właśnie zdecydowała się wyskoczyć z jaskini, kiedy Delos w końcu odpowiedział.

- Jestem zmęczony - oświadczył swoim zimnym, bezdusznym głosem. - Wracamy.

- Och, zmęczyłeś się? - spytała Sylvia z satysfakcją, - Przecież prosiłam cię, żebyś nie marnował mocy.

- Owszem - odparł Delos jeszcze bardziej stanowczo. - Pamiętam...

- Zapomniałam ci powiedzieć - ciągnęła Sylvia, zanim Delos zdążył dokończyć. - Wydarzyło się coś dziwnego. Wpadł na mnie gość o imieniu Gavin.

Gavin.

Maggie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. A jednak uciekł. I wszystko widział. I musiał poruszać się bardzo szybko, pomyślała bez emocji. Dotarł do nich na tyle szybko, że Sylvia zdążyła jeszcze zastać tu Delosa.

- Pewnie go nie znasz - powiedziała Sylvia. - Jest handlarzem niewolników. Czasem wysyłam go po dziewczęta z zewnątrz. Przeważnie nieźle sobie radzi, ale dzisiaj wszystko poszło nie tak. Powiedział, że po górach grasuje grupka uciekinierów. Jego partner Bern został zabity.

Ty... więdźmo, pomyślała Maggie. Nie przyszło jej do głowy lepsze wyzwisko.

Sylvia wszystko wiedziała. Nie miała wątpliwości. Jeśli Gavin doniósł jej, co się stało i jak zginął Bern, musiał także opowiedzieć całą resztę. Ze Berna zabił sam książę Delos. Usmażył go niebieskim ogniem. A także, że w pobliżu były dwie niewolnice.

Sylvia wiedziała to od początku, pomyślała Maggie, usiłowała go wciągnąć w pułapkę. Ale dlaczego się nie boi? Przecież jest księciem. Jego ojciec nie żyje, czyli Delos tu rządzi. Jak Sylvia śmie tak z nim pogrywać?

- **Wszyscy się zmartwiliśmy** - ciągnęła Sylvia, przekrzywiając srebrzystą głowę. - **Wszyscy, a zwłaszcza twój pradziadek, przejęliśmy się tą wiadomością, Uciekinierki oznaczają kłopoty.**

- **Jak miło, że i ty się martwisz** - powiedział Delos.

Z tonu jego, co Maggie mogła wypatrzyć, miał zupełnie obojętny wyraz twarzy, a jego głos brzmiał sucho i bez emocji.

- **Jednak monę cię uspokoić. Użyłem dziś mojej mocy. Na tamtym handlarzu. A także na dwóch niewolnicach. Przeszkodzili mi, kiedy chciałem być sam.**

Maggie zamarła.

Udało mu się. Był sprytniejszy. Zamknął jej buzię. I niczego mu nie udowodni. Gavin uciekł, nie widział, co nastąpiło później.

Ocalił nas. Delos znów ocalił mnie i Cady.

- **Rozumiem** - odparła Sylvia, skłaniając głowę. Miała słodki i ponętny wyraz twarzy, chociaż nie wydawała się przekonana. - **Naturalnie miałeś pełne prawo to zrobić. A zatem niewolnice nie żyją.**

- **Owszem. Skoro to tylko niewolnice, czemu tu stoimy i wciąż o nich rozmawiamy? Czy jest coś, o czym nie wiem?**

- **Nie, nie. Oczywiście, że nie** - odparła szybko Sylvia. - **Masz rację, zmarnowaliśmy dość czasu. Wracajmy.**

Maggie niemal słyszała w umyśle głos Gavina. *To nie były zwykle niewolnice. Jeśli nie dostarczymy na miejsce tamtej wieszczki, to nie żyjemy.*

Kłamie, pomyślała Maggie. Co za niespodzianka. O co chodzi z tą dwórką? I czemu jest taką ważną? No i kim jest pradziadek Delosa? Gdy Sylvia o nim wspomniała, zabrzmiało to jak groźba. Musi być strasznie stary, jak to możliwe, że Sylvia i jakiś gość grają w jednej drużynie?

To było ciekawe pytanie, ale Maggie nie miała czasu na dywagacje. Sylvia i Delos odwrócili się od wejścia do jaskini. Gdy odchodzili, Sylvia mamrotała coś na temat ramienia Delosa, chwilę później zniknęła jej z pola widzenia. Usłyszała oddalający się odgłos kroków. Zaczekała, aż wszelkie odgłosy ucichną, po czym policzyła u pewności do trzydziestu. Dłużej nie wytrzymała. Wreszcie wyslizgnęła się przez szparę na zewnątrz i odetchnęła świeżym powietrzem.

Było już ciemno. Maggie niemal nic nie widziała. Wyczuwała jednak przed sobą pustą przestrzeń doliny i solidną skałę za plecami.

Chociaż znalazła się na zewnątrz i wciąż żyła, zamiast ulgi ogarnął ją niepokój. Dopiero po chwili zorientowała się, dlaczego.

Nie słyszała żadnych dźwięków. Ani kroków, ani głosów, zni zwierząt. To było bardzo dziwne. Być może noc była zbyt zinną dla komarów, ważek i much, ale przecież jakieś odgłosy nocnego życia powinny tu dobiegać. Ptaki kryjące się w koronach drzew, nietoperze wyruszające na łów. Żerujące jelenie. Rykowisko - przecież była jesień.

A jednak panowała cisza. Maggie czuła się zupełnie sama, a ten pozbawiony życia świat był odcięty od prawdziwego życia.

Nie stój tak i nie myśl o tym, nakazała sobie surowo. Znajdź Cady, natychmiast!

Zacisnęła zęby, chwyciła buklak i wyruszyła w drogę. Trzymając się skalnej ściany po lewej i uważnie badając stopą ziemię przed sobą, przesuwała się naprzód w ciemnościach. Na widok skalnej półki ścisnęło ją w żołądku. Wspaniale. Będzie musiała z niej zejść w kompletnych ciemnościach. Nie miała szans, żeby cokolwiek zobaczyć. Musiała zdać się na dotyk. Najgorsze co mogło ją spotkać, to upadek z wysokości kilkudziesięciu metrów.

- **Cady?** - szepnęła. Bała się mówić zbyt głośno, towarzystwo Delosa wciąż mogło włączyć się po okolicy, a górskie zbocza niosły każdy dźwięk. - **Cady, wszystko w porządku?** Serce biło jej powoli. W końcu usłyszała jakieś odgłosy dochozące z dołu. Nie głos, raczej szuranie, jak gdyby materiał zahaczył o kamień. A potem westchnienie.

Fala ulgi, która zalała Maggie, była tak potężna, że aż bolesna. Cady nie umarła ani nie została uprowadzona.

- **Czekaj na mnie** - szepnęła tak głośno, na ile się odważyła. - **Schodzę. Przyniosłam wodę.**

Zejście okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała - może z powodu adrenaliny poruszała się tak sprawnie, jak wtedy, gdy ratuje się własne życie. Stopy wyszukiwały zagłębienia i po kilku minutach Maggie znalazła się na dole.

- **Cady.** - Odszukała palcami ciepło i materiał. Coś poruszyło się i w ciemnościach zabrzmiało kolejne westchnienie.

- **Cady, jak się czujesz? Nie widzę cię.**

Wtedy ciemności rozjaśniły się i Maggie zdała sobie sprawę, że widzi kształt. Nie dostrzegając żadnych szczegółów, ale przynajmniej widziała, że ktoś tam leży. Zerknęła w niebo i umilkła. Wszedł księżyc. Na zachmurzonym niemal w całości niebie widniało jedno czyste miejsce i to przez nie widać było księżyc. Wyglądał jak nadnaturalnie wielka i biała twarz. Zbliżała się pełnia.

- **Maggie** - zaszemrało cicho jakiś głos. Chociaż był niewiele głośniejszy od oddechu, wlał w serce Maggie spokój i otuchę.

- **Dziękuję, że dałaś mi odpocząć. Czuję się lepiej.**

Maggie spojrzała w dół. Srebrne światło dotknęło policzków i warg Cady. Niewidoma dziewczyna wyglądała jak egipska księżniczka. Jej ciemne włosy spowijały ramiona, a w wielkich oczach okolonych grubymi rzęsami przeglądał się księżyc. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak spokojnie.

- **Przepraszam, że znikłam na tak długo. Przyniosłam wodę** - powiedziała Maggie, po czym pomogła Cady wstać i przytknęła jej bukłak do ust.

Wygląda, jakby nie miała już gorączki, pomyślała, widząc jak Cady pije. Może jest w stanie chodzić. Ale dokąd? Dokąd mamy iść?

Jak dotrą do przejścia? A nawet gdyby, to co dalej? Znalazłyby się w pobliżu szczytu góry - niemałej góry - w samym środku ciemnej i zimnej listopadowej nocy.

- **Musimy znaleźć lekarza** - powiedziała. Cady skończyła pić i oddała Maggie bukłak.

- Nie sądzę, żeby mieszkali tu jacyś lekarze. **Może tam na zamku trzymają jakąś znachorkę, ale...** - urwała, kręcąc głową. - **To nie ma sensu.**

- **Jak to, nie ma sensu? A poza tym, chyba naprawdę lepiej się czujesz?** - dodała Maggie, zadowolona. Po raz pierwszy Cady wydała z siebie więcej niż kilka słów. Jej głos brzmiał bardzo słabo, ale rozsądnie. Najwyraźniej sporo też wiedziała.

- **To nie ma sensu. Jestem dla ciebie ciężarem. Zostaw innie, Maggie. Zejdź na dół i znajdź kryjówkę.**

- **Znowu to samo!** - Maggie machnęła ręką. Naprawdę miała już dość dyskusji na ten temat.

- **Jeżeli cię tu zostawię, umrzesz. Zaraz zrobi się lodowato zimno. Nie zamierzam cię tu porzucać. A jeśli na zamku jest znachorka, to tam właśnie pójdziemy.**

Gdziekolwiek on jest.

- To tam mieszkają wszystkie istoty nocy - powiedziała Aradia niespodziewanie ponurym tonem. - **A także niewolnicy. Wszystko mieści się za bramami zamku, to ogród. I ostatnie miejsce, gdzie powinnaś iść.** Maggie zamrugnęła.

- Skąd tyle wiesz? Ty także jesteś uciekinierką jak Jeanne?

- Nie. Słyszałam o tym rok temu od kogoś, kto tam był. Sama chciałam tu dotrzeć, miałam tylko pecha, że dałam się złapać handlarzom niewolników.

Maggie chętnie zadałaby jej więcej pytań, ale instynkt podpowiadał jej, że to nie najlepszy pomysł. Robiło się zimno. Nie mogły zostać w górach na noc.

- **Czy droga, którą jechałyśmy wozem, biegnie do zamku?** Cady zawahała się. Odwróciła twarz w stronę doliny. Maggie miała dziwne wrażenie, że czegoś wypatruje.

- **Tak sądzę** - powiedziała w końcu. - **To logiczne. W dolinie jest tylko jedno miejsce, dokąd można jechać.**

- **W takim razie musimy znów ją znaleźć.** - Maggie iedziała, że to nie będzie łatwe. Uciekając przed Bernem i Gavinem, oddaliły się od traktu, ale Maggie wciąż pamiętała kierunek. - **Postępuj, nawet jeśli nie dotrzemy do zamku, musimy trafić z powrotem na drogę, żeby zorientować się, gdzie jesteśmy. Poza tym lepiej spędzić noc w lesie niż na nagich skałach. Będzie cieplej.**

- **To prawda. Ale...**

Maggie nie dała jej szansy dokończyć.

- **Możesz wstać? Pomogę ci, obejmij mnie za szyję...** Wydobyć Cady z wężki między głazami nastręczyło im niemałych trudności. Obie musiały czołgać się przez większość drogi. Chociaż Cady ani razu się nie poskarżyła, Maggie widziała, jak bardzo ją to męczyło.

- **Chodź, wspaniale sobie radzisz** - powiedziała Maggie. Wiedziała, że jeśli będzie trzeba, poniesie Cady na plecach.

Zbyt wielu ludzi kazało jej porzucić tę dziewczynę. Maggie jeszcze nigdy nie była tak zdecydowana. Chciała uratować Cady za wszelką cenę.

Ale nie było łatwo. W lesie gałęzie zasłoniły światło księżyca. Cady już po kilku minutach opierała się mocno o Maggie. Traciła równowagę i drżała ze zmęczenia. Maggie także potykała się o korzenie i ślizgała po mchu i poszyciu.

Co dziwniejsze, Cady miała lepszą orientację w terenie. Na początku szeptała nawet czasem „chyba tędy”. Ale po chwili przestała jednak mówić, a później nie odpowiadała już nawet na pytania.

Wreszcie zatrzymała się i zachwiała.

- **Cady...**

-**Wszystko na nic.** Anielska dziewczyna zatrzęsła się, poczym bezwładnie opadła na ziemię. Maggie mogła tylko złagodzić jej upadek.

Siedziała samotnie na niewielkiej polanie, czując wokół siebie pikantny aromat czerwonego cedru. Na kolanach miała nieprzytomną dziewczynę. Nieruchomo wsłuchiwała się w ciszę. Którą nagle przerwały kroki. Początkowo pomyślała, że to jeleni. Ale kroki były zbyt ostrożne, jakby ktoś się skradał.

Trzask, przerwa. Chrząst, cisza. Maggie poczuła, jak jeża jej się włosy na karku.

Wstrzymała oddech i wyciągnęła rękę w poszukiwaniu kamienia lub gałęzi. Jakiegokolwiek broni. Cady leżała bez ruchu na jej kolanach.

W krzakach między dwoma drzewami coś zaczęło szeleścić. Maggie wyteżyła wzrok, napinając wszystkie mięśnie.

- **Kto tam jest?**

Rozdział 11

Krzaki znów zaszeleściły. Palce Maggie wymacały jedynie garść żołądzi i lukrecję, więc zacisnęła je w pięść, wyslizgnęła spod bezwładnego ciała Cady i przybrała pozycję do ataku.

Z lasu wyłonił się jakiś kształt. Maggie wpatrywała się w niego tak uważnie, że zobaczyła szare plamy, ale nie miała pojęcia, co widzi.

Po długiej, pełnej napięcia chwili, rozległ się głos.

- **Mówiłam, że wam się nie uda.** Maggie omal nie zemdląła z ulgi.

W tej samej chwili księżyc wyszedł za chmur i ukazał stojącą na polanie szczupłą dziewczynę, opierającą rękę na biodrze. W bladym, srebrzystym świetle rude włosy wydawały się niemal czarne, ale nie sposób było nie rozpoznać kanciastych rysów twarzy i zwężonych, sceptycznych oczu. Nie wspominając nawet o kwaśnej minie.

Maggie wydała z siebie westchnienie ulgi.

- **Jeanne!**

- **Nie zaszłyście zbyt daleko, prawda? Droga jest kawałek stąd. Co się stało? Padła w pół kroku?**

Maggie zdziwiła się, ile przyjemności sprawił jej ten drażliwy, złośliwy głos.

- **Nie, Cady jeszcze żyje** - odparła, śmiejąc się nerwowo. - **Natomiast Bern padł.**

Wiesz, ten wielki handlarz niewolnikami. Ale...

- **Żartujesz!** - W głosie Jeanne zabrzmiał szacunek. Dziewczyna zbliżyła się do Maggie. - **Zabiłaś go?**

- **Nie ja...** Postępuj, wytłumaczę ci to później. Najpierw pomóż mi dostać się w jakieś bardziej osłonięte miejsce. Tutaj zamarzniemy, a ona jest nieprzytomna.

Jeanne pochyliła się, by spojrzeć na Aradię.

- **Już ci mówiłam, że ci nie pomogę, jeśli wpadniesz w kłopoty.**

- **Pamiętam** - odparła Maggie. - **Czy możesz ją trochę unieść z tamtej strony? Jeśli obie weźmiemy ją pod ramię, może przejdzie jeszcze kawałek.**

- **Do kitu** - powiedziała stanowczo Jeanne. - **Lepiej zrobimy z rąk oparcie i posadźmy ją jak na krześle.**

Maggie chwyciła zimną, szczupłą dłoń. Jeanne miała zadziwiająco mocny uścisk. Potem odpowiednio wyważyły ciężar i po chwili podniosły nieprzytomną dziewczynę z ziemi.

- **Jesteś bardzo silna** - wystękała Maggie.

- **Tak, no cóż, to jedna z zalet bycia niewolnicą. Droga jest w tamtą stronę.**

Zadanie było trudne i niecodzienne, ale Maggie także nie narzekała na brak siły. Jeanne potrafiła ominąć najgorszy gąszcz. Towarzystwo zdrowej i trzeźwo myślącej ludzkiej istoty poprawiało Maggie humor.

- **A co z P.J.? Wszystko w porządku?**

- **Owszem. Jest w kryjówe, którą znam. Nic specjalnego, ale przynajmniej jakieś schronienie. Właśnie tam idziemy.**

- **Czyli jednak się nią zaopiekowałaś** - powiedziała Maggie. W ciemnościach pokręciła głową i szczerze się roześmiała.

- **Z czego tak chichoczesz?** - Jeanne urwała, po czym ostrożnie ominęły powalony pień pokryty gąbczastym mchem.

- **A, nic takiego** - powiedziała Maggie. - **Jesteś dosyć fajna.**

- **W pierwszej kolejności dbam o siebie. Takie obowiązują reguły. Lepiej o tym nie zapominaj** - wymamrotała Jeanne groźbą w głosie. Po chwili zakłęła donośnie, gdy wdepnęła w bagnistą kałużę.

- **W porządku** - odparła Maggie, wciąż czując w kącikach warg pełen satysfakcji, cierpki uśmiech. Od tego momentu żadna z nich nie była w stanie już mówić. Maggie była zmęczona i stwierdziła, że to właściwie dość przyjemnie. Jej umysł odpłynął gdzieś daleko...

Delos... Jeszcze nigdy nie spotkała nikogo, kto tak bardzo ją dezorientował. Całe jej ciało reagowało na najmniejsze wspomnienie jego osoby - gniewem, frustracją i dziwną tęsknotą, której nie rozumiała. Fizycznym wstrząsem. Ale wszystko było tu takie dezorientujące. Wydarzenia zdarzyły się tak szybko, że nie miała czasu, by cokolwiek sobie poukładać. Delos i to niesamowite zjawisko, które zaszło między nimi..

Powiedział, że zabił Milesa...

To nie mogła być prawda. Miles musiał żyć. A Delos nie byłby do tego zdolny... A może jednak?

Maggie odkryła, że wcale nie chce o tym myśleć. Nie chciała się zagłębiać w tę wielką, mroczną chmurę.

Nie wiedziała, dokąd Jeanne ją prowadzi, ale wędrowka była długa, lodowata. I bolesna. Po piętnastu minutach niesienia Cady myślała, że ramiona wyskoczą jej ze stawów. W okolicy karku zapłonęła kula ostrego bólu. Pot lał jej się po plecach i traciła czucie w stopach. Ale nie zamierzała się poddawać, a Jeanne także brnęła naprzód. Jakoś wciąż się poruszały. Po jakichś trzech kwadransach wędrowki przerywanej tylko krótkimi postojami Jeanne sapnęła:

- **To tu.**

Przed nimi rozpościerała się polana. Światło księżyca padało na prymitywny szałas zbity ze zwietrzałego drewna. Przechylał się niebezpiecznie na jedną stronę i brakowało sporo desek, ale miał przynajmniej sufit i ściany. Oferował schronienie. Maggie wydał się przepiękny.

- **Zbudowali go uciekinierzy** - wydyszała Jeanne, gdy pokonywały ostatnie kilka kroków dzielących je od chatki. - **Istoty nocy oczywiście ich schwytaly, ale nie znalazły tego miejsca, Niewolnicy w zamku przekazują sobie informację, gdzie jest. To ja!**

Otwórz! - zawołała nieco głośniej.

Po długiej ciszy rozległ się dźwięk odsuwanej drewnianej rygli. Maggie zobaczyła bladą twarz P.J. Wciąż we włożonej tyłem do przodu czerwonej czapce stała na progu wystraszona dziewczyna i mrugała nieprzytomnie zaspanymi oczami.

Kiedy w końcu je rozpoznała, natychmiast oprzytomniała.

- **Maggie! Ty żyjesz!** - wykrzyknęła, po czym rzuciła się na nią jak strzała wypuszczona z łuku.

- **Au! Uważaj!** - Maggie zakołysała się, a bezwładne ciało Cadyomal nie osunęło się na ziemię. - **Też się cieszę, że cię widzę** - odparła. Ku swojemu zdumieniu zorientowała się, że powstrzymuje łzy. - **Ale najpierw muszę ją położyć.**

- **Tutaj** - powiedział Jeanne. Na tyłach chatki leżała sterta siana. Maggie i Jeanne delikatnie złożyły na nim Aradię, poczym P.J. znów wyściskała Maggie.

- **Udało ci się! Dzięki tobie uciekłyśmy** - powiedziała, wbijając ostry, szczupły podbródek w ramię Maggie.

Maggie przytuliła ją mocno.

- To nasza wspólna zasługa, a Jeanne pomogła ci się tu dostać. Cieszę się, że wszystkie tu jesteśmy.

- Co z nią? - P.J. odsunęła się, by popatrzeć na Aradię.

- Nie wiem. - Przytknęła dłoń do rozpalonego czoła Cady. Chociaż dziewczyna oddychała miarowo, to od czasu do czasu wydawała z siebie ciche rżenie, które nie podobało się Maggie.

- Tu mamy przykrycie - powiedziała Jeanne, wyciągając strzęp ciężkiego i nieprawdopodobnie szorstkiego materiału. Materiał jak żagiel i tak sztywny, z trudem dawał się złożyć.

- Nie. Wszystkie się pod nim położymy, może utrzymamy trochę ciepła.

Maggie i P.J. położyły się po jednej stronie Cady, a Jeanne po drugiej. Materiał je okrył. Siano przyjemnie pachniało i wprawdzie strasznie kłuło, ale Maggie miała długie rękawy i dzinsy. Szczupłe ciało P.J. przytulone do jej boku jak kot dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Rozkoszowała się faktem, że nie musi nigdzie iść ani nikogo nieść. Mogła rozluźnić zmęczone mięśnie.

- Są tu niewielkie zapasy jedzenia - powiedziała Jeanne, wydobywając spod siana małą paczuszkę. - Suszone mięso i owsiane ciastka z jagodami. Lepiej zostawmy trochę na jutro.

Maggie chciwie wbiła zęby w mięso. Nie przypominało wołowiny, było twarde i gumowate, ale smakowało doskonale.

Usiłowała zmusić Cady, by coś przełknęła, ale na darmo. Dziewczyna tylko odwróciła głowę. Maggie, Jeanne i P.J. zakończyły posiłek łykiem wody, poczym znowu położyły się na sianie. Maggie poczuła się niemal szczęśliwa. Ustały skurcze szarpiące żołądek, mięśnie odpoczywały, czuła ciepło i miłą ociężałość.

- Miałaś mi opowiedzieć... o Bernie... - powiedziała Jeanne. Słowa przeszły miękko w głębokie ziewnięcie.

- Mhm. - Umysł Maggie przestawał pracować, a powieki co chwila same opadały. - Jutro... Po chwili zasnęła na stercie siana w małym szałasie pośrodku dziwnego królestwa, w towarzystwie trzech dziewczynki które jeszcze rano były jej zupełnie obce, a teraz wydawały się bliskie jak siostry.

Maggie obudziła się ze zmarzniętym nosem i rozpalonymi stopami. Przez wszystkie szpary w deskach chatki przenikało blade światło. Zastanawiała się chwilę, gdzie jest, przypatrując się zwietrzałym, srebrnawym deskom i sianu na podłodze. Po chwili wszystko sobie przypomniała.

- Cady.

Podniosła się i spojrzała na dziewczynę obok. Cady wyglądała fatalnie. Jej twarz lśniła niezdrowym, woskowym błyskiem, charakterystycznym dla silnej gorączki. Mokra od potu grzywka skręciła się w loczki. Jednak na dźwięk głosu Maggie zatrzepotała rzęsami i otworzyła oczy.

- Maggie?

- Jak się czujesz? Chcesz wody? - Maggie pomogła Cady napić się z bukłaka.

- Czuję się dobrze. Chyba dzięki tobie. To ty mnie tu przyniosłaś, prawda? - Cady obróciła twarz, jakby chciała się rozejrzeć po pomieszczeniu. Wypowiadała tylko krótkie zdania, jak gdyby oszczędzała siły, ale jej głos brzmiał delikatnie, a nie słabo.

- Ty i Jeanne. Dziękuję wam.

Pewnie słyszała wczoraj, jak rozmawiamy, pomyślała Maggie. Jej żołądek właśnie wydał z siebie głośny pomruk.

- **Chyba jestem głodna** - stwierdziła.

- **Jest jeszcze kilka ciastek** - powiedziała Jeanne. - **I jeden kawałek mięsa.**

Zmusiły Cady do zjedzenia mięsa, chociaż usiłowała odmówić. Potem uroczyście podzieliły ciastka na cztery części i zaczęły żuć suche owsiane okruchy.

- **Potrzebujemy więcej wody** - powiedziała Maggie. Po tym jak się napiły, w bukłaku prawie nic nie zostało. - **Ale najpierw musimy ustalić, co dalej. Jaki jest plan.**

- **Przede wszystkim opowiedz nam, co się stało z Bernem** - odparła Jeanne.

- **Jasne.** - Maggie zamrugnęła ze zdziwieniem, ale rozumiała, czemu Jeanne chce to wiedzieć.

- **Z pewnością już nie żyje.** - Maggie opowiedziała krótko, co się stało. O tym, jak uciekały przed Gavinem i Bernem i w końcu zostały przyparte do muru. O tym, jak Bern wspiął się na głązy i dokonał przemiany...

- **Bern był zmiennokształtnym** - dodała. Jeanne przytaknęła bez zdziwienia.

- **Bern to znaczy niedźwiedź. Oni zazwyczaj noszą imiona, które wskazują na to, w co się zmieniają. Twierdzisz, że usiłowałaś z nim walczyć za pomocą patyka?**

Jesteś głupsza, niż myślałam. - Mimo wszystko w oczach Jeanne pojawił się szacunek.

PJ. słuchała z podziwem.

- **I wtedy... Wtedy strzelił piorun** - powiedziała Maggie. - **zabił Berna, a Gavin uciekł.**

- Nagle uświadomiła sobie, że nie chciała opowiadać o wszystkim, co się stało. Jeanne i tak by tego nie zrozumiała. Ominęła zatem moment, w którym dotknęła Delosa i ich umysły się połączyły, a także fakt, że widzieli swoje wspomnienia. I to, że śniła o nim, zanim w ogóle znalazła się w dolinie. - **Wtedy napełniłam bukłak i usłyszałam, że zbliżał się Sylvia. Delos wyszedł, żeby nie znalazła mnie ani Cady** - dodała. Wszystkie dziewczyny patrzyły na nią w oszołomieniu. Twarz Cady była spokojna i zamyślona. P.J. się bała, ale z ciekawością wysłuchiwała całej historii. Jeanne spoglądała na nią z niedowierzaniem. I wstrętem.

- **Twierdzisz, że księżę Delos, ten księżę Delos, uratował ci życie? Za pomocą błękitnego ognia? I nie wydał ci reszcie?** - Jeanne wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby mówiła o Draculi.

- **Tak twierdzę.**

Dobrze, że nie powiedziałam jej o pocałunku, pomyślała Maggie.

- **To niemożliwe. Delos wszystkich nienawidzi. On jest niebezpieczny.**

- **On to samo mówił.** - Maggie pokręciła głową. Niepokoił ją wzrok Jeanne. Miała wrażenie, że broni kogoś, kto do szpiku kości jest zły. - **Powiedział też, że zabił mojego brata** - dodała powoli - **Ale nie wiem, czy mam w to wierzyć...**

- **Uwierz.** - Jeanne wydeła nozdrza i wykrzywiła wargi, jakby patrzyła na coś obrzydliwego.

- **On rządzi tym miejscem i decyduje o wszystkim, co się tu dzieje. Nic go nie powstrzyma, Nie wierzę, że cię wypuścił.** - Zastanowiła się przez chwilę, poczym dodała ponuro - **Chyba że ma w tym jakiś plan. To do niego podobne.**

Maggie poczuła w żołądku skurcz, który nie miał nic wspólnego z głodem. Próbowwała mimo to mówić spokojnie.

- **Nie sądzę. Myślę, że po prostu nie miało to dla niego znaczenia.**

- Sama się oszukujesz. Nie rozumiesz tych istot, bo nigdy tu nie byłaś. Nikt z was tu nie był. - Jeanne spojrzała na P.J., która przyglądała jej się szeroko otwartymi niebieskimi oczami,

Cady z głową lekko pochyloną.

- Istoty nocy to potwory. A ci tutaj, w Królestwie Mroku, są najgorsi. Niektórzy z nich żyją od setek lat, niektórzy byli tu, kiedy dziadek Delosa założył to miejsce. Cały czas zamknięci w tej dolinie... Nie interesuje ich nic poza polowaniem. To ich jedyny sport. To wszystko, na czym im zależy. To wszystko, co w ogóle robią.

Maggie dostała gęziej skórki. Jakaś jej część nie chciała już kontynuować tej rozmowy. Ale musiała się dowiedzieć.

- Wczoraj zauważyłam coś dziwnego - powiedziała. - Stałam na zewnątrz i nasłuchiwałam, ale nie słyszałam żadnych odgłosów zwierząt. Nigdzie.

- Wybili je wszystkie. Nie ma tu żadnych dzikich zwierząt.

P.J. zacisnęła drobną dłoń na ramieniu Maggie.

- Więc na co teraz polują?

- Na zwierzęta, które hodują i wypuszczają. Byłam tu niewolnicą przez trzy lata. Na początku widziałam, że hodują tylko lokalne zwierzęta: pумы, czarne niedźwiedzie, wilki. Ale ostatnio przerwali się na bardziej egzotyczne. Pantery, tygrysy i tak dalej.

Maggie wypuściła powietrze i poklepała P.J. po dłoni.

- Ale nie polują na ludzi.

- Nie rozśmieszaj mnie. Oczywiście, że tak, ale tylko wtedy, gdy znajdą wymówkę. Prawa mówią, że wampiry nie można zabijać niewolników, bo są zbyt cenni. Zapasy szybko by się wyczerpały. Ale jeżeli niewolnik ucieknie, mogą go ścigać i przyprowadzić z powrotem do zamku. A jeżeli ma być stracony, polują na niego i zabijają.

- Rozumiem. - Skurcz w żołądku Maggie niemal nie pozwalał jej mówić. - Ale...

- Jeżeli cię wypuścił, to po to, żeby móc cię ścigać - przerwała jej Jeanne. - Mówię ci, on jest zły. Trzy lata temu stary król zmarł i Delos przejął władzę. I zaczęli sprowadzać nowych niewolników. Nie tylko łapali turystów, którzy podeszli za blisko, ale zaczęli się zapuszczać niżej i porywać dziewczyny z ulic. Dlatego i ja się tu znalazłam. Tak samo P.J.

Maggie zauważyła, że P.J. drży. Objęła ją ramieniem. Przełknęła ślinę i zacisnęła dłoń w pięść.

- Hej, mała. Byłaś bardzo dzielna, trzymaj się dalej, dobra? Wszystko będzie dobrze.

Czuła na sobie sarkastyczny wzrok Jeanne, która nie wierzyła, że wszystko będzie dobrze. Zignorowała to.

- Czy z tobą też tak było, Cady? - zapytała. Chciała już skończyć temat Delosa i przypomniała sobie tę dziwną rzecz, którą Cady powiedziała ostatniej nocy. *Przyszłam tu nie bez powodu.*

- Nie. Mnie porwali w górach - zaprzeczyła Cady, ale jej głos zaniepokoił Maggie. Mówiła wolno i z wyraźnym wysiłkiem, jakby wszystkie siły wkładała w to, by się skupić.

Maggie natychmiast zapomniała o Delosie i handlu niewolnikami. Położyła dłoń na czole Cady.

- **Boże** - powiedziała. - **Jesteś potwornie gorąca. Płoniesz.** Cady mrugnęła nieprzytomnie.

- **Tak, to trucizna** - wykrztusiła. - **Coś mi wstrzyknęli. Mój organizm tego nie przyjmuje.**

Maggie się przestraszyła.

- **I czujesz się coraz gorzej.** - Kiedy dziewczyna skinęła, ciągnęła dalej. - **Dobra. Nie mamy wyboru. Musimy się dostać się do zamku, bo tam są wszystkie lekarki. Jeżeli ktokolwiek mi nam pomóc, to one.**

- **Moment** - wtrąciła Jeanne. - **Nie możemy pójść do zamku. Wpadłybyśmy prosto w ich sidła. Nie możemy też wydostać się z doliny. Wcześniej znalazłam przełęcz, ale przez przypadek Drugi raz jej nie znajduję...**

- **Ja ją znajduję** - rzuciła Maggie. Jeanne wbiła w nią wzrok - **Nieważne, jak. Zrobię to. Ale to wymaga wdrapania się na górę, a Cady nie da rady. Nie może też zostać tutaj i czekać, aż wrócimy z pomocą.**

Jeanne wpatrywała się w nią zielonymi oczami. Maggie wiedziała, co chce powiedzieć. Więc musimy ją porzucić. To jedyne rozwiązanie. Zaprotestowała gwałtownie.

- **Ty możesz zabrać P.J. do przełęcz; powiem ci, jak się tam dostać. A ja z Cady pójdę do zamku. Co ty na to? Jeżeli wytłumaczysz mi, jak do niego wejść.**

- **Fatalny plan** - odparła Jeanne. - **Nawet jeżeli uda ci się tam dojść, podtrzymując Cady, nie będziesz umiała dostać się do środka. A jeżeli ci się uda, to będzie samobójstwo...**

Przerwała i wszyscy zamarli. Przez sekundę Maggie nie rozumiała, dlaczego. Wyczuła tylko napięcie w powietrzu. Potem uświadomiła sobie, że Cady obróciła się powoli do drzwi. To był instynktowny ruch kota, który usłyszał coś niepokojącego. Wzbudził strach u dziewczyn, które uczyły się tu żyć według nowych reguł.

Maggie też to usłyszała. Daleki, ale wyraźny dźwięk. Krzyczący ludzie, nawołujący się w nocy. I jeszcze jeden odgłos, który słyszała tylko z filmów, ale rozpoznała go natychmiast. Wycie psów.

- **To oni** - szepnęła Jeanne. - **Mówiłam wam. Polują na nas.**

- **Z psami?** - zapytała zszokowana Maggie.

- **To koniec. Jesteśmy martwe.**

Rozdział 12

Nie jesteśmy! - zawołała Maggie. Podskoczyła i chwyciła Cady za ramię. -

Chodźmy!

- **Dokąd?** - zapytała Jeanne.

- **Do zamku. Ale musimy trzymać się razem.** - Drugą ręką chwyciła rękę P.J.

- **Do zamku?**

Maggie spojrzała na Jeanne.

- To jedyne rozwiązanie. Oni spodziewają się, że będziemy szukać przełęczy, prawda? Znajdą nas, jeżeli tu zostaniemy. Jedyne miejsce, w którym się nas nie spodziewają, jest zamek.

- Ty - wykrztusiła Jeanne - jesteś kompletnie szalona.

- Chodźmy!

- Ale może masz rację. - Jeanne chwyciła Cady z drugiej strony i ruszyły do drzwi.

- Nie zostawaj z tyłu - rzuciła Maggie do P.J. Krajobraz, który im się ukazał, wyglądał inaczej niż ostatniej nocy. Mgła tworzyła srebrną sieć wokół drzew i chociaż nie było słońca, chmury jaśniały perłowo.

Widok był piękny. Wciąż obcy i niepokojący, ale piękny.

A w dolinie pod nimi stał zamek.

Maggie zatrzymała się, gdy go zobaczyła. Wyrastał z mgły jak wyspa, czarna i błyszcząca, z wieżami na brzegach i zębatym murem, jak na obrazkach.

Wyglądała tak rzeczywiście, pomyślała.

- Nie stój tam. Na co czekasz? - rzuciła Jeanne, ciągnąc Cady za sobą.

Maggie oderwała wzrok od zamku i zmusiła nogi do pracy. Szybkim marszem zmierzały w kierunku najgęstszej części lasu,

- Jeżeli to psy, powinniśmy poszukać strumienia, prawda? - powiedziała do Jeanne. - Żeby zgubiły trop.

- Wiem, gdzie jest strumień - odpowiedziała Jeanne rwącym się głosem, kiedy przedierały się przez wilgotne zarośla,

- Mieszkałam tutaj, gdy uciekałam po raz pierwszy. Kiedy szukałam przełęczy. Ale to nie są zwykłe psy.

Maggie pomogła Cady przekroczyć sterczący korzeń.

- Co masz na myśli?

- To zmiennokształtni, jak Bern i Gavin. Nie tropią tylko po zapachu. Wyczuwają naszą energię.

Maggie przypominała sobie, jak Bern zwrócił twarz w ich stronę i powiedział: „Czujesz coś?”, a Gavin odarł: „Nie. Nie mogę ich wyczuć”.

- Świetnie - wymamrotała. Obróciła się i zobaczyła, że P.J. idzie za nimi, zaciskając wargi w skupieniu.

To była dziwna ucieczka. Maggie i dziewczyny starały się być tak cicho, jak to możliwe, co ułatwiała im wszechobecna wilgoć. Chociaż szły we cztery, jedynym dźwiękiem, który dało się usłyszeć z bliska, był cichy szelest oddechów i od czasu do czasu wykrzyczana szeptem komenda Jeanne.

Ślizgały się i potykały pomiędzy wielkimi ciemnymi pniami, sterczącymi we mgle jak kolumny. Korony cedrów rzucały głęboki cień. Wszędzie unosił się zapach żywicy.

Świat wokół nich był nieruchomy, ale w oddali wciąż słychać było wycie psów. Stale za nimi, coraz bliżej.

Przekroczyły lodowaty, głęboki do kolan strumień, ale Maggie nie liczyła już na to, że w ten sposób zmylą pościg. Cady zaczęła się ślaniać. Wyglądała na półprzytomną, jakby lunatykowała. Na pytania odpowiadała tylko niezrozumiałym pomrukami. Maggie martwiła się też o P.J. Wszystkie były osłabione głodem i trzęsły się ze strachu.

Pościg nie dogonił ich jednak, a one były coraz bliżej zamku. Udało im się pokonać długą i trudną drogę w dół. Maggie była dumna z P.J. i Cady. I wtedy nagle usłyszały niedaleko wycie psów.

W tej samej chwili Jeanne zatrzymała się i zaklęła.

- **Co?** - zapytała Maggie, dysząc ciężko. - Widzisz ich? Jeanne wskazał przed siebie.

- **Widzę drogę. Jestem idiotką. Oni nią idą, znacznie szybciej niż my jesteśmy w stanie się poruszać. Nie wiedziałam, że do niej dotrzemy.**

P.J. oparła się o Maggie, oddychając nierówno, z przekrzywioną czapką na czole.

- **Co zrobimy?** - zapytała. - **Złapią nas?**

- **Nie!** - rzuciła Maggie. - **Musimy szybko wrócić...** Przerwała jej Cady.

- **Drzewo** - powiedziała słabo, ale wyraźnie. Miała na pół przymknięte oczy i pochyloną głowę, ale wciąż wyglądała, jakby była w transie. Z jakiegoś powodu Maggie poczuła, że muszą jej posłuchać.

- **Czekajcie, spójrzcie na to.** - Stały u stóp ogromnego świerku. Najniższe gałęzie były zdecydowanie zbyt wysoko, by się na niego wdrapać, ale przewrócił się na niego nieduży klon, tworząc stromą rampę, po której mogłyby wejść. - **Na drzewo.**

- **Jesteś szalona** - powtórzyła Jeanne. - **Nie możemy się tam schować, zaraz tu będą. A poza tym, skąd ona w ogóle wie, że tu jest drzewo?**

Maggie spojrzała na Aradię. To było dobre pytanie, ale dziewczyna nie odpowiadała. Chyba znowu była w transie.

- **Nie wiem. Ale nie możemy tu stać i na nich czekać.** - Musiały zaufać Cady. - **Spróbujmy, dobrze? P.J., dasz radę się tam wdrapać?**

Cztery minuty później wszystkie były na górze.

Chowamy się na choince, pomyślała Maggie, wyglądając spomiędzy aromatycznych igieł. Z tej wysokości widziała drogę, a właściwie dwie koleiny z trawą rosnącą pośrodku.

W tej samej chwili nadciągnął pościg.

Najpierw psy, ogromne i smukłe. Maggie widziała wyraźnie ich zębra, odcinające się pod krótką brunatną sierścią. Zaraz za nimi pojawili się ludzie na koniach.

Sylvia jechała na czele grupy.

Ubrana była w suknię przystosowaną do jazdy konnej, w chłodnym odcieniu zieleń. Tuż przy niej jechał Gavin, jasnowłosy handlarz niewolników, który ścigał Maggie i Cady poprzedniego dnia.

Tak, muszą się przyjaźnić, pomyślała Maggie. Ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Zaraz za Sylvia jechały dwie osoby. Widok każdej z nich przejął ją strachem. Nie wiedziała, której boi się bardziej.

Jedną z nich był Delos. Dosiadał pięknego konia, maści ciemnej, że niemal czarnej, ale z rudawymi przejaśnieniami. Siedział w siodle wyprostowany i rozluźniony, elegancki jak przystało na młodego księcia. Jedyny dysonans tworzyła szyna na jego ramieniu.

Maggie nie mogła oderwać od niego wzroku; jej serce zamarło.

Ścigał je. Tak jak mówiła Jeanne. Ścigał je z psami. I pewnie powiedział Sylvii, że wcale nie zabił dwóch niewolnic. Jeanne bezgłośnie poruszyła ustami, mówiąc: „Widzisz?”

Maggie nie patrzyła na nią.

Zmroził ją widok kolejnego jeźdźcy. Był to ojciec Delosa.

Wyglądał dokładnie tak, jak wspominał go Delos. Wysoki, rudawoblond włosami i przystojną twarzą. Maggie nie widziała, z daleka jego oczu, ale wiedziała, że są jaskrawożółte i dzikie.

Stary król. Ale on nie żyje! Maggie była zbyt poruszona, by zachować ostrożność.

- **Kto to jest? Ten rudowłosy?** - szepnęła do Jeanne.

- **Hunter Redfern** - odpowiedziała Jeanne tak cicho, jak to i tylko było możliwe.

- **To nie król?**

Jeanne pokręciła szybko głową. Maggie jednak wciąż wbijała w nią wzrok.

- To pradziadek Delosa. Niedawno tu przybył. Opowiem ci później.

Maggie skinęła. W kolejnej sekundzie wyleciało jej to z głowy, gdy dłoń P.J. zacisnęła się na jej ramieniu. Zamarła ponownie.

Jeźdźcy się zatrzymali. Niemal dokładnie pod ich drzewem! Psy zawróciły i zaczęły krążyć bezładnie kilka metrów przed nimi.

- **O co chodzi?** - zapytał wysoki mężczyzna, ten, którego Jeanne nazwała Hunterem Redfernem.

Jeden z psów nagle zmienił kształt. Maggie zauważyła ruch kątem oka i odwróciła się szybko. Zdażyła jeszcze zobaczyć przemianę.

Smukłe, żylaste zwierzę podniosło się na tylnych łapach. Kiedy się wyprostowało, nie straciło równowagi ani nie opadło z powrotem, jak można by się spodziewać. Zamiast tego całe jego ciało zadygotało.

Psie barki, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, cofnęły się, a ramiona zgrubiały. Kręgosłup wyprostował się i zwierzę urosło. Jego ogon skrócił się gwałtownie, aż zniknął. Pysk stracił kształt, nos i uszy skurczyły się, podbródek urósł. Po mniej więcej dwudziestu sekundach zwierzę przemieniło się w chłopca. Na jego ciele pozostały gdzieś tam kępi sierści, ale zdecydowanie wyglądał na człowieka.

Ma na sobie spodnie, pomyślała oszołomiona Maggie, chociaż serce podeszło jej do gardła. *Jak to działa?*

Chłopiec zwrócił się do jeźdźców. Maggie widziała, jak przy każdym oddechu poruszają się jego żebra.

- **Coś jest nie tak** - powiedział. - **Nie czuję ich życiowej siły** Hunter Redfern się obejrzał.

- **Blokują to?**

- **Bern twierdził, że wczoraj blokowały** - wtrącił Gavin.

- **Czy to możliwe?** - Dobiegł z tyłu lodowaty głos Delosa. Jego koń denerwował się, ale jeździec nie pozwolił mu się poruszyć. - **Przecież to tylko ludzie.**

Hunter nie drgnął ani nie mrugnął okiem, ale Maggie zauważyła, jak Sylvia i Gavin wymieniają spojrzenia. Sama odwróciła głowę, żeby przyrzeć się dziewczynom obok niej.

Chciała zobaczyć, czy Jeanne rozumie, o czym tamci rozmawiają, ale jej wzrok przyciągnęła Cady. Miała zamknięte oczy, opierała głowę o chropowaty pień drzewa. Poruszała wargami, nie słysząc było żadnego dźwięku.

Jeanne wpatrywała się w nią. Na jej twarzy malowało się słuszne podejrzenie.

- **Ludzie są pełni niespodzianek** - powiedział spokojnie Redfern. - **To bez znaczenia.**

W końcu je złapiemy.

- **Mogą zmierzać do zamku** - zauważyła Sylvia. - **Lepiej postawmy dodatkowe stráže.**

Maggie zauważyła, że Delos zeszywniał, słysząc te słowa. Hunter również, chociaż patrzył w drugą stronę.

- **Co o tym sądzisz, książę Delosie?** - zapytał. Delos nie poruszył się przez chwilę.

- **Tak** - odpowiedział w końcu. - **Zajmij się tym** - zwrócił się do szczupłego, brodatego mężczyzny u swojego boku, który posłusznie skinął głową.

Po chwili Delos zrobił coś, co sprawiło, że serce Maggie skamieniało.

Spojrzał na nią.

Inni członkowie grupy, podobnie jak psy, rozglądali się po drodze i okolicznym lesie, tylko Delos siedział nieporuszony, spoglądając prosto przed siebie. Ale teraz uniósł głowę i zwrócił

pozbawioną wyrazu twarz w stronę gałęzi, za którymi kryła się Maggie. I spotkał tam jej spoj-
rzenie.

Widziała błysk w jego żółtych oczach, nawet z tej odległości. Patrzył spokojnie i chłodno. Na
nią.

Cofnęła się gwałtownie i o mało nie spadła. Serce waliło jej teraz tak mocno, że o mało nie
wyskoczyło z piersi. Nie była w stanie nic zrobić.

*Już po nas, pomyślała, unieruchomiona wzrokiem Delosa. On jest silniejszy od nich wszystkich, jest
Pierwotną Mocą. Cały czas nas wyczuwa. Teraz jedyne, co muszą zrobić, to otoczyć drzewo. Możemy
walczyć, ale nie mamy żadnej broni. Pokonają nas w mgnieniu oka...*

Odejdź. Zaskoczył ją ten głos. Był czysty i równy. I był w jej głowie.

Delos? Pomyślała, spoglądając ku niemu. *Potrafisz...*

Teraz jego twarzy nie zmienił się. *Mówiłem ci już, ale nie słuchałaś. Co mam zrobić, żebyś
zrozumiała?*

Serce Maggie zaczęło bić jeszcze szybciej.

Delos, posłuchaj. Nie chcę...

Ostrzegam cię. Powiedział, a jego głos był jak lód. *Nie idź do zamku. Jeżeli to zrobisz, nie
obronię cię po raz kolejny.*

Maggie poczuła, jak chłód rozlewa się po jej kościach. Była zbyt otumaniona, by sformuło-
wać odpowiedź.

Mówię poważnie. Trzymaj się z dala od zamku, jeżeli chcesz przeżyć.

Po tych słowach odwrócił się i połączenie zostało zerwano, Maggie poczuła pustkę.

- **Jedziemy dalej** - rzucił Delos krótko i ruszył do przodu. Wszyscy ruszyli za nim, zosta-
wiając Maggie modlącą się, by drzewo nie zaczęło kołysać się od jej dreszczy.

Kiedy ostatni koń zniknął w oddali, P.J. wypuściła głośno powietrze.

- **Myślałam, że już po nas** - szepnęła. Maggie przelknęła ślinę.

- **Ja też. Ale Cady miała rację. Nie zauważyli nas.** - Odwróciła się. - **W jaki sposób
ich blokujemy?**

Cady wciąż opierała głowę o pień drzewa i nie otwierała oczu. Teraz jednak wydawała się
spać; jej wargi się nie poruszały.

Jeanne podążyła wzrokiem za spojrzeniem Maggie. Zmrużyła oczy i zacisnęła usta. Ale nie
powiedziała nic. Po chwili uniosła brew i wzruszyła ramionami.

- **Kto to wie?**

Ty wiesz, pomyślała Maggie. A przynajmniej wiesz więcej, niż mówisz. Ale coś jeszcze ją niepokoi-
ło.

- **Dobrze, co to za historia z tym gościem, który wygląda ojciec Delosa? Hunte-
rem Redfermem.**

- **To gruba ryba w świecie nocy** - odpowiedziała Jeanne. - **Może najgrubsza. Jego syn
założył to miejsce w XV wieku.**

Maggie zamrugnęła.

- **Kiedy?**

Jeanne uśmiechnęła się ironicznie.

- **W XV wieku** - powtórzyła z udawaną cierpliwością. - **To Wampiry, nie? A właściwie
lamie, czyli wampiry, które mogą mieć dzieci, ale to nieważne. Ważne, że są nie-
śmiertelne. Nie licząc wypadków.**

- **On żyje od ponad pięciuset lat** - powiedziała powoli Maggi, spoglądając w stronę, w
której zniknęli jeźdźcy.

- Tak. I owszem, wszyscy mówią, że przypomina starego króla. Albo odwrotnie, rozumiecie.

Delos na pewno myśli, że wygląda jak on. Maggie widziała, w jaki sposób Hunter odnosi się do wnuka, prowadząc go równie zręcznie, jak Delos swojego konia. Chłopak był posłuszny wobec Huntera Redferna, który wyglądał jak jego ojciec.

Zmarszczyła brwi.

- Ale dlaczego on nie jest królem?

- Och... - Jeanne westchnęła ze zniecierpliwieniem i wyszarpnęła gałązkę z włosów. - Jest z zewnątrz, rozumiesz? Przybył tu parę tygodni temu. Wszyscy niewolnicy mówią, że wcześniej w ogóle nie wiedział o tym miejscu.

- Nie wiedział...

- Słuchaj. Tak mówią starzy niewolnicy. Hunter Redfern miał syna, Chevrila. Kiedy chłopak był mniej więcej w naszym wieku, pokłócili się i Chevril uciekł ze swoimi przyjaciółmi, więc Hunter pozostał bez dziedzica. Ale nie wiedział, że dzieciak uciekł właśnie tutaj. - Jeanne machnęła w stronę doliny. - Żeby założyć własne królestwo istot nocy. Ale w końcu stary się dowiedział i wpadł z wizytą. I oto jest.

Skończyła i rozprostowała ramiona, przyglądając się uważnie rampie z pnia klonu. P.J. siedziała w milczeniu, spoglądając to na jedną, to na drugą z nich. Cady tylko oddychała.

Maggie przygryzła wargę, wciąż nieusatysfakcjonowana odpowiedzią.

- Przyjechał z wizytą? To wszystko?

- Jestem niewolnikiem. Myślisz, że go pytałam?

- Myślę, że wiesz.

Jeanne wpatrywała się w nią przez chwilę, potem spojrzała na P.J. Maggie zrozumiała sygnał.

- Jeanne, ona przeszła przez piekło. Cokolwiek to będzie, znieśie to. Racja, mała?

P.J. obróciła czapkę wokół głowy i nasadziła ją mocniej.

- Racja.

- Więc powiedz nam, Jeanne. Co Hunter Redfern robi w tej dolinie?

Rozdział 13

*M*yszę - powiedziała w końcu Jeanne - że przyjechał, żeby skłonić Delosa do opuszczenia Królestwa Mroku. Chce, żeby przyłączył się do niego. Przy okazji, oczywiście, zabił wszystkich niewolników.

Maggie przeszedł dreszcz po ciele.

- Zabijając wszystkich?

- Cóż, to ma sens. Nikomu już nie będą potrzebni.

- Więc dlatego postanowiłaś uciec.

Jeanne obrzuciła ją zaskoczonym spojrzeniem.

- Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz, co?

- Rany, dzięki. - Maggie poruszyła się na gałęzi. Jeszcze

chwilę temu myślała o tym, jak dobrze będzie wreszcie stąd zejść i uwolnić się od kłujących igieł. Teraz wolałaby zostać tu w ukryciu na zawsze. Miała bardzo złe przeczucia.

- Dlaczego -zapytała, powoli formułując myśli - Hunter Redfern chce to zrobić właśnie teraz?

- A jak myślisz? Serio, Maggie, co ty wiesz o tym wszystkim?

Cztery Pierwotne Moce. Pomyślała Maggie, słysząc w myślach Delosa przemawiającego głosem starego nauczyciela.

Będą potrzebne na przełomie tysiącleci, by ocalić świat - albo go zniszczyć.

- Wiem, że coś się zdarzy na przełomie tysiącleci i że Delos jest Pierwotną Mocą, I że Pierwotne Moce mają coś zrobić...

- Ocalić świat - potwierdziła Jeanne. - Tylko że istoty nocy chcą czego innego. Spodziewają się, że nastąpi jakaś wielka katastrofa, która zmiecie z powierzchni ziemi ludzkość. A wtedy one przejmą władzę. Dlatego Redfern tu przybył. Chce, żeby Pierwotne Moce stanęły po jego stronie, a nie po stronie ludzi. Chce, żeby pomogły mu zniszczyć ludzki świat, zamiast go ocalać. I wygląda na to, że przekonał do tego Delosa.

Maggie z trudem wypuściła powietrze i oparła głowę o gałąź. Było całkiem tak, jak mówił jej Delos. Wciąż nie chciała w to wierzyć, ale coraz trudniej było to zignorować. Czuła ogromny ciężar, jakby coś potwornego chciało usadowić się na ramionach.

- Koniec tysiąclecia naprawdę oznacza koniec świata - szepnęła w końcu.

- Tak. Naszego świata, w każdym razie.

Maggie obejrzała się na P.J., która siedziała ze zwieszonymi chudymi nogami.

- W porządku?

P.J. skinęła głową. Wyglądała na przerażoną, ale jakoś się trzymała. Ufnie wpatrywała się w twarz Maggie.

- I wciąż chcesz iść do zamku? - zapytała Jeanne, przyglądając jej się uważnie. - Hunter Redfern to ostatnia osoba, z którą chciałabyś zadzierać. A twój przyjaciel Delos... Przykro mi to mówić, ale ściga nas tak samo jak wszyscy.

- Nie, nie chcę tam iść. - Maggie zwróciła wzrok w jej stronę. - Ale muszę. Teraz mam jeszcze więcej powodów.

- Na przykład? Dziewczyna podniosła palec.

- Po pierwsze, muszę pomóc Cady. - Obrzuciła spojrzeniem nieruchomą postać przywierającą do pnia. Podniosła drugi palec. - Po drugie, muszę się dowiedzieć, co się stało z moim bratem. - Kolejny palec. - Po trzecie, muszę uwolnić niewolników, zanim Hunter Redfern zabije ich wszystkich.

- Musisz co? - zawołała Jeanne, nie panując nad swoim głosem. O mało nie spadła z drzewa.

- Spodziewałam się takiej reakcji. Nie martw się. Ty nie musisz się w to mieszać.

- Myliłam się. Jesteś jeszcze głupsza, niż myślałam. Kompletnie szurnięta.

Tak, wiem, pomyślała ponuro Maggie. *Równie dobrze mogę nie wspominać o czwartym powodzie.*

Którym było to, że musi powstrzymać Delosa. Tak postanowiła, czuła się odpowiedzialna za wszystkich ludzi na ziemi. Znała go. Nie mogła tak po prostu uciec.

Jeżeli ktokolwiek może go przekonać, żeby tego nie robił to ona. Nie miała żadnych wątpliwości. Więc musiała spróbować.

A jeżeli Delos miał się okazać rzeczywiście tak zły, jak mówiła Jeanne, jeżeli było prawdą, że zabił Milesa... Cóż, to wtedy zastanowi.

Musi zrobić wszystko, co będzie konieczne, żeby go potrzymać. Będzie musiała go zabić, jeżeli nie znajdzie innego Wyjścia.

- **Chodźmy** - zwróciła się do pozostałych dziewczyn. - **Cady, dasz radę zejść na dół? Jeanne, znasz drogę do zamku?**

Z fosy unosił się smród.

Maggie ucieszyła się, że Jeanne zna drogę do zamku. Przestała się cieszyć, gdy się dowiedziała, że muszą się przeprowić przez fosę i wspinać po czymś, co Jeanne nazywała garderobą, ale co ewidentnie było rynną ściekową starej latryny.

- **Niech mnie ktoś zabije** - szepnęła Maggie w połowie drogi. Była przemoczona i umazana niewyobrażalnie śmierdzącym śluzem. Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, że można być tak brudnym.

W następnej chwili myśl o smrodzie i brudzie ustąpiła jednak trosce o Cady. Dziewczynie udało się przepłynąć cuchnący rów. Wciąż wykonywała wszystkie polecenia, jak pogrążona w transie. Ale trzęsła się coraz bardziej. Maggie poważnie zastanawiała się, czy to może jej zaszkodzić.

Kiedy wreszcie dotarły do szczytu rynny, rozejrzała się i zauważyła, że trafiły do niewielkiego pomieszczenia, które zostało dobudowane do muru zamku. Wszystko wykonano z czarnego kamienia. Powietrze w środku było zimne i nieruchome.

- **Nawet nie piśnijcie** - wyszeptwała Jeanne. Nachyliła się nad Maggie, która pomagała Cady wdrapać się do środka.

- **Musimy zejść na dół i przejść przez kuchnię, dobra? Nie ma problemu, jeżeli zobaczą nas niewolnicy, ale strzeżmy się tamtych.**

- **Musimy zaprowadzić Cady do lekarki...**

- **Wiem! Tam właśnie idziemy.** - Jeanne położyła rękę na ramieniu PJ. i pokierowała ją w stronę korytarza.

Więcej kamieni. Chłodniej. Maggie starała się stawiać kroki tak, by jej przemoczone buty nie chlupały ani nie skrzypiały. Zamek robił na niej ponure, ale potężne wrażenie. Był wielki, tak wielki, że czuła się w nim jak malutki owad.

Po przejściu korytarzem, który wydawał się nie kończyć, weszły do holu, którego część stanowiły drewniane drzwi, Maggie słyszała, że obok coś się dzieje, a kiedy je mijaly, dostrzegła w przelocie poruszających się ludzi. Rozkładali białe obrusy na długich stołach w pokoju większym niż cały dom Maggie.

Kolejne drzwi. Kolejny korytarz. I w końcu kuchnia, pełni krzątających się postaci, które mieszały w olbrzymich kotłach i obracały mięsiwa na roznach. Zapach dziesiątek potraw jednocześnie uderzył w nozdrza Maggie. Dziewczyna poczuła się słabo. Była tak głodna, że kolana ugięły się pod nią. Z determinacją przełknęła ślinę.

Nie był to tylko głód, ale również przerażenie. Wszyscy ludzie widzieli, jak przechodzą.

- **Niewolnicy** - rzuciła krótko Jeanne. - **Nie wydadzą nas. Weź jakiś worek, żeby się nim owinąć i chodź. A ty, PJ., zdejmij tę idiotyczną czapkę.**

Niewolnicy, powtórzyła w myślach Maggie, przyglądając się im. Wszyscy jednakowo ubrani, w obszernych spodniach i krótkich tunikach. Jeanne miała na sobie ten sam strój - przypominał ubrania z zewnątrz i Maggie nie zwróciła wcześniej na niego uwagi. Uderzyło ją, że wszystkie te ubrania były pomięte. Nie miały żadnych kantów. Ani żadnych kolorów.

Wszystkie były w nieokreślonym beżowo brązowym odcieniu. Wszystkie twarze też były jednakowe - szare i niewyraźne. Poruszali się jak marionetki.

To musiało być straszne życie, zastanawiała się, owijając ramiona starym workiem, żeby ukryć błękit swojej kurtki. Bez żadnego wyboru, żadnej nadziei na przyszłość. To może doprowadzić każdego do obłędu, odpowiedziała sobie.

Nie mogła jednak rozglądać się dłużej, Jeanne zdążyła wybiec już na świeże powietrze. Zaraz za kuchnią znajdował się ogród, pełen rachitycznych drzew owocowych i ziół. A za nim dziedziniec i w końcu rząd chatki przytulonych do wysokiego warnego muru, który otaczał zamek.

- Teraz będzie naprawdę niebezpiecznie - szepnęła Jeanne. - Tu jest tylne wyjście, ale nie możemy wpaść. Pochylcie się i idźcie w ten sposób. Jak niewolnicy. - Powłócząc nogami, poprowadziła ich w kierunku chatki.

To wygląda jak miasto, pomyślała Maggie. Miasto za murem, z zamkiem w środku.

Dotarli do drzwi jednego z budynków. Jeanne wepchnęła dziewczyny do środka, po czym sama weszła.

- Chyba nam się udało. - Wydawała się zaskoczona. Maggie znów się rozglądała. W małej izbie było ciemno, jednak dostrzegła zarysy mebli i stosy prania.

- Już? Jesteśmy bezpieczne?

- Nigdzie nie jesteśmy bezpieczne - odparowała Jeanne. - ale możemy tu przebrać się w ubrania niewolników i trochę odpocząć. Pójdę po lekarkę - dodała, gdy Maggie otworzyła usta.

Kiedy wyszła, Maggie zwróciła się do Cady i PJ. Obie drżały. Kazała Cady się położyć i z pomocą PJ. zaczęła przerzucać pranie.

- Rozbierz się - powiedziała. Sama ściągnęła buty i strząsnęła z ramion przemokniętą kurtkę, po czym uklękła, żeby rozebrać Cady. Dziewczyna leżała nieruchomo na cienkim sienniku. Nie reagowała na jej dotyk. Nie wyglądało to dobrze.

Drzwi otworzyły się za nią i do izby weszła Jeanne z dwiema obcymi osobami. Jedną z nich była wychudzona, ale przystojna kobieta z ciemnymi włosami upiętymi niedbale i w fartuchu narzuconym na tunikę i spodnie. Towarzyszyła jej młoda i przestraszona dziewczyna.

- To jest Praczka. - Jeanne wypowiedziała to słowo w taki sposób, że musiało być imieniem. - Jest lekarką. Dziewczyna jej pomaga.

Maggie odetchnęła z ulgą.

- To jest Cady. - Ponieważ nikt się nie poruszył, a Cady nie mogła sama mówić, ciągnęła dalej - Jest ze świata zewnętrznego, została otruta przez handlarzy niewolników. Nie wiem, jak dawno temu to było, ale przynajmniej kilka dni. Ma wysoką gorączkę i przez większość czasu praktycznie majaczy...

- Co to jest? - Chuda kobieta zrobiła krok w stronę Cady, ale jej mina bynajmniej nie zdradzała współczucia. Gniewnie wykrzywiła usta i odwróciła się do Jeanne. - Jak mogłaś przyprowadzić tu... to coś?

Maggie zamarła.

- O czym pani mówi? Ona jest chora...

- To jedna z nich! - Kobieta wpatrywała się w Jeanne wściekłymi oczami. - I nie mów mi, że nie zauważyłaś. To jasno jak słońce!

- Co jest jasne jak słońce? - Maggie zacisnęła pięści - Jeanne, o czym ona mówi? Kobieta obrzuciła ją wrogim spojrzeniem.

- Ta dziewczyna jest wiedźmą. Maggie się nie poruszyła.

Nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała. *Wiedźmą? Jak Sylvia? Istotą nocy?*

Cady nie była ani trochę taka. Nie była zła. Była miłą, zwyczajną dziewczyną. To niemożliwe, żeby była czymkolwiek nad naturalnym...

Nagle zdała sobie sprawę, że właściwie od początku o tym wiedziała.

Przed oczami stanęły jej obrazy. Cady w dziupli, kiedy ukryły się przed Bernem i Gavinem.

Cady poruszająca ustami. Gavin mówiący: **Nie czuję ich.**

I zmiennokształtny, który powiedział to samo. **Nie wyczuwam ich życiowej mocy.**

Błokowała ich, zrozumiała Maggie. To ona kazała nam wejść na drzewo. Jest niewidoma, ale widzi rzeczy. To prawda.

Odwróciła się powoli, by spojrzeć na dziewczynę na sienniku.

Cady leżała niemal zupełnie nieruchomo, oddech tylko nieznacznie unosił jej pierś. Kosmyki włosów otaczały drobną głowę jak bagienne węże. Twarz miała brudną i podrapaną, kilka połamanych rzęs przykleiło się do policzków. Ale jednak nie straciła nic ze swego piękna. Pozostało ono nieskalane, cokolwiek jej się przydarzyło.

Nie dbam o to, powiedziała sobie Maggie. Cady może być wiedźmą, ale nie jest jak Sylvia. Wiem, że nie jest zła.

Zwróciła się z powrotem do Praczki i przemówiła, ostrożnie ważąc każde słowo.

- **Proszę posłuchać, rozumiem, że nie lubicie wiedźm. Ale ta dziewczyna spędziła z nami dwa dni i bardzo nam pomogła, tylko proszę na nią spojrzeć!** - Straciła panowanie nad sobą - **Prowadzili ją tu jako niewolnicę! Nie traktowali jej ulgowo. Nie jest po ich stronie!**

- **Tym gorzej dla niej** - rzuciła Praczka głosem pozbawionym emocji, głosem osoby, która wie, co jest czarne, a co białe i nie zamierza o tym dyskutować.

Wie też, jak przekonać tych, którzy się z nią nie zgadzają.

Koścista dłoń powędrowała pod fartuch, wyciągając z kieszeni kuchenny nóż.

- **Poczekaj!** - zawołała Jeanne.

Praczka nawet na nią nie spojrzała.

- **Przyjaciele wiedźm nie są naszymi przyjaciółmi. Was to też dotyczy.**

Jednym zwinnym ruchem Jeanne odsunęła się od niej i przyjęła pozycję gotową do walki.

- **Masz rację. Wiedziałam, że jest wiedźmą. Na początku również jej nienawidziłam. Ale Maggie mówi prawdę. Ona nie zrobi nam krzywdy!**

- **Nie zamierzam przegapić szansy, aby zabić jedną z nich. A jeżeli spróbujecie mnie powstrzymać, pożałujecie.**

Serce Maggie waliło jak szalone. Spoglądała to na wysoka kobietę z nożem w dłoni, to na Jeanne, stojącą na ugiętych nogach, z odsłoniętymi zębami i zmrużonymi oczami. Obie były gotowe do walki.

Maggie znalazła się wewnątrz trójkąta, który tworzyły Cady, Jeanne i nóż. Była zbyt wściekła, by się bać.

- **Odtóż to** - rzuciła ostro do Praczki, zapominając, że rozmawia z osobą sporo starszą od siebie. - **Nie zrobisz nikomu krzywdy. Jak możesz w ogóle o tym myśleć?**

Kątem oka zauważyła ruch za plecami kobiety. Przestraszona dziewczyna, która dotąd nie powiedziała ani słowa, podeszła bliżej. Wpatrywała się w Maggie i wyciągnęła rękę. Szeroko otworzyła oczy i usta, ale zamiast krzyku wydała z siebie cichy jęk.

- **To Wybawicielka!**

Maggie ledwo dosłyszała jej słowa. Nie przestawała mówić.

- **Jeżeli nie będziecie się trzymać razem, to jakie mamy szanse? Jak możecie się uwolnić...**

- **To ona!** - Tym razem dziewczyna wrzasnęła i wszyscy ją usłyszeli. Rozpaczliwie chwyciła za ramię Praczkę. - **Słyszałaś, co powiedziałam? Przybyła, żeby nas uwolnić.**

- **O czym ty mów...?** - Jeanne przerwała w pół słowa i spojrzała na Maggie, marszcząc brwi. Nagle uniosła je i stanęła na wyprostowanych nogach.

Maggie wbiła w nią wzrok, osłupiała. Pierwszy raz, odkąd przybyła do Królestwa Mroku, nie miała na sobie swojej kurtki ani butów. Ubrana była dokładnie w to, co miała na sobie, gdy krzyk jej matki obudził ją trzy dni temu - pizamę w kwiaty, wymięte dzinsy i skarpetki nie do pary.

- **„Przyjdzie ubrana w kwiaty, obuta w błękit i szkarłat”** -mówiła teraz dziewczyna.

Wciąż wskazywała dłonią na Maggie, ale raczej z czcią niż przerażeniem. - **„I przemówi o wolności”. Słyszałaś ją, Praczeko! To ona. To ona jest Wybawicielka!**

Nóż zadrżał nieznacznie. Maggie zatrzymała wzrok na czerwonych palcach, po czym spojrzała w twarz Praczeki.

Jej mina zdradzała niedowierzanie... Ale i nadzieję.

- **Czy to ona?** - zwróciła się do Jeanne. - **Czy ona ma rację? Przyszła nas wybawić?**

Jeanne otworzyła usta i zamknęła je znowu. Spojrzała bezradnie na Maggie.

Niespodziewanie przemówiła P.J.

- **Powiedziała nam, że musi uwolnić niewolników, zanim Hunter Redfern zabije wszystkich** - powiedziała swoim jasnym, czystym głosem dziecka. Stała wyprostowana, wydawała się wyższa niż wcześniej. Blond włosy jaśniały blado nad niewinną twarzyczką. Coś błysnęło w oczach Jeanne. Wykrzywiła usta, przygryzła dolną wargę.

- **Tak powiedziała. A ja ją oskarżyłam o szaleństwo.**

- **Na początku, kiedy Jeanne pokazała jej, co robią ze zbiegłymi niewolnikami, Maggie mówiła, że to się musi skończyć.** - Głos P.J. był wciąż tak samo czysty i pewny. - **Że nie może pozwolić, by w ten sposób traktowali ludzi.**

- **Ze nie możemy na to pozwolić** - poprawiła ją Jeanne. - **Widzicie, jest szalona. Przecież nie ma sposobu, by ich powstrzymać.**

Praczekka wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym zwróciła rozpalone oczy ku Maggie.

Dziewczyna przestraszyła że zamierza ją zaatakować. Ale kobieta szybkim ruchem wetknęła nóż z powrotem do kieszeni.

- **Błóżniesz!** - rzuciła gniewnie do Jeanne. - **Nie mów o Wybawicielce w taki sposób! Czy chcesz nam odebrać jedyną nadzieję?**

Jeanne uniosła brew.

- **To ty zamierzałaś ją odebrać** - przypomniała. Praczekka zignorowała ją i zwróciła się znów ku Maggie. Rysy kobiety odmieniły się. Pozostały ponure i surowe, ale blade uśmiech wykrzywił jej usta.

- **Jeżeli jesteś Wybawicielką** - powiedziała - **czeka na Ciebie zadanie.**

- **Chwila** - przerwała jej Maggie.

Kręciło jej się w głowie. Rozumiała, co się dzieje... częściowo. Ci ludzie wierzyli, że jest jakąś postacią z legendy, która ma ich uwolnić. Z powodu jakiegoś proroctwa. Sporo tu mieli proroctw.

Ale nie mogła naprawdę być ich Wybawicielką. Wiedziała o tym. Była tylko zwykłą dziewczyną. I czy nikt inny nigdy nie miał tu na sobie koszuli w kwiaty?

Cóż, być może nie. W każdym razie żaden niewolnik. Maggie spojrzała znów na ubranie Praczeki. Jeżeli wszyscy nosili tu takie stroje, ręcznie szyte i proste jak wór na ziemniaki, po-

chodząca z fabryki, kolorowa i obrębiona koronką góra od piżamy mogła rzeczywiście wyglądać osobliwie.

I nikt tu pewnie nie nosi czerwonych i niebieskich skarpetek, dodała w myślach i prawie się uśmiechnęła. A już na pewno nie naraz.

Przypomniała sobie, jak Sylvia przyglądała się jej stopom, Normalnie byłaby potwornie zakłopotana faktem, że Sylvia widzi jej niedoskonałości. Ale to te skarpetki przekonały ją, że Sylvia cały czas kłamała. A teraz właśnie ocaliły jej życie. Gdyby Praczka zaatakowała Jeanne albo Cady, Maggie musiałaby z nią walczyć.

Ale wciąż nie jestem Wybawicielką, powiedziała sobie. *Musiała im to wyjaśnić...*

- **Skoro ona jest Wybawicielką, to nam pomożecie, prawda?** - mówiła tymczasem Jeanne. - **Wyleczycie Cady, nakarmicie nas, ukryjecie i w ogóle? I pomożecie Maggie dowiedzieć się, co się stało z jej bratem?**

Maggie zamrugnęła, po czym się skrzywiła. Widziała, że Jeanne posyła jej wymowne spojrzenie. Nie powiedziała nic.

- **Pomogę wam** - odpowiedziała Praczka. - **Ale wy lepiej róbcie swoje. Masz plan, Wybawicielko?**

Maggie potarła czoło. Wszystko działo się bardzo szybko, alewet jeżeli nie była Wybawicielką, to po to przecież tu przyszła, żeby uwolnić niewolników. To jak ją nazywali, chyba nieiało znaczenia.

Obejrzała się jeszcze raz na Cady, potem na Jeanne i na P.J., która wpatrywała się w nią ufnie. Potem spozrzała na dziewczynę, pomocnicę Praczki, w której oczach zobaczyła tę samą wiarę.

W końcu zwróciła wzrok ku chudej, pociągłej twarzy Praczki, Nie była od niej wiara, ale za stalowym spojrzeniem jaśniała nadzieja.

- **Nie mam jeszcze planu** - powiedziała w końcu. - **Ale będę miała. I nie wiem, czy naprawdę mogę wam pomóc. Ale spróbuje.**

Rozdział 14

Maggie budziła się powoli. To było rozkoszne uczucie. Nie było jej zimno. Nic ją nie bolało, głód nie ścisnął żołądka. Czuli się irracjonalnie bezpiecznie.

Po czym podniosła się i poczucie bezpieczeństwa zniknęło.

Znajdowała się w glinianej chatce Praczki. Jeanne i P.J. leżały w tej samej izbie, ale Cady została zabrana do innej chatki, gdzie pozostawała pod stałą opieką. Praczka siedziała przy niej całą noc. Maggie nie wiedziała, czy stan Aradii się poprawin. Przestraszona dziewczyna zwana Pomywaczką przyniosła im śniadanie, ale nie potrafiła powiedzieć nic poza tym, że Cady ciągle śpi.

Na śniadanie dostały to samo, co na kolację poprzedniego wieczoru: gęstą owsiankę z borówkami. Maggie przyjęła ją z wdzięcznością. Była smaczna, a przynajmniej taką się wydawała komuś, kto nie jadł od wieków.

- **Cieszymy się, że to jemy** - powiedziała Jeanne, przeciągając się. Ona i P.J. siedziały naprzeciwko Maggie na podłodze, jedząc palcami. Wszystkie ubrane były w szorstkie tuniki i luźne spodnie niewolników. Maggie dostawała spazmów za każdym razem, gdy materiał

gryzł ją gdzieś, gdzie nie mogła się podrapać. Jej własne ubranie, włącznie z cennymi skarpetkami, zostało schowane na tyłach chaty.

- Nie uprawiają tu za dużo zbóż ani warzyw - wyjaśniła Jeanne. - A niewolnicy oczywiście nie dostają nic innego. Tylko wampiry i zmiennokształtni piją krew i jęzą mięso.

P.J. poruszyła się nerwowo.

- Kiedy tak mówisz, odechciewa mi się jeść. Jeanne wyszczerzyła zęby.

- Boją się, że to uczyni niewolników zbyt silnymi. Wszystko tutaj zaprojektowano tak, by temu zapobiec. Może zauważyłyście, że prawie nic tu nie jest wykonane z drewna.

Maggie zamrugnęła. Rzeczywiście zauważyła to, ale nie całkiem świadomie. Chatki były zbudowane z cegieł, z ubitymi klepkami w charakterze podłogi. Nie było w nich żadnych drewnianych narzędzi, mioteł i tym podobnych.

- Ale czym palą w piecach? - spytała, spoglądając na mały kamienny piecyk postawiony bezpośrednio na klepisku. Ponad nim w dachu była dziura na dym.

- Zwęglonym drewnem, pociętym na drobne kawałki. Robią je w lesie, w piecach, pod ścisłą kontrolą. Każdy dostaje określoną ilość. Kiedy znajdą niewolnika z dodatkowym drewnem, karzą to śmiercią.

- Bo drewno zabija wampiry - powiedziała Maggie. Jeanne skinęła głową.

- A srebro zabija zmiennokształtnych. Niewolnicy nie mogą mieć też srebra.

P.J. wyrzała przez okno. Nie miało szyby, na noc Pomywaczka zatkała je szmatami, żeby nie było zbyt zimno.

- Jeżeli niewolnikom nie wolno jeść mięsa, to co to jest? - spytała.

Maggie pochyliła się, by zobaczyć. Przed chatką stały dwa duże cielaki, przywiązane do żelaznych kołków. Była tam też świnia w zagrodzie z lin i z tuzin kurczaków.

- To dla istot nocy - odpowiedziała Jeanne. - Zmiennokształtni i wiedźmy jadają normalnie. Wampiry też, jeżeli mają ochotę. Chyba szykuje się uczta. Nigdy nie przyprowadzają tu zwierząt, dopóki nie są gotowe na ubój.

P.J. zmarszczyła brwi.

- Współczuję im.

- No, są gorsze rzeczy niż śmiertelny cios w głowę. Widzisz te klatki, z tyłu? Trzymają tam egzotykę: tygrysy i inne zwierzęta do polowań. To jest naprawdę nieprzyjemna śmierć.

Maggie poczuła lodowaty dreszcz.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy musiały się przekonać... - Nagły ruch za oknem odwrócił jej uwagę. - Padnij! - zawołała i schyliła się nisko. Po chwili, bardzo ostrożnie, podniosła się i znów wyrzała przez okno.

- Co to? - syknęła Jeanne. P.J. zwinęła się na podłodze.

- Sylvia - szepnęła Maggie.

Ze swojego miejsca widziała dwie postaci, które przechodziły przez dziedziniec, rozmawiając. Sylvia i Gavin. Jej dzisiejsza suknia była w kolorze mokrych liści. Włosy spływały połykającymi falami na jej ramiona. Była piękna i pełna gracji.

- Idą w tę stronę?

Maggie uciszyła ją potrząśnięciem głowy. Bała się tego samego. Jeżeli istoty nocy zaczną przeszukiwać chaty, znajdą je bez trudu.

Sylvia skierowała się jednak ku klatkom z dzikimi zwierzętami. Przyglądała im się, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę do Gavina.

- **Co ona kombinuje?** - wyszeptła Jeanne tuż przy uchu Maggie.

- **Nie wiem. Nic dobrego.**

- **Pewnie planują polowanie. To niedobrze. Słyszałam, że mają urządzić wielkie polowanie, gdy Delos dogada się z Hunterem Redfernem.**

Maggie wciągnęła powietrze. Czyżby sprawy zaszły już tali daleko? Nie zostało im wiele czasu.

Widziała, jak Sylvia kręci głową, po czym zbliża się do zagrody bydła.

- **Chowaj się** - szepnęła Maggie i pochyliła się do samej podłogi. Ale Sylvia nie spojrzała w stronę ich chatki. Powiedziała coś, przyglądając się cielakom i się uśmiechając. Potem oboje z Gavinem obrócili się i wrócili przez ogród do zamku. Maggie patrzyła za nimi, aż zniknęli z pola widzenia, w zamyśleniu przygryzając wargę. W końcu zwróciła się do Jeanne.

- **Lepiej chodźmy porozmawiać z Praczką.** Jeanne zaprowadziła ją do chaty nieco większej od pozostałych, w której znajdowały się aż dwie izby, co Maggie odczytała - jako luksus. Cady leżała w jednej z nich, niewiele większej od dużej szafy.

Wyglądała znacznie lepiej. Maggie dostrzegła to od razu. Goraczka wyraźnie spadła, zniknęły też granatowe cienie pod oczami. Oddychała głęboko i miarowo, oczy miała zamknięte, a powieki nieruchome.

- **Wyjdzie z tego?** - zapytała Maggie. Kobieta ocierała policzki Aradii moką szmatką. Maggie była zaskoczona delikatnością tych dużych czerwonych dłoni.

- **Będzie żyła tak długo jak my wszyscy** - odpowiedziała ponurym głosem Praczka. Jeanne chrząknęła, markując śmiech.

Nawet Maggie poczuła, że jej usta składają się do uśmiechu. , zaczynała lubić tę kobietę. Musiała przyznać, że jeżeli Jeanne i praczka są dobrymi przykładami, to niewolnicy z doliny mają odwagę i poczucie humoru, które można tylko podziwiać.

- **Miałam kiedyś córkę** - powiedziała Praczka. - **Była mniej więcej w wieku tej tu, ale bardziej przypominała tamtą.** - Skinęło w stronę P.J., która uśmiechała się i trzymała kurczowo swoją czapkę, wsuniętą za fałdę tuniki.

Maggie się zawahała.

- **Co się z nią stało?** - zapytała w końcu.

- **Jeden ze szlachciców zobaczył ją i wpadła mu w oko.** -Praczka wykręciła szmatkę i odłożyła ją, po czym wstała energicznie. Kiedy zauważyła, że Maggie wciąż na nią patrzy, dodała tonem równie obojętnym, jakby mówiła o pogodzie - **Był zmiennokształtnym, wilkiem. Mówili na niego Autolykos.**

- **Ugryzł ją i przeniósł na nią swoją kłatwę, ale potem mu się znudziła. Pewnej nocy zmusił ją do ucieczki. I dopadł ją.**

Kolana Maggie się ugięły. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, co nie było beznadziejnie głupie. Więc milczała.

P.J. zrobiła to za nią.

- **Przykro mi.** - I włożyła swoją drobną dłoń w dłoń Praczki.

Kobieta dotknęła jej rozczochranych blond loków, jakby dotykała anioła.

- **Hm, czy mogę z nią porozmawiać?** - zapytała Maggie, odchrząkując.

Praczka spojrzała na nią surowo.

- **Nie, Nie obudzi się. Musiałam jej podać silne lekarstwa, I żeby zwalczyć to, co oni jej dali. Wiesz, jak działa ta mikstura?!**

Maggie pokręciła głową.

- Jaka mikstura?

- Podali jej wywar z tataraku i komeliny i innych rzeczy. To był eliksir prawdy.

- Chcieli z niej wyciągnąć jakieś informacje? Praczka tylko skinęła w odpowiedzi.

- Ale dlaczego? - Maggie spojrzała na Jeanne. Ta jednak wzruszyła ramionami.

- Jest wiedźmą ze świata zewnętrznego. Może myśleli, że wie coś ważnego.

Maggie zastanowiła się przez chwilę, po czym odpuściła. Będzie musiała się dowiedzieć, gdy dziewczyna się obudzi.

- Był jeszcze jeden powód, dlaczego chciałam porozmawiać - powiedziała. - Właściwie kilka powodów. Chciałam zapytać o...

Sięgnęła pod tunikę i wyciągnęła zdjęcie Milesa, które zabrała poprzedniego wieczoru z kurtki.

- Widziała go pani?

Praczka chwyciła zdjęcie wykrzywionym kciukiem i palcem wskazującym i przyjrzała mu się z uwagą.

- Cudownie mały obrazek.

- To jest fotografia. To nie zostało namalowane. - Maggie przyglądała się twarzy kobiety, bojąc się mieć nadzieję.

Nie dostrzegła na niej żadnej reakcji.

- Jest z tobą spokrewniony - powiedziała tylko Praczka, zbliżając fotografię do twarzy dziewczyny.

- To mój brat. Jego dziewczyną była Sylvia Weald. Zniknął w zeszłym tygodniu.

- Wiedźma Sylvia! - powiedział jakiś łamiący się głos.

Maggie uniosła wzrok. W drzwiach stała stara kobieta, drobna, zasuszona staruszka z rzadkimi siwymi włosami i twarzą całkiem jak u lalek z wyschniętych jabłek, które Maggie widywała na targowiskach.

- To Stara Krawcowa - powiedziała Jeanne. - Zszywa podarte ubrania, rozumiesz.

Ona też jest lekarką.

- Więc to jest Wybawicielka. - Kobieta podeszła bliżej, przyglądając się Maggie. - Wygląda jak zwyczajna dziewczyna, Opoki nie spojrzysz się w jej oczy. Maggie mrugnęła.

- Och... dziękuję - powiedziała. Pomyślała jednak, że Stara Krawcowa sama wygląda jak wiedźma. Ale w jej ptasich oczach czaiła się inteligencja, a uśmiech był słodki.

- Sylvia przybyła do zamku tydzień temu - powiedziała staruszka, przechylając głowę na bok. - Nie było z nią żadnego chłopca. Mój wnuk, Currier, ją słyszał. Mówił księciu Delosowi, że znalazła sobie ludzką zabawkę i że chciała zabrać ją do zamku na Samhain. Ale chłopak ją zawiódł. Więc musiała go ukarać i dlatego się spóźniła. Maggie słyszała łoskot własnego serca.

- Ukarać go - zaczęła i urwała. Po chwili zapytała: - Co to ten Samhain?

- Halloween - wyjaśniła Jeanne. - Wiedźmy zwykle odprawiają wielkie święto o północy.

Halloween. Zgadza się. Umysł Maggie krążył rozpaczliwa wokół tej nowej informacji. Teraz wiedziała już na pewno, że Sylvia rzeczywiście wyprawiła się z Milesem na spacer w góry podczas Halloween, tak jak powiedziała szeryfowi i ratownikom. A może jechali samochodem, jeżeli prawdą było to, co mówiła Jeanne o tajemniczej przełęczu, o której wiedzą tylko

istoty nocy. W każdym razie zmierzali tutaj, do Królestwa Mroku. I coś ich zatrzymało. Miles zrobił coś, co rozwścieczyło Sylvie, więc zmieniła zdanie i nie przywiozła go do zamku.

I... ukarała go. W jaki sposób? Tego Maggie nie wiedziała. Może go po prostu zabiła, pomyślała, czując potworny skurecz w żołądku. Mogła go bez trudu zepchnąć z urwiska. Cokolwiek mu zrobiła, nigdy tu nie dotarł, tak?

- Nie ma tu więc żadnego chłopaka w lochu? - zapytała patrząc na praczkę, a potem na krawcową. Znała odpowiedź zanim jeszcze pokręciły głowami.

Nikt go nie rozpoznaje. Nie ma go tu.

Maggie poczuła, jak jej ramiona opadają. Ale chociaż była zrozpaczona, nie poddała się. Przeciwnie, w jej piersi tliła się jeszcze nadzieja. Teraz chciała jeszcze bardziej dopaść Sylvia i zmusić ją do powiedzenia prawdy.

Przynajmniej, w najgorszym razie, dowiem się, jak umarł. To ważne.

Dziwne, ale czuła, że Miles żyje. Wiele się nauczyła od czasu przybycia do tej doliny. Ludzie cierpią, umierają i przydarza im się wiele okropnych rzeczy. Ci, którzy przeżyją, muszą radzić sobie dalej.

Ale nigdy nie zapomną.

- Mówiłaś, że masz dwa powody, żeby ze mną porozmawiać - przerwała jej rozmyślenia praczka. Stała, opierając dłonie na biodrach, wyprostowana, z lekko zniecierpliwioną miną. - Czy masz już plan, Wybawicielko?

- No, tak jakby. Właściwie to nie plan... No tak, chyba... - Maggie pogubiła się, próbując się wysłowić. Prawda była taka, miała tylko zarys planu. Musi porozmawiać z Delosem. To wszystko. Najprostsze, najbardziej niebezpieczne rozwiązanie. Zamierzała spotkać się z nim sam na sam. Wykorzystać tę dziwną więź, która ich łączyła, jeżeli to będzie konieczne. Spróbować choć trochę poruszyć jego kamienne serce.

I postawić swoje życie na szali.

Jeanne uważała, że niewolnicy zostaną zabici, kiedy Hunter Redfern i Delos dobiją targu.

Maggie też była niewolnicą. Jeżeli inni zginą, ona także.

I sądzisz, że jego to wzruszy, powiedział jakiś mały złośliwy głosik w jej głowie. Ale nie wiesz tego tak naprawdę. On sam ciągle grozi, że cię zabije. W dodatku uprzedzał cię, żebyś nie ubliżała się do zamku.

No cóż, przekonamy się, postanowiła Maggie. A jeżeli go nie przekonam, będę musiała zastosować bardziej brutalne rozwiązanie.

- Muszę dostać się do zamku - zwróciła się do praczki. - Nie tylko do kuchni, ale do innych pomieszczeń. Tam, gdzie znajdę księcia Delosa.

- Samego? Nigdzie nie bywa sam poza swoją sypialnią.

-Więc muszę się tam dostać.

Praczka przyglądała się jej badawczo.

- Planujesz zamach? Znam kogoś, kto ma kawałek drewna.

- Nie... - Maggie urwała i wzięła głęboki oddech. - Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale może lepiej wezmę to drewno, na wszelki wypadek.

Jeanne potarła dłonią czoło. Kiedy się odezwała, Maggie wiedziała, że myślą o tym samym.

- Słuchaj, wariatko, jesteś pewna, że to dobry pomysł? On jest...

- Wiem, istotą nocy.

- A ty...

- Po prostu człowiekiem.

- Ona jest Wybawicielką - wtrąciła P.J., z naciskiem wymawiając to słowo. Maggie uśmiechnęła się do niej, po czym zwróciła się do Jeanne.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale to jedyny pomysł, jaki mam. Wiem, że to niebezpieczne, ale muszę spróbować. - Spojrzała niepewnie na praczkę i starą krawcową. - Prawdy mówiąc, nie chodzi tylko o was. Jeżeli Jeanne ma rację co do zamiarów Redferna, to cały świat jest zagrożony.

- Och, prorocтва. - Stara Krawcowa zakaszła znacząco.

- Zna je pani?

- My, niewolnicy, wiemy o wszystkim. - Staruszka uśmiechnęła się i skinęła głową. - Zwłaszcza jeżeli chodzi o naszego księcia. Pamiętam go, jak był mały. Byłam wtedy szwaczką królowej, zanim umarła. Jego matka znała prorocтва i mawiała: „W błękitnym ogniu na koniec ciemność ginie. We krwi na koniec płaci się cenę”.

Krew, pomyślała Maggie. Wiedziała, że krew musi popłynąć, zanim Delos będzie mógł użyć błękitnego ognia, ale te słowa brzmiały, jakby odnosiły się do czegoś dużo straszniejszego. W czyjej krwi?

- Na koniec? Chodzi o koniec świata, tak? - zapytała. - Więc rozumiecie, że muszę przekonać Delosa, żeby zmienił zdanie. Nie tylko dla niewolników, ale dla wszystkich ludzi.

Patrzyła na Jeanne. Praczkę i Starą Krawcową nie wiedziały nic o świecie na zewnątrz, ale Jeanne go znała. Dziewczyna niechętnie skinęła głową, przyznając, że trzeba zapobiec końcowi świata.

- Dobrze, musimy spróbować. Dowiedzmy się, kto spośród niewolników ma wstęp do jego pokoju, a potem możemy się tam wślizgnąć i schować. Duże komnaty mają garderoby, prawda? - Stara Krawcowa przytaknęła. - Możemy ukryć się w garderobie...

- Dobry pomysł - przerwała Maggie. - Ale nie możesz iść ze mną. Muszę to zrobić sama.

Jeanne zachnęła się z oburzeniem. Jej rude włosy niemal stanęły dęba na znak protestu.

- To absurd. Mogę ci pomóc. Nie ma powodu...

- Jest powód. To zbyt niebezpieczne. Ktokolwiek tam pójdzie, może jeszcze dzisiaj zginąć. Jeżeli zostaniesz tutaj, masz szansę żyć dłużej. - Jeanne otworzyła usta, by zaprotestować, ale Maggie ciągnęła dalej - I w ciągu tego czasu wymyślić nowy plan. Który pewnie nie będzie mniej niebezpieczny. Poza tym chcę, żeby ktoś opiekował się P.J. i Cady tak długo, jak to możliwe. - Uśmiechnęła się do P.J.

Dziewczynka uniosła głowę, z trudem powstrzymując podbródek od drżenia.

- Naprawdę muszę to zrobić sama - Powtórzyła łagodnie Maggie. Mówiąc to, sama sobie wprawiała w zdumienie. Kto by pomyślał, że będzie musiała wyperswadować Jeanne udział w niebezpiecznej wyprawie?

Jeanne wydeła wargi i zmrużyła oczy. W końcu pokiwała głową.

- Dobrze. Pozbądź się wampira, a ja zostanę tu i przygotuję rewolucję.

- Nie wątpię.

Ich oczy spotkały się i obie poczuły, że jest między nimi niewidzialna, ale nierozzerwalna więź.

- Postaraj się być ostrożna. Naprawdę nie jesteś za mądra - powiedziała Jeanne po chwili. Jej oczy dziwnie lśniły, a głos się załamał.

- Wiem.

Jeanne szybko odzyskała kontrolę nad sobą. Uśmiechnęła się.

- **Wiem już, komu wolno rano wchodzić do sypialni. Możesz jej pomóc, a ona zaprowadzi cię do komnaty Delosa.**

Maggie spojrzała na nią pytająco.

- **Co cię tak cieszy? Kto to taki?**

- **Och, polubisz ją. Ma na imię Opróżniaczka Nocników.**

Rozdział 15

Maggie podążała za Opróżniaczką Nocników w kierunku zamku. Niosła stertę złożonych lnianych prześcieradeł, które dała jej Praczka, i robiła co w jej mocy, żeby wyglądać jak niewolnica. Praczka starannie umazała jej twarz brudem, Wtarła też garść pyłu we włosy dziewczyny. Kiedy teraz Maggie pochylała się nad swoim ładunkiem i kosmyki opadały jej na twarz, była praktycznie nie do poznania. Problemem było tylko to, że ciągle chciało jej się kichać.

- **To są dzikie zwierzęta** - szepnęła Opróżniaczka przez ramię. Była tęgą dziewczyną o łagodnych oczach. Przypominali Maggie cieleńca przywiązane przy chacie Praczki. Nie było łatwo wytłumaczyć jej, czego się od niej oczekuje, ale w końcu zgodziła się wprowadzić Maggie do zamku. - **Przybyły ze świata zewnętrznego**- Są bardzo niebezpieczne.

Maggie obejrzała się na klatki, przy których spacerowali wcześniej Sylvia i Gavin. Bury wilk odwzajemnił jej spojrzenie przerażająco smutnymi i nieruchomymi ślepiami. Po sąsiedniej klatce niecierpliwie przechadzała się czarna pantera, powarkując, gdy ją mijaly. W rogu kolejnej leżało zwinięte coś dużego i prątkowanego, chyba tygrys.

- **No, nie chciałabym polować na coś takiego** - wykrztusiła Maggie.

Opróżniaczka wyglądała na rozbawioną.

- **A to jest zamek. Nazywają go Czarnym Świtem.**

- **Tak?** – Maggie oderwała wzrok od zwierząt.

- **Tak na niego mówił mój dziadek, który żył i umarł na dziedzińcu. Nigdy nie wszedł do środka** - dziewczyna urwała mi chwilę, po czym dodała - **Starzy ludzie mówią, że kiedyś było widać słońce na niebie. Nie tylko przez chmury, rozumiesz. A kiedy wstawało rano, cały zamek błyszczał. Ale może to tylko legenda.**

Tak, na pewno kiedyś na niebie widziano nawet słońce, pomyślała ponuro Maggie. Za każdym razem, gdy była pewna, że to miejsce już jej nie zaskoczy, odkrywała, że się myli. Ale sam zamek był imponujący... Wszystko inne w zasięgu wzroku miało szaro bury kolor. Tylko mury zamku połyskiwały nieskazitelną czernią. W niektórych ścianach można się było przejrzeć. Nikt nie musiał jej tłumaczyć, że nie powstał ze zwyczajnego kamienia.

Delos mieszka tutaj, myślała, gdy Opróżniaczka Nocników prowadziła ją po schodach na górę. *Tutaj, w tym pięknym, przerażającym, niesamowitym miejscu. Nie tylko tu mieszka, ale włada tym zamkiem. To wszystko jest jego.*

Zdażyła spojrzeć na wielką salę, gdzie poprzedniego wieczoru widziała stoły i krzątających się niewolników. Niewolnica poprowadziła ją na kolejne piętro i dalej serią krętych korytarzy, które ciągnęły się całymi kilometrami.

W labiryncie przejść panował półmrok. Wysokie i wąskie okna nie wpuszczały zbyt wiele światła. Pochodnie zawieszono na ścianach wydawały się rzucać tylko tańczące cienie.

- **Tam jest jego sypialnia** - wymamrotała w końcu Opróżniaczka. Maggie podeszła blisko. Właśnie myślała o tym, że udało im się przejść całą tę drogę bez żadnych kłopotów, gdy usłyszała jakiś głos z bocznego korytarza.

- **Gdzie idziecie? Kto to?**

Spojrzała w tę stronę i zobaczyła strażnika. Prawdziwego średniowiecznego strażnika, z halabardą. Po przeciwnej stronie stał jeszcze jeden. Zafascynowana tym widokiem niemal zapomniała o strachu. Niemal.

Opróżniaczka Nocników, niezbyt bystra dziewczyna, zachowała się jednak w najbardziej odpowiedni sposób. Dygnęła nisko, po czym odpowiedziała powoli i spokojnie.

- **To Składaczka z pralni, sir. Praczka wysłała ją z prześcieradłami. Miałam ją tu zaprowadzić. Mamy teraz więcej pracy z powodu gości.**

- **Rozkładaniem prześcieradeł zajmuje się Pokojowa** - odpowiedział gniewnie strażnik. Niewolnica dygnęła ponownie, zyskując tym samym na czasie.

- **Tak, sir** - ciągnęła spokojnie. - **Ale z powodu gości jest więcej pracy, rozumiecie, sir...**

- **Dobra, dobra** - przerwał jej. - **Idźcie już i zajmijcie się tym, zamiast tyle gadać.** - Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Odwrócił się i mrugnął do kolegi.

Opróżniaczka dygnęła po raz kolejny i ruszyła bez pośpiechu w stronę komnat. Maggie próbowała również dygnąć, chowając twarz w prześcieradłach.

Na końcu kolejnego nieznośnie długiego korytarza znajdowały się drzwi, przy których Opróżniaczka Nocników się zatrzymała.

- **To tutaj. I nikogo nie ma.** - Maggie uniosła głowę.

- **Jesteś cudowna, wiesz? Powinnaś dostać Oscara.**

- **Co?**

- **Nieważne. Ale byłaś świetna.**

- **Powiedziałam tylko prawdę** - powiedziała skromnie niewolnica, ale się uśmiechnęła. - **Jest więcej pracy, gdy mamy gości. Nie było tu żadnych od trzech lat.**

Maggie pokiwała głową.

- **Wiem. Dobrze, chyba powinnaś już iść. I... Opróżniaczko?** - Nie potrafiła się zdobyć na wypowiedzenie jej imienia w całości. - **Mam nadzieję, że nie będziesz miała przeze mnie kłopotów.**

Dziewczyna podeszła do łóżka, wyciągnęła spod niego ceramiczne naczynie i wyszła z komnaty.

Maggie się rozejrzała. Pomieszczenie było duże i raczej puste, ale znacznie lepiej oświetlone niż korytarz, dzięki kilku kulistym oliwnym lampom na stojakach. Właściwie jedynym meblem było łóżko, ogromne z ciężką drewnianą ramą i rzeźbionymi kolumnkami. Piętrzyła się na nim sterta kołder i futrzanych narzut. Wokół wisały lniane kotary.

Chyba powinnam to wszystko zdjąć i założyć świeżą pościel, pomyślała Maggie. Ale się nie ruszyła. Poza łóżkiem w komnacie znajdowało się kilka dużych skrzyń z egzotycznego drewna oraz kilka ławek i stołków. Nic, w czym można by się ukryć. W jednej ze ścian dostrzegła jednak zasłonięte przejście.

Prowadziło do małego pokoju - garderoby, o której wspomniała Joanne. Była znacznie większa, niż Maggie się spodziewała, nie wyglądała raczej na schowek niż szafę. W porządku.

Usiądę tu i poczekam.

Dwa taborety stały obok czegoś, co przypominało krawiecki manekin. Maggie rzuciła prześcieradła na jedną ze skrzyń i przysunęła jeden ze stołków do zasłon odgradzających ją od komnaty. Przez szparę widziała większą część pomieszczenia.

Doskonale, pomyślała. Muszę tylko poczekać, aż wejdzie tu sam. A potem...

Zamarła w bezruchu. Słyszała jakieś głosy z korytarza. Nie, to był jeden głos, śpiewny i dziewczęcy.

Och, nie, proszę. Nie ona. Niech on nie wchodzi tu z nity. Będę musiała wyskoczyć stąd i uderzyć ją czymś ciężkim. Nie powstrzymam się...

Ale kiedy weszli do komnaty, nie miała najmniejszej ochoty się poruszyć.

To była rzeczywiście Sylvia, ale mężczyzna obok niej nie był Delosem.

Był to Hunter Redfern.

Maggie poczuła zimny dreszcz przeszywający całe jej ciało, Co ci dwoje robią w sypialni Delosa? Zresztą nieważne; jeżeli ją znajdują, jest już martwa. Starła się zachować spokój, ale nie mogła oderwać oczu od szpary między zasłonami.

- Wyjechał na przejażdżkę i nie wróci przez kolejne pół godziny - mówiła Sylvia, ubrana w ciemnozieloną suknię i z koszykiem w dłoni. - Odesłałam też wszystkie sługi.

- Co najmniej - odpowiedział Redfern. Delikatnie przymknął ciężkie drewniane drzwi.

- Naprawdę myślisz, że on nas szpieguje? - Sylvia odwróciła się, by spojrzeć na wysokiego mężczyznę.

- Jest sprytny. Dużo sprytniejszy niż sądzisz. A w tych starych zamkach wszędzie są otwory do podglądania i tuby do podsłuchiwania. Pamiętam jeszcze. Tylko głupi książkę nie robiłby z nich użytku.

Pamięta, pomyślała Maggie, przez chwilę zbyt zdumiona, by się bać. Pamięta czasy, kiedy budowano te zamki. Napraw żył bardzo długo.

Przyglądała się jego przystojnej twarzy, złotaworudym włosom, arystokratycznym kościom policzkowym, kształtnym ustom i bystrym oczom.

To mężczyzna, który może fascynować ludzi, oceniła. Widziała w nim, tak jak w Delosie, ukryte napięcie, siłę i inteligencję, które maluczkich wprawiały w instynktowny podziw. Był przywódcą, wodzem. I łowcą, dodała w myślach. Wszyscy oni są łowcami, ale to on ma na imię Hunter, to on jest tym Łowcą. Tymczasem Sylvia znów mówiła.

- O czym nie powinien się dowiedzieć?

- Dostałem wiadomość ze świata zewnętrznego. Nie pytaj jak, mam swoje sposoby.

- Twoje nietoperze. Widziałam je. Na chwilę zapadła cisza.

- Lepiej uważaj, dziewczyno - powiedział w końcu Hunter. Twój długi język doprowadzi cię do zguby.

Sylvia odwróciła się i Maggie zobaczyła, jak przelęka ślinę.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że to tajemnica. Ale co się stało?

- Najważniejsza rzecz w twoim krótkim życiu. - Redfern zaśmiał się, odzyskując dobry humor. - I może w moim też. Wiedźmy odeszły ze świata nocy.

Maggie zamrugała gwałtownie. Zaskoczyło ją to, co usłyszała, ale jeszcze bardziej zaskoczyła ją reakcja Sylvii, która przez chwilę stała bez ruchu, po czym z trudem wzięła oddech.

- Co?

- Tak właśnie. Groziły tym od miesiąca, ale nikt nie wierzył, że rzeczywiście to zrobią.

Sylvia położyła dłoń na przeponie i przycisnęła, jakby chciała coś przytrzymać. Usiadła na łóżku.

- Porzuciły Radę - wydusiła, nie patrząc na Redferna.

- Radę i wszystko inne.

- Wszystkie?

Hunter uniósł brwi.

- A czego się spodziewałaś? Kilka najzacieklejszych członkiń Kręgu Północy wciąż dyskutuje, ale większość zgadza się z liberatami z Kręgu Zmierzchu. Chcą ocalić ludzi. Odepchnąć nadchodzącą ciemność - powiedział to takim samym tonem, jakim drwale mówią: „Ocalić ginące sówki. Też mi coś!”

- Więc się zaczęło - powiedziała cicho Sylvia. Wciąż wbijając wzrok w kamienną podłogę. - To znaczy, że nie ma już powrotu, tak? Świat nocy został na zawsze podzielony.

- A koniec tysiąclecia się zbliża - dodał Hunter niemal z radością w głosie.

Biła od niego niezwykła charyzma. Maggie pomyślała, że to ktoś, na kogo bez wahania oddałoby się głos.

- Nasuwa się od razu pytanie - ciągnął, wpatrując się w Sylvie - kiedy zamierzasz ją znaleźć.

Ją? Żołądek Maggie ścisnął skurcz.

Ale Sylvia też nie wyglądała na zadowoloną. Uniosła głowa i odpowiedziała, uważnie ważąc słowa.

- Mówiłam ci, że ją znajdę. Więc ją znajdę.

- Ale kiedy? Rozumiesz, jak bardzo to jest ważne?

- Oczywiście, że rozumiem! - wybuchła Sylvia. Oddychała ciężko. - Dlatego próbowałam od razu wystać ją do ciebie.

Hunter mówił dalej, jakby jej nie słyszał.

- Jeżeli wyjdzie na jaw, że Aradia, Wieszczka wszystkich wiedźm jest w tej dolinie...

- Wiem!

- że ty miałaś ją w swoich rękach, ale pozwoliłaś jej uciec...

- Próbowałam ją do ciebie przyprowadzić. Wiedziałam, to ważne. - Ręce Sylvii drżały ze zdenerwowania.

Oto właśnie chodziło Hunterowi, pomyślała Maggie. On naprawdę wie, jak pogrywać z innymi.

Te myśli błąkały się jednak gdzieś w odległych rejonach świadomości. Sparaliżował ją strach. Aradia.

Pani wszystkich wiedźm.

Więc nie Arcadia. Mogła zaprzeczyć, przez tyle dni, kiedy nazywałam ją Cady. Ale przez większość czasu była nieprzyjemna, a kiedy się budziła, miała pilniejsze sprawy na głowie. Aradia. Aradia. To naprawdę ładne. Imię dźwięczało w jej umyśle, przywołując jakieś dawno zapomniane lekcje mitologii. Aradia była boginią. Boginią... hm, leśnych polan czy czegoś takiego. Lasów. Jak Diana.

Wieszczką wszystkich wiedźm. Kim była? Nie miała pojęcia, ale to na pewno było coś ważnego. Ważnego, ale nie złego. Z tego, co mówił Hunter, było jasne, że wiedźmy nie były takie jak pozostałe istoty nocy. To o niej rozmawiali Bern i Gavin, uświadomiła sobie nagle. To ją mieli przywieźć. Więc Sylvia rzeczywiście chciała ją zabrać do Huntera. Ale Cady... - Nie, Aradia powiedziała, że i tak miała powód, żeby przybyć do doliny.

Zanim zdążyła zadać pytanie, jej umysł znalazł już odpowiedź.

Delos.

Włosy zjeżyły się na jej głowie, gdy usłyszała, jak Sylvia mówi

- Nie dostanie się do Delosa.

- Lepiej, żebyś miała rację - odpowiedział Hunter. - Nie masz pojęcia, jaka jest przekonująca. Ambasador wszystkich Wiedźm. Przychodzi bronić swojej sprawy... Może go bez trudu kupić. On ma jeden żałośnie słaby punkt. Można to nazwać sumieniem. I wiemy, że miał kontakt z tą dziewczyną, która uciekła razem z Aradią. Kto wie, jakie wieści niósł ten mały szkodnik?

Żadnych wieści, pomyślała ponuro Maggie. Ten szkodnik akurat o niczym nie wiedział.

- Gavin mówił, że Aradia była wciąż otumaniona eliksirem prawdy. Podobno prawie umarła - mówiła Sylvia. - Nie sądzę, żeby była w stanie przekazać cokolwiek. Jestem pewna, że Delos w ogóle nie wie o jej obecności w dolinie. Huntera to nie przekonało.

- Wiedźmy mają już jedną Pierwotną Moc po swojej stronie.

- Ale nie zdobędą kolejnej. - Sylvia odzyskiwała pewność siebie. - Moi ludzie jej szukają. Cała szlachta jest po naszej stronie. Nie pozwolą jej dotrzeć do Delosa.

- Trzeba ją było od razu zabić. Ale może ty też masz do niej słabość. Tak jak do tego chłopaka.

Maggie wyteńczyła słuch.

Tak, dobrze usłyszała. Nie mogło chodzić o nikogo innego. Zacisnęła zęby, nasłuchując tak intensywnie, że słyszała szum krwi w uszach.

Hunter jednak wrócił do głównego tematu rozmowy.

- A może wciąż jesteś lojalna wobec wiedźm. Błada dotąd twarz Sylvii pokryła się rumieńcem.

- Oczywiście, że nie! Zerwałam z nimi i dobrze o tym wiesz! Mogę wciąż być czarownicą, ale nie jestem już jedną z nich.

- Cieszę się, że nie zapomniałaś, co one ci zrobiły. W końcu mogłabyś być Piastunką Ognia, zając należne ci miejsce w Radzie.

- Tak...

- Jak twoja babka i matka. Były z domu Harman, twój ojciec też. Co za szkoda, że nie mógł ci przekazać nazwiska. Więc ty nazywasz się tylko Weald.

- Jestem... - odparowała Sylvia ze źle skrywanym gniewem. Znów wpatrywała się w podłogę. Wydawało się, że mówi raczej do siebie niż do Huntera. - A raczej byłam ich częścią, Dopóki moje kuzynki, półludzie, nie zajęły należnego mi miejsca, i tylko dlatego, że dziedziczyły po żeńskiej linii.

Hunter pokręcił głową.

- Bardzo niefortunna tradycja.

Sylvia milczała przez dłuższą chwilę, oddychając głośno i niespokojnie. W końcu uniosła powoli głowę i zwróciła twarz do Redferna.

- Nie musisz się niepokoić o moją lojalność - powiedziała cicho. - Chcę zająć swoje miejsce w nowym porządku po przełomie tysiącleci. Zerwałam z wiedźmami. Hunter się uśmiechnął.

- Wiem - odpowiedział z aprobatą i zaczął przechadzać się po pokoju.

Osiągnął wszystko, czego chciał, pomyślała Maggie.

- Upewnij się tylko - dodał prawie od niechcienia - że Delos nam sprzyja, dopóki wszystko się nie rozstrzygnie.

Sylvia pochyliła się i podniosła koszyk, o którym Maggie zdążyła już zapomnieć.

- Nowe zaklęcie na pewno zadziała. Przyniosłam specjalne składniki od jednej z najstarszych wiedz Północy. Delos niczego się nie domyśli.

- I nikt poza tobą nie będzie mógł zdjąć zaklęcia?

- Nikt poza mną - potwierdziła Sylvia. - Nawet Wieszczka wszystkich wiedz.

- Dobra dziewczyna. - Hunter się uśmiechnął. - Zawsze w ciebie wierzyłem. W końcu w twoich żyłach płynie krew lami. Jesteś moją prawnuczką w ósmym pokoleniu.

Maggie miała ochotę go uderzyć.

Była skołowana, przestraszona, oburzona i wściekła, wszystko naraz. Z tego co zauważyła, Redfern wszystkimi manipulował. A Delos, książę Delos, jedna z Pierwotnych Mocy, był tylko jego marionetką.

Ciekawe, co zrobią, jeżeli on się do nich nie przyłączy?

Po kilku minutach Hunter przestał się przechadzać i podszedł do drzwi. Zatrzymał się, jakby nasłuchiwał, po czym obejrzał się na Sylvie.

- Nawet nie wiesz, jak cieszy mnie ta myśl - powiedział głosem, w którym słychać było szczerłość i naturalność. - Że w końcu mam potomka. Męskiego potomka z mojej własnej krwi, niesplamionego krwią wiedz. Nigdy nie poślubiłbym Maeve Harman, gdybym wiedział, że mój syn wciąż żyje. I do tego sam ma syna! Ostatniego prawdziwego Redferna.

Maggie zagryzła usta. Nie musiała zgadywać, kto stoi za drzwiami, ale wpatrywała się w nie intensywnie.

Do komnaty wszedł Delos.

Rozdział 16

Przepraszam. Przeszkodziłem? - zapytał. Maggie z trudem powstrzymała się przed głośnym westchnieniem.

Jego widok zawsze ją zaskakiwał. Wyróżniał się nawet w towarzystwie takich istot, jak Hunter Redfern i Sylvia. Przepełniała go energia, ale chłód, który od niego bił, obniżył temperaturę w pokoju. Czuło się wiatr i śnieg.

Poza tym był piękny.

I nie bał się Huntera. Baczenie wpatrywał się w swojego pradziadka.

- W niczym - odpowiedział beztrąsko Hunter. - Czekaliśmy na ciebie i planowaliśmy uroczystość.

- Uroczystość?

- Aby uczcić nasze porozumienie. Tak się cieszę, że w końcu się udało. Ty nie?

- Oczywiście - odpowiedział Delos, zdejmując rękawiczki - Kiedy dojdziemy do porozumienia, będę się cieszył.

Maggie musiała przygryźć wargę. Nigdy wcześniej duma Deiosa nie podobała jej się bardziej niż teraz. Gdy tylko teraz mogła zobaczyć miny Huntera i Sylvii.

Idiotką, powiedziała sobie. O czym ty myślisz? Ten facet to kawał lodu.

Ale niezwykle czysty i gładki. Jak cudownie sprzeciwił się pradziadkowi. Patrząc na Delosa, tak eleganckiego, z włosami zmierzwionymi od jazdy, poczuła delikatne ukłucie w piersi. Co nie znaczy, że się nie bała. Siła, którą zdradzał każdy ruch Delosa, była jak najbardziej prawdziwa. Wyczuł ją już wcześniej, mimo że Aradia blokowała zmysły pozostałych. A teraz stał kilka metrów od niej i nie dzieliło ich nic poza kawałkiem lnu.

Maggie robiła, co mogła, by nie drgnąć.

- **Sylvia rozpoczęła już przygotowania** - powiedział Hunter. **- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Myślę, że jutro dopracujemy wszystkie szczegóły.**

Na twarzy chłopaka nagle pojawiło się zmęczenie. Rzucił rękawice na łóżko i skinął głową.

- **Dobrze** - triumfował Hunter - **że się zgadzamy. Delos milcząco przyznał mu rację.**

- **Nie mogę się doczekać, by pokazać cię światu** - ciągnął Hunter.

Maggie pomyślała, że nuta dumy, którą było słycać w jego głosie, jest naprawdę szczerą.

- **Mój prawnuk. I pomyśleć, że rok temu nie wiedziałem nawet o twoim istnieniu.**

Podszedł bliżej, by poklepać Delosa po plecach. To był gest starego króla. Ze zdumieniem Maggie otworzyła szerzej oczy.

- **Ja również coś przygotowuję. Ostatnie polowanie przed odjazdem powinno być wyjątkowe, nie sądzisz?**

Po tych słowach Hunter wyszedł z uśmiechem na ustach. Delos w milczeniu patrzył na futrzaną narzutę.

- **Cóż** - przerwała ciszę Sylvia, ożywiając się. - **Jak twoje ramie?**

Delos spojrział w dół. Wciąż miał tę skomplikowaną szynę, którą Maggie dostrzegła poprzedniego dnia.

- **W porządku.**

- **Boli?**

- **Trochę.**

Sylvia westchnęła i pokręciła głową.

- **To wszystko przez twoje eksperymenty. Ostrzegałam cię,**

- **Możesz pomóc czy nie?** - przerwał jej ostro Delos. Sylvia już otwierała koszyk.

- **Mówiłam ci, to potrwa. Ale powinno pomóc. O ile nie będziesz nadwężał mięśni.**

Manipulowała przy szynie, ale Maggie nie mogła dostrzec, co dokładnie robi. Serce dziewczyny waliło szybko. Czuła gniew i niezrozumiałą obawę o Delosa.

Nie mogę na to pozwolić. Ale jak mam ją powstrzymać? Jeżeli mnie zobaczy, to koniec...

- **Już. To powinno pomóc.** Maggie zacisnęła zęby.

Może wreszcie odejdziesz, pomyślała. Siedzę tu już chyba całe stulecie. A ten stołek bynajmniej nie robi się wygodniejszy.

- **Teraz** - powiedziała Sylvia radośnie - **pozwól, że odłożę twoje rękawice.**

O nie. Półką z rękawicami jest tuż za mną.

- **Nie** - zaprotestował Delos błyskawicznie. - **Potrzebuję ich.**

- **Nie bądź głupi. Nie będziesz znowu...**

- **Zabiorę je.** - Delos miał fantastyczny refleks. Już stał między Sylvia a wejściem do garderoby. W kolejnej sekundzie trzymał rękawice w dłoni, niemal wrywając je z rąk czarownicy. Sylvia spojrzała na niego zaskoczona. Maggie widziała jej twarz, mlecznobiałe, delikatnie zarumienione policzki i oczy koloru fiołków. Widziała grę światła na jej jasnych włosach, gdy lekko pokręciła głową.

Delos był nieustępliwy.

Sylvia w końcu wzruszyła ramionami i puściła rękawice.

- **Zajmę się uczcią.** - Uśmiechnęła się, podniosła koszyk i z gracją wyszła z komnaty. Delos odprowadził ją wzrokiem. Maggie siedziała jak sparaliżowana. Kiedy chłopak zamknął drzwi, powoli zmusiła się do wstania ze stołka. Odsunęła się od zasłony, ale widziała część pomieszczenia. Delos podszedł prosto do niej.

- **Możesz już wyjść** - powiedział stanowczo. Maggie zamknęła oczy.

Świetnie. Cóż, powinnam była się domyślić. Ale nie pozwolił Sylvii wejść i jej nakryć. Nie wydał jej strażom. *To dobry znak,* mówiła sobie. Może wcale nie będzie musiała go do niczego przekonywać.

- **Mam wejść po ciebie?** - w głosie Delosa zabrzmiała groźba.

A może nie, pomyślała Maggie.

Poczuła nagle idiotyczną potrzebę wytrzepania pyłu z włosów. Potrząsnęła kilka razy energicznie głową, ale szybko się poddała.

Myśląc cały czas o swojej umazanej twarzy i nędznym stroju, rozsunęła zasłony i wyszła.

- **Ostrzegalem cię.**

Patrzył jej prosto w oczy z wyrazem twarzy tak srogim, jakiego wcześniej nie widziała. W jego oczach czaił się mrok. Wyglądał jak potężny i tajemniczy książę wampirów - którym był. W każdym centymetrze.

A naprzeciw niego ja. Wyglądająca jak... szkodnik, tak, robactwo. Jak śmieć wyłowiony z rynsztoka. A przecież była przedstawicielem całej ludzkości.

Nigdy nie troszczyła się o ciuchy, fryzury i tak dalej, ale teraz naprawdę dałaby wiele, żeby wyglądać przynajmniej przyzwoicie. Skoro już miał zależeć od niej los świata.

Wciąż jednak wyczuwała coś pomiędzy nią a Delosem. Jakaś drżącą energię, która sprawiała, że krew w jej żyłach pulsowała, że coś kłuło ją w piersi, a serce biło szybciej i ze strachu, ale i z ekscytacji.

Śmiało spojrzała Delosowi w oczy.

- **Wiem o czymś, o czym ty też powinieneś się dowiedzieć** - powiedziała cicho.

Zignorował to kompletnie.

- **Mówiłem ci, co się stanie, jeżeli tu przyjdiesz. Mówiłem, że nie obronię cię po raz kolejny**

- **Pamiętam. Ale muszę ci coś powiedzieć. Sylvia jest podejrzliwa i jeżeli powie Hunterowi, że nie pozwalasz innym zaglądać do twojej szafy...**

- **Nic nie rozumiesz?** - zapytał z niespodziewaną gwałtownością, która odebrała Maggie głos. Mogła tylko wpatrywać się w niego. - **Jesteś tak blisko śmierci, ale nic cię to nie obchodzi. Jesteś zbyt głupia, żeby to pojąć, czy po prostu życie ci zbrzydło?** Dziewczynę sparaliżował strach.

- **Nie rozumiem** - zaczęła niepewnie, kiedy wreszcie udało jej się zmusić krtań do pracy.

- **Widzę. Ale zrozumiesz.**

Jego oczy nagle zajaśniały. Nie tylko swoim normalnym blaskiem, ale jakąś nadnaturalną złotą poświatą.

Chociaż Maggie doświadczyła tego już wcześniej, widok przemiany zupełnie ją oszołomił. Twarz Delosa zbladła, była piękna i szlachetna, jakby została wryta w lodzie. Jego źrenice rozszerzyły się jak u drapieżnika, otwierając przed dziewczyną bramy ciemności, w której mogłaby utonąć. Dumne, władcze usta wykrzywiły się w gniewie.

Wszystko to stało się w ułamku sekundy. W kolejnym zbliżał się już do niej. Jego oczy płonęły, a wykrzywione wargi odsłoniły lśniące zęby.

Maggie nie mogła oderwać wzroku od wampirzych kłów. Wydawały się jeszcze ostrzejsze, niż je zapamiętała. Wbijały się w dolną wargę, mimo że Delos rozchylił lekko usta.

- Tym właśnie jestem - powiedział. - Drapieżnikiem. Częścią świata nocy, w którym ty nie przetrwałabyś ani minuty. Mówiłem ci wielokrotnie, żebyś trzymała się ode mnie z daleka, ale ty nie posłuchałaś. Zjawiłaś się w moim zamku i nie chcesz uwierzyć, że jesteś w niebezpieczeństwie. Więc cię przekonam.

Maggie cofnęła się o krok. Znalazła się w pułapce. Ściana była tuż za nią, a po lewej stronie drogę ucieczki blokowało łóżko. Delos stał między nią a drzwiami. A widziała już, jak szybko ma refleks.

Nogi miała jak z waty, serce waliło w szaleńczym tempie, oddech się urywał.

On nie mówi poważnie. Nie zrobi tego. Nie zrobi...

Ale mimo tej uspokajającej mantry, panika ogarnęła jej ciało, instynkt podpowiadał jej, że powinna uciekać, by się nie stać łowną zwierzyną.

Cofała się, aż dotknęła plecami ściany. Skąd już nie było ucieczki.

Delos zbliżał się do niej.

Stanął przed nią. Wpatrywała się w jego obcą i piękną twarz, nie mogąc oderwać wzroku.

Czuła zapach jesiennych liści i świeżego śniegu, ale czuła też ciepło jego ciała.

On nie jest martwy, myślała jakaś odległa część jej umysłu. Jest bezlitosny, został wychowany na maszynę do zabijania, ale jest z całą pewnością żywy - nie spotkałam wcześniej nikogo, kto tak bardzo chciałby żyć.

Kiedy się poruszył, nie mogła się odsunąć. Jego dłonie opadły na jej ramiona jak żelazne dyby. Pociągnął ją do przodu, nie brutalnie, ale też nie delikatnie. Oparła się całym ciałem o niego. Spoglądał na nią z góry złotymi oczami, które płonęły.

Patrzy na moje gardło, pomyślała. Czuła pulsowanie w żyłach, wiedziała, że on je wyczuwa. W jego oczach malował się głód, jakiego nigdy nie widziała u człowieka.

Panika zalała jej zmysły i członki. Nie była w stanie myśleć. Chciała tylko uciekać.

Ale to uczucie powoli ustąpiło. Zniknęło. Maggie miała wrażenie, że wznosi się z ciemnych głębin ku kryształowej powierzchni czystego morza.

Spojrzała prosto w oczy Delosa.

- Zrób to.

Stał zaskoczony.

- Co?

- Zrób to - powtórzyła dumnie. - To bez znaczenia. Jest silniejszy ode mnie, oboje to wiemy. Ale cokolwiek zrobisz, nie będę twoją ofiarą. Nie masz takiej mocy.

Nie możesz nade mną panować.

Delos syknął wściekle.

- Jesteś tak...

- Chcesz, żebym się bała. Boję się. Ale bałam się już wcześniej. To bez znaczenia. Tu chodzi o coś więcej niż tylko o moje życie. Udowodnij swoją siłę, a później pozwól mi mówić.

- ...beznadziejnie głupia. - Delos z trudem panował nad furią. Ale Maggie miała dziwne wrażenie, że gniew skierował na siebie, a nie na nią. - Nie wierzysz, że cię skrzywdzę?

- Mylisz się.

- Skrzywdzę cię. Pokażę ci...

- Możesz mnie zabić. Ale to wszystko. Nie możesz nade mną zapanować. I nie możesz zmienić tego, co jest między nami.

Delos był teraz naprawdę wściekły. Źrenice jego oczu ziały niczym czarne dziury i Maggie nagle uświadomiła sobie, że był nie tylko wampirem, ale i apokaliptyczną istotą obdarzoną mocami, które mają sprowadzić koniec świata.

- **Skrzywdzę cię. Patrz.**

Pochylił się nad nią z zamiarem zrobienia jej krzywdy. Zamierzał rozwiązać jej złudzenia...

...Ale pocałował ją tak delikatnie, jakby na jej wargi spadła kropla deszczu.

Przywarła do niego gwałtownie i odwzajemniła pocałunek, poczuła, jak drży, jak drżą oboje. Zatracili się w sobie i zapomnieli.

Było tak, jak za pierwszym razem, gdy ich myśli się połączyły. Maggie poczuła, jak jej ciało przeszywa pulsujący dreszcz. Czowała, że wiąże ich milczące porozumienie. Przyciągało ją ku temu wspaniałemu miejscu, gdzie poza nimi nie ma niczego i nic się nie liczy.

Tylko na skraju świadomości spostrzegła, że jej ciało pochyla się do przodu, że oboje opadają, wciąż objęci. Ale tam, gdzie teraz przebywała, stali przed sobą w białym świetle.

Znow była w jego myślach, ale tym razem on stał naprzeciwko niej. Nie wyglądał już przerażająco. Jego złote oczy zrobiły się duże i bezradne jak u dziecka. Na twarzy malowała się przeraźliwa tęsknota.

Przelknął ślinę. Usłyszała jego głos. Był delikatny jak najśłabszy oddech.

Nie chcę...

Chcesz. Przerwała mu, wzburzona. Przeszkody, które normalnie oddzielają dwoje ludzi, zniknęły. Wiedziała, co on czuł i nie lubiła, gdy ją okłamywał.

...żeby to się skończyło.

Och.

Jej oczy wypełniły się nagle gorącymi łzami.

Wyciągnęła do niego ramiona. Objęli się w tej bezcielesnej przestrzeni, tak jak obejmowały się ich ciała. Poczuła, jak otaczają ich niewidzialne, miękkie skrzydła.

Wyczuła fragmenty jego myśli, niektóre chyba nie były dla niej przeznaczone.

Tak samotny... zawsze byłem tak samotny. Tak miało być. Zawsze sam...

Nie jesteś sam. Odparła, próbując dotrzeć do najgłębszej części jego duszy.

Już nie będziesz samotny. Tak właśnie miało być, nie czujesz tego?

Ona sama wyczuwała tylko jego tęsknotę. Nie umiała go przekonać.

Usłyszała coś, co brzmiało jak:

Przeznaczenie...

Zobaczyła obrazy przeszłości. Ojciec. Nauczyciele. Szlachta. Nawet niewolnicy, którzy słyszeli proroctwa. Wszyscy wierzyli, że jego życie ma tylko jeden cel i wiąże się z końcem świata.

Możesz zmienić swoje przeznaczenie. Nie musisz go słuchać. Nie wiem, co stanie się ze światem, ale nie musisz być tym, czym każą ci być. Masz dość siły, by się im przeciwstawić!

Przez chwilę obraz jego ojca wydawał się do nich zbliżać, wysoki i straszny- to był obraz widziany oczami dziecka. Potem rysy ojca rozmasały się i zmieniły w Huntera Redferna. W jego oczach błyszczało jednak to samo okrutne i oskarżycielskie światło.

Wszystkie obrazy zmiotła fala gniewu Delosa.

Nie jestem maszyną do zabijania, nie jestem ich bronią.

Wiem o tym.

Mogę wybrać, kim będę. Mogę wybrać, jaką ścieżką pójdę.

Tak.

Chcę pójść z tobą. Powiedział w końcu.

Jego gniew zniknął. Na krótko pojawił się przed jej oczami jeszcze jeden obraz z jego myśli, obraz jej samej.

Delos nie widział niewolnicy z brudnymi włosami i umazaną twarzą, odzianej w szare, postrzępione łachmany. Widział dziewczynę o kasztanowych włosach i nieskończenie głębokich

brązowych oczach, które spoglądały prosto w jego duszę. Widział dziewczynę ciepłą, prawdziwą, żywą, topiącą lód w jego sercu, wyzwalamą go.

A potem i ten obraz zniknął i już tylko się obejmowali.

Pozostali tak przez jakiś czas, z duszami splecionymi w uścisku. Delos nie zdradzał żadnej chęci, by się poruszyć.

Maggie także chciała, by trwało to jak najdłużej, chciała zostać tu na zawsze, eksplorując najgłębsze i najbardziej skryte zakamarki tego umysłu, który teraz się dla niej otworzył; Dotykać go w sposób, w jaki nigdy wcześniej nikt go nie dotknął - stała się teraz jego drugą połową. Należeli do siebie.

Coś jednak poruszyło jej sumienie. Nie mogła tego zignorować, a kiedy w końcu dopuściła to do świadomości, wszystko sobie przypomniała.

Wstrząsnęło to nią tak mocno, że natychmiast wyrwała się z objęć i myśli Delosa.

Widziała, jak zaskoczyła go ta nagła zmiana. Ją też to bolało.

Podniosła się. Odzyskała świadomość.

- Delos - powiedziała szybko. - **Musimy coś zrobić. Będą kłopoty.**

Zamrugał, jakby wybudzał się z głębokiego snu.

- **Wszystko będzie w porządku** - odpowiedział.

- **Nie. Nie będzie. Nie rozumiesz.** Westchnął.

- **Jeżeli martwi cię Hunter Redfern...**

- **On i Sylvia. Słyszałam, jak rozmawiali, kiedy siedziałam w garderobie. Nie wiesz, co oni knują.**

- **To bez znaczenia. Dam sobie z nimi radę.** – Wyprostował się i spojrzał na swoje lewe ramię.

- **Nie dasz** - powiedziała z naciskiem. - **W tym problem, Sylvia rzuciła na ciebie urok. Nie możesz korzystać ze swojej mocy.**

Rozdział 17

Wpatrywał się w nią przez chwilę szeroko otwartymi złotymi oczami.

- **Nie wierzysz mi?**

- **Nie pozwoliłbym jej na to** - odpowiedział - **Nie sądzę żeby była dość silna.**

- **Mówiła, że ma specjalne składniki. I że nikt poza nią nie zdejmie tego czaru.** -

Wciąż jej nie wierzył, więc dodała - **Może spróbujesz?**

Sięgnął do ramienia i długimi, silnymi palcami odpiął szynę. Zdjął ją bez trudu. Maggie mimowolnie uniosła brwi.

Wyciągnął rękę, kierując ją w stronę ściany i wyjął sztylet zza pasa.

Maggie zapomniała o potrzebie rozlania krwi. Przygryzła wewnętrzną stronę policzka i nic nie powiedziała, gdy Delos nacinał sobie nadgarstek. Na skórze pojawiła się kropla krwi, która szybko przekształciła się w wąską stróżkę.

- **Tylko małe uderzenie** - powiedział Delos i zwrócił wzrok ku ścianie.

Nic się nie stało.

Zmarszczył brwi, a w oczach zamigotały mu gniewne iskry. Maggie widziała wyraźnie skupienie na jego twarzy. Rozprostował palce.

Wciąż nic się nie działo.

Maggie wypuściła powietrze.

Czary chyba są niewidzialne pomyślała. A szyna jest tylko na pokaz.

Delos patrzył na swoje ramię, jakby należało do obcej osoby.

- **Jesteśmy w tarapatkach** - zauważyła Maggie, starając się, by jej słowa nie zabrzmiały jak: „A nie mówiłam?”

- **Myśleli, że sami i rozmawiali o wielu rzeczach. Hunterowi zależy tylko na tym, żebyś zniszczył ludzką rasę. Ale w świecie nocy doszło do podziału. Wiadźmy go opuścili.**

Delos zachował spokój. Patrzył gdzieś w pustą przestrzeń.

- **To oznacza wojnę. Otwartą wojnę między wiedźmami u wampirami.**

- **Przypuszczalnie** - zgodziła się Maggie. - **Ale, posłuchaj, wiedźmy przysłały tu ambasadora, żeby z tobą porozmawiał, przeciągnął cię na ich stronę. Hunter mówi, że one mają już jedną Pierwotną Moc. Rozumiesz coś z tego?**

- **Oczywiście.** - Głos Delosa wydawał się bardzo odległy. Parzył na coś, czego Maggie nie mogła zobaczyć. - **Ale to wciąż mało. Dwie, a nawet trzy, to ciągle za mało.**

- **O czym ty mówisz?** - zawołała Maggie, ale nie czekała na odpowiedź. - **Znam tę dziewczynę, która ma z tobą porozmawiać. To z nią byłam na skałach, kiedy ocaliłeś nas przed Berem. To Aradia. Wieszczka wszystkich wiedźm. Delos, oni jej już szukają. Chcą ją zabić, zanim do ciebie dotrze. A to moja przyjaciółka.**

- **Co za szkoda.** .

- **Musimy ich powstrzymać!**

- **Nie możemy.**

Maggie zamilkła. Spojrzała na niego uważnie.

- **O czym ty mówisz?**

- **Mówię, że nie możemy ich zatrzymać. Są zbyt silni. Maggie posłuchaj mnie** - dodał spokojnym, czystym głosem, gdy zaczęła protestować.

Po raz pierwszy wymówił moje imię, pomyślała, po czym skupiła się na jego słowach.

- **Nie chodzi tylko o to zaklęcie. Ani o to, że mają kontrolę nad zamkiem.** - Roześmiał się gorzko, przerywając jej ponownie. - **Byłaś tu bardzo krótko, nie rozumiesz.**

Większość wampirów ma po kilkaset lat. Nie podoba im się, że rządzi nimi przedwcześnie dojrzałe dziecko z niezwykłymi mocami. Kiedy tylko Hunter się pojawił, natychmiast zdobył ich lojalność.

- **Ale...**

- **On reprezentuje sobą wszystko, co podziwiają. Jest doskonałym wampirem, idealnym drapieżnikiem. Jest bezlitosny i krwiożerczy. I chce podarować im cały świat jako teren łowiecki. Czy naprawdę myślisz, że ktokolwiek z nich się temu oprze? Po latach polowań na bezmyślne, oszołomione zwierzęta, które trzeba wypuszczać pojedynczo, bo nigdy nie ma ich dość? Albo śmierć zbiegłego niewolnika. To wszystko za mało. Czy myślisz, że się zawahają, gdy Hunter wyda im rozkaz?** Maggie milczała. Nie potrafiła nic odpowiedzieć. Delos miał rację, to było przerażające.

- **A to jeszcze nie koniec** - ciągnął dalej, bez ogródek. - **Chcesz usłyszeć proroctwo?**
- **Szczerze? Nie.** - Maggie słyszała już dość proroctw jak na swoje krótkie życie. Nie przejął się tym.
- **Mój dawny nauczyciel mi to powtarzał.**

*Czworo stanie pomiędzy światłem i mrokiem.
Czworo z błękitnego ognia, co pulsuje.
Narodzonych w roku wizji ślepej Dziewicy.
Czworo bez jednego, a ciemność zatriumfuje.*

- **Aha.** - Maggie nie umiała powiedzieć nic więcej. Dla niej wszystko to brzmiało tak samo. Jedyne, co ją zaintrygowało, to wzmianka o ślepej Wieszczce.
Musi chodzić o Aradię, prawda? Ta dziewczyna jest sławna, nie ma co.
- **Co znaczy: „Zrodzone w roku wizji ślepej Dziewicy”?** - zapytała.
- **To znaczy, że wszystkie Pierwotne Moce są rówieśnikami, urodziły się siedemnaście lat temu** - odpowiedział niecierpliwie. - **Ale nie to jest ważne. Ważny jest ostatni wers: „Cztery, mniej jedną, a ciemność zwycięży”.** To znaczy, że ciemność rzeczywiście zwycięży, Maggie.

- **Co masz na myśli?**

- **To nieuniknione. Nie ma szans, by ludzie i wiedźmy zebrli wszystkie cztery Pierwotne Moce po swojej stronie. A jeżeli zabraknie choć jednej, ciemność zatriumfuje. Wampiry muszą tylko zabić jedną Pierwotną Moc i koniec z tym światem. Nie rozumiesz?**

Maggie wbijała w niego przerażony wzrok. Rozumiała, ale to było jeszcze straszniejsze niż to, co mówił wcześniej.

- **Ale nie możemy się tak po prostu poddać** - powiedziała, próbując odczytać coś z wyrazu jego twarzy. - **Jeżeli się poddamy, to będzie koniec. Pozwolimy im wygrać.**

- **Oczywiście, że nie** - rzucił krótko. - **Musimy się do nich przyłączyć.**

Zapadła długa cisza. Maggie nie była pewna, czy dobrze słyszała.

- **Co?**

- **Musimy być po stronie zwycięzców, a zwycięzcami będą wampiry.** - Posłał jej spojrzeńnię, odległe i zimne. - **Przykro mi z powodu twoich przyjaciół, ale nie ma dla nich ratunku. Nawet ty musisz stać się wampirem.**

W głowie Maggie zawrzało.

Nagle zrozumiała wszystko, do czego Delos zmierzał. Wściekłość dodała jej sił. Delos był szybki jak błyskawica, ale mimo to zdążyła odskoczyć, zanim ją złapał.

- **Oszalałaś?**

- **Nie.**

- **Chcesz mnie zabić?**

- **Chcę ci ocalić życie.** - Wstał i zrobił krok w jej stronę, wciąż zachowując spokój.

Nie wierzę w to. Naprawdę... nie... wierzę..., myślała Maggie.

Okrążyła łóżko i zatrzymała się. To nie miało sensu. W końcu i tak ją złapie.

Spojrzała jeszcze raz w jego twarz i zrozumiała, że on mówi zupełnie poważnie. Opuściła ręce i rozluźniła ramiona, próbując uspokoić oddech.

- Delos, tu nie chodzi tylko o mnie ani o moich przyjaciół. Chodzi o wszystkich niewolników tutaj i wszystkich ludzi ze świata zewnętrznego. Przemiana mnie w wampira w żaden sposób im nie pomoże.

- Przykro mi - zaczął - ale tylko ty się liczysz.

- Nieprawda. - Tym razem Maggie nie zdołała powstrzymać łez, które gorącym strumieniem popłynęły po jej policzkach. Starła je i wzięła głęboki oddech. - Nie pozwolę ci na to.

- Nie powstrzymasz mnie.

- Będę walczyć. Mogę cię zmusić, żebyś mnie zabił, zanim mnie przemienisz. Jeżeli chcesz, sprawdź sam.

Delos przez chwilę intensywnie się w nią wpatrywał, po czym nagle odwrócił głowę. Zrobił krok do tyłu.

- W porządku. Jeżeli nie chcesz współpracować, zamknę cię w lochu, dopóki nie zrozumiesz, co jest dla ciebie dobre.

Maggie była zaskoczona.

- Nie zrobisz tego.

- Nie? To spójrz.

Loch, jak wszystko inne w tym zamku, był nieznośnie prawdziwy. Były w nim rzeczy, o których Maggie czytała w książkach, ale nigdy nie widziała na własne oczy: słoma na podłodze, kamienna ława wykuta w ścianie, wąskie, zakratowane okno na wysokości pięciu metrów.

Maggie przyjrzała się stercie słomy i uznała, że nie mu ochoty sprawdzać, co się pod nią znajduje. Potrząsnęła kilku razy kratami, które odcinały ją od korytarza i stanęła na ławce próbując dosięgnąć do okna. Usiadła i zrozumiała, że sytuacja ją przerosła.

Utknęła tu. Delos mówił poważnie. A konsekwencją tego, może być koniec świata, prawdziwego, rzeczywistego świata. Nie mogła powiedzieć, że nie rozumie, co nim kierowało. Widziała jego umysł od środka; czuła, jak bardzo chce ją ochronić. I sama chciała chronić jego.

Ale nie mogła zapomnieć o całej reszcie. O rodzicach, przyjaciołach, nauczycielach. Jeżeli się podda Delosowi, co się z nimi stanie?

A ludzie w Królestwie Mroku? Pracznia, Stara Krawcowa, Opróżniaczka... i wszyscy inni niewolnicy. Martwiła się o nich. Podziwiała ich determinację, żeby przetrwać, niezależnie od okoliczności i odwagę, która skłoniła ich do zaryzykowania własnego życia, by jej pomóc.

Tęgo Delos nie rozumie, pomyślała. Nie postrzega ich jako ludzi, więc się o nich nie troszczy.

Przez całe życie dbał tylko o siebie. A teraz o mnie.

Gdyby tylko mogła go do tego skłonić. Ale jak? Godziny mijały, a cisza w celi stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Maggie nieustannie szukała rozwiązania.

Nic nie przychodziło jej do głowy. W końcu światło za oknem zaczęło szarzeć i zrobiło się zimniej.

Drzemała, zwinięta w kłębek na kamiennej ławce, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Podskoczyła i podbiegła do krat, nadzieją że zobaczy Delosa.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i ktoś przez nie wszedł. Ale to nie był Delos. Dwóch strażników prowadziło więźnia.

- **Jeanne!** - zawołała przerażona Maggie. Po chwili jednak okazało się, że może być jeszcze gorzej. Trzeci strażnik ciągnął Aradię. Maggie patrzyła na nią, nie mogąc wydusić słowa.

Jeanne poddała się bez walki? - pomyślała, gdy strażnicy otworzyli kraty i wepchnęli dziewczynę do środka.

Po czym odmaszerowali bez słowa. Jeden z nich jeszcze zatrzymał się i łaskawie wetknął pochodnię w obręcz na ścianie, żeby dać uwięzionym trochę światła.

I zniknęli.

Jeanne podniosła się z podłogi i pomogła wstać Aradii.

- Trzymają PJ. na górze - szepnęła do Maggie, która wciąż milczała, zdruzgotana. - Powiedzieli, że jej nie skrzywdzą, jeżeli nie będziemy sprawiać kłopotów.

Maggie otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Serce łomotało jej w piersi. W końcu zdołała przemówić.

- Delos to powiedziały?

- Delos, Hunter Redfern i ta wiedźma. Wszyscy są bardzo przyjaźni.

Maggie opadła na ławkę.

- Przykro mi.

- Dlaczego? Bo byłaś zbyt głupia i naiwna?

- Ona chyba ma na myśli to, że jest między nimi więź - wyjaśniła łagodnie Aradia.

Jeanne spojrzała na dziewczynę, jakby przemówiła obcym językiem. Maggie również wbiła w nią wzrok, próbowała dostrzec piękne rysy dziewczyny w półmroku.

Czuła się zakłopotana w towarzystwie tej osoby, którą jeszcze rano nazywała Cady i która okazała się kimś zupełnie innym.

- Skąd to wiesz? - zapytała, próbując mówić swobodnie. - Widzisz to?

Uśmiech pojawił się na jej ustach.

- Widziałam to już wcześniej - odpowiedziała cicho Aradia, siadając z gracją na ławce. -

Kiedy wróciłaś po pierwszym spotkaniu z nim. Ale byłam wtedy zbyt oszołomiona, żeby się na tym skupić. Wiele się wydarzyło przez ostatnie kilka lat. Ludzie odnajdą swoje połówki.

- Lepiej się czujesz? Wydajesz się dużo... silniejsza. - Ale nie tylko o to chodziło.

Aradia zawsze była dumna, ale teraz były od niej pewność i siła.

- Lekarki mi pomogły. Ale wciąż jestem słaba. Nie mogę używać moich mocy.

Zresztą, rozbijanie ścian i tak do nich nie należy.

Maggie głośno wypuściła powietrze,

- No cóż. Cieszę się, że wracasz do zdrowia. Znam twoje prawdziwe imię. Przepraszam za to nieporozumienie.

Aradia położyła dłoń na jej ręce.

- Posłuchaj przyjaciółko. - Maggie zaskoczyło zarówno to słowo, jak i siła jej głosu. -

Nikt nigdy nie pomógł mi bardziej niż ty, choć miałaś tak mało powodów, żeby to robić. Nic o mnie niwiedziałaś. Ale jak na człowieka okazałaś się bardzo odważna..

- przerwała i pokręciła głową. - Nie wiem, czy przeżyjemy tę noc - kontynuowała. - Ale jeżeli tak i jeżeli wiemy mogą cokolwiek dla ciebie zrobić, tylko poproś.

Maggie zamrugnęła niespokojnie.

- Dziękuję - szepnęła. - To znaczy... wiesz. Nie mogłam Cię zostawić.

- Wiem. I to jest niezwykle. - Ścisnęła jej dłoń. - Cokolwiek się stanie, nigdy cię nie zapomnę. Inne wiemy o tobie też nie zapomną.

Maggie przełknęła ślinę. Chciało jej się płakać. Bała się, że nie będzie umiała przestać.

Na szczęście Jeanne, która wodziła wzrokiem od jednej do drugiej, jakby oglądała mecz tenisowy, postanowiła w końcu zadać pytanie.

- O czym wy w ogóle mówicie? O co tu chodzi?

Maggie opowiedziała jej. Nie tylko o tym, że Aradia jest Wieszczką wszystkich wiedźm, ale o wszystkim, czego dowiedziała się, słuchając Redferna i Sylvii.

- Więc wiedźmy opuściły świat nocy - powiedziała cicho Aradia, kiedy Maggie skończyła. - Szykowałam się do tego, kiedy wyruszałam.

- Przyszłaś tu, żeby porozmawiać z Delosem. Aradia skinęła głową.

- Słyszałyśmy, że Hunter dowiedział się o kolejnej Pierwotna Mocy. I wiedziałyśmy, że nie pozwoli Kręgowi Świtu jej pozyskać.

Jeanne intensywnie pocierała czoło.

- Co to jest Krąg Świtu?

- To ostatni krąg wiedźm. Ale należą do niego nie tylko wiedźmy: także ludzie, zmiennokształtni i wampiry, które chcą żyć w pokoju z ludźmi. A teraz mogą się do niego przyłączyć wszyscy, którzy chcą walczyć przeciw ciemności. - Zamyślili się na chwilę i dodała: - Należałam kiedyś do Kręgu Zmierzchu, do... nie tak bardzo złych wiedźm. Ale teraz są tylko dwa stronnictwa do wyboru. Światło i Ciemność, to wszystko.

- Delos nie jest po stronie Ciemności - powiedziała Maggie, czując narastający ucisk w piersi. - On tylko... nie wie, co robi. Przyłączyłby się do was, gdyby się nie bał, że to oznacza moją śmierć.

Aradia jeszcze raz uściśniła jej dłoń.

- Wierzę ci - powiedziała łagodnie.

- Aha, czyli jesteś jakąś ważną szychą, tak? - zapytała Jeanne.

Aradia się roześmiała.

- Jestem ich Wieszczką, przedstawicielką młodych wiedźm. Jeżeli będę żyła dość długo, zostanę kiedyś ich Matką, a potem Starszą.

- Super. Ale i tak nie wydostaniesz nas stąd. Aradia spoważniała.

- Nie. Przykro mi. Jeżeli... Ale jeżeli cokolwiek mogę zrobić, to przekazać wam proroctwo.

Maggie jęknęła wbrew sobie.

- Przyszło do mnie, gdy spałam w chacie lekarki - wytłumaczyła Aradia. - To była tylko myśl, pojedyncza idea. Dolinę Uratują tylko ludzkie serca.

Jeanne westchnęła znacznie głośniejszym i mniej uprzejmym niż przed chwilą Maggie.

- I jeszcze jedno - ciągnęła Aradia, zwracając swoje oczy na Maggie i mówiąc bardzo łagodnie. - Powinnam była wspomnieć o tym wcześniej. Opowiem ci o twoim bracie.

Rozdział 18

Maggie podskoczyła na ławce.

- Co?

- Powinnam była powiedzieć ci wcześniej - powiedziała Aradia. - Ale nie zdawałam sobie sprawy, że to twój brat. Jesteście bardzo podobni do siebie, ale nie potrafiłam powiązać faktów. - Szybko dodała - Nie chcę robić ci nadziei. Nie sądzę, żeby były spore szanse, że jest cały i zdrowy.

- Mów. - Maggie siedziała teraz nieruchomo, łapczywie chwytając każde jej słowo.

- On mnie uratował, zanim ty to zrobiłaś. Szłam do tej doliny, ale nie byłam sama, było ze mną jeszcze kilka wiedźm. Nie wiedziałyśmy, gdzie dokładnie jest przełęcz, udało nam się zdobyć niekompletne informacje od naszych szpiegów w domu Redferna.

Maggie kiwnęła głową, wstrzymując oddech.

- To była noc Samhain, Halloween. Błąkałyśmy się po okolicy, próbując odkryć zaklęcie, które chroniło przełęcz. Osiągnęłyśmy tylko tyle, że ściągnęłyśmy lawinę. Maggie całkiem straciła dech.

- Lawinę?

- Nie bój się, twój brat przeżył. Był na drodze, na której my powinniśmy być. Lawina zabiła moje towarzyski.

- Och - szepnęła Maggie. - Przykro mi...

- Mnie nic się nie stało, ale byłam otumaniona. Wyczuwałam, że wiedźmy nie żyją. I wtedy usłyszałam wołanie twojemu brata. On i Sylvia widzieli lawinę i ruszyli na ratunek.

- Miles zawsze komuś pomagał - szepnęła Maggie. - Nawet jeżeli chodziło tylko o wymianę baterii albo skarpetki.

- Nie mogę wyrazić, jak byłam wdzięczna, że go słyszę. Ocalił mi życie, jestem tego pewna. Błędziłabym półprzytomna, aż zamarzałabym na śmierć. Ucieszyłam się, że ta dziewczyna też była wiedźmą... - Skrzywiła się.

- Aha - powiedziała Jeanne, ale nie bez współczucia. - Domyślam się, że nie cieszyłaś się zbyt długo.

- Ona też mnie rozpoznała. Wiedziała, kim jestem i chciała mnie prehandlować wiedźmom i wkupić się w łaski Redferna, Wiedziała też, że może mnie powstrzymać od spotkania z Delosem.

- Zależy jej tylko na władzy - wtrąciła cicho Maggie. - Słyszałam, jak to mówiła.

Wszystko kręci się wokół niej i tego, jak wiedźmy ją potraktowały, bo nie nazywa się Harman.

Aradia uśmiechnęła się słabo.

- Ja też nie noszę tego nazwiska. Ale wszystkie prawdziwe wiedźmy są córkami Hellewise Piastunki Ognia. Gdyby tylko zdawały sobie z tego sprawę. - Pokręciła głową. - Sylvia była tak podekscytowana, że mnie znalazła, że o wszystkim opowiedziała twojemu bratu. A on nie był zadowolony.

- Nie - powtórzyła Maggie, przepełniona dumą i na chwilę chłód w celi przestał jej przeszkadzać.

- Wcześniej wspomniała tylko, że zabiera go do jakiegoś tajemnego miejsca, gdzie legendy są wciąż żywe. W końcu opowiedziała mu o Królestwie Mroku i o

tym, że chce, żeby stał się jego częścią. Powiedziała, że to będzie ich dom, gdy Delos odejdzie z Hunterem Redfermem. Miles mógłby zostać wampirem albo zmiennokształtnym, wedle woli. Oboje należeliby do świata nocy.

Maggie bezradnie uniosła dłonie. Nie potrafiła znaleźć słów. Sylvia w ogóle nie знаła Milesa,
- Nie zgodził się - wykrztusiła w końcu.

- Owszem. Powiedział jej to. Od razu wiedziałam, że pakuje się w tarapaty. -

Aradia westchnęła. - Ale nie mogłam nic na to poradzić. Sylvia zachowała spokój, dopóki nie sprowadzili mnie na dół. Udawała, że zależy jej tylko na tym, żeby zabrać mnie do lekarza i wezwać pomoc dla moich przyjaciółek. Ale kiedy dotarliśmy do jej mieszkania, wszystko się zmieniło.

- Pamiętam jej mieszkanie - powiedziała Maggie. - Byli tam bardzo dziwni ludzie.

- To były istoty nocy. Przyjaciele Sylvii. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, powiedziała im, co mają robić. Próbowałam wyjaśnić to Milesowi, szukałam drogi ucieczki dla nas obojga, ale ich było zbyt wielu. On stanął im na drodze. Powiedział, że będą musieli go zabić, jeżeli chcą mnie dostać.

Serce Maggie biło coraz wolniej, w miarę jak duma ustępowała przerażeniu. Opanowała się i zapytała

- Zabili go?

- Nie. Nie wtedy. Może w ogóle tego nie zrobili, ale tego nie wiem. Wiem tylko, że go ogłuszyli. Wkrótce pojawili się handlarce niewolników. Bern i Gavin. Sylvia po nich poszła.

Musieli tam przybyć tuż po porwaniu P.J., pomyślała Maggie. Sympatyczni panowie.

- Oni mnie ogłuszyli. A potem Sylvia spętała mnie zaklęciami i napoiła eliksirem prawdy. Niewiele ze mnie wyciągnęła, bo ja niewiele potrafiłam powiedzieć. Żadna armia wiedźm nie szykowała się do najazdu na Królestwo Mroku. W tej chwili żałuję, że tak nie było. A o tym, że idę do Delosa, wiedziała.

Aradia westchnęła ponownie i dokończyła szybko swą opowieść.

- Elixsyr prawdy zatruł mój organizm, więc przez kilka kolejnych dni byłam w delirium. Nie wiedziałam, co się wokół mnie dzieje, ciągle traciłam i odyskiwałam przytomność. Wiem, że trzymali mnie w magazynie, dopóki pogoda nie poprawiła się na tyle, by można było zabrać mnie do doliny. Wiem, że pozbyli się Milesa.

Sylvia wspomniała o tym, jeszcze gdy byłam w magazynie. Ale nie wiem, co z nim zrobiła.

Maggie przełknęła ślinę. Jej serce biło powoli, jakby miało się zaraz zatrzymać.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego wymyśliła całą tę historię. Pozwoliła, żeby ratownicy znaleźli ją w górach i opowiedziała im, że Miles spadł z urwiska. Ale skoro był już martwy, dlaczego nie pozwoliła, żeby po prostu zniknął?

- Chyba znam odpowiedź na to pytanie - powiedziała Aradia. - Kiedy Miles walczył z ludźmi Sylvii, powiedział, że jego współlokatorzy wiedzą, że wyszedł w góry. Mówił, że jeżeli nic wróci, oni nie odpuszczą.

Tak. To miało sens. Wszystko to miało sens. Poza tym że Maggie wciąż nie wiedziała, co się z nim stało. Zapadła długa cisza.

- **Cóż, był odważny** - odezwała się w końcu Jeanne, z zaskakującą u niej powagą. - **Jeżeli zginął, to dlatego, że wybrał słuszną drogę. Pozostaje nam mieć nadzieję, że możemy zrobić to samo.**

Maggie spojrzała na nią, próbując odczytać coś z jej twarzy, Nie było na niej ani śladu szyderstwa czy sarkazmu.

Cóż, Cady zmieniła się w Aradię, Wieszczkę wszystkich wiem, a ja zmieniłam się w Wybawicielkę. Ale ty, Jeanne, zmieniłaś się najbardziej...

- **Wiesz co, nie znam nawet twojego nazwiska** - zwróciła się do niej tak nagle i tak bardzo nie na temat, że Jeanne aż się cofnęła na ławce.

- **E... McCartney. Nazywałam się... nazywam się McCartney. Miałam czternaście lat, gdy mnie złapali. Byłam w hipermarkecie i grałam na automatach. Poszłam do łazienki. Musiałam przejść długim pustym korytarzem... Następne, co pamiętam, to że obudziłam się w wozie łowców niewolników. Dalej już wiesz. Maggie wyciągnęła dłoń.**

- **Cześć, Jeanne McCartney.**

Poczuła uścisk szczupłych, zimnych palców i potrząsnęła dłonią dziewczyny. Przytrzymała ją przez chwilę. Siedziały tak we trzy w ciemnej celi, niewolnica, Wybawicielka i wiedźma...

- **Jednego mi nie powiedziałaś** - przerwała ciszę - **Jak cię nazwali, gdy tu trafiłaś? Co robiłaś?**

Jeanne chrząknęła.

- **Drugą Pomocnicą Czyścicielki Stajni. Teraz wiesz już wszystko.**

Maggie nie sądziła, że uda jej się tu zasnąć, ale w końcu zaczęła przysypiać. Dopiero gdy obudził ją zgrzyt zamka w drzwiach, zrozumiała, że w końcu zapadła w sen.

Nie miała pojęcia, która jest godzina. Pochodnia się wypalała. Słyszała, jak Aradia i Jeanne obok niej budzą się i poruszają się niespokojnie.

- **Kolacja?** - wymamrotała Jeanne.

- **Mam tylko nadzieję, że to nie P.J...** - zaczęła Maggie i urwała, gdy w korytarzu zabrzmiały silne, męskie kroki.

Odgadła od razu, że to Delos i podniosła się, by go przywitać.

Stanął przed celą. Światło dogasającej pochodni tańczyło na jego ciemnych włosach. Był sam. I nie tracił czasu.

- **Sprawdzam, czy zmadrzałaś** - powiedział.

- **Jestem mądra** - odpowiedziała cicho i zupełnie poważnie. Szukała na jego twarzy śladu po więzi, która łączyła ich umysły, znaku, jakiejś zmiany, która może w nim zaszła. Ale chociaż czuła niepokój w sercu, wyczuwała, że on już postanowił.

Nie pozwolę dać ci się zabić. Nic innego się nie liczy. Poczowała, jak jej ramiona opadają.

Obróciła się. Aradia i Jeanne siedziały na ławce, Aradia nie poruszona, Jeanne się wierciła. Wiedziała, że obie uważają, że to jej własna walka.

I miały rację. Jeżeli ja tego nie mogę zrobić, nikt nie może. Ale jak?

- **One są ludźmi** - powiedziała do Delosa, wskazując gestem na swoje przyjaciółki. - **Nie wiem, jak sprawić, byś to zrozumiał. Ale one też się liczą.**

Ledwie na nie spojrzał.

- **W czasie ciemności, która nadchodzi, tylko istoty nocy przetrwają.** - Jego głos był spokojny i równy, jakby recytował z pamięci. - **Pradawne siły magii powstają z ukrycia. Były uśpione przez dziesięć tysięcy lat, ale teraz się budzą.**

Nagle dobiegł do nich cichy głos, cichy, ale pewny.

- **Niektórzy z nas wierzą, że ludzie nauczą się żyć z magią.**

- **Zginiecie** - odparował Delos, nawet nie patrząc w tamtą stronę.

Patrzył tylko na Maggie. Dziewczyna odwzajemniała jego spojrzenie. Oboje pragnęli się przekonać.

On jest chyba silniejszy, pomyślała Maggie, odwracając wzrok i spoglądając w głąb korytarza.

Przycisnęła pięść do czoła.

Nie, Tak nie może być. Nie poddam się.

Może mu powiem, że za niektóre rzeczy warto umrzeć... Ale on nie boi się śmierci. Boi się o mnie. I nie posłucha, Jeżeli powiem, że wolę umrzeć, niż zobaczyć, co się stanie. Chociaż to prawda. Na pewne rzeczy nie można się zgodzić za żadną cenę.

Nagle wydało jej się, że cela wokół niej znika. Zobaczyła, oczami umysłu, równie ciemną i niewygodną budę wozu. I słyszała swój własny głos mówiący: „**Jeanne, to się musi skończyć**”.

Odwróciła się w stronę ławki.

- **Jeanne, podejdź tu.**

Jeanne z wahaniem podniosła się i podeszła. Spojrzała na Maggie pytająco.

Maggie przyjrzała jej się i zwróciła się do Delosa:

- **A teraz pokaż mi** - powiedziała głosem, który przypominał jej własny, ale był dużo starszy i bardziej gorzki - **co jego istoty nocy robią niewolnikom, którzy próbują uciec.**

Wyraz twarzy Jeanne był nieprzenikniony. Przez chwilę wciąż się wpatrywała w Maggie, po czym uniosła brwi i się odwróciła.

Miała na sobie tę samą szarą tunikę. Uniosła ją i pokazała Delosowi plecy. Wampir cofnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz. Maggie była na to przygotowana, ale i tak wyczuła jego przeżalenie. Złapała żelazne kraty i odczekała, aż świat przed jej oczami z czarnego i czerwonego zrobił się szary.

- **Kto to zrobił?** - wykrztusił w końcu Delos. Był trupio blady. nie licząc oczu, które stały się niemal czarne. - **Kto?**

Jeanne opuściła tunikę.

- **Myślałam, że takie robactwo jak ja cię nie obchodzi.** - odeszła, nie odpowiadając na jego pytanie.

Maggie odprowadziła ją wzrokiem i zwróciła się znów do niego. Wciąż milczał.

- **To trzeba powstrzymać** - powiedziała do Delosa. - **Rozumiesz, co mam na myśli? Na pewne rzeczy nie wolno pozwalać.**

Po tych słowach już tylko czekała.

Wiedziałam, że nie wie, myślała, czując smutek i zmęczenie. Ale dobrze, że to się potwierdziło. Cisza trwała niemiłosiernie długo.

Delos wciąż wpatrywał się w Jeanne. Przeczesał włosy dłonią. Zmierzwione loki opadały mu na czoło. Skóra na jego twarzy wydawała się nienaturalnie napięta. Złote oczy płonęły.

Wyglądał, jakby zupełnie stracił zaufanie do otaczającej go rzeczywistości.

W końcu spojrzał wprost na Maggie.

Wciąż stała przed nim, patrząc i czekając. Ich oczy spotkały się i uświadomiła sobie nagle, że nigdy nie widziała go tak otwartym i tak słabym.

Ale jeżeli było coś, czego księciu Delosowi z pewnością nic brakowało, to zdecydowania.

Wyprostował się i wziął w garść.

I jak zwykle przeszedł od razu do rzeczy.

- **Masz rację** - przyznał. - **Mylłem się. Musimy to powstrzymać.**

Maggie oparła się o kraty i uśmiechnęła.

- **Pójdę po klucz** - powiedział, po czym wyjawiał swój plan - Chcę, żebyście opuściły zamek, zanim stawię czoła Hunterowi.

- **Sam nie możesz tego zrobić** - zaczęła Maggie. Powinna była się spodziewać, że Delos natychmiast zacznie decydować za wszystkich wokół. A przecież pozbawiono go mocy...

- **Nie ma powodu, żebyście ryzykowały życie. Odeślę was razem z kilkoma spośród ludzi, którym wciąż ufam...**

- **Obawiam się, że to nie będzie możliwe** - przerwał mu jakiś głos z korytarza.

Maggie niemal zwinęła się z zaskoczenia i grozy. Wszyscy było wycieńczeni, pochłonięci chwilą; żadne z nich nie zauważyło postaci, które weszły do lochu, dopóki nie stanęły tuż za plecami Delosa.

Hunter Redfern uśmiechał się szeroko. U jego boku stała Sylvia. A za nimi grupa uzbrojonych strażników.

- **Musieliśmy się pozbyć tych kilku idiotów, którzy upierali się, że będą lojalni wobec ciebie** - wytłumaczył Hunter uprzejmie. Jego oczy błyszczały jak najczystsze złoto. - **Zamek należy teraz do nas. Ale kontynuujcie rozmowę o swoich planach, to takie słodkie, kiedy próbujecie się ratować.**

- **I nie ma sensu udawać** - dodała zjadliwie Sylvia. - **Słynęliśmy wszystko. Wiedzieliśmy, że nie można ci ufać, więc pozwoliliśmy ci tu zejść, żeby usłyszeć, co powiesz.**

Jak na kogoś, kto zna Delosa dość dobrze, niczego nie rozumiała, pomyślała Maggie. Mogłaby jej powiedzieć, że Delos nigdy nie udaje. Zamiast tego postąpił dokładnie tak, jak przewidywała Maggie. Rzucił się do gardła Redferna.

Delos był młody, silny i wściekły. Ale nie miał szans. Sylvia prychnęła i wycofała się, ale strażnicy rzucili się na pomoc Hunterowi. Po krótkiej szamotaninie było po wszystkim.

- **Zamknijcie go razem z jego przyjaciółczkami** - rozkazał Hunter, poprawiając ubranie. - **Wielka szkoda, że mój jedyny potomek kończy w ten sposób** - dodał, gdy wrzucono Dolosa do celi. Na chwilę w jego głosie pojawiła się ta nuta szczerości, którą Maggie zauważyła już wcześniej. Potem jednak jego oczy stały się jeszcze zimniejsze i bardziej bezlitosne niż kiedykolwiek. - **Jutro rano urządzimy sobie polowanie potem będziemy się martwić tylko trzema Pierwotnymi Mocami.**

Tym razem strażnicy zabrali wszystkie pochodnie.

- **przykro mi** - szepnęła Maggie, próbując po omacku zbadać sińce i szramy na ciele Delosa.

- **Przykro mi... Nie wiedziałam...**

- **To bez znaczenia** - powiedział, chwytając jej dłonie. - **I tak by się to skończyło w ten sposób.**

- **Jak na wampira, nie popisałeś się.** - Głos Jeanne dobiegł z głębi celi.

Maggie się zachnęła, ale Delos odwrócił się do niej i odpowiedział bez urazy:

- **Ta wiedźma swoim zaklęciem pozbawiła mnie nie tylko błękitnego ognia, ale wszystkich wampirzych mocy. Jestem zwykłym człowiekiem, dopóki go nie zdejmie.**

- **Aradio?** - zapytała Maggie. - **Nie możesz czegoś zrobić? Wiem, że tylko Sylvia może zdjąć ten czar, ale...**

Aradia uklękła przy nich. Delikatnie dotknęła ramienia Delosa, po czym westchnęła.

- **Przykro mi. Nawet w pełni moich sił, nie dałabym rady.** Maggie głośno wypuściła powietrze.

- To jedyne, czego żałuję - powiedział Delos. - Że nie mogę was ocalić.
- Przestań tak myśleć - szepnęła Maggie. Przepelniała ją dziwna rezygnacja. To nie to, że się poddała. Ale była bardzo zmęczona, fizycznie i emocjonalnie. I nic nie mogła zrobić w tej chwili...
A może już w ogóle nic nie da się zrobić. Poczwała, że coś ją obejmuje i uświadomiła sobie, że to ramię Delosa. Oparła się o niego, z wdzięcznością przyjmując ciepło jego ciała. Samo to, że ją obejmował, dodało jej otuchy.
Przynajmniej próbowaliśmy, pomyślała. Nawet jeżeli nie wyszło.
Powieki zrobiły się ciężkie. Chciała je zamknąć, tylko na chwilę...

Obudziła się tylko raz w ciągu nocy, z powodu Delosa. Wyczuła coś w jego myślach. Wydawał się spać, ale w istocie był gdzieś daleko, niezwykle poruszony.

Czy wymówił moje imię? - zastanawiała się. Przysunęła twarz do jego ust.

- Kocham cię... Zawsze kochałem... Pamiętaj o tym...
- Delos! - potrząsnęła nim. - Delos, co ty robisz? Obudził się natychmiast.
- Nic.

Ale ona wiedziała. Słyszała już te słowa. Słyszała je, zanim spotkała go w górach.

- To było w moim śnie. Ty... cofnąłeś się w czasie, w jakiś sposób, prawda? I dałeś mi ten sen, ostrzeżenie, bym uciekała z tej doliny. - Zmarszczyła brwi. - Ale jak to możliwe? Myślałam, że nie możesz korzystać ze swoich mocy.

- To chyba nie były wampirze moce - powiedział, prawie jakby się z czegoś tłumaczył. - To było coś więcej, chyba po prostu więź, która nas łączy. Nasze dusze. Nie wiem nawet, jak to zrobiłem. Zasnąłem i zacząłem śnić o tobie z przeszłości. Jakbym cię szukał. I potem cię znalazłem. Połączyłem nasze myśli. Nie wiem, czy kiedyś już to robiłem.

Maggie pokręciła głową.

- Ale wiesz już przecież, że to nie zadziało. Sen niczego nie zmienił. Nie opuściłam wtedy doliny. Jestem tutaj. A gdybym ją opuściła, nigdy byśmy się nie spotkali i nie mógłbyś zesać mi tego snu...

- Wiem - przerwał jej, cichym i zmęczonym głosem. - Ale warto było spróbować.

Rozdział 19

To będzie polowanie waszego życia - powiedział Hunter Redfern. Stał dumnie wyprostowany i się uśmiechał, Szlachta zgromadziła się wokół niego, a Maggie nawet dostrzegła w tłumie kilka znajomych twarzy.

Ten mężczyzna ze wspomnień Delosa - to on chwycił go za ramię. I kobieta, która nałożyła na niego pierwsze zniewalające zaklęcie.

Skupili się na dziedzińcu. Na ich twarzach malowała się ekscytacja. Na niebie jaśniał brzask. Oczywiście, słońca i taki nie będzie widać. Ale chmury przybrały perlisty kolor, a wszystko wokół spowite było niesamowitą, zielonkawą poświatą.

- **Dwoje ludzi, wiedźma i księżę renegat** - ogłosił Hunter. Doskonale się bawił, było to widać. - **Na taką zwierzynę jeszcze nie polowaliście.**

Maggie złapała dłoń Delosa i ścisnęła mocno.

Bała się, ale jednocześnie rozpierała ją duma. Jeżeli ludzie Huntera spodziewają się, że zwierzyna będzie błagać o litość, będą bardzo rozczarowani.

We czworo stali na małej, oddzielonej od reszty dziedzińca przestrzeni. Maggie, Aradia i Jeanne były w ubraniach niewolników, Delos w spodniach do jazdy konnej i koszuli. Podmuch wiatru burzył włosy Maggie, ale poza tym żadne z nich się nie poruszało.

Aradia stała pełna godności. Na jej twarzy, poważnej i smutnej, nie było śladu gniewu lub strachu. Zwróciła duże, niewidzące oczy w stronę tłumu, jakby szykowała się na przywitaniu zaproszonych gości.

Jeanne nie prezentowała się tak dobrze ze zmierzwionymi włosami, w pomiętej tunice, ale uśmiechała się ponuro, a w jej oczach błyszczały wojownicze iskry.

Ta zwierzyna będzie walczyć do końca, pomyślała Maggie.

Ona sama robiła, co mogła, by dorównać swym przyjaciółkom. Wiedziała, że nigdy nie będzie wyglądać tak imponująco jak Aradia ani nie okaże takiej bezczelnej nonszalancji jak Jeanne, ale starała się przynajmniej pokazać, że nie dba o własne życie.

Delos był wspaniały. Nawet w samej koszuli wyglądał jak księżę. Hunter mógł założyć gro-nostajowy płaszcz i koronę, a i tak nigdy by mu nie dorównał. Przypatrywał się tym, którzy kiedyś przysięgali mu wierność, a teraz łaknęli jego krwi - i nie okazywał gniewu. Spróbował do nich przemówić.

- **Patrzcie na to, co się tu dzieje** - powiedział donośnym głosem, który bez trudu rozcho-dził się po całym dziedzińcu. - **zapamiętajcie. Czy naprawdę chcecie służyć wampiro-wi, który tak obchodzi się z własnym potomkiem? Niedługo zwróci się przeciw wam! Sami staniecie się zwierzyną.**

- **Uciszcie go** - rzucił Hunter, próbując ukryć wściekłość. Nie uszła ona jednak uwagi Mag-gie.

Rozkaz nie miał zresztą większego sensu. Maggie widziała, jak istoty nocy spoglądają po so-bie - kto właściwie miał go uciszyć i w jaki sposób?

- **Musimy to powstrzymać** - ciągnął Delos. - **Tego człowieka trzeba powstrzymać. Przyznaję, chciałem zawrzeć z nim układ. Ale tylko dlatego, że byłem ślepy i głupi. Teraz już wiem, że popełniłem błąd. Wszyscy mnie znacie. Czy stałbym tutaj, go-towy oddać własne życie, gdybym nie miał powodu?**

W tłumie zapanowało nieznaczne poruszenie. Maggie przyglądała się temu z nadzieją. Ale szybko ją utraciła.

Istoty nocy nie umiały myśleć samodzielnie, a może troszczyły się tylko o siebie. W każdym razie nie dojdzie do buntu.

Z niewolników też nie będzie żadnego pożytku. Straże mają broń, oni nie. Są przestraszeni i nieszczęśliwi, ale widzieli już takie polowania. Wiedzą, że tego nie da się powstrzymać.

- **Ta dziewczyna przyszła do nas w pokoju, próbując uratować sojusz między wiedźmami i wampirami** - mówił dalej Delos, kładąc dłoń na ramieniu Aradii. - **W zamian za to próbowaliśmy ją zabić. Przelewając jej niewinną krew, popełnicie zbrodnię, która powróci, by się na was zemścić.**

Kolejne poruszenie, wśród kobiet, zauważyła Maggie. *Wiedźmy?*

- **Niech on zamilknie** - rzucił Hunter, coraz trudniej było mu zapanować nad gniewem. Tym razem skierował swój rozkaz do konkretnej osoby. Maggie podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła Sylvie stojącą niedaleko nich.

- **Niektórym zwierzętom trzeba założyć kaganiec, zanim się na nie zapoluje** - dodał Hunter, patrząc prosto na nią. - **Zajmij się nim. Zaczynamy polowanie.**

Sylvia niezbyt pewnie podeszła do Delosa. Spojrzał na nią hardo, jakby mówił, że nie powinna podchodzić bliżej.

- **Straże!** - zawołał Hunter, wyraźnie zmęczony tą sceną. Strażnicy zbliżyli się do więźniów. Mieli dwa różne rodzaje broni, zauważyła Maggie - z metalu i drewna.

Jeżeli Delos nie będzie ostrożny, może zginąć, zanim polowanie się w ogóle zacznie.

- **Teraz ucisz tę zmię** - powtórzył Redfern. Sylvia zdjęła koszyk z ramienia.

- **W nowym świecie po przelocie tysięcy będziemy co dziennie odbywać takie polowania** - mówił Hunter, próbując uspokoić tłum. - **Każdy z nas będzie miał do dyspozycji całe miasto ludzi. Całe miasto gardeł, całe miasto mięsa.**

Sylvia sięgnęła do koszyka. Nie bała się już zbliżyć do księcia wampirów. Otaczał go las drewnianych włócznie.

- **Sylvio** - powiedziała cicho Aradia. Czarownica uniosła wzrok, zaskoczona.

- **Każdy z nas będzie księciem** - ciągnął Redfern.

- **Sylvio Weald** - powtórzyła Aradia. Sylvia spuściła oczy.

- **Nie mów do mnie** - szepnęła. - **Nie jesteś... Nie jestem już jedną z was.**

- **Musicie tylko być mi posłuszni** - przemawiał wciąż Redfern.

- **Sylvio Weald. Urodziłaś się wiedźmą. Twoje imię oznacza zielony las, święty gaj. Jesteś córką Hellewise i będziesz nią aż do śmierci. Jesteś moją siostrą.**

- **Nie jestem.** - Sylvia splunęła.

- **Nie zmienisz tego. Nic nie może przerwać tych więzów. Na dzień swego serca wiesz o tym. Jako Wieszcza wszystkich wiedźm, w imię Hellewise, Piastunki Ognia, zaklinam cię: zdejmij czar z tego chłopca.**

Najdziwniejsze było to, że zdawało się, że to nie Aradia wypowiedziała te słowa. To był jej głos i to ona tam stała. Ale w tej jednej chwili wydawała się być jednością z inną istotą. Otaczała ją jaśniejąca poświata. Ta istota była jej częścią, ale była też czymś znacznie więcej niż ona.

Wygląda, pomyślała oszołomiona Maggie, jak wysoką kobietą o włosach tak jasnych jak Sylvii i dużych brązowych oczach.

Sylvia jęknęła i szeroko otworzyła oczy. Pojawił się w nich strach.

- **Hellewise...**

A potem tylko stała. Hunter ciągnął swoją przemowę. Maggie słyszała go, ale uwagę zwracała tylko na Sylvie, drżącą i oddychającą ciężko.

Zwracając się do ludzkich serc, pomyślała.

- **Sylvio** - powiedziała głośno. - **Wierzę w ciebie.**

Zdumione fiołkowe oczy zwróciły się ku niej.

- **Nie dbam o to, co zrobiłaś Milesowi. Wiem, że jesteś zagubiona. Wiem, że jesteś nieszczęśliwa. Ale teraz masz szansę to zmienić. Możesz coś zrobić, coś ważnego. Coś, co odmieni świat.**

- ...rzeki krwi - dobiegał ich głos Redferna. - I nikt nas nie powstrzyma. Wszyscy ludzie będą naszymi niewolnikami, Wiedźmy są teraz naszym wrogiem. Pomyślcie o mocy, jaką poczujecie, pijąc ich krew!

- Jeżeli pozwolisz, by Delos zginął, będziesz odpowiedzialna za ciemność, która nastanie. Tylko ty. Bo tylko ty możesz temu zapobiec. W tej chwili.

Sylvia przycisnęła drżącą dłoń do policzka. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

- Czy naprawdę chcesz przejść do historii jako ta, która ściągnęła na świat zagładę?

- Jako Wieszcza wszystkich wiedźm... - przemówiła znowu Aradia.

A jakiś inny, głębszy głos mówił wraz z nią: „Jako Matki wszystkich wiedźm.

- W imię Hellewise.... „W imię moich dzieci...”

- Jako że jesteś Piastunką Ognia...

„Jako że jesteś moją córką, prawdziwą Piastunką Ognia...”

- Zaklinam cię! - Zdwojony głos Aradii zabrzmiał tak czysto i donośnie, że Hunter przerwał w pół zdania.

Wszyscy zamarli. Przez chwilę na dziedzińcu panowała absolutna cisza. Każdy rozglądał się wokół, próbując odgadnąć, skąd dobiegał ten głos.

Sylvia wbijała wzrok w Aradię.

W końcu zamknęła oczy, a jej ciałem wstrząsnął spazm. Kiedy przemówiła, potrafiła wydobyć z siebie tylko szept.

- Jako córka Hellewise, jestem posłuszna.

I już sięgnęła do ramienia Delosa. Hunter krzyczał wściekle, ale Maggie nie potrafiła odróżnić słów. Nie słyszała też Sylvi, ale widziała, że jej wargi się poruszają i widziała, jak jej szczupłe blade palce ściskają nadgarstek Delosa. I nagle włócznia przeszła serce wiedźmy. Wtedy, w jednej chwili, zrozumiała, co Hunter krzyczał głosem tak zniekształconym przez gniew, że ledwie rozpoznawalnym.

- Zabić ją! Zabić ją!

To właśnie zrobili. Umysł Maggie był dziwnie jasny, chociaż fala grozy i bólu przelewała się przez jej ciało. Sylvia upadła na plecy, a krew rozlała się ciemną plamą na jej olśniewającej zielonej sukni.

Wiedźma spojrzała jeszcze na Redferna i się uśmiechnęła, tym razem Maggie udało się odczytać słowa z jej warg.

- Za późno.

Delos się odwrócił. Na jego białej koszuli była krew - jego własna krew, uświadomiła sobie Maggie. Próbował powstrzymać strażnika i ocalić Sylvie. Ale teraz wbił wzrok w pradziadka.

- Pewne rzeczy trzeba zatrzymać.

Maggie widziała już błękitny ogień, ale nigdy taki. Płomień miał moc nuklearnej eksplozji. Trafił w miejsce, gdzie stał Redfern otoczony swoimi najwierniejszymi notablami, a potem wystrzelił w niebo jak kolumna. I leciał dalej, do nieba i z powrotem, jakby słońce spadało na dziedziniec.

Rozdział 20

Maggie objęła Sylvie. Uklękała przy niej i próbowała ją objąć, nie dotykając włóczni, która utkwiała w jej ciele.

Było po wszystkim. W miejscu, gdzie stali Hunter Redfern i jego najbardziej zaufani ludzie, został tylko krater. Maggie miała wrażenie, że widziała, jak kilka osób ucieka w stronę wzgórz - wśród nich Gavin, handlarz niewolników. Ale nie było z nimi Huntera. Był w samym sercu eksplozji, nie został po nim nawet jeden kosmyk rudawych włosów.

Poza Delosem, na dziedzińcu nie było żadnej żywej istoty nocy.

Niewolnicy nieśmiało zaczęli wyglądać ze swoich chat.

- Wszystko w porządku - wołała Jeanne. - Tak, dobrze słyszeliście, w porządku! Delos nie jest niebezpieczny. Przynajmniej nie dla nas. No już, wychodźcie stamtąd. Dlaczego się chowacie?

- Dobra jest - wymamrotał jakiś głos.

Maggie uniosła wzrok i ujrzała wysoką, kościstą postać, a obok niej drobną dziewczynkę.

- Praczka - zawołała. - P.J.! Tak się cieszę, że jesteście całe. Ale, Praczko, proszę...

Lekarka uklękała obok niej. Wymieniła spojrzenia z Sylvia. Twarz dziewczyny była odmieniona, blada, okryta cieniem. W kąciu jej ust czała się kropla krwi.

- To nic nie da - szepnęła.

- Ona ma rację - przyznała Praczka. - Nie możesz jej pomóc, Wybawicielko. Ja też nie mogę nic zrobić.

- Nie jestem niczyją Wybawicielką - odpowiedziała Maggie. Łzy nabiegły do jej oczu.

- Nie oszukasz mnie. - Praczka się podniosła. - Widzę, że siedzisz tutaj i widzę, że niewolnicy są wolni. Przybyłaś i to się stało. Proroctwa się spełniły. Jeżeli nie ty to sprawiłaś, to był to dziwny zbieg okoliczności.

Policzki Maggie zapłonęły pod jej spojrzeniem. Spuściła wzrok.

- To ona nas uratowała - powiedziała, nie całkiem świadomiła, że mówi na głos. - Zasługuje na jakieś uznanie...

- Nie tylko ona - powiedział jakiś łagodny głos. Maggie spojrzała z wdzięcznością na Delosa.

- No tak, ty też się do tego przyczyniłaś.

- Nie to miałem na myśli. - Pokręcił głową i uklękł. Jedną dłoń położył na dłoni Maggie, drugą na ramieniu Sylvii.

- Jest tylko jedna rzecz, którą mogę dla ciebie zrobić.

- Chcesz uczynić mnie wampirem? - Sylvia najdelikatniej jak się dało pokręciła głową. - Nie. Obok mojego serca tkwi kawał drewna, to i tak by nie pomogło.

Maggie przełknęła ślinę i spojrzała na włócznię, która złamała się podczas zamieszania po wybuchu.

- Moglibyśmy to wyjąć...

- Nie przeżyłabym tego. Opuście ten jeden raz, dobrze?

Pokręciła głową nieco mocniej. To, że potrafiła być złośliwa, nawet w chwili śmierci, zaimponowało Maggie. Twarda sztuka.

- Słuchaj - dodała Sylvia. - Chcę ci coś powiedzieć. O twoim bracie.

Maggie wstrzymała oddech, gotowa usłyszeć najgorsze.

- Tak?

- To mnie naprawdę męczyło, wiesz? Wkładałam moją najlepszą sukienkę, robiłam się na bóstwo... A on stale mówił o tobie.

Maggie była zupełnie zaskoczona. To była ostatnia rzecz, jaką się spodziewała usłyszeć.

- Naprawdę?

- Bez przerwy. O tym, jaka jego siostra jest dzielna. Jaka jest mądra. Jaka jest uparta.

Maggie wciąż nie dowierzała. Słyszała z ust Milesa wiele różnych rzeczy, ale nie to, że jest mądra. Poczowała, że oczy ją pieką, a gardło się ścisnęło.

- Nie mógł znieść ani jednego złego słowa na twój temat - ciągnęła Sylvia. Zmrużyła oczy. - Nienawidziłam cię za to. Ale jego lubiłam.

Jej głos słabł. Aradia ukłękła z drugiej strony i dotknęła jasnych włosów.

- Nie zostało ci dużo czasu - powiedziała cicho, jakby ją ostrzegając.

Sylvia dała znak, że rozumie. Spojrzała znów na Maggie.

- Powiedziałam Delosowi, że go zabiłam - wyszeptala - Kłamałam.

Maggie otworzyła szeroko oczy i przestała oddychać. Nagle jej serce zaczęło walić tak mocno, że omal nie podskoczyła.

- Nie zabiłaś go? On żyje?

- Chciałam go ukarać... Ale chciałam też mieć go przy sobie...

Maggie niemal straciła przytomność. Nachyliła się nad Sylvia, powstrzymując się z trudem, żeby nie chwycić jej za ramiona i nią nie potrząsnąć.

- Powiedz, co z nim zrobiłaś. Proszę, powiedz.

- Przemieniłam go - śpiewny głos zmienił się w szept. - Zrobiłam z niego zmiennokształtnego... i dodałam zaklęcie żeby nie stał się znów człowiekiem, dopóki ja tego nie zechcę..

- Jakie zaklęcie? - zapytała pospiesznie Aradia. Sylvia wydała z siebie najcichsze westchnienie.

- Wieszczko... To nic strasznego. Wystarczy zdjąć opaskę z jego nogi. Zawsze już będzie zmiennokształtnym... ale nie utracicie go...

Nagle jej głos stał się silniejszy i Maggie uświadomiła sobie, że znowu odezwała się w niej stara Sylvia.

- Jesteś taka mądra... Na pewno odgadniesz, które to zwierzę...

Z jej gardła wydobył się dziwny dźwięk. Maggie wiedziała, że Sylvia właśnie umiera.

Ciało w zielonej sukni wyprężyło się na moment, po czym opadło bezwładne. Głowa Sylvii przechyliła się na bok. Szeroko otwarte oczy, skierowane ku niebu, były zupełnie puste.

Aradia położyła dłoń na jej czole.

- Bogini Życia, przyjmij tę córkę Hellewise - powiedziała miękkim, anielskim głosem. - Poprowadź ją na tamtą stronę. Niech odejdzie z błogosławieństwem wszystkich Wiedźm.

Maggie z niepokojem uniosła wzrok, by zobaczyć, czy jaśniejąca postać znów pojawi się przy Aradii. Ale zobaczyła tylko piękną twarz przyjaciółki, o śniadej i gładkiej cerze i współczującym spojrzeniu.

Po chwili Aradia delikatnie zamknęła powieki Sylvii.

Maggie zacisnęła zęby, ale na nic się to nie zdało. Zanim się spostrzegła, wybuchła głośnym szlochem, nie mogąc go opanować. Otoczyły ją ramiona Delosa. Schowała twarz w jego włosach i to pomogło. Kiedy kilka minut później odzyskała panowanie nad sobą, uświadomiła sobie, że w jego ramionach czuje się niemal jak we śnie. Jest spokojna i bezpieczna. Wiedziała, że jest na swoim miejscu.

Dopóki on żyje, dopóki są razem, wszystko będzie dobrze. Zauważyła, że P.J. również ją obejmuje i puściła Delosa, by odwzajemnić ten uścisk,

- **W porządku, mała?** - szepnęła. P.J. pociągnęła nosem.

- **Tak. Już tak. To było straszne, ale dobrze, że już po wszystkim.**

- **Wiecie** - wtrąciła Jeanne, spoglądając na Sylvie - **tak właśnie chcę odejść. Wybierając własną drogę... I totalnie wkurzyć wszystkich na sam koniec.**

Maggie obejrzała się na nią. Odkaslnęła. Przeknęła ślinę. W końcu pokręciła głową. Wiedziała, że już nie będzie więcej płakać.

- **Nie wiem, dlaczego tak jej żałuję. Nie była nawet dobra. Sama chciałam ją zabić.**

- **Ale była** - powiedział Delos.

To najważniejsza rzecz, jaką można było powiedzieć, pomyślała Maggie.

Uświadomiła sobie, że Jeanne, Praczka i Delos wpatrują się w nią wyczekująco. Nawet Aradia zwróciła ku niej twarz.

- **I?** - zapytała w końcu Jeanne. - **Wiesz? Które zwierzę to twój brat?**

- **Tak, chyba tak.** Spojrzała na Delosa.

- **Wiesz może, co znaczy imię Gavin? Wśród zmiennokształtnych. Czy to jastrząb?**

- **Sokół albo jastrząb.** Maggie się uśmiechnęła.

- **Więc wiem.** - Wstała. Delos też się podniósł. - **Gdzie go znajdziemy? Miała go na polowaniu.**

- **Powinien być w stajni.**

Gdy szli w stronę zabudowań gospodarczych, towarzyszył im zafascynowany tłum. Maggie dostrzegła w nim Starą Krawcową, uśmiechającą się i pokasłującą. Pomywaczkę, która nie wyglądała już na przestraszoną i Opróżniaczkę Nocników...

- **Musimy wam znaleźć jakieś nowe imiona** – powiedziała. - **Może sobie coś wybrać?**

Duża dziewczyna o okrągłej twarzy i łagodnych oczach uśmiechnęła się nieśmiało.

- **Słyszałam kiedyś o damie, która miała na imię Hortensja...**

- **Ładnie** - zgodziła się Maggie po krótkim zastanowieniu - **Bardzo ładnie, w porównaniu...**

Dotarli do stajni. Z boku budynku znajdowało się małe ciemne pomieszczenie z żerdziami dla ptaków. Sokoły były niespokojne, powietrze wypełniał trzepot skrzydeł. Wszystkie wyglądały tak samo.

- **To powinien być nowy ptak** - zauważył Delos. - **Może to ten. Czy jest tu Sokolnik?**

Podczas gdy wszyscy rozglądali się za Sokolnikiem, Jeanne podeszła do Maggie.

- **Musisz mi powiedzieć, skąd wiedziałas. Jak wpadłaś ogóle na to, że Gavin jest zmiennokształtnym?**

- **To było logiczne. Bern był. A obaj mieli podobnie wyczulone zmysły.** Aradia powiedziała, że Sylvia pozbyła się Milesa w swoim mieszkaniu i że oni dwaj tam byli.

Więc pomyślałam, że pewnie skłoniła jednego z nich, żeby przekazał Milesowi swoją klątwę.

- Ale skąd wiedziałaś, że jego imię oznacza jastrzębia?

- Nie potrafię powiedzieć. Cóż, wyglądał jak jastrząb. Chudy i złotawy. Ale poza tym dostał się do myśliwych zbyt szybko, jaj na kogoś kto porusza się po ziemi. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, dopiero na to wpadłam.

Jeanne przyjrzała jej się uważnie.

- Wciąż mnie to nie przekonuje.

- Rozumiem. Po prostu Miles musiał być jastrzębiem. To musiało być jakieś małe zwierzę, Sylvia nie wzięłaby ze sobą na górę świni, tygrysa albo niedźwiedzia. A tego pierwszego dnia widziałam ją z jastrzębiem. Ptaka mogła trzymać blisko siebie, kontrolować go. Prawie jak torebkę. To wszystko układało się w całość.

- Wciąż nie wierzę, że jesteś taka sprytna. Myślę, że zgadłaś.

Maggie obróciła się, gdy ktoś wypchnął z tłumu małego człowieka o pomarszczonej twarzy - Sokolnika.

- No, jeszcze tego nie wiemy. Ale mam nadzieję, że tak właśnie jest.

Mężczyzna trzymał na dłoni ptaka.

- Ten jest nowy. Lady Sylvia powiedziała, żeby nie zdejmować tej zielonej opaski. Mam nóż. Chcesz to zrobić?

Maggie wstrzymała oddech. Starła się powstrzymać drżenie ręki, gdy ostrożnie przecinała szmaragdowy rzemyk.

W końcu udało się jej i opaska spadła na ziemię. Na chwilę jej serce stanęło, gdy nic się nie działo.

Dopiero po chwili zobaczyła błyskawiczną przemianę w trakcie której skrzydła ptaka wydłużyły się i zgrubiały, a pióra znikły pod skórą... Pojawił się ludzki kształt...

I stanął przed nią Miles, ze swoimi kasztanoworudymi włosami i zawadiackim uśmiechem.

- Hej, wiedziałem, że mnie uratujesz. W końcu od czego są siostry - powiedział i Maggie wpadła w jego ramiona.

Dużo czasu minęło, zanim skończyli się ścisnąć, wyjaśniać sobie wszystko i płakać. Niewolnicy - byli niewolnicy, poprawiła się Maggie - zaczęli debatować nad przyszłością. Delos i Aradia rozesłali gońców na wszystkie strony doliny.

Wciąż było wiele rzeczy do ustalenia. Praca na miesiące, być może lata. Maggie wiedziała, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Nigdy już nie będzie normalną nastolatką.

Jej brat był zmiennokształtnym - no ale to na pewno mu się podobało. Właśnie rozmawiał z Jeanne o nowym sposobie zdobywania górskich szczytów.

Jedna z Pierwotnych Mocy okazała się jej pokrewną duszą. Aradia zdradziła jej, co to znaczy. Od tej pory będą pod ochroną Kręgu Świtu, aż do czasu, gdy nadejdzie czas Delosa. I nawet jeżeli dotrą do ostatecznej bitwy... nie będzie łatwo.

Maggie zmieniła się, czuła, że wiele zawdzięcza ludziom z doliny, którzy wciąż nazywali ją Wybawicielką. Będzie musiała pomóc im dostosować się do świata zewnętrznego. Ich losy splotły się na zawsze.

Ale teraz wszyscy rozmawiali tylko o zdobyciu jakiegoś jedzenia.

- **Chodźcie do zamku** - zaprosił ich Delos. Wziął Maggie za rękę i ruszył przodem. Zatrzymała ich PJ., wznosząc rękę ku niebu. Przez tłum przeszedł pomruk zdumienia.

- **Słońce!**

To była prawda. Maggie spojrzała w niebo i zamarła z wrażenia. Na gładkim perłowym sklepieniu Królestwa Mroku, dokładnie w miejscu, gdzie błękitny płomień wystrzelił z ziemi, w chmurach pojawiła się niewielka wyrwa. Przebijały przez nią słoneczne promienie, odpędzając mgłę. Sprawiały, że drzewa na zboczach doliny połyskiwały szmaragdowo.

Odbijały się od czarnych murów zamku jak od lustra.

Zaczarowane miejsce, pomyślała Maggie, rozglądając się wokół. *Naprawdę piękne.*

Spojrzała na chłopaka u swojego boku. Na jego ciemne włosy - teraz potwornie zmierzwiłone - gładką cerę i eleganckie rysy. Jego usta, wciąż dumne i władcze, teraz były również wrażliwe.

I na te nieustraszone błyszczące oczy które patrzyły na nią, jakby była najważniejszą osobą na świecie.

- **Chyba wszystkie proroctwa sprawdzają się przez przypadek** - powiedziała, ostrożnie ważąc słowa. - **Zwykli ludzie starają się, jak mogą, i czasem im się udaje.**

- **W tobie nie ma nic zwykłego** - odpowiedział Delos i pocałował ją.

*Jedno z krainy królów dawno zapomnianych,
Jedno z paleniska, gdzie się iskra tli.
Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.
Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.*

Światło Nocy

Zachary'emu i Annie Bokulicom

Rozdział 1

W centrum handlowym było nadzwyczaj spokojnie. Nic nie zapowiadało straszliwych wydarzeń, które miały wkrótce nastąpić. To miejsce nie różniło się niczym szczególnym od innych centrów handlowych, obleżonych w grudniowe, niedzielne popołudnie w Dakocie Północnej. Wnętrze było nowoczesne. Jaskrawo oświetlone i bogato ozdobione. Wypełnione kupującymi, którzy wiedzieli, że do Gwiazd-

ki zostało już tylko dziesięć dni. Ciepło, mimo że na zewnątrz niebo przybrało kolor ponurej szarości. Bezpieczne.

Raczej nikt nie spodziewał się zobaczyć tu potwora. Keller przeszła obok ekspozycji pod wiele obiecującym tytułem: „Święty Mikołaj przez wieki”. Wyteęzała wszystkie zmysły. W przyciemnianych oknach wystaw migało jej odbicie - dziewczyny w wieku licealnym, w błyszczącym kombinezonie, z prostymi czarnymi włosami, które sięgały jej aż do bioder i chłodnymi szarymi oczami. Ale wiedziała, że każdy, kto przyjrzałby się jej z bliska, dojrzałby coś jeszcze - grację drapieżcy i wewnętrzne światło, kiedy skupiała na czymś spojrzenie.

Raksha Keller miała w sobie coś nieludzkiego. Co nie powinno nikogo dziwić, ponieważ nie była człowiekiem. Należała do zmiennokształtnych istot. I jeśli patrzący na nią odnosił wrażenie, że ma do czynienia z panterą, która uciekła z zamknięcia, to miał zupełną rację.

- **No dobra.** - Dziewczyna dotknęła zapinki przy kołnierzu, po czym przyłożyła palec do prawie niewidocznej słuchawki w uchu, próbując w ten sposób zagłuszyć kolędy rozbrzmiewające w centrum handlowym.

- **Meldować się.**

- **Tu Winnie.** - Usłyszała melodyjny głos, ale profesjonalna - **Jestem przy Searsie. Na razie nic nie zauważyłam. Może jej tu nie ma?**

- **Może** - Keller odpowiedziała krótko do zapinki, która tak naprawdę była supernowoczesnym systemem łączności bezprzewodowej. - **Podobno uwielbia zakupy, tak mówili jej rodzice, i szła w tę stronę. To najlepszy trop, jaki mamy. Szukać dalej.**

- **Tu Nissa.** - Ten głos był chłodny i zrównoważony, beznamiętny. - **Jestem na parkingu, przejeżdżam obok wejścia przy Bingham Street. Niczego nie widzę. Chwila...** - Stała ciszy, po czym usłyszała upiorny krzyk. - **Keller, mamy problem. Widzę czarną limuzynę pod sklepem Brody'ego. Wiedzą, że tu jest,**
Keller poczuła ucisk w żołądku, ale odpowiedziała opanowanym głosem:

- **Jesteś pewna, że to oni?**

- **Tak. Wysiadają. Kilka wampirów i... Młody mężczyzna, właściwie chłopiec. Może zmiennokształtny. Nie jestem pewna, nigdy wcześniej go nie widziałam. Nie wiem, kim jest.** - Nissa Johnson była zakłopotana i to martwiło Keller. Dziewczyna była wampirem i miała mózg jak biblioteka Kongresu.

- **Mam zaparkować i ci pomóc?** - zapytała Nissa.

- **Nie** - odpowiedziała ostro Keller. - **Zostań w samochodzie. Będzie nam potrzebny do szybkiej ucieczki. Winnie i ja zajmiemy się tym, prawda?**

- **Jasne, szefie. Właściwie to sama mogę się z nimi rozprawić. Tylko popatrz.**

- **Uważaj, co mówisz** - Keller hamowała ponury uśmiech, który zakradł się na jej wargi. Winfrith Arlin, przeciwieństwo Nissy, była czarownicą i do tego uczuciową. Jej dziwne poczucie humoru już nie raz rozbroiło sytuację.

- **Bądźcie czujne.** - Tym razem Keller była poważna. - **Wiecie, jaka jest stawka.**

- **Tak jest, szefie.** - Oba głosy wydawały się jej przygaszone. Wiedziały.

Świat.

Dziewczyna, której szukały, mogła ocalić świat. Albo go zniszczyć. Nie, żeby o tym wiedziała... jak na razie. Nazywała się Iliana Harman i dorastała między ludźmi. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że w jej żyłach płynie krew czarownic i że jest jedną z czterech Pierwotnych Mocy, których przeznaczeniem była walka z czasem ciemności, a ten właśnie nadchodził.

Mocno się zdziwi, kiedy jej o tym powiemy, pomyślała Keller.

Oczywiście zakładając, że dotrzemy do dziewczyny szybciej niż oni. Musimy.

Nie bez powodu to właśnie je wybrano na tę misję. Każdy agent Kręgu Świtu chętnie zająłby teraz ich miejsce.

Były najlepsze. Proste.

Były nietypową drużyną - wampirzyca, czarownica i zmiennokształtna - ale były niepokonane. Wprawdzie Keller miała tylko siedemnaście lat, ale była niepokonana i nigdy nie przegrywała.

I nie zamierzam tego schrzanić, pomyślała.

- **To jest to. Koniec gadania, aż znajdziemy dziewczynę. Powodzenia.** - Ich rozmowy były kodowane, ale po co ryzykować. Oni byli doskonale zorganizowani.

Nieważne. I tak wygramy, pomyślała Keller i zatrzymała się na chwilę, by oczyścić umysł.

To było jak wejście do innego świata. Jej umiejętności przekraczały ludzką wyobraźnię. Podczerwień. Widziała ciepło ciał. Węch. Ludzie tak naprawdę nigdy nie rozwinęli zmysłu powonienia. Ale ona odróżniała colę od pepsi po zapachu z odległości kilku metrów. Dotyk. Jako pantera miała niezwykle wrażliwą skórę, a szczególnie na twarzy. Nawet w ludzkiej formie odczuwała wszystko dziesięć razy bardziej niż zwykły człowiek. Mogła wyczuć drogę w całkowitych ciemnościach, kierując się jedynie zapachem powietrza.

Słuch. Słyszała wszystko na wyższych rejestrach niż człowiek i mogła wyłapać w tłumie pojedyncze kaszlnięcie. Wzrok, Po ciemku widziała jak... jak kot.

Nie wspominając nawet o pięciuset mięśniach, którymi mogła poruszać według woli.

A w tej chwili wszystkie jej zdolności skupione były na odnalezieniu nastolatki w tłumie ludzi. Jej wzrok przemykał po twarzach, uszy wyłapywały dźwięk każdego młodego głosu. Jej nos wchłaniał tysiące zapachów w poszukiwaniu jednego, odpowiadającego temu z koszulki, którą zabrała z pokoju Iliany.

I wtedy, kiedy wyczuła znajomą woń, odezwała się słuchawka w jej uchu.

- **Keller, namierzyłam ją! Hallmark, drugie piętro. Oni już tam są!**

Znaleźli ją pierwsi.

Zakłęła bezgłośnie. Na głos powiedziała:

- **Nissa, podjedź pod zachodnią stronę centrum. Winnie nic nie rób. Nadchodzę.**

Najbliższa winda była na końcu korytarza. Ale z mapy, którą trzymała, wynikało, że Hallmark był piętro wyżej, dokładnie nad nią. Nie miała czasu do stracenia.

Ugięła nogi i skoczyła.

Jeden sus, w górę. Nie zwracała uwagi na westchnienia i kilka histerycznych krzyków, które wywołał jej wyczyn.

Złapała barierkę odgradzającą górny pasaż. Wisiała przez kilka sekund, po czym sprawnie podciągnęła się na rękach.

Gapiło się coraz więcej ludzi. Keller nie zwracała na nich uwagi. Schodzili jej z drogi, gdy szła w stronę Hallmarku.

Winnie stała tyłem do wystawy sklepowej. Była niska, z burzą rudych loków i drobną twarzą. Keller podeszła do niej ostrożnie.

- **Jak sytuacja?**

- **Jest trzech** - wyszeptała Winnie. - **Tak jak mówiła Nissa. Widziałam, jak wchodzili. A potem zobaczyłam dziewczynę. Okrążyli ją, ale tylko z nią rozmawiają.** - Spojrzała na szefową z roześmianymi oczami. - **Tylko trzech, bez problemu damy sobie z nimi radę.**

- **Tak. I to mnie martwi. Dlaczego wysłali tylko trzech?** Winnie wzruszyła ramionami:

- **Może są tacy jak my: najlepsi.**

Keller zmarszczyła tylko brwi. Przesuwała się do przodu centymetr po centymetrze, próbując dojrzeć wewnątrz sklepu spomiędzy leżących na wystawie skarpetek i pluszaków. Udało się. Dwóch facetów w ciemnych ubraniach, przypominających mundury - wampirze opryski. Ale poprzez półki z ozdobami choinkowymi Keller udało się dostrzec sylwetkę trzeciego.

I ją. Iliane. Dziewczyne, którą wszyscy pragnęli zdobyć. Była śliczna, prawie niewyobrażalnie piękna. Keller widziała jej zdjęcie, ale w rzeczywistości była piękniejsza. Miała blond włosy i fiołkowe oczy, dziedzictwo krwi Harmanów. Poza tym miała niezwykle delikatne rysy i poruszała się z gracją, co sprawiało, że patrzyło się na nią z taką przyjemnością jak na białego kociaka na trawie. Keller wiedziała, że dziewczyna ma siedemnaście lat, ale była tak drobna, że brano ją za dziecko. Wręcz skrzata. I w tym momencie wpatrywała się dużymi, pełnymi ufności oczami w mówiącego do niej faceta. Ku jej zdziwieniu nie była w stanie ustalić, co mówi. Najwyraźniej szeptał.

- To naprawdę ona! - Westchnęła z podziwem Winnie - Dziecko czarownic. Wygląda dokładnie tak, jak głosiły legenda. Tak, jak ją sobie wyobrażałam. Nie mogę patrzeć, jak z nią rozmawiają. To jak... Świętokradztwo - dodała oburzona.

- Spokojnie - wyszeptała Keller, lustrując otoczenie. - Wy, czarownice, jesteście przewrażliwione, jeśli chodzi o wasze prorocтва.

- I dobrze. Ona jest nie tylko Pierwotną Mocą, to czysta dusza. - Głos Wingfrith był pełen podziwu. - Musi być taka mądra, taka łagodna, tak dalekowzrocza. Nie mogę się doczekać, kiedy z nią porozmawiam. A te dranie nie powinni mieć prawa się do niej odzywać! - Jej głos zadźwięczał ostro. - Chodź, Keller, załatwimy ich raz-dwa. Idziemy!

- Winnie, nie...

Ale było za późno. Dziewczyna weszła już do sklepu, nawet nie próbując się ukryć. Keller znów zakłęła. Teraz nie miała już wyboru.

- Nissa, uważaj. Robi się gorąco - warknęła, dotykając zapinki, po czym poszła za towarzyszką.

Kiedy dotarła do drzwi, zobaczyła, że czarownica podchodzi do trzech facetów i Iliany. Mężczyźni natychmiast poderwali czujnie głowy. Widząc to, Keller przygotowała się do skoku. Ale ten nigdy nie nastąpił. Zanim napięła wszystkie mięśnie, tajemniczy mężczyzna się odwrócił... I wszystko się zmieniło.

Czas zwolnił. Keller widziała jego twarz z taką dokładnością, jakby stał tuż obok. Nie był brzydki, właściwie nawet całkiem przystojny. Wyglądało na to, że jest niewiele starszy od niej. Miał proste, ładnie ukształtowane rysy. Niewysoki, pod ubraniem zdawał się skrywać twarde mięśnie. Miał czarne potargane włosy przypominające futro. Grzywka spadała mu na czoło w dziwny sposób, jakby specjalnie ją zmierzwił i zupełnie nie pasowała do reszty. I miał oczy koloru obsydianu. Zupełnie nieprzejrzyste.

Srebrnoczarne błyszczące oczy, kompletnie nieprzezroczyste. Nie ukazywały niczego; po prostu odbijały światło, kiedy ktoś w nie spojrzał. To były oczy potwora i Keller zamarlała z przerażenia.

Nawet nie słysząc ryku, który rozbrzmiewał znacznie poniżej ludziach rejestrów, ani nie widząc wirującej ciemnej energii, która otaczała go niczym aurą, wiedziała, kim jest. Próbowwała złapać oddech, żeby ostrzec Winnie. Nie było czasu.

Mogła tylko patrzeć, jak chłopak odwraca się w stronę Winnie i eksploduje z niego moc. Zrobił to tak swobodnie, jakby skinął palcem. Ciemna moc trafiła Winnie z taką siłą, że czarownica z rozpostartymi ramionami przeleciała przez sklep i uderzyła w przeciwległą ścianę obwieszoną ozdobnymi talerzami i zegarami. Rozległ się potężny huk.

Winnie! Keller ledwo pohamowała krzyk. Dziewczyna osunęła się za kasę. Zmiennokształtna nie wiedziała, czy czarownica przeżyła atak. Kasjer, który stał za kontuarem, uciekł z krzykiem na zaplecze. Klienci się rozpiechli. Niektórzy pognali za kasjerem, inni do wyjścia. Keller stała w drzwiach, czekając, aż tłum się wytoczy ze sklepu, po czym wycofała się i stanęła tyłem do wystawy. Oddychała z trudem. Czuła się, jakby żołądek zamienił jej się w bryłę lodu.

Smok, On jest smokiem!

Rozdział 2

Zdobyli smoka. Serce waliło Keller w piersi.

Jakimś cudem mieszkańcy świata nocy obudzili smoka i zapłacili mu... Przekupili go, żeby się do nich przyłączył. Keller nie chciała sobie nawet wyobrazić, co to była za cena. W gardle czuła ucisk. Z trudem przełknęła ślinę.

Smoki były najstarszymi i najsilniejszymi zmiennokształtnymi na świecie. A do tego najbardziej nikczemnymi. Wszystkie zapadły w sen trzydzieści tysięcy lat temu, a raczej uśpiły je czarownice. Keller nie wiedziała, jak do tego doszło, ale według wszystkich starych legend od tego czasu na świecie żyło się lepiej.

A teraz jeden wrócił.

Ale może nie był jeszcze w pełni rozbudzony. Z tego, co zdążyła zaobserwować, jego ciało było nadal zimne, promieniowało z niego niewiele ciepła. Jest ociążały, niezbyt czujny.

To była jedyna szansa w życiu.

Keller momentalnie podjęła decyzję. Nie było czasu ani potrzeby, żeby się nad tym zastanawiać. Istoty świata nocy chciały zniszczyć świat ludzi. A było ich wiele - wampiry, ciemne czarownice i ghule. Ale to zupełnie inna potęga. Mając po swojej stronie smoka, świat nocy mógł zniszczyć Krąg Świtu i wszystkie inne moce, które chciały uratować ludzi, przed zbliżającym się końcem świata. To były nieporównywalne siły.

A co do tej dziewczynki w sklepie, Iliany - dziecka czarownic, Pierwotnej Mocy, która miała pomóc w ratowaniu ludzkości - to jeśli nie posłucha smoka, ten rozgniecie ją jak muchę.

Keller nie mogła do tego dopuścić.

Rozpoczęła przemianę natychmiast, gdy o tym pomyślała. Dziwnie się czuła, robiąc to w miejscu publicznym, wśród ludzi. To było sprzeczne z podstawowymi zasadami, jakie jej wpajano. Ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Uczucie było miłe. Zawsze. Bolesne w przyjemny sposób, jak uczucie, które się ma, kiedy zdejmuje się z ciała za ciasny opatrunek. Ulga.

Zmieniała się. Przez chwilę czuła się tak, jakby wcale nie miała ciała. Była płynna, była energią o formie równie stałej, jak płomień świecy. Była... wolna.

Po czym ramiona jej się ściągnęły, ręce zyskały muskulaturę. Palce się skracały, a na ich miejsce wyrastały długie zakrzywione pazury. Nogi zmieniały kształt, stawy się przestawiały. A z czulego miejsca na końcu kręgosłupa, miejsca, które zawsze wydawało się niedokończony, gdy była w ludzkiej formie, wyrastało coś długiego i giętkiego. Strzeliło za nią w dzikiej radości.

Jej kombinezon zniknął. Z prostej przyczyny - nosiła ubrania zrobione wyłącznie z sierści innych zmiennokształtnych. Nawet jej buty były wykonane z martwego zmiennokształtnego.

Teraz zostały zastąpione jej własnym futrem, gęstym, czarnym i jedwabistym, z ciemniejszymi czarnymi rozetkami. Czuła się w nim kompletna.

Ręce - teraz przednie łapy - uderzyły miękko o ziemię.

Twarz stała się niezwykle wrażliwa - z policzków wyrastały jej długie wąsy. Uszy zastrzygły w oczekiwaniu. Z piersi próbował się wyrwać chrapliwy pomruk, ale podtrzymała go. Pantera była najlepszym łowcą na świecie. Jej następny ruch był instynktowny. Przez moment mierzyła wzrokiem dystans dzielący ją od czarnowłosego chłopaka. Podkraśla się o jakieś dwa kroki, przyczajona nisko nad ziemią. Poczym skoczyła. Szybko. Sprężyste. I cicho. Jej ciało było w ruchu. To był długi skok, którym dopada się ofiarę bez ostrzeżenia. Wylądowała na plecach ciemnowłosego chłopaka, wbijając ostre jak brzytwa pazury.

Jej szczęki zacisnęły się na jego karku. Tak zabijają pantery - przegryzając kręgosłup.

Chłopak zawył z wściekłości i bólu. Próbował ją złapać, kiedy jej ciężar powalił go na podłogę. Ale bez skutku. Pazury pantery wbiły się zbyt głęboko w jego ciało, by mógł ją stracić, a szczęki zaciskały się z siłą zdolną połamać kości. Do jej ust spłynęło trochę krwi, którą odruchowo zlizwała szorstkim językiem.

Głośniejsze krzyki. Miała nikłą świadomość tego, że zaatakowały ją wampiry, próbując odebrać od ofiary, a ochroniarze sklepowi wrzeszczeli. Zignorowała to. Nie liczyło się nic, poza odebraniem życia, które ścisnęła w swoich pazurach.

Nagie znajdujące się pod nią ciało wydało pomruk. Był tak niski, że ludzkie ucho nie mogło go usłyszeć, ale dla Keller był zarazem delikatny i przerażająco głośny.

A potem świat eksplodował bólem.

Smok złapał ją za futro tuż powyżej prawego barku. Ciemna moc zaczęła wlewać się w nią. To była ta sama ciemna moc, której użył przeciw Winnie, ale tym razem miał bezpośredni kontakt.

Przeszywający ból przyprawiał ją o mdłości. Każde zakończenie nerwowe w ciele Keller zdawało się płonąć, a ramię paliło żywym ogniem. Jej mięśnie drżały mimowolnie, a w ustach poczuła metaliczny smak, ale nie puściła ofiary. Trzymała się z determinacją, pozwalając falom energii przelewać się przez nią, próbując odciąć umysł od bólu.

Przerażała ją nie tyle moc, ale wyczuwalny za nią smoczy umysł. Czowała potworne zimno. Jądro bezmyślnej nienawiści i zła, które zdawało się sięgać do zarania czasu. Ten stwór był stary. I chociaż Keller nie wiedziała, czego szukał, była pewna, na czym się skupiał.

Zabić ją. Tylko na tym mu zależało.

I oczywiście dopnie swego. Keller wiedziała o tym od początku.

Ale najpierw ja zabiję ciebie, pomyślała. Musiała się jednak spieszyć. W centrum handlowym były najprawdopodobniej też inne istoty nocy. Ci tutaj mogli wezwać posiłki *Nie zmusisz mnie... bym cię... puściła*, pomyślała. Starła się zacisnąć szczęki. Był znacznie twardszy niż zwykły człowiek. Szczęki pantery mogły skruszyć czaszkę młodego bawołu. A teraz słyszała, jak trzeszcza jej mięśnie, ale nadal nie mogła go wykończyć.

Trzymaj się... Trzymaj się... Czarny ból... Osłepiający... Traciła przytomność. *Dla Winnie*, pomyślała. Nagle poczuła siłę. Ból przestał mieć znaczenie. Poderwała głowę, próbując skrócić smokowi kark, szarpiąc nią we wszystkie strony.

Znajdującym się pod nią ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Czowała, że traci siły, słabnie, co oznaczało, że śmierć jest blisko. Keller wypełniła dzika radość.

Po chwili uświadomiła sobie coś jeszcze. Ktoś ściągał ją ze smoka. Ale nie tak nieudolnie jak ci kolesie z centrum. Ten robił to umiejętnie. Dotykał punktów uciskowych tak, by rozwarła szczęki, a nawet wsuwając palec w jej paszczę, pod krótkie przednie zęby, które znajdowały się pomiędzy śmiertcionośnymi kłami.

Nie! - pomyślała Keller. Z gardła pantery wyrwał się krótki, dławiący warkot. Wierzgnęła tylnymi łapami, próbując rozpruć nowego napastnika.

Nie. Głos odezwał się w jej umyśle. Chłopiący głos. I nie było w nim słyhać strachu, mimo że Keller nadal próbowała przerobić mu brzuch na spaghetti. Był zaniepokojony i stroskany, ale nie przestraszony. **Proszę, musisz puścić.**

Mówiąc to, dotykał kolejnych punktów uciskowych. Keller słabła. Przed oczami stanęły jej gwiazdy. Poczula, że puszcza smoka.

A potem ktoś ją szarpnął i upadła. Pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi wyładowało na obrońcy smoka. Kręciło jej się w głowie...

Obraz się rozmazał, a ciało wydawało się, jakby było z gumy. Ledwo starczyło jej siły, żeby odwrócić głowę w stronę chłopaka, który ją odciągnął.

Kim on był?

Spojrzała w błyszczące złoto zielone oczy.

Prawie jak oczy lamparta. To nią wstrząsnęło. Włosy koloru starego złota okalały bladą i zmęczoną twarz o idealnych rysach. Oczywiście, człowiek. A te oczy zdawały się raczej płonąć niepokojem i przejęciem niż zwierzęcą furją.

Rzadko który człowiek mógł w ten sposób patrzeć na rozłoszczoną panterę.

Znów usłyszała jego głos w myślach.

Czy wszystko w porządku?

A potem, tylko przez chwilę, coś się stało. Tak jakby zerwano wszystkie blokady. Keller poczuła w swojej głowie nie tylko jego głos, ale też jego niepokój. Czula... go.

Ma na imię... Galen. Pomyślała, że jest to ktoś, kto urodził się, żeby dowodzić. Rozumie zwierzęta. Inny zmiennokształtny?

Ale nie czuję, w jakie zwierzę się przemienia. I nie jest wcale krwiożerczy.

Nie rozumiała tego, a mózg pantery wcale nie chciał się nad tym zastanawiać. Skupiał się na tu i teraz, i chciał tylko dokończyć to, co zaczęła.

Oderwała spojrzenie od Galena i spojrzała na smoka.

Tak, wciąż żył, ale był ciężko ranny. Z gardła Keller dobiegł cichy warkot. Wampirzy pomocnicy też żyli, jeden podniósł rannego smoka i ciągnął go do wyjścia.

- **Zmywamy się!** - krzyczał spanikowany. - **Zanim kot się ocknie...**

- **Ale dziewczyna!** - odpowiedział drugi. - **Nie mamy dziewczyny!**

Rozejrzał się wokół. Iliana stała obok regału z porcelanowymi figurkami, blada. Obejmowała dłońmi gardło i wyglądało na to, że jest w szoku.

Drugi wampir ruszył w jej stronę. *Nie*, pomyślała Keller. Ale nie mogła się poruszyć. Mogła tylko leżeć bezradnie i wpatrywać się w niego płonącymi oczami.

- *Nie!* - Usłyszała głos, tym razem już nie w swojej głowie, ale na zewnątrz. Galen poderwał się z ziemi. Stał pomiędzy Wampirem i Ilianą.

Wampir uśmiechnął się wyjątkowo złośliwie:

- **Nie wyglądasz na wojownika.**

Keller pomyślała, że nie jest to prawda. Do tego Galen był piękny. Wyglądał jak księżę z bajki. Raczej młody i niedoświadczony księżę. Nie cofnął się. Minę miał stanowczą i groźną.

- **Nie pozwolę ci się do niej zbliżyć** - powiedział spokojnie.

Kim jest ten chłopak? - zastanawiała się Keller. Przerazona Iliana też na niego patrzyła. I wtedy Keller zobaczyła, jak dziewczyna się... rozplywa. Jej ostre rysy złagodniały, rozchyliła usta. Oczy zdawały się płonąć wewnętrznym światłem. Wciąż kulila się w obawie przed wampirem, ale jej ciało odrobinę się rozluźniło.

Galen na pewno bardziej niż Keller przypominał obrońcę uciśnionych. Po pierwsze był czysty, podczas gdy futro Keller lepiło się od smoczej i jej własnej krwi. Poza tym nie mogła pohamować chrapliwych pomruków wściekłości i rozpacz, które dochodziły spomiędzy ociekających krwią zębów z jej umazanego na czerwono pyska.

Jaka szkoda, że zaraz zostanie zabity.

Bo on nie był wojownikiem. Keller widziała wewnątrz jego umysłu i wiedziała, że nie miał w sobie instynktu drapieżnika! Zmasakruje go.

Wampir ruszył do ataku.

Od strony wejścia do sklepu rozległ się głos:

- Nie ruszać się.

Rozdział 3

Keller odwróciła szybko głowę.

W wejściu stała Nissa, spokojna i niewzruszona jak zawsze, z jedną ręką opartą o biodro. Jej krótkie jasnobrązowe włosy nie były nawet zwichrzone, a o kilka tonów ciemniejsze oczy wyrażały pewność. W ręku trzymała ostro zakończony kij do walki z twardego drewna. Keller warknęła z ulgą. Nie można było oczekiwać od Nissy, że będzie twórcza - jej mózg tak nie działał. Ale przy jakimkolwiek zadaniu wymagającym logiki była nie do pobicia. No i miała nerwy ze stali. A co ważniejsze, potrafiła doskonale walczyć.

- **Skoro chcesz się bawić, to może spróbujesz ze mną?** - Zaproponowała i wykonała kijem kilka mistrzowskich ruchów, zaświszczała, kreśląc w powietrzu skomplikowaną figurę, i spoczął na jej ramieniu. Po czym wycelowała ostrze kija w stronę wampirzego gardła.

- **Tak jest! I nie zapominaj o mnie** - Ten głos był słaby i drżący, ale równie zacięty. Dochodził zza lady. Winnie podniosła się z ziemi. Kaszlnęła, po czym wyprostowana zwróciła się w stronę wampira. Pomarańczowa i pulsująca energia jarzyła się w jej złączonych dłoniach. Moc czarownic.

Żyjeś, pomyślała Keller. Nie mogła powstrzymać ulgi.

Wampir wodził wzrokiem od dziewczyny do dziewczyny. Po czym spojrzał na Keller. Pante-
ra leżała na boku, starając się zmusić swoje łapy do pracy. Ogon dziko uderzał o podłogę.

- **Chodź!** - krzyknął drugi wampir. Uginając się pod ciężarem smoka, starał się dotrzeć do drzwi. - **Musimy stąd zabrać Azhdehę. On jest najważniejszy.**

Pierwszy wampir wahał się przez moment, po czym odwrócił się na pięcie i rzucił za swoim przyjacielem. Razem wyciągnęli smoka ze sklepu.

Po czym zniknęli.

Keller warknęła jeszcze raz i poczuła, jak się przeobraża. Tym razem to nie było tak przyjemne jak przed chwilą. Czuła się tak, jakby wciskała się do skorupy ślimaka. Pazury zniknęły, ogon rozplątał się w powietrzu. Zamieniła się w człowieka.

- **Szefie, wszystko w porządku?** - Winnie podeszła do niej chwiejnym krokiem.

Keller podniosła głowę. Czarne włosy rozsypały się po posadzce. Wsparła się na rękach i rozejrzała wokół, oceniając sytuację.

W sklepie było cicho. Panował też potworny bałagan. Upadek Winnie stracił ze ściany większość ozdobnych talerzy i zegarów. Podczas walki Keller i smok połamali mnóstwo półek.

Wszędzie poniewierały się potłuczone ozdoby choinkowe, pokrywając podłogę błyszczącymi drobinkami szkarłatu, głębokiej zieleni i fioletu. Zupełnie jak w gigantycznym kalejdoskopie. A na zewnątrz zbierał się tłum. Potyczka trwała najwyżej pięć minut, ale uciekający ludzie zdążyli pewnie zawiadomić ochronę, Keller zajęta walką zignorowała ten szczegół. Ale teraz należało się tym zająć.

Do sklepu zbliżali się ochroniarze, a ktoś na pewno zadzwonił po policję.

Znów podparta się rękami i tym razem udało jej się wstać.

- **Nissa.** - Gardło bolało ją, gdy mówiła. - **Gdzie samochód?**

- Na dole. - Nissa wskazała podłogę. - **Dokładnie pod nami, zaparkowany przed ciastkarnią pani Fields.**

- **Ok. Zabieramy Ilianę.** - Keller spojrzała na dziewczynę o błyszczących włosach, która do tej pory nie odezwała się ani słowem. - **Możesz iść?**

Iliana wybałuszyła na nią oczy. Nic nie odpowiedziała. Keller uznała, że to z przerażenia i szoku. Trudno się dziwić, w ciągu ostatnich kilku minut sporo się działo.

- **Wiem, że to wszystko może wydawać się dziwaczne i pewnie się zastanawiasz, kim jesteśmy. Wszystko ci wyjaśnię. Ale teraz musimy się stąd wynosić. Jasne?** Iliana skurczyła się trochę i zaczęła trząść.

Bohaterką to ty nie jesteś, pomyślała Keller. I niezbyt szybko łapiesz, o co chodzi. Uznała jednak, że jest niesprawiedliwa. Dziewczyna była dzieckiem czarownicy. Musiała mieć ukryte moce.

- **Chodź** - Galen zwrócił się łagodnie do Iliany. - **Ona ma rację. Tu nie jest bezpiecznie.**

Iliana popatrzyła na niego uważnie. Wyglądało na to, że się z nim zgadza. Chwilę później przebiegł ją dreszcz, zamknęła oczy i zemdląła.

Galen złapał ją, nim upadła.

Keller patrzyła oniemiała.

- **Jest zbyt czysta, by mierzyć się z czymś takim - usprawiedliwiła ją Winnie. - Z przemocą i tak dalej. To nie znaczy, że jest tchórzem.**

Właśnie w tej chwili Keller naszły pierwsze wątpliwości, czy dziewczyna na pewno była Pierwotną Mocą.

Galen spojrzał na dziewczynę leżącą w jego ramionach. Potem na Keller.

-Ja...

- **Weź ją. A my cię okrążymy i będziemy osłaniać** - przerwała mu Keller.

Jej fryzura zamieniła się w czarny cyklon. Lśniący kombinezon był porwany i poplamiony. Zaciskała rękę na prawym ramieniu, które wciąż krwawiło. Ale mimo to musiała sprawiać władcze wrażenie, bo Galen nie odezwał się już słowem, tylko skinął głową i podszedł do drzwi.

Nissa szła przed nim. Winnie i Keller zamykały kolumnę. Były gotowe do walki, ale gdy ochroniarze z krótkofalówkami zobaczyli wampirzycę potrząsającą kijem, cofnęli się. Gapie zwabieni hałasem po prostu uciekli. Wielu krzyczało.

- **Marsz!** - rzuciła Keller. - **Szybko. Idziemy.**

Bez przeszkód dotarli do sklepu pani Fields. Dziewczyna w czerwonym fartuchu przywarła do ściany, gdy uciekinierzy przepychali się za ladę. Wpadli na zaplecze zastawione przemysłowymi piecami. Chudy chłopak upuścił z brzękiem tacę, a kawałki surowego ciasta poleciały na podłogę.

Chwilę później grupa Keller wypadła na zewnątrz, wprost na samochód, białą limuzynę zaparkowaną niezgodnie z przepisami na krawężniku. Nissa wyciągnęła kluczyki i nacisnęła guzik. Słychać było, jak drzwi się odblokowują.

- **Do środka!** - Keller krzyknęła do Galena. Wsiadł. Winnie obiegła samochód i wskoczyła z drugiej strony. Nissa wślizgnęła się za kierownicę. Keller weszła jako ostatnia i od razu kazała ruszać, zanim jeszcze zatrzasnęła drzwi.

Nissa wcisnęła gaz do dechy.

Limuzyna wyskoczyła do przodu - w tym samym momencie z tyłu wyjechała terenówka ochrony. A przed nimi zatrzymał się samochód policyjny.

Nissa była doskonałym kierowcą. Zaciągnęła ręczny hamulec i zręcznie ominęła przeszkodę. Wypadła z parkingu inną drogę. Podczas gdy wampirzyca wyprzedzała kolejne samochody,

do pościgu dołączył kolejny patrol, tym razem na sygnale, Dziewczyna przyspieszyła. Zbliżali się do wjazdu na autostradę.

- **Trzymać się!**

Mijali wjazd, kiedy samochód zrobił zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, wszyscy na siebie po wpadali. Keller zacisnęła zęby, gdy zranionym ramieniem uderzyła w szybę. I już pędzili w stronę autostrady.

Krople deszczu zabębniły o szyby. Keller wyjrzała ponad ramieniem Nissy i się uśmiechnęła. Mało prawdopodobne, aby w tym lodowatym deszczu i niskiej szarej mgle ścigano ich helikopterem. Kiedy limuzyna wyprzedziła jeszcze kilka samochodów, Winnie odwróciła się do tyłu i wyszeptwała czar, by zmylić i opóźnić pościg.

- **Zgubiliśmy ich** - stwierdziła Nissa. Keller usiadła wygodniej i wypuściła powietrze. Po raz pierwszy od wejścia do centrum handlowego pozwoliła sobie na odrobinę relaksu.

Udało się.

W tej samej chwili Winnie uderzyła pięścią w oparcie:

- **Udało się! Keller, mamy Pierwotną Moc! My...** - zamilkła, widząc wyraz twarzy koleżanki. - **I... Ehm... Chyba nie posłuchałam rozkazu.**

Bezmyślnie uderzała pięścią w fotel. Spuściła głowę.

- **Ehm... Przepraszam, szefie.**

- **No, ja myślę** - odpowiedziała Keller. Chwilę wpatrywała się w czarownicę, po czym dodała - **Mogłaś zginąć, co... było by kompletnie bez sensu.**

Winnie się skrzywiła.

- **Wiem... Puścili mi nerwy. Przepraszam.** - Po czym uśmiechnęła się nieśmiało. Drużyna Keller wiedziała, jak postępować ze swoim szefem.

- **Ja też przepraszam** - Nissa odezwała się zza kierownicy. Zerknęła na Keller. - **Miałam nie opuszczać samochodu.**

- **Ale uznałaś, że przyda nam się pomoc.** - Keller skinęła głową, patrząc w odbicie brązowych oczu Nissy w lusterku wstecznym. - **Cieszę się, że to zrobiłaś.**

Na policzki wampirzycy wkradł się delikatny rumieniec zadowolenia.

Galen chrząknął.

- **Ehm... Jak już przy tym jesteśmy, to ja też przepraszam. Nie zamierzałem wpaść w środek waszej misji.**

Keller spojrzała na niego.

Uśmiechał się delikatnie, jakby niepewnie. Zupełnie jak Winnie. Ładny uśmiech. Jeden kącik ust uniósł się do góry, nadając jego twarzy psotny wyraz. Złotozielone oczy wyrażały żal za to, co się stało i nadzieję na przyszłość.

- **Właśnie, kim ty właściwie jesteś?** - Winnie zmierzyła go roziskrzonym wzrokiem. - **Przysłał cię Krąg Świtu? Podobno miałyśmy same wykonywać tę misję.**

- **No tak. Należę do Kręgu Świtu, ale nikt mnie nie wysłał. Ja po prostu... No, byłem przed sklepem i nie mogłem się beczynnie przyglądać...** - zamilkł. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

- **Jesteś na mnie zła, co?**

- **Zła?** - Keller odetchnęła głęboko. - **Jestem wściekła!**

Mrugnął.

- **Ale ja...**

- **Zatrzymałeś mnie! Mogłam go zabić!**

Złotozielone oczy rozszerzyły się ze zdumienia, jakby na wspomnienie bólu.

- To on ciebie zabija!

- Wiem - prychnęła. - Nieważne, co się stanie ze mną. Nie rozumiesz, kim jest? Winfrith spojrzała poważnie.

- Ja nie wiem. Ale zaatakował mnie czymś potężnym. Taką samą czystą energią, jakiej używam ja, ale ze sto razy silniejszą.

- To smok - powiedziała Keller. Nissa wyprostowała się sztywno, ale Winnie tylko pokiwała głową z niedowierzaniem. - Takich zmiennokształtnych nie widziano od trzydziestu tysięcy lat.

- Może się zmieniać w smoka? Keller się nie roześmiała.

- Oczywiście, że nie. Nie wygłupiaj się. Nie wiem, co może zrobić, ale jest smokiem. W środku.

Winnie lekko zzieleniała na twarzy, gdy wreszcie zrozumiała, o co chodzi. Keller odwróciła się do Galena.

- I właśnie jemu pozwoliłeś wydostać się na świat. To była jedyna okazja, by go zabić. Już nigdy nie uda się go tak podejść z zaskoczenia. A to oznacza, że wszystko, co od tej pory zrobi smok, będzie twoją winą.

Galén zacisnął oczy. Wyglądał, jakby miał zemdleć.

- Przepraszam. Ale kiedy cię zobaczyłem... Nie mogłem pozwolić ci zginąć...

- Mnie można zastąpić. Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno ciebie też. Jedyną niezastąpioną osobą w tym towarzystwie jest ona. - Keller wskazała na Ilianę, która leżała na siedzeniu obok Galena, otoczona chmurą srebrnozłotych włosów. - I jeśli myślisz, że ten smok po nią nie wróci, to chyba oszalałeś. Umarłabym szczęśliwa, gdybym wiedziała, że go wyeliminowałam.

Kiedy skończyła mówić, zobaczyła w oczach chłopaka błysk, który szybko zniknął.

- Można mnie zastąpić. I przepraszam. Nie pomyślałem...

- No właśnie! Nie pomyślałeś! A teraz cały świat na tym ucierpi!

Galén zamilkł i skurczył się w fotelu. A Keller poczuła się dziwnie. Wmawiała sobie, że na to zasłużył.

Ale tak bardzo zbladł i miał taką smutną minę. Jakby nie tylko zrozumiał, co powiedziała, ale też rozważał jej słowa w myślach. Widok bólu na jego twarzy był nie do zniesienia.

Nagle przypomniała sobie chwilę, kiedy znalazła się w jego umyśle. To było takie szczęśliwe miejsce, ciepłe i otwarte, bez ciemnych zaułków i ponurych jam.

A teraz to zniknie na zawsze. Pojawi się w nim rozpadlina, wypełniona przerażeniem i wstydem. Ślad, który będzie nosił do końca swych dni.

Cóż, witamy w rzeczywistości, pomyślała. Ale w gardle coś ją zapiekło. Spojrzała w szybę.

- Widzisz, to naprawdę ważne, żeby Iliana była bezpieczna - Winfrith mówiła cicho do Galena. Nie zapytał dlaczego, tak jak wcześniej nie zdziwił się, kiedy usłyszał, że Iliana jest niezastąpiona. Ale Winnie i tak postanowiła mu to wytłumaczyć.

- Jest Pierwotną Mocą. Rozumiesz?

- Jasne - wyszeptał.

- No, niekoniecznie, większość ludzi nie wie. A ona jest nie tylko Pierwotną Mocą, ale też dzieckiem czarownic. Kimś, kogo my, czarownice, wyczekiwałyśmy od wieków. Przepowiednie mówią, że ona połączy czarownice i zmiennokształtnych. Wyjdzie za syna z pierwszego domu. W ten sposób obie rasy się zjednoczą i będzie-

my w stanie zapobiec końcu świata, który ma nastąpić na przełomie tysiącleci. - Winnie zabrakło powietrza. Przekrzywiła głowę i zapytała - **Nie wyglądasz na zaskoczono- nego. Kim jesteś? Nie przedstawiłeś się.**

- **Ja?** - Wciąż patrzył w dal. - **Jestem nikim, w porównaniu z wami.** - Po czym uśmiech- nął się cierpko. - **Kimś, kogo można zastąpić.**

Nissa wymieniła z Keller spojrzenia we wstecznym lusterku. Keller tylko wzruszyła ramionami. Winnie sporo zdradziła nieznanemu. Ale to nie miało znaczenia. Nie był wrogiem. A poza tym przeciwnicy i tak wiedzieli o wszystkim. Udało im się ustalić, że Iliana jest trzecią Pierwotną Mocą. Smok to potwierdzał. Gdyby nie byli pewni, nie wysłaliby go. Tak czy inaczej pora pozbyć się tego wścibskiego gościa. Nie mogły go przecież zabrać do kryjówki.

- **Czy ktoś nas śledzi?** - zapytała Keller. Nissa pokręciła głową:

- **Już dawno ich zgubiłam.**

- **Jesteś pewna?**

- **W stu procentach.**

- **Ok. Zjedź z autostrady i się zatrzymaj.** - Odwróciła się do Galena. - **Mam nadzieję, że trafisz stąd do domu.**

- **Chcę jechać z wami.**

- **Nic z tego, mamy ważne sprawy do załatwienia.** - Nie musiała dodawać, że on do nich nie należy.

- **Posłuchaj.** - Galen nabrał głęboko powietrza. Jego blada twarz wyrażała zmęczenie i napię- cie, jakby od chwili wejściu do limuzyny minęły trzy długie dni. W jego oczach było coś bli- skiego desperacji. - **Muszę z wami pojechać. Muszę pomóc, zrekompensować to, co zrobiłem. Muszę to naprawić!**

- **Nie możesz** - powiedziała to nawet bardziej szorstko, niż planowała. - **Nie przeszedłeś treningu, to nie twoja sprawa. Nie nadajesz się.**

Popatrzył na nią. Nie zaprzeczył. Jego złotozielone oczy były przeciwieństwem matowych oczu smoka. Zawstydziła się. Mogła w nich czytać jak w otwartej księdze. Niekończącą się rozpacz. Smutek tak wielki, że nią wstrząsnął.

Wiedziała, że pokazanie jej tych obrazów sporo go kosztowało, takie otwarcie się i odsłonie- cie. Ale wciąż się w nią wpatrywał.

- **Nie rozumiesz** - szepnął. - **Muszę wam pomóc. Wiem, że nie dorastam ci do pięt jako wojownik, ale...** - zawahał się. - **Nie chciałem tego mówić...**

W tym momencie Iliana jęknęła i usiadła.

A przynajmniej próbowała. Nie do końca jej się udało. Przyłożyła rękę do głowy i zaczęła się zsuwać z fotela. Galen podtrzymał ją i otoczył ramieniem.

- **Wszystko w porządku?** - Keller nachyliła się, próbując zobaczyć wyraz twarzy dziew- czyny. Winnie zaciekawiona też się pochyliła w jej stronę.

- **Jak się czujesz? Nie jesteś ranna, prawda? Po prostu zemdlałaś z wrażenia.**

Iliana rozejrzała się po samochodzie. Wyglądała na dezorientowaną.

Była niezwykle piękna. Z bliska wyglądała jak kwiat albo dziewczyna stworzona z kwiatów. Miała brzoskwiniową cerę i fiołkowe oczy. Pszeniczne włosy błyszczały nawet w przyćmio- nym świetle samochodu. Miała małe zgrabne dłonie, a palce składały się jak płatki kwiatów.

- **Móc cię poznać to zaszczyt** - zwróciła się do niej Winnie i oficjalnym tonem wygłosiła tradycyjne pozdrowienie czarownic. - **Jedność, córko Hellewise. Jestem Winfrith Ar-**

lin. -uśmiechnęła się. - **A tak naprawdę Ramię Błyskawicy. Moja rodzina jest stara. Prawie tak stara jak twoja.**

Iliana popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Potem przeniosła spojrzenie na mysia czuprynę Nissy. Następnie na Keller. Potem nabrała głęboko powietrza i zaczęła krzyczeć.

Rozdział 4

Winnie zaniemówiła.

- **Wy... Wy... Trzymajcie się ode mnie z daleka.** - wykrztusiła Iliana, po czym wzięła kolejny haust powietrza i znów zaczęła krzyczeć. Keller stwierdziła, że dziewczyna ma niezłą płuca. Nie dość, że krzyki były naprawdę donośne, to jeszcze przesywające i tak wysokie, że mogły rozbić szkło. Dla czułych bębenków Keller te dźwięki były jak szpile.

- **Wszyscy!** - Iliana wyciągała przed siebie ręce, jakby próbowała się osłonić przed napastnikami. - **Wpuśćcie mnie. Chcę do domu!**

Twarz Winnie trochę się rozpogodziła.

- **Pewnie, że chcesz. Ale, widzisz, tam nie będziesz bezpieczna. Zabieramy cię w inne miejsce.**

- **Porwaliście mnie! O Boże, zostałam porwana! Ale moi rodzice wcale nie są bogaci. Czego chcecie?**

Winnie spojrzała na Keller, licząc na pomoc.

Zmiennokształtna przyglądała się zdobyczy z ponurą miną. Sytuacja nie zapowiadała się kolorowo.

- **To zupełnie nie tak** - odezwała się spokojnym tonem, starając się złagodzić histerię dziewczyny.

- **Ty! Nawet się do mnie nie odzywaj!** - Iliana przerażona machnęła ręką w stronę Keller.

- **Widziałam! Zmieniłaś się. Byłaś potworem! Wszędzie była krew. Zabiłaś tamtego człowieka!** - Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła łkać.

- **Nie zabiła go.** - Winnie położyła dłoń na jej ramieniu. - **A tak w ogóle, to on zaatakował mnie pierwszy.**

- **Nieprawda! Nawet cię nie dotknął** - szepnęła zduszonym, rwącym głosem.

- **Nie, nie dotknął mnie, ale...** - Winnie urwała, zamyślona. Spróbowała ponownie. - **Nie rękami, ale...**

Siedząca z przodu Nissa pokręciła lekko głową, ubawiona całą sytuacją.

- **Szefie...**

- **Panuję nad sytuacją** - odpowiedziała jej ponuro Keller To będzie trudne. Iliana nie zdała sobie nawet sprawy z tego, że smok był zły. Widziała przecież tylko zwykłego chłopaka, dziewczynę, która przeleciała przez sklep z nieznanymi powodów i czarną panterę, atakującą bez powodu. Keller bolała głowa.

- **Chcę do domu** - powtórzyła Iliana. Nagle z niewiarygodną szybkością sięgnęła do klamki. Tylko dzięki zwierzęcemu refleksowi Keller udało się ją powstrzymać, ale ten ruch wywołał kolejną falę bólu w jej zranionym ramieniu.

O dziwo, w tym momencie przez twarz Galena też przebiegł i grymas bólu. Delikatnie posadził Ilianę z powrotem na miejscu.

- Proszę, nie rób tego więcej. Wiem, że to wszystko wydaje ci się bardzo dziwne. Ten chłopak, który z tobą rozmawiał, miał cię zabić. A Keller cię uratowała. A teraz chcą cię zabrać w bezpieczne miejsce i wszystko ci wytłumaczyć.

Iliana podniosła głowę i spojrzała na niego. W końcu szepnęła.

- Jesteś w porządku. Wiem o tym.

- **Wie?** - zdziwiła się Keller. Widzi coś w jego oczach? A może po prostu widzi, że jest przystojnym blondynem o długich rzęsach?

- **Pojedziesz z nią?** - zapytał.

Iliana przełknęła ślinę, pociągnęła nosem i w końcu skinęła głową.

- **Ale tylko, jeśli ty pojedziesz z nami. I tylko na chwilę. Potem chcę wrócić do domu.**

Twarcz Winfrith się rozpozodziła, przynajmniej trochę. Keller przestała pilnować drzwi, ale wcale nie była zadowolona.

- **Prosto do kryjówki, szefie?** - zapytała Nissa, zwracając na autostradę.

Keller ponuro skinęła głową. Spojrzała na Galena.

- **Wygrałeś.** - Nie musiała nic więcej mówić. Dziewczyna zgodziła się na jazdę, jeśli i on pojedzie. A to sprawiało, że stał się częścią zespołu.

- **Na razie.**

Uśmiechnął się delikatnie. Nie był to uśmiech wyższości ale Keller ponownie mu się przyjrzała.

Nic nie szło zgodnie z planem. Może i Winnie nadal wierzyła w swoje dziecko czarownic, ale Keller miała coraz więcej wątpliwości.

Wszyscy wpakowali się w poważne kłopoty.

A do tego w każdej chwili mógł za nimi ruszyć smok. A w ogóle to jak szybko zdrowieją smoki?

Poważne kłopoty, pomyślała.

Kryjówką okazał się zwykły parterowy dom. Należał do Kręgu Świtu i nie wiedział o nim nikt ze świata nocy.

Przynajmniej teoretycznie. W praktyce żadne miejsce nie było tak naprawdę bezpieczne. Gdy tylko ukryli samochód pod obrośniętą bluszczem wiatą i Keller zameldowała się telefonicznie w kwaterze głównej Kręgu Świtu, nakazała Winnie nałożyć zakłęcie ochronne na dom.

- **Muszą być przygotowane, jeśli ktoś będzie się próbował wdrzeć do środka.** -

Czarownica zaczęła się krzątać, wykonując magiczne czynności przy drzwiach i oknach.

Nissa powstrzymała Keller, która chciała sprawdzić wnętrze.

- **Lepiej obejrzymy twoją rękę.**

- **Nic jej nie jest.**

- **Ledwo nią ruszasz.**

- **Daję sobie radę. Opatrz Winnie. Naprawdę mocno walnęła o ścianę.**

- **Już się nią zajęłam. To, że jesteś naszą przywódczynią, nie znaczy, że nie musisz o siebie dbać. Czasem mogłabyś przyjąć pomoc.**

- **Nie marnujmy na mnie czasu!** - Keller zawróciła do salonu.

Pozostawiła Ilianę pod opieką Galena. Nie powiedziała mu tego wprost, tylko zostawiła ich razem. Chłopak przyniósł z lodówki piwo imbirowe i chusteczki z łazienki. Iliana siedziała zwinięta na kanapie, trzymała napój i ocierała oczy, podskakując na każdy dźwięk.

- Dobra, spróbuję jej to wszystko wytłumaczyć. - Keller przyciągnęła sobie pufę. Winnie i Nissa cicho usiadły za nią. -Zdaje się, że najpierw powinnam ci opowiedzieć o świecie nocy. Wiesz, o czym mówię?

Iliana pokręciła głową.

- Większość ludzi nie wie. To organizacja, należą do niej : wampiry, zmienno-kształtni i czarownice; no, czarownice akurat z niej wystąpiły. Pozostało tylko kilka najciemniejszych wiedźm z Kręgu Północy.

- Wampiry... - wyszeptała Iliana.

- Jak Nissa - powiedziała Keller. Nissa uśmiechnęła się wyjątkowo szeroko, ukazując ostre kły. - A Winnie to czarownica.

- Kim ja jestem już wiesz. Wszystkie należymy do Kręgu Świtu i próbujemy żyć z innymi w pokoju.

- Większość przedstawicieli świata nocy nienawidzi ludzi - dodała Winnie. - Maja tylko dwa prawa: nie wolno im mówić o świecie nocy i nie wolno się zakochać w człowieku.

- Do nas może przystąpić każdy - dorzuciła Keller.

- I do tego jestem wam potrzebna? - zdziwiła się Iliana.

- No, niezupełnie. - Keller otarła dłonią czoło. - Postępuj, najważniejszą rzeczą, którą musisz wiedzieć o Kręgu Świtu jest to, czym się zajmuje i do czego stara się nie dopuścić - Keller zamilkła, ale nie znalazła delikatniejszego sposobu, by to powiedzieć - do końca świata.

- Końca świata?

Keller nie uśmiechnęła się ani nie mrugnęła, po prostu czekała, podczas gdy Iliana mamrotała coś i prychała z niedowierzaniem, W końcu spojrzała z nadzieją na Galena, oczekując, że chłopak zaprzeczy tym rewelacjom. Kiedy wreszcie się uspokoiła, Keller podjęła opowieść.

- Zbliża się koniec tysiąclecia. Kiedy nadejdzie, nastąpią ciemności. Wampiry chcą, by to nastąpiło. Chcą, by ciemność zniszczyła ludzką rasę. Uważają, że wtedy one będą rządzić światem.

- Koniec świata... - powiedziała Iliana.

- Tak. Mogę ci pokazać dowody, jeśli chcesz. Dzieje się teraz mnóstwo rzeczy, które to potwierdzają. Świat popada w nieład, a niedługo się rozpadnie. Potrzebujemy ciebie z powodu proroctwa.

- Ja chcę do domu.

Pewnie, że chcesz, pomyślała Keller. Przez chwilę współczuła tej dziewczynie.

- Takiego jak to - zacytowała:

*Czworo stanie pomiędzy światłem i mrokiem.
Czworo z błękitnej ogniska, co mocą pulsuje.
Urodzonych w roku wizji ślepej Dziewicy.
Czworo bez jednego, a ciemność zatriumfuje*

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

- Cztery Pierwotne Moce - kontynuowała Keller. - Czworo istot o specjalnym darze, którego nie ma nikt inny. Każde z nich urodziło się siedemnaście lat temu. Jeśli uda nam się zebrać całą czwórkę, to powstrzymamy ciemności.

Iliana kręciła głową, odsuwając się nawet od Galena. Za to Keller, Winnie i Nissa wstały i podeszły bliżej. Otaczali ją wszyscy, zjednoczeni.

- Przykro mi - odezwała się Keller. - Przed tym nie uciekniesz. Jesteś tego częścią. Jesteś Pierwotną Mocą.

- I powinnaś się cieszyć! - krzyknęła Winnie, nie mogąc dłużej się opanować. - Pomogiesz ratować świat. Widziałaś, co zrobiłam w sklepie? Z pomarańczowym ogniem?

- Złączyła dłonie. - No to ty jesteś pełna niebieskiego światła, które jest zdecydowanie potężniejsze! Nikt nie wie, co tak naprawdę można nim zrobić.

Iliana rozłożyła ręce:

- Przykro mi. Naprawdę. Odbiło wam. Pomyliliście się. Może i nie jesteście całkiem szurnięci. To, co się działo w tamtym sklepie... - zamilkła i przełknęła głośno ślinę. -

Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. - Zamknęła oczy, jakby to mogło sprawić, że świat wróci do normy. - Nie jestem żadną Pierwotną Mocą - powiedziała stanowczym tonem.

- Jestem po prostu nastolatką.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo - wtrąciła się Nissa.

- Jesteś zagubioną czarownicą - wpadła jej w słowo Winnie. - Nazywasz się Harman. Opiekunka Ogniska Domowego. TO najsztywniejsze czarownice. Są jak... Jak rodzi-
na królewska. A ty jesteś z nich najsztywniejsza. Jesteś dzieckiem czarownic. Czeka-
liśmy na ciebie.

Keller odwróciła się do niej

- Winnie, może nie mówmy jej wszystkiego naraz? Ale czarownica kontynuowała:

- Ty zjednoczysz zmiennokształtnych i czarownice. Wyjdiesz za męża za księcia zmiennokształtnych i potem wszyscy będziemy o tak... - Podniosła dwa splecione palce.

Iliana wpatrywała się w nią:

- Mam tylko siedemnaście lat! Za nikogo nie będę wychodzić!

- Och, wystarczy ceremonia zaręczynowa, jest wiążąca. Czarownice ją uznają i myślę, że zmiennokształtni także.

Spojrzała pytająco na Keller.

Keller potarła dłonią o nos, zakłopotana:

- Jestem tylko szeregowym żołnierzem. Nie mogę się wypowiadać w imieniu zmiennych.

- Winnie odwracała się już z powrotem do Iliany, aż jej loki drżały z przejęcia:

- Naprawdę, wiesz, to niesamowicie ważne, świat nocy jest teraz podzielony.

Wampiry po jednej stronie, czarownice po drugiej. A zmiennokształtni... No, mogą wybrać każdą stronę. A to mogłoby zdecydować o losach bitwy.

- Posłuchaj...

- Czarownice i zmiennokształtni nie byli sojusznikami od trzydziestu tysięcy...

- Co mnie to obchodzi!? Histeria.

Ilia przypominała teraz sześciotygodniowego, prychającego kociaka. Zaciśnięta drobne dłonie w pięści, na szyję i twarz wkradł się rumieniec,

- Nie obchodzą mnie zmiennokształtni i czarownice. Jestem zwykłą nastolatką i mam zwykle życie i chcę do domu! Nie mam pojęcia o walce. Nawet gdybym uwierzyła w to wszystko, nie mogłabym wam pomóc. Nienawidzę wf-u. W ogóle nie mam koordynacji. Na widok krwi robi mi się niedobrze. I... - Rozejrzała się i zachnęła oburzona. - I zgubiłam torebkę.

Keller wstała:

- Zapomnij o torebce.

- Ale w środku była karta kredytowa mamy. Zabije mnie, jak wrócę bez niej do domu. Ja... Gdzie moja torebka?

- Słuchaj, idiotko! - powiedziała Keller - Zaczynaj się martwić o swoją mamę, a nie o jej kartę kredytową.

Ilia się cofnęła. Nawet tak rozhisteryzowana wyglądała przepięknie. Kosmyki włosów przykleiły jej się do zaczerwienionych, mokrych policzków. Oczy okolonie ciężkimi rzęsami pociemniały.

- Nie wiem o co ci chodzi.

- Owszem, wiesz. Co się stanie z twoją mamą, jak nastąpi koniec świata? Uratuje ją wtedy karta kredytowa?

Ilia została zapędzona w kozi róg. Keller słyszała, że zarówno Nissa, jaki Winnie wydają ostrzegawcze dźwięki. Sama doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest to dobra metoda na przeciągnięcie kogoś na swoją stronę. Ale cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Ani panowanie nad sobą.

- Zastanówmy się... - odezwał się Galen, a jego głos był jak kubek zimnej wody. - Może zrobimy krótką przerwę...

- Nie potrzebuję twoich rad! - warknęła Keller. - A jeśli ta idiotka jest zbyt głupia, by to zrozumieć, to musimy jej pokazać!

- Nie jestem idiotką!

- Tylko dużym dzieciakiem? Przestraszona?

Ilia znów zabrakło stów. Ale tym razem w jej fiołkowych oczach pojawił się niespodziewany ogień. Wpatrywała się w Keller i przez chwilę zdawało się jej, że nastąpi przełom. I wtedy coś usłyszała.

Jej uszy wyłapały dźwięk znacznie szybciej niż uszy Winnie i Nissy. Samochód na ulicy.

- Towarzystwo - rzuciła Keller. Zauważyła, że Galen zeszytniał. Czyżby też to usłyszał?

Winnie stanęła za drzwiami. Nissa cicho jak cień podkradła się do okna. Na zewnątrz było teraz ciemno, a wampirze oczy doskonale widziały w ciemnościach.

- Niebieski samochód - wyszeptała Nissa. - Wydaje mi się, że to oni.

- Kto? - zapytała Ilia.

Keller skinęła na nią, by siedziała cicho.

- Winnie?

- Muszę poczekać, aż przejdą przez zakłęcia ochronne - zamilkła, po czym rozpromieniła się. - To ona!

- Kto? - znów zapytała Ilia. - Wydawało mi się, że nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Nieźle kombinuje, logicznie, pomyślała Keller.

- To ktoś, do kogo dzwoniłam. Ktoś, kto przyjechał aż z Nevady i czekał, by cię zobaczyć. - Podeszła do drzwi.

Minęło kilka minut, nim goście wyszli z samochodu - poruszali się powoli. Keller słyszała chrzęst kroków i postukiwanie laski. Otworzyła drzwi.

Na zewnątrz nie było żadnego światła. Sylwetki kryty się w cieniu, dopóki nie dotarli do drzwi.

Kobieta, która weszła do domu, była stara. Tak wiekowa, że pierwszą myślą każdego, kto ją widział po raz pierwszy, było: jakim cudem ona jeszcze żyje? Jej skórę pokrywały setki pół-przeźroczystych zmarszczek. Miała mlecznobiałe włosy, prawie tak piękne jak Iliany, ale pozostało ich niewiele. Jej maleńka figurka była zgięta w pół. Szła, wspierając się jedną ręką na lasce, a drugą obejmując ramię nijakiego młodego człowieka.

Ale oczy, które spojrzały na Keller, na pewno nie były dziecięce. Błyszczały, szare z lekką nutką lawendy.

- Niech błogosławieństwo bogini spłynie na was wszystkich. - Staruszka się uśmiechnęła.

Odpowiedziała jej Winnie:

- Jesteśmy zaszczytzeni twoją obecnością, babciu Harman.

Gdzieś z tyłu Iliana płaczliwie zapytała po raz trzeci:

- Kto?

- Jest twoją prapraciotką - powiedziała Winnie tonem pełnym podziwu. -1 najstarszą z Harmanów. Jest Koroną wszystkich czarownic!

Iliana wymamrotała coś, co brzmiało jak „raczej relikwią”.

Keller wkroczyła do akcji, nim Winnie zdążyła ją zaatakować. Przedstawiła wszystkich. Bystre oczy babci Harman zabłyszczały, gdy przyszła kolej na Galena, ale ograniczyła się do skinienia głową.

- A to mój uczeń i kierowca, Toby - przedstawiła chłopaka. - Wszędzie ze mną jeździ, więc możecie przy nim rozmawiać otwarcie.

Toby pomógł jej zająć miejsce na kanapie. Wszyscy inni także usiedli, poza Ilianą, która obrażona stała nadal w kącie.

- Ile jej powiedzieliście? - zapytała stara czarownica.

- Prawie wszystko - odpowiedziała Keller.

- I?

- Nie jest przekonana.

- Jestem - wtrąciła się Iliana. - Chcę do domu.

Babcia Harman wyciągnęła do niej kościstą rękę.

- Podejź, dziecko. Chcę zobaczyć, jak wygląda moja praprasiostrzenica.

- Nie jestem twoją praprasiostrzenicą - westchnęła Iliana, ale pod wpływem stalowego spojrzenia podeszła bliżej.

- Oczywiście, że jesteś. Po prostu o tym nie wiesz. Wyglądasz zupełnie jak moja matka, kiedy była w twoim wieku. I jestem pewna, że twoja prababcia wyglądała tak samo. - Babcia Harman poklepała miejsce na kanapie obok siebie. - Podejź. Nie zrobię ci krzywdy. Mam na imię Edith, a twoja prababcia była moją młodszą siostrą, Elspeth.

Iliana mrugnęła.

- Prababcia Elspeth?

- Ostatni raz widziałam ją prawie dziewięćdziesiąt lat temu. To było tuż przed I wojną światową. Ona i nasz mały braciszek Emmeth zostali odłączeni od reszty rodziny. Byliśmy przekonani, że zginęli, ale okazało się, że wychowują się w Anglii. Dorastali i tam i założyli rodziny, a potem ich dzieci przyjechały do Ameryki. Oczywiście nie mając pojęcia o swoim prawdziwym pochodzeniu. Sporo czasu zajęło nam odnalezienie ich potomków.

Iliana nieświadomie zbliżyła się do staruszki o kolejny krok. Była zafascynowana opowiadaną historią.

- Mama zawsze opowiadała o prababci Elspeth. Podobno była tak piękna, że zakochał się w niej książę.

- Piękno zawsze było obecne w naszej rodzinie - rzuciła niedbale babcia Harman. - Od czasów Hellewise, Opiekunki Ogniska Domowego, naszej przodkini. Ale nie to jest najważniejsze.

- Nie? - zdziwiła się Iliana.

- Nie. - Staruszka uderzyła laską w podłogę. - Ważna jest sztuka! Sztuka czarów! Iliano, jesteś czarownicą. To płynie w twojej krwi. I zawsze będzie. Musisz wziąć udział w tej ostatniej bitwie. A teraz słuchaj uważnie. - Wpatrując się w przeciwległą ścianę, zaczęła powoli i wyraźnie recytować:

*Jedno z krainy królów dawno zapomnianych.
Jedno z paleniska, gdzie się iskra tli.
Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.
Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.*

Kiedy skończyła, słowa zdawały się dalej rozbrzmiewać w powietrzu. Nikt się nie odezwał. Oczy Iliany zmieniły wyraz. Zdawała się wpatrywać w swoje wnętrze, w coś, co tylko ona mogła dostrzec. Tak jakby budziły się w niej głęboko ukryte wspomnienia.

- Tak jest - odezwała się cicho staruszka. - Czujesz, że mówię ci prawdę. To wszystko masz w środku, instynkt, sztukę, uwolnij tę siłę. Jest tam nawet odwaga.

Nagle jej głos spotężniał:

- Iliano, jesteś tą iskłą z wiersza. Nadziej się czarownic. Co na to teraz powiesz? Pomożesz nam zwalczyć ciemności czy nie?

Rozdział 5

Wszystko uległo zawieszeniu i przez moment Keller zdawało się, że osiągnęli cel. Twarz Iliany zmieniła się, wydołała i nabrała ostrzejszych rysów.

Ale nadal milczała, a wzrok miała zamglony.

- **Toby!** - rzuciła babcia Harman. - **Włącz kasetę.**

Jej uczeń podszedł do odtwarzacza. Keller wpatrywała się w kasetę, którą trzymał, a jej serce zaczynało coraz mocniej bić.

Nagranie wideo. Czy to możliwe, aby ukazywało to, o czym myślała?

- **To, co za chwilę zobaczysz, jest... No, powiedzmy, że tajne.** - Staruszka zwróciła się do Iliany, podczas gdy Toby biedził się z odtwarzaczem. - **Tak tajne, że zostało nagrane tylko na jednej kasecie, która jest na stałe zamknięta w kwaterze głównej Kręgu Świtu. Jestem jedyną osobą, której ufają na tyle, że może ją stamtąd zabrać. Toby, włącz ją.**

Iliana spojrzała z niepokojem na telewizor:

- **co to?**

Staruszka uśmiechnęła się do niej:

- **Coś, co nasz wróg chciałby zobaczyć. To nagrania innych Pierwotnych Mocy... w akcji.**

Pierwszą nagraniem na kasecie sceną była relacja na żywo z pożaru. Mała dziewczynka była uwięziona w mieszkaniu na drugim piętrze, a ogień coraz bardziej się do niej zbliżał. Nagle nagranie zwolniło, a ekran rozświetlił niebieski rozbłysk. Kiedy zniknął, ogień zgasł.

- **Niebieska energia** - powiedziała babcia Harman. - **Zrobiła to pierwsza Pierwotna Moc, którą odnaleźliśmy. Ugasiła pożar jedną myślą. A to tylko jeden przykład tego, co może sprawić.**

Następne ujęcie przedstawiało ciemnowłosego młodego człowieka. Ten był filmowany specjalnie. Wpatrywał się wprost w kamerę. Sięgnął po nóż wiszący u pasa i jak gdyby nigdy nic zrobił sobie nacięcie na lewym nadgarstku. Krew napłynęła do rany i zaczęła skapywać na ziemię.

- **Druga Pierwotna Moc.** - Znów odezwała się staruszka. - **Książę wampirów.**

Chłopak na filmie odwrócił się i wyciągnął przed siebie krwawiącą rękę. Kamera zogniskowała się na dużym głazie oddalonym o jakieś trzydzieści metrów. A potem taśma znów zwolniła i Keller mogła wyraźnie dostrzec niebieski płomień, który wystrzelił ze zranionej ręki. Na początku wyglądał jak wybuch, ale po chwili płynął po prostu strumień, tak jasny, że kamera nie dawała sobie z nim rady. Prześwietlił film. Ale gdy dosięgnął kamienia, nie było wątpliwości, co się stało.

Dwutonowy gład wybuchnął, zamieniając się w żwir.

Kiedy kurz opadł, po kamieniu pozostała tylko osmalona dziura w ziemi. Brunet odwrócił się z powrotem do kamery, po czym wzruszył ramionami i wycelował dłoń w kolejny gład. Nawet się nie spocił.

Keller nieświadomie wypuściła powietrze. Serce jej waliło i wiedziała, że błyszcza jej oczy. Zobaczyła, że Galen przygląda jej się z boku, ale go zignorowała.

Taką moc, pomyślała. Nigdy jej sobie tak naprawdę nie wyobrażałam. Gdybym ja miała taką moc, mogłabym zrobić tyle rzeczy...

Opanowała się i odwróciła do Iliany:

- **Widzisz? Właśnie o to chodziło. To da nam szansę na zwycięstwo z nimi. Musisz to zrobić, rozumiesz?**

Nie należało tego mówić. Reakcja Iliany na film była zupełnie inna niż Keller. Patrzyła w ekran tak, jakby oglądała operację na otwartym sercu. Nieudaną operację!

- **Ja nie... Ja nie potrafię nic takiego zrobić.**

- **Iliana.**

- **I nie chcę! Nie! Posłuchaj!** - Zdawało się, że jakiś woal opadł na piękne oczy Iliany. Była zwrócona w stronę Keller, ale ta miała wątpliwości, czy dziewczyna widzi cokolwiek. Mówiła szybko, prawie w panice.

- **Powiedzieliście, że musicie ze mną porozmawiać, więc was wysłuchałam. Nawet obejrzałam wasze... wasz pokaz efektów specjalnych.** - Machnęła ręką w stronę telewizora, na którym chłopak wysadzał kolejne kamienie w powietrze. - **Ale to koniec, wracam do domu. To wszystko jest... Nie wiem. Zbyt dziwne jak dla mnie. Mówię wam, że nie potrafię takich rzeczy! Znaleźliście nie tę osobę, co trzeba.**

- **Najpierw sprawdziliśmy wszystkie twoje kuzynki** - odpowiedziała babcia Harman. - **Theę i Blaise. Gillian, która też była zagubioną czarownicą. Nawet biedną Sylvie, którą przeciągnięto na stronę wroga. Ale to nie była żadna z nich. A potem znaleźliśmy ciebie.** - Nachyliła się, próbując utrzymać kontakt z Ilianą. - **Musisz to zaakceptować, dziecko. To wielka odpowiedzialność i wielki ciężar, ale nikt poza tobą nie potrafi tego zrobić. Dołącz do nas.**

Iliana nie słuchała.

Po prostu. Keller prawie widziała, jak słowa się od niej odbijają. A jej oczy...

To nie był woal, ale ściana. Wyrosła tam i Iliana się za nią chowała.

- **Jeśli niedługo nie wrócę do domu, mama będzie wściekła. Wyskoczyłam tylko na kilka minut kupić trochę elastycznej złotej tasiemki, no wiecie, takiej z gumką w środku. Zawsze mi jej brakuje. Zostało mi trochę z zeszłego roku, ale jest splątana i nie pasuje do prezentów, które robię.**

Keller wpatrywała się w nią, po czym spojrzała na sufit. Inni też się gapili. Winnie z otwartymi ustami. Nissa uniosła brwi tak, że ginęły pod grzywką. A Galen był zszokowany.

Odezwała się babcia Harman:

- **Jeśli nie chcesz zaakceptować swoich obowiązków Pierwotnej Mocy, to przynajmniej spełnij ten dziecka czarownic. Przesilenie zimowe jest w następną sobotę. Odbędzie się wtedy spotkanie zmiennokształtnych i czarownic. Jeśli przedstawimy im ofertę zaręczyn pomiędzy tobą i synem z Pierwszego Domu, to się do nas przyłączą.**

Keller podejrzewała, że Iliana wybuchnie. I w głębi serca wcale by jej o to nie winiła. Mogła sobie wyobrazić, że dziewczyna nie wytrzyma i powie: „Co wy sobie w ogóle myślicie? Pojawiacie się znikąd i swatacie z jakimś facetem, którego nie widziałam na oczy? Pytać mnie, czy przyłączę się do walki, to jedno, ale kazać wyjść za obcego, oddawać mnie jak jakiś przedmiot, to zupełnie co innego”.

Ale ona nic takiego nie powiedziała, tylko:

- **I mam jeszcze tyle prezentów do opakowania. A jeszcze nie skończyłam zakupów. No i w tym tygodniu w szkole będzie mnóstwo roboty. A w sobotę wieczorem Jaime i Brett Ashton-Hughesowie wydają przyjęcie urodzinowe. Nie mogę tego przegapić!**

Keller nie wytrzymała:

- **Co z tobą? Jesteś głucha czy po prostu głupia?**

Iliana mówiła dalej:

- Są bliźniakami. I myślę, że Brett trochę mnie lubi. Ich rodzina jest naprawdę bogata. I mieszkają w tym wielkim domu, i na swoje przyjęcia zapraszają tylko wybranych. Wszystkie dziewczyny na niego lecą. To znaczy na Bretta.

- Nie,.. - Keller sama sobie odpowiedziała na pytanie. - Jesteś po prostu najbardziej samolubnym bachorem, jakiego widziałam.

- Keller - odezwała się cicho Nissa. - To nie ma sensu. Im mocniej ją naciskasz, tym mocniej się wzbrania.

Keller odetchnęła głęboko. Wiedziała, że to prawda, ale nigdy nie była tak sfrustrowana, jak w tej chwili.

Twarz babci Harman stała się nagle bardzo stara i zmęczona.

- Dziecko, nie możemy cię do niczego zmusić. Ale musisz zrozumieć, że nie tylko my ciebie chcemy. Druga strona też o tobie wie. Nie poddadzą się i oni użyją siły.

- A mają jej dużo. - Keller odwróciła się do staruszki. - Muszę pani o tym powiedzieć. Nie chciałam wspominać o tym przez telefon, ale dziś próbowali wykraść Ilianę.

Musiałśmy

z nimi walczyć w centrum handlowym. - Nabrała głęboko powietrza. - I mieli smoka. Staruszka uniosła głowę. Wbiła wzrok w Keller:

- Mów.

Keller wszystko opowiedziała. W trakcie opowieści twarz babci Harman zdawała się starzeć z minuty na minutę, pokrywając się zmarszczkami niepokoju i smutku. Ale na koniec powiedziała tylko:

- Ach tak. Musimy spróbować ustalić, jak go zdobyli i jakie ma zdolności. Nie sądzę, by żył ktokolwiek, kto zna się na tych... stworzeniach.

- Nazywali go Azhdeha.

- Hm... Brzmi z perska.

- Jest - odezwał się Galen. - To jedna ze starych nazw konstelacji Smoka. Oznacza „węża jedzącego ludzi”.

Keller spojrzała na niego zaskoczona. Przez cały czas siedział cicho i słuchał, nie przerywając opowieści. Teraz nachylił się do rozmówców, a w jego złotozielonych oczach płonął ogień.

- Zmiennokształtni mają trochę starych zwojów o smokach. Myślę, że mógłbym o nie poprosić. Może tam będą jakieś informacje o mocach smoków i o tym, jak je zwalczać. Raz oglądałem te zwoje, ale nie wczytywałem się specjalnie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek je studiował.

Widział starożytne zwoje? W takim razie musi być jednak zmiennokształtnym. Ale dlaczego nie potrafiła ustalić, w co się przemieniał?

- Galen...- odezwała się Keller, ale weszła jej w słowo babcia Harman

- To dobry pomysł. Jak je zdobędę, to przyślę wam kopie. W końcu to jeden z waszych, więc może uda wam się ustalić jak go pokonać.

Oburzona Keller chciała zaprzeczyć, że nie ma z nim nic wspólnego, ale przecież byłoby to kłamstwem. Smoki królowały nad zmiennokształtnymi. Kiedyś... Ich krew nadal płynęła w żyłach zmiennokształtnych z Pierwszego Domu, w rodzinie Drache, która obecnie przewodziła zmiennokształtnym. Czymkolwiek był ten potwór, był jednym z nich.

- Czyli wszystko ustalone. Zabierzcie Ilianę do domu. Ja wrócę do Kręgu Świtu i spróbuję ustalić coś więcej na temat smoków. Chyba że... - Spojrzała na Ilianę. - Chyba że po tej rozmowie zmieniłaś zdanie.

Co dziwniejsze, Iliana dalej sama ze sobą prowadziła konwersację o prezentach. To, że nadal stała przy swoim, było oczywiste. Natomiast Keller zaczęła mieć wątpliwości, czy ta dziewczyna w ogóle ma mózg.

Ale teraz miała inne sprawy na głowie.

- Przepraszam, ale chyba nie mówi pani poważnie? O tym, że mamy ją zabrać do domu?

- Z całą powagą - odpowiedziała babcia Harman.

- Ale przecież nie możemy!

- Możemy, a nawet musimy. Wy, dziewczynki, będziecie jej ochroniarzami. I przyjaciółkami. Mam nadzieję, że przekonacie ją, by pogodziła się ze swoimi obowiązkami przed sobotnią północą, kiedy nastąpi spotkanie zmiennokształtnych i czarownic. Ale jeśli nie... - Staruszka schyliła lekko głowę, opierając się na lasce. Spojrzała na Ilianę. - Jeśli nie... - powtórzyła ledwo słyszalnym szeptem. - Będziecie musiały ją chronić tak długo, jak dacie radę.

W Keller burzyła się krew.

- Jak mamy ją ochronić? Z całym szacunkiem, ale to poroniony pomysł. Na pewno już wiemy, gdzie znajduje się jej dom. Nawet jeśli nie będziemy jej odstępować na krok przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a nie wiem, jak tego dokonamy, skoro będzie tam też jej rodzina...

Siwa głowa podniosła się, a na ustach staruszki zagościł delikatny uśmiech:

- To zostawcie mnie. Pogadam z jej matką, małą Anną, wnuczką Elspeth. Przedstawię się i wyjaśnię, że dawno zaginione kuzynki jej córki przyjechały z wizytą na święta.

I na pewno rzuci czar na Annę, pomyślała Keller. No pewnie, po czymś takim zostaną przyjęte bez problemu, mimo że żadna z nich ani trochę nie wygląda na kuzynkę Iliany.

- A potem nałożę zaklęcia ochronne na dom. - Oczy babci Harman rozblęsnęły. - Zaklęcia, które będą chroniły od wszystkiego z zewnątrz. Dopóki ktoś nie naruszy ich od środka, będziecie bezpieczni. - Uniosła jedną brew i spojrzała na Keller.

- Zadowolona?

- Przykro mi, ale nie. To nadal zbyt niebezpieczne.

- To co mamy zrobić?

- Uprowadzić ją. - Natychmiast odpowiedziała Keller. Usłyszała, jak Iliana przerywa swoją litanię o prezentach. Na pewno nie zyskiwała tym sobie jej przychylności. Ale brnęła w to dalej. - Proszę posłuchać, wykonuję tylko rozkazy. Ale uważam, że jest dla nas zbyt ważna, by pozwolić jej snuć się tam, gdzie mogą ją dopaść. Uważam, że należy ją zabrać do enklawy Kręgu Świtu jak inne Pierwotne Moce. Gdzie będzie bezpieczna.

Babcia Harman spojrzała jej głęboko w oczy:

- Jeżeli to zrobimy, to staniemy się jej wrogami.

Nastąpiła chwila ciszy. Po czym Keller zaczęła.

- Z całym szacunkiem...

- Nie chcę twojego szacunku, chcę posłuszeństwa. Kiedy wszystko się zaczęło, przywódcy Kręgu Świtu podjęli jednoznaczną decyzję. Jeśli nie możemy przekonać Pierwotnej Mocy naszymi argumentami, to nie uciekniemy się do użycia przemocy. Dlatego wykonasz mój rozkaz i z drużyną będziesz chronić to dziecko tak długo, jak to możliwe.

- Przepraszam - odezwał się Galen. Pozostali siedzieli i w milczeniu obserwowali rozmowę. Nissa i Winnie były zbyt rozsądne, by angażować się w tę wymianę zdań, ale Keller widziała, że nie są zadowolone z rozwoju sytuacji.

- O co chodzi? - zapytała babcia Harman.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym z nimi pojechać. Mógłbym być kolejnym kuzynem. Zawsze to trochę większe szanse.

Keller miała wrażenie, że zaraz dostanie apopleksji.

Była tak wściekła, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Podczas gdy dusiła się z furii, Galen mówił dalej. Nadal był blady, ale stanowczy. Całym sobą błagał.

- Nie jestem wojownikiem, ale się nauczę. W końcu tego oczekujemy od Iliany, prawda? Nie możemy od niej wymagać tego, na co sami nie potrafimy się zdobyć.

Babcia Harman, do tej pory zachmurzona, zmierzyła go wzrokiem.

- Masz dobry, młody umysł. Jak twój ojciec. On i twoi matka byli także silnymi wojownikami.

Oczy Galena pociemniały.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał nim zostać. Ale wygląda na to, że nie zawsze możemy wybierać.

Keller nie miała pojęcia, o czym mówią i jakim cudem ta czarownica знаła rodziców chłopaka. W końcu udało się jej wykrztusić:

- Nie ma mowy! - wybuchła. Wstała, a czarne włosy fruwały jej wokół głowy, kiedy to na zmianę patrzyła na Galena i staruszkę. - Mówię serio. Nie ma mowy, żebym wzięła ze sobą tego chłopaka. I może jest pani przywódczynią wszystkich czarownic, bez obrazy, ale nie wydaje mi się, żeby miała pani prawo zmuszać mnie do tego. Będę to musiała usłyszeć wprost od przywódców Kręgu Świtu, od Thierry'ego Descoedresa albo Łady Hannah. Albo z Pierwszego Domu zmiennokształtnych.

Babcia Harman zaśmiała się dziwnie. Keller to zignorowała.

- Nie jest wojownikiem i nie ma z tym nic wspólnego! To nie jego sprawa.

Staruszka spojrzała na Galena z lekką dezaprobatą.

- Wygląda na to, że coś przed nią ukryłeś. Powiesz jej czy sama mam to zrobić?

- Ja... - Galen odwrócił się do Keller. - Posłuchaj. Przepraszam. Powinienem był powiedzieć o tym wcześniej. - Miał zawstydzony, przepraszający wzrok. - Po prostu... jakoś nie było okazji... - Skrzywił się. - Nie byłem w tym sklepie przypadkiem. Poszedłem szukać Iliany. Chciałem ją zobaczyć, może trochę poznać.

Keller gapiała się na niego. Wstrzymywała oddech.

- Dlaczego?

- Bo... - Znów się skrzywił. - Nazywam się Galen Drache... z Pierwszego Domu zmiennokształtnych.

Keller zamrugnęła, gdy pokój zawirował jej przed oczami.

Powinłam była wiedzieć. Powinłam była się domyślić. To dlatego sprawiał wrażenie zmiennokształtnego, ale nie potrafiłam wyczuć w nim żadnego zwierzęcia.

Dzieci z Pierwszego Domu nie rodziły się połączone z jakimkolwiek zwierzęciem. Miały władzę nad wszystkimi zwierzętami, a kiedy dorosły, mogły wybrać, w jakie zwierzę chcą się przemieniać.

To wyjaśniało również, skąd wiedział, jak ją powstrzymać, żeby puściła smoka. I jego telepatia - dzieci z Pierwszego Domu mogły się łączyć ze wszystkimi zwierzęcymi umysłami.

Kiedy pokój wreszcie przestał się kręcić, Keller uświadomiła sobie, że nadal stoi, a Galen wciąż jej się przygląda, prawie błagalnie.

- Powinienem był wyjaśnić...

- Cóż, oczywiście, to był twój wybór - odrzekła sztywno Keller. Krew napłynęła jej do policzków. Czuła, że płoną.

- I oczywiście przepraszam, jeśli cokolwiek z tego, co powiedziałam, mogło cię urazić.

- Nie bądź taka oficjalna.

- Zastanówmy się... Nie przywitałam się odpowiednio ani nie przyobiegałam postu-szeństwa. - Keller wzięła go za dłoń, elegancką, o długich palcach i zimną. Dotknęła nią czoła. - Witaj, Drache, synu z Pierwszego Domu zmiennokształtnych. Oczywiście jestem na twoje rozkazy.

Nastąpiła cisza. Puściła jego rękę. Galen był przygnębiony.

- Teraz jesteś naprawdę wściekła, prawda?

- Życzę ci pomyslności z twoją nową narzeczoną - wycodziła Keller przez zęby.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego jest taka wściekła. Oczywiście, zrobiono z niej idiotkę, a teraz będzie musiała wziąć odpowiedzialność za niewyszkolonego chłopaka, który nie może się nawet zmienić w mysz. Ale było też coś więcej.

On się ożeni z tym jęczącym kwiatuszkiem siedzącym w kącie, odezwał się głos w głowie Keller.

Musi się z nią ożenić, a przynajmniej przejść ceremonię narzeczeństwa, która jest właściwie równie wiążąca, co ożenek. A jeśli tego nie zrobi, zmiennokształtni nigdy nie przyłączą się do czarownic. Tak powiedzieli i na pewno się nie wycofają. Inaczej wszystko przepadnie.

A twoim zadaniem jest przekonanie dziewczyny, żeby spełnił swój obowiązek, kontynuował wewnętrzny głos. A to znaczy, że masz ją przekonać do tego ślubu, a nie pożreć.

Keller gotowała się w środku.

Nie chcę jej zjadać, odwarknęła głosowi. *I nie obchodzi mnie, za kogo ta idiotką wyjdzie. To nie moja sprawa.*

Uświadomiła sobie, że w pokoju nadal panuje cisza, a wszyscy patrzą na Ilianę i Galena.

Iliana zamilkła. Wybałuszała na Galena swoje fiołkowe oczy. On też na nią patrzył, poważny, zmartwiony.

W końcu odwrócił się z powrotem do Keller.

- Nadal chciałbym pomóc, jeśli tylko się zgodzisz.

- Powiedziałam, że jestem na twoje rozkazy - odpowiedziała krótko. - To twoja decyzja. Chcę tylko dodać, że to będzie wymagało więcej pracy dla mojej drużyny. Teraz będziemy musiały pilnować nie tylko jej, ale i ciebie. Bo widzisz, okazuje się, że jednak jesteś niezastąpiony.

- Nie chcę, żebyś mnie pilnowała - odrzekł poważnie. - Nie jestem ważny.

Keller chciała powiedzieć, żeby nie opowiadał głupot. Ze bez niego nie będzie ani ceremonii narzeczeństwa, ani sojuszu. Po prostu. Musimy cię chronić. Ale już i tak powiedziała za dużo.

Toby wyjął kasetę z odtwarzacza. Staruszka powoli podniosła się z kanapy, stukając laską.

- **Myślę, że dość czasu tu zmitrężyliśmy.**

Keller skinęła sztywno głową.

- **Chce pani pojechać z nami limuzyną do domu Iliany?**

Babcia Harman otworzyła usta, by jej odpowiedzieć, ale nie zdążyła. Keller usłyszała szelest na zewnątrz na moment przed tym, jak okno salonu się rozpadło.

Rozdział 6

To była potężna inwazja. Zanim ucichły echa tłuczonego szkła, przez okno zaczęły się wdzierać postacie w czarnych strojach.

Ciemni ninja, pomyślała Keller. Elitarna grupa stworzona z wampirów i zmiennokształtnych, eksperci w podkradaniu się i zabijaniu.

Umysł Keller, do tej pory wypełniony kłębiącymi się myślami, stał się nagle kryształowo czysty.

- **Nissa, bierz ją!** - krzyknęła. To wystarczyło. Nissa złapała Ilianę. Nie miało znaczenia, że Iliana krzyczała na całe gardło, zbyt zszokowana, by się ruszyć. Nissa była wampirem, a co za tym idzie, miała więcej siły niż olimpijski mistrz podnoszenia ciężarów. Po prostu podniosła dziewczynę i pobiegła z nią do tylnego wyjścia.

Winfrith podążyła za nimi, a w jej dłoniach buzowała już pomarańczowa energia. Keller wiedziała, że zapewni odpowiednią osłonę, w końcu była czarownicą-wojowniczką. W pełni wykorzystywała nowe moce, których wraz ze zbliżającym się milenium nabierali wszyscy mieszkańcy świata nocy. Kiedy rzucił się za nimi jeden z ninja, wypuściła w jego stronę kulę jaskrawoczerwonej energii i przewróciła go.

- **Teraz ty!** - Keller krzyknęła do Galena, próbując pchnąć go w stronę korytarza, nie odwracając się przy tym od atakujących. Nie przemieniła się do tej pory i chciała tego za wszelką cenę uniknąć. Przemiana zajmowała trochę czasu, i wtedy była najbardziej bezbronna. A teraz liczyły się sekundy.

Galen podbiegł do korytarza, po czym odwrócił się:

- **Babcia Harman!**

Wiedziałam, pomyślała Keller, *że będzie ciężarem.*

Staruszka była nadal w salonie. Stała na rozstawionych nogach i ścisnęła laskę, jakby gotując się do ataku. Jej uczeń Toby stał przed nią i szepcząc jakieś zaklęcia, strzelał energią. Znajdowali się na wprost napierających ninja.

I tak właśnie powinno być. Umysł Keller na samym początku potyczki przejrzał wszystkie możliwości i doszedł do jedyne sensownego wniosku.

- **Musimy ją zostawić!**

Galen odwrócił się do niej podświetlony różnokolorową energią, która wokół nich latała:

- **Co???**

- **Jest zbyt powolna! Musimy chronić ciebie i Ilianę. Ruszaj się!**

Był zszokowany.

- **Chyba żartujesz? Poczekaaj tutaj, przyniosę ją!**

- **Nie! Galen...**

Ale on już biegł z powrotem. Keller zaklęła.

- **Idźcie!** - krzyknęła do Nissy i Winnie, które stanęły w drzwiach do kuchni. - **Weźcie limuzynę. Nie czekajcie na nas!**

Potem odwróciła się i wróciła do salonu. Galen próbował osłonić babcię Harman przed krążącą energią. Keller zacisnęła zęby. Ta grupa ninja to tylko pierwsze uderzenie. Byli tu tylko po to, żeby złamać osłony i zrobić przejście innym.

Może dla smoka. Ale ninja nie wykonali prawidłowo swojego zadania. Większość osłon nadal była nienaruszona, udało im się pokonać tylko czar ochraniający małe okno. Ciemne postacie mogły się dostać do wnętrza pojedynczo. Dom trząsł się za każdym razem, gdy ktoś uderzał w niego mocą, próbując wybić większe wejście.

Keller usłyszała niewyraźny dźwięk odpalanego silnika. Miała nadzieję, że to limuzyna.

Galen ciągnął babcię Harman. Toby mocował się z napastnikiem. Keller pokonała kilku drani, którzy stanęli jej na drodze. Nie próbowała ich zabić, wystarczyło ich wyeliminować z walki. Prawie dosięgła Galena. I wtedy usłyszała dudnienie.

Tylko jej panterzy słuch mógł to wychwycić. Tak samo jak za pierwszym razem, dźwięk zdawał się zarówno delikatny, jak i przerażająco głośny. Przeszył ją na wskroś.

Momentalnie zorientowała się, co zaraz nastąpi.

I nie było czasu na myślenie, co z tym zrobić.

Galen chyba też to wyczuł. Keller zobaczyła, jak patrzy na dach tuż nad drzwiami. Potem krzyknął coś do babci Harman.

A potem wszystko zaczęło dziać się jednocześnie. Galen przewrócił staruszkę i przykrył ją swoim ciałem. W tym samym momencie Keller do nich skoczyła.

Juz w czasie skoku zaczęła przemianę. Zmieniała się i starała się jak najbardziej rozciągnąć. Jak dywan z pantery, żeby ich przykryć.

Ceglany mur się rozprysnął.

Zburzony mocą, pomyślała Keller. Smok doszedł do siebie... szybko.

I wtedy posypały się cegły. Jedna uderzyła ją w łapę machnęła z furią ogonem. Druga trafiła ją w grzbiet - przeszył ją ostry ból. A kolejna dosięgła głowy - ujrzała białe światło. Słyszała, że Galen coś pod nią krzyczy. Zdawało jej się, że jej imię.

A później cisza.

Coś mokrego dotknęło jej twarzy. Keller syknęła odruchowo i machnęła łapą niezadowolona, - **Zostaw mnie...**

- **Szefie, pobudka. Wstawaj, już rano.**

Keller uchyliła ciężkie powieki.

Śniła. To musiał być sen albo życie pozagrobowe było pełne nastolatek. Winnie nachylała się nad nią z wilgotną szmatką. Nissa spoglądała znad ramienia czarownicy. Dalej widać było zaniepokojoną twarz Iliany. Miała twarz w kształcie serca, a z obu stron okalały ją pierścienie srebrnozłoty włosów. Keller mrugnęła.

- **Byłam pewna, że nie żyję.**

- **No, mało brakowało** - odpowiedziała wesoło Winnie. - **Ja, Toby i babcia Harman pracowaliśmy nad tobą przez większość nocy. Będiesz trochę sztywna, ale wygląda na to, że masz zbyt twardą czaszkę, żeby ją strzaskać.**

Keller usiadła i natychmiast poczuła tętniący ból w skrótach.

- Co się stało? Gdzie jest Galen?

- Oj, szefie, nie wiedziałam, że ci tak zależy...

- Winnie, przestań się wygłupiać! Ten chłopak musi żyć, jeśli zmiennokształtni mają przyłączyć się do Kręgu Świtu.

Winnie spoważniała. Nissa powiedziała spokojnie.

- Żyje. Jesteśmy w domu Iliany Nikomu nic się nie stało. Wyciągnęliśmy was.

Keller na te słowa zmarszczyła brwi.

- Wy? Jak to? Powiedziałam wam, że macie brać dziewczynę i uciekać.

Nissa skrzywiła się cierpko:

- No tak, tyle że dziewczyna nie chciała iść. Kazała nam się zatrzymać i wracać po was.

- Po Galena - stwierdziła Keller i spojrzała na Ilianę, ubraną w różowy szlafrok z bufkami.

Wyglądała na siedem lat. Keller starała się, by jej głos brzmiał spokojnie - To dobrze, że o nim pomyślałaś, ale należało trzymać się planu.

- Tak czy inaczej, udało się - kontynuowała Nissa. - Wygląda na to, że smok rozwalił dom, ale potem ruszył na nas.

- Ta. Miałam cichą nadzieję, że nie zorientuje się, że jest tam Galen - dodała Keller. - I że jest ważny.

- W każdym razie kiedy zobaczył, że uciekamy limuzyną, wsiadł z kolesiami do samochodów i zaczęli nas ścigać - powiedziała Winnie. - Ale Nissa ich zgubiła. A potem Iliana... uparła się, żeby zawrócić. No i byliście tam. Galen i Toby próbowali cię wydobyć. Pomogliśmy im i przywieźliśmy tutaj.

- A co z babcią Harman?

- Wyszła z tego bez szwanku. Jest twardsza, niż się zdaje.

- Rozmawiała wczoraj z mamą Iliany - dodała Nissa. - Ustaliła wszystko i możemy zostać. Ty masz być daleką kuzynką, a my jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Jesteśmy z Kanady. W zeszłym roku skończyliśmy szkołę i podróżujemy autobusem po Stanach. Wczoraj wieczorem spotkaliśmy Ilianę i dlatego się spóźniła do domu. Wszystko ładnie wyjaśnione.

- To jest niedorzeczne. - Keller popatrzyła na Ilianę. - I pora z tym skończyć. Nie dość jeszcze widziałas? Już dwa razy zaatakował cię potwór. Jesteś pewna, że chcesz ryzykować trzeci raz?

To był błąd. Do tej pory twarz Iliany wyrażała zaniepokojenie i dobroć, teraz Keller ujrzała, jak znów pojawia się mur. Fiołkowe oczy zaszyły mgłą, a zarazem rozbłysły.

- Nikt mnie nie napastował, dopóki się nie pojawiliście! - wypaliła Iliana. - Właściwie to do tej pory nikt mnie nie zaatakował. Myślę, że oni chcą dopaść was, albo Galena. Ciagle wam powtarzam, że nie jestem tym, kogo szukacie.

Trochę więcej dyplomacji, myślała Keller, ale była zbyt mocno rozdrażniona.

- Nie wierzysz w to, co mówisz! No chyba że ćwiczysz się w głupocie...

- Przestań nazywać mnie głupią! - Ostatnie słowo było przeszywającym krzykiem. W tym samym momencie Iliana rzuciła czymś w Keller. Ta odbiła to odruchowo, nim dosięgło celu.

- Nie jestem głupia! I nie jestem waszym dzieckiem czarownic czy jak wy to na-

zywacie! Jestem normalną dziewczyną i podoba mi się moje życie. A jeśli nie mogę żyć po swojemu, to nie chcę... Nic nie chcę robić. - Obróciła się na pięcie wybiegła z pokoju. Jej szlafrok zafurkotał.

Keller wpatrzyła się w złapany przedmiot. Pluszową owieczkę ze skandalicznie długimi rękawami i różową wstążką obwiązaną wokół szyi.

Nissa zaplotła ręce na piersi.

- **Brawo, szefie, doskonale sobie poradziłaś.**

- **Odczep się.** - Keller rzuciła owieczkę na fotel przy oknie. - **A właściwie jakim sposobem zmusiła was, żebyście po nas zawrócili?**

Winnie wydeła usta.

- **Słyszałaś. Mocą głosu. Krzyczała jak... Nie wiem, co tak może krzyczeć. Ale byłabyś zaskoczona, jakie to skuteczne.**

- **Jesteście agentkami Kręgu Świtu. Macie być odporne na tortury.** - Ale Keller darowała sobie drażnienie tematu. - **Co wy tu jeszcze robicie?** - dodała, opuszczając nogi z łóżka i sprawdzając, czy utrzymają jej ciężar. - **Macie jej pilnować, nawet jak jest w domu. Nie stójcie tu, gapiąc się na mnie!**

- **Dobrze, że znowu jesteś sobą** - powiedziała Winnie, przewracając oczami. W drzwiach odwróciła się i dodała - **Wczoraj w nocy chciała wrócić po ciebie, a nie po Galena.** Keller gapiła się na domykające się drzwi. Zdumiona.

- **Nie możesz iść do szkoły** - syknęła Keller. - **Słyszysz? Nie możesz iść do szkoły.** Siedzieli wszyscy przy kuchennym stole. Matka Iliany, piękna kobieta z upiętymi w kok platynowymi włosami, szykowała im śniadanie. Wydawała się lekko zaniepokojona czterema gośćmi, ale w pozytywny sposób. Na pewno nie była podejrzliwa. Babcia Harman dobrze wykonała swoje zadanie.

- **Będziemy mieć wspaniałe święta** - powiedziała, uśmiechając się anielsko. - **Możemy pojechać do Winston-Salem na tradycyjny pokaz robienia świec i śpiewanie kolęd. Próbowałyście kiedyś naszych ciast? Szkoda tylko, że praciocia Edgith nic mogła zostać.**

Babcia Harman odjechała, Keller nie wiedziała, czy się z tego cieszyć, czy nie. Wbrew temu, co wciąż mówiła, brakowało jej staruszki. Teraz nie było tu nikogo, do kogo można by się zwrócić, nikogo, kto nakazałby zabrać Ilianę w bezpieczne miejsce.

I tak siedzieli przy stole i się kłócili.

Zupełnie jak typowi śniadanie, pomyślała Keller ironicznie. Ojciec Iliany wyszedł już do pracy.

Jej matka wesoło kręciła się po kuchni. Młodsza braciszek siedział na wysokim krzeselku i rozsypywał wokół siebie płatki. Jaka szkoda, że czwórka nastolatków, siedzących przy stole, składała się w rzeczywistości z dwojga zmiennokształtnych, czarownicy i wampira.

Galen siedział naprzeciwko Keller. Miał podkrążone oczy.

Czy ktośkolwiek zdołał tej nocy zasnąć?

Wydawał się przygaszony, ale zrelaksowany. Od ataku smoka Keller nie miała okazji z nim porozmawiać.

Nie, żeby miała cokolwiek do powiedzenia.

- **Trochę soku pomarańczowego, Kelly?**

- **Nie, dziękuję, pani Dominick.** - Tej rodzinie wydawało się, że tak się nazywają. Nie wiedzieli, że czarownice są matrylinearne i w związku z tym zarówno Iliana, jak i jej matka są Harmanami.

- **Ależ proszę, nazywaj mnie ciocią Anną** - odezwała się kobieta. Miała takie same fiołkowe oczy jak jej córka, i uśmiech anioła. A teraz nalewała Keller soku.

No to już wiem, po kim Iliana odziedziczyła tę błyskotliwą inteligencję, pomyślała Keller.

- **Och, dziękuję, ciociu Aniu. I nazywam się Keller, nie Kelly.**

- **Jak nietypowo. Ale ładnie, tak nowoczesnie.**

- **To moje nazwisko, ale wszyscy się tak do mnie zwracają.**

- **Och, tak? A jak masz na imię?** Keller oderwała kawałek tostu, czuła się niezręcznie.

- **Raksha.**

- **Pięknie! Czemu go nie używasz?** Keller wzruszyła ramionami.

- **Po prostu nie używam.** - Widziała, że Galen na nią patrzy. Zmiennokształtni przyjmują nazwy zwierząt, w które się zmieniają. Ale nie ona.

- **Jako dziecko zostałam porzucona** - powiedziała urywanym głosem, patrząc na Galena. Matka Iliany nic z tego nie zrozumie, ale przynajmniej ciekawość książątka zostanie zaspokojona. - **Więc nie znam swojego prawdziwego nazwiska. Ale moje imię znaczy tyle co demon.**

Matka Iliany zatrzymała się z kartonem soku nad szklanką Nissy.

- **Och, jak... ładnie. No to... Rozumiem.** - Zamrugęła kilkakrotnie i odeszła, nie nalewając Nissie soku.

- **A co oznacza Galen?** - zapytała Keller, wpatrując mu się wyzywająco w oczy i oddając Nissie pełną szklankę.

Uśmiechnął się krzywo, po raz pierwszy od kiedy usiedli przy stole.

- **Spokojny.** Keller prychnęła.

- **No jasne.**

- **Ale wolę Raksha.**

Keller nie odpowiedziała. Ponieważ ciocia Anna wyszła do kuchni, mogła się znów zwrócić do Iliany.

- **Nie możesz iść do szkoły.**

- **Ale ja muszę iść do szkoły** - wybełkotała Iliana z ustami pełnymi podgrzanego w mikrofalówce naleśnika. Na kogoś, kto wyglądał jak porcelanowa lalka, jadła naprawdę dużo.

- **Nie ma mowy. Nie możemy tam z tobą iść. Kim mamy niby być?**

- **Moją zaginioną kuzynką z Kanady i jej przyjaciółmi** - wymamrotała Iliana. - **Albo uczniami z wymiany, którzy przyjechali poznać system edukacyjny w Stanach.** -

Nim Keller zdążyła coś wtrącić, dodała: - **Ej, a jakim cudem wy nie jesteście w szkole? Nie macie szkół?**

- **Mamy takie same, jak wy** - powiedziała Winnie. - **No, poza Nissą, ona skończyła swoją rok temu. Ale Keller i ja chodzimy do ostatniej klasy. Ale teraz jesteśmy zwolnione z zajęć na czas wykonywania zadania.**

- Założę się, że wasze oceny są równie marne, jak moje - skomentowała beznamytnie Iliana. - Tak czy inaczej muszę w tym tygodniu iść do szkoły. Będą najróżniejsze przyjęcia klasowe i tym podobne. Możecie przyjść. Będzie fajnie.

Keller chciała ją zdzielić paczką płatków. Ale miała pewien problem. Młodszy braciszek Iliany wygrzebał się ze swojego krzeselka i wspinał się na jej nogę. Spojrzała na niego nerwowo. Nie odnajdowała się w kwestiach rodzinnych, a już szczególnie nie umiała dogadać się z dziećmi.

- No dobra - powiedziała. - **Złaż stąd i wracaj na miejsce.** - Odlepiła go od swojego kolana i próbowała posadzić na krzeselku. Ale chłopiec odwrócił się i wyciągnął do niej rączki:

- **Kee-kee. Kee-kee.**

- **Tak mówi na kotka** - wyjaśniła mama Iliany, wracając z kuchni z talerzem kielbasek.

Zmierzyła mu włoski i zaszczebiotała:

- **Chcesz powiedzieć Kelly, Kelly.**

- **Keller, Keller** - poprawiła Winnie. Alex wdrapał się na kolana Keller, złapał ją za włosy, podciągnął się i stanął. Keller spoglądała teraz w wielkie fiołkowe oczy dziecka.

- **Kee-kee** - powiedział kategorycznie i złożył jej lepki pocałunek na policzku.

Winnie uśmiechnęła się szeroko.

- **Jakieś problemy?**

Chłopiec oplótł szyję Keller tustymi rączkami i ocierał się głową o jej podbródek jak łaszące się kocię. A miał silny uchwyt. Tym razem nie udało jej się go odciągnąć.

- **To po prostu... rozprasza.** - Poddała się i pogłaskała go niezręcznie po głowie. To było niedorzeczne. Jak miała toczyć dyskusję, kiedy dziecko śmiało jej się nad uchem?

- **Słodko razem wyglądacie** - stwierdziła Iliana. - **Idę się ubrać do szkoły. A wy robcie, co chcecie.**

Wybiegła z kuchni, zanim Keller zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź.

Nissa i Winnie szybko podążyły za nią. Galen wstał, by pomóc mamie Iliany w sprzątanii ze stołu.

Keller próbowała odsunąć od siebie dziecko, ale chłopiec przywarł jak leniwiec. Może jednak mieli kiedyś zmiennokształtnego w rodzinie...

- **Kee-kee... piii!**

- **Psii?** - Keller spojrzała ze strachem na pieluszkę.

- **On chce powiedzieć „piękna”.** - Mama Iliany się uśmiechnęła. - **To zabawne. Normalnie nie lgnie tak do ludzi. Woli zwierzęta.**

- **Och, no cóż, najwyraźniej ma dobry gust.** - Keller wreszcie odczepiła chłopca od siebie i oddała go matce. Potem zapa-Itrzyła się na korytarz, w którym zniknęła Iliana, i szepnęła - **Szkoda, że ma marny wzrok.**

- **Uważam, że wzrok ma doskonały** - dodał stojący tuż za nią Galen.

Keller odwróciła się, uświadamiając sobie, że są sami. Delikatny uśmiech zniknął z twarzy Galena.

- **Naprawdę chciałem z tobą porozmawiać.**

Rozdział 7

Keller zmierzyła go wzrokiem.

- Tak, panie? A może powinnam powiedzieć: Mój władco?

Skrzywił się, ale spróbował to ukryć.

- Powiniennem być ci powiedzieć na samym początku.

Keller nie chciała wdawać się w dyskusję.

- Czego chcesz?

- Nie moglibyśmy tam wejść? - Skinął głową w stronę pomieszczenia, które wyglądało na skrzyżowanie gabinetu z biblioteką.

Keller nie chciała, ale nie znalazła żadnego powodu, dla którego mogłaby odmówić. Poszła za nim, a kiedy zamknął drzwi, splotła ramiona na piersi.

- Uratowałaś mi życie. - Nie patrzył wprost na nią. Wyglądał przez okno, wpatrując się w zimne srebrzyste niebo. Miał profil młodego księcia ze starożytnej monety.

Keller wzruszyła ramionami.

- Może tak, a może nie. Jeśli te cegły nie zabiły mnie, to pewnie nie zabiłyby i ciebie.

- Ale starałaś się uratować mi życie. Zrobiłem coś, co najprawdopodobniej było głupie. Znowu. I musiałaś to za mnie naprawiać.

- Zrobiłam to, bo taką mam pracę, Galen. Tym się zajmuję.

- Ale przeze mnie zostałaś ranna. Jak się wygrzebałem z tego rumowiska, myślałem, że nie żyjesz - powiedział to spokojnie, ale Keller podniosły się włoski na ramionach.

- Muszę wracać do Iliany.

- Keller.

Coś było z nią nie tak. Była odwrócona do drzwi, miała wyjść, ale jego głos ją zatrzymał.

- Keller, proszę.

Wiedziała, że do niej podchodzi.

Dostała gęsiej skórki na całym ciele. Była zbyt świadoma jego obecności. Czowała powietrze, które poruszał. Czowała jego ciepło.

- Keller. Od kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy... - zamilkł i spróbował jeszcze raz.

- Błyszczłaś. Te czarne włosy powiewające wokół ciebie i te srebrzyste oczy. A potem się zmieniłaś. Wydaje mi się, że nie rozumiałem, co oznacza bycie zmiennokształtnym, dopóki tego nie zobaczyłem. Najpierw byłaś dziewczyną, a w następnej chwili kotem, ale tak naprawdę zawsze byłaś jednym i drugim. - Odetchnął głęboko. - Nie umiem tego nazwać.

Keller musiała natychmiast wymyślić coś, co by mogła powiedzieć. Ale nie umiała. Nie mogła też się ruszyć.

- Kiedy to zobaczyłem, po raz pierwszy zapragnąłem się przekształcić. Przedtem o to nie dbałem, a poza tym wszyscy mi mówili, że mam uważać, bo kształt, który wybiorę jako pierwszy, będzie tym ostatecznym. Ale nie to chcę powiedzieć.

Chcę...

Wyciągnął rękę. Keller poczuła ciepło jego dłoni między łopatkami, przechodziło przez włosy, przez materiał jej zapasowego kombinezonu.

Wzdrygnęła się.

Nie mogła na to nic poradzić. Czowała się tak dziwnie. Kręciło jej się w głowie, a zarazem odczuwała wyjątkową jasność. I słabość.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, oprócz tego, że to było potężne i przerażające.

Nadal trzymał rękę na jej plecach, a jego ciepło przenikało przez jej skórę.

- **Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo mnie nie lubisz** - powiedział cicho Galen. W jego głosie nie było słycać żalu, ale zdawało się, że mówienie sprawia mu trudność. - **I nie będę próbował tego zmienić. Ale chciałem tylko, żebyś wiedziała, że zdaję też sobie sprawę z tego, co dla mnie zrobiłaś. Pragnę ci podziękować.**

Keller poczuła ucisk w klatce piersiowej. Zaciśnęła usta, bała się tak, jak nigdy w obliczu walki z potworami.

- **I... nie zapomnę tego.** - kontynuował cicho Galen. - **Kiedyś znajdę sposób, żeby się odwdzińczyć.**

Keller była przerażona. Co on z nią robił? Nie panowała nad sobą. Trzęsła się i coraz bardziej bolała ją w piersiach.

Jedyne, co jej przychodziło na myśl, to odwrócić się do niego i uderzyć, jak zwierzę w pułapce, które atakuje swojego wybawiciela.

- **To takie dziwne** - ciągnął. A Keller miała wrażenie, że prawie zapomniał o jej istnieniu i mówił do siebie. - **Kiedy dorastałem, odrzuciłem moc mojej rodziny. Podobno wszyscy moi przodkowie zamieniali się w potwory, kiedy pozwolili jej się uwolnić. Pomyślałem, że lepiej będzie nie walczyć, jeśli tylko da się tego uniknąć. A teraz to się wydaje niewykonalne.**

Keller czuła coś jeszcze, nie tylko ciepło. Z jego ręki wydobywały się małe elektryzujące iskry i biegły wzdłuż jej ramion. Oczywiście nieprawdziwe. Nie była to moc, o której przed chwilą wspominał, taka jak ta używana przez smoki czy Winnic Ale odczucie było bardzo podobne. Całe jej ciało było naelektryzowane.

Pomyślała cierpko, że niektórzy nie powinni być zmuszani do walki. Ale nie, to było szalone. Wszyscy musieli walczyć. Na tym polegało życie. Jeśli nie walczyłeś, byłeś słaby. Byłeś zwierzyną łowną.

Galen nadal mówił tym nieobecny głosem.

- **Wiem, co sobie myślisz...**

Panika Keller dosięgła szczytu. Odwróciła się.

- **Nie masz pojęcia o tym, co ja myślę. Nic o mnie nie wiesz. Skąd ci przyszło do głowy, że wiesz.**

Był zaskoczony, ale się nie bronił. Srebrne światło rozjaśniało jego jasną czuprynę.

- **Przepraszam** - powiedział delikatnie.

- **Przestań przeproszać!**

- **Uważasz, że się mylę? Chyba nie sądzisz, że jestem rozpuszczonym księżątkiem, które nie wie nic o prawdziwym życiu i które trzeba niańczyć?**

Keller była zakłopotana. Dokładnie tak o nim myślała. Ale jeśli to była prawda, to czemu czuła, że przegrywa?

- **Myślę, że jesteś taki sam jak ona** - mówiła krótko i dosadnie, żeby zapanować nad głosem. Nie musiała wyjaśniać, kogo ma na myśli. - **Jesteś taki, jak cała ta szurnięta rodzina. Szczęśliwa mamusia, szczęśliwy dzidzius, szczęśliwe święta. Są gotowi kochać wszystkich. Żyją w idealnym świecie, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.**

Uśmiechnął się cierpko, ale nadal patrzył poważnie.

- **Wydaje mi się, że właśnie to powiedziałem.**

- I to brzmi niegroźnie, prawda? Ale tak nie jest! To zaślepią i niszczy. Założysz się, że matka Iliany nadal uważa, że mam na imię Kelly? Nie podoba jej się Keller, więc zmienia beztrąsko świat, by pasował do jej wyobrażeń.

- **Może masz rację.** - Już się nie uśmiechał, był zagubiony i bezradny. Przez co Keller wpadała w jeszcze większą panikę.

Odezwała się ostro, by ukryć strach:

- **Chcesz wiedzieć, jakie jest prawdziwe życie? Moja matka zostawiła mnie na parkingu w kartonowym pudle. Było wyłożone gazetami, jak dla szczeniaka. A to dlatego, że utknęłam w połowie przemiany. Byłam dzieckiem z kocimi uszami i ogonem. Nie chciała się mną opiekować, ale nigdy się tego nic dowiem. Jedyne, co mi po niej zostało, to liścik, który był w pudełku. Zachowałam go.**

Keller pogrzebała w kieszeni kombinezonu. Nie zamierzała tego komukolwiek pokazywać, a już szczególnie komuś, kogo poznała niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Ale musiała przekonać Galena. Musiała zmusić go, żeby odszedł na zawsze.

Nosiła cienki portfel - żadnych zdjęć, tylko dokument tożsamości i pieniądze. Wyciągnęła złożony kawałek papieru, o kantach rozprasowanych przez czas. Litery wyblakły i z niebieskich stały się bladofioletowe. Prawa krawędź była porwana, ale tekst nadal dało się odczytać.

- **To mój spadek po niej** - powiedziała Keller. - **Starła się przekazać mi prawdę o życiu.**

Galen wziął kartkę tak, jakby była zranionym ptaszkiem.

Keller patrzyła, jak jego oczy przesuwają się po tekście. Oczywiście znała te słowa na pamięć i teraz rozbrzmiewały jej w myślach. Było ich tylko dwanaście, jej matka była mistrzynią zwięzłości.

*Ludzie umierają...
Piękno błędnie...
Miłość odchodzi...
A ty zawsze będziesz sama.*

Keller wiedziała, w którym miejscu lektury jest Galen po tym, jak na jego twarzy pojawia się smutek.

Uśmiechnęła się do niego i odebrała kartkę.

Spojrzał na nią. I mimo tego, co już o nim wiedziała, była zaskoczona, jak wielki przeżył szok. Wpatrywał się w nią tymi złotozielonymi oczami o niesamowitej głębi, po czym do niej podszedł.

- **Chyba w to nie wierzysz!** - powiedział gwałtownie i złapał ją za ramiona.

Keller była zdziwiona. Widział ją w walce. Jak mógł być tak nieostrożny i ją złapać?

Zdawał się kompletnie nieświadomy niebezpieczeństwa, już nie był taki spokojny i niepewny. Wpatrywał się w nią z bólem i czułością, jakby mu właśnie powiedziała, że jest śmiertelnie chora. Tak jakby poprzez dotyk starał się wlać w nią miłość, ciepło i światło.

- **Nie pozwolę ci tak myśleć** - powiedział. - **Nie pozwolę.**

- **Taka jest prawda. I jeśli to zaakceptujesz, to nie zginiesz. Cokolwiek się stanie, pogodzisz się z tym.**

- **To nie jest cała prawda. Skoro w to wierzysz, to po co pracujesz dla Kręgu Świ-tu?**

- Wychowali mnie - rzuciła Keller. - Wyrwali mnie ze szpitalnego żłobka, kiedy przeczytali o mnie w gazecie. Zorientowali się, czym jestem i że ludzie nie dadzą sobie ze mną rady. Dlatego dla nich pracuję, by się odwdziżyć. Po prostu robota.

- Nie tylko dlatego. Widziałem, jak pracujesz.

Czuła ciepło jego rąk na ramionach. Strząsnęła je i stanęła wyprostowana. Była zimna w środku i tego się trzymała.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziała. - Nie ratuję ludzi z pobudek idealistycznych. Nie ryzykuję głowy dla każdego, tylko dla tych, za których mi płacą.

- Czyli jeżeli braciszek Iliany będzie w niebezpieczeństwie, to go nie uratujesz? Będziesz patrzeć, jak ginie w pożarze albo tonie?

Keller poczuła ucisk w dołku. Uniosła podbródek i powiedziała:

- Właśnie tak. Gdybym miała narażać życie, żeby uratować malca, nie zrobiłabym tego.

Pokręcił głową i stwierdził stanowczo:

- Nie.

Ucisk w dołku się nasilił.

- To kłamstwo - powiedział, patrząc jej w oczy. - Widziałem cię w akcji. W nocy rozmawiałem z Nissą i Winnie. I widziałem twój umysł. To nie jest tylko twoja praca. Robisz to, bo uważasz, że to słuszne. I jesteś... - zamilkł w poszukiwaniu odpowiednia go słowa, po czym stwierdził stanowczo- Jesteś honorowa.

Wariat, pomyślała Keller. Naprawdę musiała się stąd wydostać. Ucisk w dołku zamieniał się w potworną słabość rozprzestrzeniającą się po ciele. I chociaż wiedziała, że chłopak wygaduje głupoty, to nie mogła przestać go słuchać.

- Doskonale stwarzasz pozory - kontynuował Galen. - Ale w rzeczywistości jesteś dzielna, waleczna i praworządna. Masz własny kodeks, którego nigdy nie złamiesz. I każdy, kto cię zna, widzi to. Nie wiesz, co myśli o tobie twoja drużyna? Trzeba było zobaczyć ich twarze i Iliany, gdy myślały, że zginęłaś w tym rumowisku. I twoja dusza jest prosta jak miecz i masz więcej honoru niż ktokolwiek, kogo poznałem.

Jego oczy były koloru pierwszych wiosennych listków, takich, przez które prześwituje jeszcze słońce. Keller była mięsożercą i nigdy nie poświęcała wiele uwagi kwiatom i zieleni ale teraz przypomniała sobie fragment wiersza i ten wers rozświetlił jej umysł jak błyskawica; „Złotem przyrody - pierwsza zieleni!”*. To właśnie o ten kolor chodziło poecie.

W takich oczach można było utonąć.

Znów trzymał ją za ramiona. Jakby nie mógł się powstrzymać, jak gdyby bał się, że zniknie.

- Twoje życie było takie trudne. Zastępujesz na to, żeby teraz przydarzały ci się dobre rzeczy, same dobre rzeczy. Chciałbym... - przerwał, a po twarzy przebiegł mu skurcz.

* Robert Frost, *Wszystko, co złote, minie*, tłum. Stanisław Barańczak, 1992.

Nie, pomyślała Keller. Nie pozwolę ci mnie osłabić. Nie będę słuchać twoich kłamstw.

Rzecz w tym, że Galen nie kłamał. Należał do idealistów, którzy mówili o tym, w co wierzyli. Nie powinno jej obchodzić to, co mówi, a jednak... Straszliwie ją obchodziło. Galen po prostu stał, patrząc na nią przez łzy. Coś w Keller pękło. A potem wszystko się zmieniło. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, co się dzieje. Prerażona wiedziała tylko, że się rozsy-

puje. Traci swoją zbroję, twardość, wszystko, co potrzebne do przeżycia. Głęboko w niej coś się roztopiało, zbliżała się do Galena.

Próbowała to pohamować, ale bezskutecznie. Nie dawało się zatrzymać.

Lekko zdziwiona zorientowała się, że ma zamknięte oczy. Leciąca, ale wcale jej to nie obchodziło. Coś ja złapało.

Poczuła, że oplatają ją i przytrzymują ciepłe ramiona. Wtuliła się w nie, rozluźniła i pozwoliła, by przejęły część jej ciężaru, jakby to nie ona sprawowała władzę nad własnym ciałem.

Tak ciepło...

W tym momencie Keller uświadomiła sobie coś dziwnego. To ciepło przyprawiało ją o dreszcze.

Będąc tak blisko Galena, czując jego ciepło i oparcie - to wszystko przyprawiło ją o dreszcz przyjemności.

A potem poczuła prawdziwą więź.

To nie było nic fizycznego. Ten impuls, który przebiegł między nimi, połączył ich umysły.

Przebłysk pełnego zrozumienia. Jej serce prawie wybuchło.

To ty! W jej umyśle odezwał się ten sam głos, który słyszała dzień wcześniej, gdy próbował ją uratować przed smokiem. Zdumiony i zaskoczony odkryciem.

To ty... ta, której szukałem. Właśnie ta.

A Keller chciała mu powiedzieć, że chyba postradał zmysły, ale czuła dokładnie to samo. Tak jakby odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z kimś, o kim marzyła. Z kimś, kogo instynktownie znała, tak samo, jak swój własny mózg.

Ja też cię znam... Galen odezwał się w jej umyśle.

Jesteśmy tacy podobni...

Nieprawda. Pomyślała Keller. Ale nawet dla niej brzmiało to nieprzekonująco. Dalszy upór i gniew były bezcelowe. Tak jakby dziecko upierało się, że nikt go nie kocha i dlatego pójdzie pobawić się na autostradę.

Należymy do siebie. Powiedział. **Po prostu.**

Ciepłe mrowienie. Moc jego miłości była jak rozświetlające ją światło. I nie mogła już... dłużej się... opierać...

Przytuliła Galena. Uniosła lekko głowę, ale niewiele, była wysoka i ich usta znalazły się kilka centymetrów od siebie.

Pocałunek przyprawił ją o dreszcze, był cudowny, słodki.

W nieskończoność unosili się w złotej mgiele, aż w końcu Keller znów zadrżała.

Jest coś... Coś, o czym muszę pamiętać...

Kocham cię. Odpowiedział Galen.

Tak, ale jest coś, o czym zapomniałam...

Jesteśmy razem. Nie chcę pamiętać o niczym innym.

I najprawdopodobniej mówił prawdę. Nie mogła go winić. Kto chciałby zakłócić to ciepło, bliskość i cichą radość?

Ale przecież o czymś rozmawiali, dawno temu, kiedy była sama. O czymś, co sprawiało, że była strasznie nieszczęśliwa.

Już nie będziesz nieszczęśliwa. Nie pozwolę też, żebyś była sama, powiedział.

Pogłaskał jej włosy czubkami palców. Tylko tyle, a prawie zatrzymało procesy myślowe Keller.

Ale nie całkiem.

Samotna... Pamiętajam. Liścik od jej matki. **Zawsze będziesz sama.**

Galen objął ją mocniej.

Nie, Nie myśl o tym. Jesteśmy razem. Kocham cię.

Nie.

Wyszarpnęła się z jego objęć. Nagle znów stała na własnych nogach i patrzyła na Galena. Wyglądał na zszokowanego i dotkniętego, jakby ktoś go właśnie brutalnie wyrwał ze snu.

- Keller...

- Nie! - warknęła. - Nie dotykaj mnie!

- Nie dotknę cię, ale nie pozwolę ci uciec. I nie mogę udawać, że cię nie kocham.

- Miłość - rzuciła. - To słabość. - Ujrzała na podłodze list od swojej matki, leżał tam, gdzie upuścił go Galen. Sięgnęła po niego.

I nikt nie sprawi, że będzie sentymentalna i słaba! Nikt!

Dopiero za drzwiami uświadomiła sobie, że nie użyła jednego argumentu.

Nie mógł jej kochać. To niemożliwe. Miał się ożenić z dzieckiem czarownicy. Od tego zależy los świata.

Rozdział 8

Keller miała ochotę sprawdzić, czy osłony nadal działają, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Nie była czuła na moc Czarownic. Nałożyła je babcia Harman, a potem sprawdzała Winnie i musiała im zaufać.

Zakłęcia chroniły rodzinę Dominicków, a do ich domu mogli wchodzić tylko zwykli ludzie. Nikt ze świata nocy, poza Nissa, Winnie, Keller i Galenem. Co oznaczało, że ewentualnych krewnych mamy Iliany czekała przykra niespodzianka. Niewidzialny mur nie pozwolił im wejść do środka.

Dopóki nikt z wnętrza nie zdejmie osłon, dom był bezpieczniejszy od fortu Knox.

Keller zauważyła też, że babcia Harman zabrała limuzynę. W nocy zastąpiono ją nierzucającym się w oczy fordem, który stał teraz zaparkowany na chodniku. Kluczyki znajdowały się w szarej kopercie, którą ktoś wsunął przez otwór na listy. Obok leżała mapa Liceum Lucy Lee Bathea.

Krąg Świtu był sprawny.

- Nie ułożyłam włosów! - Iliana marudziła, kiedy Nissa pchała ją do samochodu. - Jeszcze nie jestem gotowa!

- Wyglądają doskonale - odezwała się z tyłu Winnie.

I prawdę mówiąc, właśnie tak było. Nic nie mogło sprawić, by ten lśniący srebrnozłoty wodospad nie wyglądał doskonale. Bez względu na to, czy były upięte w kok, czy kucyk, zaplecione w warkocz, czy rozpuszczone, zawsze wyglądały bosko.

Keller pomyślała, że pewnie ta mała sroka nawet nie musi ich czesać. Są tak gładkie, że nawet gdyby chciała, nie uda jej się ich popłatać.

- I zapomniałam szalika...

- Masz. - Keller zarzuciła jej szalik. Wyglądał idiotycznie. Z marszczonego weluru w przytłumionych metalicznych kolorach, z długimi frędzlami. Wyłącznie do ozdoby.

Iliana zadławiła się, gdy Keller oplotła jej szyję kilka razy i zaciągnęła węzeł.

- Nie za agresywnie, szefie? - zapytała Winfrith, wypłatając Ilianę, nim zzieleniała z braku tlenu.

- Nie chcę się spóźnić - odpowiedziała Keller krótko. Ale zauważyła, że Nissa też się jej przygląda.

Galen wyszedł z domu ostatni. Był blady i poważny - tyle zobaczyła Keller, nim odwróciła wzrok. Mama Iliany z dzieckiem na rękach stanęła w progu.

- Pomachaj na pożegnanie. Pa, pa.

- Kee-Kee - wypaplało dziecko. - Kee-kee!

- Machnij do niego - odezwała się teatralnym szeptem Winnie.

Keller zacisnęła zęby. Machnęła niedbale, skupiając się na ewentualnym ataku. Dziecko wyciągnęło do niej rączki.

- Piil!

- Zmywamy się. - Keller prawie wepchnęła Ilianę do samochodu.

Nissa usiadła za kierownicą, a Galen zajął miejsce obok niej. Winnie obiegnęła samochód i zajęła miejsce z drugiej strony Iliany.

Kiedy odjeżdżali, Keller po raz pierwszy zobaczyła budynek z zewnątrz. To był ładny dom. Z białych desek, dwupiętrowy, z poddaszem, neokolonialny. Ulica też była ładna. Wysadzana dereniami, które gdy rozkwitną zamieniają się w morze bieli. To ulica, przy której wiosną mieszkańcy siadają na bujanych fotelach, a w ogródku ktoś trzyma ule i zbiera miód dereniowy.

Keller podróżowała po całych Stanach, przesyłana z jednej siedziby Kręgu Świtu do kolejnej, ale szpital, w którym ją znaleziono, był niedaleko podobnego osiedla.

Mogłam dorastać w takim miejscu. Gdyby mnie zatrzymali. Moi rodzice...

Czy ja jej nienawidzę? Nie mogłabym. To nie jej wina.

Och nie, oczywiście, że nie. Odezwał się głos w jej głowie. To nie jej wina, że jest piękna i doskonała, ma kochających rodziców, w jej żyłach płynie niebieską moc i że poślubi Galena, czy tego chce, czy nie.

Co mnie kompletnie nie obchodzi, pomyślała Keller. Była zszokowana swoim zachowaniem. Od kiedy to emocje przeszkadzają jej w pracy? Pozwalała sobie na roztargnienie - robiła to przez cały ranek - podczas gdy miała bardzo ważne zadanie.

Koniec z tym, powiedziała sobie stanowczo. *Od tej pory nie myślę o niczym poza misją.* Lata dyscypliny zrobiły swoje. Udało jej się odepchnąć niechciane myśli i skupić wyłącznie na tym, co trzeba było teraz zrobić.

- Zatrzymał pociąg... - mówiła Winfrith.

- Naprawdę? - Iliana wykazywała lekkie zainteresowanie tematem.

Wreszcie przestała gadać o włosach, pomyślała Keller.

- Naprawdę. To był jeden z tych szybkich pociągów w San Francisco, takich jak metro. Dwie dziewczynki znalazły się na torach i Pierwotna Moc zatrzymała ten pociąg, zanim w nie uderzył. Tego może dokonać błękitne światło.

- No cóż, ja nie potrafię - powiedziała stanowczo Iliana. - Czyli nie mogę być Pierwotną Mocą czy jak to się zwie - dorzuciła szybko.

Nissa uniosła jedną brew.

- Próbowałaś kiedyś zatrzymać pociąg?

Podczas gdy Iliana rozmyślała nad odpowiedzią i obgryzała paznokcie, Winnie mówiła dalej:

- No bo wiesz, musisz to zrobić prawidłowo. Najpierw musisz upuścić krew, a potem się skoncentrować. To nie jest coś, co udaje się za pierwszym razem.

- Możemy ci pomóc, jeśli chcesz poćwiczyć - dodała Nissa. Iliana się wzdrygnęła.

- Nie, dzięki. Na widok krwi mdleję. A w ogóle, to ja tym czymś nie jestem.

- Szkoda - wyszeptała Nissa. - Przydałby się nam twoja moc.

Podjeżdżali do starego, pięknego szkolnego budynku z brązowej cegły. Przez całą drogę Galen i Keller nie odezwali się ani słowem.

Ale teraz dziewczyna wychyliła się do przodu.

- Omiń ją. Chcę najpierw sprawdzić rozkład. Nissa skrzyła na okrągły podjazd, po czym minęła olbrzymie drzwi frontowe. Keller rozglądała się na boki, badając otoczenie. Widać, że to samo robili Winnie... I Galen. Skupiała się na tych samych niebezpiecznych miejscach, co ona. Miał instynkt stratega.

- Objedź budynek i zawróć - powiedziała Keller. Iliana poruszyła się niespokojnie.

- Myślałam, że zależy ci na tym, żebym się nie spóźniła.

- Bardziej zależy mi na tym, żebyś pozostała żywa - odwarknęła Keller. - Nissa, co o tym myślisz?

- Boczne drzwi z zachodniej strony. Można dość blisko podjechać i nie ma krzaków, zza których mógłby ktoś wyskoczyć.

- Mój wybór. No dobra, słuchajcie wszyscy. Nissa zwolni w odpowiednim momencie. Zwolni, nie zatrzyma samochodu. Na mój sygnał wszyscy wyskoczmy i pójdziemy prosto do drzwi. Bez zatrzymywania. Będziemy się poruszać w grupie.

Iliana, słuchasz mnie? Od tej pory nie wolno ci się ruszyć, jeśli Winnie nie będzie przed tobą, a mnie obok.

- A Galen? - zapytała Iliana.

Keller zakłęła w duchu. Nie była przyzwyczajona do pracy we czwórce.

- Będzie obstawiał tyły. - Zmusiła się, by spojrzeć na niego.

- Tak. Jak sobie życzysz. - Jego twarz niczego nie zdradzała. Był śmiertelnie poważny.

- Nisso, dołącz do nas, jak zaparkujesz. Będiesz ją osłaniać z drugiej strony.

Iliano, w której sali masz pierwszą lekcję?

- W trzysta dwudziestej szóstej - stwierdziła Iliana. - Historia USA z panem Wamakerem. Był w Nowym Jorku, bo chciał zostać aktorem, ale nabawił się tam tylko jakiejś choroby. Chyba źle się odżywił. Więc wrócił. Jest strasznie surowy, ale kiedy się go poprosi, żeby zagrał któregoś z prezydentów...

- Dobra - przerwała jej Keller. - Zbliżamy się do drzwi.

- I jest całkiem zabawny, kiedy naśladuje Teodora Roosevelta, a może tego drugiego...

- Teraz! - rzuciła Keller i pchnęła Ilianę. Winnie pociągnęła ją z drugiej strony.

Akcja przebiegła gładko, tylko dziewczyna trochę krzyczała. Keller trzymała ją mocno za ramię, gdy biegli do drzwi.

- Chyba nie podoba mi się taki sposób przychodzenia do szkoły.

- Możemy natychmiast zawrócić do domu - odpowiedziała Keller. Iliana zamilkła.

Galen podążał za nimi, cichy i skupiony. Zwykle to Nissa zajmowała tę pozycję, jeśli nie kierowała akurat samochodem, i Keller wyraźnie czuła różnicę. Nie podobało jej się, że za plecami ma kogoś, komu nie mogła w pełni zaufać. I chociaż wrogowie jak na razie nie wiedzieli, że Galen również odgrywa kluczową rolę w ratowaniu świata, to na pewno szybko się połączy.

Pogódź się z tym, pomyślała. Ten układ to katastrofa, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Po prostu proszą się o jakieś nieszczęście.

Miała tak napięte nerwy, że podskakiwała przy każdym najmniejszym dźwięku.

Doprowadzili Ilianę do jej szafki, a następnie schodami na trzecie piętro. Korytarze były prawie puste, dokładnie tak, jak zaplanowała Keller.

Ale to oznaczało również, że spóźnili się na zajęcia.

Nissa dołączyła do nich w momencie, gdy otwierali drzwi do klasy. Weszli do środka. Nauczyciel przestał mówić i spojrzał na nich. Podobnie jak uczniowie. Na ich widok niektórzy pootwierali buzie z wrażenia. Keller uśmiechnęła się do siebie.

Tak, zapewne stanowili atrakcję, w końcu to było małe miasteczko. Istoty nocy. Drobną czarownicą z burzą rudych loków i twarzą rozradowanego chochlika. Nastoletnia wampirzyca wyglądająca, jakby wyszła prosto z kolorowego pisma, o krótkich włosach i zadziwiająco głębokim spojrzeniu. Zmiennokształtny chłopak, który mógł stanąć w pojedynku na urodę z każdym księciem z baśni.

No i oczywiście pantera. Która akurat w tej chwili szła na dwóch nogach i wyglądała jak normalna dziewczyna z czarnymi długimi włosami.

No i pośród nich Iliana, która wyglądała jakby trafiła tu wprost z Dziadka do orzechów.

Nastąpiła cisza, podczas której obie grupy się mierzyły. Po czym nauczyciel zatrzasnął książkę i podszedł do nich. Keller przygotowała się do ataku. Miał elegancko przystryżoną brodę i groźną minę.

Ale to Iliana się nim zajęła. Wyszła przed szereg, zanim Keller zdążyła coś powiedzieć.

- **Panie Wanamaker! To moje kuzynostwo. No, część z nich to kuzynostwo. Są z...**

Kalifornii. Hollywood! Są tu... bo zbierają informacje o...

- **Jesteśmy ze zwykłą wizytą** - wpadła jej w słowo Keller.

- **Nowym programie o liceach. Ma być oparty na faktach...**

- **To tylko wizyta** - powiedziała Keller.

- **Ale twój tata jest sławnym producentem** - stwierdziła Iliana. Po czym szepnęła w stronę pana Wanamakera - **Wie pan, jak tamten producent.**

Oczy wszystkich, w tym nauczyciela, skupiły się na Keller.

- **Tak... zgadza się** - powiedziała Keller i uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby. - **Przyjechaliśmy z wizytą.**

Dała kukuśnia Winnie, ale nie było takiej potrzeby. Czarownica już wpatrywała się w nauczyciela, rzucając urok.

Pan Wanamaker mrugnął. Podniósł trzymaną w rękę książkę tak, jakby był Hamletem trzymającym czaszkę Yoricka. Spojrzał na nią, potem na Winnie, po czym znów zamrugnął.

Potem wzruszył ramionami i uniósł wzrok na sufit.

- **Dobrze, nieważne. Siadajcie. Z tyłu jest kilka krzeseł. I tak wpiszę spóźnienie.** -

Ale Keller zauważyła, że kiedy wracał na swoje miejsce, szedł elegancko wyprostowany.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi innych, wysłała w stronę Iliany zabójcze spojrzenie.

- **Znany producent?** - wysyczała przez zęby.

- **Och, to było ciekawsze, niż mówić, że jesteście po prostu przyjaciółmi.**

Naprawdę nie potrzebujesz już więcej atrakcji, ty ptasi mózdzku, pomyślała Keller, ale nic nie powiedziała.

Odkryła natomiast zaskakującą rzecz, i to szybko. Jej pracę utrudniał fakt, że cała szkoła zdawała się kochać Ilianę.

To dziwne. Keller była przyzwyczajona, że interesują się nią chłopcy i ignorowała to. Również Nissa i Winnie musiały się opędzać od facetów, ale tutaj chłopcy patrzyli na nią, Nissę i Winnie, ale ich wzrok zawsze wracał do Iliany.

Na przerwie skupiali się wokół niej jak pszczoły wokół kwiatu. I nie tylko chłopcy. Tak samo dziewczyny. Każdy zdawał się mieć do niej jakąś sprawę albo przynajmniej chciał zobaczyć jej uśmiech.

To był koszmar.

Co oni w niej widzą? - zastanawiała się Keller, sfrustrowana ponad wszelkie granice, kiedy próbowała wyprowadzić Ilianę z tłumu. To znaczy poza tym, co oczywiste, czyli jej wygląd...

Ale nie. Najwyraźniej nie chodziło o to. Nie pchali się do niej po to, żeby się z nią umówić.

- Iliano, mój dziadzius był zachwycony kartką z życzeniami powrotu do zdrowia, którą zrobiłaś.

- Iilie, będziesz w tym roku wiązać wstążeczki świątecznym misiom na cele dobroczynne? Nikt inny nie potrafi robić takich małych kokardek.

- Och, Iliano, to straszne. Muszce urodziło się pięć szczeniaków, a mama mówi, że nie możemy ich zatrzymać. Musimy im znaleźć nowe domy.

- Iliano, potrzebuję pomocy...

- Poczekaj, Iliano, chciałem spytać...

No dobrze, ale dlaczego przychodzą do niej? - zastanawiała się Keller, kiedy wreszcie oddzieliła dziewczynę od tłumu wielbicieli i wyprowadziła na korytarz. To przecież niemożliwe, żeby rozwiązywała problemy najlepiej z całej szkoły.

Jeden chłopak interesował się Ilianą z oczywistych powodów. Keller od razu go znieubiła. Był przystojny, miał ciemnoorzechowe włosy, niebieskie oczy i bardzo białe zęby. Nosił drogie ubrania i dużo się uśmiechał, ale tylko do Iliany.

- Brett - odezwała się Iliana, gdy je zaczepił.

Brett Ashton-Hughes. Jedno z bliźniąt. Wyprawiały w sobotę przyjęcie urodzinowe. Keller znieubiła go jeszcze bardziej, gdy zmierzył ją wzrokiem, po czym skupił się z powrotem na Ilianie.

- Cześć, ślicznotko. Będiesz w sobotę?

Iliana zachichotała. Keller powstrzymała się, żeby w coś nie uderzyć.

- Oczywiście, że będę. Za nic bym tego nie przegapiła.

- Bo wiesz, gdybyś nie przyszła, Jaime byłaby załamana. Zapraszamy tylko kilka osób i będziemy mieli dla siebie całe zachodnie skrzydło. Możemy nawet tańczyć w sali balowej.

Oczy Iliany się zaszkliły.

- To brzmi tak romantycznie. Zawsze chciałam zatańczyć w prawdziwej, staro-świeckiej sali balowej. Będę się czuć jak Scarlett O'Hara.

Nie, pomyślała Keller. Nie, nie, nie. Nie ma mowy, żeby tam poszła. Jedzie na ceremonię przesilenia, na spotkanie zmiennokształtnych i czarownic, nawet jeśli trzeba będzie zaciągnąć ją tam za włosy.

Spojrzała na Nissę i zobaczyła, że ta myśli dokładnie tak samo. Galen i Winnie obserwowali Brett'a z niepokojem.

- Tak, a ja mogę być Brettem Butlerem - ciągnął Brett - No i wewnętrzny basen będzie podgrzany. Więc jak ci się znudzi Scarlett, możesz zostać syreną.

- Brzmi cudownie! Przekaż Jaime, że będę. Winnie przygryzła wargę. Keller złapała Ilianę za ramię i zaczęła odciągać w inną stronę.

- Obiecujesz?! - krzyknął za nimi Brett. Keller zacisnęła rękę.

- Tak, ale... och... - Ilianie udało się uśmiechnąć i skrzywić w tym samym momencie. Ręka omdlała jej w uścisku Keller. - Aha, zapomniałabym, zatrzymała się u mnie kuzynka z przyjaciółmi.

Brett przez moment się wahał, obrzucając dziewczynę taksującym spojrzeniem. Po czym wzruszył ramionami i posłał im uśmiech.

- Nie ma sprawy. Zabierz wszystkich. Twój przyjaciele są naszymi przyjaciółmi.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała Keller, kiedy już odeszli.

Iliana rozcierała obolałe ramię.

- To o co? Pomyślałam, że będziecie się dobrze bawić.
 - Tej nocy jedziesz na ceremonię przesilenia, więc nie powinnaś niczego obiecywać.
 - Nie pojedę, bo to nie o mnie chodzi.
- Nie był to czas na dyskusje. Keller prowadziła ją korytarzem. Nie była zadowolona. Nerwy miała napięte jak postronki. Po chwili również Iliana straciła humor.
- Drugie śniadanie jem zawsze w kafejce.
 - Ale nie dziś - odpowiedziała Keller. Była opryskliwa i zmęczona. - Nie możemy ryzykować. Musisz znaleźć pomieszczenie, w którym będziemy sami.
 - Może sala muzyczna? - zaproponowała Winnie. - Widziałam ją na mapie, a podczas angielskiego rozmawiałam z pewną dziewczyną, która powiedziała, że sala jest otwarta na czas drugiego śniadania. I prowadzą do niej tylko jedne drzwi.
 - Nie chcę...
 - Nie masz wyboru.
- Iliana siedziała obrażona w sali muzycznej. Kłopot w tym, że nie umiała się długo gniewać. Wkrótce zaproponowała Nissie ciasteczka. Keller krążyła nerwowo przed drzwiami do sali. Słyszała, jak w środku Winnie rozmawia z Galenem. Nawet on wydawał się zmęczony.
- Coś nie gra... Od wejścia do szkoły mam złe przeczucia... A jego obecność wcale mi nie pomaga.*
- Obawiała się, że Galen skorzysta z okazji i będzie chciał z nią porozmawiać. Wołała, żeby tego nie robił.
- Bogini! Muszę oczyścić umysł. Każda chwila, gdy nie panuję nad emocjami, jest szansą dla nich.*
- Była tak pochłonięta myślami, że prawie wpadła na mijającą ją dziewczynę. Keller dopiero po chwili spostrzegła, że ktoś obok niej przeszedł.
- Hej, poczekaj! - zawołała. Dziewczyna była średniego Wzrostu, miała włosy w odcieniu brązu dębowych liści, które sięgały poniżej ramion. Szła szybko. Nie zatrzymała się.
 - Czeka! Mówię do ciebie! Nie wchodź tam.
- Nieznajoma nie odwróciła się, nawet się nie zawahała. Dochodziła już do drzwi sali muzycznej.
- Stój! Albo już po tobie.
- Dziewczyna kierowała się wprost na drzwi. W głowie Keller rozdzwonił się alarm.

Rozdział 9

Keller zareagowała intuicyjnie i natychmiast. Zmieniła się.

Tym razem zrobiła to w czasie skoku. W chwili lądowania na plecach dziewczyny chciała być już panterą.

Ale niektórych rzeczy nie da się przyspieszyć. Poczula, że staje się płynna, bez formy... Przyjemność... Pełna wolność płynąca z braku kształtu. Potem nastąpiła powolna zmiana w coś innego, jak rozwijające się skrzydła motyla, gdy przybiera nową postać.

Na brzuchu i plecach pojawiło się futro. Uszy uniosły się i przesunęły do przodu i natychmiast zaczęły nasłuchiwać. Z końca kręgosłupa wystrzelił ogon. Machnęła nim kilka razy. I tak wylądowała.

Przewróciła dziewczynę i obie potoczyły się po podłodze. Gdy się zatrzymały, Keller siedziała w kucki na brzuchu ofiary.

Nie chciała jej zabić. Najpierw musiała wyciągnąć z niej informacje. Kim była i kto ją przysłał.

Kłopot w tym, że z bliska, wpatrując się w ciemnoniebieskie oczy nieznajomej, nie wyczuwała w niej istoty ze świata nocy.

Zmiennokształtni potrafili wyczuć człowieka na kilometr. A ta dziewczyna na pewno była zwykłą nastolatką.

Krzyczała. Miała szeroko otwarte i rozszerzone źrenice. Jej skóra przybrała odcień trupiej bledości, sygnalizując, że za chwilę ofiara zemdleje. Była przerażona i wcale się nie broniła. Keller zrobiło się słabo.

Ale skoro dziewczyna była niewinna, to dlaczego nie zareagowała na jej ostrzeżenia?

- **Szefie, musimy ją zamknąć!** - Winnie udało się przekrzyknąć wrzaski dziewczyny. Nissa jak zwykle milczała, tylko zamknęła drzwi do sali muzycznej. W końcu Keller doszła do siebie na tyle, że zasłoniła obcej usta. Krzyki ustały.

Potem spojrzała na innych.

Gapili się na nią. Keller poczuła się jak kociak przyłapany na gorącym uczynku.

Oto siedziała na człowieku, w swojej połowicznej formie. Miała uszy i ogon pantery, a od stóp do ramion pokryta była futrem. Wyglądało jak czarny kombinezon bez rękawów. Ręce i szyję miała nagie. Głowę nadal okalały włosy.

Twarz też była ludzka, tylko źrenice się wydłużyły, reagując na każdą zmianę natężenia światła. I zęby. Przypominały zwierzęce kły.

Spojrzała na Galena, niepewna, co oznaczała jego mina. Miał ściągniętą twarz, a wokół ust pojawiły się białe linie.

Przerażenie? Obrzydzenie? Sam był zmiennokształtnym.

Odpowiedź nasunęła się sama.

Dlatego, że w tej chwili jestem potworem. Pantery są częścią natury i nie można ich winić za to, co robią. A ja nie potrafię być ani zwierzęciem, ani człowiekiem. Jestem niebezpieczna i nie panuję nad sobą.

Ktoś, kto nigdy się nie przemieniał, nie mógł tego zrozumieć.

Galen zbliżył się do niej o krok. Zaciskał zęby, ale jego złotozielone oczy wpatrywały się w nią w skupieniu. Uniósł lekko rękę. Keller zaczęła się zastanawiać, czy tak się zachowują negocjatorzy, kiedy rozmawiają z porywaczami. Otworzył usta, by coś powiedzieć.

Nagle Iliana odżyła, poderwała się, przebiegła obok niego i zaczęła krzyczeć na Keller.

- **Co ty robisz? To Jaime! Co jej zrobiłaś?**

- **Znasz ją?**

- **To Jaime Ashton-Hughes! Siostra Bretta! I jedna z moich najlepszych przyjaciółek! A ty ją zaatakowałaś! Wszystko w porządku?**

Wszystko to wykrzyczała, patrząc z troską na Jaime.

Keller zdjęła rękę z ust dziewczyny. Ale jak się okazało, nie było to potrzebne. Jaime podniosła wolną rękę i zaczęła wykonywać szybkie, płynne gesty w stronę Iliany.

Keller gapiała się na tę scenę w osłupieniu.

Kiedy uwolniła drugą rękę dziewczyny, ta natychmiast zaczęła gestykulować obiema dłońmi.

Och... Och... kurczę...

Czuła się okropnie. Spojrzała ponuro na Ilianę.

- **Język migowy?**

- **Nie dosłyszysz.** - Iliana spojrzała z niesmakiem na Keller, nie przerywając migania do Jaime. Jej ruchy były niezdarne i powolne w porównaniu z dziewczyną.

- **Nie wiedziałam.**

- **Co mnie to obchodzi?! - Krzyknęła Iliana. - Jest moją przyjaciółką! Przewodniczącą ostatniej klasy! I opiekuje się świątecznym kiermaszem na cele dobroczynne! Co ci zrobiła? Zapytała, czy kupisz misia?**

Keller westchnęła. Ogon schowała pod siebie, a uszy leżały bardziej płasko. Zeszła z Jaime, która natychmiast poderwała się z ziemi i odsunęła od napastniczki.

- **To był błąd - powiedziała Keller. - Nie zatrzymała się, kiedy ją o to prosiłam. Krzyczałam do niej, ale... Nie zorientowałam się. Po prostu powiedz jej, że mi przykro, dobra?**

- **Sama jej powiedz. Nie mów o niej tak, jakby jej tu nie było. Jaime umie czytać z ruchu warg, jeśli tylko raczysz się do niej odwrócić.** - Iliana spojrzała na dziewczynę. - **Przepraszam. Proszę, nie złość się. To jest potworne... I nie wiem, jak to wytłumaczyć. Nic ci nie jest?**

Jaime kiwnęła wolno głową. Popatrzyła przelotnie na Keller. Odezwała się stłumionym głosem. Brzmiał miło, ale nie-1-które dźwięki były niewyraźne. Słowa dało się jednak zrozumieć.

- **Co... to jest?** - zapytała Ilianę o Keller.

Zanim Iliana zdążyła odpowiedzieć, Jaime wzięła się w garść i znowu przyjrzała się Keller.

- **Czym... jesteś?**

Keller otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. Na jej ramieniu spoczęła dłoń. Ale potem się cofnęła, może z obrzydzenia, że spoczywa na futrze.

- **Jest człowiekiem - powiedział Galen, kucając obok Jaime. - Może teraz wygląda trochę dziwnie, ale jest taka jak ty. Uwierz, nie chciała cię skrzywdzić. Popęłniła błąd. Myślała, że jesteś wrogiem i zareagowała.**

- **Wrogiem?**

Galen miał coś w sobie. Jaime uspokoiła się, kiedy się nad nią pochylił. Teraz rozmawiała z nim otwarcie, z gracją poruszając dłońmi dla podkreślenia wypowiedzianych słów. Keller zauważyła, że miała ładną twarz.

- **O czym ty mówisz? Jaki wróg? Kim wy jesteście? Nie wiedziałam was wcześniej w szkole.**

- **Ona myślała... Że chcesz skrzywdzić Ilianę. Pewne osoby chcą to zrobić.**

Wyraz twarzy Jaime zmienił się.

- **Skrzywdzić Ilianę? Kto? Lepiej niech nie próbują!**

Podczas tej przemowy Winnie kręciła się niespokojnie. Teraz wyszeptwała:

- **Szefie...**

- **Cicho - szepnęła Keller - Nissa i tak będzie musiała wyczyścić jej pamięć.**

Szkoda, bo dziewczyna zareagowała na świat nocy bardzo spokojnie. Ale musieli to zrobić.

Keller, mówiąc to, nie patrzyła na Ilianę. Wiedziała, że wyniknie z tego kłótnia. Ale zanim się zacznie, musiała jeszcze coś powiedzieć.

- **Jaime?** - Poruszyła się i natychmiast skupiła na sobie uwagę. - **Przepraszam. Naprawdę przepraszam, że cię przestraszyłam. Nie chciałam cię skrzywdzić.** - Podniosła się, nie czekając na wybaczenie. Co za różnica? Co się stało, to się nie odstanie. A to, co miało nastąpić, było nieuniknione. Nie oczekiwała przebaczenia i nie zależało jej na nim.

A przynajmniej tak sobie powtarzała.

Zgodnie z przypuszczeniami Iliana protestowała. Keller starała się, żeby Jaime nie zrozumiała wiele z dyskusji, bo to by ją przestraszyło i unieszczęśliwiło, a koniec i tak był nieunikniony. Musieli zresetować jej pamięć, dla dobra Iliany i Jaime.

- **Wiedza o świecie nocy może być dla niej groźna** - stwierdziła stanowczo Keller. - **A jeśli smok i jego kumple zorientują się, że dysponuje jakimiś informacjami na temat Pierwotnej Mocy, lepiej, żeby nie wiedziała, co jej zrobią. Zapewniam cię, to będzie straszne.**

W końcu Iliana się poddała. Nissa przesunęła się za plecy Jaime i dotknęła boku jej szyi. Chociaż czarownice były specjalistkami w rzucaniu uroku i przekonywaniu, to wampiry najlepiej czyściły pamięć. Nie używały czarów. To była wrodzona umiejętność, moc wprowadzania ofiary w trans i usuwania z jej pamięci godzin, a czasem nawet całych dni. Jaime przez jakieś siedemdziesiąt sekund patrzyła w srebrnobrązowe oczy Nissy, po czym jej ciało zwiotczało. Galen złapał ją, nim upadła.

- **Obudzi się za kilka minut. Najlepiej jak ją też zostawimy i wyjdziemy** - stwierdziła Nissa.

- **I tak skończyła się przerwa śniadaniowa** - powiedziała Keller. W końcu udało się jej przekonać swoje ciało, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo. Dopiero wtedy się odprężyła i się zmieniła.

Uszy się obniżyły, ogon zniknął. Futro zamieniło się w kombinezon i skórę. Mrugnęła dwa razy i zrenice przybrały normalny wygląd, a kły stały się zębami.

Wzruszyła ramionami, żeby przyzwyczaić się znów do ludzkiego ciała.

Wszyscy byli przygaszeni, prowadząc Ilianę na lekcje. Najcichsza była Keller.

Zareagowała przesadnie, pozwoliła, by zwierzęce zmysły ją zawiodły. I to nie pierwszy raz.

Kiedy miała mniej więcej trzy lata... Lepiej nie wracać do tamtej sprawy. Tak czy inaczej nawet jako agentka Kręgu Switu miewała już takie sytuacje.

Powinna być przygotowana na wszystko. Mieć radar wokół głowy. I reagować instynktownie na najmniejszy sygnał. A jeśli popełniała czasem błąd... No cóż, ratowała też życie.

I wcale jej nie było przykro. Gdyby musiała to powtórzyć, postąpiłaby tak samo. Lepiej przestraszyć miłą szatynkę, niż pozwolić skrzywdzić Ilianę. Lepiej zabić miłą szatynkę, niż pozwolić Ilianie wpaść w ręce wroga. Iliana była wybawieniem dla świata.

Ale...

Może robiła się za stara do tej roboty. A może zbyt nerwowa. W czasie popołudniowych lekcji Iliana siedziała obrażona jak skrzat, któremu ktoś ukradł kapelusik. Keller zauważyła, że Winiie i Nissa są wyjątkowo czujne, na wypadek gdyby ich szefowa była czymś zbyt zaabsorbowana. Rzuciła im sarkastyczne spojrzenie.

- **Myślicie, że straciłam czujność?** - Szturchnęła Nissę w zębra. - **Niedoczekanie.**

Uśmiechnęły się. Wiedziały, że to było podziękowanie. A Galen...

Keller nie chciała myśleć o Galenie. Na każdej lekcji siedział cicho i czuwał. Wiedziała, że wszystkie zmysły ma napięte. Nie próbował jej zagadywać, nawet nie patrzył w jej stronę.

Ale Keller zauważyła, że co jakiś czas wyciera dłoń o spodnie.

I pamiętała, że gwałtownie zabrał rękę z jej ramienia. Jakby dotknął czegoś gorącego. Albo odrażającego...

Keller zacisnęła zęby i wpatrywała się bezmyślnie w tablicę.

Kiedy wreszcie zadźwięczał ostatni dzwonek, kazała wszystkim poczekać w sali, dopóki szkoła nie opustoszeje. Iliana gotowała się w środku, patrząc, jak przyjaciele opuszczają szkolne mury. Nawet nauczyciel się spakował i wyszedł.

- **Możemy wreszcie iść?**

- **Nie.** - Keller stała przy oknie na drugim piętrze i wyglądała na zewnątrz.

No dobra, jestem tyranem, pomyślała. Okropnym, niesympatycznym, dzierżącym pejcz dyktatorem, który skacze na niewinne dziewczynki i nie pozwala ludziom wychodzić ze szkoły. Podoba mi się to.

Iliana nie wdawała się w dyskusje. Stała wyprostowana kilka kroków dalej, wyglądała przez okno i udawała, że nie dostrzega Keller.

W końcu Keller powiedziała:

- **No dobra, Nisso, idź po samochód.**

- **Ja to zrobię** - odezwał się Galen.

Oczywiście nie mogła się na to zgodzić! Ale Galen się uparł.

- **Wreszcie zrobię coś pożytecznego. Przez cały dzień kręcę się tylko, żałując, że nie jestem przeszkolony. Przynajmniej dobrze prowadzę. I potrafię szybko biegać.**

Keller nadal nie chciała się zgodzić, ale nie zdobyła się na to, by zaprotestować. Bała się spojrzeć w te złociste oczy.

Lepiej, żeby książkę nie zniechęcił się do przemiany w zwierzę.

- **Dobra** - zwróciła się do Galena, nie odrywając wzroku od okrągłego podjazdu przed szkołą.

Kiedy zniknął, powiedziała do Nissy:

- **Idź za nim.**

Pewnie dlatego kilka minut później znaleźli się właśnie w tych miejscach.

Keller i Iliana stały przy oknie, patrząc na zimne, szare niebo. Winnie stała przy drzwiach do sali od chemii, lustrując wzrokiem korytarz. Galen był piętro niżej, a za nim dyskretnie podążała Nissa.

A przy podjeździe do szkoły stała dziewczyna. Wyglądała znajomo. I czytała książkę. Jaime. Wszystko stało się bardzo szybko, a mimo to zauważyła znaki ostrzegawcze. Najpierw zauważyła zielononiebieski samochód, który przejechał obok szkoły. Jechał wolno. Zmrużyła oczy, próbując dostrzec kierowcę.

Nie udało się. Samochód odjechał.

Powinam zabrać ją od okna, pomyślała Keller. Chociaż istoty nocy nie wykorzystywali snajperów do usuwania przeciwników.

Ale nie miała innego pomysłu. Keller otworzyła właśnie usta, by to powiedzieć, gdy coś innego przykuło jej uwagę.

Zielononiebieski samochód zawrócił. Stanął przed okrągłym podjazdem.

Keller widziała, jak kierowca podkręcał obroty.

Poczuła, że włosy zjeżyły jej się na karku.

Ale to nie miało sensu. Po co istoty nocy miałyby tam zaparkować? To musiały być jakieś nastolatki.

Iliana zmarszczyła brwi. Przestała kreślić wzory w kurzu zalegającym na parapecie.

- **Kto to? Nie znam tego samochodu.**

Alarm!

Ale przecież...

Samochód znów zawył i zaczął się toczyć podjazdem pod prąd. A Jamie, która stała tuż pod nimi, nie podniosła wzroku.

Iliana uświadomiła sobie, co się dzieje, w tym samej chwili co Keller.

- **Jaime!** - krzyknęła i zaczęła walić w okno. Oczywiście nic to nie dało.
Obok niej stała wściekła Keller.
Samochód przyspieszał prosto na Jaime.
Nic nie dało się zrobić. Nic. Keller nigdy nie zbiegłaby tak szybko na dół. Za moment będzie po wszystkim.
To było przerażające. To wielkie metalowe pudło, tony stali, zaraz uderzą w dziewczynę.
- **Jaime!** - Z gardła Iliany wyrwał się krzyk.
Wreszcie przyjaciółka podniosła głowę. Ale było już za późno.

Rozdział 10

Samochód zbliżał się. Iliana krzyczała. Uczucie kompletnej bezsilności...

Posypało się szkło.

W pierwszej chwili Keller nie wiedziała, co się dzieje. Pomyślała, że Iliana rozbiła okno, żeby przyciągnąć uwagę Jaime. Ale okno było zrobione z nietłukącego się szkła. Iliana stukła kubek. Nie wiadomo skąd tam się znalazł.

Trysnęła krew, przerażająco czerwona i płynna. Dziewczyna ścisnęła w dłoni kawałek szkła. Miała skupiony wyraz twarzy, lekko rozchylone usta, wstrzymywała oddech. Koncentrowała się. Przyzywała niebieskie światło. Keller straciła oddech.

Robi to! Zobaczę Pierwotną Moc. Tutaj, teraz, za chwilę! Zmusiła się, by spojrzeć na samochód. Zaraz zobaczy, jak się zatrzyma, tak samo jak ten pociąg. A może Iliana zmieni kierunek jazdy pojazdu, wysyłając go na trawiastą wysepkę.

Tak czy inaczej nie może już zaprzeczać, że nie jest Pierwotną Mocą...

I wtedy właśnie Keller uświadomiła sobie, że samochód się nie zatrzymuje. Nic się nie stało. Słyszała, jak Iliana pojękuje rozpaczliwie. Nie było czasu na nic więcej. Samochód nieubłagalnie zbliżał się do Jaime. Keller ścisnęło się serce.

Jakaś smuga wystrzeliła zza dziewczyny i uderzyła ją w plecy. Biedaczka przeleciała kilka metrów i upadła na trawę, z dala od kół samochodu.

Keller wiedziała, kto to zrobił, zanim jeszcze dostrzegła ciemnozłote włosy.

Zapisały opony i samochód gwałtownie skręcił - ale Keller nie widziała, czy uderzył w Galena. Wpadł w poślizg, a później z rykiem silnika pognał wzdłuż podjazdu.

Na dole Nissa wypadła z drzwi wejściowych i zatrzymała się na moment, by zorientować się w sytuacji.

Powyżej Keller nadal trwała w bezruchu. Obie z Ilianą ani drgnęły, zupełnie jak posągi.

W końcu dziewczyna pisnęła cicho i odwróciła się gwałtownie. Pobiegnęła do wyjścia, zanim Keller zdążyła ją złapać.

Przemknęła obok Winnie, pozostawiając za sobą ślady krwi.

- **Chodź!** - krzyknęła Keller.

Obie pobiegły za nią. Ale Keller nie zdawała sobie sprawy, że ta mała może tak szybko biegać.

Deptały jej po piętach przez całą drogę, po schodach i do drzwi.

Na chodniku leżały dwa ciała. Ani drgnęły. Serce Keller biło tak mocno, że prawie wyrwało się z piersi.

Zadziwiająco, że mimo tych wszystkich okropności, które widziała w życiu, nadal czuła przemożną chęć zaciśnięcia powiek. Na szczęście nie dostrzegła krwi. Ale przed oczami nadal miała plamy, więc mogła się mylić.

A potem Galen się poruszył. Szttywno i powoli jak ktoś ranny, ale niezbyt ciężko. Uniósł głowę, podparł się na łokciu i rozejrzał.

Keller wpatrywała się w niego, nie mogąc wyrzucić słowa. W końcu zapytała:

- **Uderzył cię?**

- **Tylko się otarł.** - Podniósł się. - **Nic mi nie jest, ale co z...** Oboje spojrzeli na Jaime.

- **O bogini!** - Z przerażeniem wypowiedział Galen. Wyprostował się, zrobił krok, kulejąc, i opadł na kolana.

Nawet Keller była wstrząśnięta, kiedy zorientowała się, co się dzieje.

To była tragedia. Iliana trzymała w objęciach Jaime. Wszystko pokryte było krwią, sweter Iliany i biała koszula Jaime.

To była krew Iliany, wciąż płynęła ze zranionej dłoni. Jaime mrugała i zszokowana podniosła rękę do czoła. Była zaróżowiona i miała przyspieszony oddech.

- **Ten samochód... Ci ludzie oszaleli. Chcieli mnie rozjechać.**

- **Przykro mi** - powiedziała Iliana. - **Tak mi przykro, tak przykro...**

Jej gładka skóra wydawała się prawie przezroczysta w zimnym popołudniowym świetle. Włosy szarpał wiatr, każde pasmo lekkie jak piórko i poruszające się niezależnie od pozostałych.

Jej wyraz twarzy...

Tak czule schylała się nad Jaime, łzy płynęły jej z oczu. Pochłonięta żalem, pomyślała Keller.

Jakby ta dziewczyna była jej najdroższą siostrą. To było głębsze niż współczucie czy litość, jej troska była tak wielka, jakby chodziło o idealną miłość.

To ją... przemieniało. Nie była już lekkomyślnym dzieciakiem. Sprawiała anielskie wrażenie...

I nagle Keller zrozumiała, dlaczego wszyscy przychodzili do niej ze swoimi problemami. Z powodu tej troski, tej miłości. Iliana nie pomagała im po to, żeby zyskać poklask. Pomagała, ponieważ miała dobre serce.

Była dzielna jak lew. Nie zawahała się, gdy zobaczyła, że Jaime grozi niebezpieczeństwo.

Bała się krwi, ale się skaleczyła, żeby pomóc przyjaciółce.

To była odwaga, pomyślała Keller. Robić coś, mimo strachu.

W tym momencie wszelkie zastrzeżenia, jakie Keller żywiła do Iliany, zniknęły. Cała złość, irytacja i pogarda. A także, o dziwo, wstyd, który czuła, kiedy próbowała się przekształcić dzisiaj popołudniu.

To nie miało sensu. Nie miało związku. Ale tak było. Jaime mówiła dalej swoim płaskim, ale dziwnie miłym głosem.

- **Nic mi nie jest. To był tylko szok. Przestań płakać. Ktoś mnie odepchnął.**

Iliana spojrzała na Galena.

Nadal płakała, a jej oczy przybrały kolor fioletowego kryształu. Galen przyklęknął na jedno kolano i z niepokojem przyglądał się Jaime.

Ich oczy się spotkały i oboje zastygli w bezruchu.

Gdyby nie wiatr rozwiewający włosy Iliany, wyglądałoby jak malowidło. Obraz jednego z wielkich mi-

strów, pomyślała Keller. Chłopiec o ciemnozłotych włosach i idealnych rysach, spoglądający z troską w dół. Dziewczę o błyszczących oczach i cudownej twarzy patrzące z wdzięcznością w górę.

Był to słodki i piękny obrazek. A także moment, w którym Iliana zakochała się w Galenie.

I Keller o tym wiedziała.

Wiedziała o tym, nim dziewczyna to sobie uświadomiła. Zobaczyła w jej oczach błysk, jakby zaraz miało popłynąć więcej łez. A potem ujrzała, jak twarz Iliany się zmienia.

Wdzięczność została zastąpiona czym innym, jakby go... rozpoznawała. Zupełnie jakby poznała go w jednej chwili. Ujrzała w nim wszystko to, czego Keller dowiadywała się powoli. Oboje są...

Keller chciała zakłąć, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło. Czula, że są podobni do siebie, a nawet tacy sami.

Obydwoje. Idealiści. O otwartych sercach. Próbują wszystkich uratować.

Doskonale do siebie pasują.

- **Uratowałeś jej życie** - wyszeptała Iliana. - **Mogłeś zginąć.**

- **Och, po prostu stało się** - odpowiedział Galen. - **Ruszyłem bez zastanowienia. Ale ty, ty naprawdę krwawisz.**

Iliana spojrzała trzeźwo na swoją rękę. To zaburzyło idealny obraz. Było drastyczne i szokujące. Ale Iliana nie patrzyła z przerażeniem. Była niezmiernie smutna.

- **Ja... nie mogłam pomóc.**

Keller otworzyła usta. Ale nim zdążyła coś powiedzieć, obok Iliany pojawiła się Nissa.

- **Hej** - powiedziała, rozluźniając elegancko zawiązany szalik. - **Pozwól, że to opatrzę, może nie będzie trzeba zszyć.** - Spojrzała na Keller. - **Mam numery tego wozu.**

Keller mrugnęła i z powrotem się skupiła. Jej mózg znów zaczął działać.

- **Wy dwie, przyprowadźcie samochód** - zwróciła się do Nissy i Winnie. - **Ja to dokończę.** - Zajęła miejsce Nissy przy Ilianie. - **Nic ci nie jest?** - zapytała Jaime. - **Musiciejechać do szpitala.**

Pragnęła zobaczyć strach w ciemnoniebieskich oczach patrzących spod brązowej grzywki.

Ale oczywiście nic takiego nie nastąpiło. Czyszczenie pamięci dało nadspodziewane rezultaty. Jaime przez moment sprawiała wrażenie lekko zagubionej, po czym uśmiechnęła się cierpko.

- **Nic mi nie jest.**

- **Mimo wszystko** - powtórzyła Keller.

Zbierał się tłum. Uczniowie i nauczyciele. Chcieli wiedzieć, co się stało. Keller uświadomiła sobie, że minęło tylko kilka minut od odjazdu samochodu.

Kilka minut... I świat się zmienił.

- **Chodźcie** - powiedziała i pomogła Jaime wstać. Pozwoliła, żeby Galen pomógł Ilianie.

Była spokojna i opanowana.

Okazało się, że Galen ma naciągnięte mięśnie, a także mnóstwo stłuczeń i skaleczeń. Jaime narzekała na ból i zawroty głowy, natychmiast trafiła do szpitala - *niezbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę, co spotkało ją tego dnia*, pomyślała Keller.

Rękę Iliany trzeba było zszyć. Pozwoliła na to bez dyskusji, co tylko zaniepokoiło jej matkę. Panią Dominick wezwano do szpitala. Trzymała dziecko na kolanach i słuchała wyjaśnień Keller.

- **I kiedy zobaczyła, że samochód jedzie na Jaime, była tak przerażona, że po prostu ścisnęła kubek, a on pękł.**

Mama Iliany nie wyglądała na przekonaną, ale podejrzliwość nie leżała w jej naturze. Skinęła głową, akceptując opowieść.

Rodzice Jaime też przyjechali do szpitala, a Galen i Jaime złożyli policji zeznania. Nissa spojrzała na Keller znacząco, gdy policjantka zapytała, czy nikt nie zauważył numeru rejestracyjnego samochodu.

Keller skinęła głową. Już wcześniej zleciła wampirzycy, żeby sprawdziła te numery. Nie było powodu, żeby je zatajać przed policją. W końcu wypadek nie musiał mieć związku ze światem nocy.

Ale to było mało prawdopodobne. Od tej pory agenci Kręgu Świtu będą czuwać nad Jaime i jej rodziną, obserwując ich z ukrycia, gotowi działać, jeśli istoty ze świata nocy znów się ujawnią. To była standardowa procedura.

Rodzice Jaime, pan i pani Ashton-Hughes, chcieli koniecznie porozmawiać z Galenem.

- **Uratowałeś naszą córkę** - powiedziała jej matka. - **Nie wiemy, jak ci dziękować.**

Galen pokręcił głową.

- **Naprawdę, to się po prostu stało. Chciałem powiedzieć, że każdy by tak zrobił.**

Pani Ashton-Hughes uśmiechnęła się lekko. Potem spojrzała na Ilianę.

- **Jaime ma nadzieję, że ręka szybko się zagoi. I pyta, czy nadal planujesz przyjść na przyjęcie urodzinowe w sobotę wieczór.**

- **Och...** - Przez chwilę Iliana wyglądała na oszołomioną, jakby zapomniała o przyjęciu. Potem rozpoznała się. - **Tak, oczywiście. A ona będzie?**

- **Tak. Doktor powiedział, że jutro wróci do domu, o ile tylko przez kilka dni nie będzie się forsować. Zresztą stwierdziła, że za nic nie opuści przyjęcia, nawet gdyby miała stracić głowę.**

Iliana się roześmiała.

Zanim dotarli do domu, zrobiło się naprawdę późno. Wszyscy byli zmęczeni, a Iliana zasnęła.

Pan Dominick wybiegł z domu. Był średniego wzrostu, miał ciemne włosy i nosił okulary.

Wyglądał na bardzo zaniepokojonego. Przysiadł na tylnym siedzeniu, kiedy mama Iliany streszczała mu wydarzenia dnia.

Ale to Galen wniósł Ilianę do środka.

Nie obudziła się. Trudno się dziwić. Lekarz dał jej coś przeciwbólowego, a Keller wiedziała, że dziewczyna niewiele spała poprzedniej nocy. Leżała w ramionach Galena jak ufnie dziecko, z twarzą opartą o jego obojczyk.

Wyglądali... razem tak ładnie, pomyślała Keller. Pasowali do siebie.

Winnie i Nissa pobiegły na górę i odsunęły kołdrę Iliany. Galen delikatnie położył ją na łóżku.

Stał, wpatrując się w nią. Kosmyk srebrnozłotych włosów opadł jej na twarz. Galen odsunął go delikatnie. Ten jeden gest powiedział Keller wszystko.

Pomyślała, że on rozumie. Było dokładnie tak, jak wtedy, kiedy spojrzała na niego i natychmiast zrozumiała, że jest dzielny, delikatny i opiekuńczy. Galen wiedział, że Iliana skaleczyła się, żeby ratować Jamie. Wiedział, że ludzie ją kochają, bo ona ich uwielbia. I że nie mogłaby być małostkowa czy złośliwa, nawet gdyby chciała.

Widzi w niej to wszystko.

W tym momencie weszła pani Dominick, żeby pomóc rozebrać Ilianę. Galen wyszedł. Keller dała znać Winnie i Nissie, po czym poszła za nim.

Tym razem to ona zapytała:

- **Mogę z tobą porozmawiać?**

Weszli do biblioteki. Keller zamknęła za nimi drzwi. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Stała naprzeciwko niego.

Nie zapalała lampy. Przez okno sączyło się słabe światło. Ale to nie miało znaczenia. Oczy zmiennokształtnych dobrze widziały w ciemnościach. Dobrze, że Galen nie widzi jej twarzy, pomyślała.

Patrzyła na niego i wyczuwała, że jest zafrasowany i trochę niepewny.

- **Keller...** - zaczął. Uniosła rękę i przerwała:

- Poczekaj. Po pierwsze chciałam ci powiedzieć, że nie musisz niczego mi wyjaśnić. - Nabrała powietrza. - Posłuchaj, to, co wydarzyło się dziś rano, było pomyłką. Obydwoje zdajemy sobie z tego sprawę.

- Keller...

- Nie powinnam była się wściekać. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że teraz wszystko jest w należytym porządku.

Na jego twarzy pojawił się smutek.

- Naprawdę?

- Tak - powiedziała stanowczo. - Nie udawaj, że jest inaczej. Zależy ci na niej. A jej na tobie. Czyba nie zaprzeczysz?

Galen odwrócił się do okna. Już nie był smutny, wyglądał na kompletnie przybitego.

- Owszem, zależy mi na niej - powiedział wolno. - Nie będę zaprzeczał. Ale...

- Żadnego ale! To dobrze, Galen. Tak miało być i po to tu przybyliśmy. Prawda? Zaczął się kręcić.

- Tak myślę, ale Keller...

- I istnieje szansa, że to ocali świat - dodała stanowczo.

Nastąpiła długa cisza. Galen opuścił głowę.

- Teraz mamy szansę - kontynuowała Keller. - Przekonamy ją, żeby była na ceremonii. O ile wcześniej wybijemy jej z głowy to głupie przyjęcie. Uda się. Jesteście sobie przyrzeczeni.

Galen milczał.

- To wszystko. To chciałam ci powiedzieć. Tylko nie zachowuj się głupio. Nie musisz mieć poczucia winy z powodu... kilku minut zapomnienia.

Uniósł głowę.

- Uważasz, że to był błąd?

- Tak, oczywiście.

Jednym ruchem obrócił się i złapał ją za ramiona. Zaciśnął palce, wpatrując się w jej twarz, jakby próbował dostrzec jej oczy.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie martw się o mnie. - Wyrwała mu się i dodała - Nic mi nie jest. Tak miało być.

Nabrał powietrza i odwrócił się z powrotem do okna. Keller nie wiedziała, czy westchnął z ulgi, czy z jakiegoś innego powodu.

- Po prostu upewnij się, że dotrze na ceremonię - powiedziała.

Znów cisza. Keller próbowała zorientować się, co chłopak czuje, ale nie umiała.

- Zrobisz to? - zapytała w końcu.

- Tak. Spróbuję.

Keller ruszyła do drzwi. Ale po chwili zawróciła.

- Dziękuję - szepnęła miękko. Ale tak naprawdę mówiła mu: Żegnaj. Wiedziała, że o tym wie.

Myślała, że nie odpowie.

- To ja dziękuję.

Keller nie wiedziała za co i nie chciała tego na razie roztrząsać. Wyślizgnęła się z pokoju.

Rozdział 11

Co jest? - zapytała Keller, wychodząc z łazienki i wycierając włosy.

- Jest chora - odpowiedziała Winnie. - Cieknie jej z nosa, ma lekko podwyższoną temperaturę. Wygląda mi na przeziębienie. Jej mama mówi, że dziś zostanie w domu.

No, wygląda na to, że mamy dobrą passę, pomyślała Keller. W domu będzie ją łatwiej ochronić.

Winnie i Nissa spędziły noc w pokoju Iliany, podczas gdy Keller, która miała spać w salonie na kanapie, wałęsała się po domu w przerwach między drzemkami.

Poprosiła Galena, by został w pokoju gościnnym, a on się dostosował.

- Spędzimy ten dzień kameralnie - powiedziała do Winnie. - Świetnie, o ile tylko wyzdrowieje do soboty.

Winnie się skrzywiła.

- Co?

- Lepiej idź i sama z nią porozmawiaj.

- Czemu?

- Po prostu idź. Chce z tobą pogadać.

Keller ruszyła do pokoju Iliany. Przez ramię rzuciła:

- Sprawdź osłony.

- Wiem, szefie.

Iliana siedziała na łóżku, ubrana w koszulę nocną z falbankami, która w koronkę wokół szyi miała wplecioną wstążkę. Dziewczyna wyglądała delikatnie i pięknie. Na policzki wkradł jej się lekki rumieniec wywołany gorączką.

- Jak się czujesz? - zapytała delikatnie Keller.

- Okej. - Iliana wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że beznadziejnie. - Chciałam cię zobaczyć i się pożegnać.

Keller zamrugała, wciąż wycierając włosy ręcznikiem. Nie przepadała za wodą, szczególnie w uszach.

- Pożegnać?

- Zanim odjedziesz.

- Co? Myślisz, że pójdę za ciebie do szkoły?

- Nie. Zanim odjedziesz.

Keller przestała się wycierać i skupiła na rozmowie.

- Iliano, o czym ty mówisz?

- Mówię o waszym wyjeździe. Bo nie jestem Pierwotną Mocą.

Keller usiadła na łóżku i spytała zdziwiona:

- Co?

Oczy Iliany znów przybrały fioletowy kolor.

- No, myślałam, że to oczywiste. Nie mogę być Pierwotną Mocą. Nie mam w sobie mocy czy jak to się nazywa. - Podkreśliła ostatnie słowa.

- Iliano, nie zachowuj się teraz jak głupia blondynka.

Iliana wpatrywała się w nią, bawiąc się narzutą.

- Popęlniacie błąd. Nie jestem tą, której szukacie. Nie sądzisz, że powinniście wyruszyć na poszukiwania prawdziwej Pierwotnej Mocy, zanim ci oni ją znajdą?

- Iliano, to, że nie mogłaś zatrzymać tamtego samochodu, nie musi wcale oznaczać, że nie masz mocy. Może po prostu nie wiesz, jak do niej dotrzeć.

- Może. Ale przyznaj, że nie jesteś tego pewna.

- Nikt nic będzie pewny, dopóki jej nie pokażesz.

- Nie potrafię. Pewnie myślisz, że się nie postarałam. Ale ja naprawdę próbowałam. - Wzrok Iliany gdzieś błądził, gdy wracała wspomnieniami do tamtej chwili. - Stałam tam, patrzyłam w dół i nagle pomyślałam, że mogę to zrobić! Pomyślałam, że naprawdę czuję tę moc i wiem, jak jej użyć, Ale kiedy po nią sięgnęłam, tam nic nie było. Tak bardzo chciałam, żeby się udało... - Oczy chorej wypełniły się łzami, a usta wygięły w podkówkę. Keller krajało się serce. Iliana pokręciła głową. -Nie było jej tam. Wiem o tym. Jestem pewna.

- Musi tam być - odpowiedziała Keller. - Krąg Świtu nie może się mylić. A prorocstwo? „Jedno z paleniska, gdzie się iskra tli”. Odnaleźli wszystkich innych Harmaków i ich sprawdzili. To musisz być ty.

- No to może jest jeszcze ktoś? Jakaś inna zaginiona czarownica? Ale to nie ja.

Była zupełnie niewzruszona i przekonana do swoich racji. Keller widziała to w jej oczach. Udało jej się znaleźć nowe, zupełnie inne wyjaśnienie, że to nie ona.

- Więc wiem, że odejście - kontynuowała. - I prawdę mówiąc, będzie mi was brakowało. - Zamrugła, hamując łzy. - Pewnie w to nie wierzysz?

- Och, wierzę - odpowiedziała Keller zmęczonym tonem, wpatrując się w elegancką złotobiałą toaletkę po drugiej stronie pokoju.

- Naprawdę was lubię. Wiem, że to, co robicie, jest ważne.

- A pozwolisz nam jeszcze trochę zostać? - zapytała ponuro Keller. - Dopóki nie znajdziemy nowego tropu i nie stwierdzimy, że nie jesteś Pierwotną Mocą?

Iliana skrzywiła się.

- Nie sądzisz, że to strata czasu?

- Może. Ale to nie zależy ode mnie.

- Nie traktuj mnie jak głupiej blondynki.

Keller otworzyła usta, uniosła ręce, po czym je opuściła. Chciała powiedzieć: „A jak mam cię traktować, jeśli robisz z siebie idiotkę?” Ale to nie poprawiłoby sytuacji.

- Posłuchaj, naprawdę muszę tu zostać, dopóki nie dostanę rozkazu, że mamy się wynosić - powiedziała, patrząc na nią - Więc musisz jeszcze trochę z nami wytrzymać.

Wstała, czuła się przybita. Znów zaczęli od początku.

A może niezupełnie.

- A co z Galenem? - zapytała, stając w drzwiach. - Chcesz, żeby i on odszedł?

Iliana wyglądała na zdezorientowaną. Jeszcze bardziej się zaróżowiła.

- Ja nie... To znaczy...
- Jeśli nie jesteś Pierwotną Mocą, to nie jesteś dzieckiem czarownic - kontynuowała bezwzględnie Keller. - A wiesz, że Galen został przyobiecany dziecku czarownic.

Iliana oddychała szybko. Przełknęła ślinę i wyrzała przez okno. Przygryzła usta.

Naprawdę jest w nim zakochana, pomyślała Keller. I zdaje sobie z tego sprawę.

- Warto o tym pamiętać - dodała i wyszła z pokoju.
- Co z tym numerem rejestracyjnym? Nissa pokręciła głową.
- Jak na razie nic. Zadzwoń, jeśli się czegoś dowiedzą, Kurier to przyniósł. Wręczyła Keller paczkę. Była mniej więcej wielkości pudełka po butach, za to bardzo solidna.
- Zwoje?
- Tak sądzę. Na pudełku są magiczne osłony, więc będzie trzeba poprosić Winnie, żeby je otworzyła.

Okazja nadarzyła się po śniadaniu. Pani Dominick wzięła dziecko i wyszła na zakupy. Keller nie martwiła się o nią. Zarówno Jaime, jak i rodzice Iliany, kiedy opuszczali dom, byli pod opieką Kręgu Świtu.

Drużyna zebrała się przy kuchennym stole - poza Ilianą, która usiadła w pokoju dziennym przed telewizorem. Miała ze sobą pudełko chusteczek i co kilka minut przykładała kolejną do nosa.

- Zanim to otworzysz - Keller zwróciła się do Winnie. - Jak wyglądają osłony wokół domu?
- Doskonale. Są mocne i w całości. Nie sądzę, żeby ktokolwiek się do nich zbliżył.
- Ciekawe dlaczego - odezwał się Galen.

Keller spojrzała na niego przelotnie. Zastanawiała się nad tym samym.

- Może ma to jakiś związek z wczorajszymi wydarzeniami? To druga sprawa, o której chcę porozmawiać. Kto był w tym samochodzie? Istoty ze świata nocy czy ludzie? Dlaczego chcieli przejechać Jaime? I co z tym zrobimy?
- Ty pierwsza - powiedziała Winnie. - Myślę, że widziałas najwięcej.
- Cóż, nie ja jedna - odpowiedziała Keller. - Był przy mnie ktoś jeszcze. - Popatrzyła w stronę dużego pokoju. Iliana zignorowała te słowa.

Keller odwróciła się z powrotem.

- Ale do rzeczy. Powiedzmy, że samochód był ze świata nocy. Zanim zaatakowali, przejechali pod szkołą. Całkiem możliwe, że zobaczyli wyglądającą przez okno Ilianę. Może chcieli się upewnić, czy jest Pierwotną Mocą. Gdyby zatrzymała samochód, mieliby namacalny dowód.

- Z drugiej strony - wtrąciła Nissa - powinni wiedzieć, że jest Pierwotną Mocą. Co do tego nie ma wątpliwości. - Wpatrywała się uważnie w Keller, ale mówiła na tyle głośno, żeby Iliana wszystko usłyszała.

Keller uśmiechnęła się.

- To prawda. No dobra, kto jeszcze? Winnie.
- A... tak... - Winnie usiadła wyprostowana. - Samochód był z nocnego świata i tak naprawdę wcale nie chcieli przejechać Jaime, tylko ją porwać. Wiedzą, że była z nami, i uznali, że o wszystkim wie.

- Niezły pomysł - powiedziała Keller. - Ale stałaś przy drzwiach. Nie wiedziałaś, z jaką prędkością jechał ten samochód. Niemożliwe, żeby chcieli ją porwać.

- Zgadzam się - odezwał się Galen. - Zbyt szybko i wprost na nią. Chcieli zabić.

Winnie oparła podbródek na ręce.

- No cóż, niech wam będzie.

- Wiem - odezwała się Nissa w zamyśleniu. - A co, jeśli wiedzieli, że Iliana ich widzi? Może chcieli ją zastraszyć? Pokazać, do czego są zdolni, zabijając jej przyjaciółkę na jej oczach? Wiedząc, jak mocno związane są z Jaime...

- Skąd? - przerwała Keller.

- Jest wiele sposobów - odpowiedziała natychmiast Nissa. - Węszyli w liceum. Pogadali z innymi dziećmi. Ich wywiad musi działać. Powiem więcej. Jeśli nie wiedzieli, że w czasie drugiego śniadania Jaime była z nami, to powinni natychmiast podać się do dymisji.

- A jeśli to prawda, to sprawa jest prostsza, niż się nam wydaje - dokończy! Galen.

- Prawo mówi, że każdy człowiek, który się o nas dowie, musi zginąć. Uznali, że Jaime poznała tajemnicę i postanowili przeprowadzić egzekucję.

- A jeżeli samochód nie był ze świata nocy!? - krzyknęła nagle Iliana, zeskakując z kanapy. Przeszła już udawać, że nie słucha. - Czy komukolwiek z was przyszło to do głowy? Może należał do jakiegoś gangu, a to wszystko to tylko wielki zbieg okoliczności? No? Pomyśleliście o tym? - Stała z rękami opartymi na biodrach i patrzyła na nich groźnie. Szkoda tylko, że miała na sobie falbaniastą koszulę nocną i narzuconą na nią flanelową podomkę, a także kapcie w kształcie pluszowych misiów.

Keller też wstała. Chciała być cierpliwa. Ale wyglądało na to, że nie potrafi się przy Ilianie opanować.

- O tym też pomyśleliśmy. Krąg Świtu sprawdza, czy samochód jest zarejestrowany na człowieka, czy kogoś ze świata nocy. Ale to chyba nie zbieg okoliczności, nie sądzisz? Jak często ludzie w tym mieście z rozmysłem przejeżdżają się wzajemnie? I jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat byłaś tego świadkiem?

Poczuła, że Galen trąca ją stopą w kostkę. Zamilkła z trudem.

- Może się przyłączysz i porozmawiasz z nami? - zwrócił się delikatnie do Iliany. - Nawet jeśli nie jesteś Pierwotną Mocą, to jesteś w to zamieszana. Wiesz sporo o tym, co się działo i jesteś bystra. Potrzebujemy każdej pomocy.

Keller zauważyła, że Winnie dziwnie popatrzyła na Galena. Ale nic nie powiedziała.

Nawet Iliana wyglądała na lekko zaskoczoną. Ale potem wzięła pudełko chusteczek i przyszła do stołu.

- Nie mogę się skupić, kiedy jestem chora - powiedziała. Keller usiadła. Nie chciała popsuć tego, co osiągnął Galen.

- To do czego nas to prowadzi? - zapytała, po czym sama sobie odpowiedziała. - Tak naprawdę do nikąd. Każda z tych sytuacji mogła mieć miejsce, jak równie dobrze możemy się mylić. Wygląda na to, że musimy poczekać na jakieś informacje z Kręgu Świtu.

Keller popatrzyła ponuro po zebranych przy stole.

- A to niebezpieczne! Jeśli założymy, że to świat nocy przysłał samochód, to znaczy, że planują coś, czego nie rozumiemy. Mogą nas zaatakować w dowolnym momencie, z każdej strony, a my nie możemy tego przewidzieć. Wszyscy musicie być czujni. Jeśli zdarzy się coś podejrzanego, musicie mi powiedzieć.

- Wciąż mnie zastanawia, dlaczego nie próbują się tu dostać - odezwał się Galen. - Bez względu na to, jak mocne są magiczne osłony, powinni przynajmniej spróbować!

Keller skinęła głową. Ta sprawa nie dawała jej spokoju.

- Może zastawiają jakąś pułapkę. I są pewni, że w nią wpadniemy.

- Albo nie mnie szukają - dorzuciła słodko Iliana. - I właśnie w tej chwili porywają Pierwotną Moc, podczas gdy wy tracicie czas. - Wytarła nos.

Keller zacisnęła zęby i poczuła znajomy ból w szczęcie.

- Albo po prostu nie rozumiemy smoków - powiedziała. Mierzyły się z Ilianą wzrokiem.

- Dziewczyny, dziewczyny. - Wkroczyła nerwowo Winnie. - Może czas to otworzyć? Dotknęła pudełka, które przysłał Krąg Świtu. Iliana spojrzała na nie z ciekawością. Keller się nie zdziwiła. Pudełko miało tajemniczy urok prezentu gwiazdkowego.

- Do roboty - zwróciła się do Winnie. Zajęło to chwilę. Czarownica majsterkowała przy torbie z ziołami i kilkoma talizmanami, podczas gdy wszyscy inni patrzyli wyczekująco. Iliana wytarła nos.

Aż w końcu, bardzo ostrożnie, Winnie uniosła przykrywkę pudełka.

Wszyscy pochylili się do przodu.

W środku leżało mnóstwo kawałków pergaminu. Nie zwoje, lecz ich kawałki, każdy opakowany w oddzielną folię. Keller rozpoznała pismo - starodawny język zmiennokształtnych. Uczyła się go jako dziecko, ponieważ Krąg Świtu pragnął, żeby znała swoje dziedzictwo. Ale od dawna go nie używała.

Iliana kichnęła i z ociąganiem stwierdziła:

- Fajne obrazki.

Większość kawałków miała trzy albo cztery małe ilustracje oblane tekstem. Pozostałe składały się z samych obrazków. Do ich stworzenia użyto kolorowych tuszów: czerwonego, purpurowego i szafirowego. Niektóre detale wykończono płatkami złota.

Keller rozłożyła na stole część folii.

- No dobra. Zabawa polega na tym, żeby znaleźć coś, co podpowie nam, jak walczyć ze smokiem. Lub jak się przed nim bronić. Prawda jest taka, że nie mamy nawet pojęcia, do czego jest zdolny, oprócz tego, że używa ciemnej mocy.

- Nie potrafię tego przeczytać - zauważyła niezbyt uprzejmie Iliana.

- Oglądaj obrazki - odpowiedziała słodko Keller - spróbuj znaleźć taki, na którym walczy albo ktoś go zabija.

- A skąd mam wiedzieć, który to smok? - To było zaskakująco trafne pytanie. Keller zamrugała i spojrzała na Galena.

- Właściwie to nie wiem. Nie wiem, czy ktokolwiek jest w stanie odróżnić smoka od innego przedstawiciela świata nocy.

- Ten w centrum handlowym, Ahdeha, miał nieprzezroczyście czarne oczy - powiedziała Keller. - Ale nie sądzę, żeby dało się to pokazać na pergaminie. Może po prostu szukajcie czegoś w ciemnej poświacie mocy?

Iliana wydała dźwięk, który przypominał prychnięcie, ale wzięła w końcu kilka świstków i zaczęła je studiować.

- **Dobra** - powiedziała. - **A teraz reszta...**

Ale nie miała okazji skończyć. Zadzwoił telefon wiszący na ścianie w kuchni. Wszyscy na niego spojrzeli, a Iliana zaczęła wstawać, ale drugi dzwonek się nie odezwał. Po dłuższej ciszy znów zadzwonił, tylko raz.

- **Krag Świtu** - powiedziała Keller. - **Nissa, oddzwoń do nich.**

Keller próbowała się nie wiercić, kiedy Nissa wykręcała numer. Nie chodziło tylko o to, że wbrew rozsądkowi liczyła na jakieś informacje o samochodzie. Pierwszy dzwonek telefonu bardzo ją zdenerwował.

System wczesnego ostrzegania zmiennokształtnych. Już wcześniej ratował jej życie, ostrzegając o niebezpieczeństwie. Ale tym razem raczej nie mógł pomóc.

- **Tu Nissa Johnson. Hasło: Ratunek Aniola** - powiedziała Nissa i Keller zobaczyła, jak Iliana unosi brwi. - **Tak, słucham. Co?** - Nagle zmienił jej się wyraz twarzy. - **Co to znaczy, czy siedzę?** - Pauza. - **Słuchaj", Paure, po prostu powiedz mi, O co...**

A potem znów zmienił jej się wyraz twarzy i zrobiła coś, czego Keller nigdy wcześniej nie widziała. Złapała gwałtownie powietrze i zasłoniła usta ręką. - **O bogini... Nie!**

Serce Keller waliło jak oszalałe, a w żołądku rosła lodowata kula. Stwierdziła, że stoi, chociaż zupełnie nie pamiętała momentu podnoszenia się z krzesła.

Jasnobrazowe oczy Nissy patrzyły w dal, były prawie puste. Drugą ręką ścisnęła słuchawkę.

- **Jak?** - Potem zacisnęła oczy. - **O nie.** ..-Aż w końcu, bardzo cicho. - **Dopomóż nam...**

Rozdział 12

Wszyscy wstali. System wczesnego ostrzegania zadziałał.

- **Nie mogę tego dłużej znieść** - wyszczała Iliana. - **Co się dzieje?**

W tym momencie Nissa odezwała się stłumionym głosem:

- **Dobrze, tak zrobimy. Tak. Pa.** - Ostrożnie odwiesiła słuchawkę.

Odwróciła się powoli do pozostałych. Ale nie spojrzała im w oczy. Patrzyła na podłogę. Keller była przerażona.

- **No? Co się stało?** - warknęła.

Nissa otworzyła usta i podniosła oczy na Winnie. I znów je opuściła.

- **Przykro mi** - powiedziała. - **Winnie, nie wiem, jak to powiedzieć.** Przełknęła, po czym wyprostowała i odezwała oficjalnym tonem - **Korona wszystkich czarownic nie żyje.** Oczy Winnie rozszerzyły się, uniosła dłonie do gardła.

- **Babcia Harman!**

- **Tak.**

- **Ale jak?**

Nissa mówiła ostrożnie:

- To się stało wczoraj, w Las Vegas. Była przed swoim sklepem, na ulicy, w świetle dnia. Została zaatakowana... przez troje zmiennokształtnych.

Keller stała i słuchała bicia rozszalałego serca. Winnie odetchnęła.

- Nie, to niemożliwe.

- Dwa wilki i tygrys. Prawdziwy tygrys, Keller, nie żaden mały kot. Świadcami byli ludzie. Mówi się, że uciekły z prywatnego zoo.

Keller stała sztywno.

Kontrola, kontrola, powtarzała sobie. Nie mamy czasu na rozpacz, musimy się zastanowić.

Ale nie potrafiła przestać myśleć o babci Harman. Nie pięknej, nie młodej, ale dobrej, o inteligentnych i wesołych oczach. O twarzy z tysiącem zmarszczek i tych cudnych opowieściach.

Jak Krąg Świtu sobie poradzi? Najstarsza czarownica na świecie. Opiekunka Ogniską Domowego.

Winnie zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać.

Pozostali stali cicho. Keller nie wiedziała, co robić. Zupełnie nie radziła sobie z emocjami.

Nikt inny się nie poruszył Nissa patrzyła ze współczuciem i smutkiem, ale zachowała dystans.

Iliana wyglądała tak, jakby zaraz sama miała się rozplakać, a Galen patrzył w przestrzeń z rozpaczą.

Keller niezgrabnie objęła Winnie.

- Chodź, usiądź. Chcesz herbaty? Nie chciałyby, żebyś płakała.

Same błahostki. Ale Winnie oparła głowę o pierś Keller i łkała dalej.

- Dlaczego? Dlaczego ją zabili? To niesprawiedliwe. Nissa poruszyła się zażenowana.

- Paulie powiedział... Powiedział, żeby włączyć CNN. Keller zacisnęła zęby.

- Gdzie pilot? - zapytała, starając się nie krzyżeć. Iliana podniosła go i włączyła odpowiedni kanał. Prezenterka Coś mówiła, ale Keller przez chwilę nic nie rozumiała. Docierały do niej tylko słowa z ekranu: „Raport specjalny CNN: zwierzęca panika”.

I zdjęcia, film z czyjejś przenośnej kamery. Przedstawi niewyobrażalną sytuację. Zwykła ulica, gdzieś w mieście, z drapaczami chmur w tle - a na pierwszym planie ludzie i... zwirzęta.

Płowe sylwetki. Mniej więcej tej samej wielkości, co ona kiedy była w ciele pantery. Atakowały ludzi. Cztery... nie, pięć.

Pumy.

Zabijały ludzi.

Krzycząca kobieta uderzyła zwierzę, które złapało ją za rękę aż do łokcia. Jakiś mężczyzna próbował ściągnąć pumę z małego chłopca.

Nagle coś podbiegło wprost do kamery. Skoczyło. Dał słyszeć stłumiony krzyk. Przez moment widać było rozwartą paszczę pełną pięciocentymetrowych zębów. Następnie obraz zniechęcił.

- To była scena, która się rozegrała w okolicach asfaltowych jezior La Brea w Los Angeles. Przenosimy się teraz do Rona Hennessy'ego, na żywo sprzed Izby Handlowej w Los Angeles...

Keller stała nieruchomo, z pięściami zaciśniętymi w bezradnej furii.

- To się dzieje wszędzie - odezwała się cicho zza jej pleców Nissa. - Tak powiedział Paulie. Atakują główne miasta Stanów. Biały nosorożec zabił dwoje ludzi w Miami. W Chicago stado wilków amerykańskich rozszarpało uzbrojonego policjanta.

- Zmiennokształtni - wyszeptala Keller.

- Tak. Zabijają ludzi. Paulie powiedział, że kilka osób twierdziło, że widziało, jak te wilki w Chicago się przemieniały. - Wzięła głęboki oddech i powiedziała powoli - Ko-

niec tysiąclecia. .. zaczyna się. Nie zatuszują tego historyjką o prywatnym zoo. To jest to, teraz ludzie dowiedzą się o świecie nocy.

Iliana patrzyła, zdziwiona.

- Ale dlaczego zmiennokształtni mieliby atakować ludzi? I dlaczego zabili babcię Harman?

Keller pokręciła głową. Popadała w odrętwienie. Spojrzała na Galena - czuł się tak samo. Obok niej rozległo się kaszlnięcie.

- To dobre pytanie: dlaczego? - odezwała się Winnie zachrypniętym głosem. Zwykle wesoła buzia i burza loków sprawiały, że wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości. Ale w tej chwili skórę na twarzy miała napiętą, wyglądała jak stara kobieta.

Odwróciła się do Keller i Galena, oczy jej płonęły.

- Kto im na to pozwala? Gdzie jest Pierwszy Dom? Dlaczego nie pilnują swoich ludzi? Może zgadzają się na to, co się dzieje?

Ostatnie słowa zostały wykrzyczane z zajądłością, o jaką Keller nie podejrzewała Winfrith. Galen otworzył usta, po czym pokręcił głową.

- Winnie, nie wydaje mi się...

- Co z tobą? Nie wiesz? Co robią twoi rodzice?

- Winnie...

- Zabili naszą przywódczynię. Mądrą kobietę. Wiesz, niektórzy uznaliby to za wypowiedzenie wojny.

Keller czuła się dotknięta, a zarazem wściekła z powodu swojej bezradności. To ona tu dowodziła. To ona powinna przeciwstawić się Winnie.

Ale była zmiennokształtna, tak jak Galen. I poza umiejętnością zmieniania się i czułymi zmysłami dzielili coś jeszcze.

Winę zmiennokształtnych.

Okropne poczucie winy za to, co wydarzyło się w starożytności i było integralną częścią umysłu Keller. Żaden zmiennokształtny nie mógł o tym zapomnieć ani przed tym uciec. Nikt inny nie był w stanie tego zrozumieć.

Właśnie to poczucie winy sprawiało, że Galen stał bezradny, podczas gdy Winnie na niego krzyczała, i to ono powstrzymywało Keller przed przerwaniem tej litanii.

Winnie stała teraz naprzeciwko chłopaka, oczy jej płonęły, całe ciało przepełnione było ukrytą pomarańczową energią.

- I w ogóle kto obudził smoka? - zapytała. - Skąd mamy wiedzieć, że zmiennokształtni nie wracają do korzeni? Może tym razem w ogóle wykończą czarownicę?

- Przestań! To była Iliana.

Stała przed Winnie. Miała różowy i spuchnięty nos i wciąż była w kapciach z pluszowymi misiami, ale wyglądała na silną i nieugiętą.

- Przestańcie się krzywdzić - powiedziała. - Nic z tego nie rozumiem, ale wiem, że do niczego nie dojdziecie, jeśli zaczniecie ze sobą walczyć. - Nagle objęła Winnie w pasie. - Wiem, jak się czujesz. To okropne. Czułam się tak samo, kiedy umarła babcia Mary, mama mojej mamy. Wciąż myślałam tylko o tym, jakie to niesprawiedliwe.

Winfrith zawahała się, stojąc sztywno w objęciach Iliany. Po czym powoli ją objęła.

- Potrzebujemy jej - wyszeptwała.

- Wiem. I jesteś wściekła na ludzi, którzy ją zabili. Ale to nie jest wina Galena. Nikogo by nie skrzywdził.

Powiedziała to z pełnym przekonaniem. Nawet nie patrzyła w jego stronę. Stwierdziła tylko fakt. Ale kiedy przestała się pilnować, broda jej zdrząła.

Tak, to właśnie jest miłość, pomyślała Keller. *Jest taka dobra.*

Bardzo powoli Winnie powiedziała:

- Wiem, że Galen nie mógłby. Ale zmiennokształtni.

- Może - odezwał się Galen - powinniśmy o tym porozmawiać.

Podczas gdy twarz czarownicy była ściągnięta z bólu, jego zdawała się być nieruchoma. Oczy pociemniały mu tak bardzo, że nie dało się określić ich koloru.

- Może powinniśmy porozmawiać o zmiennokształtnych - powiedział. Skinął w stronę kuchennego stołu, nadal przykrytego kawałkami pergaminów. - O ich historii i o smokach.

- Spojrzał na Ilianę. - Jeśli mamy się zaręczyć... powinnaś o tym wiedzieć.

Iliana była zaskoczona.

- On ma rację - odezwała się spokojnie Nissa. - W końcu od tego zaczęliśmy. To wszystko jest ze sobą powiązane.

Całe ciało Keller stężało. To było coś, o czym zdecydowanie nie miała ochoty mówić. Ale nie zawahała się. Z olbrzymim trudem zapanowała nad głosem i powiedziała spokojnie:

- Dobrze, opowiemy wszystko.

- To się zaczęło w czasach, kiedy ludzie żyli jeszcze w jaskiniach - zaczął Galen, kiedy znów usiedli do stołu. Był tak skupiony, że go nie poznawała. - W owych czasach zmiennokształtni byli brutalni. W niektórych miejscach panowali pod postacią duchów-totemów i żądali ofiar z ludzi, ale w innych...- Przejrzał pergamin i wybrał jeden. - Na tej ilustracji przedstawiono zagrodę. Traktowali ludzi dokładnie tak samo, jak ludzie traktują bydło, hodowali ich dla serc i wątrób. A im więcej jedli ludzkiego mięsa, tym stawali się silniejsi.

Iliana spojrzała na kawałek pergaminu. Jej ręka gwałtownie zacisnęła się na chusteczce. Winnie słuchała w milczeniu, ze srogą miną.

- Byli silniejsi od wszystkich - kontynuował Galen. - Ludzie byli dla nich jak muchy. Czarownice sprawiały więcej problemów, ale je mogły pokonać smoki.

Iliana podniosła wzrok.

- A co z wampirami?

- Jeszcze nie istniały - powiedział cicho Galen. - Pierwszą wampirzycą była Maya, opiekunka domowego ogniska, siostra Hellewise. Stała się wampirem, szukając sposobu na nieśmiertelność. Ale smoki były nieśmiertelne z natury i były niekwestionowanymi władcami ziemi. I nie miały litości dla nikogo.

- Ale nie wszyscy zmiennokształtni tak się zachowywali, prawda? - zapytała Iliana. - Oprócz smoków byli też inni?

- Wszyscy byli źli - stwierdziła Keller. - Moi przodkowie, duże koty, były dość paskudne. Ale niedźwiedzie i wilki też miały w tym swój udział.

- Ale masz rację, smoki były najgorsze. - Galen zwrócił się do Iliany. - I to właśnie od nich pochodzi moja rodzina. Moje nazwisko, Drache, oznacza smoka. Oczywiście moim przodkiem był najstarszy ze smoków. Jedyne, którego czarownice nie uspiły.

Bo była młoda. - Odwrócił się do Winnie. - Teraz ty. W końcu nikt lepiej od czarownic nie zna ich historii.

Winnie przeglądała pergaminy, aż znalazła ten właściwy.

- Patrzcie - powiedziała. - Zgromadzenie czarownic. Zorganizowała je Hekate, królowa czarownic. Była matką Hellewise. Zebrała wszystkie czarownice i ruszyły na zmiennokształtnych. Nastąpiła wielka bitwa. Naprawdę olbrzymia.

Winnie wybrała kolejny kawałek pergaminu i pchnęła go w stronę Iliany.

Iliana gwałtownie nabrała powietrza.

Pergamin, na który patrzyła, był prawie całkiem czerwony.

- To ogień - powiedziała. - Wygląda jak... Jakby cały świat stanął w płomieniach.

Galen odezwał się głosem bez wyrazu.

- To właśnie zrobili smoki. Badania geologiczne wskazują, że mniej więcej w tym czasie wybuchły wulkany na całym świecie. To przez smoki. Nie wiem jak. Ich magia zaginęła. Ale uznają, że skoro one nie mogą rządzić światem, to nikt inny nie będzie.

- Próbowały zniszczyć świat - dodała Keller. - A pozostali zmiennokształtni im pomagali.

- I prawie im się udało - wtrąciła Winnie. - Ale zgromadzenie czarownic w końcu zwyciężyło i żywcem pochowało wszystkie smoki. To znaczy najpierw je uspiły, ale potem zakopały głęboko pod ziemią. - Przygryzła wargę i spojrzała na Galena. - Co pewnie też nie było takie miłe.

- A co innego miały zrobić? - odpowiedział cicho Galen. - Pozostawiły przy życiu smoczą księżniczkę, miała wtedy tylko trzy albo cztery lata. Dorastała pod ich opieką. Przez długi czas świat był wypalonym, pustynnym miejscem. A zmiennokształtni zawsze byli najniższą kastą w świecie nocy.

- To prawda - włączyła się Nissa, nie przyznawała nikomu racji, po prostu stwierdzała fakt.

- Większość przedstawicieli świata nocy uważa zmiennokształtnych za obywateli drugiej kategorii. Starają się trzymać ich krótko. Myślę, że w głębi duszy nadal się ich boją.

- A pomiędzy czarownicami i zmiennokształtnymi nigdy nie było przymierza - mówiła Keller. - Dlatego tak ważna jest ceremonia zaręczyn. Jeśli zmiennokształtni nie staną po stronie czarownic, to przyłączą się do wampirów...

Zamilkła i spojrzała na Galena.

Skinął głową.

- Myślałem o tym samym.

- Ataki tych zwierząt... - powiedziała wolno. - To brzmi, jakby już podjęły decyzję. Wywołują chaos. Informują cały świat o tym, że stają po stronie wampirów.

Nastąpiła cisza.

- Ale jak mogą o tym decydować? - przerwała jej Winnie.

- Najwyraźniej tak po prostu - odpowiedziała Nissa. - Pytanie brzmi, czy to tylko działalność szeregowych zmiennokształtnych? Innymi słowy, czy Pierwszy Dom podjął już decyzję?

Wszyscy spojrzeli na Galena.

- Nie sędzę - odpowiedział. - **Myślę, że jeszcze nie podjęli żadnej decyzji, a przynajmniej nie oficjalnie.** - Jego głos był nadal bezbarwny. Nie tłumaczył się.

Rozejrzał się po siedzących przy stole.

- **Moi rodzice są wojownikami. Nie należą do Kręgu Świtu i nie lubią czarownic. Ale nie przepadają też za wampirami. Najbardziej pragną być po stronie tych, którzy zwyciężą. A to zależy od tego, która strona zdobędzie Pierwotne Moce.**

- **Myślę, że chcą czegoś innego...** - wtrąciła Keller.

- **To znaczy?**

- **Chcą pewności, że czarownice traktują ich sprawiedliwie i nie chcą ich wykorzystać. Gdyby się okazało, że Krąg Świtu odnalazł dziecko czarownic, i nie chce go oddać następcy tronu zmiennokształtnych, to nie byłiby zachwyceni. Nie chodzi tylko o więzy krwi, a raczej o poczucie, że są traktowani jak równy z równym.**

Jasnobrazowe oczy Nissy zwięzły się. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się uśmiechnąć.

- **Myślę, że świetnie to podsumowałaś.**

- **Czyli wszystko sprowadza się do tego - zaznaczyła Keller - co wydarzy się w sobotnią noc. Jeśli pójdzie do ceremonii, będzie to oznaczało, że czarownice odnalazły Pierwotną Moc i chcą ją związać ze zmiennokształtnym. Jeśli nie...**

Nie dokończyła zdania i spojrzała na Ilianę.

No, pomyślała. Powiedziałam to jasno i wyraźnie, nie zaprzeczysz. Musisz wreszcie zrozumieć, o co toczy się gra.

Iliana wyglądała na nieobecną. Keller nie potrafiła odgadnąć, o czym myśli. Ale nie mogła zaprzeczyć faktom.

Winnie nabrała głęboko powietrza.

- **Galen.**

Jej twarz nadal była napięta i smutna, ale z oczu zniknęła złość. Spojrzała na Galena.

- **Przepraszam - powiedziała. - Nie powinnam była mówić tych wszystkich rzeczy.**

Wiem, że jesteś po naszej stronie. I nie należę do tych ludzi, którzy nie wierzą zmiennokształtnym.

Galen uśmiechnął się do niej delikatnie, ale jego oczy pozostały poważne.

- **No nie wiem. Może nam nie wolno ufać. Nasza krew jest skażona, nie można całkiem się pozbyć tego dziedzictwa.**

To było dziwne. W tym momencie jego oczy zrobiły się nie tylko ciemne, ale wręcz czerwone. Tak jakby światło rozpałało coś w ich wnętrzu.

Nagle Winnie wyciągnęła nad stołem rękę.

- **Znam cię - powiedziała. - I w twojej krwi nie ma niczego złego. Już więcej nie stracę do ciebie zaufania.**

Galen zawahał się przez moment, po czym z wdzięcznością sięgnął po jej rękę.

- **Dziękuję - wyszeptał.**

- **Hej, gdybym to ja była dzieckiem czarownic, natychmiast przyjąłbym twoje oświadczenia** - odparła Winnie. Po czym pociągnęła nosem, przez chwilę znowu była starą, dobrą Winnie.

Keller popatrzyła na Ilianę i zamarła z zaskoczenia. Dziewczyna znów się zmieniła. Nie wyglądała już jak księżniczka ani lodowa panna, ale jak bardzo młody żołnierz szykujący się do bitwy. Albo jak przeznaczona na ofiarę dziewczyna, która uratuje swoje plemię, skacząc do wulkanu.

Jej włosy zdawały się lśnić delikatnym srebrnym blaskiem, a oczy przybrały kolor ciemnego fioletu. Wyprostowała wątłe ramiona i uniosła z determinacją podbródek.

Powoli, wpatrując się w coś na środku stołu, wstała. Na widok tego ruchu wszyscy zamilkli. Działo się coś ważnego.

Iliana stała z dłońmi przyciśniętymi do boków, klatka piersiowa unosiła się w nerwowym oddechu. Spojrzała na Galena, po czym przeniosła wzrok na Keller.

- **Nie jestem dzieckiem czarownic, tak samo jak i Winnie. I myślę, że już o tym wiecie. Ale...** - Nabrała powietrza i podparła się.

Keller wstrzymała oddech.

- **Ale jeśli chcecie, żebym udawała, że nim jestem, to tak zrobię. Pójdę z Galenem na ceremonię zaręczyn, to znaczy, jeśli on zechce.** - Spojrzała z lekkim zakłopotaniem na Galena, prawie przepaszając.

- **Spróbowałyby nie!** - powiedziała z entuzjazmem Winnie. Keller mogłaby ją ucałować. Galen otworzył tylko usta.

Na szczęście Iliana mówiła dalej:

- **No to tak zrobimy. I może to wystarczy, żeby zmiennokształtni przyłączyli się do czarownic, o ile tylko nie odkryją, że jestem podróbką.**

Wyglądała na nieszczęśliwą.

Była tak stanowcza, że Keller to wstrząsnęło.

Czy to możliwe, że jednak nie była Pierwotną Mocą? Ale nie.

Keller wiedziała, że to ona. Po prostu jeszcze nie rozbudziła w sobie mocy. A jeśli dalej będzie zaprzeczać, to nigdy jej się to nie uda. Odezwała się:

- **Dziękuję, Iliano. Nie wiesz, jak wiele istnień w ten sposób ratujesz. Dziękuję.**

I wtedy emocje wzięty górę, złapała Ilianę za ramię i uściskała ją nieporadnie.

- **Brawo!** - krzyknęła Winnie. - **Od początku wiedziałam, że się przyłączysz, naprawdę.**

Nissa śmiała się z pełną aprobatą. Galen też się uśmiechał, ale było coś w jego oczach.

- **Jest tylko jedna sprawa** - odezwała się Iliana, łapiąc oddech i masując ramię w miejscu, gdzie ścisnęła je Keller. - **Zrobię to. Obiecałam. Ale mam dwa warunki.**

Rozdział 13

*R*adość Keller minęła.

- **Warunki?**

- **Możesz mieć, co zechcesz** - zapewniła ją Winnie, ocierając łzy radości. - **Samochody, ubrania, książki...**

- **Nie, nie, nie chcę rzeczy** - odpowiedziała Iliana. - **Rzecz w tym, że robię to dlatego, że nie mogę patrzeć na ból innych.** - Przeszedł ją dreszcz. - **Muszę wam pomóc.**

Ale nie jestem odpowiednią osobą. Więc pierwszy warunek jest taki, że kiedy będę udawać Pierwotną Moc, to ktoś w tym czasie poszuka prawdziwej.

Keller odpowiedziała gładko:

- Przekażę to Kręgowi Świtu. Sprawdzą innych Harmanów. Będą to robić tak długo, jak zechcesz.

Nie była to wysoka cena.

- A drugi warunek?

- Chcę iść na przyjęcie Jaime w sobotę.

Wybuchła wrzawa. Nawet Nissa przekrzykiwała innych.

Keller pohamowała się w końcu i gestem nakazała innym się uciszyć.

Po czym spojrzała Ilianie prosto w oczy.

- To niemożliwe. I wiesz o tym, że to niemożliwe. Chyba że znasz sposób, żeby być w dwóch miejscach jednocześnie.

- Nie wygłupiaj się - odparowała Iliana. - Chcę tylko wstąpić na godzinę czy dwie. Bo jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek i już dwa razy o mało przeze mnie nie zginęła.

- No co ty? Ratuszujesz życie jej i jej bratu bliźniakowi i rodzicom.

- Nie, nie ratuję. Udamę, że jestem Pierwotną Mocą, chociaż wiem, że to nieprawda. Kłamie! - W oczach Diany pojawiły się łzy. - Ale nie zranię uczuć Jaime ani obietnicy. I tyle. Więc i jeśli chcecie, żebym wzięła udział w waszej szopce, zrobię to, ale najpierw chcę iść na przyjęcie. Wszyscy zamilkli.

Jest uparta, nie da się ukryć, pomyślała Keller. Jak się na coś zdecyduje, nie można jej do niczego zmusić. Pewnie ta cecha okaże się zaletą, gdy Pierwotne Moce się połączą.

Ale teraz było to po prostu wkurzające.

Keller odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Okej.

Winnie i Nissa spojrzały na nią uważnie. Nie spodziewały się, że tak szybko się podda i na pewno podejrzewały, że ich Szef ma jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

Niestety, Keller nie miała

- Będzie to trzeba jakoś zaplanować - zwróciła się do drużyny. - Nie może jej spaść włos z głowy.

Winnie i Nissa wymieniły ponure spojrzenia, ale nic nie powiedziały.

Keller spojrzała na Ilianę.

- Musisz być na ceremonii przesilenia o północy. Spotykają się w Charlotte, jakieś dwadzieścia minut jazdy samochodem stąd, i lepiej zostawmy sobie spory zapas. Powiedzmy, że z godzinę. Jeśli nie będzie cię na spotkaniu zmiennokształtnych i czarownic dokładnie o północy...

- To moja karoca zamieni się w dynię - odpowiedziała cierpko Iliana. Wytrzeła nos chusteczką.

- Nie, zmiennokształtni sobie pójdą i stracimy szansę na sojusz.

Iliana spoważniała, wpatrywała się w stół. Potem spojrzała w oczy Keller.

- Będę tam. Jestem tego pewna, a wiesz czemu? Bo to ty mnie tam dostarczysz.

Keller patrzyła się na nią, zaskoczona. Usłyszała, jak Winnie zachichotała i zobaczyła, że Nissa hamuje się, żeby się nie roześmiać.

Po czym poczuła, że i ona się uśmiecha.

- Masz rację. Dostarczę cię. Nawet jeśli miałabym cię targać na własnych plecach. Doobra?

Wyciągnęła do niej rękę. Ucisnęły sobie dłonie, po czym Iliana odwróciła się do Galena.

Od początku swojej przemowy obserwowała go kątem oka. Znow wyglądała niepewnie.

- Jeśli jest coś... jakiś powód, dla którego nie powinnam tego robić... - wyjąkała.

Keller kopnęła Galena mocno w kostkę.

Podniósł wzrok. Nadal nie wyglądał na chłopaka, którego poznała. Rozmowa o smokach zmieniła go, rzuciła cień na jego twarz i sprawiła, że zapadł się w siebie. A obwieszczenie Iliany wcale nie poprawiło mu nastroju.

Keller wpatrywała się w niego uważnie, żałując, że nie umie czytać w jego myślach.

Nawet nie próbuj, myślała. *Co z tobą? Jeśli to schrzanisz, po tym, ile pracy w to włożyliśmy i ile od tego zależy...*

Wtem coś sobie uświadomiła. Wcześniej, kiedy opowiadał historię o smokach, wyglądał na zamyślonego i trochę przerażającego. Teraz wciąż sprawiał wrażenie zamyślonego, ale do tego doszedł jeszcze smutek.

Prawie słyszała w swojej głowie jego głos. Keller, tak mi przykro...

Nie wygfupiaj się, pomyślała Keller. Może i nie znała jego myśli, ale miała nadzieję, że wyczyta z jej oczu to, co powinien zrobić.

Serce waliło jej jak oszalałe, ale panowała nad swoim oddechem. Nic nie było ważniejsze od Kręgu Świtu i paktu. Myślenie o czymkolwiek innym w takim momencie byłoby skrajnym egoizmem.

A miłość jest dla słabych.

Galen opuścił oczy, prawie jakby przegrał bitwę. Potem odwrócił się do Iliany.

Dziewczyna miała łzy w oczach. Keller poczuła ucisk w żołądku.

Ale Galen zrobił dokładnie to, co trzeba. Sięgnął po dłoń Iliany i podniósł ją do swojego policzka w geście pokory i prostoty. A robiąc to, wyglądał równie szlachetnie, jak zawsze.

W końcu był księciem.

- **Będę zaszczycony, mogąc przejść z tobą przez ceremonię zaręczyn** - powiedział, patrząc na nią. - **Jeśli jesteś w stanie zmusić się do zrobienia tego ze mną, Rozumiesz wszystko, co ci powiedziałem wcześniej, o mojej rodzinie...**

Iliana mrugnęła i odetchnęła ponownie. Łzy zniknęły w tajemniczy sposób, a jej oczy przybrały kolor fiołków.

- **Rozumiem. To nieważne. To nie ma wpływu na to, kim jesteś, a jesteś jednym z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam.** - Znów mrugnęła i uśmiechnęła się.

Nikt nie mógłby się temu oprzeć. Galen przytaknął głową w odpowiedzi.

- **Nie jestem tak dobry, jak ty.**

Stali tak przez chwilę, wpatrując się w siebie, trzymając za ręce... i lśniąć. Wyglądali razem doskonale, srebro i złoto, obrazek jak z baśni.

To jest to. Zrobione. Teraz musi przejść ceremonię, pomyślała Keller. *Jeśli tylko uda nam się ją ochronić, to mamy kolejną Pierwotną Moc. Misja zakończona.*

Naprawdę się cieszę.

To dlaczego czuła ciężar w piersi i tak strasznie bolało, kiedy oddychała?

Drugi telefon rozzwonił się późnym popołudniem.

- **No, znaleźli kierowcę samochodu** - powiedziała Nissa.

Keller podniosła głowę. Kiedy pani Dominick wróciła z zakupów, przenieśli pudełko ze zwojami do pokoju Iliany. Leżały teraz rozrzucone po całej podłodze, a Iliana przysypiała na łóżku.

Ożywiła się na widok Nissy.

- **Kto to był?**

- **Zmiennokształtny. Nazywa się Fulton Arnold. Mieszka jakieś piętnaście kilometrów stąd.**

Keller spoważniała.

- Arnold, władca orłów. - Spojrzała na Galena.

Ten skinął ponuro głową.

- Orły będą musiały się nieźle tłumaczyć. Cholera, zawsze trudno się z nimi było dogadać, ale to...

- A więc to było związane ze światem nocy - odezwała się Winnie. - Ale czy Krąg Świtu ustalił dlaczego?

Nissa siadła na krześle przed biało-złotą toaletką.

- No cóż, mają pewne podejrzenia. Spojrzała na Galena. - To ci się nie spodoba.

Odłożył kawałek pergaminu i usiadł wyprostowany, ponury i skupiony.

- Co?

- Znasz nasze teorie na temat ostatnich ataków na ludzi. Czy robią to zwykli przypadkowi zmiennokształtni, czy stoi za tym Pierwszy Dom? Krąg Świtu uważa, że za całe to zamieszanie odpowiedzialny jest twój ród.

- Zmiennokształtni nie przyjęliby zlecenia od wampirów - odpowiedział sztywno Galen. - Czyli to nie Rada Świata Nocy.

- Oni uważają, że to smok.

Keller zacisnęła oczy i uderzyła się w czoło.

Oczywiście. Dlaczego sama o tym nie pomyślała? To smok wydaje rozkazy, ogłasza się legendarnym władcą, który powrócił, żeby uratować zmiennokształtnych.

- To zupełnie jakby powrócił król Artur - wymamrotała.

Leżąca na łóżku Iliana zmarszczyła ze zdziwienia brwi.

- Przecież mówiliście, że smoki są złe. Że są okrutne i potworne, i próbowały zniszczyć świat.

- Owszem - potwierdziła Keller. Tylko Iliana mogła uznać, że jest to wystarczający powód, dla którego nie należy się do niego przyłączać. - Zgadza się, ale on jest potężny.

Umożliwia zmiennokształtnym wrócić na szczyt. - Kiedy to sobie uświadomiła, spojrzała na Galena z rosnącym niepokojem. - A to oznacza tylko jedno, zmiennokształtni chcą władzy. Jeśli tak myślą, to Pierwszy Dom nic już nie wskóra. Nawet myszy przyłączą się do Azhdehy.

- To znaczy, że ceremonia nie ma sensu? - Iliana usiadła na łóżku. Co ciekawe, nie wyglądała na uszczęśliwioną, wręcz przeciwnie, była przerażona.

- Nie, nawet o tym nie myśl - powiedziała Keller. - To znaczy, że... - zamilkła, rozumiejąc nagle, co to oznacza. - To znaczy, że...

- Musimy zabić smoka - dokończył Galen. Keller skinęła głową.

- Tak. Musimy się go pozbyć. Upewnić się, że nie wyda już ani jednego rozkazu. To jedyny sposób, żeby uchronić społeczność zmiennokształtnych przed rozpadem.

Iliana z uwagą przyjrzała się kartkom, rozrzuconym w jej pokoju.

- Wiecie już, jak zabić smoka? Keller podrzuciła kawałek pergaminu.

- Jeszcze nie.

- No tak, ale nie przejrzelismy nawet połowy - zauważyła Winnie. - Tylko wy potraficie to wszystko rozszyfrować, a do tego sprawdzić jeszcze nas.

Bez dwóch zdań mieli dużo pracy. Keller pohamowała westchnienie i powiedziała dziarsko:
- No, na razie nie musimy się martwić smokiem. Musimy tylko utrzymać go z dala od zaręczyn. Winnie, może ty i Nissa skupicie się na opracowaniu planu, jak chronić Ilianę na sobotnim przyjęciu? A ja i Galen zamiast kłaść się spać, przejrzymy te zwoje.

Winnie wyglądała na zaniepokojoną.

- Szefie, zbyt dużo starasz się zrobić. Jeśli się trochę nie prześpisz, to zwariujesz.

- Wyśpię się w niedzielę - odpowiedziała stanowczo Keller. - Kiedy będzie po wszystkim.

Keller planowała, że każde z nich obejrzy zwoje oddzielnie. Ale kiedy wszyscy poszli spać, Galen został w salonie pod pretekstem obejrzenia wiadomości o jedenastej. Mówiono o kolejnych atakach zwierząt.

W końcu Keller zaczęła przeglądać pergamin po pergaminie. W ten sposób chciała dać mu do zrozumienia, że najwyższy czas, żeby sobie poszedł.

- Poczekaj, wezmę swoją połowę - powiedział i wybiegł z salonu.

Keller czuła się niezręcznie, kiedy wrócił. Nie, żeby w jego zachowaniu było coś niestosownego. Skupiał się na pracy i wcale jej nie przeszkadzał.

Ale od czasu do czasu na nią spoglądał. Wiedziała, że czeka, aż ona podniesie głowę. Nie zrobiła tego. A on milczał. Pracowali w ciszy.

Ale Keller wciąż czuła jego obecność. Ciepło jego ciała, zapach... Nie potrafiła nic na to poradzić. Była panterą. Pachniał miło i zdrowo. Jak sierść szczeniaka w letnie popołudnie.

To ją bardzo, ale to bardzo rozpraszało. A słowa ze zwojów rozmywały się przed oczami.

Ale gorsze od jego ciepła, zapachu i świadomości, że na nią patrzy, było coś, czego nie potrafiła dokładnie określić. Związek. Napięcie między nimi było wręcz namacalne.

Powietrze wokół wibrowało. Zjeżyło włoski na ramionach Keller. I bez względu na to, jak bardzo się starała, wciąż to czuła.

Nawet cisza była przeciwko niej, potęgując dyskomfort. Keller pomyślała, że musi się odezwać. Powiedzieć coś niezobowiązującego, żeby zaznaczyć, że nic jej nie jest.

Wpatrzyła się w zwoje. Zaczynała ich nienawidzić. Gdyby tylko udało jej się znaleźć coś przydatnego.

I wtedy to zobaczyła. Właśnie na tym kawałku pergaminu, który trzymała.

- Znalazłam, to kopia najstarszych przekazów o smokach. Tu jest napisane, co smoki mogą zrobić, jakie mają moce, oczywiście poza ciemną energią.

Zaczęła czytać, wahając się przy słowach, których nie знаła:

- Kiedy smok dotknie zwierzę, będzie mógł przybrać jego formę, przejąć jego całą wiedzę i wykorzystać ją. Liczba kształtów, w które może się zmienić jest nie... - wydaje mi się, że to znaczy „ograniczać”... nieograniczona. Dlatego jako prawdziwy zmiennokształtny jest godny tego miana. To stare zapiski -usprawiedliwiła się. - Podejrzewam, że spisał je w czasie wojny smoczy sprawozdawca.

- Liczba kształtów, w które może się zmienić, jest nieograniczona - z rosnącym entuzjazmem powtórzył Galen. - To ma sens, wiesz? To właśnie odziedziczył Pierwszy Dom, tyle że w uboższej formie. Możliwość wyboru, ale tylko za pierwszym razem.

- Musicie dotknąć zwierzęcia, żeby się przeobrazić? Skinął głową.

- Tak wybieramy. Ale jeśli smok może to robić za każdym razem, gdy... - ucichł.

- Będzie trudno go znaleźć - powiedziała Keller. Napięcie w powietrzu zelżało i była trochę spokojniejsza. Przynajmniej mogła swobodnie rozmawiać.

Ale Galen nie pomógł. Przysunął się do niej i zaczął oglądać zwoj.

- Ciekaw jestem, czy piszą tu, jak je rozpoznać...Czekaj. Spójrz tutaj, na samym dole.

Musiła pochylić głowę tak, że jego włosy ocierały się o jej policzek.

- Co?

- Rogi, coś o rogach - wymamrotał gorączkowo. - Tobie lepiej idzie tłumaczenie. Co to za słowo?

- „Niezależnie”? Nie, raczej „bez względu na to” - zaczęła czytać: - Bez względu na to, jaką przybierze formę, smoka poznasz po...

- Po rogach - wtrącił, czytając razem z nią. Dokończyli już razem.

- Smok ma od jednego do trzech rogów na czole, a w rzadkich przypadkach cztery. Te rogi... - Głosy obojga przybrały na sile. - Są siedliskiem ich mocy. Dlatego czarownice często je usuwają, gdy chcą pozbawić smoka umiejętności przemiany.

Oboje zamilkli. Keller zdawało się, że wpatrują się w ten pergamin godzinami. Galen tak mocno ścisnął ją za nadgarstek, że aż rozboleła ją ręka.

W końcu powiedział delikatnie:

- Mamy. - Spojrzał na nią. - Znaleźliśmy. Udało nam się, znaleźliśmy to!

- Ciii! Obudzisz cały dom. - Ale była tak przejęta, jak on. - Daj mi pomyśleć. Tak, ten chłopak, Azhdeha, mógł mieć rogi. Miał potargane włosy, zasłaniały mu czoło i pamiętam, że pomyślałam, że wygląda trochę dziwnie. Poza tym był taki porządny.

- Widzisz? - Zaśmiał się w radosnym uniesieniu.

- Tak. Ale... Cóż. Wyobrażasz sobie, jak trudno wyrwać mu te rogi?

- Nie. I nic mnie to nie obchodzi. Keller, przestań. Nie próbuj ostudzić naszego zapału. Rzecz w tym, że to znaleźliśmy! Wiemy o smokach coś, co może je skrzywdzić. Wiemy, jak walczyć.

Keller nic nie mogła na to poradzić. Jego euforia była zaraźliwa. Nagle wszystkie skumulowane w niej emocje zaczęły się uwalniać. Uścisnęła jego ramię, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc.

- Udało ci się - powiedziała. - Znalazłeś odpowiednią część.

- Była na twoim zwoju. Właśnie do tego dochodziłaś.

- Ale to ty zasugerowałaś, że należy przejrzeć zwoje.

- Ale ty... - przerwał nagle. Patrzył na nią, śmiejąc się. Ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów, gdy składali sobie szeptane gratulacje. Jego oczy były jak las w lecie, złotozielone z ciemniejszymi punkcikami, które zdawały się poruszać w świetle.

Ale nagle coś jakby ból przebiegło po jego twarzy. Nadal na nią patrzył, wciąż ścisnął za ramię, ale jego oczy stały się ponure.

- Ty jesteś tą jedyną - powiedział cicho. Keller musiała się skupić.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz.

Powiedział to tak naturalnie, tak prosto. Nie było sensu się z nim kłócić.

Ale Keller spróbowała.

- Posłuchaj, jeśli chodzi ci o to, co się wydarzyło w bibliotece...

- Przynajmniej się zgadzasz, że coś się stało.

- Nie rozumiem. Oboje jesteśmy zmiennokształtnymi istotami. Po prostu zapomniał się. Działamy w dużym napięciu. To była chwila... fizycznego zauroczenia. Nie możesz tego traktować poważnie.

Gapił się na nią.

- Więc wmówiłaś sobie, że to była chwila fizycznego zauroczenia?

Prawda była taka, że Keller prawie siebie przekonała, że nic, absolutnie nic się nie wydarzyło.

- Powiedziałam ci - zaczęła, już dawno nie mówiła tak ostrym tonem. - Miłość jest dla słabych. A ja nie jestem słaba. A poza tym, o co ci chodzi? Już masz narzeczoną, Iliana jest dzielna, dobra i piękna. Jest... Czego więcej można chcieć?

- Masz rację - odpowiedział. - Jest właśnie taka. I szanuję ją, podziwiam, nawet kocham. Któż by jej nie kochał? Ale nie jestem w niej zakochany. Jestem...

- Nie mów tego. - Keller była teraz zła. To sprawiało, że stała się silna. - Księżę nie powinien przedkładać prywatnego szczęścia nad los swoich ludzi. Nad los całego świata.

- Nie przedkładam! - odpowiedział, wściekły. Mówił cicho, ale pewnie. Jego oczy płonęły głęboką, nieskończoną zielenią. - Nie wspominałem, że nie przejdę ceremonii. Mówię tylko, że to ciebie kocham. To ty jesteś moją pokrewną duszą, Keller. I wiesz o tym.

Pokrewna dusza. Te słowa uderzyły w Keller i pozbawiły ją tchu.

Właśnie to wydarzyło się w bibliotece. Żadna chwila fizycznego zauroczenia czy romantyczny flirt. To była zasada pokrewieństwa dusz.

Ona i Galen byli pokrewnymi duszami.

I nie miało to najmniejszego znaczenia, bo nie mogli być razem. Nigdy.

Rozdział 14

Keller podniosła dłonie do twarzy. Na początku nie wiedziała, co się z nią dzieje. W końcu uświadomiła sobie, że płacze.

Trzęsła się, Raksha Keller, która nie bała się nikogo i nigdy nie pozwoliła, by ktoś dotknął jej serca. Wydawała te idiotyczne dźwięki, które przypominały pieszczony sześciotygodniowego kotka. Przez palce płynęły jej łzy.

A najgorsze było to, że nie mogła się powstrzymać.

Poczuła, jak Galen obejmuje ją i uświadomiła sobie, że on też płacze.

Był w tym lepszy od niej. Nie próbował nawet się z tym kryć. Głaskał jej włosy i wykrztusił kilka słów:

- Keller, przykro mi. Keller... **Mogę mówić do ciebie Raksha?**

Pokręciła wściekle głową, rozsiewając wokół łzy.

- I tak zawsze myślę o tobie jako o Keller. To po prostu ty. Przepraszam. Nie chciałem sprawić, żebyś płakała. Lepiej by było, gdybyśmy się nigdy nie spotkali... Keller zorientowała się, że znów kręci głową. I wtedy, tak samo jak poprzednim razem, go objęła. Przycisnęła twarz do jego miękkiej bluzy, próbując opanować się na tyle, by coś powiedzieć.

To była wina muru, który wzniosła wokół siebie. Kiedy w końcu runął, nie mogła, się już uspokoić.

Bezbronna... Ale nie samotna. Czuła nie tylko obecność Galena. Czuła też jego duszę i coś ją do niej ciągnęło. Zbliżali się do siebie tak jak w bibliotece. Coraz bardziej i bardziej.

Połączenie.

Poczuła jego umysł i znów jej serce prawie eksplodowało.

Ty jesteś tą jedyną. Jesteś moją pokrewną duszą. Usłyszała jego wewnętrzny głos.

Keller chciała zaprzeczyć, ale nie potrafiła. Nie mogła oszukiwać kogoś, kto dzielił z nią **Tak.**

Kiedy cię pierwszy raz ujrzałem. Powiedział. **Byłem tobą zafascynowany. Już ci to mówiłem, prawda? Po raz pierwszy poczułem dumę z tego, że jestem zmiennokształtnym.**

Keller była zakłopotana. Wciąż płakała, ale też była dumna. Czując jego ciepło i pasję, widząc jego umysł... trudno było nie dać się temu porwać.

Ja też jestem dumna. Powoli pomyślała. **Ale nie ze wszystkiego. Inne sprawy...**

Jakie? Zapytał stanowczo, wręcz z gwałtowną opiekuńczością. **Nasza historia? Smoki?**

Nie. Sprawy, których byś nie zrozumiał. Dotyczące... zwierzęcej natury. Nawet teraz Keller bała się odsłonić przed nim niektóre zakątki. **Zostaw to, Galen.**

Ale usłyszała tylko: **Powiedz mi.**

Nie. To stało się dawno temu. Miałam trzy lata. Po prostu ciesz się, że możesz wybrać, jakim zwierzęciem się staniiesz.

Keller. Powiedział. **Proszę.**

Nie podoba ci się zwierzęca natura. Odpowiedziała mu. **Pamiętasz, jak szybko odsunąłeś rękę, kiedy dotknąłeś mojego ramienia w sali muzycznej?**

W sa...? Zamilkł, a Keller czekała ponuro, aż wróci do niego wspomnienie niesmaku. Zamiast tego poczuła ogromną tęsknotę, którą próbował zatuszować. I zduszony, cierpki śmiech.

Nie odsunąłem ręki, bo nie podobało mi się twoje futro. Zrobiłem to, bo... Zawahał się, po czym odezwał z zakłopotaniem. **Chciałem cię pogłaskać!**

Pogłaskać?

Było takie miękkie, kiedy go dotknąłem, zupełnie jak aksamit.... ja po prostu... chciałem to zrobić. Przesunął ręką po jej plecach. **Nic na to nie mogłem poradzić. Ale wiedziałem, że dostałbym w szczękę, gdybym spróbował. Więc zabrałem rękę.** Dokończył, wciąż lekko zakłopotany. Uśmiechał się. **A teraz powiedz, z czego nie jesteś dumna.**

Po ciele Keller rozeszło się ciepło. Była pewna, że ma rumieńce. Lekko zaniepokojona uświadomiła sobie, że nie mogą mieć przed sobą sekretów. Aby ukryć zakłopotanie, odezwała się:

- To się stało, kiedy mieszkałam z moją pierwszą rodziną z Kręgu Świtu. Mnóstwo czasu spędzałam w mojej połowicznej formie. Łatwo się tak zaciniałam, a im to nie przeszkadzało.

Mnie też nie. Powiedział Galen. **Wyglądasz wtedy pięknie.**

- W każdym razie siedziałam na kolanach mojej przybranej matki, kiedy czesała mi włosy, i nie wiem, co się stało, ale coś mnie przeraziło. Jakiś hałas na zewnątrz. Może wystrzał z rury wydechowej. Poderwałam się i próbowałam pognać do mojej kryjówki pod biurkiem.

Keller zamilkła, oddychając głęboko. Poczula, jak Galen ją obejmuje.

- I wtedy... No cóż, moja przybrana matka chciała mnie przytrzymać, uspokoić. Ale jedyne, o czym mogłam myśleć, to o przerażeniu. Więc ją podrapałam. Użyłam pazurów, w tamtej formie mam wysuwane pazury. Zrobiłabym wszystko, żeby uciec.

Znów zamilkła, tak trudno było jej o tym mówić.

- Musiała iść do szpitala. Nie pamiętam, ile szwów założyli jej na twarz. Ale pamiętam wszystko inne: zostałam zabrana do innej rodziny, bo ta nie mogła się już mną zajmować. Nie mam do nich żalu, że mnie odesłali. Ale zawsze chciałam jej powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

Nastąpiła cisza. Keller czuła, jak Galen oddycha i to dawało jej dziwne poczucie bezpieczeństwa.

W końcu zapytał:

- To wszystko?

Keller była w szoku, w końcu podniosła głowę i odezwała się tym samym tonem:

- Nie wystarczy?

- Keller... Byłaś dzieckiem. Nie chciałaś zrobić krzywdy. To był wypadek. Nie możesz się za to winić.

- Ale winię. Gdybym nie poddała się instynktowi...

- To idiotyczne. Ludzkie dzieci ciągle robią głupie rzeczy. Jeśli trzylatek wpadnie do basenu i ktoś utonie, próbując go ratować, to obwinisz tego dzieciaka?

Keller zawahała się, po czym oparła głowę na jego ramieniu.

- Nie wygłupiaj się.

- To dlaczego winisz się o coś, na co nie miałaś wpływu? Keller nie odpowiedziała, ale poczuła, jak z jej serca spada wielki ciężar. Nie winił jej. Może nie miała się obwiniać. Zawsze będzie jej przykro, ale nie musi się już wstydzić.

Objęła go mocniej.

Dziękuję. Pomyślała.

Och, jesteś taka wspaniała, a boisz się przyznać, że wszystko, co robisz... Iśni.

Przez moment Keller nie potrafiła sklecić żadnych słów. W końcu szepnęła:

Kiedy już wybierzesz jakąś formę, niech to będzie coś łagodnego.

Myślałem, że uważasz, iż wszyscy powinni być wojownikami? Powiedział, a jego wewnętrzny głos był bardzo cichy. **Niektórych nie powinno się do tego zmuszać.** A potem pozwoliła mu się po prostu obejmować.

Czas znów się zatrzymał, a oni zdawali się unosić w delikatnym, złotym świetle. Przenikało ich. Czasami nie umiała powiedzieć, które myśli należały do niej, a które do niego.

Kiedyś pisałem wiersze. Wiesz? A raczej próbowałem. Moi rodzice tego nie pochwalali. Byli zażenowani... Zamiast uczyć się, jak być dobrym łowcą, ich syn wypisywał banialuki.

Mam taki okropny sen, w którym patrzę na ocean i widzę ścianę wody wysoką na setki metrów. I wiem, że się zbliża i nie zdążę przed nią uciec. Koty i woda, no wiesz. Myślę, że to dlatego.

Kiedyś rozmyślałem, jakim zwierzęciem byłoby najfajniej być. I za każdym razem dochodziłem do tego samego wniosku - jakimś ptakiem. Nic nie przebije latania.

Zawsze ukrywałam przed moimi przybranymi matkami to, że uwielbiam drzeć rzeczy na strzępy. Myślałam, że jestem sprytna, kiedy ukrywałam przed nimi rajstopy po tym, jak użyłam na nich pazurów. Ale kiedyś poszarpałam zasłony, i wszystko się wydało.

Rozmawiali i rozmawiali. A Keller poddała się tej bliskości. Przynajmniej raz w życiu nie musiała niczego ukrywać, udawać ani się bronić. To była taka ulga, nic nie musieć.

Galen ją znał i akceptował. Ją całą. Kochał ją, a nie jej lśniące ciemne włosy, długie nogi czy kształt ust. Mógł te rzeczy podziwiać, ale kochał ją za to, czym była w środku.

I kochał ją z taką mocą i słodyczą, o jaką Keller nigdy nikogo nie podejrzewała.

Chciała tak zostać na zawsze.

Ale czekało ich co innego. Coś, o czym nie chciała myśleć, ale co czaiło się tuż za tą jasnością i ciepłem, które ich otaczały.

Świat... Tam nadal jest świat. I jest w niebezpieczeństwie. I nie możemy o tym zapominać.

Galen.

Wiem.

Bardzo powoli, niechętnie, wyprostował się i odsunął ją od siebie. Ale wyglądało na to, że nie potrafi jej puścić. Siedzieli, patrząc sobie w oczy.

Co dziwne, ich połączone myśli się nie rozdzieliły. Wciąż mogli się słyszeć, gdy patrzyli sobie w oczy.

Już nigdy nie będziemy mogli być tak, jak teraz. Powiedziała Keller.

Nagle do niej dotarło, że on zdaje sobie z tego sprawę. **Wiem.**

Nie możemy o tym mówić. Nie możemy nawet zostawać sami razem w pokoju. To by było niesprawiedliwe wobec Iliany. I musimy spróbować o sobie zapomnieć i żyć dalej.

Wiem. Przytaknął po raz trzeci. I kiedy Keller podziwiała, jak spokojnie się z tym pogodził, ujrzała w jego szafirowych oczach łzy.

Keller, to moja wina. Gdybym nie był synem z Pierwszego Domu.,,

Nigdy byśmy się nie spotkali. A to by było jeszcze gorsze.

- Naprawdę? - zapytał to głośno, jakby musiał się upewnić.

Tak. Odpowiedziała mu w myślach, żeby poczuł prawdę w jej słowach. *Och, tak się cieszę, że się spotkaliśmy. Tak się cieszę, że cię poznałam. I jeśli to przeżyjemy, to będę się z tego cieszyła całe życie.*

Znów wziął ją w ramiona.

- Szefie! Wiemy! - powiedziała Winnie.

Oczy jej błyszczały. Twarz dziewczyny wyrażała entuzjazm.

- Co? - zapytała Keller. Mimo że prawie wcale nie spała w nocy, była spokojna i czujna.

Oboje z Galenem do późna przeglądali zwoje, upewniając się, że nie przegapili niczego ważnego. Właśnie się podzielili swoimi odkryciami.

Winnie uśmiechała się do niej.

- Jak chronić Ilianę w czasie sobotniego przyjęcia. Wymyśliłyśmy Niezawodny plan!

Nic nie jest niezawodne, pomyślała Keller, a na głos dodała: **Mów dalej.**

- Zrobimy tak. Ogrodzimy cały dom magicznymi osłonami, takimi samymi, jakie babcia Harman nałożyła na ten dom. Najsilniejszym jakie potrafi nakładać Krąg Świtu. Ale nałożymy je teraz, jak najszybciej. I ustawimy tak, że tylko ludzie będą gotowi wejść do środka.

- I dodatkowe bezpieczeństwo - powiedziała Nissa. - Wokół domu rozstawimy agentów Kręgu Świtu, i to zaraz. Nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie bez ich kontroli. W ten sposób, kiedy dotrzemy naprzyjście w sobotę, będzie wiadomo, że jest bezpiecznie.

- Po prostu przetrzucimy ją z jednego bezpiecznego miejsca do drugiego - odezwała się czarownica. - i jeśli tylko utrzymamy ją tutaj do sobotniego wieczoru, nic jej nie będzie grozić.

Keller zastanowiła się nad tym.

- Musimy się też upewnić, że limuzyna jest bezpieczna. Naprawdę bezpieczna.

- Oczywiście — zgodziła się Winnie. - Zajmę się tym.

- I chciałabym, żeby agenci sprawdzali wszystkich wchodzących, nie tylko ich obserwowali. Dałoby się to jakoś zrobić?

- Bez wiedzy rodziny? - Nissa przygryzła lekko wargę. - A gdybyśmy rozstawili jakiegoś roboty drogowe niedaleko bramy wjazdowej? Tam musi być brama, w końcu to pałac, tak?

- Upewnij się. I potrzebujemy planów. Chcę, żeby przed przyjęciem wszyscy nauczycieli się rozkładu pałacu.

- Miejskie biuro urbanistyczne - mówiła Nissa. - Nie, lepiej miejscowe towarzystwo historyczne. Pałac jest pewnie zabytkowy. Zajmę się tym.

Keller skinęła głową.

- Hm... - Zastanawiała się, czy jest jeszcze coś, czym powinna się martwić. - Hm... Brzmi... Patrzyły na nią, wstrzymując oddech.

- Brzmi nieźle - powiedziała w końcu. - Myślę, że jest minimalna, maleńka szansa, że może nam się udać. Ale pewnie to nadmiar optymizmu z mojej strony.

Winnie uśmiechnęła się od ucha do ucha i klepnęła ją w ramię.

- Szefie, z twojej? Boże broń!

- To takie trudne - jęknęła Iliana. - To znaczy, co można włożyć, żeby pasowało i na przyjęcie urodzinowe, i na ceremonię zaręczyn?

- Ceremonię przesilenia - poprawiła ją Winnie. - Nie zapominaj o tym.

- Utrudniasz tylko. - Iliana uniosła wieszak z sukienką, potem z kolejną. - Co pasuje na ceremonię przesilenia?

- **Coś białego** - zaproponowała Winnie.

- **To będzie dobre również na zaręczyny** - dodała Keller. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby pokazać, że jest cierpliwa i ku jej zaskoczeniu było to łatwiejsze, niż myślała. Ostatnie trzy dni były bardzo spokojne. Iliana zgodziła się zostać w domu, mimo że przeziębienie jej przeszło. W tym czasie Galen i Keller prawie ze sobą nie rozmawiali i nigdy nie zostawali sami.

I to było... dobre. Keller wypełniał spokój, taki sam jak ten na zewnątrz.

Obydwoje mieli swoje zadania. Wywiążą się z nich najlepiej, jak potrafią. Keller modliła się tylko, żeby to wystarczyło.

- **Białe? Nie wiem, czy mam coś białego. Musi być eleganckie, bo u Jaime wszystko jest eleganckie. Mam nadzieję, że naprawdę nic jej nie jest.**

- **Spokojnie** - uspokoiła dziewczynę Keller. - **Rozmawiałaś z nią godzinę temu.**

Fakt, że Jaime została w domu, sprawił Keller ulgę. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to żeby znowu ktoś ją zaatakował.

Ale przynajmniej dom Ashton-Hughesów był bezpieczny. W ciągu trzech dni zacieśniano ochronę, agenci Kręgu Świtu obserwowali wszystkich, którzy przechodzili przez bramę pałacu i kontrolowali, używając takich samych magicznych osłon, jak te, które chroniły dom.

Każdy przedstawiciel świata nocy, który próbowałby przekroczyć osłonę, zostanie przez nią zatrzymany, a potem zidentyfikowany.

Musimy tylko zapewnić jej bezpieczeństwo podczas przejazdu, pomyślała Keller. Najpierw do pałacu, a potem na miejsce spotkania w Charlotte. Damy sobie radę. Wiem, że damy.

Rzuciła okiem na zegarek.

- **Chodź, już po ósmej** - powiedziała. - **Powinniśmy zaraz ruszać.**

Iliana i Winnie przeczesywały szafę.

- **Bładoniebieski** - recytowała Winnie. - **Lawenda, bładny róż...**

- **Musi być biała!** - powiedziała Iliana.

- **Przepraszam, że o tym wspominałam.**

Dało się słyszeć pukanie do drzwi. Nissa zajrzała do środka.

- **Jesteśmy z powrotem, a wy, gotowe?**

- **Za moment** - odpowiedziała Keller. - **Jak sprawy w pałacu?**

- **Doskonale, Czarownice mówią, że osłony są mocne.**

- **Kto wszedł do środka?**

- **Zaopatrzenie i młodzieżowa kapela. Na razie. Wszyscy to w stu procentach ludzie, według magicznych osłon... i Galena, który kręcił się przy bramie i próbował wszystkim wciskać te charytatywne miśki.**

Keller prawie się roześmiała. Galen doskonale się do tego nadawał.

- **Rodzina pewnie myślała, że zwariował.**

- **Nie wyszli i nie składali zażaleń. Prawdę mówiąc nikt nie wychodził, dzięki temu agenci mieli ułatwioną robotę.** - Spoważniała. - **Szefie, jak sądzisz, czemu smok się jeszcze nie pojawił? Ma coraz mniej czasu.**

- **Nie wiem. Myślę, że...**

- **Tak?**

- **Myślę, że wszystko stawia na jedną kartę. Zmasowany atak, szybki i rozstrzygający**

- **W czasie przyjęcia...**

- **W czasie przyjęcia** - powtórzyła Keller. - Więc lepiej miejmy się na baczności.
- Ale go odcieliśmy. Te magiczne osłony są pewne.
- Mam nadzieję.

Z szafy dobiegł krzyk Iliany:

- **Znalazłam!**

Trzymała sukienkę w kolorze zbliżonym do koloru swoich włosów, białą z wplecioną w nią błyszczącą nitką. Ułożyła jej się na biodrach w miękkie fałdy, kiedy przyłożyła ją do siebie, aby Winnie mogła ocenić efekt.

- **Doskonała** - stwierdziła Winnie. - **Możesz się już zaręczyć. Iść w niej na przyjęcie urodzinowe i świętować przesilenie. Jakbyś chciała, to nawet ślub możesz w niej wziąć.**

- **Możesz robić, co chcesz, byle szybko** - powiedziała Keller, znów spoglądając na zegarek.

- **Ale podoba wam się?** Kupiłam ją chyba w zeszłym roku.

- **Jest piękna** - stwierdziła Keller, a kiedy ujrzała zawód w oczach Iliany, dodała - **Naprawdę, jest śliczna. Będiesz w niej cudownie wyglądać, a Galen będzie... pod wrażeniem.**

Czemu nagle coś ścisnęło ją za gardło? Szybko to opanowała, ale zauważyła, że Iliana spojrziała na nią dziwnie.

- **No dobra, ruszajmy** - rzuciła Keller energicznie, patrząc na Winnie i Niszę. - **Wy dwie, gotowe?**

Obydwie spojrzwały na swoje codzienne ubrania, po czym podniosły głowy i wzruszając ramionami, odpowiedziały jednocześnie:

- **Tak jest.**

- **Może uznają nas za służbę** - stwierdziła Keller. - **Niech każdy sprawdzi swój nadajnik. Jak dotrzemy na miejsce, to chcę mieć z wami kontakt.**

- **Tak jest, szefie.**

- **Się rozumie, szefie.**

Iliana włożyła sukienkę i przeglądała się w lustrze.

- **Moje włosy...** - zaczęła, po czym spojrziała na Keller. - **Po prostu zostawię je rozpuszczone, dobrze?**

- **Rozpuszczone wyglądają bardzo dobrze, nawet wspaniale.** - Keller spojrziała na zegarek i zacisnęła pas.

- **Rozpuszczone doskonale pasują do ceremonii przesilenia** - powiedziała Winnie. Po czym szepnęła do Iliany kierującej się już do drzwi - **Nie przejmuj się nią. Zawsze się tak zachowuje przed dużą akcją.**

- **Dobrze, że nie zapytałam jej o buty...**

Keller rozejrzała się wokół, upewniając się, że niczego nie zapomniały. Potem spojrziała na pozostałe dziewczyny. Uśmiechały się do niej, czujne i gotowe na wszystko. Nawet ta najmniejsza, która przypominała aniołka, którego ktoś zdjął z choinki i ożywił.

- **No dobra, dzieciaki!** - zawołała Keller. - **Pora na ball!**

Rozdział 15

Galen był ubrany w ciemny sweter i spodnie. Strój podkreślał jego jasne włosy. Był swobodny, ale też odpowiedni na zaręczyny. Gdy Iliana zęgnęła się z rodzicami, spojrzął w oczy Keller i oboje się uśmiechnęli. Nie były to sztuczne uśmiechy. Po prostu ciche, niezobowiązujące uśmiechy towarzyszy broni przed akcją.

- **Kee-kee!** - odezwał się Alex gdy szli do drzwi garażowych.

Keller pomyślała, że dziecko już dawno powinno było spać. Odwróciła się i zamachała do niego.

- **Poślij mu całusa** - zaproponowała szybko Iliana. - **Lubi to.**

Keller spojrzęła na nią krzywo, po czym to zrobiła.

- **Kee-kee!** - Nagle jego mała okręęła twarzęczka spochmurniała. - **Pa, pa** - powiedział smutno.

- **Och, jakie to słodkie** - stwierdziła mama Iliany. - **Będzie za tobę tęsknił. Pewnie myślisz, że odjeżdżasz na zawsze.**

- **Pa, pa** - powtórzył Alex, a po policzkach potoczyły się duże łzy. - **Pa, pa! Kee-kee! Pa, pa!** - Rozplakał się na dobre.

Grupka przy samochodzie zamilkła. Winnie popatrzyła na Aleksa, po czym spojrzęła na Ilianę.

- **On nie jest... Nie miał nigdy żadnych przeczuć, prawda?** - zapytała cicho.

- **To dziecko!** - odszepnęła Iliana. - **To znaczy, skąd mielibyśmy wiedzieć?**

- **Jest po prostu zmęczony** - skwitowała Keller. - **Wsiadać, jedziemy.**

Ale nawet w samochodzie słyszała szloch Aleksa, zdawał się jej towarzyszyć nawet wtedy, kiedy dom zostawili za sobą.

Zatrzymali się przy barierkach informacyjnych o robotach drogowych, tuż przed bramę wjazdową do pałacu. Wszystko wyglądało bardzo profesjonalnie, z kolorowymi światłami i narzędziami.

- **Wszystko zabezpieczone** - odezwał się wesół czarownik dowodzący grupą robotników, kiedy Keller otworzyła okno. Poprawił odblaskową kamizelkę. - **Wjechało trzydzieści samochodów, żaden nie wyjechał. Od jakiegoś czasu nikt nie się pojawił, wygląda na to, że jesteście spóźnieni.** - Mrugnął.

- **Trzydzieści?** - Zdziwiła się Keller. - **Ile ludzi na samochód?**

- **Dwoje, ale w niektórych trochę więcej.** Keller spojrzęła na siedzącą obok Ilianę:

- **To tak wygląda małe przyjęcie?** Iliana wzruszyła ramionami

- **Nie widziałaś tego domu.**

- **W każdym razie jest bezpiecznie** - odezwał się czarownik. - **Mogę was zapewnić, że do środka nie wszedł zadem smok. I obiecuję, że nie wejdzie.**

Keller skinęła głową i odjechali.

Iliana miała rację. Żeby się zorientować, jak duże może być przyjęcie, trzeba było zobaczyć, jak wielki jest dom. Keller oględała plany, ale to nie to samo.

Po jednej stronie podjazdu minęli coś, co wyglądało jak sad brzoskwiniowy, a kawałek dalej wozownię, w której zmieściło się z tuzin samochodów. Ale Nissa podwiozła ich pod schody frontowe biegnące do okazałego frontu, otoczonego potężnymi białymi kolumnami.

Robi wrażenie, pomyślała Keller.

Weszli do środka.

W olbrzymim, delikatnie oświetlonym holu dziewczyna w ciemnym mundurku wzięła od nich płaszcze. Był tam również Brett. Kiedy zobaczył Ilianę, podskoczył.

- **Ślicznotko! Już się bałem, że nie przyjdiesz.**

- **Wiesz, że nie mogłam tego przegapić** - odpowiedziała łagodnie Iliana. Ale Keller zdawało się, że poświęca Brettowi zdecydowanie mniej uwagi niż podczas poprzedniej rozmowy. *Wiele się nauczyła*, pomyślała Keller. *No i oczywiście od kiedy poznała Galena, wie, że Brett to frajer.* Chłopak obrzucił pozostałych taksującym spojrzeniem.

- *A która z pięknych pań jest twoją kuzynką? Nie miałem okazji spytać.*

- *Och... ta.* - Iliana machnęła w bliżej niesprecyzowanym kierunku.

- **Ty?** - Brett zmierzył Keller wzrokiem od stóp po kruczoczarne włosy. - **Nigdy bym się nie domyślił.**

- **Jesteśmy... przyszywanymi kuzynkami** - stwierdziła Keller.

Brett jej się nie podobał. Nie, żeby było to jakieś odkrycie, ale tego wieczoru szczególnie jej nie pasował. Było coś prawie przerażającego w sposobie, w jaki patrzył na dziewczyny, a kiedy spojrzał na Ilianę, to wyglądało tak, jakby po kwiecie brzoskwini wspinała się obmierzła gąsienica.

- **No dobra, chodźcie ze mną, pora się zabawić** - powiedział, gestykulując i szczerząc się w uśmiechu.

Keller chciała się zapytać gdzie, ale momentalnie zorientowała się, że to pytanie bez sensu.

Wyglądało na to, że przyjęcie odbywa się w całym domu.

Hol był tak duży, że wystarczyłby na całe przyjęcie, a przez środek biegły szerokie zakręcające schody, jak przystało na prawdziwy pałac z Południa. Powyżej, na pierwszym piętrze, Keller widziała korytarz obstawiony obrazami i posągami.

Brett prowadził ich przez kolejne pokoje. Wszystkie robiły wrażenie. Niektóre wyglądały na zamieszkałe, inne przypominały raczej muzealne wystawy. W końcu przeszli przez ostatni łuk, wprost do sali balowej.

Wykładane drewnem ściany. Malowane sufity. Potężne żyrandole. Cały ocean podłogi. A na samym końcu sali kapela, która grała nowoczesne przeboje. Kilka par tańczyło powoli, niedaleko muzyków. Zdawali się tak mali, jakby się mieli zaraz zgubić. Keller zachichotała, ale Iliana wyglądała na zachwyconą.

- **Jest pięknie.**

Brett sprawiał wrażenie zadowolonego.

- **Na kredensie jest jedzenie, ale prawdziwe przysmaki są na dole, w sali gier.**

Chcecie zobaczyć?

- **Ja chcę Jaime** - powiedziała Iliana.

- **Jest na dole.**

Sala gier robiła wrażenie. Stały tam nie tylko stoły do bilardu i tarcze do rzutek, ale też gry wideo, staroświeckie flippery, kosz do gry w koszykówkę i właściwie wszystko, czego można by się spodziewać w porządnym salonie gier.

Kiedy weszli, mężczyzna w czarnych spodniach, białej koszuli i czarnej kamizelce zaproponował im tacę z tartinkami i minipizzami.

Kelner, pomyślała Keller, *nie należy do stałego personelu.* Pokręciła głową, dziękując za jedzenie i rozglądała się dalej, wyęzając wszystkie zmysły, aby zebrać jak najwięcej informacji.

Iliana pojawiła się w miejscu publicznym po raz pierwszy od wyjścia ze szkoły w poniedziałek i fakt ten był naprawdę stresujący. Sala gier była zdecydowanie bardziej zatłoczona niż sala balowa i wszyscy śmiali się i mówili jednocześnie. A do tego stary pałac został wyposażony w nowe technologie. Muzyka z sali balowej sączyła się przez głośniki ustawione w innych pomieszczeniach.

- **Jaime!** - krzyknęła Iliana, gdy z tłumu wyłoniła się jej przyjaciółka.

Jaime wyglądała dobrze. Na twarzy miała rumieńce, a ciemnoniebieskie oczy były szeroko otwarte. Ciemne włosy były lekko natapirowane i miała śliczną niebieską sukienkę,

- **Iliana.** - Uścisnęła ją mocno, mówiąc tym chropowatym, ale dziwnie miłym głosem. - **Czekalam całą wieczność. Jak się masz?**

- **Nieźle. Przeziębienie prawie minęło, a dłoń...** - Iliana uniosła prawą rękę. Była elegancko zabandażowana, by chronić szwy. - Czasem trochę swędzi, ale to tyle. A ty?

- Nadal mam bóle głowy. Ale jest coraz lepiej. - Jaime uśmiechnęła się do Keller i pozostałych. - **Cieszę się, że mogliście wszyscy przyjść.**

- **My też** - odpowiedziała grzecznie Keller, mając lekkie poczucie winy. To było irracjonalne, ale cały czas oczekiwała, że dziewczyna na nią spojrzy i powie: To ty mnie zaatakowałaś. Kot potwór!

I wcale się nie cieszyła, że tu przyszli. Jej wczesny system ostrzegania już się uaktywnił. Czowała, jak włoski stają jej dęba. Nie mogła tego wytłumaczyć, ale z tym domem było coś nie tak,

- **Bądźcie czujni** - szepnęła do reszty, kiedy Jaime poprowadziła Ilianę do stołów z jedzeniem. - **Pamiętajcie, dwójka z nas ciągle jest przy niej. Druga dwójka patroluje dom, sprawdza osłony, rozgląda się. I jesteśmy w kontakcie.** - Dotknęła palcem broszki.

Właśnie w tym momencie zorientowali się, że ich nadajniki nie działają. Słysząc było tylko szum. Keller zakląła.

- **W takim razie musimy się widzieć** - westchnęła ponuro i rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła dziewiąta. - **I zabierzemy ją stąd za godzinę. O dziesiątej. Na wszelki wypadek.**

- **Dobry pomysł** - odezwał się Galen.

Winnie i Nissa pokiwały głowami,

Keller trzymała się blisko Iliany, powtarzając w duchu, że przedsięwzięli wszystkie środki ostrożności i teraz musiała tylko zachować zimną krew, a na pewno wyjdą z tego cało. Ale z upływem czasu coraz bardziej się denerwowała.

Smok zaatakuje.

Była tego pewna.

Ale jak? Jaką formę przyjmie ten atak? Czy będzie to taran ciemnej mocy, taki jak ten, który zniszczył dach ich pierwszej kryjówki? Czy też coś małego i podstępnego, żeby ominąć osłony?

Mysz? Owad? Żaden zwykły zmiennokształtny nie mógł się przemienić w robala, ale to w końcu jakiś rodzaj zwierzęcia. Czy coś takiego mogłoby się niezauważone przedostać przez osłony?

Co przegapiła?

Nie pozostało nic innego, jak czuwać, przyglądać się każdej twarzy w poszukiwaniu wroga i być gotowym na wszystko.

Ale jak pokazał czas, na to nie była przygotowana.

Nissa i Galen patrolowali w tym momencie dom. Keller i Winnie towarzyszyły Ilianie. Keller w ogóle nie zamierzała spuszczać dziewczyny z oczu przez cały wieczór.

Ale kiedy przyglądała się Jaime i Ilianie, które śmiały się i plotkowały przy jednym ze stołów - było na nich wszystko, od grillowanych mięs, poprzez krewetki, na egzotycznych owocach skończywszy - nadszedł Brett. Przygryzał dolną wargę. Szedł w stronę Iliany, ale tak, jakby się nie mógł zdecydować.

Keller zatrzymała go na wszelki wypadek. Wolała, żeby nie zbliżał się do dziewczyny, tak dla zasady.

- Coś nie tak?

Spojrzał na nią z czymś na kształt ulgi w ciemnoniebieskich oczach. Ten jeden raz nie wyglądał arogancko, protekcyjnalnie, a nawet nie wytwornie.

- Ehm... Jest coś... Muszę powiedzieć Ilianie... Chyba... -Przełknął ślinę, twarz wykrzywił mu grymas.

- Chyba? - Keller zaciągnęła go do niszy obok gry wideo. - Jak to chyba?

- No, muszę jej powiedzieć. Tylko nie chcę - mówił ciszej i Keller musiała się schylić, żeby go słyszeć. - Dzwoni jej mama. Mówi, że zaginął jej braciszek.

Keller poczuła się, jakby ktoś wylał na nią kubel lodowatej wody. Przez kilka sekund nie mogła złapać oddechu. W końcu powiedziała:

- Co?

Brett się skrzywił.

- Nie ma go w pokoju. Nie chcę wystraszyć tym Iliany, bo pewnie wyszedł przez okno. No wiesz, jest w tym wieku... Jej mama chce z nią porozmawiać. Wpadła w histerię. - Zwilżył wargi. - Myślę, że powinniśmy go poszukać.

Naprawdę się niepokoi, pomyślała w oszołomieniu Keller, podczas gdy inna część jej mózgu, jasna i zimna, szukała rozwiązania. Czyli jednak pod tą arystokratyczną maską coś się kryje. Martwi się o dzieciaką i o Ilianę.

Dziewczyna wpadnie w taką samą histerię jak jej matka i będzie się upierać, że koniecznie trzeba wracać. A poszukiwania... To by oznaczało wyjście poza osłony, poruszanie się w ciemnościach między domami...

Nie. Nie można do tego dopuścić. Właśnie tego pragnął smok,

Ale jak zdobył dziecko? Jak przedostał się przez wszystkie osłony i agentów obserwujących dom?

To nieistotne. Teraz musiała się tym zająć.

- Brett? Nie mów Ilianie.

- Co? Ale muszę.

- Nie, nie musisz. Ja rozmawiam z panią.. z ciocią Anną. Jestem jej siostrzenicą, pamiętasz? I mam pomysł, gdzie mogło pójść dziecko. Myślę, że jest bezpieczne, ale muszę jej powiedzieć, gdzie ma szukać.

Brett gapił się na nią.

- Masz jakiś pomysł?

- Tak. Muszę z nią tylko porozmawiać. Nie mów na razie nic Ilianie. - Keller spojrzała w stronę baru. Wyglądał zupełnie jak angielski pub. Stał tam telefon, ale jakaś rudowłosa dziewczyna prowadziła przez niego ożywioną rozmowę, pogryzając orzeszki.

- To druga linia, telefon Jaime - wyjaśnił Brett. - Powiedziała, że najpierw zadzwoniła na tę, ale było zajęte.

- Dobra, to gdzie można w spokoju porozmawiać?

- W pokoju Jaime.

Keller, patrząc na Ilianę, zawahała się. Dziewczyna stała między Winnie i Jaime. Były w centrum zainteresowania. Ludzie otaczali je ze wszystkich stron.

Przynajmniej była na widoku. I gdyby ktoś chciał do niej dotrzeć, musiałby przedrzeć się przez ten cały tłum, a to na pewno zaalarmowałyby Winnie.

Chciałabym, żeby Nissa i Galen zajęli moje miejsce.

Spojrzała na zegarek. Mieli się zjawić w sali dopiero za kwadrans. Dziecko nie mogło tyle czekać.

Przepchnęła się przez tłum i dotknęła ramienia Winnie.

- **Muszę na moment odejść; telefon. Na razie nie ma się czym martwić. Będę się spieszyć** - wyszeptała jej do ucha.

Winnie spojrzała na nią zaskoczona, ale tylko skinęła głową.

- **Kłopoty?**

- **Może. Bądź czujna.** - Keller uśmiechnęła się do Iliany. Kiedy wydostała się z tłumy, zwróciła się do Bretta:

- **Zabierz mnie na górę.**

Tak naprawdę wiedziała, gdzie znajduje się sypialnia Jaime. Ale nie chciała, żeby Brett zbliżał się do Iliany. Sam widok jego twarzy wszystko by zdradził.

Pobiegli szerokimi schodami. Umysł Keller gorączkowo szukał rozwiązania.

Muszę ją przynajmniej uspokoić. Potem zadzwonię do Kręgu Świtu, o ile jeszcze nie wiedzą. Lepiej nadają się do szukania dziecka niż ludzie. Iliana nie musi o tym w ogóle wiedzieć, aż do końca ceremonii. A potem...

Jej myśli zamarły, a żołądek skręcił się w supeł.

Nie. To nie wystarczy. Wiedziała, co tak naprawdę musi zrobić.

Muszę tam wrócić, tylko ja. Przynajmniej tyle jestem Ilianie winna. Całej jej rodzinie.

Najlepiej nadają się do szukania. Mogę szybko pojechać do domu i zobaczyć, co się dzieje. Pożyczę samochód od Bretta. W ten sposób, kiedy zaatakuje smok, a zaatakuje, na pewno będę tam tylko ja.

Tylko ty zginiesz, odezwał się w jej głowie cichy głos, ale go zignorowała.

Już wcześniej o tym wiedziała. To nie było ważne..

Oddasz życie za dziecko? Zrobisz to dla kogoś, kto nie jest Pierwotną Mocą? Nie jest nawet zmiennokształtnym.

Przynajmniej jeszcze raz zmierzę się ze smokiem, odpowiedziała głosowi.

Zaryzykujesz powodzenie misji dnia dla jednego stworzenia? - kontynuował głos.

To już lepszy argument. Ale Keller miała na to tylko jedną odpowiedź.

Muszę.

- **To tu.** - Brett wskazał drzwi do pokoju, po czym za nią wszedł. - **Mogę ci pomóc?** - Opanowywał już strach i chciał jej się przypodobać.

- **Nie.**

- **No cóż. To zostawię cię samą.** - Wyślizgnął się z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

A Keller mu pozwoliła. Później nie mogła uwierzyć, że była na tyle głupia i dała się wciągnąć w pułapkę. Podniosła słuchawkę.

- **Pani Dominick?** Cisza.

W pierwszej chwili myślała, że może matka Diany odeszła od telefonu, ale w końcu uświadomiła sobie, co to za cisza. Nie było słyhać żadnych odgłosów w tle. Cisza w eterze. Keller uderzyła w widełki, aby się rozłączyć. Nic. Nie było sygnału.

Spojrzała na kabel telefoniczny. Był podłączony do ściany. Znów uderzyła kilkakrotnie w widełki. W końcu zrozumiała. Dała się wyrolować.

Jednym ruchem odwróciła się i rzuciła w stronę drzwi. Ale bezradnie nacisnęła kłamekę...

Były zamknięte.

A były to solidne drzwi, zrobione z drewna, pamiętające stare czasy. Odkryła to, gdy próbowała je wyważyć, uderzając w nie całym ciałem, aż posiniaczyła sobie ramię. Ani drgnęły, a zamek też był solidny.

Ogarnęła ją furia. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak wściekła. Nie mogła w to uwierzyć - dała się podejść zwykłemu ludzkiemu idiocie. Najwyraźniej istoty nocy jakoś do niego dotarły, przekupiły go...

Nie.

Keller zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest geniuszem. Ale czasami miała przebłyski, które dawały jej pełny obraz sytuacji, podczas gdy inni widzieli tylko fragmenty. I właśnie teraz zrozumiała.

O bogini, jak mogliśmy być tacy głupi?

Wiedziała, jak smok to zrobił.

Rozdział 16

Bylismy tacy ostrożni, pomyślała. *Nałożyliśmy osłony trzy dni wcześniej, kazaaliśmy agentom pilnować domu. W tym czasie nic się nie dostało do środka. Byliśmy tego pewni. I dlatego zdawało nam się, że jesteśmy bezpieczni.*

Ale nie przemyśleliśmy tego. A jeśli smok był już w środku, kiedy nakładaliśmy osłony? Brett.

To on jest smokiem.

Może przybrać dowolny kształt, przyjmując jakąkolwiek zwierzęcą formę i pozyskać wiedzę swojej ofiary.

Mógł przecież dotknąć człowieka i wydobyć z niego całą wiedzę.

To byłoby doskonałe przebranie.

I wszyscy daliśmy się nabrać, pomyślała Keller. Wiedziała, że coś jest z nim nie tak, ale uznałam, że jest po prostu ohydny. A on tu był cały czas, wewnątrz osłon, śmiał się z nas i czekał na przybycie Iliany.

A teraz jest z Ilianą.

Keller była tego pewna.

Znów chciała się rzucić na drzwi, ale wiedziała, że to nic nie da. Musiała się uspokoić, pomyśleć, bo nie mogła już sobie pozwolić na stratę czasu.

Okno.

Spróbowała je otworzyć, patrząc w dół na żywopłot z rododendronów. Było zablokowane, przybite gwoździami. Ale to nic. Szkło tłukło się łatwiej niż drewno.

Odsunęła się kilka kroków i zmieniła kształt.

Roztopiała się, była płynna, kombinezon zamienił się w futro. Uwolniony ogon uderzał po bokach. Uszy, wąsy. Ciężkie łapy opadły na podłogę. Przeciągnęła się, żeby przyzwyczaić się do nowego ciała i stania na czterech, a nie dwóch nogach.

Była panterą i czuła się z tym doskonale. Silna i zła. Pod miękkim futrem miała mięśnie ze stali, a wielkie łapy aż świerzbiły, gotowe do walki. Smok pożałuje, że w ogóle z nią zadzierzał.

Z ochryplym warknięciem, którego nie udało jej się powstrzymać, zebrała się w sobie i skoczyła prosto w okno. Pod ciężarem ciała pantery szkło pękło i poczuła, jak leci przez zimne nocne powietrze.

Poharatała się. W porównaniu z innymi zwierzętami, pantery mają cienką i delikatną skórę. Ale była odporna na ból. Wylądowała i ruszyła biegiem, otrzepując z łap drobinki szkła.

Obiegła pałac, szukając drogi do środka. W końcu znalazła niskie nieokrąglone okienko.

Znów zebrała się w sobie i skoczyła.

Wylądowała w pokoju dziennym wśród odłamków szkła opadających na piękny stary dywan. Brett i Iliana. Wywacha ich.

Uniosła pysk w poszukiwaniu znajomych zapachów. W tym samym czasie wyteżyła maksymalnie słuch.

Nie ma Iliany. W ogóle jej nie czuła. To niedobrze, ale postanowiła spróbować jeszcze raz w sali gier, gdzie ostatni raz widziała Iliane. Tam był Brett.

Nie, to nie jest Brett, upomniała się, pokonując wielkimi susami kolejne korytarze i pokoje.

Smok.

Przebiegła przez salę balową i usłyszała krzyk. Odwróciła tylko głowę, żeby zobaczyć zamarałą z przerażenia dziewczynę, która właśnie unosiła rękę, żeby ją wskazać. Kapela umilkła i tylko perkusista grał jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami.

Keller nie zwracała na nich uwagi, biegła najszybciej jak mogła, skacząc w dół schodów. Jej ciężkie przednie łapy uderzały o podłogę zasłaną dywanami. Każdy skok popychał ją ku następnemu.

Wpadła do sali gier.

Przez moment stała nieruchomo, orientując się w sytuacji. Jej wzrok miał potwierdzić to, co mówiły uszy i nos - że Iliany tu nie ma.

I była to prawda. Nie było też Winnie, a Keller nie mogła ich nigdzie wyczuć.

W końcu ktoś ją zauważył - dorosłą panterę, czarną jak noc, z błyszczącymi oczami i ostrymi zębami, które było widać, gdy dyszała lekko. Stała w wejściowych drzwiach, a ogon uderzał na boki.

- **O Boże!** - Krzyk wzbił się ponad gwar głosów. - **Patrzcie tam!**

Wszyscy spojrzeli. Zamarli. Na moment. Wybuchł chaos.

Słysząc było tylko piski i krzyki. Na widok pantery wszyscy rzucili się do wyjść, szukając schronienia. Wysypali się z sali, ciągnąc się wzajemnie, czasem tratując. Keller wydała potężny ryk, żeby im pomóc. Uciekali jak kurczaki.

Ale ją interesował tylko Brett-smok.

Odwrócił się i pobiegł w głąb korytarza.

Chciał ją zwabić w pułapkę? Na pewno. Może nie wiedział, że już się zorientowała. Może miał jakieś powody, żeby dalej się ukrywać.

Poderwała głowę do góry i zaryczała tak, że dało się ją słyszeć w całym domu. To nie był tylko gniew. Wzywała Nissę i Galena. Jeśli ją usłyszą, zrozumieją i natychmiast przybiegną.

A potem pognąła za smokiem.

Biegąc, znów się przemieniła. Musiała być w stanie mówić. Ale potrzebowała też pazurów, więc zmieniła się w swoją połowiczną formę. Z jej ramion zniknęło futro, biegła na dwóch obutych nogach, a za nią powiewała burza włosów.

Przewróciła go i potoczyła się z nim po ziemi. Usiadła na nim okrakiem. Przygotowała się na ból wywołany atakiem ciemnej mocy, ale ten nie nadszedł. Przygniotła mu ręce do podłogi, pokazała kły i wykrzyczała mu w twarz:

- **Gdzie ona jest? Co z nią zrobisz?**

Chłopak spojrział na nią. Wyglądał dokładnie jak Brett, jak człowiek. Miał niezdrowo białą twarz, przewracał oczami, a w kącikach ust pianę. W odpowiedzi tylko wyjęczał coś przerażony.

- **Mów! Gdzie ona jest?**

- **To nie moja wina...**

- **Co?** - Uniosła jego ciało i uderzyła nim o ziemię. Głowa chłopaka opadła na bok jak martwa ryba. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

Coś było nie tak.

- **Jest w sypialni z moimi rodzicami. Oni śpią... Chyba...** Jego czoło. Kiedy nim potrząsała, włosy rozsypały się na boki. Były wyjątkowo potargane, ale czoło pod nimi było gładkie.

- **Nic nie mogłem na to poradzić. On zrobił coś z moim mózgiem. Nie mogłem nawet myśleć, przeszło mi dopiero przed chwilą. Robiłem tylko to, co mi kazał. Byłem jak robot! I nie wiesz, jak to jest, mieć go w domu przez trzy dni, czuć się jak marionetka, a kiedy wreszcie mnie puścił, myślałem, że zginę...**

Paplał coś dalej, ale Keller go nie słuchała. Gorączkowo myślała.

Smoki mogą kontrolować umysły, w każdym razie słabe umysły Judzkie.

Nissa miała rację - świat nocy wiedział, co się wydarzyło w sali muzycznej. Czyli zamiana musiała nastąpić zaraz potem. Mogli dopaść Jaime, jak wracała na lekcje.

Wypadek z samochodem miał w nas wywołać współczucie i uśpić podejrzenia, jeszcze zanim się pojawiły. Uznaliśmy ją za ofiarę.

Czyli lekarze w szpitalu też musieli być pod kontrolą. Bez dwóch zdań, w końcu ją badali.

A jej bóle głowy sprawiły, że przez ostatnie trzy dni siedziała w domu i nie musiała przekraczać osłon.

Iliana jej wierzy bezgranicznie i pójdzie za nią wszędzie bez protestów.

Jaime ma grzywkę.

Jaime jest smokiem.

Keller ogarnął bezkresny spokój. Bardzo powoli spojrzała na Brettę.

- **Przestań gadać** - syknęła, a jego mamrotanie natychmiast ucichło. - **Dobra. Kto jest jeszcze w sypialni? Twoja siostra?**

Kiwnął głową, przerażony. Łzy popłynęły mu z oczu.

- **Twoja prawdziwa siostra?** Znów skinął głową.

Musieli ją tam ukryć, pomyślała Keller. Zanim nałożyliśmy osłony i zaczęliśmy sprawdzać samochody.

Może nawet zanim podstawiona Jaime wróciła ze szpitala.

Ale czemu zachowali ją przy życiu? Nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

- **Brett** - szepnęła. - **Muszę wiedzieć, gdzie jest Iliana. Wiesz, gdzie ją zabrali?** Zakaszła.

- **Nie wiem. On mi nic nie mówił. Nawet jak był w mojej głowie. Ale zauważyłem, że w piwnicy byli jacyś ludzie. Myślę, że kopali tunel.**

Tunel. No tak, pod osłonami. Czyli dwa razy wystrychnęli nas na dudka.

Musiała zacisnąć zęby, żeby nie zacząć krzyżeć. Plan domu rozmazał jej się w pamięci.

Podniosła Brettę za koszulę i powiedziała:

- **Gdzie jest wejście do piwnicy? Pokaż mi!**

- **Ja... n... nie mogę...**

- **Już!**

Ruszył chwiejnie. Szła za nim, popychając go, aż dotarli do schodów. Tam upadł.

- **Na dole. Nie każ mi tam iść. Nie mogę. Nie mogę znów na niego spojrzeć.** - Skulił się i zaczął kołysać w przód i w tył.

Keller zostawiła go. Ale po trzech krokach zawróciła i złapała go za koszulę.

- **A ten telefon od matki Iliany? Czy on naprawdę ma dziecko?** - Musiała wiedzieć, gdyby doszło do negocjacji.

- **Nie wiem** - jęknął Brett. Ścisnął się za brzuch, jakby był ranny. - **Nie było żadnego telefonu, ale nie wiem, co robił.** - Spojrzał na nią przerażony i wyszeptał przez ściśnięte gardło - **Czym on jest?**

Keller puściła go.

- **Nie chcesz wiedzieć** - powiedziała i pobiegła. Pokonywała schody bardzo cicho, ale też bardzo szybko.

Miała wyostrzone wszystkie zmysły, ale z każdym krokiem stawały się mniej przydatne. Blokował je wszechogarniający słodkawy, mdły zapach i szum, który zdawał się wypełniać jej głowę.

Nim dotarła do ostatniego stopnia, jej futro było zjeżone, a serce waliło jak oszalałe. Ogon stał sztywno i źrenice były rozszerzone.

Wszędzie było ciemno, ale rozróżniała detale. Jej oczom ukazała się duża, umeblowana sutelna, a raczej to, co z niej zostało. Teraz wszystkie meble były połamane i zwalone na stertę w kącie. W betonowym murze ziała dziura, a za nią ciągnął się czarny tunel. Odór pochodził ze sterty łajna.

Leżały wszędzie na zrytej pazurami kafelkowej podłodze. Całe pomieszczenie przypominało wielką zwierzęcą norę.

Nie wyczuwała żadnego ruchu.

Podeszła do tunelu, szybko, ale ostrożnie. Krok, bezruch, krok, bezruch. W ten sposób lamparty przemykały niezauważone przez sawanny, gdzie nie było się za czym ukryć. Nic jej nie atakowało.

Wejście do tunelu było mokre, ziemia się osuwała. Keller ostrożnie weszła do środka. Z płataniny korzeni i gleby kapiała na nią woda. Całość wyglądała tak, jakby zaraz miała się zawalić.

To on musiał to wykopać. Smok, Bogini wie jak... Może pazurami. Ale najwyraźniej bardzo się nie starał, to miała być prowizorka.

Odór był tu równie mocny, co w piwnicy, a szum jeszcze wyraźniejszy. Gdzieś tu musiał płynąć podziemny strumień, a może po prostu rury z wodą.

Rusz się, dziewczyno, na co czekasz? Jesteś żołnierzem, musisz działać! Nie stój tak i nie próbuj myśleć!

Trudno było jej się zmusić do wchodzenia coraz dalej i dalej w głąb tej mokrej, zamkniętej przestrzeni. Jej zmysły nie zdały tu egzaminu. Jama była tak poskręcana, że widać było tylko na kilka metrów. W każdej chwili mogła natrafić na boczny tunel, z którego mogło coś ją atakować.

A świadomość, że nad nią znajduje się tyle ziemi, wręcz ją przygniatała.

Ale szła dalej.

Proszę, niech ona będzie żywa. On nie musi jej zabijać. Może spróbować ją najpierw przeciągnąć na swoją stronę. Proszę, proszę, niech jej nie zabija.

Wreszcie, jakieś lata świetlne później, zauważyła, że kąt, pod jakim idzie, zmienia się. Tunel się wznosił. Owiało ją świeże powietrze, prawie niewyczuwalne przez intensywny smród smoka.

Nocne powietrze. Gdzieś z przodu. Koniec tunelu.

Ogarnęła ją nowa panika.

Proszę, niech oni tam będą.

Przestała uważać i ruszyła biegiem.

W górę, w górę, teraz czuła już zupełnie wyraźnie. Zimne powietrze, czyste. W górę, słyszała głosy. Krzyk, który nagle ucichł. Głos, który brzmiał jak...

Galen! - pomyślała. Serce jej krwawiło. W końcu zobaczyła światło. Księżyc. Napięła mięśnie i skoczyła!

Wyrzebała się z tunelu.

A tam, w świetle księżyca, które raniło jej oczy, zobaczyła wszystko.

Samochód, czarny jeep, zaparkowany pod drzewem. Z włączonym silnikiem, ale pusty. A przed nim coś, co wyglądało jak pobojuwisko.

Wszędzie leżały ciała. Kilka wampirów w czerni - ciemni ninja. Ale też ciała Nissy, Winnie i Galena.

A więc poszli za nim, pomyślała, gotowa do bitwy. *Poszli za smokiem - jak odciągnął Ilianę od Winnie? To dlatego nie mogłam nikogo wyczuć. Weszli do tunelu, kiedy byłam na górze z Brettem.*

Nie wiedziała, czy są martwi. Wszyscy leżeli nieruchomo, Winnie miała zakrwawioną głowę, a Nissa prawe ramię i plecy pokryte śladami pazurów.

A Galen? Leżał z rozrzuconymi rękami i chyba nie oddychał. Nie był nawet wojownikiem.

Nie miał szans.

I wtedy Keller zobaczyła coś, co odciągnęło jej uwagę od pozostałych.

Smoka.

Stał obok jeepa, odwrócił się do niej. Pod pachą trzymał bezwładne ciało w srebrnobiałym stroju.

I nadal wyglądał jak Jaime Ashton-Hughes.

Miał na sobie jej piękną sukienkę. Włosy owiewały mu twarz. Keller czuła, jak ciemnoniebieskie oczy się w nią wpatrują.

Ale były też różnice. Miał śmiertelnie bladą skórę, a z rozcięcia na policzku wypływało coś żółtego. Uśmiechał się szyderczo, szczerząc zęby w sposób, jakiego nigdy nie zrobiłaby Jaime.

A kiedy podmuchał wiatru rozwiął mu włosy z czoła, Keller zobaczyła rogi.

Były tam. Krótkie, z wyglądu miękkie - przynajmniej z wierzchu, jak pokryta meszkiem kość.

Były prawdziwe i groteskowe zarazem.

I było ich pięć.

Pięć!

Zwój mówił, że od jednego do trzech! - z oburzeniem pomyślała Keller. *A czasem czterech. Ale to coś ma pięć! Pięć skupisk mocy, nie wspominając o ciemnej energii, umiejętności kontroli umysłu i wszystkich innych, które zachował specjalnie dla mnie.*

Już nie żyję.

Cóż, oczywiście wiedziała od tym od początku. Wiedziała, od kiedy sześć dni temu po raz pierwszy skoczyła na plecy smoka w tamtym centrum handlowym. Ale teraz ta świadomość była zdecydowanie bardziej gorzka. Bo zginie nie tylko ona, ale i cała nadzieja.

Nie dam rady. To mnie zabije. A potem zabierze Ilianę.

Nieważne. Musiała spróbować.

- **Odlóż dziewczynę** - rzuciła ostro. Może go zaskoczy, zmieniając się podczas skoku.

- **Nie sądzę** - odpowiedział smok ustami Jaime. Doskonale naśladował jej głos. Ale potem otworzył usta i wydobył się z nich basowy śmiech, tak niski i przerażający, że Keller zadrżała.

- **No chodź** - powiedziała. - **Żadne z nas nie chce, żeby stała się jej krzywdą.**

Kiedy to mówiła, powoli go okrążała, starając się zająć go od tyłu. Ale on obracał się wraz z nią.

- **Może ty nie** - odezwał się. - **Ale mnie nie zależy. I tak jest już ranna. Nie wiem, czy przeżyje.** - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- **Odlóż ją** - powtórzyła Keller. Wiedziała, że tego nie zrobi. Ale musiała do niego mówić, osłabić jego czujność.

Wiedziała też, że nie da się zaskoczyć. Pantery zwykle atakowały od tyłu. Ale tym razem nie było to możliwe.

Keller przeniosła wzrok na wielką, starą sosnę, pod którą zaparkowany był jeep. A raczej nie spozjrzała w tamtą stronę, tylko rozszerzyła swoją świadomość, by ją dojrzeć.

To była jej szansa.

- Nawet się porządnie nie przedstawiliśmy... - zaczęła. I wtedy, w pół zdania, skoczyła.

Rozdział 17

Nie na smoka. Skoczyła na drzewo. To była, wysoka sosna. Jej gałęzie sprawiały wrażenie, że nie utrzymają nawet kotka. Ale Keller nie potrzebowała podparcia. Podczas skoku zaczęła się zmieniać. Wbiła się w pień wszystkimi czterema łapami.

I pobiegła wprost w górę. Jej pazury wbijały się w gładką powierzchnię koloru cynamonu.

Pędziła jak rakieta. Kiedy zasłoniły ją szarozielone igły, znów wzbiła się w powietrze.

To był desperacki skok, postawiła wszystko na jedną kartę. Ale nic innego nie mogła wymyślić. Nie miała szans ze smokiem w otwartej walce. Liczyła na swoje pazury.

Na wolności pantera potrafiła jednym ciosem ukrećić głowę jeleniowi.

Keller celowała w rogi.

Spadła dokładnie na cel. Smok popełnił błąd, spoglądając w górę. Może myślał, że Keller chce go zająć od tyłu, rzucić mu się na plecy i zabić. A może uznał, że jak zobaczy bladą twarz niewinnej dziewczyny, to się zawaha.

Cokolwiek to było, mylił się.

Spadając na niego, Keller się zamachnęła. Jeden śmiertelny atak, w który włożyła całą swoją siłę. Jej pazury rozorały czoło potwora, rozpryskując wokół krew i fragmenty tkanki. Przeszywający ryk prawie rozdarł jej bębenki. To był ten sam dźwięk, który słyszała wtedy w centrum handlowym. Tak głęboki, że bardziej go czuła, niż słyszała. Wstrząsnął nią, rozbrzmiewał w każdym drzewie i w czerwonej glinie pokrywającej ziemię.

I to był drugi błąd smoka, chociaż Keller nie od razu zrozumiała.

W momencie, kiedy usłyszała ryk, poczuła też ból. Ciemna moc uderzyła ją jak batem i wyrwała z jej gardła krzyk. To było gorsze niż za pierwszym razem. Dziesięć razy gorsze, a może nawet bardziej. Smok był znacznie silniejszy.

I szedł za nią.

Wystrzelił na nią, gdy tylko dotknęła ziemi. Uderzył ją znowu i Keller znów krzyknęła. To bolało!

Próbowała się odczołgać, ale ból ją osłabił i przewróciła się na bok. A wtedy czarna energia uderzyła w jej prawy bark, w tym samym miejscu, gdzie wtedy, w sklepie.

Keller ujrzała białe światło.

A potem zapadła w ciemność.

Jej ostatnią myślą było: *nie dosięgłam go. Nie udało się. Nadał mi moc.*

Iliano, przepraszam.

A potem przestała czuć cokolwiek.

Otworzyła powoli oczy.

Boli...

Spoznęła na smoka.

Upuścił Ilianę. Keller nie widziała, gdzie. Wpatrywał się teraz w panterę z furją, najwyraźniej czekając, żeby się ocknęła, by czuć, jak ją zabija.

Znów przybrał kształt, który miał na samym początku. Młodego mężczyzny o eleganckich rysach i ładnie umięśnionym ciele. Czarne włosy w świetle księżyca mieniły się kolorami tęczy i wyglądały równie pięknie i miękko, jak jej futro. I te obsydianowe oczy.

Trudno było odwrócić od nich wzrok. Zdawały się ją pochłaniać. Bardziej przypominały kamienie niż oczy. Srebrnoczarne, lśniące kamienie, które odbijały całe światło.

Ale kiedy spojrzała uważniej, przeszedł ją dreszcz nadziei. Smok miał zmasakrowane czoło. Trafila go. Jej cios zerwał mu z czoła kawał mięsa wielkości hamburgera. Gdzieś tam na ziemi leżały dwa małe rogi.

Ale tylko dwa. Na głowie nadal pozostawały trzy. W ostatniej chwili musiał się odwrócić. Gdyby miała w tym momencie ludzkie gardło, zakłęłaby.

- **Jak się czujesz?** - zapytał smok.

Keller próbowała na niego zawarczeć, ale zorientowała się, że ma ludzkie gardło. Najwyraźniej upadając, wróciła do swojej połowicznej formy, a teraz była zbyt słaba, żeby znów się przeobrazić.

- **Jakieś problemy?** - odezwał się smok. Keller wycharczała:

- **Nie powinieneś być wracać.**

- **Ależ skąd** - odpowiedział. - **Podoba mi się współczesny świat.**

- **Trzeba było dalej spać. Kto cię obudził?** - Chciała zyskać na czasie i odzyskać siły.

Poza tym naprawdę była ciekawa,

Smok się zaśmiał.

- **Ktoś** - powiedział. - **Ktoś, kogo nigdy nie poznasz, Czarownica, która nie jest czarownicą. Zawiazaliśmy przymierze.**

Keller nie wiedziała, o co mu chodzi, myśli się jej plątały. Ale w tym momencie zauważyła coś innego.

Za smokiem ktoś się poruszył. Ciała, które leżały na ziemi, poruszały się. I to ostrożnie, a to znaczy, że były przytomna i wiedziały, co robią.

Oni żyli! Widziała, jak Galen podnosi głowę i patrzy na nią w świetle księżyca. Widziała, jak Winnie zaczęła czołgać w stronę Iliany. Widziała, jak Nissa uniosła na moment ramiona.

Później, zapytani, odpowiedzieli, że wszystkim to samo przywróciło świadomość - głębokie dudnienie, które wprawilo w drganie ich ciała. Ryk smoka.

A przynajmniej tak twierdziła trójka z nich. Galen zawsze powtarzał, że gdy tylko usłyszał krzyk Keller, otworzył oczy,

Przyływ nadziei sprawił, że serce Keller zaczęło bić szybciej, a ból zniknął. Ale bała się, że zdradzi się przed smokiem.

Nie miała odwagi patrzeć dłużej na Gałena. Spojrzała w ciemne oczy smoka i z całą mocą pomyślała:

Wynoś się! Wynoś się, weź jeepa i Ilianę. Może nie będzie was ścigać. Uciekaj!

- **Twój czas się skończył** - zwróciła się na głos do smoka - **Zmieniokształtni już cię nie chcą. Wszystko się zmieniło,**

- **I znów się zmienia** - odpowiedział smok. - **Nadchodzi koniec świata. I początek nowego. Czas, żeby wszystko, co spało, się obudziło.**

Keller miała upiorną wizję setek wykopywanych i przywracanych do życia smoków. Ale tutaj działo się coś jeszcze bardziej przerażającego.

Galen nie uciekał. Czołgał się w jej stronę.

A Winnie, idiotka, była teraz obok Iliany, ale nie ciągnęła jej do jeepa. Zdawała się coś do niej szeptać.

Keller poczuła gorącą falę desperacji.

Co mam robić?

Jeśli smok ich zobaczy, to zginą. Żadne z nich nie może mu się przeciwstawić. Galen nie jest wojownikiem i nie umie się zmieniać. Nissa z powodu ran nie może się ruszyć. Pomarańczowa energia Winnie nawet nie zadraśnie smoka. A Ilianę zmiecie z powierzchni ziemi jak motyla.

Oni nie mogą nic zrobić. Ale ja muszę.

Była zmęczona i ranna, a jej pazury były dużo mniej groźne w tej postaci. Ale musiała to zrobić i to natychmiast.

- **Wracaj, skąd przybyłeś!** - krzyknęła. Napięła mięśnie i skoczyła.

Prosto na niego. To właśnie go zaskoczyło, ten szalony atak. Uderzył w nią ciemną energią, ale nie mógł powstrzymać ataku.

Jej pazury znów zagłębiły się w smocze czoło, a potem opadła na ziemię.

Wrzask smoka przeszył powietrze. Prawie nieprzytomna z bólu i szoku Keller wpatrzyła się w niego w rozpaczliwej nadziei.

Ale zerwała mu tylko jeden róg. Nadal na czole tkwiły jeszcze dwa.

Rzucił się w ślepej furii, po czym znów uderzył ją czarną energią. Keller zadrżała i straciła równowagę. Upadła na ziemię i leżała, nieruchomo.

Keller! Krzyk był tak przepełniony cierpieniem, że aż ścisnął Keller za gardło. Sprawił, że jej serce zabiło mocniej, a potem zamarło z rozpaczy.

Nie. Pomyślała. **Nie przejmuj się mną. Musisz zabrać stąd Ilianę.**

Keller! Znów krzyknął, a potem był już przy niej.

- **Nie...** - wyszeptała.

Nie mogła powiedzieć nic więcej. Spojrzała na niego prosząco. Jeśli i on zginie, to jej śmierć będzie bezsensowna.

Smok nadal wył z bólu, przyciskając do czoła obie dłonie. Zdawał się zbyt wściekły, by zaatakować.

- **Keller, trzymaj się, proszę. Musisz wytrzymać.** - Łzy Galena kapały jej na twarz.

- **Uciekaj...** - wyszeptała.

Zamiast tego zrobił najbardziej rycerską rzecz, jaką w życiu widziała.

Już wcześniej trzymał ją w objęciach, trzęsącą ręką odgarniając jej włosy z twarzy i głaszcząc kudłate ucho. Teraz nagle złapał ją mocno, a jego wyraz twarzy zmienił się.

Zacisnął szczękę, aż wokół ust pojawiła się biała linia. A jego oczy... zdawały się ciemnieć i błyszczeć na czerwono.

Keller za późno uświadomiła sobie, co się dzieje.

Przybierał jej formę. Uczył się jej kształtu.

Nie. Miałeś być czymś łagodnym.

Galen wstał.

Zmienił się.

Ale coś poszło nie tak. Może dlatego, że ucząc się kształtu, musiał się spieszyć, a może z powodu jakiegoś genu. Bo zamiast stać się panterą czarną jak smoła, przemienił się w lśniącego złotego lamparta.

To samo zwierzę. Inne kolory. Jego futro miało barwę ciemnego złota, takiego samego jak włosy Galena. A oczy niesamowicie zielone.

Sierść była nakrapiana czarnymi rozetkami ze złotym wnętrzem. Miał kształtne, giętkie ciało. Wraz z ogonem mierzył prawie dwa metry. Był naprawdę dużym lampartem, co najmniej siedemdziesięciokilogramowym.

I nim Keller zdołała cokolwiek pomyśleć, był już w ruchu.

Dobry skok. Niewyuczony, ale pełen instynktu zabójcy. Charkotliwy ryk, jaki wydał w czasie skoku, był z rodzaju tych, jakie wydają koty, kiedy są zbyt wściekłe, by się pohamować.

Smok odwrócił się do niego. Ale za późno. Znow zaatakował potężną ciemną energią, ale nie mógł zatrzymać uderzenia. Ludzkie ciało smoka nie mogło odeprzeć ataku siedemdziesięciu kilogramów kocich mięśni.

Keller ujrzała, jak Galen się zamachnął.

Smok zawył, przyciskając rękę do głowy.

A Keller chciała skakać z radości.

Nie mogła. Nie miała dość siły. Ale jej serce śpiewało z czystej dumy.

Udało ci się. Och, mój książę, udało ci się.

Zobaczyła, jak jego ciało pada, trafione czarną energią. Uderzyło o ziemię i znieruchomiało.

Było jej przykro, że oboje umrą. Ale skoro smok zginął, a Iliana żyje, to wciąż jest nadzieja. I znajdują się nowi ludzie, którzy się tym zajmą.

A potem spojrziała na smoka. Czas się zatrzymał. Serce jej zamarło.

Wciąż pozostał mu jeden róg. Ten na samym środku.

Jednak się nie udało.

Nadal miał moc. A teraz ich zabije, Ilianę też. I ani ona, ani Galen nie są w stanie temu zapobiec.

Odgłosy, które wydawał smok, były nie do opisania. Zdawał się tracić rozum z bólu i wściekłości. I wtedy Keller zorientowała się, że nie tylko o to chodziło. Dyszał żądzą mordy. I się zmieniał.

Jakie to dziwne, ale w ogóle nie pomyślała o tym, że smok mógłby zmienić kształt. Ale pokona też inne zwierzęta. Wiedziała, że nosorożca trzeba atakować w miejscu, gdzie głowa łączy się z szyją, a lwa w brzuch.

Ale to... W co on się zmieniał...

Nie.

Nie wierzę, pomyślała Keller.

To bardziej wyglądało na wykluwającą się ćmę niż przemianę zmiennokształtnego. Rozerwał ludzką skórę jak poczwarkę. Z rozcięć wypłynął taki sam żółtawy płyn, jak ten, który widziała wcześniej na policzku Jaime. A to, co pojawiło się pod spodem, było twarde, zielono-żółte, płaskie i gładkie.

Pokryte łuskami.

I śmierdziało tak samo jak w piwnicy. Mdlawosłodki, gryzący odór, który wykręcał żołądek na lewą stronę.

Potężne czarne nogi ugięły się i olbrzymia postać podniosła się i stanęła na tle rozświetlonego księżycem nieba.

Był ogromny.

Keller przypomniała sobie scenę z przeszłości. Ilianę, patrzącą na nią wielkimi fiołkowymi oczami, pytającą: „**Może zmieniać się w smoka?**” I jej pogardliwą odpowiedź: „**Oczywiście, że nie. Nie wygłupiaj się!**”

Błąd, pomyślała Keller.

Tak naprawdę bardziej przypominał dinozaura niż smoka. Był za duży - miał ponad cztery i pół metra długości, jeśli wliczyć potężny ogon, gadzi pysk, z błyskiem obcej inteligencji w oczach i pazury na tylnych łapach, przypominające szable.

To nie jest bezmyślne zwierzę, pomyślała Keller. Jest sprytny. Przednie łapy były zakończone palcami. Tu ewolucja poszła w innym kierunku.

I ma moc. Może nawet więcej w tej formie niż w ludzkiej.

Keller czuła jego umysł nawet z tej odległości i pradawny, nieskończony głód krwi.

Otworzył paszczę i przez moment Keller spodziewała się, że zionie ogniem. Ale zamiast tego wydał ryk, pokazując olbrzymie, ostre zęby i potok czarnej energii. Ciemna moc oblewała go niczym aura.

Żaden zmiennokształtny, czarownica czy wampir nie mógł się przeciwstawić temu stworzeniu. Keller była o tym przekonana.

I wtedy zobaczyła, że Iliana się podnosi.

Ty idiotko, leż! - pomyślała Keller.

Dziewczyna się wyprostowała.

To nie ma sensu, nie skupiaj na sobie jego uwagi...

- **Azhdeho!** - krzyknęła Iliana.

I potwór się odwrócił.

I oto stali, panna i smok, twarzą w twarz. Przy tym olbrzymie Iliana zdawała się dwa razy mniejsza niż w rzeczywistości. Jej włosy powiewały na wietrze, a suknia lśniła. Była taka delikatna i pełna wdzięku - i taka krucha. Stała jak lilia drżąca na swojej łądźce.

Nie mogę patrzeć, pomyślała Keller. *Nie chcę tego widzieć... Proszę...*

- **Azhdeho!** - odezwała się Iliana, a jej głos był słodki, ale grzmiący i stanowczy. - **Hashtehher! Tiamat!**

To czar, pomyślała Keller. *Winnie nauczyła ją czaru? Wtedy, kiedy szeptały do siebie na ziemi? Ale jakby czar przeciw smokom mogła znać Winnie?*

- **Jadowita żmija! Zimnokrwisty kaszczu! Rastabanie! Anguisie!**

Nie, to są imiona, uświadomiła sobie w końcu Keller. *Jego imiona. Smocze imiona. Dawne imiona.*

- **Jestem czarownicą i córką czarownicy. To moja ręka odebrano ci moc. To moja ręka pochowano cię w ciszy. Hekate była moja najstarszą matką. Ręka Hekate to teraz moja ręka.**

Winnie nie mogła jej tego nauczyć. Nikt nie mógł jej tego nauczyć. Żadna z żyjących obecnie czarownic.

Keller widziała, jak Winnie zadziwiona patrzy na Ilianę, a jej oczy i usta są szeroko otwarte z zaskoczenia.

- **I to moja ręka odsyłam cię z powrotem!**

Iliana zbliżyła dłonie, a między nimi pojawiło się pomarańczowe światło.

Serce Keller zadrżało z rozpacz.

Złotopomarańczowy ogień. Ogień czarownic. Robił wrażenie u dziewczyny, która nigdy nie przechodziła szkolenia, ale nie był dość mocny. Był dla smoka równie groźny, jak robaczek świętojański.

Usłyszała w ciszy głos Winnie, cienki i przerażony, ale zdeterminowany.

- **Celuj w róg!**

Smok odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał. A przynajmniej tak to wyglądało. Z paszczy wydobyl się taki sam ryk jak poprzednio, a wraz z nim wystrzelił w górę słup czarnej energii. Ale w głowie Keller rozbrzmiewał tylko maniakałny śmiech.

A potem opuścił głowę i wycelował róg wprost w Ilianę.

- **Giń!**- powiedział. To słowo nie zostało wypowiedziane na głos, ale wysłał zimną falę czystej energii.

- **To moja jest moc wieków - krzyknęła Iliana.- Moja jest moc...**

Złoty płomień w jej dłoniach zmieniał się, zbiełał, zrobił się oślepiająco gorący...

- **Końca świata!**

Pomiędzy jej dłońmi zrodziło się coś jakby supernowa.

Wystrzeliło światło i eksplodowało. Nie można było na nie patrzeć. I nie było już białe, ale oślepiająco, brylantowoniebieskie jak błyskawica.

Niebieski ogień.

Pierwotna Moc się przebudziła.

Wiedziałam, pomyślała Keller. Wiedziałam od początku.

Keller nie widziała, co się stało ze smokiem. Światło było po prostu zbyt potężne. Kiedy przelatowało wokół niej, miała wrażenie, że przepływa przez nią, brzęczy w środku i rozświetla jej kości. Spróbowała podnieść dłoń, ale zobaczyła tylko niesprecyzowany kolorowy kształt. Ale słyszała krzyk smoka. Nie niski jak ryk, ale wysoki i piszczący, jakby ktoś wbijał szpilki w jej uszy. Wznosił się i wznosił, tak wysoko, że nawet Keller nie słyszała już tych rejestrów. Potem dało się słyszeć dźwięk, jakby gdzieś daleko pękło szkło, aż w końcu wszystko ucichło.

W niebieskobiałym świetle spadały gwiazdy.

I po raz drugi tego wieczoru Keller zemdlała.

- Szefie! Proszę! Szefie, prędko. Obudź się!

Keller z trudem otworzyła oczy. Galen ją obejmował. Był człowiekiem. I ona też.

A Winnie i Nissa próbowały ich gdzieś zaciągnąć.

Keller spojrzała w złotozielone oczy.

Także same jak u lamparta, pomyślała. Tylko że lamparty nie płaczą, a jego pełne były łez.

Podniosła leniwie rękę i pogłaskała go po policzku. Otoczył ją swoją dłonią.

Keller nie mogła myśleć. W jej umyśle nie było słów. Ale cieszyła się, że może tu z nim być, po raz ostatni w świetle księżyca. To wszystko było tego warte.

- Szefie, proszę! - Winnie też zbierało się na płacz.

- Pozwól mi umrzeć w spokoju - odpowiedziała Keller, ale dopiero dźwięk głosu uświadomił jej, że powiedziała to głośno. Potem dodała: **- Nie płacz, Whifrith. Wykonałaś kawał dobrej roboty.**

- Szefie, nie umrzesz. Niebieski ogień coś zrobił: uleczył nas. Jesteśmy zdrowi.

Ale już prawie północ!

Keller mrugnęła. Potem jeszcze raz.

Ciało przestało boleć. Zakładała, że to zbawcze otępienie, które nadchodzi tuż przed śmiercią. Ale teraz zorientowała się, że wcale nie. Krew krążyła jej w żyłach, jej mięśnie były sprawne i mocne. Nie bolała jej nawet głowa.

Spojrzała nad ramieniem Winnie na dziewczynę w bieli.

Wciąż była drobna, wyglądała prawie jak dziecko. Ale coś się w niej zmieniło. Na początku Keller myślała, że Iliana jest równie odległa i piękna, jak gwiazda, ale potem się uśmiechnęła. Była najpiękniejszą istotą ludzką, jaką kiedykolwiek widziała.

I naprawdę błyszczała wewnętrznym światłem. Otaczała ją delikatną srebrną mgiełką. Keller nie widziała nigdy wcześniej na żadnym z nagrań, żeby Pierwotna Moc tak się zachowywała.

Ale ona nie jest tylko Pierwotną Mocą, odezwał się w jej głowie głos. Jest dzieckiem czarownicy.

I Jedna Bogini wie, jakje ma zadania do spełnienia.

Przez chwilę Keller ogarnął podziw. Ale w końcu dotarły do niej słowa Winnie.

Poderwała głowę.

- Północ?

- Tak! - odpowiedziała czarownica gorączkowo. Keller poderwała się z ziemi.

- Nissa?

- Tutaj, szefie.

Keller poczuła ulgę. To właśnie Nissa wyglądała na najbliższą śmierci, gdy leżała z innymi na ziemi. Ale teraz stała na własnych nogach, niewzruszona, mimo że koszula zwisała na niej w krwawych strzępach.

- Nissa, poprowadzisz jeepa? Wiesz, jak dojechać do Charlotte?

- Tak sądzę, szefie.

Keller w życiu nie cieszyła się tak z dźwięku tego spokojnego głosu, jak teraz. Podskoczyła.

- No to jazda!

Rozdział 18

Podróż do Charlotte nie utkwiała im w pamięci. Keller pamiętała tylko, że musiała się mocno trzymać, podczas gdy Nissa prowadziła jak szatan. Przez sporą część trasy jechali po bezdrożach.

Minutę przed północą zahamowali z piskiem opon na parkingu przed długim niskim budynkiem.

- **Wchodźcie, wchodźcie!** - rzuciła Nissa, zatrzymując się przed dwuskrzydłowymi drzwiami.

Keller, Galen, Winnie i Iliana pobiegli.

Wpadli do rzęsiście oświetlonej dużej sali. Przed oczami Keller przepłynęło morze krzeseł i zasiadających na nich ludzi. W końcu skupiła wzrok na podwyższeniu naprzeciwko widowni.

- **Chodźcie** - krzyknęła.

Przy stole na podwyższeniu siedziało twarzą do publiczności kilkoro ludzi. Zupełnie jak na zwykłym zebraniu mieli przed sobą szklanki wody i mikrofony. Ale Keller rozpoznawała niektóre twarze i na pewno nie nazwałaby ich zwykłymi.

Ta niska okrągła kobieta o pucułowatej twarzy to matka Cybele. Matka wszystkich czarownic, tak jak babcia Harman była Koroną. Po śmierci babci została przywódczynią czarownic. Wysoka dziewczyna o pięknych rysach i skórze koloru kawy z mlekiem to Aradia. Wieszczka czarownic wymieniana w prorocत्वach.

A ten mężczyzna o królewskim wyglądzie, złotowłosa i złotobroda, siedzący obok równie dostojnej kobiety, o błyszczących zielonych oczach...

To musieli być przywódcy z Pierwszego Domu, zmiennokształtni.

Rodzice Galena.

Byli też inni, ważni ludzie z Kręgu Świtu, ale Keller nie miała czasu się na nich skupiać. Matka Cybele przemawiała właśnie na stojąco. Najwyraźniej była krótkowidzem, bo nie zauważyła, jak Keller i pozostali weszli bocznymi drzwiami. Jej głos był powolny i skupiony.

- **Obawiam się, że skoro jest już po północy...** Keller spojrzała na zegarek.

- **Dopiero wybijają północ!**

Matka Cybele podniosła wzrok zaskoczona i spojrzała nad okularami. Wszyscy uczestnicy dyskusji odwrócili się w ich stronę. Nagle oczy wszystkich skupiły się na grupie Keller. Narastał gwar, najpierw jak brzęczenie pszczół, ale szybko przeszedł w ściszony ryk. Ludzie wskazywali palcem na Keller, gdy ta wbiegła po schodach na podwyższenie.

Spojrzała na pozostałych i zorientowała się, o co chodzi. Nie wyglądali najlepiej. Wszyscy brudni, w podartych ubraniach. Rude włosy Winnie z jednej strony były ciemnoczerwone od krwi. Sweter Galena był w strzępach. A ona sama była brudna od przedzierania się przez tunel i od pyłu z miejsca potyczki.

Tylko Iliana zdawała się w miarę czysta, a to pewnie dlatego, że poświęcała nie pozwalała skupić na niej porządnie wzroku.

Matka Cybele wydała okrzyk radości, który brzmiał zaskakująco młodo, po czym upuściła trzymane w rękach kartki. Aradia wstała, a jej piękne, niewidzące oczy skierowały się w stronę przybyłych. Cała jej twarz wyrażała radość. Rodzice Galena wyglądali na szalenie zdziwionych, ale też wyraźnie odczuli ulgę.

Jakiś facet w ciemnym garniturze złapał Keller za ramię, gdy dotarła do szczytu schodów.

- **Kim jesteście?** - zapytał. Keller strząsnęła jego rękę i stanęła wyprostowana.

- **Jesteśmy tymi, którzy przyprowadzili wam Pierwotną Moc** - powiedziała. Spojrzała wchodzącą właśnie Nissę i skinęła na nią. - **A także tymi, którzy zabili smoka.**

W sali zrobiło się tak cicho, że można by było usłyszeć spadający spinacz.

- **A tak dokładnie, to ona zabiła smoka** - dodała Keller, wskazując na Ilianę.

Aradia odezwała się zduszonym głosem:

- **Dziecko czarownic. Przyszła do nas.**

Iliana wspięła się powoli na podwyższenie i stanęła wyprostowana.

- **Nie zabiłam go sama** - powiedziała. - **Wszyscy pomogli, a szczególnie Keller i Galen.**

Złote brwi ojca Galena powędrowały w górę, a matka Galena złapała swego męża za ramię. Keller spojrzała na Galena i zobaczyła, że ten się rumieni.

- **Walczyli z nim i walczyli, aż oboje byli bliscy śmierci. Ale potem, jak uwolniłam niebieskie światło, ożyli.**

Powiedziała to tak prosto, zwracając się tylko do matki Cybele, a przynajmniej tak się wydawało. Nie wyglądała na skrępowaną.

Keller pomyślała, że Iliana jest przyzwyczajona do tego, że wszyscy na nią patrzą.

Matka Cybele klasnęła w małe pulchne dłonie i zacisnęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, były wypełnione łzami.

Ale powiedziała tylko:

- **Witaj, moje dziecko. Ostatnie słowa babci Harman były skierowane do ciebie.**

Miała nadzieję, że odnajdziesz swoją moc.

- **I odnalazła** - powiedziała Keller. - **Winnie jej pomogła.**

- **Nie pomogłam jej w tym** - stwierdziła szczerze Winnie - **co mówiła i robiła. Próbowałam jej tylko wytłumaczyć, jak używać pomarańczowego ognia. Ale kiedy zaczęła...**

- **Potrząsnęła burzą loków.** - **Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła całą tę przemowę o Hekate.**

- **To po prostu do mnie przyszło** - odpowiedziała Iliana. - **Nie wiem. Tak jakby ktoś mi podpowiadał, a ja tylko powtarzałam.**

Ale kto mógł to zrobić? - zastanawiała się Keller. Któż inny, jeśli nie ktoś; kto był tam za pierwszym razem, gdy usypiano smoki? Kto poza samą Hekate, królową czarownic?

Nawet jeśli nie żyła od trzydziestu tysięcy lat.

Czas, żeby wszystko, co śpi, znów się obudziło.

Keller uświadomiła sobie, że z tłumu dobiega jakiś hałas. W pierwszej chwili myślała, że ludzie zaczęli szeptać.

Ale robiło się coraz głośniejsze i uświadomiła sobie, że to owacje.

Przybyli klaskali, śmiali się i gwizdali. Cały ten hałas odbijał się od ścian i sufitu. A kiedy Keller zdawało się, że nie zniesie już tego hałasu, nadchodziła kolejna fala braw.

Dużo czasu zajęło matce Cybele uspokojenie wszystkich. W końcu odwróciła się do Keller i odezwała oficjalnie:

- A więc wykonaliście zadanie?

Keller uświadomiła sobie, że to próba. I pośród wypełniającego ją szczęścia poczuła ukłucie w sercu.

Ale nie okazała tego po sobie. Stała dalej, wyprostowana.

- Tak - zwróciła się do matki Cybele. **- Przyprowadziłam dziecko czarownic.** - Przełknęła z trudem ślinę.

- A oto syn z Pierwszego Domu - odezwał się ojciec Galena. Podeszedł do niego i wziął go za rękę. Twarz miał poważną, ale promieniał z dumy.

Twarz chłopaka była blada, ale zdecydowana. Spojrzał przelotnie na Keller. A potem patrzył niewidzącym wzrokiem wprost przed siebie.

Matka Cybele przyglądała się Ilianie. Chciała wziąć za rękę dziewczynę i połączyć z Galenem. Ale Iliana prowadziła cichą rozmowę z Aradią.

Kiedy w końcu się odwróciła, powiedziała:

- Chcę, żeby Keller to zrobiła. W końcu to ona jest za to wszystko odpowiedzialna.

Keller zamrugnęła. Miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła przełknąć śliny. Ale nie spodziewała się tego po Ilianie. Naprawdę proszenie, żeby to ona zrobiła, było tak bezsensownie okrutne.

Ale może ona nie rozumie. Nie zdaje sobie sprawy, pomyślała Keller. Odetchnęła z trudem i powiedziała:

- OK.

Sięgnęła po rękę Iliany... I poczuła w dłoni ukłucie.

Zaskoczona, spojrzała w dół. Iliana miała w tej dłoni nóż, idealnie sprawny mały nożyk. Skaleczyła nim Keller, aż do krwi. Jak się okazało, Iliana też krwawiła.

- Sorry - wyszeptała. **- Nie cierpię krwi.**

A potem znów złapała dłoń Keller, odwróciła się do publiczności i uniosła ją w górę.

- Proszę - powiedziała. **- Jesteśmy teraz siostrami krwi. Poza tym uratowała mi życie. I jeśli to nie wystarczy, żeby zawrzeć sojusz pomiędzy czarownicami i zmiennokształtnymi, to już nie wiem, co może to sprawić.**

Patrzyła na nią cała publiczność. Szybko dołączyła do nich matka Cybele.

- Mówisz... - Ojciec Galena był zszokowany. **- Mówisz, że nie poślubisz mojego syna?**

- Mówię, że to ona powinna wyjść za pana syna czy przyjąć oświadczyzny. On jest w niej zakochany. Nie rozumiem, po co unieszczęśliwiać go na całe życie, tylko dlatego że chcecie, żeby zmiennokształtni przyłączyli się do czarownic. Keller i ja będziemy związane na zawsze. I Galen też. Czy to nie wystarczy?

I znów z tłumu zaczął dobiegać hałas. Serce Keller zdawało się unosić wraz z nim. Ale wciąż patrzyła na Iliane, bojąc się to uwierzyć.

- Ale... jeśli czarownice się na to nie zgodzą? - zapytał słabo ojciec Galena.

Iliana tupnęła nogą. Naprawdę?

- Jestem dzieckiem czarownicy. Lepiej, żeby mnie słuchały. Nie przechodziłam przez to wszystko na próżno.

I wtedy tłum zaczął wiwatować jeszcze głośniejsze, a jego fala pchnęła Keller wprost w objęcia Galena.

Jakiś czas później, w przerwie między licznymi uściskami i pocałunkami, Keller szepnęła do Iliany:

- Jesteś pewna?

- Powinam, nie sądzisz? Albo Galen będzie mocno wkurzony.

- Iliano...

- Jestem pewna - wyszeptała. Uściskała Keller. - Naprawdę mi na nim zależy. Myślę, że jestem też w nim jakoś zakochana. Ale widziałam. Widziałam jego twarz wtedy, po walce, kiedy myślał, że nie żyjesz. I słyszałam, jak wymawiał twoje imię. A potem... Wiedziałam, wiesz? Jesteście sobie przeznaczeni. Więc jestem pewna.

- Lampart? - Powiedziała matka Galena i potrząsnęła włosami koloru topazu. - Ależ kochanie, to wspaniale. Twoja praprababcia była lampartem.

- Zrezygnowałeś dla mnie z bycia ptakiem - szepnęła mu do ucha Keller.

- Myślę, że mogę polubić bieganie - wymruczał i skorzystał z okazji, żeby ją pocałować.

- Nie. Bardzo przepraszam, że panią obudziłam - powiedziała Keller. - Tak, wiem, że jest bardzo późno. - Wyteńczyła słuch, żeby usłyszeć głos po drugiej stronie słuchawki. Włożyła sobie palec do ucha, by wyciszyć hałas dzikiego świętowania wokół niej, ale niewiele to dało.

- To wcale nie jest śmieszne - odezwała się matka Iliany. - Nic mu nie jest. Przez całą noc spał w łóżku. Skąd pomysł, że...

- Cóż, to trochę trudno wytłumaczyć.

- A teraz się obudził i zaraz zacznie płakać. Och, nie płacze. Ale chce zjeść słuchawkę. Alex!

Głos po drugiej stronie słuchawki powiedział wyraźnie: „Kee-kee!”

- Tak, to Kee-kee - odpowiedziała zaskoczona Keller. - Cieszę się, że nic ci nie jest, szkrabie. I wiesz, nie odeszłam. Możesz sobie myśleć, że jesteś sprytny, ale jeszcze wiele musisz się nauczyć, mądralo. - Po czym dodała - Wiesz, raz przez moment myślałam, że może to ty jesteś Pierwotną Mocą. Ale wygląda na to, że jesteś po prostu zwykłym, pocziwym dzieckiem czarownicy.

Iliana, która akurat przechodziła obok, spojrzała na nią dziwnie.

- Keller, czy ty rozmawiasz z moim braciszkiem?

- **Co dokładnie powiedział smok?** - zapytała z niepokojem matka Cybele. Chociaż wyglądała jak duża gołębica, a jej oczy miały zawsze przyjazny wyraz, to w grubym podbródku rysowała się stanowczość, która podobała się Keller.

- Zapytałam, kto go obudził. A on powiedział... - Keller przypomniała sobie dokładnie słowa - Powiedział: „Ktoś, kogo nigdy nie poznasz. Czarownica, która nie jest czarownicą. Zawiązaliśmy przymierze”.

- Czarownica, która nie jest czarownicą - powtórzyła matka Cybele.

Twarz Aradii wyrażała powagę.

- Zastanawiam się, kto to mógł być. I gdzie teraz jest.

- Czas pokaże - odezwała się cicho matka Cybele.

- Policja jest już w środku - powiedziała Nissa, przyciskając komórkę do ucha. Relacjonowała Keller sytuację - Pewnie dzieciaki z przyjęcia po nich zadzwoniły, gdy zobaczyły panterę. Znaleźli rodzinę. Pan i pani Ashton-Hughes, Jaime i Brett. Zabierają ich do szpitala.

Wyłączyła telefon.

- Powinniśmy tam wystać kilka czarownic. Ale jeśli żyją, to mają spore szanse, prawda? W końcu mamy Pierwotną Moc z uzdrawiającą mocą. A teraz nie mogłabyś się wyluzować i pobawić?

To było dwa dni później. Keller siedziała w słonecznej alkwie w kryjówce, do której przywieziono również Ilianę, Galena i pozostałych. Tutaj mieli odpocząć, z dala od światła nocy. Miło było przez chwilę nigdzie nie pędzić. Siedzieć i czytać... i myśleć. A jeszcze milej było robić te wszystkie rzeczy, gdy w pobliżu był Galen.

Podszedł cicho do drzwi - teraz wciąż poruszał się cicho jak kot. Uśmiechnęła się do niego. Wyglądał tak słodko z tymi złotymi włosami, urodą księcia z bajki i zielonymi lamparcimi oczami.

- Napisałem dla ciebie wiersz - powiedział, siadając obok niej. - Tak naprawdę skradłem to, co napisała twoja matka i przerobiłem. Nie wiem na co. Ale myślę, że może właśnie to chciała powiedzieć.

Keller spojrzała na niego, po czym popatrzyła na kartkę papieru, którą jej podał.

Ludzie umierają... więc kochaj ich co dnia.

Piękno błędnie... więc patrz na nie, nim zniknie.

Miłość odchodzi... ale nie ta, którą dajesz.

A jeśli będziesz kochać, nigdy sama nie zostaniesz.

- Tak naprawdę chciałem napisać inaczej „A ty zawsze będziesz sama... więc nie licz na innych. Ale nie przestawaj też kochać, bo inaczej będziesz samotna. Bądź hojna dla innych, dawaj bez obaw o to, co dostaniesz w zamian”, ale to byłoby trochę długie i nie mieściło się w linijce - stwierdził.

Keller patrzyła niewidzącym wzrokiem w kartkę.

- Przepraszam - szepnął. - Jeśli ci się nie podoba...

Keller zarzuciła mu ręce na szyję i się rozplakała.

- Spalę tamten - powiedziała. - I Kocham cię. Pocałuj mnie.

Uśmiechnął się.

- Tak jest, szefie! I pocałował.

Jedno z krainy królów dawno zapomnianych.

Jedno z palenisk, gdzie się iskra tli.

Jedno ze świata dnia, wciąż obserwowane.

Jedno ze zmierzchu, gdzie czas nocy nagli.

Koniec